

Katherine Stone

KRÓLESTWO TĘCZ

Prolog

Waszyngton
grudzień 1990

Wśród dziennikarzy tłoczących się przed bramą Memorial Hospital byli zarówno komentatorzy polityczni elitarnych pism Waszyngtonu, jak i redaktorzy programów rozrywkowych głównych stacji telewizyjnych. Polityka w stolicy odpoczywała. Izba Reprezentantów, Senat, Sąd - wszyscy mieli wakacje, a prezydent i Pierwsza Dama uczestniczyli w bożonarodzeniowych imprezach dobroczynnych. Jednak to nie chwilowy martwy sezon w polityce skłonił dziennikarzy do zajęcia się sprawą, która powinna interesować raczej ich kolegów z show biznesu, lecz to, że chodziło o Alexandrę Taylor, a w tym mieście władzy, wpływów i znakomitości Alexa była znakomitością.

Alexa była aktorką, nie senatorem czy kongresmenem, jednak w pewnym sensie też została wybrana - wybrana przez miliony widzów, których miłość do niej wyniosła serial *Pennsylvania Avenue* na top i utrzymywała go tam od pięciu lat. I choć niektórzy waszyngtońscy dziennikarze czuli się w obowiązku dystansować ironicznie od tragedii namiętności, władzy i przeznaczenia, której akcja rozgrywała się w stolicy, nikt nie podawał w wątpliwość talentu i czaru gwiazdy. Prasa, podobnie jak publiczność, lubiła Alexę, a posępne twarze reporterów zgromadzonych pod Memorial Hospital wyrażały szczerą troskę.

- Czekamy tu całą noc na dobre wiadomości, Joan. - Korespondentka *Good Morning America* była zaróżowiona od wiatru, jej zmęczona twarz świadczyła wyraźnie o całonocnym czuwaniu, a poważne spojrzenie ostrzegało, że wiadomości nie są pocieszające. - Rzecznik szpitala spotkał się z nami dziesięć minut temu i powtórzył po prostu to, czego się dowiedzieliśmy tuż po północy. Stan Alexy Taylor jest krytyczny. Przeżyła wczorajszą operację, dzięki której zdołano się uporać z krwotokiem wewnętrznym, lecz nadal nie wyszła ze śpiączki.

- Dowiedziałaś się czegoś więcej o wypadku? - spytała Joan Lunden, gospodyni programu w Nowym Jorku.

- Policja nie wydała jeszcze oficjalnego oświadczenia, ale mamy nowe fakty. Wczoraj późnym popołudniem, tuż po odebraniu tajemniczego telefonu, Alexa wyszła ze swego domu nad Zatoką Chapespeake, wsiadła do samochodu i ruszyła szybko krętą szosą ku autostradzie między stanowej. Na tej szosie jest wyjątkowo dużo niebezpiecznych zakrętów, to bardzo zdradzieckie miejsce, lecz, oczywiście, doskonale znane Aleksie. Teraz pada śnieg, lecz w chwili wypadku nawierzchnia była sucha. Mimo sprzyjających warunków atmosferycznych i doskonałej znajomości terenu Alexa z jakiejś przyczyny wypadła z zakrętu, a samochód runął w dół, na plażę i stanął w płomieniach. Cudem Alexę wyrzuciło z samochodu lub wyskoczyła, zanim wóz wyleciał w powietrze.

- Powiedziałaś: „z jakiejś przyczyny”. Domyślasz się może z jakiej?

- Na razie są to wyłącznie spekulacje. Sądząc z odległości, jaką samochód przebył w powietrzu, zanim spadł na brzeg, musiał jechać bardzo szybko. Poza tym nie odnaleziono żadnych śladów poślizgu i nic nie wskazuje na to, że Alexa próbowała hamować.

- Co znaczy?

- Co zapewne znaczy, że hamulce zawiodły. Zepsuły się lub ktoś je celowo uszkodził.

- Policja podejrzewa usiłowanie zabójstwa?

- Jak już powiedziałam, policja nie wydała żadnego oświadczenia. Samochód jest tak zniszczony, że najprawdopodobniej nie uda się znaleźć żadnych śladów, nawet jeśli ktoś przy nim majstrował.

- A telefon?

- Jeszcze brak informacji na ten temat. Wiem tylko tyle, że wkrótce po nim wydarzył się wypadek.

- Więc jest możliwe, że Alexa była zdenerwowana albo podniecona i dlatego jechała zbyt szybko, a w końcu straciła kontrolę nad samochodem?

- Możliwe. A nawet bardzo prawdopodobne. Ale, jak wiesz, u nas plotki docierają do wiadomości publicznej szybciej niż fakty, i ten zwykły, choć tragiczny wypadek może zostać szybko uznany za tajemniczy spisek lub intrygę.

- To prawda. No cóż. Dziękuję ci za informacje z ostatniej chwili. Skontaktujemy się z tobą później, jeszcze w trakcie programu. Mam nadzieję, że przekazesz nam pocieszające wieści o stanie Alexy.

- Też mam taką nadzieję. Och! Zaczekaj chwilę! Chyba widzę siostrę Alexy, Catherine, znaną pianistkę. Nie wychodziła ze szpitala przez całą noc, ale teraz... Tak, to z pewnością Catherine. I, no proszę... to ciekawe... towarzyszy jej senator Robert McAllister. Nie wiedziałam, że którąś z sióstr coś łączy z tym przystojnym politykiem z Wirginii, ale, jak wielu innych senatorów, prawdopodobnie McAllister był konsultantem serialu *Pennsylvania Avenue*. Nie wiem, czy Catherine zechce rozmawiać z prasą, ale być może senator zgodzi się na wywiad.

Gdy Catherine chwyciła Roberta za rękaw płaszcza, ten instynktownie położył swoją męską dłoń na jej drżącej dłoni. Uciekając przed oślepiającym blaskiem kamer telewizyjnych, skręcił w kierunku stojącej nieopodal limuzyny, która miała ich zawieźć na lotnisko, gdzie już wkrótce mieli wylądować rodzice Catherine. Od zacisza limuzyny dzieliła ich jednak ściana reporterów. Ściana rozstała się nagle, tworząc wąski tunel dla Roberta i Catherine. Mimo to wciąż z obu stron atakowały ich pytania, wobec których byli bezradni.

- Jak się czuje Alexa? Może nam pan powiedzieć, senatorze?

- Jak poważne okazały się obrażenia? Czy pacjentka jest nadal w śpiączce? Czy lekarze mają nadzieję na wyzdrowienie?

- Pani Taylor. Pani przebywała chyba akurat w domu, gdy pani siostra odebrała telefon. Kto dzwonił? Jaką przekazał wiadomość? Czy dlatego Alexa tak nagle wybiegła z domu? Czy policja coś podejrzewa?

- Lekarze stwierdzili krwotok wewnętrzny i poważny uraz nerek. Czy oddała już pani krew, Catherine? Czy zgodziłaby się pani zostać dawcą nerki, gdyby zaszła konieczność?

Robert uprzedził Catherine, że może być zasypana gradem pytań, i doradził, by na żadne nie udzielała odpowiedzi. Catherine wiedziała, jakie pytania zadadzą reporterzy - takie same pytania dręczyły ją przez całą noc. Takie same, poza ostatnim.

Czy zgodziłaby się na przeszczep?

Serce Catherine nie miało najmniejszych wątpliwości. Tak, oczywiście! Temu okrzykowi towarzyszył jednak jęk rozpacz. Jeżeli Alexa potrzebuje mojej krwi, mojej nerki, mojego serca, chętnie jej to wszystko oddam, ale...

To, co ja mogę jej ofiarować, nie różniłoby się niczym od daru obcego człowieka. Alexa, którą kocham jak własną siostrę, wcale moją siostrą nie jest.

Część 1

1

*Kansas City,
Kansas maj 1968*

Mój mąż wkrótce tu będzie - powiedziała Jane Taylor do wolontariusza w różowym fartuchu, który eskortował ją z sali szpitalnej do holu. - Zaczekam tutaj, w fotelu na kółkach, skoro tak trzeba, ale to naprawdę niepotrzebne. Nie musi pan czekać. Doskonale sobie poradzę.

Prawda była jednak taka, że Alexander wcale się tu na razie nie wybierał. Zresztą nawet nie zatelefonowała, by mu powiedzieć, że ją wypisano. Poza tym zaraz po odejściu wolontariusza zamierzała wstać z fotela.

Nie miała żadnych wyrzutów sumienia, że kłamie. Przecież oni wszyscy - lekarze, pielęgniarki i psychologowie bez przerwy kłamali. I, podobnie jak Jane, kłamali w słusznej sprawie. Dla jej dobra.

- Przewieziemy panią na oddział internistyczny - powiedzieli, gdy stan jej zdrowia pozwalał na opuszczenie OIOM-u.

Na oddział internistyczny, nie położniczy - czyli bardzo daleko od matek, których dzieci przeżyły. Jakby ich radość mogła pogłębić jej smutek! A smutek nie mógł już być głębszy. Na wspomnienie, że jeszcze tydzień temu jej życie składało się wyłącznie z radości, Jane nie mogła wyjść ze zdumienia.

Przed siedmioma dniami, w piękny wiosenny dzień, Jane, Alexa i Alexander wyjechali z domu w sielskiej Topece do Kansas, gdzie - na Targach Sztuki - odbywała się wystawa i sprzedaż wyrobów ceramicznych Jane. Była to ostatnia przygoda rodziny złożonej tylko z trzech osób. Już wkrótce do kręgu ich miłości miała dołączyć nowo narodzona istotka. Sześcioletnia Alexa, szalenie przejęta tym wydarzeniem, rozprawiała o swoim małym dzidziusiu i dowodziła z przekonaniem, że będzie to siostrzyczka.

Przez tygodnie przygotowań do wystawy Jane czuła się świetnie - jej czas wypełniało raczej twórcze podniecenie, niż jakikolwiek niepokój. Gdy nadeszła godzina wyjazdu, Alexander przy pomocy Alexy załadował samochód, a Jane, w siódmym miesiącu ciąży i w doskonałej kondycji, po prostu się temu przyglądała, rozbawiona niekonicieczną nadopiekuńczością męża i córki. Nie zdenerwowała się niczym, nie zmęczyła, a mimo to ledwo zdążyli wyjechać na przedmieścia, zaczęła rodzić. W pewnej chwili, całkiem nagle, poczuła rozdzierający ból, a potem nastąpił krwotok.

Alexander pojechał jak szalony do najbliższej stacji pogotowia i lekarze szybko rozłączyli Jane z maleństwem, dotychczas całkowicie bezpiecznym w jej łonie. Potem nastąpiło kolejne rozstanie. Córeczka, której już nigdy nie miała zobaczyć, umarła po pięciu dniach dzielnie toczonoego boju o życie, a Jane zwyciężyła wojnę ze śmiercią i wkrótce została przeniesiona z OIOM-u nie na oddział położniczy ani na salę poporodową, lecz na oddział internistyczny. Było to ponure miejsce o śliskich korytarzach wyłożonych linoleum, gdzie królowała choroba, miejsce oddalone od rozradowanych matek i ich dzieci.

Lekarze, psychologowie i pielęgniarki twierdzili, że tak będzie najlepiej. Nie powiedzieli jednak nigdy, dla kogo. Dla Jane? Dla innych matek, które mogłyby się czuć skrępowane jej towarzystwem?

Wszyscy ci specjaliści nie mieli jednak racji. Należało umieścić ją w sali poporodowej, razem z innymi matkami. W końcu była matką. Matką Alexy i dziewczynki, która umarła. Należało jej też pozwolić na odwiedziny w oddziale noworodków.

Tam właśnie teraz zmierzała, chcąc przyjrzeć się wreszcie nowo narodzonemu maleństwu. Wierzyła, że dzięki wizycie u dzieci zdobędzie się na to, by opowiedzieć Aleksie o jej nieżyjącej siostrzyczce. Jeszcze dziś Jane i Alexander chcieli powiedzieć prawdę swojej złotowłosej córce. A potem czekała ich smutna rozmowa z przyjaciółmi, którzy oczekiwali triumfalnego powrotu utalentowanej Jane z Targów Sztuki w Kansas.

Gdy Jane dotarła wreszcie na oddział noworodków i spojrzała przez szybę na maleństwa leżące w różowych i niebieskich łódeczkach, pojęła natychmiast, że jej decyzja była słuszna. Widok niemowląt przyniósł jej ulgę. Sama

wprawdzie straciła dziecko i wiedziała, że już nigdy nie urodzi następnego, ale spotkanie z tymi kruszynkami dawało nadzieję.

Piękną twarz Jane rozjaśnił uśmiech, pierwszy uśmiech od tygodnia: łagodny, kochający uśmiech matki...

Isabelle całowała czarne, jedwabiste włosy swej córeczki, omiatając wzrokiem korytarz. Przed nią leżało nowo narodzone maleństwo, a za nią jak zwykle czaił się jeden ze szpiegów Jean-Luca. Ludzie Jean-Luca, niczym groźne cienie, nie odstępowali jej ani na krok ani gdy była w ciąży, ani później. Teraz, gdy urodziła dziecko, nawet nie usiłowali się kryć.

Isabelle żyła w ciągłym strachu, że ci ludzie otrzymają mordercze instrukcje od szaleńca, który ich wynajął - rozkaz, by położyć kres temu nowemu, niewinnemu życiu. Bo było dla niego zagrożeniem. Ten rozkaz musiał kiedyś w końcu paść, lecz na razie Jean-Luca satysfakcjonowało chyba dręczenie Isabelle. Niczym dzikie zwierzę bawił się swoją ofiarą, pewien, iż ma nad nią całkowitą kontrolę. Mówił jej wyraźnie, że wpadła w pułapkę, z której nie ma wyjścia. Czyżby tego nie rozumiała?

Oczywiście, że rozumiała. Wiedziała jednak również, że jeśli nie przestanie uciekać, Jean-Luc będzie się dobrze bawił. Dopóki wierzył, iż Isabelle wciąż ma nadzieję na znalezienie bezpiecznej kryjówki, dopóty bawił się świetnie tą okrutną zabawą w chowanego. A to dawało jej czas...

Czas na znalezienie kobiety, której mogłaby powierzyć swój bezcenny skarb. Na wiele miesięcy przed urodzeniem dziewczynki i potem, Isabelle rozmawiała z wieloma kobietami - były to krótkie wymiany zdań prowadzone pod złowrogimi spojrzeniami gangsterów Jean-Luca - i wciąż nie rezygnowała z poszukiwań. Ta jedna jedyna na świecie kobieta istniała, musiała istnieć, a Isabelle czuła, że gdy ją wreszcie spotka, nie będzie miała żadnych wątpliwości, że wybiera trafnie. Wiara w nieomylność serca była niemal tak silna jak instynkt, który dawał jej niestrudzoną wręcz energię, by nie ustawać w poszukiwaniach, dopóki nie zapewni swemu maleństwu bezpiecznego, kochającego domu.

Wędrowała całymi miesiącami z miasta do miasta. I szukała. A teraz przybyła na chybił trafił, choć nie bez celu, akurat tutaj, dokładnie w tym momencie, na oddział noworodków, gdzie blondynka o zażawionych oczach patrzyła tęsknym wzrokiem na nowo narodzone maleństwa.

Gdy się do niej zbliżyła, jej serce zaczęło bić szybciej.

- Dzień dobry - odezwała się po angielsku. Władza biegle wieloma językami; żaden z jej rozmówców nie zauważał lekkiego akcentu rodowitej Francuzki.

- Dzień dobry. - Jane uśmiechnęła się ciepło do tej pięknej kobiety o miękkim, królewskim głosie. Potem jej spojrzenie padło na dziewczynkę owiniętą ciepłą kołderką z różowego kaszmiru. Kobieta była blondynką, niemowlę miało lśniąco czarne włosy, lecz ich identyczne niebieskie oczy zdradzały natychmiast rodzinne podobieństwo. - Jakie śliczne maleństwo.

- Dziękuję. Pani dziecko też jest tutaj?

- Nie. - Jane uśmiechnęła się przepaszająco. Uświadomiła sobie, że tu, na tym oddziale, wśród szczęśliwych matek i ich pociech jest po prostu niepożądanym gościem. W pięknych błękitnych oczach tej młodej matki było jednak coś takiego, że postanowiła powiedzieć jej prawdę. - Właśnie straciłam córeczkę. Urodziła się przedwcześnie i nastąpiły komplikacje.

- Tak mi przykro. Z pewnością będzie pani miała jeszcze inne dzieci.

- Nie, choć i tak dziękuję Bogu. Mam już uroczą sześciolletnią córkę. Chciałam jej dać siostrzyczkę, ale...

- Tak, rozumiem - szepnęła Isabelle. Czuła na sobie groźne spojrzenie swego stróża. Mężczyzna stał sześć metrów

dalej, za daleko, by słyszeć rozmowę, lecz nie spuszczał z nich wzroku. A Isabelle wiedziała, że z każdą chwilą, z każdą minutą, jego zainteresowanie rośnie. - Muszę omówić z panią pewien problem.

- O! - zdziwiła się Jane, zaskoczona. W bystrych niebieskich oczach dostrzegła błaganie, rozpaczliwy krzyk o pomoc. - Oczywiście - powiedziała cicho.

- Nie możemy rozmawiać tutaj. Czy mogłaby pani pójść do damskiej toalety w holu i cierpliwie na mnie zaczekać? Niestety, nie zjawię się tam wcześniej niż za pół godziny.

Jane dostrzegła mężczyznę, który nie spuszczał z nich wzroku, i domyśliła się, iż to on jest przyczyną tego tajemnego spotkania. Rozum ją ostrzegał, że należy grzecznie, lecz stanowczo wyplątać się jak najszybciej z tej sytuacji, lecz serce wzięło górę nad rozsądkiem. Skoro będzie mogła komuś pomóc, to pomoże.

- Zaczekam na panią.

- Dziękuję. Teraz proszę się po prostu ze mną pożegnać, tak, jakbyśmy definitywnie zakończyły rozmowę i nie zamierzały się już spotykać.

- Dobrze - odparła z uśmiechem Jane i podnosząc lekko głos, szybko zerknęła na zegarek. - Boże drogi! Która to godzina! Muszę już iść. Przyjemnie mi się z panią gawędziło. Do zobaczenia.

Jane odeszła, a Isabelle zaczęła spokojnie rozmawiać z kilkoma innymi młodymi matkami odwiedzającymi swoje pociechy. Po półgodzinie wyszła do holu i kiedy już miała opuścić oddział, zawróciła nagle do informacji i spytała jedną z wolontariuszek o drogę do toalety.

Na szczęście Jean-Luc wysłał za nią w pogoń wyłącznie mężczyzn. Nie brał pod uwagę możliwości powierzenia tej funkcji kobiecie, bo o istotach płci przeciwnej miał bardzo niskie mniemanie i traktował je wyłącznie użytkowo. Dzięki temu jednak Isabelle i jej maleństwo właśnie w damskiej toalecie mogły czuć się całkowicie bezpieczne.

- Bardzo pani dziękuje, że zgodziła się pani ze mną spotkać - szepnęła cicho Isabelle na widok Jane.

- Nie ma za co.

- Jesteśmy same?

- Tak.

- To dobrze. - Isabelle przeniosła łzawe spojrzenie z Jane na swoją córeczkę owiniętą w różowy becik. - Weźmie ją pani? - spytała drżącym głosem.

- Oczywiście. - Jane dostrzegła łzy Isabelle, lecz sądziła, że ta piękna kobieta prosi ją tylko o potrzymanie dziecka. O prostą uprzejmość... choć dla niej nie było to proste. Gdy tuliła dziewczynkę w ramionach, przeszył ją ból.

- Chodzi mi o to - ciągnęła Isabelle cicho, lecz pewnie, widząc z jak ogromną czułością Jane tuli dziewczynkę - czy weźmie ją pani i wychowa jak własną córkę?

- Co takiego?! - wykrzyknęła Jane z nadzieją i zarazem niedowierzaniem.

- Przy mnie nigdy nie będzie bezpieczna. Kocham ją całym sercem... ona jest moim sercem, ale... - Jakiś wewnętrzny, buntowniczy głos kazał jej przez chwilę udawać, że Jean-Luc i jego ludzie nie istnieją. Zganiła siebie w duchu i szybko wróciła do rzeczywistości. - Straciła pani rodzone dziecko...

- Tak, ale pani nie powinna tracić swojego - odparła łagodnie Jane, tocząc własną, prywatną bitwę z uczuciami. Serce nie miało żadnych wątpliwości, odpowiedziało od razu i radośnie na zaskakujące pytanie Isabelle. Lecz doświadczywszy tak bolesnej straty, Jane zdawała sobie sprawę, że matka i córka powinny być razem. To przekonanie, ostatnią wysepkę rozsądku, wtłoczyła na siłę w sam środek wzburzonego oceanu uczuć.

- Gdyby mi pani wyjaśniła, dlaczego nie może jej pani zatrzymać, udałoby nam się chyba wspólnie rozwiązać ten

problem. Na pewno jest jakiś sposób. Z przyjemnością pani pomogę.

- Nie mogę nic powiedzieć i nie ma żadnego innego wyjścia z sytuacji. Ale może mi pani pomóc. Od chwili gdy zrozumiałam, że nie wolno mi jej zatrzymać, modliłam się tylko o to, by znaleźć dla niej matkę, która by ją kochała tak samo jak ja. I teraz widzę, że właśnie pani jest tą matką.

W milczeniu popatrzyły sobie w oczy i złożyły obietnice płynące prosto z serca.

- Będę ją kochała - szepnęła w końcu Jane.

- Tak, wiem. - Isabelle wpatrywała się w nią jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu odwróciła głowę i skupiła się na sprawach, które musiała załatwić zanim rozpocznie życie bez córeczki. Z dużej torby na pasku wyjęła niebieską aksamitną saszetkę przetykaną złotem. Delikatnymi, zręcznymi palcami otworzyła saszetkę i wyjęła z niej kilka starannie opakowanych paczuszek, z których po odwinieciu serwetek wyrzały lśniące brylanty, rubiny, szafiry i szmaragdy.

- Ona byłaby bardzo bogata - wyjaśniła Isabelle.

Zostałaby przecież księżniczką, dodała w myślach.

- Udało mi się częściowo zainwestować jej majątek w te klejnoty - ciągnęła. - Wszystkie bez skazy, o wspaniałym szlifie i barwie. Dziś są warte około dwudziestu milionów dolarów. Proponowałabym jednak, aby sprzedała je pani tylko w razie potrzeby, gdyż na pewno z czasem zyskają na wartości.

- Nie mogę ich przyjąć.

- Zapewniam panią, że nie są kradzione. Stanowią prawowitą własność mojej córki.

- Mój mąż i ja nie jesteśmy bogaci i chyba nigdy nie dorobimy się wielkich pieniędzy, ale zapewniliśmy sobie spokojną egzystencję. Pracowaliśmy naprawdę bardzo ciężko na to, by pozwolić sobie na dwoje dzieci. - Jane wzruszyła ramionami, nie całkiem pewna, dlaczego właściwie odmawia przyjęcia klejnotów, lecz absolutnie pewna słuszności swojej decyzji. Jej rodzina wiodła skromne, ale tak szczęśliwe życie, że nie chciała tego zmieniać.

Twarde stanowisko Jane w sprawie klejnotów utwierdziło jedynie Isabelle w przekonaniu, że wreszcie znalazła kobietę, której może powierzyć swój największy skarb. Isabelle była kiedyś bardzo biedna, potem bogata i zdążyła już zrozumieć, że najcenniejszą wartością w życiu jest miłość. A ta kobieta o lśniących, szmaragdowych oczach najwyraźniej podzielała jej zdanie...

- Może mam pani opowiedzieć coś o sobie i moim mężu? - zaproponowała cicho Jane.

- Nie, niech pani nic nie mówi. Najlepiej będzie, jeśli nie poznam żadnych szczegółów. Ja zresztą też już nic więcej nie dodam... poza tym, że moja córka to owoc wielkiej miłości. Nie jest jednak ze mną bezpieczna i nigdy bezpieczna nie będzie. - Oczy Isabelle znów wypełniły się łzami. Wbrew swym nadziejom, nie była wcale przygotowana na to, co się miało za chwilę stać.

- Czy w dwudziestą pierwszą rocznicę urodzin mojej córki powie jej pani, co się dziś zdarzyło? Czy powie jej pani, że ją kochałam, ale nie miałam wyboru?

- Tak. Oczywiście. Kiedy dokładnie się urodziła? - spytała Jane, pewna, że Isabelle, niezależnie od miejsca pobytu, prześle ciche zapewnienie o miłości swojej dorosłej już córce, która będzie właśnie poznawała prawdę z dawnych czasów.

- Dwudziestego maja. Urodziła się tydzień temu.

- Dwudziesty - powtórzyła Jane, jakby chciała się nauczyć tej daty na pamięć. Miała ją jednak i tak wyrytą głęboko w sercu, gdyż tego samego dnia przyszła na świat jej nieżyjąca już córeczka. - Dobrze, powiem jej. Czy mam jej przekazać coś jeszcze?

- Żeby mnie nie szukała. To by się i tak na nic nie zdało, ale już same próby mogłyby sprowadzić na nią

nieszczęście... I jeszcze jedno - dodała pod wpływem nagłego impulsu - oczywiście to pani podejmie tę decyzję i nie będę nalegała, by takie było jej pierwsze imię ale...

- Tak?

- Gdyby na imię, na przykład drugie, mogła mieć Alexandra...?

Alexandra. Po ojcu - domyśliła się Jane, słysząc miłość pobrzmiewającą wyraźnie w głosie Isabelle. Ojciec dziewczynki miał na imię Alexander, i to był kolejny zadziwiający zbieg okoliczności. Jane ukryła jednak zaskoczenie, ponieważ kobieta nie życzyła sobie żadnych szczegółów na temat jej rodziny. Tak więc Jane nie powiedziała, że jej mąż również nosi to imię, ani też nie dodała, że jej starsza córka to Alexandra. Nie wypowiedziała ich głośno, lecz te słowa wypłynęły prosto z serca: „starsza córka”.

- Na drugie imię będzie miała Alexandra.

- Dziękuję.

Isabelle zmusiła się znowu do skupienia na ostatnich ważnych szczegółach. Włożywszy niebieską saszetkę do dużej torby, wyjęła z niej woreczek na pieluszki, czarnowłosą lalkę i biało-niebieski kocyk. Razem odwinęły dziewczynkę z różowej kołderki, a potem Isabelle otuliła córeczkę biało-niebieskim kocykiem, podczas gdy Jane okrywała lalkę różową welenką.

A potem Isabelle pozostało tylko pożegnanie. Z maleństwem w ramionach odeszła cichutko w kąt. Gdy całowała różowione policzki dziewczynki, szafirowe oczy matki i córki spotkały się.

- *Je t'aime, je t'aime, je t'aime* - szeptała po francusku, ponieważ w tym właśnie języku prowadziła zawsze najbardziej intymne rozmowy ze swoją córką. - *Je t'aimerais toujours*.

Odwróciła się, podeszła szybko do Jane i podała jej najdroższe zawiniątko. Zarzuciła torbę na ramię, lecz zanim sięgnęła po lalkę - przynętę na Jean-Luca i jego ludzi - podjęła ostatnią impulsywną decyzję. Drżącymi palcami odpięła solidne złote zapięcie naszyjnika, ukrytego do tej pory pod jedwabną bluzką.

Naszyjnik składał się z błyszczących, niebieskich klejnotów i wisiorka w kształcie serca wykonanego z takiego samego kamienia. Jane dostrzegła od razu, że jaskrawoniebieski odcień pasuje idealnie do niezwykłych oczu matki i córki, lecz nie miała pojęcia, że błyszczące klejnoty to szafiry ani że niebieskie szafiry są najrzadsze i najcenniejsze, a naszyjnik jest wart fortunę. Dla niej zresztą i tak znacznie większą wartość miała miłość, z jaką Isabelle patrzyła na dziewczynkę.

- Proszę jej to dać w dzień dwudziestych pierwszych urodzin. Dostałam ten naszyjnik od męża. A my, to znaczy mój mąż i ja, mieliśmy jedno serce i teraz ja chcę jej to serce ofiarować. - Isabelle zmarszczyła lekko brwi, jakby zastanawiała się przez chwilę, czy postępuje słusznie, a potem, całkiem już uspokojona, mówiła dalej: - Naszyjnik jest bardzo piękny, lecz wzór ma tradycyjny. Nie naprowadzi jej nigdy na mój ślad.

Jane skinęła tylko głową.

- No cóż - szepnęła Isabelle. Do jej oczu znów napłynęły łzy. Powstrzymała je jednak na wspomnienie mężczyzn czekających na nią w holu. Mówiła spokojnie, rzeczowo, wspierana świadomością, że musi na zawsze zapewnić całkowity spokój swojej córeczce. - Muszę już iść. Proszę, niech pani tu zostanie co najmniej pół godziny lub, jeśli to możliwe, nawet dłużej.

- Będę ją kochała - szepnęła Jane.

- Wiem. Dziękuję. Niech panią Bóg błogosławi.

A potem Isabelle zniknęła, by wywieść w pole Jean-Luca i jego ludzi i znaleźć się jak najdalej od Kansas City, a Jane została w łazience, przytłoczona ciężarem wydarzeń. Wszystko stało się tak szybko, a ona do tej pory była całkiem

spokojna. Dopiero teraz doszło do niej, że zdarzył się cud.

- Jak się masz, maleńka? - szepnęła, patrząc w niebieskie oczy dziewczynki, które szukały w niej miłości i obietnicy szczęśliwego życia. - Witaj, Catherine Alexandro. - Podoba ci się to imię, kochanie? Chyba idealnie do ciebie pasuje. A twoja siostra bardzo się ucieszy, bo właśnie dzięki niemu staniecie się sobie jeszcze bliższe. Ona ma na imię Alexandra Catherine. Moje maleństwo. Nawet nie wiesz, jak bardzo będziemy cię wszyscy kochać: ja, tatuś i twoja duża siostrzyczka. Bardzo!

Tak samo jak byłaś kochana przez pierwszy tydzień swego życia, dodała w myślach, a jej wypełnione radością serce skurczyło się z bólu. Jakże współczuła matce, od której otrzymała ten najcenniejszy w świecie dar! A jeśli, najdroższa Catherine - przyrzekła w duchu dziewczynce - twoja mama będzie kiedyś mogła po ciebie wrócić, to ten problem też jakoś rozwiążemy.

Z nagłym uczuciem smutku i ulgi zdała sobie jednak sprawę z tego, że matka Catherine nigdy ich nie odnajdzie. Mieszkali przecież w Topece, nie w Kansas, i choć Jane powiedziała Isabelle o stracie dziecka, nie podała jej przecież adresu. Maleństwo umarło w innym szpitalu, a ona była tu pacjentką interny, a nie położnictwa. Isabelle nie miała najmniejszych szans, by odnaleźć dziecko. Chyba że wróci do toalety...

„Proszę, niech pani zostanie tu pół godziny, a nawet dłużej” - prosiła matka Catherine. Jane czekała całą godzinę, by dać Isabelle czas na ucieczkę lub... zmianę zdania. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, jej serce zamierało ze strachu i budziło się znowu do życia, gdy się okazywało, że to nie piękna kobieta o szafirowych oczach weszła do łazienki.

Jej własna córeczka umarła, lecz piersi Jane wciąż były pełne odżywczego mleka. Nawet gdy leżała na OIOM-ie i potrzebowała sił, by przeżyć, nie straciła pokarmu - tego bolesnego symbolu poniesionej straty. A teraz, kiedy maleńkie usteczka przywarły chętnie do jej sutki, Jane poczuła, że przepelnia ją radość i miłość - o dziwo - większa od smutku.

Gdy sięgnęła po pieluszkę do wielkiej torby pozostawionej przez Isabelle, okazało się, że czeka tam na nią kolejna niespodzianka: sto tysięcy dolarów w banknotach o dużych nominałach. Pieniądze, które mogła mądrze zainwestować i ofiarować Catherine w dzień jej dwudziestych pierwszych urodzin. Ona i Alexander zarabiali dość na skromne życie, jakie wiedli w Topece. Chociaż - myślała - może jednak będziemy z nich mogli choć troszkę skorzystać, tyle tylko, by Alexander udzielał w weekendy nieco mniej lekcji muzyki i spędzał za to więcej czasu z córkami. Obiema córkami.

- Alexandrze...

- Cześć kochanie - szepnął z ulgą. Wiedział, że jego żonę wypisano ze szpitala. Wiedział jednocześnie, że Jane będzie potrzebowała trochę czasu dla siebie. Sądził, że pójdzie najpierw na oddział noworodków, a potem do parku, by poczuć ciepło majowego słońca, zobaczyć kwiaty i pojąć raz jeszcze wszystko, co się stało. To było jednak niemożliwe - on również tego próbował. Rozumiał więc jej potrzebę samotności, lecz minuty przerodziły się w godziny i Alexander zaczął się już martwić. - Jesteś gotowa? - spytał łagodnie. - Mamy po ciebie przyjechać?

W głosie Alexandra brzmiała taka czułość, że oczy Jane zasły mgłą. Ostatni tydzień musiał być dla niego bardzo trudny, znacznie trudniejszy niż dla niej. Mąż spędził wiele bezsennych nocy, jeżdżąc z jednego OIOM-u na drugi, przy czym przez pierwsze cztery doby myślał, że straci i żonę, i dziecko. Ukrywał jednak starannie swój strach. Musiał być silny za nie wszystkie - za Jane, za swoją nowo narodzoną córeczkę i za złotowłosą Alexę, która nadal nie знаła prawdy. A teraz już nie będzie musiała jej poznać.

- Alexa jest z tobą?

- Bawi się w pokoju obok z nowymi przyjaciółkami. - Głos Alexandra stał się miękki, pełen miłości. Jego uroczą,

otwarta na świat córka nigdy nie przestała go zadziwiać. Alexa zawarła w tym tygodniu wiele znajomości - w szpitalnych pokojach zabaw, w motelu. Bardzo łatwo nawiązywała kontakty z dziećmi, co w sytuacji, gdy już nie mogli dać jej rodzeństwa, było zdolnością szczególnie cenną i pożądaną.

- Alexandre... zdarzył się cud.

Siedząc w budce telefonicznej w parku, Jane tuliła do siebie śpiącą Catherine i opowiadała mężowi, co się stało. Nie widziała wprawdzie twarzy Alexandra - utalentowanego muzyka o wrażliwej duszy poety - lecz potrafiła sobie wyobrazić jego oczy, te oczy, które tak dobrze знаła, i całą gamę uczuć, jakie teraz wyrażały: nadzieję, strach, radość, niedowierzanie i... troskę.

- Nie oszalałam, kochany - dodała, gdy po drugiej stronie linii zapadła cisza. Doskonale wiedziała, czego jej mąż się boi. Wiedziała również, że Alexander nie wyrazi swych obaw głośno, dopóki nie będzie mógł wziąć jej w ramiona i ochronić przed smutkiem, który najwyraźniej zmienił się w psychozę i skłonił Jane, by porwała dziecko.

- Ale kochanie... to jest po prostu... Z czego się śmiejesz? - spytał z jeszcze większą troską.

- Bo nawet ci nie wspomniałam o pieniądzach, klejnotach i naszyjniku.

Opowiadała mu całą historię trzy razy, ale do tej pory nie napomknęła ani razu o klejnotach wartych fortunę, których nie przyjęła i ogromnej sumie pieniędzy ukrytej w torbie z pieluszkami. Pieniądze i naszyjnik stanowiły namacalny dowód, że cud naprawdę się zdarzył. Ona jednak o nich zapomniała, ponieważ jedyny skarb, który naprawdę miał znaczenie, spał teraz bezpiecznie w jej ramionach.

- Pieniądze, klejnoty, naszyjnik...

Jane opowiedziała mu wszystko raz jeszcze. Łagodne, pełne troski protesty Alexandra zmieniły się w końcu w radosne niedowierzanie.

- Zaraz po ciebie przyjedziemy, kochanie. Po ciebie i Catherine.

- Ona nie jest moją siostrą - oznajmiła Alexa z pewnością siebie, ledwo zobaczyła maleństwo w ramionach matki.

- Ależ jest - szepnęła Jane, gdy otrząsnęła się ze zdziwienia. Głaszcząc jedwabiste włoski dziewczynki, zaczęła spokojnie tłumaczyć. - Catherine ma ciemne włosy, jak tatuś, a nie jasne, jak ty czy ja, i niebieskie oczy, ale to jednak twoja siostra.

- Nie.

- Alexo?

- Nie chcę, żeby ona była moją siostrą! Tatusiu, ona mi się wcale nie podoba!

- Alexo!

- To wcale nie jest moja siostra! Nie chcę jej! Zabierzcie ją do szpitala. Proszę! Mamo, tato!

W trzy tygodnie po pożegnaniu z ukochaną córką, Isabelle nadal tuliła do siebie lalkę i nadal podróżowała z jeszcze większą determinacją, jak śmiertelnie ranne stworzenie, cudem jeszcze żywe, przemierzające ziemię mimo utraconego serca.

Poprowadziwszy ludzi Jean-Luca z Kansas City do Nowego Jorku, tuż przed startem samolotu do Nicei oddała jednemu ze swych groźnych cieni różowe zawiniątko.

- Jadę na spotkanie z Jean-Lukiem - syknęła po francusku. - Powiem mu, że bardzo się staraliście, ale wynajął głupców.

Isabelle nigdy by nie uwierzyła, że kiedykolwiek wróci na L'île des Arcs-en-ciel. Teraz jednak musiała stawić czoła

człowiekowi, który z takim okrucieństwem odebrał jej na zawsze największy skarb. W Nicei wsiadła do samolotu, a podczas krótkiego lotu z Nicei do królestwa położonego na tej śródziemnomorskiej wysepce, odbyła w myślach podróż do czasów, kiedy to zaczęła gardzić Jean-Lukiem i kochać Alexandre'a.

Był rok 1948. Wojna, która zabrała całą rodzinę Isabelle, dobiegła końca, lecz bolesne wspomnienia wciąż były żywe. Siedemnastoletnia Isabelle już wiedziała, że wojna to koszmar, którego przedtem nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić. Jednak nadzieja kazała jej szukać każdego możliwego oparcia i nie poddać się rozpaczce. Isabelle wybrała wiarę w to, że pokój może przynieść ziszczenie marzeń. Podczas wojny działała w Paryżu w Ruchu Oporu, z bezprzykładną odwagą. Teraz, po zakończeniu wojny, w pogoni za marzeniem, napisała śmiały list do księcia.

W liście do księcia Alexandre'a Castille'a wyjaśniła, że zbadała dokładnie wzory biżuterii proponowane przez jubilerów z Placu Vendôme. Nie uznała jednak za stosowne dodać, iż dokładne badania polegały na oglądaniu wystaw Cartiera, Van Cleefa, Arpela i Castille'a i że, jej zdaniem, ze wszystkich salonów jubilerskich to właśnie Castille'owi najbardziej przydałby się przypływ nowych sił twórczych. Według jej oceny Castille proponował wzory stanowczo zbyt barokowe i zbyt mało romantyczne. Do listu dołączyła własne - nowatorskie i, rzecz jasna, zarazem romantyczne - projekty biżuterii, a także zaproponowała, że przyjedzie na L'île des Arcs-en-ciel, by spotkać się z księciem, o ile on wyrazi takie życzenie.

List Isabelle rozbawił Alexandre'a, lecz skłonił go jednocześnie do przemyśleń. Ta dziewczyna, niewątpliwie wybitnie uzdolniona, miała rację, a jej śmiałość wywarła na księciu ogromne wrażenie.

Po wojnie Alexandre poświęcił się całkowicie odbudowie piękna wyspy, pozostawiając zarządzanie firmą jubilerską Castille Jewels młodszemu bratu Jean-Lucowi. Jean-Luc radził sobie doskonale z wszystkim, co wiązało się z finansami dochodowego imperium jubilerskiego, lecz od dłuższego już czasu nie wprowadzał żadnych nowych wzorów.

Alexandre przygotował się do wyjazdu do Paryża, gdzie miał się spotkać z Isabelle. W przeddzień podróży, podczas przejażdżki konnej, gdy podziwiał piękno tęcz, na cześć której nazwano jego księstwo - Wyspa Tęcz - uległ jednak wypadkowi i złamał nogę. Tak więc na spotkanie z młodą projektantką pojechał jego brat, Jean-Luc. Kiedy zobaczył Isabelle, jej złote włosy i szafirowe oczy, postanowił natychmiast, że musi ją zdobyć.

Isabelle, sierota wojenna, nie wiedziała, co to strach. Wodziła przecież za nos złych ludzi, którzy napadli na jej miasto, obrażała ich, a mimo to zawsze wychodziła cało z opresji. Wychowana na ulicy stała się twarda i nieustraszona, ponieważ inna być nie mogła, lecz jej serce ożywiały miłość do sztuki i wspaniałe wizje romantycznej dziewczyny.

Była właśnie taką romantyczną dziewczyną, dziewicą, dopóki nie została zgwałcona przez Jean-Luca. Gwałcąc ją brutalnie, Jean-Luc wyznał jej miłość, a już po wszystkim obiecał małżeństwo. Przynależał, że Isabelle zostanie jego żoną, jego księżniczką.

Isabelle popatrzyła mu twardo w oczy i poprzysięgła nienawiść po wsze czasy.

Jean-Luc wrócił na wyspę i oznajmił bratu, że młoda paryżanka bawiła się z nimi w kotka i myszkę, gdyż tak naprawdę przeznaczyła swoje projekty dla Cartiera. Wiadomość niemile zaskoczyła Alexandre'a. Kiedy noga mu się zrosła, pojechał do Paryża i pod wpływem nagłego impulsu sam złożył wizytę utalentowanej artystce.

Na widok Alexandre'a w oczach Isabelle pojawiło się przerażenie. Przerażenie ustąpiło jednak miejsca zdziwieniu, gdy Isabelle zrozumiała, że nie patrzy na Jean-Luca. Alexander był wprawdzie równie przystojny jak Jean-Luc, bardzo do niego podobny, ale starszy. Miał przy tym lekko zatroskany, łagodny wyraz twarzy, a w jego piwnych oczach nie było szaleństwa.

Siedemnastoletnia Isabelle i czterdziestoletni Alexandre zakochali się w sobie bez pamięci, choć dziewczyna wciąż żywiła ukrytą nienawiść do Jean-Luca, a w jej łonie wzrastało nasienie zła, co napełniało ją prawdziwym obrzydzeniem i

rozpaczą. Nie chciała wydać na świat potomka Jean-Luca, lecz nie potrafiła się zdobyć na aborcję. Pragnęła, by jej ciążę przerwały siły natury. Potem, gdy zakochała się w Alexandre, pragnienia te osłabły, ponieważ Isabelle wierzyła, że cud miłości pokona rodzące się zło.

Na początku czwartego miesiąca Isabelle poroniła. Alexandre znalazł ją nieprzytomną po krwotoku i odwiózł do szpitala. Gdy wydobrzała na tyle, by mówić, wyznała mu całą prawdę o Jean-Lucu.

Alexandre wygnał brata z królestwa, poślubił Isabelle i od tego czasu wiódł z nią życie pełne miłości w zaczerpniętym królestwie na wyspie. Jean-Luc wyjechał, lecz nie mogli o nim zapomnieć. Choć bardzo chcieli mieć dzieci, mimo dwudziestu lat małżeństwa ich marzenie pozostało niespełnione. Musieli się pogodzić z faktem, że organizm Isabelle poniósł niepowetowane straty po poronieniu.

Oboje pragnęli potomka jako owocu miłości, nie dziedzica królestwa, lecz dziedzictwo stanowiło również poważny problem. Prawo sukcesji tronu obowiązujące od wieków na L'île des Arcs-en-ciel stanowiło, że panujący monarcha był zawsze synem pierworodnym poprzedniego władcy. Gdyby jednak Alexander nie doczekał się potomstwa, po jego śmierci tron odziedziczyłby Jean-Luc, a potem panowałyby jego dzieci.

We wrześniu 1967 roku u Alexandre'a stwierdzono rzadką i gwałtownie postępującą postać białaczki. Isabelle i Alexandre poświęcili okrucieństwo cennego czasu, który im pozostał, na omówienie tego, co się wydarzyło po jego śmierci. Nie było o czym dyskutować. Oboje wiedzieli aż za dobrze, że Jean-Luc przejmie władzę i powróci triumfalnie na wyspę. Ich jedyne plany dotyczyły Isabelle.

Alexandre ulokował swój osobisty majątek w klejnotach, pieniądze wywiózł z wyspy i umieścił na kontach bankowych na nazwisko Isabelle w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Zurychu. A potem, przez cały czas, jaki im pozostał, po prostu się kochali tak samo jak przedtem. I pewnej nocy pełnej miłości sześćdziesięcioletni Alexandre i trzydziestosiedmioletnia Isabelle poczęli dziecko. Tą radością Isabelle nie podzieliła się jednak nigdy z Alexandre'em. Wiedziała, że nie da mu to spokoju ani szczęścia, a stanie się źródłem obawy o przyszłość i gniewu na własną bezradność. Jean-Luc był zaledwie o krok od królestwa, którego tak bardzo pragnął, zaledwie o jedno uderzenie umierającego serca. Żadne ewentualne proklamacje umierającego Alexandre'a w sprawie dziecka, ani żadne zabiegi w sprawie zapewnienia opieki sierotom rodzinie nie miałyby znaczenia. Jean-Luc i tak nigdy nie dopuściłby do tego, by dziecko Alexandre'a przejęło od niego Wyspę Tęcz.

Nie znaczyło to, oczywiście, że Isabelle pragnęła królestwa dla dziecka będącego owocem ich miłości. Po bolesnym rozstaniu z Alexandre'em chciała jedynie spędzić resztę życia z jego potomkiem. Jean-Luc mógł zachować cały majątek.

Ale kiedy Isabelle, zaraz po pogrzebie, wyjechała z Wyspy Tęcz, podążyli za nią ludzie Jean-Luca. Cięża była wprawdzie jeszcze niewidoczna, lecz intencje Jean-Luca oczywiste: jego obsesja nie umarła, wciąż istniała i była równie groźna jak dawniej. Isabelle próbowała uciec ludziom Jean-Luca, lecz niestety na próżno, a gdy nie mogła już dłużej ukrywać faktu, iż jest brzemienna, szpieg Jean-Luca podwoili wysiłki.

Isabelle pragnęła jedynie wolności, dzięki której spędziłaby życie, kochając swoje dziecko. Jean-Luc nie zamierzał jednak jej tej wolności dać. Tylko dzięki sprytowi Isabelle zdołała wywieść go w pole i przynajmniej swojej córeczce zapewnić wolność.

Teraz, trzy tygodnie po rozstaniu z tą małą kruszyną, Isabelle wracała, aby powiedzieć mężczyźnie, który odebrał jej dziecko, jak bardzo go nienawidzi.

Za rządów Alexandre'a pałac przypominał całą wyspę - cudowne, zachwycające miejsce, gdzie królowała piękność, miejsce otwarte dla wszystkich pragnących podziwiać jego wspaniałość. Lecz teraz bramy pałacu były zamknięte,

odstrasżające, a uzbrojeni po zęby strażnicy wysyłali milczący sygnał, iż nastały rządy księcia Jean-Luca. Przez lata wygnania Jean-Luc zdołał odkryć nowe zbrodnicze sposoby zdobywania bogactwa i jeszcze bardziej trującego skarbu: władzy. Kiedy umierał Alexandre, Jean-Luc był już znanym na całym świecie handlarzem bronią, narkotykami i terrorem.

Teraz władca bawił w swojej rezydencji, a niegdyś elegancki marmurowy pałac stał się fortecą. Ten pełen szczęścia raj okrywał teraz kir żałobny. Nawet ptaki umilkły - pomyślała smutno Isabelle. A gorące powietrze, w którym dawniej unosił się aromat kwitnących kwiatów, wydawało się zimne i stęchłe. Przypomniała sobie wspaniałe tęcze pojawiające się na niebie każdego wieczoru po ożywym tropikalnym deszczu. Czy one też zniknęły, a ich oślepiające barwy spłowiły i stały się szare - iluzoryczne wspomnienie czegoś, co żyło tu kiedyś, lecz już dawno umarło?

- Isabelle - szepnął Jean-Luc, który na jej widok jak zwykle wstrzymał oddech. Jego ciemne oczy były zimne i nie wyrażały absolutnie żadnych uczuć, choć przepełniała go przemożna żądza i pragnienie, by ją osiąść.

- Ty draniu...

- Isabelle.

- Nienawidzę cię z całego serca!

- Dlaczego, *chérie*? Ojciec powinien być gotów na wszystko dla swoich dzieci.

- Zrobiłeś to dla siebie. Chciałeś zagarnąć królestwo i zdążyłeś je już zatruć swoim jadem!

- Nie złość się tak, Isabelle. Jesteś stanowczo zbyt piękna, żeby się złościć.

Oczy Jean-Luca powędrowały na lewo. Isabelle poszła za jego spojrzeniem i ujrzała wiszący na ścianie obraz olejny. Jej portret. Przed śmiercią Alexandre'a wysłała wszystkie listy, pamiętniki, portrety i fotografie - namacalne dowody ich miłości - do zamku w dolinie Loary. Jean-Luc zamówił jednak portret namalowany na podstawie fotografii zrobionej dwanaście lat wcześniej, w Monaco. Isabelle i Alexandre uczestniczyli wówczas w uroczystościach weselnych swych przyjaciół - Rainiera i Grace, innej książęcej pary władającej - podobnie jak oni - maleńkim państwem śródziemnomorskim. Zapierające dech w piersiach kolorowe zdjęcie Isabelle Castille ukazało się w magazynie „Life”, choć Isabelle nie była wcale panną młodą, lecz tylko jedną z zaproszonych osób. Stojąc wśród białych gardenii, wyglądała jednak jak panna młoda, a wyraz jej twarzy współgrał z romantycznym nastrojem dnia. Zdjęcie wydawało się jeszcze bardziej romantyczne dzięki szafirowemu naszyjnikowi, który ją zdobił, a który otrzymała od Alexandre'a.

Przez te lata Isabelle i Alexandre'owi zrobiono setki zdjęć - ona była przecież tak delikatna i piękna, on tak silny i przystojny. Na wszystkich tych zdjęciach uwieczniano biżuterię z firmy Castille, biżuterię wartą miliony dolarów. I akurat ta fotografia, na której Isabelle miała na szyi swe ulubione klejnoty, posłużyła Jean-Lucowi za pierwowzór obrazu do prywatnej kolekcji!

To, że Jean-Luc powiesił na ścianie jej portret, zirytowało Isabelle. Przeraziło ją jednak, że akurat na tym właśnie płótnie uwieczniono ją w naszyjniku, który podarowała dziecku. Z drugiej strony, jeśli jej córka po dojściu do pełnoletności zapragnie odnaleźć prawdziwą matkę, nie wpadnie na jej trop dzięki naszyjnikowi z szafirów. Ale Jean-Luc - pod warunkiem, że rozpocząłby poszukiwania już teraz, miał większe szanse ją znaleźć. Gdyby na przykład umieścić zdjęcia naszyjnika w amerykańskiej prasie i opatrzeć je błaganiem zrozpaczonej Isabelle, poszukującej córki... Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ta piękna kobieta o szmaragdowych oczach przeczytała jego apel i wpadła w pułapkę.

Przerażona taką perspektywą Isabelle, oprzytomniała szybko.

Jean-Luc przecież nie wie, że dałam jej naszyjnik, pomyślała. Nie wie, a moja córka zobaczy go najwcześniej za dwadzieścia jeden lat. Do tego czasu, jeśli naprawdę istnieje Bóg, Jean-Luc będzie się już dawno smażył w piekle.

Kiedy znów spojrzała na Jean-Luca, powtarzała sobie w duchu uspokajającą mantrę: ona jest bezpieczna, moja dziewczynka jest bezpieczna.

- Jak śmiesz wieszać mój portret na ścianie? - spytała oskarżycielskim tonem, za którym ukryła przerażenie.

- Pragnę czegoś więcej, niż tylko portretu. Pragnę ciebie, Isabelle. Kocham cię.

- Oszalałeś.

- Z miłości. Gdybyśmy byli razem, twoja córka mogłaby mieszkać z nami.

Isabelle zamarła na chwilę z wrażenia, lecz uświadomiła sobie natychmiast, że to tylko zdradziecki podstęp. Jean-Luc pozwoliłby maleństwu, by trochę pożyło, a potem zdarzyłby się tragiczny wypadek...

- Nie wiem, gdzie ona jest. Pozostanie w ukryciu na zawsze, nawet ja jej nie odnajdę. - Isabelle podkreśliła znaczenie swych słów wyzywającym spojrzeniem. Jej głos ociekał nienawiścią. - Mam nadzieję, że usiłując ją znaleźć, stracisz cały swój majątek i spędzisz resztę swoich dni dręczony strachem, że kiedyś ona się pojawi. Mam też nadzieję, że ten strach cię zabije.

- Isabelle, Isabelle... - Kpiący śmiech Jean-Luca u normalnego mężczyzny można by wziąć za element miłosnego przekomarzania się z ukochaną, lecz u niego był kolejnym dowodem choroby psychicznej. - Jesteśmy dla siebie stworzeni, nie widzisz? Wyjdź za mnie, ukochana. Bądź moją księżniczką. Ofiaruję ci taką miłość i namiętność, na jaką mojego starszego brata nigdy nie było stać. Na samą myśl o tym, że kochał się z tobą, kiedy jego ciało było już prawie martwe, ogarnia mnie obrzydzenie.

- To ty jesteś obrzydliwy, Jean-Luc. To do ciebie czuję pogardę.

- Nauczysz się mnie kochać.

- Masz żonę, Jean-Luc - Isabelle zawiesiła głos, jakby ważyła w myślach słowa. - A może ją zabiłeś? - dokończyła, mimo wyraźnych sygnałów ostrzegawczych, które wysyłał jej mózg. - Tak jak Genevieve?

Genevieve była miłą, niewinną dziewczyną, która uległa szatańskiemu urokowi Jean-Luca i wyszła za niego za mąż. Gdyby nie splot okoliczności, Isabelle w ogóle nie miałyby okazji jej poznać, ponieważ wówczas Jean-Luc już od dawna przebywał na wygnaniu. Pewnego dnia jednak zdesperowana i przerażona Genevieve pojawiła się w pałacu w poszukiwaniu azylu, gdyż było to jedyne miejsce na ziemi, gdzie Jean-Luc nie mógł się pojawić. Isabelle i Alexandre chętnie przyjęli nieszczęsną istotę pod swoje skrzydła i nie pozwoliliby jej na pewno na powrót do Jean-Luca, gdyby nie to, że Genevieve była w ciąży. Zdecydowała się wymienić z Jean-Lukiem wolność za wymarzonego potomka. Genevieve dotrzymała słowa i ofiarowała Jean-Lucowi dziedzica, lecz wolności nie odzyskała. Zginęła w tajemniczych okolicznościach w miesiąc po narodzinach syna.

A dziś, mimo dzwonek alarmowych, Isabelle oskarżała Jean-Luca o zamordowanie żony. Ten król terrorystów, ten amoralny szaleniec nie powinien się poczuć dotknięty tym oskarżeniem. Ale w jego ciemnych oczach błysnęła mordercza wściekłość i Isabelle zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Wiedząc, że Jean-Luc ma obsesję na jej punkcie, nigdy się go nie bała. Sądziła po prostu, że nic jej nie grozi. Teraz jednak, pod tym morderczym wzrokiem, poczuła paralizujący wręcz strach. Stała się jak wryta, niezdolna do ucieczki. Lecz gdy poczuła silne dłonie Jean-Luca na swojej kruchej szyi i zrozumiała, że umrze, miejsce strachu zajęła ulga. Umrze. I tym samym przestanie cierpieć po stracie męża i dziecka. Spotka się z Alexandre'em.

- Tatusiu?

Na dźwięk tego dziecięcego głosu, palce, które zamierzały właśnie rozgnieść kruchą szyję, rozluźniły ucisk. W oczach Jean-Luca błysnęło przerażenie. Zrozumiał, że omal nie udusił ukochanej kobiety. A potem, jak gdyby nigdy nic, uśmiechnął się po prostu do dziesięcioletniego syna.

- Alain, wejdź i poznaj ciocię Isabelle.

Alain. Mimo gonitwy bezładnych myśli, Isabelle uświadomiła sobie nagle, że stoi przed nią syn Genevieve. W poważnej, ale spokojnej twarzy chłopca nie było jednak nic, co mogłoby sugerować, że Alain słyszał, gdy oskarżała jego ojca o śmierć Genevieve. Mały najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z zamiarów Jean-Luca wobec Isabelle, zamiarów przerwanych jego dziecinnym „tatusiu”.

- Witaj, ciociu - przywitał ją poważnie.

- Witaj, Alain. - Isabelle uśmiechnęła się z trudem do chłopca, który pewnego dnia miał zawładnąć wyspą. Czy w innym świecie, w świecie bez Jean-Luca, on i jej córka byliby po prostu kochającymi się kuzynami? Czy może Alain nie potrafiłby się pogodzić z faktem, iż w kolejce do tronu jest drugi, za swoją kuzynką? Alain odziedziczył wszystkie cechy zewnętrzne po Castille'ach, typową południową urodę: ciemne włosy, oczy i karnację. Nie był zupełnie podobny do matki, jasnej blondynki o bladej cerze. Może jednak przejął po niej coś innego? Może w jego żyłach płynęło choć trochę dobra, a nie samo zło? Teraz wyglądał wręcz uroczo, a jego oczy wydawały się wrażliwe. Lecz ta pozorna wrażliwość mogła się okazać jedynie ułudą, taką samą ułudą, jak wdzięk Jean-Luca - broń, po którą ten diabeł w ludzkim ciele sięgał zawsze wtedy, gdy liczył na jej skuteczność. Ale teraz Isabelle nie zamierzała dociekać, na jakiego mężczyznę wyrośnie stojący przed nią chłopiec. Czy skazany na dobro, czy też zło, Alain Castille nieświadomie ocalił jej życie.

- No cóż - mruknęła po chwili i wykorzystała przyjście Alaina jako pretekst do ucieczki. - Muszę iść. Żegnaj, Alain.

Jean-Luc nie próbował jej zatrzymać. Na pewno miał zamiar wysłać za nią szpiegów, lecz tym się nie przejmowała. Jej wolność i bezpieczeństwo nie miały już znaczenia.

Szła szybkim krokiem w stronę bram pałacu, ale zatrzymała się na chwilę na marmurowym dziedzińcu. Tam, przy sadzawce, w której pływały kolorowe kwiaty, siedziała śliczna dziewczynka i moczyła rączki w wodzie. Isabelle domyśliła się od razu, iż jest to Natalie, czteroletnia córka Jean-Luca, przyrodnia siostra Alaina. Isabelle załapała falę ciepłych uczuć, znacznie cieplejszych niż te, którymi darzyła Alaina. Dziewczynka była bowiem córką, a nie synem Jean-Luca, księżniczką, a w dodatku uśmiechała się do ciotki uroczym, niewinnym uśmiechem.

Jaki los czeka te dzieci skazane na wpływy Jean-Luca? - myślała Isabelle, opuszczając pałac. Będzie to z pewnością życie splamione zdradą i strachem, wyzute całkowicie z miłości i szczęścia. Po raz pierwszy od czasu rozstania z własnym dzieckiem Isabelle poczuła, że ogarnia ją błogi spokój. Jej córeczka była bezpieczna, otoczona opieką, troską i miłością.

Bądź szczęśliwa, moja najdroższa - szepnęła do maleństwa pozostawionego w dalekim Kansas.

Kansas... dom małej Dorothy z książeczki dla dzieci, marzącej o zaczarowanych miejscach gdzieś ponad tęczę. Isabelle była ciekawa, czy jej córka będzie też snuła takie marzenia. Ona, podobnie jak Dorothy z bajki, sama wyobrażała sobie często różne niezwykle miejsca, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby zostać księżniczką zaczarowanego L'ile des Arcs-en-ciel... Wyspy Tęcz.

2

Manhattan
kwiecień 1989

Zwabieni eleganckim zaproszeniem o złożonych rogach nowojorscy ludzie kultury i inne znakomitości zebrali się w sali balowej hotelu Plaza z okazji dorocznej uroczystości rozdania nagród Akademii.

Uroczystość odbywała się zawsze w sobotni wieczór, po rozdaniu Oscarów w Hollywood i stanowiła odpowiedź

Manhattanu na przyjęcie w Spago wydawane przez superagenta Swifty Lazara. Listy gości zapraszanych na oba przyjęcia niewiele się zresztą od siebie różniły - znajdowały się na nich nazwiska tych najbogatszych, najślawniejszych i najbardziej wpływowych - lecz już same rozmiary sali balowej pozwalały na większy przepych. W tym roku *piece de resistance* stanowiła czterometrowa rzeźba wyobrażająca słynnego Oscara. Błyszczący posąg wznosił się nad sadzawką markowego, musującego szampana, a jego lodową powierzchnię złociły refleksy kosztownego trunku.

Alexandra Taylor przeciskała się powoli przez wystrojony, wyperfumowany, ozdobiony biżuterią tłum. Dziękowała tym, którzy składali jej gratulacje i odpowiadała uśmiechem na toasty wznoszone szampanem. Wielu admiratorów jej talentu odnosiło wrażenie, że Alexandra przyjmuje swój zadziwiający triumf niezwykle spokojnie, z istic królewską godnością, doskonale pasującą do roli Elżbiety I w filmie Lawrence'a Carlyle'a *Jej Wysokość*, zachwycającym portrecie słynnej monarchini. Roli, za którą zdobyła Oscara.

Pozorny spokój Alexy potwierdzał tylko jej nadzwyczajny talent. Pod niewzruszoną fasadą serce aktorki nadal biło z radości jak szalone, mimo że werdykt ogłoszono przed sześcioma dniami. A choć od kiedy zacisnęła palce wokół cennej statuetki, musiała się pogodzić z brakiem prywatnego życia, ta radość miała czysto prywatny charakter. Zauważywszy zalany księżycową poświatą ustronny taras, postanowiła sobie to powetować. Zbliżała się północ, pora powrotu do domu, lecz przed wyruszeniem w pełną uśmiechów podróż przez morze bogatych i sławnych Alexa potrzebowała choć paru chwil samotności.

Sądziła, że na tarasie będzie zupełnie sama, ale się zawiodła. Uczucie zawodu rozwiało się na widok eleganckiej sylwetki w smokingu, o kruczoczarnych włosach połyskujących w świetle księżyca.

- Bond - mruknęła, podchodząc do mężczyzny. - James Bond.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...?

- Och, to ja przepraszam - wykrzyknęła, gdy zwrócił ku niej twarz. - Myślałam, że to Timothy.

- Timothy?

- Timothy Dalton - uściśliła Alexandra i w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, że jej słowa nie wyjaśniły niczego tym ciemnym, uwodzicielskim oczom. Kimkolwiek bowiem był ów mężczyzna, wprawdzie nie Timothy Dalton, lecz - gdyby kryterium wyboru miała tu stanowić elegancka zmysłowość - niewątpliwie równie doskonały kandydat do roli Bonda z pewnością przebywał na co dzień poza granicami świata show-biznesu, skoro nie znał ani nazwiska Daltona, ani jego roli superszpiega. - Nie jest pan Timothyem Daltonem.

- Nie. Nazywam się James Sterling.

- Ach tak... Bardzo mi miło - wykrztusiła Alexa.

Słyszała o Jamesie Sterlingu. Któż zresztą o nim nie słyszał? Niezwykle utalentowany prawnik stał się już w tym mieście legendą i widmem zarazem. Widmem, gdyż mimo dotacji na cele dobroczynne i sztukę bardzo rzadko zjawiał się na galach. Legendą, gdyż - choć zaledwie trzydziestoczteroletni - ujawnił takie talenty negocjacyjne, że o pomoc w przeprowadzaniu miliardowych fuzji, zakupów i kontraktów na rynku prosili go najbogatsi przemysłowcy na świecie.

Tak więc możni tego świata wybierali Sterlinga na swego reprezentanta, choć prawda była taka, że to on wybierał sobie klientów. Od urodzenia James Sterling posiadał tak ogromny majątek, że w zasadzie mógł w ogóle nie pracować. On jednak postanowił zostać prawnikiem i negocjatorem, a teraz z wielu propozycji przyjmował tylko te, które wydawały mu się największym wyzwaniem lub intrygowały go.

W żyłach Jamesa Sterlinga płynęła błękitna krew i jak twierdzili jego zwolennicy, była to krew zimna jak lód. Właśnie ów niczym niezachwiany spokój gwarantował mu palmę pierwszeństwa na arenie zawodowej. Według antagonistów Sterlinga ten sam chłód uniemożliwiał mu długotrwały związek z jakąkolwiek, nawet najwspanialszą

kobietą, których w jego życiu było wiele.

Fatalna reputacja Sterlinga nie wywarła zbyt wielkiego wrażenia na Aleksie. Nad tym mężczyzną też potrafiła zapanować. Mężczyzną istotnie bardzo seksownym i przystojnym, co zauważyła natychmiast, napotkawszy spojrzenie uwodzicielskich niebieskich oczu. W tej samej chwili poczuła cudowny przyływ gorąca, podobny do lekko laskocącego, zniewalającego ciepła po zbyt szybko przelkniętym szampanie. Na spojrzenie Sterlinga odpowiedziała jednak dość oficjalnym uśmiechem. A potem, ponieważ Sterling oczekiwał najwyraźniej dalszego ciągu rozmowy o jego nazwisku, zmarszczyła lekko brwi, jakby sobie nagle coś przypomniała.

- James Sterling, ten prawnik? - spytała.

- Tak - odparł. - A kim pani jest? - spytał po chwili milczenia.

Alexa, zawstydzona własną zarozumiałością, zarumieniła się aż po korzonki włosów. Założyła z góry, że Sterling wie, z kim ma do czynienia. Była w gruncie rzeczy gościem honorowym gali. Czy naprawdę jej nie poznawał? Czy też tylko udawał niepewność, bawił się z nią w kotka i myszkę, podobnie jak ona z nim?

- Nazywam się Alexandra Taylor.

- Ach tak. Bardzo mi miło - mruknął cicho James. On również, podobnie jak wcześniej Alexa, wydawał się zdziwiony. - Alexandra Taylor, aktorka?

- Tak, Alexa.

- A więc, Alexo, to właśnie dla ciebie tu dzisiaj przyszedłem. Chciałem ci powiedzieć, jak cudownie grałaś w *Jej Wysokości*.

- Dziękuję - odparła spokojnie, choć w głowie jej wirowało. James Sterling, wiodący tak fascynujące życie na co dzień, że nie musiał się ekscytować nadzwyczajnymi przyjęciami - pojawił się tutaj, by ją poznać? Odkrycie ją zadziwiło i zaintrygowało... Lecz nagle wypatrzyła w spojrzeniu Sterlinga coś więcej niż zdziwienie. Cóż to mogło być? Alexa podejrzewała, że to, czego obawiała się najbardziej - rozczarowanie.

- Pewnie się spodziewałaś kogoś w bardziej elżbietańskim stylu? - podpowiedziała.

- Chyba tak - przyznał.

Od deszczowego dnia w Hongkongu, kiedy to obejrzał *Jej Wysokość* minęły zaledwie cztery dni, lecz przez ten czas zdążył stworzyć sobie własny obraz niezwyklej aktorki.

Musiała być Angielką i - choć odtwarzała rolę królowej zarówno w wieku lat siedemnastu, jak siedemdziesięciu - miała tak naprawdę mniej więcej tyle samo lat, co on, James. Tę wielką, renomowaną gwiazdę londyńskich teatrów do pojawienia się na srebrnym ekranie musiał namówić utalentowany reżyser, Lawrence Carlyle. Alexandra Taylor obdarzona była na pewno wysublimowaną urodą i - podobnie jak Elżbieta I - bogatą osobowością. Jej niezwykle zielone oczy, które często zasnuwała zaduma, odwracały się niechętnie od blichtru towarzyszącego przyjęciom, a rudozłote włosy, którym nie dawali zwykle spokoju styliści z planu filmowego, pozostawione wreszcie samym sobie, przypominały zapewne splątana grzywę. Być może wijące się pasma w ostatniej chwili ujarzmiano spinkami, konieczne ustępstwo na rzecz mody. Ustępstwo robione przez rozsądną kobietę, która na co dzień nie zajmowała się przecież takimi błahostkami.

James był tak pewien wykreowanego przez siebie wizerunku, że gdy szukał Alexandry w zatłoczonej sali, nie poprosił nikogo, żeby mu ją wskazał. Nie przyszło mu to nawet do głowy. Dostrzegł, rzecz jasna, tę przepiękną złotowłosą kobietę o szmaragdowych oczach i zastanawiał się nawet, kim ona jest i czy ma ochotę ją poznać, ale...

Teraz jednak ta niezwykle kobieta była tutaj i twierdziła w dodatku, że nazywa się Alexandra Taylor. Czy to naprawdę ona stworzyła tak przekonujący i wszechstronny portret wyjątkowej monarchini, że po wyjściu z kina James myślał wyłącznie o niej, o Elżbiecie? Co więcej, żałował, iż nie miał okazji jej poznać!

Tak, to ona, pomyślał, widząc charakterystyczny błysk niepewności w jej cudownych oczach. Błysk świadczący o skomplikowanym charakterze aktorki.

- W dzień po rozdaniu nagród zapytano mnie przez telefon, czy na dzisiejszej gali wystąpię w kostiumie z epoki i w peruce - szepnęła, wzruszając lekko ramionami. Zabrzmiało to tak, jakby chciała przeprosić człowieka, który przyszedł na przyjęcie wyłącznie po to, by poznać Elżbietę, a zamiast niej znalazł Alexę.

- Ale odmówiłaś?

- Wydawało mi się, że to już byłaby przesada.

- Dlatego, że są tu aktorki nominowane do Oscara, które go nie zdobyły? - spytał James, w nadziei, że zgaduje trafnie.

- W pewnym sensie jestem oszustką.

- Rozumiem. Pewnie do tej pory niewiele grałaś? - spytał prowokująco.

Niemal całe życie. Nigdy jednak nie myślała o swoim aktorstwie w kategoriach talentu; postrzegając je wyłącznie jako receptę na życie.

- Od ośmiu lat jestem zawodową aktorką. Pracowałam głównie dla telewizji, choć występowałam również w teatrze. *Jej Wysokość* to mój pierwszy film fabularny.

- Niezły debiut.

- Świetnie napisana rola.

James wiedział jednak, że nie była to zasługa roli. Niewiele aktorek, nawet bardzo utalentowanych, potrafiłoby odtworzyć tę postać tak genialnie jak Alexa. Oglądając film, nie odczuwało się wcale, że cokolwiek odbywa się tu na niby. Na tym właśnie polegała magia. Różnica między wybitną królową i wybitną aktorką, która powołała ją do życia, zatarła się całkowicie. Elżbieta Alexy była bardzo osobista. Tak jakby Elżbieta stanowiła drugie albo też wymarzone wcielenie Alexy.

- Proszę mi powiedzieć coś o Elżbiecie - ponaglił cicho James. I o Aleksie, dodał w myślach.

- Elżbieta to postać naprawdę wybitna i wyjątkowa. Zdałam sobie sprawę z tego, jak powierzchowna była moja o niej wiedza, gdy zaczęłam przygotowywać się do roli. W szkole podstawowej nauczono mnie tylko, że sir Francis Drake rozłożył przed Elżbietą pelerynę, by nie weszła w kałużę. Pamiętam to doskonale, bo chłopcy z mojej klasy popisywali się później podobną galanterią.

- Co zaowocowało pewnie całym mnóstwem ubłoconych płaszczy przeciwdeszczowych.

- Owszem. A potem, w szkole średniej, sprawa Królowej Dziewicy sprowokowała niezwykłą, może trochę pozamerytoryczną dyskusję.

- Sprawy tej nie rozwiązuje również film - zauważył James. Alexa ukazała królową jako namiętą, wrażliwą, intrygującą kobietę, lecz scenariusz nie rozstrzygał problemu możliwego dziewictwa królowej. - A co wywnioskowałaś z lektur?

- Elżbieta pozostawała niewątpliwie w bardzo intymnych związkach z mężczyznami. Problem, czy owe związki miały charakter seksualny czy nie, to banalizowanie zagadnienia, bo ta intymność była znacznie głębsza aniżeli seks. Jestem pewna, że mężczyźni darzyli ją miłością za to, kim była: za jej serce i duszę.

- I to się naprawdę liczy? Być kochanym za to, kim się jest?

- Tak mi się wydaje - przyznała cicho Alexa. Zdawała sobie sprawę z prywatnego charakteru tego wyznania i zastanawiała się, dlaczego się na nie zdobyła. - Ale chyba rozmawialiśmy o Elżbiecie.

- Owszem, ale teraz zaczęliśmy mówić o tobie. I udało się nam ustalić, że uważasz związki seksualne, a

przynajmniej niektóre z nich, za banalne.

- To prawda - odparła, śmiejąc się cicho. - Tyle, jeśli chodzi o mnie - dodała stanowczo. - Może teraz przejdziemy do ciebie. Ciekawa jestem...

- Czego?

- No cóż - mruknęła, szukając w myślach jakiegoś prowokującego pytania. Nagle uświadomiła sobie, że rzeczywiście może od niego uzyskać potrzebne informacje. Sprawa była poważna i pilna, lecz Alexa nie zmieniła tonu. - Poszukuję doradcy prawnego. Może mógłbyś mi kogoś polecić?

- Oczywiście. Musiałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie.

- Dobrze. Naprawdę mnie nie poznałeś?

- Naprawdę.

- W takim razie nie znasz *Pennsylvania Avenue*. Chodzi mi o tytuł serialu, nie o adres.

James uśmiechnął się lekko. Wielokrotnie zdarzało mu się jadać pod tym adresem. A serial?

- Słyszałem o tym serialu, ale nie oglądałem ani jednego odcinka. Co oczywiście o niczym świadczy - dodał szybko.

- Po prostu rzadko oglądam telewizję. Nigdy jej nie lubiłem. Słyszałem jednak, że to bardzo znany film. Ty zapewne grasz w nim główną rolę?

- Obsada jest zdecydowanie zbiorowa, ale Stephanie Winslow, w który się wcielam, to postać rzeczywiście ważna. Stephanie jest reporterką, seksowną, mądrą i całkowicie oddaną pracy. Dziwnym zbiegiem okoliczności wplątuje się przy tym w niemal wszystkie wątki scenariusza.

Co znaczy, że grasz w tym główną rolę, pomyślał Sterling. Nie uszło jego uwagi, że podobnie jak w przypadku roli Elżbiety, Alexa pomniejszała swoje zasługi, rozwodząc się nad świetnym scenariuszem. A o Stephanie mówiła z podobnym podziwem jak o Elżbiecie, lecz jednocześnie tak, jakby obie nie miały z nią nic wspólnego.

- Dlaczego potrzebujesz adwokata?

- Bo to czas kontraktów, a ja tkwię między dwoma agentami.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego tkwisz między agentami?

- A dlaczego ty zadajesz te wszystkie pytania? James Sterling, o którym słyszałam, pracuje dla wielkich korporacji. Czuję się przy tobie jak w sądzie. - Zmrużyła oczy. - Tak naprawdę jesteś chyba jakimś innym Jamesem Sterlingiem. Jamesem Sterlingiem adwokatem?

- Nie. Działam w salach konferencyjnych, nie sądowych. Ale wszyscy dobrzy prawnicy zadają kluczowe pytania.

- A teraz kluczową sprawą jest to, dlaczego tkwię między agencjami?

- Chyba tak. Ale najwyraźniej nie chcesz mi odpowiedzieć.

Alexa westchnęła zdumiona, że rozmowa znów przybrała tak osobisty charakter. Łypnęła więc na Sterlinga spod oka, a on odpowiedział na to łypnięcie cichym śmiechem, w którym kryło się tyle zdziwienia, że pokręciła tylko ze zdumieniem głową i powiedziała mu coś, czego nigdy nikomu innemu nie mówiła:

- Wydaje mi się, że kontrowersje pomiędzy mną i moim agentem wynikły z różnych poglądów na sprawy artystyczne. Kiedy Lawrence Carlyle zwrócił się do niego z pytaniem, czy mogłaby mnie zainteresować rola Elżbiety, nie wyraził zgody, nawet nie pytając mnie o zdanie. Oczywiście praca agenta polega na wyborze odpowiednich propozycji. On miał jednak za zadanie odrzucanie ról niewartych mnie, a nie takich, których, według niego, ja nie byłam warta.

- Przecież zaaszyłyś po tysiącokroć na tę rolę - przypomniał jej James. - Na szczęście twoje spotkanie z Carlyle'em

jakoś doszło do skutku.

- Tak. Pewnego dnia Lawrence przyszedł po prostu na plan *Pennsylvania Avenue*, żeby porozmawiać ze mną osobiście. Widział serial, bardzo popularny w Anglii, i doszedł do wniosku, że Stephanie to współczesna Elżbieta.

- Rozumiem - powiedział James, notując w pamięci, że Stephanie ponownie wyłączyła się z tego równania. - Tak więc, w czym nie widzę nic dziwnego, wasze drogi się rozeszły. Potrzebujesz kogoś nowego.

- Owszem. Ale dzięki sukcesowi w *Jej Wysokości* wszyscy agenci będą sobie życzyli, żebym więcej grała w filmach.

- A ty tego nie chcesz.

- Dopiero za dwa lata. Kolejne odcinki *Pennsylvania Avenue* powstają między lipcem a styczniem. Dotychczas wypełniłam wszystkie przerwy międzyprodukcyjne jakimś większym przedsięwzięciem. A w przyszłym roku obiecałam sobie solennie całe pięć miesięcy wakacji.

- Czym się obecnie zajmujesz?

- Gram w *Romeo i Julii* na Broadwayu. Planowałam wolną wiosnę, ale...

Ilekoć przypomnę sobie przyczyny takiego postanowienia, a mianowicie fakt, że muszę się oderwać od bohaterek, które podziwiam, aby dojść do ładu z samą sobą, a siebie nie podziwiam, zawsze znajduję jakiś sposób, aby nie dotrzymać obietnicy...

Alexa odpędziła upartą myśl wzruszeniem ramion.

- Dlatego właściwie nie szukam agenta. Na razie chcę podpisać kontrakt na *Pennsylvania Avenue*. To znaczy kontrakt już właściwie mam, ale trzeba wynegocjować nowe wynagrodzenie. Wiem dokładnie, czego chcę, ale wolałabym, żeby powiedział to za mnie ktoś inny. Cała sprawa sprowadzi się zapewne do jednego krótkiego telefonu do Los Angeles. Czy jest ktoś, kogo możesz mi polecić?

- Oczywiście. Siebie.

- Nie. Wiem dokładnie, czym się zajmujesz i jakim uznaniem się cieszysz. To sprawa stanowczo zbyt małej wagi.

- Naprawdę? Podobnie jak ciebie, Alexo, stać mnie na luksus wyboru propozycji. I przyjmuję tylko takie, które mnie interesują. A ta jest niewątpliwie ciekawa. Poza tym dziwnym zbiegiem okoliczności lecę jutro na dwa dni do Chicago, a potem aż do piątku będę w Los Angeles. Spotkania w Los Angeles są, niestety, rozłożone na kilka dni. Jeśli uda mi się wypełnić wolne chwile załatwianiem twoich spraw, nie będę miał poczucia zmarnowanego czasu.

- Przecież to tylko jeden telefon.

- Na pewno nie. Gdy przeczytam aktualny kontrakt i poznam twoje obecne oczekiwania, będę musiał się zorientować, czy mają one jakiegokolwiek uzasadnienie. - James dostrzegł w pięknych oczach Alexy wyraźne oznaki niepokoju. - Chciałaś, abym przedstawił jakieś nierozsądne roszczenia?

- Czy nie mogę po prostu ci powiedzieć, czego żądam, i poprosić o przeprowadzenie rozmowy?

- Oczywiście, że możesz, ale ja się wtedy tego nie podejmę. Mogę ci jednak obiecać, że odrobinę pracę domową i przygotuję dla ciebie korzystną umowę. I jeszcze jedno: nigdy nie rzucam słów na wiatr. Nie obiecuję niczego nie potrafię dotrzymać.

- Myślałam, że polecisz mi kogoś innego.

- Wiem. Ale, naprawdę w dobrej wierze, polecam ci siebie.

- Bo jesteś najlepszy w tym, co robisz?

- Podobnie jak ty.

- Och! Dziękuję. W takim razie, jeśli naprawdę...

- Naprawdę. No to do rzeczy. Może prześlesz mi przez posłańca egzemplarz kontraktu? W poniedziałek rano. Do

biura. Sekretarka mi go przefaksuje, a ja zadzwonię do ciebie wieczorem, gdy się z nim zapoznam.

- Dobrze.

Na samą myśl o trudnym, wypełnionym po brzegi pracą poniedziałkowym poranku Alexa zmarszczyła brwi. Lecz negocjacje w sprawie kontraktu były najważniejsze, więc i przesłanie dokumentu Jamesowi stało się sprawą niezwyklej wagi. Musiałaby zrezygnować z innych zobowiązań. Chyba że...

- Mieszkam przy Riverside Drive. Moja limuzyna czeka przed hotelem. Mogę pojechać do domu, zabrać kontrakt i wrócić tu za piętnaście minut. Jeśli oczywiście zechcesz poczekać...

- Oczywiście. Ale chętnie będę ci towarzyszył.

- Och, ja...

- Czy też naraziłbym się w ten sposób na ryzyko pojedynku z Earlem Leicesterem lub innym przeciwnikiem?

- Jeremy jest żonaty.

- I dlatego nie wchodzi w grę.

- Oczywiście.

- A inni?

- Przyszłam tu sama. Lecz na sali czeka zapewne na ciebie jakaś dama, która nie będzie zachwycona.

- Ja również przyszedłem tu sam - odparł James i dodał ciszej:

- Już ci przecież mówiłem, Alexandro Taylor, że uczestniczę w dzisiejszym przyjęciu wyłącznie ze względu na ciebie.

3

Mieszkanie Alexandry mieściło się przy Riverside Drive na drugim piętrze kamienicy z czerwonej z cegły. Budynek był stary, ale solidny, a mieszkanie odznaczało się szczególnie starannym wykończeniem, typowym dla nienagannego rzemiosła, którego tak często brakowało w nowszych domach. Szczególne wrażenie robiły łukowe sklepienia, rzeźbiona boazeria, uroczyste alkowy, a przede wszystkim przestronność luksusowego wnętrza. Idąc za Alexandrą z holu do salonu, James podziwiał w duchu tapety w kwiaty i delikatne pastelowe akcenty. Widział już wiele starannie zaprojektowanych wnętrz, łącznie z własnym domem na dachu przy Piątej Alei; tu jednak było zupełnie inaczej - domowo, wygodnie i schludnie.

W salonie jednak panował pachnący nieład - rezultat ostatnich sukcesów Alexandry - było tu bowiem mnóstwo róż na długich łodygach. Kwiaty poukładano artystycznie w licznych wazonach. Niektóre, kryształowe, eleganckie były z pewnością od Lalique'a, a te zdobione delikatnymi kwiatami z Limoge; ale było też wiele wyrobów garncarskich. James domyślił się od razu, że ten sam artysta stworzył piękne, ręcznie malowane lampy, które zdobiły pokój.

- Bardzo tu ładnie i swojsko. Czy to twój projekt?

- Tak. Dziękuję. Naprawdę czuję się tutaj jak u siebie w domu.

- Czyli gdzie?

- Na farmie pod Topeką. Mój ojciec jest nauczycielem muzyki. - Alexa dotknęła delikatnie ręcznie malowanego wazonu. - A matka zajmuje się ceramiką.

- Zdolna rodzina.

- Dziękuję - mruknęła.

A nie słyszałaś o najbardziej utalentowanym przedstawicielu klanu Taylorów, pomyślała. Wraz z tą myślą nadeszły wspomnienia. Słodko-gorzkie, denerwujące. Po chwili otrząsnęła się z zadumy, przeniosła wzrok na Jamesa i znów się

zaniepokoiła. Sterling stał bowiem tuż przy niej - nieprawdopodobnie przystojny i zmysłowy - a znajdowali się w mieszkaniu pachnącym różami. Gdy patrzył na nią uwodzicielsko ciemnymi oczyma, załatają fala miłego ciepła, a zarazem dreszcz niepewności. Nie kłamała, mówiąc Jamesowi, że szuka prawnika. Sprawa była dla niej naprawdę istotna i ważna. On mógł jednak posądzić ją o podstęp, pretekst, by zwabić go do mieszkania.

W Jamesie również wzbierała niepokój: Alexandra była stanowczo zbyt piękna i kusząca. Tutaj wydawała mu się nawet bardziej pociągająca niż w świetle księżyca. W tym uroczym miejscu, gdzie z taką dumą eksponowano urodę domowych arcydzieł, James dostrzegł jeszcze wyraźniej wdzięk tej kobiety o szmaragdowych oczach i złotych włosach.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że ich przypadkowe spotkanie na tarasie zalanym księżycowym światłem mogło się tak czy owak zakończyć w apartamencie Alexy. Mogli tańczyć na tarasie, dowiadując się o sobie czegoś więcej, potwierdzając bez pośpiechu, że od samego początku coś iskrzy między nimi. Mogli tańczyć, uśmiechać się i sączyć szampana, a potem te szmaragdowe oczy przywiodłyby go aż tutaj. Lecz choć oboje umieli przewidywać, znaleźli się tutaj z innych powodów. James jednak wiedział coś, z czego Alexa, patrząca na niego teraz tak niepewnie, najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. Wiedział, że w chwili, gdy zgodził się ją reprezentować, wszystko uległo zmianie. Alexa została bowiem jego klientką i wobec tego fakty kontakty między nimi mogły być wyłącznie zawodowe. James traktował swoje zobowiązania niezwykle poważnie, przestrzegał również - podobnie jak Alexa - zasad etyki zawodowej. Mówił jej o tym teraz ciemnoniebieskimi oczyma. Mówił, że jego fascynacja nie minęła wcale wraz z blaskiem księżyca, na razie jednak powinien się skupić na kontrakcie. Później z przyjemnością znowu przyjmie zaproszenie do tego uroczego domu.

Ciemne oczy Jamesa wysyłały te informacje z taką wyrazistością, że szmaragdowe pojęły je natychmiast i - najwidoczniej zadowolone z komplementu - natychmiast odczuły ulgę. One również wysłały Jamesowi jasną wiadomość, radosną obietnicę, że tak, jeśli tego zechce, otrzyma zaproszenie.

- Kontrakt? - spytał w końcu ze śmiechem.
- Kontrakt - powtórzyła jak echo. - Jest w drugim pokoju.
- Mogę ci towarzyszyć?
- Oczywiście - odparła Alexa z uśmiechem.

Poprowadziła Jamesa do jednej z dwóch dużych sypialni. Dwa pokoje mieszczące się na przeciwległych końcach apartamentu wyglądały jak lustrzane odbicia, choć na razie tylko pokój Alexy przypominał sypialnię. Drugi, do którego zaprowadziła teraz Jamesa, pełnił chyba niegdyś funkcję studia tanecznego.

- Jak się zapewne domyślasz, poprzednią właścicielką mieszkania była baletnica - wyjaśniła Alexa. - Dla mnie to kombinacja sali gimnastycznej, studia i składziku.

- Lecz chyba zamierzasz go przerobić - James patrzył na rolki tapety, puszki z farbą i szmaty walające się na parkiecie.

- Tak. Lustra i poprzeczka wyjeżdżają w poniedziałek. Po wygładzeniu ścian i wmontowaniu szafy urządzą tu sypialnię. Moja siostra Cat przyjedzie w czerwcu do Nowego Jorku. Jak widzisz, trzymam się pewnego określonego stylu, choć dla Cat wybrałam bez, nie róże. - Alexa popatrzyła na piękną tapetę, a w jej oczach znowu błysnęła niepewność. Chciała, by ten pokój przypominał bukiet - świeży, pogodny, romantyczny - i całymi godzinami dobierała kwiecistą tapetę, pasujące do niej meble w zielonym odcieniu, odpowiedni materiał na kapę i zasłony. Lecz i tak wciąż się martwiła.

- Mam nadzieję, że jej się to spodoba.
- Dlaczego miałyby się nie spodobać?
- Nie wiem - odparła, wzruszając lekko ramionami. Tak naprawdę zależało jej nie tyle na tym, by Cat polubiła swoją

nową sypialnię; chodziło o coś znacznie ważniejszego. O to, czy Cat polubi ją samą. Alexę.

James zauważył, że piękne oczy zasnuwa zaduma, a potem na jedną krótką chwilę ogromny smutek. Alexa wprawdzie natychmiast odzyskała humor, ale odniósł wrażenie, że z jej młodszą siostrą łączy się jakaś tajemnica. I choć teraz znaleźli się tym pokoju, by znaleźć kontrakt, a wieczór miał być poświęcony sprawom zawodowym, nie mógł się powstrzymać od kilku osobistych pytań.

- Ona ma na imię Cat?

- Tak, to skrót od Catherine. Cat jest utalentowaną pianistką. Wprawdzie dopiero kończy dwadzieścia jeden lat, ale już wygrała dwa znane konkursy: Van Cliburna i Czajkowskiego. Mogła zacząć karierę koncertową dużo wcześniej, lecz postanowiła najpierw skończyć college. Teraz studiuje na pierwszym roku w Oberlin, choć zdała już tyle egzaminów, że mogłaby z powodzeniem otrzymać dyplom w grudniu. Oczywiście pod warunkiem, że poświęci lato i jesień na naukę.

- Tak więc przyjeżdża do Nowego Jorku na studia?

- Tak, do Juilliarda. Oni oczywiście bardzo chętnie ją przyjmą, choćby na dwa semestry. Cat musi być w Nowym Jorku, bo jej promotor życzy sobie, aby jej pierwsza płyta ukazała się przed rozpoczęciem tournée w sylwestra, w Operze w San Francisco. Potem Cat przejedzie przez całą Amerykę Północną i w końcu trafi do Europy.

- Więc Catherine będzie uczęszczała do college'u, uczyła się nowych utworów i nagrywała? To chyba trochę za dużo!

- Nie dla Cat. Ona na pewno sobie z tym poradzi.

- Jeśli jest choć trochę podobna do swojej starszej siostry, to nie wątpię.

- Podobna do mnie?

- Twoja kariera nie jest dziełem przypadku. Widocznie obie siostry Taylor mają talent i zapał do pracy. - James uważał tę uwagę za całkowicie oczywistą, lecz Alexa była chyba zaskoczona. Dlaczego? Przecież właśnie przyznała, że obiecuje sobie bezskutecznie trochę wolnego czasu. Brak urlopu świadczył o pracowitości. Więc wątpiła we własny talent? Nie! Niemożliwe!

- Pewnie masz rację. Tylko że ja nigdy nie myślę o sobie ani o Cat w takich kategoriach. - Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami. - Dobrze, wezmę kontrakt i pójdziemy do kuchni. Tam jest stół, papier, ołówki, w razie gdybyś ich potrzebował, i dobre oświetlenie. Mogę też przygotować kawę. A może wolisz drinka?

- Wystarczy kawa.

Muszę przeczytać kontrakt, pomyślał. Dziś posiedzimy w kuchni, popijając kawę i rozmawiając o twoim kontrakcie. Następnym razem zostaniemy w salonie, wypijemy szampana i może - ot tak po prostu - wyjaśnisz mi wtedy, dlaczego za każdym razem, gdy napomykasz o pięknej utalentowanej siostrze, w twych szmaragdowych oczach pojawia się taka niepewność.

Alexa patrzyła na Jamesa czytającego kontrakt. Nie odrywał inteligentnych niebieskich oczu od kartki, a jego arystokratyczna, teraz obojętna twarz, nie wyrażała absolutnie żadnych uczuć. Mistrz negocjacji pracował, a Alexa, przyglądając mu się bezwstydnie, zaczęła rozumieć przyczyny niezwykłych sukcesów Sterlinga. Dwie wydawały się absolutnie oczywiste: inteligencja połączona z perfekcjonizmem i o wiele trudniej dostrzegalna jego zdumiewająca zmysłowość. Wyobrażała sobie Jamesa przy stole negocjacyjnym, rozbrajającego oponentów czarującą elegancją, niewzruszonym spokojem i przenikliwym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu, które potrafiły z jednej strony bardzo łatwo domyślić się prawdy, a z drugiej nie zdradzić niczego, co się czaiło na ich dnie. Kobiety - o ile Sterling negocjował kiedykolwiek z kobietami - rozpraszał z pewnością swoim sexappealem, w mężczyznach budził zazdrość i podziw.

- Dobrze - powiedział, dokończywszy uważnej lektury kontraktu. - Prześledźmy uważnie punkt po punkcie. A ty mi wskażesz, na czym powinienem się skupić.

- Właściwie chodziło mi głównie o wynagrodzenie; zakładając oczywiście, że nie zechcą sami zmieniać poprzedniego.

- Co z tantiemami za powtórki i emisje poza granicami Stanów?

- Sądzę, że kontrakt zawiera standardowe propozycje.

James skinął głową, lecz po chwili, tak jakby pojęcie „standardowy” nie odpowiadało wymaganiom mistrza negocjacji, zapisał ołówkiem znaki zapytania przy wątpliwych paragrafach.

- Dobrze. Jakie honorarium miałaś na myśli?

- Milion. - Alexa już od dłuższej chwili przygotowywała się psychicznie na to, że powie to na głos. Kwota podwojona w stosunku do tego, co jej proponowano w ubiegłym sezonie. Zastanawiała się również, jak uzasadnić swoje żądania i przekonać samą siebie o ich słuszności. Gaża wydawała się bowiem ogromna. Ogromna, ale zasłużona.

Jeśli James miał nawet jakieś obiekcje, to ich w żaden sposób nie wyraził. W ogóle nie zareagował. Nad pięciuset tysiącami postawił po prostu jedynekę, bez zer i innych ozdobników.

Zwyczajna jedynka, nic więcej, pomyślała niespokojnie Alexa. Prawdopodobnie najbardziej błaha kwota, jaką miał kiedykolwiek okazję negocjować. Po prostu milion. Milion, czyli zapewne znacznie mniej niż jego honorarium za ważne kontrakty.

- Potrafisz może porównać to wynagrodzenie z gażami innych gwiazd pierwszej wielkości?

- Znam tylko plotki.

- Będę musiał wszystko sprawdzić. Czy mogłabyś mi podać jakieś nazwiska?

- Oczywiście. Powiedzmy... Joan van Ark, Susan Dey, Dana Delany i... - Alexa wymieniła nazwiska wielu aktorek oraz tytuły seriali, w których występowały.

- Co z mężczyznami? - spytał James, zapisawszy personalia głównych bohaterek pozytywnych i diabolic z *Dallas*, *Policjantów z Los Angeles* i *China Beach*. Czy sądzisz, że te wartości można porównać?

- Tak. A ty?

- Oczywiście. Nie wiem jednak, co na ten temat sądzi Hollywood.

- Nie mam pojęcia - odparła szczerze.

- Ustalę to w pierwszej kolejności. Wymień jeszcze paru kolegów po fachu.

- Dobrze. Jest więc Larry Hagman z *Dallas* i...

James zapisał nazwiska w notesie. Zapisał w nim również nazwisko i telefon kierownika produkcji z Hollywood, upoważnionego do prowadzenia negocjacji, a także numery telefonów, pod którymi mógł zastać Alexę w obu mieszkaniach i w teatrze, gdzie występowała w *Romeo i Julii*.

- Zatelefonuję do ciebie za dzień lub dwa, kiedy zdobędę informacje niezbędne do określenia wymagań płacowych.

- Sądzisz, że dowiesz się czegoś o innych wynagrodzeniach?

- Tak. - James nie miał żadnego doświadczenia w negocjowaniu indywidualnych kontraktów w Hollywood, lecz prowadził interesy z wieloma zarządcami czołowych firm w kraju. Nie wątpił, że zdobędzie potrzebne informacje.

- To jest oczywiście ważne, lecz za tak samo istotny problem uważam oszacowanie twej wartości dla twórców serialu, czyli uzależnienie wysokości twego honorarium od wpływów *Pennsylvania Avenue* z telewizji.

- Jak zamierzasz tego dokonać?

- Poprzez rozmowy, informacje i zdobycie konkretnych danych na temat dochodów z reklam uzyskiwanych dzięki

serialowi.

- To dużo pracy, prawda?

- Chyba nie. Zatelefonuję, kiedy już zgromadzę dane, i połączę się z kierownikiem produkcji. Do tego czasu powinnaś sobie ustalić punkt krytyczny.

- Punkt krytyczny?

- Taki, przy którym wycofujemy się z umowy. - James spostrzegł nagle zmieszanie Alexy. - Honorarium zmuszające cię do odejścia. Stanowczo zbyt niskie.

- Coś takiego nie istnieje. Nigdy nie odejdę. Grałabym Stephanie nawet za darmo - dodała cicho. - Nie. Zapłaciłabym za przywilej odtwarzania tej postaci.

- Znasz podstawową zasadę udanych negocjacji? - spytał ze śmiechem. - Twój partner musi być przekonany, że kompletnie ci na niczym nie zależy.

- Ale mnie zależy - zaprotestowała Alexandra.

Wcześniej obsadziła Sterlinga w roli Jamesa Bonda. Teraz, gdy się uśmiechał tym niesamowitym uśmiechem i mówił, że nie może jej na niczym zależeć, wyobraziła go sobie natychmiast w roli Rhetta odchodzącego od Scarlett: „Szczerze mówiąc kochanie, nic mnie to nie obchodzi”. Tak właśnie Rhett skwitował miłosne wyznanie swojej żony.

Czy naprawdę chciała, by ten zimny, obojętny mężczyzna, negocjował dla niej warunki kontraktu?

- No dobrze. W takim razie nie będzie punktu krytycznego. Obiecuję. A już chyba ci mówiłem, że nie obiecuję niczego, czego bym nie mógł dotrzymać. Może jednak wolałabyś, żebym nie podejmował się tej sprawy? Spędziłaś tyle czasu w Waszyngtonie, że chyba potrafisz się wykręcić z niezręcznej sytuacji.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. Jeśli nie chcesz, żebym cię reprezentował, po prostu powiedz nie.

Zapadła cisza. James zdał sobie sprawę, że pragnie dwóch rzeczy jednocześnie. Powiedz nie, Alexo, myślał, a podam ci nazwisko innego dobrego prawnika, zrezygnujemy z kawy na korzyść szampana, będziemy tańczyć wśród róż i dowiemy się o sobie czegoś więcej. To było pierwsze pragnienie, zdecydowanie egoistyczne. Drugie wydawało się jeszcze bardziej samolubne. Powiedz, tak, Alexo. Powierz mi sprawę, która jest dla ciebie tak ważna. A potem, kiedy już nie będziesz moją klientką, zaczniemy...

- Chciałabym, żebyś mnie reprezentował. Kiedy już zbierzesz dane, nie musisz ze mną niczego konsultować. Zgódź się na wynagrodzenie, które sam uznasz za wystarczające.

- Jesteś pewna?

- Tak. Chyba powinniśmy podpisać jakąś umowę. Większość agentów pobiera piętnaście procent prowizji.

- Agenci wymagają prowizji, gdyż biorą czynny udział w kształtowaniu twojej kariery. A to, czego ode mnie oczekujesz, to po prostu zwykłe negocjacje kontraktu. Wyślę ci rachunek za poświęcony czas.

- Uczciwą sumę.

- Oczywiście - obiecał James, podnosząc się z miejsca. - Ale teraz lepiej już pójdę. Zadzwoń do ciebie.

Wyszedł, a Alexa zaczęła przechadzać się niespokojnie wśród róż w salonie. Dlaczego nie zapomniała o kontrakcie i nie pozwoliła się uwieść?

Wolałaby przecież tysiąc razy, by James negocjował z nią pójście do łóżka. Byłaby to czysta, w dodatku absolutnie bezpieczna przyjemność. W łóżku, ze strony tego mężczyzny, który z równie lodowatą łatwością podpisywał kontrakty co łamał serca, absolutnie nic jej nie groziło. James Sterling nie mógł złamać jej serca, bo nie zamierzała mu tego serca

ofiarować.

Nigdy zresztą nie narażała swego serca na niebezpieczeństwo, a jednak pozwoliła Jamesowi odejść w mrok z czymś, co stanowiło dla niej ogromną wartość - możliwością grania roli Stephanie Winslow, którą podziwiała. Jak mogła powierzyć tę jakże istotną część siebie mężczyźnie nie dbającemu o wynik negocjacji? Multimiliarderzy oddawali w ręce Sterlinga firmy warte miliardy dolarów, lecz być może dla nich była to tylko ekscytująca gra hazardowa o bardzo wysokie stawki.

Alexa traktowała swoją sprawę zupełnie inaczej.

Miała również nadzieję, że James nie potraktuje jej kontraktu jak gry.

Powinna była zostać w tym pachnącym różami pokoju albo pójść do własnej sypialni, aby dotknąć statuetki potwierdzającej jej sukces i wartość. Zamiast tego kierowana głębokim instynktem samozniszczenia, nad którym nie panowała, weszła do sypialni przeznaczonej dla Cat. Marszcząc brwi na widok starannie dobranej tapety w kiście bzu, zdała sobie sprawę, że wątpliwości, jakie ją ogarnęły, ledwie powierzyła całą swoją karierę Jamesowi, są w zasadzie banalne w porównaniu z tymi, które nie dawały jej spokoju w związku z przyjazdem młodszej siostry.

Ten sam kwietniowy księżyc, który uśmiechał się do Alexy i Jamesa na ustronnym tarasie hotelu Plaza, oświetlał teraz łagodnie drogę przed Catherine. Szła przez kampus college'u Oberlin, gdzie mieszkała, do sal ćwiczeniowych w konserwatorium w Robertson Hall. Poświata złocistego księżyca była piękna, lecz całkiem niepotrzebna. Cat odnalazłaby tę drogę nawet i w bezksiężycową noc, lecz również nie miałyby problemów, gdyby nigdy nią nie szła - nawet w kompletnych ciemnościach intuicja skierowałaby ją bezbłędnie tam, gdzie znajdował się fortepian.

Zbliżała się północ. Milkły powoli odgłosy sobotniego przyjęcia, a w miarę jak grupki rozbijały się w pary, cichły też ochryple śmiechy i spotkania nabierało znacznie bardziej prywatnego charakteru. Pograżona w myślach Cat nie zwracała uwagi na otaczające ją dźwięki, choć docierały do niej stłumione szepty i westchnienia miłości; uśmiechała się pogodnie na myśl o szczęściu swych przyjaciół i zupełnie nie martwił ją fakt, że tę sobotnią noc spędzi całkiem sama. Była przecież dokładnie tam, gdzie chciała być, i szła uszczęśliwiona w stronę fortepianu, na którym zamierzała grać aż do świtu.

Catherine nie słyszała odgłosów przyjęcia ani nie czuła chłodu wiatru. Ogrzewało ją radosne oczekiwanie na grę i wspomnienie wspaniałego dnia. Pogoda była cudowna - rześka, słoneczna, wypełniona wszelkimi obietnicami wiosny. Cat przesiedziała całe popołudnie po turecku na trawniku na Tappan Square, czytając *Kuzynkę Bietkę* Balzaka. Książkę przeczytała po francusku, a potem, po zachodzie słońca, które zabrało ze sobą łagodne ciepło, wróciła do pokoju i - również po francusku - zapisała swe wrażenia z lektury na kolorowych fiszkach, które gromadziła do pracy semestralnej.

Wieczór spędziła z Balzakiem, a tuż przed północą rozpoczęła znajomy spacer do konserwatorium. Szła szybko, zwawo, lecz teraz, gdy zbliżała się do Wilder Hall, budynku zrzeszenia studentów, tempo jej marszu osłabło i pod wpływem nagłego impulsu Cat zawróciła ze ścieżki wiodącej do konserwatorium w stronę pawilonu, gdzie znajdowały się skrytki pocztowe. Dlaczego?, myślała, próbując zrozumieć ten dziwny, nagły impuls. Na pewno nie czekała na nią żadna poczta. Przed dwoma dniami znalazła w skrytce kopertę z Topeki, a choć długie, pogodne listy od rodziców nadchodziły często, przerwa byłaby tym razem za krótka.

Coś ją jednak zmusiło do tego, by udać się do pawilonu, i teraz, gdy zbliżając się do skrytki stwierdziła, że rzeczywiście coś w niej jest, serce zadrżało jej z radości na myśl o tej cudownej telepatii między nią a rodzicami. Zawsze istniało między nimi zdumiewające, nie wymagające słów porozumienie. Gdy jej smukłe delikatne palce wirtuoza wybierały kombinację szyfru otwierającego skrytkę, dojrzała przez okienko, że koperta jest bardzo cienka. Pewnie mama

przesyłała jej jakąś zapomnianą wiadomość o sąsiedzie, nowym ceramicznym dziele swych rąk lub muzyce ojca. Catherine niejednokrotnie robiła podobnie i gdy przypominała sobie o jakimś zapomnianym drobiazgu, wysyłała szybko do rodziców pocztówkę przedstawiającą Tappan Square jesienią, płonący kolorami spadających liści.

Koperta okazała się pocztówką. I w to nie z Topeki. Na jasnoniebieskiej kartce z tłoczonym białym łabędziem z hotelu Bel-Air w Los Angeles widniały słowa skreślone wykwintnym charakterem pisma Alexy. Cat - pisała jej starsza siostra - byłam tak uradowana i podniecona, że zapomniałam ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę z twojej przeprowadzki do Nowego Jorku. Jeszcze raz serdecznie ci dziękuję za wspaniałe róże. A.

Alexa nawiązywała do rozmowy z siostrą z rana po rozdaniu Oscarów. Zatelefonowała, by podziękować Catherine za bukiet cudownych róż, który czekał na nią już o świcie w hotelowym apartamencie, gdy wreszcie wróciła z przyjęcia. Zachwycała się cudownymi, jasnobrzoskwiniowymi różami, ich zapachem, delikatnością i pięknem. Powiedziała, że jest to jej ulubiony gatunek róż, a tymczasem Catherine powtarzała bez końca, jak bardzo cieszy się ze zwycięstwa Alexy. Pogawędka nie trwała długo i po tych wybuchach egzaltacji po obu stronach linii zapadła nagle cisza, a potem siostry pożegnały się szybko i trochę niezręcznie.

Alexa przypomniała sobie jednak coś bardzo ważnego i wysłała do siostry kartkę. Catherine miała jej również coś niezwykle istotnego do zakomunikowania, lecz nie starczyło jej odwagi, by to wyrazić, ani nawet napisać. Powinna była to jednak uczynić. Powinna powiedzieć Aleksie, ile razy oglądała *Jej Wysokość* i jak bardzo była z niej zawsze dumna. Powinna wyznać, że już się nie może doczekać przeprowadzki. Ale nie potrafiła się na to zdobyć - zawsze brakowało jej tej niezachwianej, tak charakterystycznej dla Alexy pewności siebie.

Włożywszy pocztówkę do kieszeni płaszcza, Catherine wyszła na chłodne, nocne powietrze. Teraz jednak było jej jeszcze cieplej, a w szafirowych oczach błyszczała radość. Zapomniałam ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę z twojego przyjazdu - napisała Alexa. Cat miała wielką nadzieję, że to prawda. Kochała i podziwiała swoją starszą siostrę i pragnęła być blisko niej. W cichości ducha liczyła na to, że przyjaźń, która zaczęła kiełkować między nimi w ciągu ostatnich ośmiu lat, zakorzeni się na dobre, rozkwitnie i będzie się wciąż rozwijać.

Pragnęła, by Alexa ją polubiła.

Bez ostrzeżenia ciepło rozlewające się po jej ciele zniknęło, a w jego miejsce pojawił się chłód. Przyczyną tej nagłej zmiany nie był wcale zimny wiatr. Dawały o sobie znać duchy przeszłości, przypominając, że choć najnowsze wspomnienia napawają nadzieją, to przez większość życia przyjaźń między siostrami nie istniała. Mieszkały kiedyś pod jednym dachem i Alexa miała szansę, by nawiązać bliski kontakt ze swoją młodszą siostrą.

I zupełnie się jej nie podobałam, wspominała Catherine. A co, jeśli nawet teraz, przy bliższym poznaniu Alexa nie będzie w stanie mnie polubić?

Cat zadrżała i ruszyła szybkim krokiem tam, gdzie tak bardzo pragnęła się znaleźć - ku fortepianowi. Z muzyką w krainie spokoju.

4

James zadzwonił do Alexy we wtorek wieczorem.

- Sieć zdecydowała się emitować *Pennsylvania Avenue* jeszcze przez dwa sezony - powiedział

- Dwa sezony? To niesamowite! - Alexa pracowała w tym biznesie wystarczająco długo, by poznać jego kapryśną naturę. Umowy były zawsze krótkoterminowe: sezon, część sezonu, a zerwanie kontraktów następowało zwykle bez ostrzeżenia.

- Ale stało się. Najwyraźniej sieć zdaje sobie sprawę, że po trzech sezonach rekordowej popularności *Pennsylvania Avenue* nie straci widzów. A efekt jest taki, że chcą podpisać z tobą kontrakt na dwa lata.

- A my powinniśmy się zgodzić?

- Nie my, tylko ty. Tak czy inaczej dostaniesz mnóstwo pieniędzy, więc problem tylko w tym, co zamierzasz zrobić z czasem i karierą. Wspominałaś coś o urlopie.

- Tak, ale nie chcę się rozstawać z *Pennsylvania Avenue*. Podpiszę kontrakt na dwa lata.

- Dobrze. Dam ci znać, gdy uznam, że powoli dochodzimy do porozumienia. Lustra już wyjechały?

- Co? Ach, lustra. Oczywiście.

- Proponują sześć milionów za dwa lata i podwyżkę tantiem za emisje poza granicami Stanów.

- Sześć milionów? - spytała zduszonym szeptem. James wymienił tę kwotę niemal obojętnie. Dla niego sześć milionów to zapewne była po prostu szóstka, ale dla niej... - To o wiele więcej, niż żądałam... Naprawdę są skłonni zapłacić aż tyle?

- Oczywiście. Negocjacje przebiegały w bardzo miłej atmosferze. - James był twardy i, rzecz jasna, udawał, że wcale mu nie zależy na efekcie rozmów. Na początku zaproponował dziesięć milionów, kwotę wręcz astronomiczną w stosunku do śmiesznie niskiej sumy miliona dolarów. Liczył na porozumienie przy pięciu, sześć przyjemnie go zaskoczyło, choć wyraził tylko chłodną aprobatę.

- Myślę, że apróbujesz ofertę?

- Owszem - zaśmiała się Alexa.

- Dobrze. Robota papierkowa nie zabierze chyba dużo czasu. Sieć chce pozapinać wszystko na ostatni guzik, zanim ktoś skusi cię znowu na srebrny ekran. Przejrzę kontrakt, a potem ci go prześlę.

- Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować...

- Wszelkie podziękowania są zbędne. Tym się właśnie zajmuję i bardzo lubię swoją pracę. - Zrobił krótką pauzę.

Gdy znów przemówił, głos jego brzmiał inaczej, łagodniej. - Tak więc...

- Więc... - powtórzyła zachęcająco.

- Może poszłabyś ze mną na kolację?

- Tak, ale to ja powinnam cię zaprosić.

- Jeśli dzięki temu zjemy domowy posiłek w twoim mieszkaniu, chętnie wyrażę zgodę. Umiesz gotować?

- Ależ skąd!

To domena tej drugiej siostry, pomyślała. I na tę myśl załatają fala smutku. W uszach wciąż rozbrzmiewał jej śmiech dochodzący z kuchni za każdym razem, gdy matka uczyła Cat gotować. Alexa mogła, rzecz jasna, uczestniczyć w tej zabawie, lecz starała się zawsze przebywać jak najdalej od Cat i pomniejszała znaczenie wszystkich ulubionych zajęć siostry, sama w nich nie uczestnicząc. Rozchmurzyła się jednak szybko. Jej stosunki z Cat układały się ostatnio znacznie lepiej, dawały sporą nadzieję na przyszłość. Wróciła do terażniejszości, do niewyobrażalnej wręcz kwoty sześciu milionów dolarów i do bardzo przystojnego mężczyzny, który chciał zjeść z nią kolację.

- Nie gotuję, ale mogę coś zamówić z *Le Cirque*.

- Coś gotowego?

- Dlaczego nie? Nie uda mi się nic z tobą wynegocjować?

- Miałabyś nawet spore szanse, ale tym razem będę obstawał przy swoim. Jakie masz plany na weekend? - Ponieważ Alexa nie odpowiedziała od razu, założył, że odtwarza w myślach harmonogram przedstawień *Romeo i Julii* i kalendarz spotkań prywatnych. - Jesteś pewnie zajęta?

- Nie. Młodzi kochankowie pojawiają się na scenie w piątek, a potem pikają aż do poniedziałku. Zespół wystawia tej

wiosny cztery sztuki. W weekend wartę pełni *Ryszard Trzeci, Hamlet i Burza*.

- Ale?

- Ale miałam zamiar spędzić weekend w Marylandzie.

- Gdzie w Marylandzie?

- Jakies piętnaście kilometrów na wschód od Waszyngtonu. Aż do zeszłego listopada mieszkałam w hotelu w Georgetown, ale teraz mam domek na urwisku nad zatoką Chesapeake. Domek jest śliczny, ale muszę jeszcze nad nim popracować.

- Zgodnie z propozycjami Laury Ashley?

- Istotnie, zmieniłam wystrój wnętrza, ale uporałam się z tym jeszcze w zimie. No i teraz pokoje kwitną, czego nie da się powiedzieć o roślinach w bardzo zaniedbanym ogrodzie. Najcięższą pracę wykonali już ogrodnicy z miejscowego przedszkola, bo przygotowali klomby. Trzeba jednak zasadzić róże, które majami przywieźć w piątek.

- I tym właśnie chcesz się zajmować w weekend?

- Tak, to mój pierwszy ogród. Chcę sama zasadzić kwiaty.

James dosłyszał lekkie drzenie w jej głosie i uśmiechnął się do siebie.

- Jeśli ta willa leży piętnaście kilometrów na wschód od stolicy, a z jej okien widać zatokę, to zapewne musi to być gdzieś niedaleko od portu Marlboro.

- Tak, bardzo niedaleko. Znasz te strony?

- Mój dom... dom moich rodziców stoi o jakieś trzy kilometry na północ od Marlboro.

- O!

- Dom rodziców i mój jacht... Więc...

- Więc?

- Więc gdybym nie umówił się z tobą na weekend w Nowym Jorku, żeglowałbym zapewne w Marylandzie. Jeśli chcesz, możemy pojechać tam razem. Ty będziesz sadzić róże, ja trochę sobie pozegluję, a potem, jeśli nie będziesz zmęczona, zjemy kolację w Marlboro Hunt Club. Alexo, po prostu powiedz...

- Tak.

- Dzień dobry.

- Witaj. - Czekając na Jamesa, doszła do wniosku, że jej wyobraźnia pewnie upiększyła rzeczywistość. Tamtego wieczora James miał na sobie jedwabny smoking, w dodatku świecił księżyc, pachniały róże...

Kiedy jednak przyjechał po nią w sobotni poranek, przekonała się ostatecznie, że niczego sobie nie wymyśliła. Nawet w jasnym słońcu poranka oczy Jamesa były głęboko ciemnoniebieskie, tak jak przy księżycu, uśmiech tak samo uwodzicielski, a włosy tak samo ciemne i lśniące. I w przypadku Jamesa Sterlinga nie szata zdobiła mężczyznę. Przeciwnie, James wyglądał elegancko nawet w wypłowiałych niebieskich dżinsach. Ze smukłej wysportowanej sylwetki emanowała jednocześnie siła i wdzięk.

- Wszystko ustalone? - spytał po chwili. On również potrzebował czasu, by na nowo się przyzwyczaić do jej widoku. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że ta cudowna bezbronność Alexy, ukryta starannie pod olśniewającą fasadą, to tylko iluzja. Ale nie, ta bezbronność istniała naprawdę, pod lśniącym szmaragdowym spokojem kryło się uroczę, intrygujące zmieszanie.

- Wszystko gotowe.

- Czy to nazywasz wszystkim? - spytał, podnosząc małą walizeczkę.

- Tak, suknia od Cassiniego na dzisiejszą kolację i kilka poradników ogrodniczych. W domku mam zapasową parę dzinsów.

- I łopate?

- Przedszkole zostawiło mi chyba wszystkie niezbędne narzędzia, z instrukcjami włącznie. Mam nadzieję, że to, co proponują, nie jest sprzeczne z przynajmniej jedną z przeczytanych przeze mnie książek.

- Które kłócą się ze sobą?

- Nie! - odparła Alexa ze śmiechem. - Istotnie, różnią się w szczegółach, ale w końcu hodowla róż nie jest nauką ścisłą. Chyba istnieją zasady ogólne, a drobiazgi po prostu się nie liczą.

- Pewnie tak właśnie to wygląda. Myślę jednak, że róże to ciężki orzech do zgryzienia. Jeśli chciałabyś zasięgnąć opinii prawdziwych ekspertów, możemy się zatrzymać w Inverness. Będziesz miała okazję obejrzeć tamtejsze róże.

- W Inverness?

- To dom moich rodziców. Oni też hodują róże. Zatrudnieni przez nich ogrodnicy wykonali już chyba wszystkie wiosenne prace, więc może będą mogli ci pomóc.

- Dobrze. Zgoda. Zatrzymajmy się w Inverness.

- Wybierz jakąś kasetę - zaproponował James, gdy wyjechali z Manhattanu na autostradę międzystanową. - Są w skrytce.

Alexa obejrzała kasety Jamesa. Vivaldi, Mozart, Bach, Beethoven, Chopin - najpiękniejsze dzieła wielkich kompozytorów, wszystkie znane Aleksie doskonale dzięki Cat. A także właśnie z powodu Cat wywołujące wspomnienia i emocje - dumę, poczucie winy, nadzieję, ból, nienawiść, miłość.

- Nie masz Prince'a? Ani Madonny? Ani choćby Beatlesów i Beach Boysów? - Alexa zmrużyła oczy. - Jesteś beznadziejnie klasyczny - wyszeptała z udanym przerażeniem.

- Nie całkiem beznadziejnie - odparł z uśmiechem James, wyszukawszy w radiu stację nadającą soft-rocka. - Jestem natomiast beznadziejnie uzależniony od *Pennsylvania Avenue*.

- Czwartkowy epizod kończył sezon typowym zawieszeniem akcji. Widzowie będą czekali w napięciu na ciąg dalszy, a w przyszłym tygodniu zaczną się powtórki - mruknęła Alexa. Uwaga Jamesa polechła mile jej próżność.

- Co znaczy, że będę musiał czekać aż do połowy września, żeby się dowiedzieć, czy Stephanie Winslow umknie przed ogniem.

- Owszem. Choć akurat ty masz milion powodów, by wierzyć, że Stephanie i tym razem wyjdzie z opresji - odparła z uśmiechem. - Gdybyś był moim agentem, mógłbyś się zapoznać z projektem scenariusza, i już od lipca miałbyś wolny wstęp na plan.

- Ale nie mam zamiaru być twoim agentem. Cieszę się po prostu, że wraz z resztą świata mogę podziwiać twoją pracę. Poza tym - dodał cicho - nie chcę, żeby nas poróżniły sprawy zawodowe.

- O!

Alexa uśmiechnęła się lekko, James odwzajemnił uśmiech i na chwilę zapadła cisza.

- Jak tam *Romeo i Julia*? - spytał.

- Krytycy i publiczność chwalą przedstawienie, ale ja zupełnie nie rozumiem, co mnie opętało. Jak mogłam przyjąć rolę Julii? Czuję się jak skończona oszustka.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Miłość, dla której warto umrzeć? *Moi*?

- Czyżbyś miała trochę cyniczny stosunek do miłości, czy też słuch mnie myli?

- Oczywiście, że cię nie myli. Mam istotnie cyniczny stosunek do miłości. Wcale nie trochę. Nie próbuj mi jednak wmówić, że sam jesteś niepoprawnym romantykiem - odparła, patrząc prowokująco na mężczyznę, który z taką samą łatwością podpisywał kontrakty, co łamał serca. Była przekonana, że Sterling nie wierzy w tak romantyczne pojęcia, jak miłość.

- Bardziej jednak sceptykiem niż cynikiem.

- Czyli?

James zawahał się. Nie wiedział, na ile może się przed nią odsłonić; zresztą to przecież on chciał ją wy badać i odkryć, jakie prawdy kryją się za tą wspaniałą fasadą urody. Czyż ona jednak nie miała prawa oczekiwać od niego szczerości? Owszem, choć prawda brzmiała raczej jak pożegnanie, nie powitanie. Tak właśnie James mawiał - łagodnym, przepraszającym tonem - ilekroć rozstawał się z kochankami.

- Czyli pewnie płomienna miłość nie jest mi przeznaczona. Spalam się w pracy, moją drugą wielką namiętnością jest żeglarstwo. I to mi wystarczy. - Dostrzegł, że Alexa patrzy na niego ze zrozumieniem. Nie wydawała się rozczarowana. Jej uwaga o roli Julii była więc szczerą, nie służyła wyłącznie za pretekst do wybadania poglądów Jamesa na ten temat. - Niemniej jednak, w przeciwieństwie do ciebie, cyniczna istoto, wierzę, że taka miłość jak między Romeem i Julią jest możliwa. Wątpię tylko, czy ja osobiście zaznam kiedykolwiek prawdziwego uczucia.

- Słyszysz z łamania niewieścich serc - powiedziała łagodnie Alexandra.

- Nigdy nie robię tego celowo.

- Pewnie nie - zgodziła się cicho. - Tylko że one oczekują zbyt wiele. Więcej niż możesz dać.

Nie, pomyślał James. Moje kochanki nigdy nie oczekują więcej, niż mogą dać, a jedynie więcej, niż chcę dać. Dla niego cała ta sprawa sprowadzała się w zasadzie do wyboru. Był zadowolony z życia - ze swej prywatności i niezależności, i nie spotkał nikogo, komu chciałby poświęcić czas, energię i uczucie, jakich wymagałaby miłość. W przypadku Alexy - myślał - nie była to jednak kwestia wyboru. Zapewne to właśnie jej kochankowie oczekiwali więcej, niż mogła im dać. Cóż to jednak znaczyło? Dlaczego ta piękna kobieta uważała, że jest coś, i to coś bardzo istotnego, co ogranicza jej zdolność do miłości?

Na jednym z dwóch kamiennych słupów stojących przy wjeździe do dwuhektarowej posiadłości widniał napis „Inverness”, wryty staroangielską czcionką. James skręcił w wyżwirowaną aleję, rezygnując ze słonecznej wiejskiej drogi na rzecz cienia sosen. Po dwustu metrach wspaniała zielona ściana, odgradzająca rezydencję od oczu przypadkowych przejezdnych, ustępowała miejsca ogromnym połąceniom przystrzyżonych trawników i królewskich ogrodów. W oddali, na urwisku nad zatoką, stał dom.

- Poznam twoich rodziców?

- Nie. Są w Paryżu. Ojciec jest ambasadorem we Francji.

- Ach tak. - Zdziwiona pokręciła lekko głowę. - A matka?

- Jest lekarzem. Ginekologiem-położnikiem. - Prowadzi praktykę w Paryżu?

- Nie. Zrezygnowała z pracy, zanim jeszcze ojciec został ambasadorem. Dokładnie przed czterema laty, w siedemdziesiąte urodziny.

- Miała czterdzieści lat, kiedy ty zjawiłeś się na świecie?

- Tak. Sądzę, że matka była zwiastunką karier kobiet lat osiemdziesiątych. Była jedyną dziewczyną studiującą medycynę w college'u Johna Hopkinsa i pierwszą, której udało się przeprowadzić pełen przewód profesorski. Ona i mój

ojciec mieli po trzydzieści dziewięć lat, gdy się poznali. Oboje skupiali życie wokół pracy zawodowej i nie planowali małżeństwa, ale...

- Dwoje sceptyków wpadło w zasadzkę?

- Może - odparł z uśmiechem James. - Tak czy inaczej wzięli ślub, a potem ja przyszedłem na świat.

- Kolejna niespodzianka?

- Nawet jeśli tak, to bardzo miła.

Alexa przekrzywiła lekko głowę w zadumie. W głosie Jamesa pobrzmiwała nieoczekiwana miękkość, miękkość świadcząca o autentycznej miłości do rodziców.

- Często się z nimi widzisz?

- Nawet bardzo. Raz na jakiś czas jeżdżę służbowo do Europy, a moi rodzice, jak wszyscy dobrzy paryżanie, mają w sierpniu urlop. Zamiast jednak uciekać na Lazurowe Wybrzeże, spędzają wakacje tutaj.

James oprowadził Alexę po rezydencji i zakończył wyprawę w wielkim pokoju, z widokiem na ogród pełen niedawno przyciętych róż. Kiedy wyszli na zewnątrz przez szerokie drzwi balkonowe, Alexa przyklękła na ciepłej trawie przy klombach i studiowała uważnie pracę najlepszych ogrodników z Inverness.

- To mi naprawdę pomogło - powiedziała, wstając. Zapamiętała dokładnie długości i średnice łodyg, a także kąt, pod jakim przycięto róże tuż nad delikatnymi świeżymi pączkami.

- Bardzo się cieszę. Tak więc nie możesz się już doczekać sadzenia?

- Nie będę mogła obejrzeć twojego jachtu?

- Ależ oczywiście, że będziesz mogła. Wybieraj. Możesz spojrzeć na niego z lotu ptaka, stając na urwisku, albo z bliska, schodząc do portu. Mankamentem zejścia jest konieczność pokonania bardzo stromych, wysokich schodów, aż trzech kondygnacji. Zejść jest łatwo, gorzej natomiast z powrotem...

- Chcę go dotknąć! - wykrzyknęła Alexa. Wysokie schody nie stanowiły dla niej żadnej przeszkody. Była zdrowa, energiczna, w świetnej kondycji. Poza tym, o czym James miał się już wkrótce przekonać, takie same wysokie schody prowadziły z parkingu do jej domku na skale.

- Jest piękny - szepnęła, dotykając lśniącej niebieskiej burty „Nocnego Wiatru”, wspaniale utrzymanego dwunastometrowego jachtu Jamesa.

- Dziękuję. Żeglowałaś?

- Parę razy...

- Coś mi się zdaje, że niespecjalnie za tym przepadasz.

- Lubię mieć świadomość, że mogę wyjść z przyjęcia w każdej chwili.

- Rozumiem. Jakiś heretyk ściągnął cię na jacht i próbował uwieść.

- Heretyk?

- W tych sprawach mam ortodoksyjne poglądy. Żeglowanie to żeglowanie - powiedział z uśmiechem James. - Do uwodzenia służą inne okazje.

- Tak więc na „Nocnym Wietrze” mogę czuć się całkowicie bezpieczna?

- Całkowicie.

Czy będę jednak bezpieczna w innych sytuacjach? - pomyślała. Napotkawszy zmysłowe spojrzenie ciemnoniebieskich oczu, wyczytała z nich odpowiedź. Odpowiedź, którą tak bardzo pragnęła w nich zobaczyć.

Nie, Alexo, przy innych okazjach na pewno nie będziesz bezpieczna.

Wspięli się bez trudu na trzykrotnie skręcające schody z czerwonej cegły z zatoki do rezydencji, a dwadzieścia minut później powtarzali ten wyczyn, wchodząc na schody z granitu prowadzące do domku Alexy.

- Nie wiesz przypadkiem - zagaiła z poważną miną, nie licującą z wesołymi iskierkami w oczach - czy istnieje jakieś niezbędne minimum, od którego można nadawać nazwę kawałkowi ziemi?

- O czym ty mówisz?

- Sądzę, że mój domek też chciałby się jakoś nazywać. Na przykład „Mini Inverness”.

- Rozumiem. - Zaśmiał się i rozpocząłby natychmiast poszukiwanie imienia, ale wspinaczka miała się już ku końcowi, a ich uwaga skupiła się całkowicie na mnóstwie doniczek z krzewami róż. - Alexo...

- Na pewno starczy miejsca dla nich wszystkich!

- Jestem o tym przekonany - przytaknął, patrząc na świeżo spulchnioną ziemię. - A kiedy już zakwitną, będziesz się tu czuć jak w środku bukietu, ale... chyba powinienem ci pomóc.

- O nie! Dziękuję. Dam sobie radę.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. - Alexa odwróciła głowę i rozejrzała się po swoim maleńkim państewku, gdzie teraz niepodzielnie królowały róże. Praca wydawała się niewykonalna, przynajmniej Alexa nie czuła się na siłach, by jej samodzielnie podołać, lecz był to jej pierwszy ogród i już się nie mogła doczekać, kiedy rozpocznie. Wyobrażała sobie, jak planuje wzór klombów i zanurza dłonie w miękkiej, ciepłej, żywej glebie. Spojrzała na Jamesa, unosząc lekko podbródek.

- Całkiem pewna.

- W porządku.

- Teraz jednak rozumiem, dlaczego właściciel przedszkola tak bardzo opierał się przy tym, żebym poukładała sadzonki na miejscach, gdzie chcę, by rosły, a całą resztę zostawiła profesjonalistom. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak na to nalegał.

- A w tej chwili żałujesz, że nie posłuchałaś jego rady?

- Może niezupełnie w tej chwili, ale zapewne pożałuję za parę godzin, kiedy rozbolą mnie mięśnie.

- Cóż, to ja już sobie pójdę. Jest jednak coś, nad czym się zastanawiam...

- Cóż takiego? - spytała, choć jej lśniąca oczy mówiły wyraźnie, że wie, co to jest, i sama o tym myśli.

- To - odparł, gdy spotkały się ich usta.

- To - szepnęła, odwzajemniając pocałunek.

Oboje tonęli dotąd w rozkoszach uwodzenia, żartobliwych docinkach i oczekiwaniu. Oboje wyobrażali sobie ciepłą, cudowną przyjemność. Żadne z nich nie przewidziało jednak pożaru.

Pocałunek rozpoczął się od szeptów, ale potem nie były już potrzebne żadne słowa. Pożądanie było bowiem tak wielkie i palące, że wymagało czegoś więcej.

James oderwał się w końcu od niej, choć kosztowało go to sporo wysiłku. Napotkawszy wzrok Alexy, dostrzegł w jej oczach własne pragnienia.

- Zarezerwowałem stolik na wpół do dziewiątej, więc wrócę po ciebie o ósmej.

- Idziesz?

- Tak, ja będę żeglował, a ty zajmiesz się swoim ogrodem.

- Bawisz się ze mną.

- Ależ skąd, Alexo - odparł cicho. - Wcale się z tobą nie bawię.

Gdyby się istotnie bawił, zabrałby ją po prostu do romantycznej sypialni, jaką z pewnością sobie urządziła w tym uroczym domku, i kochał się z nią natychmiast, od razu, zapominając o własnych planach i torpedując jednocześnie jej plany. A te piękne, szmaragdowe oczy, w których płonęło teraz pożądanie, wyraźnie go do tego zachęcały. Lecz James miał jeszcze w pamięci wyraz tych oczu rozjaśnionych marzeniem o stworzeniu własnego różanego ogródka. I wiedział, ile te plany dla niej znaczą.

Tego popołudnia oboje chcieli się oddać swym prywatnym pasjom. A wieczorem, po dokonaniu wyboru - gdyż oboje dokonywali wyborów - mogli już bez przeszkód poznać całą prawdę o namiętności, jaka miała ich połączyć.

Kolację zjedli przy świecach w restauracji Hunt Club, a potem tańczyli na tarasie przy księżycu, uwodząc się wzajemnie, aż w końcu James wyszeptał nabrzmiałym od śmiechu głosem, że muszą wracać do domku natychmiast.

Księżyc prześwitujący przez koronkowe firanki zalewał romantyczną sypialnię Alexy tajemniczą złocistą poświatą. Gdyby była z innym mężczyzną, z pewnością zaciągnęłaby story, żeby w pokoju zapanowała bezpieczna ciemność. Lecz pocałunek Jamesa i jego zręczne ręce, którymi ją rozbierał odsunęły wszelkie myśli na bok i Alexa zapomniała o swych ulubionych ciemnościach służących jej za kryjówkę, ilekroć się kochała. Nie znaczyło to oczywiście, że się wstydziła swego wspaniałego ciała. Była aż nadto świadoma jedwabistej perfekcji pełnych piersi, krągłej linii bioder, płaskiego brzucha i długich, smukłych nóg.

Zadanie ciemności nie polegało jednak na ukrywaniu ciała, lecz oczu. Oczy te bowiem mogły wyjawiać tak często przez nią skrywane uczucia: irytację, że stała się obiektem pragnień i polowania zarazem, rozczarowanie, które ogarniało ją zawsze wtedy, gdy kielkujące w niej przyjemne i pełne obietnic doznania ginęły w powodzi namiętności partnera, a nawet gniew na tych mężczyzn, którzy - nic o niej nie wiedząc - silili się na zduszone, pospieszne wyznania miłości, choć nie kochaliby jej, nawet gdyby ją znali.

Ogarnięta żądzą wywołaną delikatnymi pieszczotami Jamesa, Alexa zapomniała całkowicie o zasunięciu kotar. Rozbierał ją niespiesznie, rozkoszując się każdym nowym odkryciem, składając czuły powitalny pocałunek w każdym nowo poznanym miejscu, aż w końcu jej cichy śmiech nakazał mu dokonać odkryć bardziej intymnych. Potem Alexa - równie niespiesznie i delikatnie - rozbierała jego, czekając, by teraz on zaczął się domagać większej intymności.

Później byli już razem w chłodnym, bawełnianym ogrodzie różanym projektu Laury Ashley i...

- Pragnę cię.

- Tak - odparła radośnie, bo ona również go pragnęła.

W ciemnoniebieskich oczach Jamesa dostrzegła tylko pragnienie; nie było w nich ani śladu instynktu myśliwskiego. A w jego namiętnych szeptach była jedynie prawda o żądzy i namiętności. Nie dostrzegła w nich żadnych fałszywych obietnic miłości. A potem Alexa pojęła wspaniałość swych drżących doznań, gdyż tym razem nigdzie się nie zgubiły. Przeciwnie, zostały odkryte - cierpliwie, delikatnie, z maestrią.

- Alexo - szepnął, gdy przyszedł czas na nich oboje. - Alexandro...

- Witaj. - Zalane księżycową poświatą złociste włosy Alexy stały się raz niemal symbolem tego zbliżenia, lecz James odsunął je delikatnie z jej czoła, by jeszcze raz popatrzeć jej w oczy.

- Witaj.

- Było bardzo miło - szepnął.

- Tak.

- Nie tak zwyczajnie.

- Nie - zgodziła się łagodnie Alexa. - Naprawdę bardzo miło.

Miło, myślała. Poczła nieoczekiwaną sympatię do tego słowa, które w pierwszej chwili wydało się jej mdłe. Mądrzy ludzie mawiają, że jeśli nie możesz powiedzieć czegoś miłego, lepiej nie mów nic. Dlatego określenie „miłe” wydawało się jej zawsze zafalszowaną dezaprobatą. Ale w utalentowanych ustach Jamesa słowo to nie wydawało się ani mdłe, ani tym bardziej fałszywe. Brzmiało łagodnie, czule, wyjątkowo i o wiele, wiele lepiej niż kłamstwa o miłości, które słyszała zwykle, gdy po zakończeniu aktu zapadała niezręczna cisza. Przy Jamesie, te zazwyczaj okropne chwile wydawały się wspaniałe, prawdziwe, właśnie miłe. Nagle jego przystojna twarz stała się poważna.

Och, Jamesie, nie trywializuj tego wszystkiego, co zaszło, kłamstwami o miłości, myślała. Tym bardziej że oboje znamy twój stosunek do tej sprawy.

- Co takiego? - spytała, zaskoczona ostrością własnego głosu.

- Wiesz, co ci grozi w sytuacji, gdy zostajesz uwiedziona we własnym łóżku?

- Nie.

- Sytuacja jest w zasadzie podobna do tej na jachcie. Nie możesz wyjść w dowolnym momencie.

- Och... - wyszeptała z wdzięcznością. Poczła ogromny przypływ ulgi. James nie zamierzał bajdurzyć o miłości. Po prostu po raz kolejny dawał jej możliwość wyboru i szanował to, co było ważne dla niej. Przedtem postąpił słusznie, wychodząc z ogrodu i zostawiając ją przy różach. A teraz... skąd mógł wiedzieć, że zawsze marzyła tylko o tym, by jej kochanek jak najszybciej sobie poszedł? Bo wolała zostać naprawdę sama, niż czuć się - paradoksalnie - samotna w obecności mężczyzny, którego nie darzyła uczuciem. Tak, James o tym wiedział. Czyżby dlatego, że zwykle też wolał samotność? Tak, choć dzisiaj było inaczej i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Dziś on wcale nie miał ochoty wyjść i pytał, czy może zostać.

- Zaczynasz mi się wydawać coraz bardziej sympatyczny - powiedziała cicho. - Bardzo sympatyczny, delikatny, czuły, wyjątkowy...

- Dopiero zaczynam? A ty wydałaś mi się miła już od pierwszego wejrzenia.

Och nie, Jamesie. Ja wcale nie jestem miła - pomyślała niespodziewanie pod wpływem nagłej refleksji i wspomnień. Prawda ta wydawała się jednak niezbita. Czy powinna dzielić ją z Jamesem? Czy też próbować go przestrzec? Spojrzawszy w ciemnoniebieskie oczy mężczyzny, najwyraźniej ciekawe, dlaczego te pozornie niewinne słowa wywołują grymas na jej twarzy, zdała sobie sprawę, że James Sterling nie potrzebuje żadnego ostrzeżenia. Sam kontrolował swoje życie, potrafił podejmować decyzje i wydawał się całkowicie odporny na miłość. Dlatego nie groziło mu z jej strony żadne niebezpieczeństwo. To raczej ona zaczynała się bać zniewalających wręcz wymagań ich namiętności i zniewalających żądań błękitnych oczu, które zmuszały ją do mówienia prawdy.

- Alexo...

- Zostań.

- Dobrze. Ja też chcę zostać. Podjęłaś już decyzję w sprawie przyjęcia?

- Przyjęcia?

- Skończyło się? - spytał, patrząc jej w oczy. Natychmiast odnalazł w nich to, czego szukał i przyciągnął ją do siebie.

- Wcale się nie skończyło - szepnęła, zanim ich usta znów się spotkały. Cudowne doznania raz jeszcze ruszyły śmiało naprzód, chętne i odważne, karmione już teraz nie słabą nadzieją, lecz podniecającym wspomnieniem.

- Różana Skąła.

- Co takiego?

- Różana Skała.

- Ach, już wiem. Nazwa dla mojej maleńkiej posiadłości. Bardzo mi się podoba.

- To tylko propozycja. Możesz ją sobie przemyśleć - wyszeptał między jednym a drugim pocałunkiem. - Ale kiedy indziej.

- Dobrze, kiedy indziej, ale i tak mi się podoba - odparła i zanim jej usta poddały się całkowicie cudownej pieśczości, zmuszającej ją do zamilknięcia i odwzajemnienia pocałunków, zdążyła jeszcze mruknąć:

- Jest bardzo miła.

5

Manhattan

maj 1989

Kiedy winda, do której wsiadła w marmurowym holu na dole, ruszyła cicho na górę, gdzie pod dachem mieściły się biura prawnika Jamesa Sterlinga, Alexa poczuła, że serce zaczyna bić jej mocniej w rozkosznym oczekiwaniu. Przez ostatnie dwanaście dni James bawił w Tokio, a to rozstanie było dla niej czymś o wiele więcej, niż tylko przerwą w ich namiętym romansie. Napięte rozkłady zajęć i różnica czasów zmusiły ich do rezygnacji z luksusu cudownych wieczornych rozmów, które odgrywały niezwykle ważną rolę w ich związku, ilekroć James wyjeżdżał. Dzięki tym długim, szczerym pogawędkom odnosili wrażenie, że znają się od zawsze a nie od zaledwie siedmiu tygodni.

Wrócił w południe, a teraz zbliżało się już wpół do siódmej. Alexa nie nalegała jednak na wcześniejsze spotkanie. Wiedziała, że James musi spokojnie przeanalizować efekty swej prawie dwutygodniowej pracy i chciała by poświęcił jej całą uwagę, kiedy się wreszcie zobaczą.

Jakże go pragnęła! Chciała zobaczyć jego oczy, uśmiech, usłyszeć głos. Chciała poznać wszystkie szczegóły pomyślnych negocjacji w Japonii i chciała opowiedzieć mu dokładnie, co zaszło w jej życiu w ciągu ostatnich dwunastu dni. Chciała z nim rozmawiać, śmiać się, spędzać czas...

Ale - przyznała w duchu, idąc po pluszowym dywanie w stronę gabinetu Jamesa - tak najbardziej to pragnęła ujrzeć teraz ciemnoniebieskie oczy uradowane jej widokiem, poczuć dotyk rąk Jamesa na swojej skórze, usłyszeć jego ciche westchnienia rozkoszy, gdy ją rozbierał i odkrywał od nowa.

Drzwi do gabinetu Jamesa były otwarte na oścież, toteż nie musiała otwierać ich szerzej, by zobaczyć go za biurkiem. James natychmiast wyczuł jej obecność i wstał na powitanie.

- Jak się masz? - powiedział cicho, a w jego głosie wyraźnie pobrzmiewała obietnica.

- Witaj. - Oparła się prowokująco o framugę drzwi. - Jeśli nie wynegocjujemy natychmiast jakiejś rozkosznej fuzji, to chyba...

- Alexo - przerwał ze śmiechem i otworzył drzwi jeszcze szerzej, by zobaczyła całe wnętrze przestronnego gabinetu.

- Chciałbym, żebyś poznała Roberta McAllistera.

- Och! - Gdyby mężczyzną, który usłyszał przypadkiem jej prowokujące słowa okazał się ktoś inny, Alexa ukryłaby z pewnością zażenowanie i popatrzyłaby na niego z niewinną miną. Ale tym mężczyzną był Robert McAllister i Alexa zarumieniła się jak piwonia. - Senator McAllister...

- Panna Taylor - odparł swobodnie McAllister, choć zmieszał się lekko na widok cudownych szmaragdowych oczu, które patrzyły na niego tak, jakby popełnił jakiś karygodny czyn. A on zakłócił tylko, i to nieumyślnie, jej czułe powitanie z Jamesem.

- Robert twierdzi, że dotąd nie mieliście okazji się poznać - powiedział spokojnie James, zerkając pytająco na Alexę.

- Rzeczywiście. Nie mieliśmy - odparła.

Oczywiście, że nie - myślała. Zarówno i senator jak i jego małżonka ostentacyjnie zignorowali przyjęcie gwiazdkowe, wydane przez producentów i aktorów serialu *Pennsylvania Avenue* na rzecz dzieci chorych na raka. W ciągu zaledwie trzech lat ta głośna impreza stała się jedną z najważniejszych akcji o charakterze dobroczynnym i cieszyła się entuzjastycznym wsparciem najwybitniejszych osobistości - zarówno ze świata polityki, jak i innych kręgów. Najwybitniejszych - z wyjątkiem senatora Roberta McAllistera.

Senator z Wirginii demonstracyjnie zlekceważył przyjęcie i równie demonstracyjnie nie przychodził na plan *Pennsylvania Avenue*. Poza nim wszyscy wpadli tam choć raz - popatrzeć, pokibicować lub po prostu poznać Alexę. Wszyscy, ale nie Robert. Alexa rozumiała oczywiście, że urzędnik państwowy tak wysokiej rangi musi przede wszystkim zajmować się polityką, a nie flirtować z aktorkami. Wiedziała jednocześnie, że Robert McAllister nie uczestniczył w przyjęciach gwiazdkowych i nie przychodził na plan z tych samych powodów: unikał jej.

Czując na sobie aż nadto wymowne spojrzenie Jamesa, popatrzyła Robertowi prosto w twarz, by znaleźć w niej potwierdzenie swych domysłów. Jego piwne oczy były jednak spokojne, irytująco wręcz chłodne. McAllister doskonale ukrywał pogardę. W końcu jest mistrzem polityki - pomyślała. I jeszcze lepszym aktorem niż ja.

- Alexo, przedstawiam ci więc Roberta - odezwał się bardzo spokojnie James, a w jego głosie zazgrzytał wyraźnie słynny lód Sterlinga.

- Bardzo mi miło, senatorze. - Zmusiła się do uśmiechu. - Nie wiedziałam, że panowie się znają.

- Studiowaliśmy razem.

- Rozumiem. - Wciąż się uśmiechała, choć wiadomość była nie najlepsza. Myślała, że Robert spotyka się Jamesem w interesach. Było jednak znacznie gorzej. Panowie okazali się przyjaciółmi.

- Przyjechałem tu z żoną na weekend. Na sobotę jesteśmy już umówieni, lecz miałem nadzieję, że może spotkamy się jutro na kolacji. - Robert oczekiwał, oczywiście, natychmiastowego „tak”. Wiedział już od Jamesa, że Alexa nie gra przez te dwa dni w teatrze i nie ma żadnych konkretnych planów. Lecz Alexa nie powiedziała „tak”. Wydawała się całkowicie zagubiona, zmieszana, jakby na próżno szukała jakiegoś wykrętu. Robert dostrzegł jej zakłopotanie i od razu pospieszył z pomocą. - Oczywiście, to wszystko wypadło zupełnie nieoczekiwanie. Zapewne mieliście inne plany.

Tylko takie, że absolutnie nie życzę sobie oglądać twojej żony - pomyślała Alexa. Czyżby Robert naprawdę nic nie wiedział? Czy naprawdę dlatego nie przychodził na plan, że miał co innego do roboty? Niewykluczone. Ale wciąż nie do końca mogła uwierzyć, że Hillary nie wspomniała nawet mężowi o konflikcie z Alexą. Może jednak nie wspomniała i doszła do wniosku, że w dniu gwiazdkowej gali lepiej po prostu przyjmować zaproszenia na inne, ważniejsze przyjęcia.

Tym razem jednak to Alexa potrzebowała takiego ważniejszego przyjęcia, jakiejś rozsądnej wymówki lub chociaż zręcznego i przekonującego kłamstwa. Kłamała jednak znacznie gorzej niż James.

- Moja siostra kończy w ten weekend dwadzieścia jeden lat - wyszeptła w końcu. Mówiła prawdę, ale wykręt zabrzmiał wyjątkowo mało przekonująco.

- Zadzwoń do ciebie później, Robercie - wtrącił szybko James.

- Dobrze. Lepiej już pójdę. Miło mi było cię poznać, Alexo.

- Mnie również było miło.

Alexa została w gabinecie, a James odprowadził Roberta do windy. Gdy wrócił, stała przy oknie; spoglądała na samochody trzydzieści pięter niżej. Patrzyła dokładnie w dół, na pędzące pojazdy, a nie przed siebie, w zapadający zmierzch. Przedkładanie zamętu nad piękno było zupełnie do niej niepodobne, lecz tym razem to zamęt, ten nieproszony gość, sam ją odnalazł. James czekał chwilę, by dostrzegła jego obecność. Gdy to się jednak nie stało, przemówił. Alexa

drgnęła gwałtownie, choć jego głos brzmiał jak zwykle spokojnie i cicho.

- Nie wiedziałem, że przywiązujesz taką wagę do polityki. Poza tym, szczerze mówiąc, gdybym miał się domyślić twoich poglądów, sądziłbym raczej, że są zbliżone do światopoglądu Roberta.

- To nie ma nic wspólnego z polityką.

- Chyba nie jesteś na niego zła za to, że niechcący cię podsłuchał.

- Nie - przyznała łagodnie Alexa. Po dłuższej chwili zdobyła się na odwagę i popatrzyła na Jamesa. A w jego oczach dostrzegła to, czego zawsze obawiała się najbardziej. Rozczarowanie. Potraktowała Roberta niegrzecznie i obcesowo, czym sprawiła Jamesowi zawód.

- W takim razie o co chodzi?

- Nie jestem w najlepszych stosunkach z jego żoną.

- Poznałaś ją w Waszyngtonie? - Mógł to sobie z łatwością wyobrazić. Patrycjuszowska wyniosłość Hillary na jednej szali i brak tolerancji, z jakim Alexa odnosiła się zawsze do takich zachowań na drugiej. Był jednak zdziwiony, że Alexa przejęła się do tego stopnia przypadkowym spotkaniem. Nie mogła po prostu skwitować rozmowy z Hillary McAllister jednym buntowniczym potrząśnięciem lśniąca, złotą grzywą?

- Nie w Waszyngtonie. Nie widziałam jej od czasów ukończenia szkoły. Osiem lat.

- Trudno mi uwierzyć, że chodziłyście do tego samego liceum.

- Pewnie źle się stało. A już na pewno Hillary Samantha Ballinger była dokładnie tego zdania. Ale przez jeden wspaniały rok biedna wiejska dziewczyna z Kansas i bogata córka gubernatora Teksasu uczęszczały do tej samej klasy. Wszystko działo się jednak na jej terenie, w Dallas, w Ballinger Academy. Słyszałeś o Ballinger, prawda? To ekskluzywna prywatna szkoła założona przez dziadka Hillary po to, by ona i inni spadkobiercy fortun nie musieli się zadawać z pospółstwem.

- Więc chodzi o zwykłą szkolną rywalizację między uczennicami?

- To bardzo skomplikowana sprawa.

- Ale ty już na pewno z tego wszystkiego wyrosłaś - powiedział James, choć w głosie Alexy pobrzmiewała gorycz, a jej zmartwione oczy mówiły wyraźnie, że wrogość trwa. Trwa, choć nie powinna trwać. W końcu obie były już dorosłymi kobietami.

- Alexo, Robert jest moim dobrym przyjacielem. Chciałbym zjeść kolację w towarzystwie McAllisterów.

- Nie możesz iść sam?

- Bez powodu? Nie.

- Sądziłam, że zawsze mogę odmówić.

- Nie tym razem.

Alexa zajrzała w nieodgadnione niebieskie oczy mistrza negocjacji, człowieka, którego sukces polegał między innymi na tym, że jeśli jakakolwiek umowa nie odpowiadała jego oczekiwaniom, mógł się zawsze z niej wycofać.

- Czy to jest właśnie punkt krytyczny, Jamesie? - spytała łagodnie. - Jeśli nie pójdę na kolację z moim dawnym wrogiem, koniec z nami?

Alexa nie wiedziała dokładnie, na czym polega ich związek, lecz czuła, że gdy James zniknie z jej życia, będzie bardzo za nim tęsknić. A on za mną? - myślała. Poszukała odpowiedzi w jego nieprzeniknionych oczach, lecz dostrzegła w nich jedynie przenikliwe zimno. Może James mógłby od niej odejść bez najmniejszego żalu? A słynną kwestię „szczerze mówiąc, moja droga, nic mnie to nie obchodzi”, wygłosiłby bez zmrużenia oczu.

- Alexo - poprosił cicho James, ignorując jej pytanie. - Opowiedz mi o sobie i Hillary.

O sobie i Hillary. Echo tych słów jeszcze rozbrzmiewało w jej myślach, gdy zrozumiała nagle, że w całej tej sprawie nie chodzi wcale o Hillary. Chodziło o nią, Alexę, jej porażki, niegodziwość, okrucieństwo. Hillary była jedynie lustrem, w którym odbijały się w oczywisty sposób wszystkie wady Alexy. Zwierciadło, powiedz przecie, kto najokrutniejszy w świecie?

- Alexo - powtórzył James, zmartwiony głębokim smutkiem w szmaragdowych oczach. Smutkiem i niepewnością. Może Alexa sądziła, że gdyby pozwoliła mu zajrzeć w głębię swego serca, na pewno nie byłby zachwycony tym, co by tam zobaczył? Czyżby nie wiedziała? W sprawie Alexy, James ufał swej intuicji, jej najwyraźniej jednak brakowało wiary w siebie.

- Muszę jeszcze zadzwonić do klienta z San Francisco. Rozmowa nie będzie poufna, więc nie wychodź. Usiądź sobie wygodnie na kanapie. A jak skończę, może pójdziemy do ciebie i pogadamy?

Było to tylko uprzejmie zadane pytanie, lecz Alexa już wiedziała, że tym razem nie może odmówić. Musiała zdobyć się na odwagę i opowiedzieć Jamesowi najczarniejszą prawdę o sobie, o tym, że wcale nie jest „miła” i o tych wszystkich uczuciach, jakie wyrzały spod jej słonecznej, złocistej powłoki prawie dwadzieścia jeden lat temu, w dzień, gdy ujrzała swoją siostrę.

- To nie jest moja siostra - oznajmiła z wrodzoną pewnością siebie, patrząc na niemowlę umie przytulone do piersi matki.

Mówiła stanowczo, lecz jej drobne ciało drżało z emocji. A nowe, potężne uczucia ogarnęły ją natychmiast, gdy dostrzegła, że rodzice patrzą na Catherine dokładnie tak samo, jak dotąd patrzyli na nią - z tym samym zdumieniem, zdumieniem pełnym miłości.

Teraz jednak w oczach Jane i Alexandra było coś jeszcze - coś przeznaczonego wyłącznie dla Alexy - coś, czego nigdy w nich nie widziała. A tym czymś był niepokój. I przede wszystkim rozczarowanie.

Rozczarowanie trwało zaledwie chwilę. Sześciolatniej wówczas Aleksie wydawało się jednak, że ta chwilka trwa wieki. Dziewczynka czuła, że nigdy tego spojrzenia nie zapomni i nie chce - błagam, nie! - zobaczyć go znowu. Gdzieś w głębi serca zmieniła się na zawsze. Tego właśnie dnia przeistoczyła się nagle w mądrą, rozważną aktorkę, która z łatwością przegoniła burzowe chmury. Stała się znowu słoneczna, jasna i urocza, ponieważ bardzo pragnęła otrzymać od rodziców należną jej porcję miłości. Nie zamierzała już nigdy sprawić im zawodu.

Alexa lśniła więc jak przedtem, lecz blask ten wydawał się sztuczny. I równie oślepiający jak światła rampy, które miała już wkrótce tak dobrze poznać. Uniemożliwiała jakikolwiek wgląd w cienie swego młodego serca, choć dobrze wiedziała, co się w nim czai. Były to naprawdę straszliwe potwory, nad którymi nie sprawowała już żadnej kontroli - zazdrość, okrucieństwo, nienawiść. Nienawiść do Catherine rozgorzała w niej całą siłą już od chwili, gdy zobaczyła dziewczynkę, i rosła wraz z jej obiektem. Catherine była doskonała, wręcz doskonała, a Alexa aż za dobrze zdawała sobie sprawę ze swoich wad.

Nawet jako mała dziewczynka Catherine nigdy nie płakała. Uśmiechała się tylko swym czarującym uśmiechem Mony Lisy. Jeszcze zanim nauczyła się chodzić lub mówić, lubiła siadać na kolanach ojca i patrzeć, jak jego utalentowane palce biegają po klawiszach. Wydawała się całkowicie zauroczona muzyką, tak bardzo kochaną przez rodziców, tak niedocenioną przez siostrę. Alexę rozpierała energia, nie mogła tak po prostu słuchać muzyki - wolała tańczyć i wirować w jej takt.

Lecz Catherine, ta idealna Catherine, potrafiła zawsze z radością, po cichu słuchać.

- Nienawidzę cię - szeptała Alexa do swojej małej siostrzyczki. I choć Catherine była stanowczo za mała, by

zrozumieć, co to znaczy, jakiś czarny potwór zmuszał Alexandrę do powtarzania tej mantry, ilekroć nadarzała się sposobność. No i powtarzała. Bez skutku. Catherine nie reagowała, jakby te okrutne słowa nie robiły na niej żadnego wrażenia. A Alexa liczyła na reakcję. Potrzebowała dowodu, że dziecko wcale nie jest doskonałe. Gdyby się jej udało zmusić Catherine do płaczu...

Ośmioletnia Alexandra uszczypnęła się w rękę, stwierdziła, że uszczypnięcie jest bardzo bolesne i skoro wycisnęło łzy z oczu tak dużej dziewczynki jak ona, tym bardziej doprowadzi do płaczu dwulatkę. Kiedy jednak wbiła palce w aksamitnie gładkie ramię Cat, w szafirowych oczach nie pojawiła się nawet jedna łza. Te piękne oczy rozszerzyły się tylko, najwyraźniej przerażone czynem siostry, a w chwilę później błysnęło w nich coś naprawdę strasznego - przebaczenie.

Potem Alexa ignorowała po prostu Catherine i zachowywała się tak, jakby w ogóle nie miała siostry.

Catherine Alexandra Taylor po raz pierwszy dotknęła klawiszy fortepianu ojca jako trzyletnia dziewczynka. Grała na nim już od pierwszej chwili, a jedynym jej ograniczeniem był niewielki jeszcze zasięg dziecięcych paluszków, nie brak talentu.

Cat, podobnie jak Alexa, mogła się poszczycić prawdziwym talentem, lecz podczas gdy starsza z sióstr Taylor lubiła popisy, licząc na podziw i aprobatę publiczności, młodsza dzieliła się po prostu z innymi swym darem, za który była tak samo wdzięczna losowi jak jej słuchacze. Grała bardzo spokojnie, wcale się nie denerwując, zatracając się całkowicie w poruszającym pięknie muzyki. Catherine grała, by się dzielić, a nie zwyciężać, a mimo to zawsze wygrywała.

Ogromny talent Cat zaowocował niezwykłą propozycją. Znane na całym świecie konserwatorium w Dallas zdecydowało się ją kształcić. Uczelnia ma pokryć wszelkie wydatki związane z nauką Cat i zakwaterowaniu całej rodziny. Co więcej, zezwolono Alexandrowi, dotąd jedynemu nauczycielowi Catherine, na kontynuowanie lekcji z córką i prowadzenie zajęć z innymi studentami. A osiemnastoletnia wówczas Alexa miała otrzymać stypendium umożliwiające ukończenie prestiżowej szkoły średniej - Ballinger Academy.

Alexa była od początku entuzjastycznie nastawiona do przeprowadzki. Nie miała sentymentu do Topeki, nie miała też nic przeciwko rozstaniu z przyjaciółmi. Jej „przyjaciele” zresztą to było tylko grono wielbicieli, nie ludzie których darzymy zaufaniem. Z Topeką nie łączyły ją więc żadne emocje, nie wiązała z nią również żadnych nowych wyzwań. Wygrała tam już wszystko co było do wygrania - podziw nauczycieli i kolegów, serca wszystkich chłopców, główne role we wszystkich sztukach wystawianych w szkolnym teatrze.

Entuzjazm Alexy wpłynął bardzo silnie na trójkę mniej zdecydowanych Taylorów. Rodzina uznała, że oferta jest bardzo korzystna dla Cat, a dzięki możliwości zakwaterowania nie musieli wcale sprzedawać swego domku w Topece. Mogli w każdej chwili wrócić do Kansas.

Alexa postanowiła, że na użytek elitarnego Ballinger przeobrazi się w surferkę z Malibu, zwariowaną córkę potentata filmowego, skazaną na banicję w szkole dla uprzywilejowanych za jakiś tajemniczy, bardzo śmiały i nierozważny czyn. Zdolna aktorka stworzyła swój nowy wizerunek, wołała wcielić się zresztą w jakąkolwiek postać, niż być prawdziwą Alexą. Nie wstydziła się swoich prawdziwych korzeni, rodziców czy statusu materialnego, lecz siebie samej. Rodziców kochała naprawdę głęboką miłością. To ona ich zawiodła, nie oni ją. A temu, że tak bardzo cenili zawsze idealną Catherine, nie należało się dziwić.

Alexa była dumna z ojca muzyka i matki artystki. To, że rodzice byli skromnymi, raczej ubogimi ludźmi, nie miało dla niej znaczenia. Nigdy się tego nie wstydziła.

Dopóki Hillary Samantha Ballinger nie zaczęła jej przekonywać, że powinna się wstydzić. Hillary odkryła prawdziwą tożsamość Alexy i zdemaskowała jej kłamstwa.

- Jestem aktorką - broniła się Alexa, przygnieciona zarzutem, który tak jasno wyrażały wysoko uniesione, patrycjuszowskie brwi Hillary, oskarżającej ją o to, że wstyd nie pozwala się jej przyznać do prawdziwego pochodzenia.

Kto by się zresztą nie wstydził? - mówiły wyraźnie oczy Hillary. Kto by nie chciał ukryć przeszłości tak całkowicie pozbawionej bogactwa, wychowania, klasy? Alexandra Taylor to bardzo pospolita osoba - ostrzegała Hillary swoje dobrze urodzone koleżanki - i dlatego należy się trzymać od niej z daleka.

Ostrzeżenie Hillary nadeszło jednak za późno. Alexa zdążyła już bowiem wyrzucić ogromne wrażenie na swoich nowych znajomych płci obojga i dzięki temu, że złośliwości Hillary nie zachwiały w najmniejszym stopniu pewności siebie, zdobyła kolejnych wielbicieli. Świeciła nadal pełnym blaskiem, choć odniosła bolesne rany.

Naśladowując idealnie perfekcyjny południowy akcent Hillary, Alexa wykorzystała zasadę, iż najlepszą obroną jest atak. Odsłoniła całą pretensjonalność i małostkowość koleżanki, nie zmrużywszy choćby na chwilę niewinnych szmaragdowych oczu. Nawet najwierniejsze przyjaciółki Hillary wydawały się oczarowane tym przedstawieniem. Dziewczęta, zwabione urokiem oraz odwagą Alexy, nie chciały jednak urazić potężnej Hillary i nie od razu przeszły na stronę jej wroga. Chłopcy natomiast, z chłopakiem Hillary włącznie, odwrócili się od niej natychmiast. Hillary - niczym marmurowy pomnik na wysokim piedestale, stojący poza zasięgiem rozkochanych oczu - stanowiła przez całe lata obiekt ich pragnień. Niedostępność dodawała jej jeszcze tajemniczego powabu. Teraz jednak mieli Alexę. Alexę, która nie była wcale niedostępna, a mimo to jeszcze bardziej czarująca. Dzięki tej ciepłej dziewczynie i jej pięknemu uśmiechowi czuli się ważni i wyjątkowi.

Alexa była bardzo popularna, ale doskwierała jej samotność. Dzięki Hillary mogła jednak uwolnić potwory, ukryte dotąd głęboko na dnie jej serca. Nienawiść znalazła ujście.

Hillary Samantha Ballinger okazała się godnym przeciwnikiem. Sama, wyposażona w cały arsenał złych i niskich uczuć, zasługiwała całkowicie na potwory Alexy. Hillary rozpoczęła wojnę, Alexa nie omieszkała się jej zrewanżować, i z czasem walki stawały się coraz bardziej zażarte, ostre - lecz uczciwe.

Dopóki ich ofiarą nie padła zupełnie niewinna osoba.

Był późny kwiecień. Jane i Alexander pojechali właśnie do Topeki, by odwiedzić chorego przyjaciela, a Cat zostawili pod opieką Alexy. Zadanie wydawało się proste - dwunastoletnia Cat była całkowicie samowystarczalna. Poza tym od zmierzchu do świtu siedziała przy fortepianie, zatracając się całkowicie w muzyce. Zatracona w muzyce, więc bezpieczna... Niezupełnie. W stanie upojenia mogła na przykład nie zauważyć pożaru lub bandyty, który stałby nad nią z siekierą w rękę, gotów zadać śmiertelny cios.

Nadeszła sobota, Jane i Alexander wciąż bawili w Topece, a Alexa zapragnęła obejrzeć mecz polo między szkołą Ballingera i Highland Park. Wcale nie marzyła o towarzystwie młodszej siostry, ale nie mogła zostawić Catherine gdyż rodzice powierzyli małą jej opiece, a co by się stało, gdyby...

Zabrała ją zatem ze sobą, a przybyły na boisko akurat w chwili, gdy Hillary - otoczona trzema wiernymi przyjaciółkami - wysiadała ze srebrnego BMW. Na widok swej nieprzyjaciółki Alexa westchnęła głęboko. Już za sześć tygodni kończyła się szkoła, a więc i wojna z Hillary. Miały się już nigdy nie zobaczyć. Alexa postanowiła solennie, że przez ostatnie sześć tygodni będzie jej po prostu unikać. Teraz jednak nie mogła udąć ślepej a wiedząc, że Hillary nie pomija żadnej okazji do utarczki, zebrała siły, by inteligentnie i swobodnie odeprzeć ewentualny atak.

- Proszę, proszę. Czy mnie wzrok myli, czy to naprawdę ta nędzna wywłoka z Kansas?

Alexa była tak zaskoczona, że przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Niezwykle obraźliwa uwaga Hillary miała w sobie jeszcze więcej jadu niż zazwyczaj, toteż riposta nie przyszła od razu. Alexa musiała się nad nią zastanowić. Tymczasem jednak ciszę przerwał ktoś trzeci.

- Jak śmiesz w ten sposób mówić do mojej siostry? - wykrzyknęła odważnie bardzo zwykle nieśmiała Catherine. Ta sama Catherine, która nie posiadała się z radości, że ukochana starsza siostra chce z nią spędzić trochę czasu, a mimo to nie zdobyła się na odwagę, by w drodze na boisko odezwać się do niej choć słowem.

Hillary przeniosła wzrok z Alexy na Catherine i omiotła pogardliwym spojrzeniem przesadnie krótkie włosy dziewczynki, jej niewiarygodnie szczere niebieskie oczy i drżące usta. Lodowaty spokój ustąpił natychmiast miejsca perwersyjnej wręcz radości. Kimże była ta całkowicie pozbawiona klasy istotka, najwyraźniej przerażona własną śmiałością? Czyżby to coś w pognicionym podkoszulku i wypchanych džinsach uznano za naprawdę świetną pianistkę? Czy to naprawdę przez tę małą Alexa Taylor wkroczyła tak niespodziewanie w życie Hillary?

- Co... przepraszam bardzo... kto to jest? - spytała Hillary, odwracając się do koleżanek. A nie doczekawszy się wyjaśnień, popatrzyła znów spokojnie na Alexę i wycedziła:

- To twój braciszek? Takie brzydkie kaczątko chyba nigdy nie zmieni się w łabędzia.

Alexa miała ochotę uderzyć Hillary, nawet ją udusić. Czowała, że okrutne słowa dziewczyny były dla Cat bardzo bolesne. W cudownych, szafirowych oczach błysnęły łzy. Łzy w oczach Catherine! Tej Catherine, która nigdy nie płakała! Catherine, która nie odczuwała bólu. Catherine, którą właśnie Alexa chciała skrzywdzić...

A teraz dziewczynka cierpiała naprawdę, a serce Alexy wyło z rozpacz. Młodsza siostra stanęła natychmiast odważnie w jej obronie. Proszę.. modliła się w myślach Alexa. - Niech ona nigdy nie odkryje, że jej nienawidziłam... Niech zapomni, że próbowałam ją dręczyć. Niech mi przebaczy. Raz jeszcze.

Choć nigdy dotąd nie zdobyła się na to, opiekuńczym gestem objęła siostrę i wyczuła jej drżenie.

- Idziemy, Cat - szepnęła, zacieśniając uścisk. - Ci ludzie nie zasługują twoje towarzystwo. Jesteś dla nich stanowczo za dobra.

Gdy dotarły do auta, usiadły i rozpoczęły pierwszą w życiu rozmowę.

- To, co ona mówiła, wcale nie jest prawdą - zaczęła Alexa.

- Wiem, ale jak mogła w ogóle coś takiego o tobie powiedzieć?

- Och... - zająknęła się Alexa. - Ja miałam raczej na myśli jej komentarze na twój temat. To wszystko bzdury! Po pierwsze, szczyć się tym, że mam taką siostrzyczkę. Po drugie, jesteś bez wątpienia dziewczynką. Po trzecie, śliczną dziewczynką.

Alexa naprawdę uważała Cat za piękność. To prawda, siostra miała trochę za krótkie włosy, które okalały jej główkę niczym ciemny, aksamitny czepek. Ta praktyczna fryzurka uwydatniała jednak ogromne, błękitne oczy. Ponadto Cat była może istotnie zbyt pulchna, lecz dzięki temu tryskała zdrowiem. Pochłonięta muzyką, nie myślała nigdy o swoim wyglądzie. Aż do tej chwili. Niemniej jednak Alexa mogła się założyć, że jej siostra - świadoma swych walorów lub nie - wyrośnie na piękną kobietę.

- Nie, to ty jesteś ta śliczna - rzekła z dumą Catherine.

- W takim razie obie nie możemy narzekać na brak urody. Wszystko, co mówiła o tobie Hillary, to bzdura. O mnie też plotła jakieś banialuki. - Alexa nie była nawet pewna, czy Catherine rozumie sens słowa „wywłoka”. Miała nadzieję, że nie. Wystarczyło samo „nędzna”. Zresztą i tak Hillary kłamała. Alexa straciła już wprawdzie dziewictwo w pewną księżycową noc, na polu kukurydzy, kiedy skończyła szesnaście lat, lecz choć uwodziła wszystkich chłopców z Ballinger, z żadnym z nich nie spała. A uwodziła ich tak artystycznie, że można jej było co najwyżej zarzucić okrucieństwo, a nie lekkie obyczaje.

- Wiem - odparła Cat, po czym na chwilę całkiem zapomniała o Hillary i zebrała się na odwagę, by porozmawiać ze starszą siostrą o czymś niezwykle ważnym.

- Powiedziałaś do mnie: Cat?

- Tak cię przezywam - odparła cicho Alexa. Siostra, której istnienie forowała konsekwentnie przez tyle lat, miała jednak przezwisko. Przewisko me związane z żadnym uczuciem, wręcz odwrotnie. Przypominało jedynie o nieuchronności losu. - CAT to są przecież twoje inicjały. Moje to ACT. ACT jak aktorka. Ty specjalizujesz się w muzyce.

Wróciła myślami do tych wszystkich bezsennych nocy, kiedy zastanawiała się godzinami, jak inaczej wyglądałoby jej życie, gdyby to ona nazywała się Catherine Alexandra, nie Alexandra Catherine. Może miałyby wówczas talent muzyczny, tak ważny dla jej rodziców?

- Cat - szepnęła Catherine, a w jej szafirowych oczach błysnęła radość. Dziewczynka cieszyła się najwyraźniej, że Alexa wymyśliła dla niej przezwisko, że w ogóle o niej myślała.

- Podoba ci się?

- Och tak! Bardzo.

Jane i Alexander uważali, że przezwisko wcale nie pasuje do Catherine; nadawało się znacznie lepiej dla smukłej, zielonookiej Alexy, pełnej kociego wdzięku. Przyjęli je jednak z radością, ponieważ podobało się Catherine. Zrozumieli natychmiast, że stał się cud. Tak długo pragnęli, by ich córki zostały siostrami!

Do wyjazdu Alexy do Nowego Jorku i powrotu pozostałej części rodziny do Topeki pozostało zaledwie sześć tygodni, lecz siostry postanowiły ten czas w pełni wykorzystać. Były to niezwykle kruche początki, nieśmiałe spotkania obcych sobie dziewcząt, które - wiedzione nagłą potrzebą serca - postanowiły zostać przyjaciółkami. Alexa zapraszała Cat do sypialni i krzątała się po pokoju, rozprawiając o wszystkim i o niczym, a młodsza siostra słuchała jej z zainteresowaniem, zafascynowana potokiem tych ciekawych, inteligentnych słów. Przeważnie tylko słuchała, lecz czasem udawało się jej jakoś pokonać nieśmiałość i - jak zauważyła Alexa - wtedy zawsze mówiła szczerze i... niezwykle mądrze.

- Chyba powinniśmy wybaczyć Hillary - zaproponowała na tydzień przed zakończeniem szkoły.

- Chyba żartujesz - odparła Alexa, patrząc w szafirowe oczy siostry, które jednak nigdy nie żartowały. - Nie ma mowy.

- Powinniśmy jej współczuć, Alexo.

- Współczuć?

- Oczywiście. Hillary jest z pewnością bardzo nieszczęśliwa, skoro musi być aż tak okrutna.

Alexa zerknęła na Cat, szukając w jej dziewczęcej, poważnej twarzyczce jakiegoś dowodu na to, że mała tak naprawdę mówi o niej, Aleksie, i właśnie jej przebacza. Ale na dnie szafirowych oczu nie dostrzegła żadnej ukrytej wiadomości. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna się zdobyć na wyznanie prawdy. Masz rację, Cat. Hillary jest z pewnością bardzo nieszczęśliwa, skoro musi się posuwać do takiego okrucieństwa. Podobnie jak ja, gdy postępowałam tak samo okrutnie wobec ciebie. Jestem podobna do Hillary. Obie lubimy być podziwiane i adorowane. A kiedy czujemy się zagrożone, wypuszczamy na wolność potwory ukryte w naszych sercach, by pożarły tych, których się boimy.

Alexa nie powiedziała jednak prawdy Cat ani nie wybaczyła nigdy Hillary. Próbowwała jedynie nie myśleć o Hillary Ballinger, bowiem wspominając swą największą nieprzyjaciółkę, musiała jednocześnie wspominać najbrzydszą część siebie. A wiele dałaby za to, by uwierzyć, iż ta właśnie część nigdy nie istniała.

Teraz jednak Hillary była żoną przyjaciela Jamesa. Alexa rozumiała, iż tak naprawdę broni się przed tym

spotkaniem ze strachu. W oczach dawnej antagonistki mogła znów ujrzeć własne odbicie.

Lustreczko, powiedz przecie...

Tamta Alexa już nie istniała. Czy aby na pewno? Przyjmując na siebie role godnych podziwu kobiet, z prawdziwą Alexą spędziła bardzo mało czasu. Dzięki temu uniknęła zdradzieckich poszukiwań potworów, mieszkających być może nadal w zakamarkach jej serca. Od chwili, gdy zawarła znajomość z Jamesem, bardzo chciała wierzyć, że potwory już sobie poszły. James znał ją znacznie lepiej, niż ktokolwiek inny i Alexa zaczynała się powoli ludzić, że jest naprawdę sympatyczna.

James lubi cię tak bardzo, bo cię nie zna. Ta okrutna świadomość nadeszła nagle, znikąd, niczym ognisty podmuch dobywający się z paszczy smoka. Alexa westchnęła cicho, godząc się w ten sposób z nieuchronnym losem. Wiedziała, że nie pozostaje jej nic innego, jak wyznać Jamesowi prawdę, być może odkryć znacznie więcej kart, niż on sam chciał poznać. Lecz - podpowiadał jakiś prowokujący szept - jeśli wyznasz prawdę Jamesowi, który jest twoim przyjacielem, być może pewnego dnia zdobędziesz się na odwagę i uczynisz to, co niezbędne, aby raz na zawsze przegnać potwory: wyjawisz swą ponurą tajemnicę siostrze.

James rozmawiał z klientem z San Francisco, nie spuszczać oczu z Alexy. Jej twarz wyrażała całe spektrum uczuć. Kiedy skończył rozmowę, nadal na nią patrzył, najwyraźniej nie chcąc przerywać tej niezwyklej podróży emocjonalnej. Kiedy jednak Alexa westchnęła z rezygnacją i jej oczy wypełniły się smutkiem, nie mógł dłużej na to patrzeć. Cierpienie tej kobiety sprawiało mu przykrość, lecz to, że ono zawsze jej zagrażało, zaczajone w ukryciu, czyhające tylko na odpowiedni moment, przyprawiało go o wściekłość, wyznanie mogło jej wyłącznie pomóc.

Podszedł bliżej. Puchaty dywan tłumił kroki. Alexa poczuła na sobie cień mężczyzny i popatrzyła mu w oczy.

- Chodźmy, kochanie - powiedział łagodnie.

6

Całkiem nowy - powiedział James na widok fortepianu Steinway stojącego w salonie. Te ciche słowa przerwały ciszę, która towarzyszyła im w drodze do mieszkania Alexy.

- Doszłam do wniosku, że tak jest bezpieczniej. Dzięki temu Cat nie będzie musiała chodzić do Juilliarda za każdym razem, gdy będzie chciała poćwiczyć. - Alexa wiedziała, że Cat, wiedzona miłością do muzyki, byłaby gotowa wędrować po Manhattanie o każdej porze, nie zważając na niebezpieczeństwa grożące jej w mieście. - Ściany mieszkania są chyba dość solidne, tak że będzie mogła grać całą noc, nikomu nie przeszkadzając. Chciałabym cię prosić, żebyś mi pomógł to sprawdzić. Zagraj *Chiński ryż* albo coś w tym rodzaju, a ja tymczasem pójdę do sąsiadów.

- Oczywiście. Bardzo chętnie. - Zawahał się chwilę. - To niezwykle miłe z twojej strony - dodał, patrząc z podziwem na fortepian.

Alexa wzruszyła ramionami i podeszła niepewnie do instrumentu. Długimi, starannie wymanikiurowanymi palcami przesunęła ostrożnie po czarno-białych klawiszach, wydobywając z niego czyste, bogate dźwięki.

- Nie zawsze byłam miłą dla Cat - wyznała klawiaturze.

- Ale ona jest dla ciebie bardzo ważna.

- To prawda.

- Opowiedz mi o tym.

James wyciągnął rękę na znak, że powierzając mu swój najczarniejszy sekret, będzie bezpieczna. Alexa jednak wcale do niego nie podeszła. Usiadła na stołku, zdziwiona niezwykle twardością siedzenia, z którego Cat korzystała tak chętnie przez tyle godzin dziennie. A potem opowiedziała Jamesowi historię sióstr Taylor od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała

Cat. Nie szcędząc sobie ostrych słów, zwierzyła mu się ze wszystkich podłych uczuć i niewybaczalnych zbrodni.

- Cat była idealnym dzieckiem. Zawsze taka spokojna, łagodna, królewska... jak prawdziwa księżniczka. Nigdy nawet nie płakała.

- Z pewnością płakała - zaproponował James, przerywając jej po raz pierwszy od dłuższego czasu. Chciał zatrzymać ten bolesny monolog dużo wcześniej, lecz wiedział, że to nie ma sensu. Alexa i tak nie zechciałaby słuchać jego zapewnień. Musiała wyznać wszystko, od początku do końca. Teraz jednak, korzystając z krótkiej przerwy w tym potoku samooskarżeń, postanowił urealnić choć trochę tworzony przez Alexę portret siostry. - Wszystkie dzieci płaczą.

- Ale nie Cat. Naprawdę, Jamesie. Ona nigdy nie płakała. - Alexa wbiła długie paznokcie w grzbiet dłoni. - Choć próbowałam ją zmusić do płaczu.

- Mówiąc, że jej nienawidzisz? Ależ ona była wtedy bardzo mała, zdecydowanie za mała, żeby cokolwiek zrozumieć albo zapamiętać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - szepnęła Alexa. - Jakże bardzo pragnęła, by Cat niczego nie pamiętała. Nic, a już na pewno nie to... - Kiedyś próbowałam jej nawet wyrządzić krzywdę, fizyczną krzywdę. Widocznie bardzo był mi potrzebny dowód, że nie jest doskonała.

- Jak zamierzałaś ją skrzywdzić? - spytał James, choć widok udręczonej twarzy Alexy napawał go głęboką troską i wołałby zdecydowanie nie rozwódzić się nad tym. Szmaragdowe oczy pociemniały, stały się niemal czarne. Aż do tej pory nie wierzył, by Alexa mogła uczynić coś naprawdę strasznego, coś co tłumaczyłoby udrękę malującą się teraz jej twarzy. - Powiedz, jak?

- Uszczypnęłam Cat. Nie tak mocno, by został ślad, lecz żeby doprowadzić ją do płaczu. Wypróbowałam to najpierw na sobie. Bolało. Ale Cat nie uroniła ani jednej łzy. Patrzyła tylko na mnie tymi swoimi wielkimi niebieskimi oczami. A z jej oczu, oprócz ogromnego zdziwienia, wyczytałam przebaczenie.

Alexa patrzyła na splecione na kolanach ręce. Nie mogła podnieść wzroku na Jamesa. Zastanawiała się tylko, czy usłyszy jego kroki na dywanie, gdy będzie wychodził. Nie, nie będzie mogła ich usłyszeć - szum krwi uderzającej jej do głowy zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Nie mogła usłyszeć kroków, lecz wiedziała, że gdy wreszcie podniesie wzrok, Jamesa już nie zobaczy.

- I to wszystko? - spytał łagodnie, zgadując, że Alexa, która najwyraźniej czuła się tak, jakby popełniła zbrodnię, naprawdę nie ma już nic do dodania.

- Wszystko? - powtórzyła i, zdziwiona własną odwagą, wreszcie na niego popatrzyła. - Czy to nie wystarczy? Nie sądzisz, że postąpiłam bezwzględnie i okrutnie?

- To chyba dość typowy przypadek zazdrości o względy rodziców. W dodatku niezbyt poważny. Jeśli chcesz mnie przekonać o swym rzekomym okrucieństwie, musisz coś dodać.

- Nie ma nic więcej. Potem po prostu nie zwracałam na nią uwagi.

- A jej było przykro?

- Nie sądzę. Miała tak cudowne życie, pełne muzyki i miłości rodziców.

- Tak więc bardzo dawno temu byłaś zazdrosna o młodszą siostrę. Nie zapominaj, że pozycją jedynaczki cieszyłaś się tylko sześć lat. To wszystko naprawdę ma sens. Zresztą historia wydaje mi się typowa... Gdy teraz mówisz o Cat, nie słyszę w twoim głosie zazdrości czy nienawiści. Wyłączne miłość i dumę. No i jeszcze niepewność...

- Naprawdę jestem dumna z Cat i bardzo ją kocham, choć prawie się nie znamy.

- Więc coś się po drodze zmieniło?

- Tak. - Alexa pokręciła ze zdumieniem głową. Uświadomiła sobie nagle, komu zawdzięcza tę zmianę.

- Cóż takiego?

- Poznałyśmy Hillary Samanthę Ballinger.

- O!

- Ledwo przyjechałam do Ballinger Academy, Hillary zaczęła przekonywać absolutnie wszystkich, że nie zasługuję na tę szkołę.

- Rozumiem - odparł cicho James.

Jako dorosła kobieta, a co najważniejsze, żona Roberta, Hillary musiała się nauczyć ukrywać lekceważenie dla tych, których uznawała za gorszych od siebie. Mógł sobie jednak z łatwością wyobrazić pogardę, z jaką Hillary traktowała piękną, atrakcyjną dziewczynę z Kansas. Rozumiał również doskonale, co czuła Alexa.

- Z pewnością nie byłam wystarczająco dobra dla Hillary. Ale jej przyjaciele, z chłopakiem włącznie, bardzo szybko mnie zaakceptowali.

- Ukradłś jej chłopaka?

- To nie był wielki skok. Chłopak sam do mnie przyszedł.

- I co? Był do rzeczy?

- Oczywiście, że nie. W końcu interesował się kiedyś Hillary, co świadczyło o tym, że mylnie ocenia ludzi i nie jest za mądry.

- Więc to była tylko zabawa?

- Nie, Jamesie. Tylko wojna.

Opowiedziała mu o niedzielnym spotkaniu na boisku do gry w polo.

- Hillary nazwała cię naprawdę wywłoką? - spytał, zaczynając rozumieć wrogość pomiędzy bogatą dziedziczką i ubogą dziewczyną z Kansas.

- Naprawdę. Nie wiem, ile z tego zrozumiała Cat, ale stanęła w mojej obronie. Walczyła z Hillary jak dzielny terier ze wściekłą tygrysią.

- A co ty zrobiłaś?

- Objęłam młodszą siostrzyczkę, której nie dotykałam od lat, i poszłyśmy do domu.

- A ja mógłbym cię teraz objąć? - zaproponował, robiąc krok w jej stronę. Alexa wyszła mu na spotkanie szczęśliwa, że mimo tego, co powiedziała, James wciąż pragnie trzymać ją w ramionach.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - wyszeptał, gładząc jej włosy. A potem zaprowadził ją na kanapę i zachęcił do zakończenia opowieści. - I właśnie tam, na boisku do gry w polo siostry Taylor zostały przyjaciółkami?

- Nie wiem - odparła cicho. - Przez te sześć tygodni, które mi pozostały do wyjazdu do Nowego Jorku na pewno próbowałyśmy się do siebie zbliżyć. Tak mi się przynajmniej wydaje. Potem już widywałyśmy się raczej rzadko, na święta, podczas wakacji. Z czasem przestałyśmy nadążać za zmianami, jakie zachodzą w naszym życiu. W ciągu tych ośmiu lat Cat wyrosła na młodą kobietę, a ja...

- A ty zostałaś supergwiazdą. Może Cat razi twój blask?

- Ależ skąd! Przecież ona osiągnęła znacznie więcej.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo to prawda. Moja kariera, wizerunek, sukces są może bardziej spektakularne, ale wspominałam ci przecież o konkursach, które wygrała Cat, jej nagraniach... Mówiłam ci też chyba, że jej agentem jest Fordyce. Trudno o lepszą agencję artystyczną. Osiągnięcia Cat są znacznie większe. Przeszkodziła jej jednak moja popularność. Kiedy jeżdżę do

domu, do Topeki, bez przerwy przychodzą do mnie sąsiedzi i znajomi, a gdy odwiedzałam Cat w Oberlin, wszystkie koleżanki z jej grupy chciały mnie poznać.

- I dlatego nie możesz się już doczekać jej przeprowadzki do Nowego Jorku? Dlatego, że tutaj ignoruje się gwiazdy?

- Tak. Poza tym po raz pierwszy w życiu czuję, że Cat i ja jesteśmy równolatkami. W dzieciństwie sześć lat różnicy to całe pokolenie, ale teraz obie jesteśmy dorosłe, mieszkamy z dala od domu, robimy karierę. - Zawiesiła głos. - Marzę czasem, że nawet kiedy ona zamieszka tutaj a ja w Waszyngtonie, spróbujemy się widywać. Wiesz, ja na przykład polecę na drugie śniadanie do hotelu Plaza, a ona zechce spędzić weekend w Różanej Skale - dokończyła z nadzieją. - Takie siostrzane fantazje...

- Cat na pewno również tego pragnie.

- Nie. Cat musi przyjechać do Nowego Jorku i najlogiczniej będzie, jeśli zamieszka w moim mieszkaniu, które inaczej stałoby puste co najmniej pół roku. I tyle.

James popatrzył Aleksie w oczy i zapragnął ją nagle przekonać, że Cat, podobnie jak i ona marzy o ciepłych, rodzinnych stosunkach. Nie mógł jednak tego wiedzieć, więc jego argumenty zabrzmiałyby po prostu fałszywie.

- Czy w tę sobotę Cat naprawdę obchodzi urodziny? - spytał, przypomniawszy sobie niezdarne wykrety Alexy, do których próbowała się uciec w rozmowie z Robertem.

- Tak.

- I wybierasz się do Oberlin?

- Nie. - Alexa zmarszczyła brwi. - Wybierają się tam moi rodzice. Próbuję nie popadać w paranoję, ale... Kiedy zasugerowałam mamie, że mogę poprosić o zastępstwo i zjeść z nimi urodzinową kolację, nie wydawała się zachwycona. Odniosłam wrażenie, że nie będę mile widzianym gościem.

- Pewnie coś źle zrozumiałaś. Może w takim razie wymyślimy coś specjalnego na ten wieczór? Będziemy prywatnie świętować urodziny Cat. I zrezygnujemy z kolacji z Robertem i Hillary.

- Naprawdę?

- Naprawdę - uśmiechnął się James i poszukał jej ust. - Bardzo się za tobą stęskniłem.

- Ja też.

- Wspominałaś coś o rozkosznej fuzji? A może założymy przyjacielską spółkę?

James prowadził ją do sypialni, a ona rozmyślała, jak bardzo za nim tęskniła. Dlaczego? Bo łączyła ich wielka namiętność i coś dużo ważniejszego: przyjaźń. Przyjaźń, która w ciągu ostatnich kilku godzin stała się jeszcze bliższa. James słuchał, był delikatny i nie przestawał w nią wierzyć. Istniała zatem szansa, że ona sama pewnego dnia zacznie wierzyć w siebie. Myśląc o łączącym ich związku, uświadomiła sobie nagle, że przez jej egoizm pewna inna ważna przyjaźń doznała uszczerbku.

Gdy dotarli do sypialni, James objął Alexę w talii i popatrzył jej w oczy. Sądził, że ujrzy w nich - jak zawsze - tak dobrze sobie znane pożądanie i tę cudowną niecierpliwość. Alexa patrzyła jednak na niego z powagą. Zmarszczyła nawet brwi.

- O co chodzi? - spytał.

- Robert to twój dobry przyjaciel, prawda?

- Tak.

- Traktujesz go jak brata?

- Tak mi się wydaje.

- A więc wy też rywalizujecie między sobą. Może toczyliście ze sobą wojnę, kiedy na horyzoncie pojawiła się

Hillary?

- Nie - odparł James ze śmiechem. - Nie toczyliśmy ze sobą wojen. - Harvard ukończyliśmy na pierwszym i drugim miejscu. Robert był pierwszy. Ale nawet i to nie oznaczało mety trzyletniego współzawodnictwa.

- I tak spokojnie mówisz o tym, że byłeś drugi? Aż trudno uwierzyć...

- Robert zasługuje na to, aby być pierwszy - odparł cicho James. - Czy wiesz o nim coś oprócz tego, z kim się ożenił?

- Niewiele. Mówi się o nim dużo w Waszyngtonie, ale ja, ze względu na Hillary, nie brałam nigdy udziału w tych dyskusjach. Mimo to zdaję sobie sprawę, że dosłownie wszyscy widzą w nim przyszłego prezydenta.

- To prawda.

- W takim razie chyba powinnam się o nim czegoś dowiedzieć. - Alexa westchnęła teatralnie, a potem znowu się uśmiechnęła. - A od kogo, jeśli nie od ciebie? - Pocałowała go w usta i usiadła na brzeжку łóżka z miną dziecka, które nie może się doczekać wieczornej bajeczki. - Zamieniam się w słuch.

Czekając, by James usiadł na stojącym w pobliżu krześle i pozbiierał myśli, próbowała odgadnąć, co za chwilę usłyszy. Spodziewała się opowieści o bogactwie i przywilejach, złotym życiu złotego chłopca, życiu bez walki czy cierpień. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Cóż - rozpoczął James. - Robert urodził się na wsi, w Wirginii. Jego ojciec opuścił matkę, gdy chłopiec miał dwa lata. Pół roku później przyszła na świat jego siostra, Brynne. Rodzina była bardzo biedna, Robert musiał już od dzieciństwa pracować na jej utrzymanie. Jest bardzo zdolny, mówiłem ci już, że ukończył Harvard z pierwszą lokatą, ale w szkole miał całkiem przeciętne oceny.

- Widocznie za dużo pracował zarobkowo?

- Pewnie tak. W każdym razie nie otrzymał stypendium na naukę w college'u, a nie mógł jednocześnie studiować i pracować, postanowił więc wstąpić do wojska.

- Mógł najpierw popracować przez kilka lat, a później rozpocząć studia. Dlaczego tak nie zrobił?

- Robert ma trzydzieści osiem lat, jest o cztery lata starszy ode mnie. O cztery bardzo krytyczne lata. Ukończył szkołę, gdy toczyła się jeszcze wojna w Wietnamie. Każdy zdrowy młody człowiek, który skończył osiemnaście lat, mógł wtedy zostać powołany do wojska. Robert zaciągnął się na ochotnika, ale i tak nie uniknąłby służby. Zresztą żołd gwarantował mu skromny, lecz stały dochód, mógł pomóc matce i Brynne. A kiedy wysłano go do Wietnamu, zaczął otrzymywać dodatek bojowy.

- Był w Wietnamie? - spytała cicho. Należała do zupełnie innego pokolenia, była za młoda, by pamiętać emocje i podziały, jakie towarzyszyły tej wojnie. Wszystko, co o niej wiedziała, zlało się całkowicie w zamazany, mętny kalejdoskop niezrozumiałych obrazów. Na temat wojny wietnamskiej powstawało coraz więcej filmów, lecz ona uważała, że interpretacja wydarzeń z tamtych lat często służy nie historii, lecz polityce, w zależności od aktualnych potrzeb. Jedno było pewne: życie ludzi, którzy brali udział w tej wojnie, uległo nieodwracalnym zmianom. - Walczył?

- Był żołnierzem, Alexo. Walczył - odparł James z westchnieniem. Wiedział, że sam jest naprawdę wyjątkowym szczęściarzem. W porównaniu z Robertem wiódł naprawdę łatwe życie i mógł się uważać za wybrańca losu. - Z pola bitwy o przetrwanie wskoczył prosto w serce koszmaru. Robert nigdy nie wspomina ani słowem o swoim dzieciństwie ani o Wietnamie. O jego młodości opowiadała mi Brynne, a o wyczynach wojennych czytałem w prasie.

- I co pisali?

- O medalach jakie zdobył. A przede wszystkim o jego zdolnościach przywódczych i bohaterstwie ludzi, z którymi służył.

- Więc był bohaterem wojennym?

- Chociaż nigdy by sam siebie ten sposób nie określił. W każdym razie, zanim wrócił z Wietnamu, umarła jego matka, a Brynne została studentką na Uniwersytecie Wirginijskim. Robert zapisał się na ten sam uniwersytet dzięki stypendium, jakie otrzymał z armii, ukończył college, a potem Harvard. Mógł dostać pracę w każdej prywatnej firmie w kraju, ale już podczas studiów planował karierę w służbie publicznej. Tak więc zaraz po dyplomie rozpoczął pracę w biurze prokuratora okręgowego w Richmond. Zablýsnał jako oskarżyciel i miał ogromne szanse zostać prokuratorem, lecz pewne siły polityczne przedstawiły mu alternatywny plan. Dlatego wziął udział w wyborach do senatu.

- I odniósł ogromny sukces. Wszyscy wierzą, że kiedyś zostanie prezydentem - powiedziała cicho Alexa.

- Owszem - przyznał James.

Po chwili wymownej ciszy Alexa przechyliła lekko złotowłosą głowę i uśmiechnęła się tajemniczo.

- Jeszcze mi nie opowiedziałeś najgorszego.

- Nie?

- W jaki sposób ów kochający syn i brat, bohater wojenny i patriota, genialny prawnik i oddany urzędnik państwowy poznał tę podłą wiedźmę z Południa.

- Robert poznał uroczą, czarującą i piękną Hillary w Dallas. Przyjechał tam, by przedyskutować swoją kandydaturę do senatu z ojcem Hillary, Samem Ballingerem.

- I były gubernator obiecał, że zaprotęguje go do senatu, albo nawet wprowadzi do Białego Domu, jeśli poślubi jego córkę? - zakpiła Alexa, lecz szybko zmusiła się do powagi. - Sam bez wątplenia wie, że nikt nie ożeniłby się z Hillary, nie mając takiej motywacji. Nie wystarczyłyby nawet jego pieniądze z nafty. Widocznie Robert myślał o paru dodatkowych głosach w wyborach prezydenckich. Na przykład głosach całego stanu Teksas...

- Jesteś naprawdę urocza, ale się mylisz. Robert McAllister polega wyłącznie na sobie. Poznał Hillary i postanowił się z nią ożenić.

- A Hillary? Nigdy przesadnie nie przepadała za szaraczkami takimi jak my. Sądzę jednak, że jeśli ślub z biednym prowincjuszem mógłby jej zapewnić bilet do elit Waszyngtonu, albo nawet do Białego Domu, zgodziłaby się znieść nawet takie upokorzenie.

- Nie sądzisz, że doceniła po prostu wielkość Roberta?

Alexa wstrzymała oddech z wrażenia. Ton Jamesa i poważny wyraz jego oczu mówiły same za siebie.

- Ty naprawdę go szanujesz.

- Owszem. Bardzo.

- A Hillary?

- Ona jest jego żoną.

Alexa westchnęła lekko. Wiedziała, jak powinna się zachować, choć naprawdę ją to przerażało. W towarzystwie Jamesa czuła się jednak znacznie bezpieczniej niż sama.

- Chyba powinniśmy zjeść z nimi kolację.

- Tak myślisz?

- Jeśli Hillary ma rzeczywiście na to ochotę. To nie przez przypadek nie zetknęłam się z nimi przy żadnej okazji, choć mieszkam w Waszyngtonie już od trzech lat.

- Robert chyba nie ma pojęcia, że się znaliście. Na pewno wspomniał by mi o tym.

- Może nie wie. Ale i tak musimy dać Hillary szansę, by mogła odwołać kolację.

- Dobrze. - James podszedł do Alexy i objął ją w talii. - Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Absolutnie - odparła z rosnącą wiarą w słuszność swej decyzji. Ciemnoniebieskie oczy Jamesa przekazywały jej bowiem wspaniałą wiadomość: James był z niej dumny. Z radości zakręciło się jej w głowie. Poczula się przy tym całkowicie bezpieczna i pewna, że zaraz będą się kochać, gdyż o tym również mówiły jego oczy.

- Oczywiście nie będę mogła głosować na Roberta w wyborach.

- Nie?

- Ma tę samą wadę co były chłopak Hillary. Mylnie ocenia ludzi. Czy taki człowiek może zostać prezydentem?

- Rozumiem - mruknął i zaczął ją całować. - Dlatego nie pozwalają dzieciom na głosowanie. Trzeba być dorosłym, by mieć prawo głosować.

- A ja nie jestem dorosła? - spytała cicho, wzdychając z rozkoszy, bo tymczasem usta Jamesa rozpoczęły już swą podróż wzdłuż jej szyi, a niezwykle utalentowane ręce spoczęły na guzikach sukni.

- Może jesteś - szepnął. - A jeśli tak, zróbmy razem coś dorosłego? Co ty na to?

7

James przyjdzie dziś na kolację z Alexą - oznajmił Robert żonie. - Zdaje się, że ją znasz?

- Tak. James i Alexa...

Robert nie rozumiał, dlaczego powinien poinformować o tym żonę, ale teraz widząc niezadowolenie na jej pięknej twarzy, postanowił wyjaśnić sytuację.

- To dla ciebie jakiś problem?

- Oczywiście, że nie - odparła z wymuszonym uśmiechem.

- To dobrze.

Ale gdy Robert wrócił do dokumentów, które przeglądał przed telefonem Jamesa, uśmiech zniknął z twarzy Hillary. Spotkanie z Alexą to nie był dla niej, rzecz jasna, żaden problem, raczej przyczyna irytacji. Do tej pory udało się jej szczęśliwie uniknąć nemezis. Z każdym mijającym rokiem nazwisko Alexy pojawiało się jednak w coraz lepszym towarzystwie, co nieodmiennie wprawiało Hillary w złość. Czy ktoś w ogóle pamiętał, że to tylko aktorka, która wciela się w powierzone role, fałszywa znakomitość, nie mająca prawa do miejsca w waszyngtońskiej elicie?

Chyba nikt, ale Hillary wiedziała, że z czasem wszyscy złączą to rozumieć.

Teraz właśnie nadszedł ten czas.

Czekając na to, co nieuchronne, uśmiechnęła się do siebie. Tego wieczoru Alexa miała przybyć na spotkanie w towarzystwie Jamesa. Hillary była jednak przekonana, że przy następnej okazji, na przykład podczas jakiejś imprezy dobroczynnej, przyjdzie sama, bo James już dawno się nią znudzi. Aleksie nie uda się zatrzymać eleganckiego, bogatego, niecierpliwego Jamesa Sterlinga, a ona, Hillary, będzie się rozkoszować jej cierpieniem.

Alexa przygotowała się niezwykle starannie do roli osoby dorosłej - włosy spięła w wyrafinowany węzeł, włożyła prostą, elegancką suknię o szmaragdowozielonym odcieniu i dopasowała do niej odpowiednią skromną, złotą biżuterię. A James obiecał jej solennie, choć trochę przewrotnie, że nie zostawi jej ani na chwilę samej w towarzystwie Hillary. Alexa przyrzekła, że będzie bardzo miła, lecz gdy zbliżali się już do La Côte Basque, ogarnął ją nieoczekiwany przypływ paniki. Czy naprawdę będzie umiała zachowywać się tak, jakby nic między nią i Hillary nie zaszło? Jak powinna zareagować na powitanie w rodzaju „jak miło cię znów widzieć”? Właśnie miała wyznać Jamesowi, że popełniła wielki błąd i przy jego wydajnej pomocy przeceniła swą dojrzałość, gdy oboje stanęli oko w oko z Robertem i Hillary.

Pierwsza przemówiła Hillary.

- Pewnie miałaś nadzieję, że już się nigdy nie spotkamy.

Alexa wstrzymała oddech z wrażenia. Hillary wypowiedziała te słowa z chłodną elegancją; nie były, to rzecz jasna, przeprosiny ani też sugestia, że należałoby się pogodzić, a jedynie sposób rozpoczęcia rozmowy. Z nagłym podziwem dla swej antagonistki Alexa zdała sobie sprawę, że Hillary wybrała jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

- Ty zapewne też nie miałaś ochoty mnie widywać.

- Oczywiście, że nie.

- Stare dzieje?

- Stare dzieje.

Zerkając na swą dawną nieprzyjaciółkę poprzez migające światło świec, Alexa uświadomiła sobie nagle, że jej wspomnienia o Hillary to raczej mroczne, bezkształtne uczucia, aniżeli dokładne portrety samej Hillary. A wspomnienia te były tak obrzydliwe, że całkiem zapomniała, jaka piękna jest ta dziedziczka z Południa o włosach i oczach czarnych jak smoła.

Hillary była prawdziwą pięknoscią, a Robert bardzo przystojnym mężczyzną. McAllisterowie tworzyli idealną współczesną parę. Robert słuchał uważnie słów żony, a ona łowiła chciwie każdą wypowiedzianą przez niego kwestię; oboje zaś nagradzali uśmiechami wywody drugiego.

Idealne współczesne małżeństwo, myślała Alexa. Przyszło jej nawet do głowy, że gdyby w Hollywood powstał program o pierwszej parze nowej ery, polegający na obsadzeniu odpowiednich osób w roli prezydenta i jego żony, prezydentem zostałaby pewnie właśnie weteran wojny wietnamskiej, a Pierwsza Dama byłaby piękną, inteligentną kobietą śmiało wypowiadającą własne poglądy. Wrażliwe oczy prezydenta świadczyłyby o przeżytych koszmarze, lecz także wyrażałyby głęboką dumę z żony i jej świątłych opinii.

Nie ulegało wątpliwości, że Hollywood obsadziłoby w tych rolach Roberta i Hillary McAllisterów.

Lecz Robert i Hillary nie byli aktorami biorącymi udział w tym fikcyjnym castingu; oni istnieli naprawdę, a grali znakomicie.

To tylko gra - pomyślała nagle Alexa, zdumiona własnym spostrzeżeniem i przekonana jednocześnie, że musi się mylić. Miała przecież do czynienia z idealną parą, prawda? Oczywiście, choć perfekcyjnie wpisane w scenariusz gesty szacunku płynęły raczej z umysłów niż z serc i duszy. Nie było tu miejsca na żadne spontaniczne uczucia, porozumiewawcze spojrzenia, czy uśmiechy, które wzbudza jakaś niewinna, niezrozumiała dla innych, przywołująca intymne wspomnienia uwaga.

Poprawność - mówiła sobie w duchu. Poprawne, godne zachowanie pierwszej pary.

A sami gracze? Szczery, wrażliwy Robert McAllister wydawał się stanowczo zbyt idealny, by mógł być prawdziwy. Senator walczy chyba o swego prywatnego Oscara, myślała Alexa. Przedstawienie było nawet przekonujące i zasługiwałoby na statuetkę, gdyby nie to, że ten niezwykle utalentowany aktor realizował kiepski scenariusz. Jego autor, zapewne Robert we własnej osobie, zapomniał o wadach bohaterów, choćby najdrobniejszych, lecz uwiarygodniających postać.

Alexa chciała wierzyć w niezwykłą wrażliwość, która była w jego zmysłowych, ciemnych oczach, lecz nie bardzo się jej to udawało. W miarę upływu czasu czuła do senatora Roberta McAllistera coraz większą antypatię. Udawanie szczerości i wrażliwości świadczyło o arogancji tego człowieka.

A co z przyszłą Pierwszą Damą? Ona była przynajmniej uczciwa. Teraz, podobnie jak i osiem lat temu, nie udawała, że lubi Alexę. Teraz kryła swą pogardę głęboko pod pokrywką nieskazitelnych manier, lecz w gruncie rzeczy wcale się

nie zmieniła. Pozostała tą samą okrutną dziewczyną, którą Alexa pamiętała z Dallas.

- Opowiedz nam coś o sobie, Alexo - zaproponowała grzecznie Hillary, gdy zasiedli do kawy. Wieczór minął gładko; poruszali jedynie neutralne tematy. Aż do teraz. - Po maturze przeniosłaś się do Nowego Jorku?

- To prawda - odparła Alexa z uśmiechem, choć wiedziała, że Hillary zna z pewnością wszystkie szczegóły jej życiorysu i zastawia na nią pułapkę. - Przez rok studiowałam w Juilliardzie i potem dostałam pierwszą rolę telewizyjną.

- W operze mydlanej, prawda?

- Tak - odparła gładko Alexa, choć Hillary wymówiła słowa „opera mydlana” z wyraźnym obrzydzeniem. Będąc mecenasem sztuk pięknych gardziła tego rodzaju twórczością, która wydawała się jej równie niepojęta, jak to, że ktoś mógł się wychować na farmie. Alexa uśmiechnęła się uroczo, włożyła ręką pod stół i wbiła palce w udo Jamesa, nakazując mu milczenie. - Jeszcze przed trzema laty występowałam we *Wszystkich naszych dzieciach*. Potem zaczęła się *Pennsylvania Avenue*.

- Alexa pracowała również w teatrze i oczywiście grała w tym filmie - dodał James spokojnie, ujmując mocno jej rękę i kładąc ją na stole. Nie tłumacząc dokładnie, co rozumie przez „ten film” nadał swym słowom jeszcze większe znaczenie.

- *Jej Wysokość* to twój pierwszy film pełnometrażowy? - spytała Hillary. - Myślałam, że po drodze miałaś inne propozycje.

- Chodzi ci o filmy klasy B? - spytała Alexa.

Zdała sobie nagle sprawę, że uprzejma aluzja do oper mydlanych to tylko rozgrzewka. Hillary zmierzała najwyraźniej w stronę bardziej pikantnych aspektów show-biznesu: seksu i nagości. A ta dziwka z Kansas była z pewnością gotowa pokazać wszystko, byle tylko osiągnąć sukces. Alexa, niczym żołnierz przygotowujący się do bitwy, poczuła nagły przypływ adrenaliny. Musiała stoczyć ostrą walkę wewnętrzną, by dotrzymać danego sobie słowa i zachowywać się uprzedzająco grzecznie. Była właśnie na dobrej drodze do odzyskania spokoju, gdy popełniła błąd i zerknęła na Roberta.

Na jedną krótką, cudowną chwilę uwierzyła, że jego zawstyżone, przepraszające spojrzenie jest szczere. Ale przypomniała sobie natychmiast, że Robert tylko udaje wrażliwość. Nie czuł się ani urażony, ani odpowiedzialny za nagły, nieuprzejmy atak Hillary.

A jeśli nawet patrzył na Alexę z prawdziwym zażenowaniem, to pewnie wstydził się za jej nieobyczajność, a nie za niestosowne zachowanie żony. W końcu on, biedny chłopak ze wsi, ocalił swój honor i zasady, a ona, źle wychowana dziewczyna z Kansas, nie okazała się dość silna i poświęciła dobre imię dla wątpliwej kariery aktorskiej.

Opowiadając Jamesowi prawdę o rocznym pobycie w szkole Ballingera, Alexa obarczyła odpowiedzialnością za konflikt zarówno siebie, jak i Hillary. Czy jednak Hillary, relacjonując te same zdarzenia Robertowi, miała odwagę się przyznać do swej zazdrości i okrucieństwa? Oczywiście, że nie. Pewnie wyraziła tylko zdziwienie, że władze owej szacownej placówki przyjęły Alexę w poczet swych uczniów. I przedstawiła małżonkowi własną wersję incydentu z „nędzną wywłoką”, a on dopowiedział sobie resztę, wyciągając odpowiednie wnioski ze spotkania z Alexą w biurze Jamesa. Na pewno nie zapomniał jej uwodzicielskiego powitania.

A teraz patrzył na nią. Nie przepraszał jednak za zachowanie Hillary, lecz współczuł Aleksie jej strasznego losu - drogi od wywłoki do aktorki, którą musiała przebyć, grając w rozbieranych filmach.

Co za arogancja, protekcyjność. Co za niesprawiedliwość...

Popatrzyła prosto w bezczelne oczy Roberta, z trudem zmuszając się do spokoju.

- Na szczęście, będąc aktorem, nie trzeba łamać żadnych zasad. Nikt tego od ciebie nie wymaga. - Urwała i zrobiła

efektowną pauzę. Robert McAllister nie czekał jednak na ciąg dalszy.

- Czego się nie da powiedzieć o politykach - dokończył cicho.

Dokładnie w ten sposób zamierzała się zemścić. Robert wyczuł jednak jej intencje i uratował ją, a wraz z nią cały wieczór. Poczula do niego jeszcze większą antypatię.

- Och... - Stropiła się lekko, udając, że rozważa jego słowa. - Rzeczywiście, teraz, kiedy już to powiedziałaś, dochodzę do wniosku, że masz rację.

- Przepraszam - szepnęła w godzinę później, gdy dotarli wreszcie do jej mieszkania. - I to by było na tyle, jeśli chodzi o dorosłość - dodała, rozplatając złoty, misterny kok.

- Byłaś świetna.

- Ale pozwoliłam się obrazić. Och, jak ja jej me lubię!

- Masz do tego prawo. Ona chyba też za tobą nie szaleje. Zresztą nikt od ciebie nie wymaga, żebyś zaczęła się przyjaźnić z Hillary. Zachowałaś się wspaniale. I wieczór był bardzo miły. - James uśmiechnął się do Alexy, lecz w jej szmaragdowych oczach nadal czaił się smutek. - Co takiego?

- Nie lubię ich obojga...

- Roberta też nie lubisz? - spytał zaskoczony.

- Nie bardzo.

- Dlatego, że chwycił twój pocisk w locie, zanim jeszcze dotarł do celu?

- Już przedtem wcale mi się nie podobał. Jest taki arogancki.

- Arogancki? Robert?

- Tak, Jamesie. Arogancki. Pod płaszczykiem uprzejmości.

- Naprawdę bardzo się mylisz - rzekł James z przekonaniem.

- Ty tego nie dostrzegasz? Nie wierzę...

- Nie, a znam Roberta znacznie lepiej niż ty.

Z tym argumentem nie mogła polemizować.

- A co z Hillary? - spytała.

- Hillary rzeczywiście nie jest w moim guście.

- No, to przynajmniej krok w dobrym kierunku. No i co? Musimy się z nimi znowu zobaczyć? I spędzić razem kolejny uroczy wieczór?

- Nie - odparł James z enigmatycznym uśmiechem. - Liczyłem raczej na uroczy weekend.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Nie martw się. Poza nimi będą tam jeszcze inni.

- Kiedy? Gdzie?

- W sierpniu. W Inverness. Moi rodzice przyjadą do domu i wydadzą doroczne garden party. Zwykle odbywa się w niedzielę i jest to naprawdę wielkie garden party, ale zabawa rozpoczyna się kameralnie dzień wcześniej. W sobotę spodziewam się Roberta i Hillary, Brynne i jej męża Stephena, a także Elliota Archera, przyjaciela rodziny. Będą oczywiście moi rodzice i ja. Nawet nie licząc Elliota to chyba wystarczający bufor między tobą i panią McAllister, prawda?

- Zapraszasz mnie na przyjęcie do domu? - spytała cicho Alexa. - Planujemy coś na trzy miesiące naprzód?

- Tak. Zapraszam cię również na garden party, oczywiście. Jeśli chcesz, razem z Cat.

- Proszę, podaj mi choć jeden powód, Hillary. - Ciche słowa Roberta przerwały ciszę, która panowała między nimi przez całą drogę z restauracji do hotelu Plaza.

- Powód?

- Powód twego nieuprzejmego zachowania wobec Alexy. Ubliżałaś jej, bagatelizowałaś osiągnięcia. Zraniłaś jej uczucia.

- Naprawdę? - spytała Hillary z uśmiechem. - To dobrze.

- Dobrze?

- Znam Alexę od dawna, Robercie. Nie jest wiele warta.

- Wydawała mi się bardzo miła.

- Miła? Nie, Alexa nie jest miła. Dziwne, że James w ogóle się z nią widuje. Przecież ona nie dorasta mu do pięt. - Hillary zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami. - Ale to długo nie potrwa. James znudzi się nią szybciej niż innymi.

Odwróciła się od Roberta i ruszyła w stronę sypialni, ale zatrzymał ją głos męża, cichy, lecz lodowaty.

- Wciąż czekam na wyjaśnienia.

- Ależ mój drogi. - Hillary odwróciła do niego głowę i westchnęła. - Nie traćmy już czasu na kogoś takiego jak Alexa Taylor. - Wierz mi, ona nie jest tego warta. - Uśmiechając się uwodzicielsko, wsunęła idealnie wymanikiowane palce pod kłapy marynarki męża. - Chodź do łóżka.

W odpowiedzi chwycił ją za przeguby i oderwał jej ręce od piersi. Ciemnymi zatroskanymi oczyma wpatrywał się przez chwilę w wykrzywioną ze złości twarz żony.

- Idę na spacer - powiedział.

- Na spacer? W środku nocy, po Manhattanie?

- Właśnie.

- *Allô. Bonjour.*

Alexa zmarszczyła brwi, choć dokładnie tego się spodziewała. Na wszystkie telefony do French House w Oberlin Campus odpowiadano w języku francuskim. Wydawało się jej, że to spora przesada. Oczywiście, studenci mieszkający tam po to, by mówić wyłącznie po francusku, korzystali bardzo chętnie z dobrodziejstw takiego rozwiązania, lecz Alexa nie chciała, by ktokolwiek ją zmuszał do udziału w tej zabawie. Zresztą niczego nie pozwoliłaby sobie nakazać. Nie ustąpiłaby nawet w sprawie *merci beaucoup*. Chociaż narzucanie reguł wewnętrznych college'u przeciętnym śmiertelnikom uznała za nieco pretensjonalne, nigdy nie zarzucała sztuczności siostrze, tak bardzo zafascynowanej francuskim. Cat pokochała bowiem ten język od pierwszej chwili, a teraz ta melodyjna mowa miłości płynęła jej z ust tak samo radośnie jak muzyka spod palców.

- *Halo* - odpowiedziała Alexa po angielsku. - Czy mogę prosić o połączenie z Cat Taylor?

- *Certainement. Un moment, s'il vous plait.*

Catherine odpowiedziała po angielsku, ponieważ podwójny dzwonek telefonu sygnalizował rozmówcy wyraźnie rozmowę z zewnątrz.

- Halo?

- Jak się masz, Cat. Tu Alexa. Wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję, Alexo.

- Jak się czujesz, mając dwadzieścia jeden lat? Zupełnie dorosła? - Słyszając tak banalne słowa we własnych ustach,

zmarszczyła brwi ze zdziwienia. To wyzute z wyobraźni pytanie mógł równie dobrze zadać obcy człowiek.

- Chyba dobrze. Właściwie tak samo jak przedtem - wymamrotała Catherine. I ona również zmarszczyła brwi w poszukiwaniu właściwych słów. - Jak tam twoja sztuka?

- Dobrze. Wspaniała zabawa. - Zabawa? Sztuka o opętanej miłością nastolatce, która popełnia samobójstwo? Alexa roześmiała się. - To znaczy obsada i ekipa są raczej rozrywkowe. - O której się spodziewasz mamy i taty?

- Po południu.

- Będzie miło.

- To bardzo ładnie z ich strony. Taki kawał drogi...

Alexa była ciekawa, czy Cat wie, że i ona chciała przyjechać, lecz matka odwiodła ją od tego. Stłumiła jednak w sobie żal do matki i niepokoje związane z przeszłością i wróciła do nadziei na przyszłość.

- Wiesz już, kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku?

- A tobie jak byłoby wygodnie?

- Każdy termin będzie dobry. Produkcja *Pennsylvania Avenue* rusza trzeciego lipca i muszę być przedtem w Marylandzie. Miałam jednak nadzieję, że spędzimy ze sobą trochę czasu pod koniec czerwca. Chciałam ci pokazać Manhattan.

- Cudownie.

- Świetnie. Kiedy mam się ciebie spodziewać?

- Ostatni egzamin zdaję dwudziestego trzeciego czerwca. Tego samego dnia powinnam też oddać pracę roczną z francuskiego, więc...

- Więc jeszcze tego samego dnia, lub najpóźniej następnego możesz wskoczyć do samolotu i wylądować na La Guardia, a ja będę na lotnisku, żeby cię powitać.

- Tak. Zgoda, dzięki.

James pojawił się w kuchni akurat w chwili, gdy rozmowa dobiegała końca. Słodka niepewność w głosie Alexy i sznur telefoniczny okręcony wokół jej palców zdradzały aż za bardzo osobę rozmówcy.

- Jak się miewa Cat? - spytał, gdy położyła słuchawkę na widelkach.

- Doskonale. Stuknęło jej dwadzieścia jeden lat. Przyjeżdża dwudziestego trzeciego czerwca.

- Dobrze - odparł James i szybko zdecydował, że koniec czerwca to idealny termin na podróż służbową, którą zamierzał odbyć przed sierpniem.

- Wyglądasz, jakbyś miał właśnie wyjść.

- Rzeczywiście. Mam przed sobą cały dzień pracy. Chyba nie będę dzisiaj na przedstawieniu.

- W porządku. Nie wyobrażam sobie, żebyś mogła wysiedzieć na *Romeo i Julii* tyle razy, co ty.

- Nie wysiadywałem, tylko świetnie się bawiłem. Ale dziś nie mogę.

- Może powinniśmy zmienić nasze wieczorne plany? - Wyczuła niepokój Jamesa, który najwyraźniej nie nadrobił wszystkich zaległości w pracy po pobycie w Tokio.

- Miałbym zrezygnować z naszych prywatnych urodzin Cat? Mowy nie ma.

Alexa idąca różnym krokiem do teatru, przystanąła nagle jak wryta. Wśród ludzi stojących w kolejce do kasy w nadziei na zwroty biletów na przedstawienie *Romeo, i Julii* stał senator Robert McAllister.

Co on tu robi?, pomyślała. Jak śmie?

Robert pewnie uważał aktorstwo za trywialne i bezużyteczne zajęcie. Miał zresztą prawo do tego rodzaju opinii. Ale

czy nie mógł się trzymać wraz ze swoimi opiniami z dala od miejsca, które było dla niej tak ważne i drogie? Alexa traktowała swój zawód, a już szczególnie tę sztukę, niezwykle poważnie i przez chwilę poczuła się tak, jakby Robert wkroczył na jej prywatny teren.

To wolny kraj, pomyślała nagle gorzko. I choć wcale sobie tego nie życzę, to Robert McAllister, wielki patriota, wykorzystuje skwapliwie swe niepodważalne prawo do przebywania w dowolnie wybranym miejscu i rozkoszowania się nieocenzurowanymi słowami wielkiego pisarza.

Z drugiej strony wolność Roberta mogła naruszyć jej prawa. Zastanawiała się właśnie, czy naprawdę senator ma prawo wydawać w tak arogancki sposób sądy o jej pracy, gdy dała o sobie znać cudowna rzeczywistość i na wargi Alexy wypłynął uśmiech zadowolenia.

Robert McAllister nie mógł wejść do teatru. Nawet gdyby został rozpoznany i jakimś niepisany prawem przesunął się z miejsca siódmego - ponieważ takie aktualnie zajmował w kolejce - na pierwsze, i tak nie dostałby biletu. Wszystkie dawno wyprzedano. A jeśli frekwencja na tej sobotniej popołudniówce okaże się typowa, szanse na to, że ktoś nie przyjdzie na przedstawienie, były niemal równe zeru.

Ku wielkiemu zdziwieniu Alexy Robert wcale nie okazywał zniecierpliwienia, nie czynił żadnych wysiłków, żeby go rozpoznano. Nie troszczył się nawet o to, że jego ciemne blond włosy targa wiatr. Nie zachowywał się wcale arogancko. Ani nawet tak nie wyglądał. Alexa musiała nawet przyznać, że w tej jednej ulotnej, wietrznej chwili zachowaty pan senator wydawał się jej całkiem przystojny. I w dodatku bardzo seksowny.

Uświadomiła sobie jednak, że Robert udaje, a każda jego mina, każda poza jest starannie wystudiowana. Była bardzo ciekawa, co się stanie, gdy Robert odkryje, że na pewno nie dostanie biletów na przedstawienie. Czy uniesie się i zacznie kląć, że stracił tyle czasu? Nie mogła sobie wyobrazić, by mu było przykro, że nie zobaczy sztuki. Spędzając popołudnie w teatrze, zmarnowałby więcej czasu.

Tak czy owak Robert nie miał szans, by znaleźć się dzisiaj wśród publiczności. Wniosek ten od razu poprawił samopoczucie Alexy i zarazem wzbudził w niej poczucie winy. Obiecała przecież Jamesowi, że będzie miła dla jego przyjaciela. I zamierzała dotrzymać słowa. Postanowiła, że nie zrobi sceny - pójdzie po prostu dalej, wejdzie do teatru bocznymi drzwiami, a nie od frontu i nie powie absolutnie nikomu, że widziała Roberta w kolejce.

Dokładnie w tym momencie poczuła na sobie jego wzrok. Co gorsza, z oczu Roberta wyczytała niepewność. Wycwiczoną niepewność - dodała od razu w myślach. Typowe, wystudiowane spojrzenie pseudowrażliwego mężczyzny lat osiemdziesiątych. Spojrzenie to nic dla niej nie znaczyło, choć wyprowadziło ją z równowagi. Ucieczka nie wchodziła już w grę. Musiała podejść do Roberta, który nie mógł się ruszyć, by nie stracić swojego - i tak całkiem bezużytecznego - miejsca w kolejce.

- Dzień dobry, Robercie.

- Dzień dobry, Alexo.

- Nie ma Hillary?

- Nie. Robi zakupy. - James patrzył w szmaragdowe oczy Alexy, które znów, tak jak w biurze Roberta, obrzucały go zimnym, wręcz lodowatym spojrzeniem. - Chciałem zobaczyć cię na scenie, ale ty chyba wolisz, żebym tego nie robił - dodał po chwili namysłu.

- Ależ skąd, Robercie. Twoje zainteresowanie bardzo mi pochlebia - . skłamała gładko. - Nie mam żadnych dodatkowych biletów, ale mogę kazać dla ciebie wstawić składane krzeselko albo znaleźć ci miejsce za kulisami. Żadne z tych rozwiązań nie jest idealne ani nawet wygodne i wcale się nie obrażę, jeśli nie skorzystasz z mojej propozycji, lecz jestem prawie pewna, że nie będzie żadnych zwrotów.

- Bardzo chcę zobaczyć przedstawienie. Z każdego możliwego punktu widzenia. Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu?

- Całkowicie.

Alexa nie kłamała, mówiąc Jamesowi, że rola Julii musi sprawiać ogromne kłopoty każdej aktorce, mającej taki jak ona, a więc cyniczny stosunek do miłości. Już od pierwszego przedstawienia udało się jej jednak stworzyć przekonującą, magiczną wręcz Julię. Publiczność wierzyła za każdym razem w szczerą uczuć łączących nieszczęsnych kochanków i miała nadzieję, że wbrew intencjom Szekspira, tym razem wszystko skończy się dobrze.

Kochankowie jednak w tamtą majową sobotę umarli jak zwykle, tym razem na oczach senatora Roberta McAllistera, który obserwował tę scenę ze swego składanego krzeselka. Tego dnia jednak Alexa stworzyła absolutnie niezapomnianą kreację, jeszcze wspanialszą niż zwykle. Jej Julia była bardziej wojownicza i dzielna. I choć bunt narodził się w Julii walczącej tego dnia z losem znacznie odważniej niż zwykle, to rękawicę tak naprawdę rzuciła Alexa, która chciała w ten sposób przekonać aroganckiego senatora o wielkiej wartości swojej sztuki,

Reflektory świeciły tak ostro, że nie widziała, czy Robert oklaskuje jej wspaniały występ wraz z resztą publiczności, lecz kiedy opadła kurtyna, zaczęła się zastanawiać, czy senator przyjdzie za kulisy i podzieli się z nią wrażeniami z przedstawienia. Wprawdzie wcale go do tego nie zachęcała, lecz nic nie stało na przeszkodzie, by ją odwiedził za kulisami. On jednak nie próbował się z nią zobaczyć. Nie przesłał jej nawet żadnej wiadomości, notatki, paru słów niezdarnie skreślonych na kawałku papieru. Wiedziała, że Robert musi się przygotować do bardzo ważnego spotkania politycznego, po którym miał się odbyć bal u gubernatora, poza tym dziękował jej kilkakrotnie przed rozpoczęciem spektaklu, lecz mimo wszystko mógł znaleźć jakiś sposób, by wyrazić uznanie dla jej gry. Tego dnia była bowiem dobra, nawet więcej niż dobra. Być może Robert nie potrafił się zdobyć na taki komplement.

Oczywiście zdanie Roberta McAllistera wcale się dla niej nie liczyło. I choć powtarzała sobie w myślach, że nic ją to wszystko nie obchodzi, przebierała się po spektaklu dłużej niż zwykle, zwlekała. Nie mogła się pogodzić z tym, że Robert wyszedł bez słowa.

Kiedy w końcu, półtorej godziny po zakończeniu owacji, wyszła z teatru, wciąż prowadziła wymyślane rozmowy z aroganckim senatorem.

Tym samym, który czekał na nią cierpliwie przed teatrem i wcale nie wyglądał na mężczyznę aroganckiego.

- Cześć.

- Cześć.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że byłaś cudowna.

- Och... - Zaczerpnęła powietrza, a wszystkie wspaniałe tyrady uleciały jej z pamięci. - Dziękuję. Nie wiedziałam, że czekasz. Powinieneś być przyjąć za kulisy.

- Czekałem z przyjemnością.

- Zwykle wychodzę z teatru o wiele szybciej - mruknęła.

Ale widzisz, byłam taka spięta i tak strasznie na ciebie zła - dodała w myślach. Na ciebie? - zdziwiła się, napotykając jego niepewne spojrzenie.

- Czekałem z przyjemnością - powtórzył. - Ale teraz lepiej już pójdę - dodał z lekkim uśmiechem. - Byłaś naprawdę wspaniała, Alexo.

- Dzięki. Robercie.

I odszedł, już i tak bardzo spóźniony, na ważne przyjęcie, a Alexa pozostała na ulicy, oszołomiona nagłym

odkryciem. W swojej ocenie Roberta McAllistera myliła się całkowicie. Wcale nie był arogancki i niczego nie udawał.

Okazał się tak wrażliwy i serdeczny, na jakiego wyglądał.

8

*Dolina Loary,
Francja maj 1989*

Isabelle stała przy oknie swego siedemnastowiecznego zamku i patrzyła gdzieś w dal, za rzekę i łąkę, jakby w nadziei, że ujrzy to tak bardzo odległe miejsce, gdzie jej córka odkryje dziś prawdę o swym urodzeniu. Dwadzieścia jeden lat minęło zaskakująco szybko. Wspomnienia o kilku cudownych dniach, które spędziła ze swoją małą córeczką były wciąż żywe. W tę podróż udawała się zresztą tak często, że przeszłość wydawała się jej wyraźniejsza niż wszystkie późniejsze lata. A dzisiaj jej dziewczynka, teraz dorosła kobieta, miała się dowiedzieć prawdy o dawno minionym czasie. Czy mogła się jednak domyślić, jak wielką miłością był ów czas wypełniony?

- Isabelle? Przyniosłem ci herbatę. - Łagodny głos Louis-Phillippe'a przerwał jej myśli. Isabelle odwróciła się od panoramy doliny Loary i popatrzyła na mężczyznę, który przez ostatnie dziesięć lat był jej mężem. Louis stracił ukochaną żonę, tak jak Isabelle straciła Alexandre'a. Oboje rozumieli doskonale, co oznacza śmierć bliskiej osoby i samotność, a przyjaźń z początków ich znajomości przerodziła się w wielkie uczucie.

Louis-Phillippe znał sekrety Isabelle i nauczył się żyć z jej cieniami - ludźmi nasłanymi przez Jean-Luca. Zrazu chciał uwolnić ich wspólne życie od wszechobecnych natrętnych oczu, lecz potem zauważył, że obecność szpiegów działa kojąco na Isabelle. Dopóki mężczyźni nie odstępowali jej ani na krok, mogła być pewna, że nie znaleźli zaginionej księżniczki. Jej córka była bezpieczna.

A potem, sześć lat temu, dwa tygodnie po tym, jak samolot z Jean-Lukiem i jego drugą żoną na pokładzie, lecący z Wyspy Tęcz do Nicei, spadł do Morza Śródziemnego, cienie zniknęły. Według prasy katastrofa nie była przypadkowa, lecz tożsamość ewentualnych sprawców zamachu pozostała tajemnicą. Isabelle zresztą wcale nie musiała wiedzieć, który z licznych wrogów Jean-Luca postanowił go zamordować. Liczyło się tylko to, że potwór nie żył, a cienie zapadły się pod ziemię.

Po piętnastu latach odzyskała spokój. Co jednak mogło znaczyć zniknięcie szpiegów? Dlaczego Alain ich odwołał? Może nie wiedział, na czym polega ich niebezpieczna misja? Albo też młody monarcha okazał się znacznie bardziej przebiegły niż jego ojciec. Czyżby chłopiec, który ocalił ją niegdyś bezwiednie od śmierci z rąk Jean-Luca, był gorszy od ojca? Czyżby okazał się bardziej niebezpieczny i okrutny? Czy plan Alaina Castille'a polegał na tym, by uspić jej czujność i skłonić ją do poszukiwań córki, która była dla niego takim zagrożeniem?

Isabelle omal zresztą nie uległa tej wielkiej pokusie, ale bała się ryzykować. Nawet wieści o tym, że młody książę przywrócił wyspie dawną świetność, nie uspiły jej podejrzeń. W końcu Alain był synem Jean-Luca. Spędził dzieciństwo w pałacu, który z czasem stał się fortecą. Ojciec dawał mu lekcje siły, władzy, pieniądza, broni i strachu, nie miłości, radości, muzyki, poezji.

Isabelle bardzo pragnęła odnaleźć córkę, ale nie mogła jej narażać na niebezpieczeństwo. Poza tym poszukiwania i tak nie dałyby rezultatu. Nie wspominając już o tym, że Isabelle nie miała prawa szukać. Postąpiłaby nie fair w stosunku do przybranych rodziców swego dziecka.

To, co miało się zdarzyć tego dnia, również nie było fair - myślała, ujmując filiżankę drżącymi dłońmi. Cichy brzęk porcelany zdradził jej uczucia. Mąż zresztą o wszystkim wiedział.

- O czym myślisz, kochanie?

- Teraz o tym, że nie miałam prawa od nich żądać, by powiedzieli jej prawdę. Nie tak to zaplanowałam. Ale kiedy ją oddawałam, zdałam sobie sprawę, że moja własna córka nigdy się nie dowie, jak bardzo ją kochałam i wystąpiłam niepotrzebnie z tą prośbą. Zrobiłam to ze względu na siebie, nie na nią. Gdybym mogła, cofnęłabym czas, lecz mogę się jedynie modlić, żeby prawda nie wyrządziła jej krzywdy i żeby mnie nie znienawidziła. Te krótkie chwile, które spędziłyśmy razem, były przecież wypełnione tylko miłością.

Wspomnienia o dziecku stanowiły dla niej ogromną wartość. Isabelle bardzo pragnęła wierzyć w to, że córka dzieli z nią te wspomnienia, lecz był to przecież absolutny nonsens. Ona nie mogła jej pamiętać. Jak zareaguje na to, czego miała się dzisiaj dowiedzieć? Ogarnie ją gniew? Smutek? Uzna, że została zdradzona? Isabelle nie chciała, by jej ukochana córka cierpiała. Z drugiej strony podejrzenie, że ta dorosła dziewczyna mogłaby podejść do sprawy obojętnie, wydawało się jej równie straszne. Pragnęła otrzymać od córki jakieś nieme, prosto z serca płynące zapewnienie o miłości.

- Jesteś chyba przekonana, że ona się o tym naprawdę dowie.

- Och tak. - Isabelle wiedziała, że cudowna kobieta o szmaragdowych oczach dotrzyma przyrzeczenia. Wiara, że ta, której powierzyła swój najcenniejszy skarb, dochowa również i innych obietnic, była dla niej przez te wszystkie lata jedyną pociechą. A najważniejsze było, oczywiście, przyrzeczenie.

Będziemy ją kochać...

- Musimy ci coś powiedzieć, kochanie - powiedziała cicho Jane, patrząc w urnę, niewinne oczy Cat.

Nadszedł czas. Wszyscy troje spędzili wiosenne popołudnie, spacerując po kampusie. W planie mieli jeszcze urodzinowy obiad w przydrożnej gospodzie, ale musieli porozmawiać z Cat teraz, bez świadków, w pokoju motelowym, ponieważ ich wrażliwe dziecko już zdążyło wyczytać troskę w ich oczach.

- Co się stało? - spytała niespokojnie Catherine. Wyczuwała, że dzieje się coś złego, i bardzo się bała. Co to może być? Poważna choroba jednego z rodziców, których tak bardzo kochała? A może dotyczyło to Alexy?

- Musimy porozmawiać o czymś, co wydarzyło się wiele lat temu - zaczęła cicho Jane, przenosząc wzrok ze ślicznej, bardzo zmartwionej teraz buzi Cat, na męża, który zgodził się opowiedzieć córce całą historię.

Jane i Alexander opowiedzieli ją w końcu razem. Gdy jedno przerywało, drugie natychmiast podejmowało temat. A zaczęli od pamiętnego dnia w Kansas City. Gdy Cat dowiedziała się o krwotoku, nagłym porodzie i oddziałach intensywnej terapii w dwóch osobnych szpitalach, zrobiło się jej bardzo przykro, że swym przyjściem na świat przysporzyła tylu kłopotów matce. Nie dziwiła się wcale, że rodzice nigdy się jej nie zwierzali z tych problemów. Z drugiej strony nie rozumiała, dlaczego wybrali akurat dzień jej dwudziestych pierwszych urodzin na tę rozmowę.

- Po pięciu dniach dziecko umarło. - Choć Alexander wypowiedział to zdanie bardzo cicho i spokojnie, jego słowa zabrzmiały jak wystrzał.

- Umarło? - powtórzyła Catherine, która jeszcze niczego nie rozumiała ani nawet nie próbowała rozumieć.

Sądziła, że stał się cud. Może uznano ją za zmarłą, a potem przywrócono do życia? A może była drugim dzieckiem, które dało znać o swoim istnieniu dopiero po śmierci siostry? Siostra bliźniaczka, tak, na pewno domyśliła się trafnie. Catherine czytała opowieści o bliźniaczkach, rozdzielonych lub zmarłych podczas porodu i o tym, że jedna połówka zawsze tęskni za drugą. Teraz usiłowała wyobrazić sobie tę daleką połówkę, niemowlę, które umarło, lecz nie doznawała wcale poczucia straty. Tej siostry nigdy jej nie brakowało. Spędziła całe życie, tęskniąc za Alexą.

Alexa, która nie mogła się już doczekać jej przyjazdu do Nowego Jorku. Bo przecież nie mogła się doczekać... prawda? Za Alexą, z którą przez ostatnie osiem lat zdołała się mimo wszystko troszeczkę zaprzyjaźnić.

- Miałam siostrę bliźniaczkę?

- Nie, kochanie - odparła cicho Jane, z trudem powstrzymując łzy. Alexander nie mógł jej jednak teraz zastąpić. Tylko ona bowiem знаła uczucia kobiety, która oddała im Cat. Tylko ona pamiętała jej słowa. - Tego dnia, gdy wypisano mnie ze szpitala, zdecydowałam się pójść na oddział noworodków i zobaczyć dzieci. Potrzebowałam odwagi, aby stawić czoło swej stracie, a także odwagi, by pomóc tacie. Miał opowiedzieć Aleksie o dziecku, które umarło. Poszłam tam szukać odwagi, a znalazłam cud. Znalazłam ciebie.

Jane nawet teraz, po latach, nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Jakiś daleki zakątek mózgu Cat zapamiętał słowa i uczucia, zachowując jedno i drugie na później, ale jedynym uczuciem, jakiego teraz doznawała, było cierpienie.

- Nie jestem waszą córką. - Jej ledwo słyszalny, nieśmiały szept był jak pierwszy odgłos gwałtownej burzy.

Nie jestem waszą córką. Nie jestem także siostrą Alexy, choć tęskniłam za nią przez całe życie.

- Ależ jesteście! - wykrzyknął Alexander ochryłym głosem. - Nie jesteśmy twoimi biologicznymi rodzicami, ale jesteście naszą córką.

- Adoptowaliście mnie.

- Właściwie nie... - Jane zmarszczyła brwi. - To nie była oficjalna adopcja. Nie dostałam od twojej matki aktu urodzenia, a przyszedł na świat tego samego dnia, co dziewczynka, która umarła, więc...

- Więc mój akt urodzenia w zasadzie należy do niej. Też miała na imię Catherine?

- Nie kochanie. Mary. Umarła przed rejestracją imienia, wypełniono jedynie rubrykę „płeć”. Imię dodaliśmy później, już w Urzędzie Stanu Cywilnego.

W akcie zgonu wpisano „Mary” i Taylorowie bardzo się niepokoiли, że ta zmiana zostanie zauważona, lecz kartoteki urodzin i śmierci były osobne, wówczas jeszcze niepołączone systemem komputerowym. Wykorzystanie aktu urodzenia Mary było znacznie bezpieczniejsze niż formalna adopcja. Dzięki takiemu rozwiązaniu nie pozostawiali żadnego śladu mogącego doprowadzić kogokolwiek do Catherine.

W pokoju zapadła cisza. Alexander i Jane próbowali dotrzeć w milczeniu do córki, z którą nie łączyły ich wprawdzie geny, lecz za to zadziwiająco silne więzy emocjonalne, nie ubierane w słowa przesłania serca. Teraz jednak wszystkie uczucia, które próbowali przekazać Cat, wracały do nich rykoszetem, zupełnie jak odbite od niewidzialnej ściany.

- Cat... - szepnął bezradnie Alexander.

- Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? - spytała, a w jej głosie pobrzmiwało błaganie. - Dlaczego nie wcześniej?

- Ponieważ obiecałam twojej matce, że powiem ci prawdę w dzień twoich dwudziestych pierwszych urodzin...

- Po co? Po to, żebyś wiedziała, że ona mnie nie chciała?

- Chciała. Musisz w to uwierzyć. Bardzo cię kochała.

- Ale była bardzo młoda i biedna?

- Nie - odparła cicho Jane. - Nie była ani młoda, ani biedna. Twierdziła, że przy niej nigdy nie będziesz bezpieczna. Ktoś ją śledził.

- Ale jak ona się nazywała? Kim jest? Kim ja jestem?

- Nie wiem, Cat. Nie powiedziała mi nic oprócz tego, że jest twoją matką i bardzo cię kocha. - Jane zawiesiła głos. - Myślę, choć nie jestem tego pewna, że twój ojciec miał na imię Alexander. Właśnie na prośbę twojej matki otrzymałaś po nim drugie imię.

Ależ mam na imię Alexandra po tatusiu! - przemknęło Cat przez myśl. Ta dobrze znana prawda towarzyszyła jej całe życie. Otrzymała przecież imię po ojcu, Alexandrze Taylorze, zdolnym muzyku i po nim odziedziczyła tyle innych rzeczy, z talentem muzycznym włącznie. Ponadto dzieliła swe imię z siostrą, co zresztą stanowiło wspólny

pocieszający wręcz dowód na to, kim była, czyją córką i siostrą, i do kogo należała.

A teraz?

Teraz marzyła wyłącznie o tym, by to wszystko okazało się okrutnym żartem. Marzenie całkowicie nierealne, ponieważ jej rodzice nigdy by w ten sposób nie żartowali. Ale najbardziej pragnęła, by jej życzenie jednak się spełniło. Zniosłaby mężnie odkrycie, że w duszach jej rodziców tkwi zło, które nagle dało o sobie znać. Zniosłaby wszystko, byleby tylko odzyskać swoje życie.

Lecz to nie był okrutny żart. Catherine patrzyła na rodziców, których tak bardzo kochała, i poczuła zupełnie nagle, że dzieje się z nią coś strasznego. Odrywała się od nich całkowicie, odjeżdżała bardzo daleko i nie mogła się zatrzymać.

Chciała przystanąć, lecz jej wysiłki spełzały na niczym - im bardziej próbowała, tym bardziej się dusiła. Dusiła się teraz, a rodziców widziała jak przez gęstą mgłę. Wyglądali zupełnie inaczej. Właściwie nie byli już nawet jej rodzicami. Stali się dobrymi, wspaniałomyślnymi, kochającymi ludźmi, którzy uchronili biedną sierotę przed niebezpieczeństwem, obdarzyli ją ogromną miłością i sprawili, że poczuła się naprawdę jak ich rodzone dziecko.

Ale nie była rodzonym dzieckiem Taylorów. Była uzurpatorką. Gościem w ich domach i sercach. Zjawiała się przypadkiem, niejako owoc związku mężczyzny i kobiety, którzy pragnęli stworzyć nowe życie, taki jak Alexa czy Mary, zmarłe maleństwo.

Catherine próbowała powstrzymać natłok tych myśli, ale okazała się wobec nich całkowicie bezsilna. Przepływały przez nią jak gniewna rzeka, wchłaniały, unosiły z prądem w dół, z dala od wszystkiego, co знаła do tej pory. Przeszłość, to cudowne miejsce, gdzie Cat żyła w świecie miłości i bezpieczeństwa, stała się nagle zaledwie wspomnieniem, cudownym snem, zwyciężonym przez prawdę.

Prawda. Catherine nie była córką Taylorów, lecz porzuconym dzieckiem tajemniczej kobiety i mężczyzny imieniem Alexander. Czy mogła się uważać za owoc miłości? To już właściwie nie miało znaczenia; prawdziwi rodzice i tak nie kochali jej na tyle, by ją zatrzymać.

- Nigdy nie próbowali mnie odnaleźć? - spytała cicho.

- Nic nam o tym nie wiadomo, kochanie. Myślę, że gdy przyszłaś na świat, twój ojciec już nie żył. Zresztą twojej matce i tak by się nie udało cię znaleźć. Poza tym istniało przecież to niebezpieczeństwo...

- Jakie? W jaki sposób obecność rodzonej matki może zagrażać dziecku?

- Nie wiem, kochanie - odparła cicho Jane. - Wierzę jednak, że niebezpieczeństwo naprawdę ci zagrażało. Twoja matka była śledzona i zrobiła wszystko, co mogła, by człowiek, który ją obserwował, nie zorientował się, co się dzieje. Dlatego tatuś i ja zachowaliśmy taką ostrożność. Nikomu nic nie mówiliśmy.

- Nieprawda! Wyjawiliście wszystko Aleksie! Ona wiedziała od początku!

- Nie, kochanie. Alexa nie ma o niczym pojęcia.

Wie! - krzyczał jakiś wewnętrzny głos w Cat. Głos tak znajomy, niegdyś ani na chwilę nie dawał jej spokoju, choć ostatnio wszystkie jego bezlitosne urągania wyciszała nadzieja. Teraz jednak powrócił. Był ostry, przenikliwy, wyraźny i sprawiał ból. Wie, że nie jestem jej siostrą i dlatego nigdy mnie nie lubiła.

- Alexa nie wie - powtórzyła cicho Jane.

- Obiecujcie, że nigdy jej nic nie powiecie.

- Obiecujemy. - Jane bardzo by pragnęła zapewnić Cat, że prawda o jej pochodzeniu nie będzie miała dla Alexy najmniejszego znaczenia, lecz nie mogłaby tego uczynić z przekonaniem. Owszem, Alexa mówiła teraz zawsze o Cat z dumą, lecz Jane nie mogła zapomnieć ich pierwszych wspólnych dwunastu lat ani zadziwiającego oświadczenia Alexy na widok niemowlęcia: „Ona nie jest moją siostrą”.

Catherine przeżyła jakimś cudem spotkanie z rodzicami. Zapewniła ich nawet, że wszystko rozumie i niczym się nie przejmuję. A potem Jane i Alexander pojechali, a ona została sama, całkiem sama, a właściwie z prawdą i jej lśnącymi symbolami: naszyjnikiem z szafirowi ogromnym majątkiem. Alexander zainwestował sto tysięcy dolarów bardzo ostrożnie, lecz w ciągu dwudziestu jeden lat nawet najbardziej konserwatywnie ulokowane pieniądze musiały przynieść zysk. Fundusz ustanowiony dla Cat, a znajdujący się obecnie pod jej wyłączną kontrolą, urosł do miliona dolarów.

Ona jednak nie chciała ani grosza. Pragnęła tylko powrócić do czasu, kiedy wiedziała, kim jest i gdzie jest jej miejsce.

Ten czas jednak minął. Nie, właściwie było znacznie gorzej: nigdy nie istniał. Do tej pory jej tożsamość nie budziła wątpliwości: Catherine Taylor była zawsze córką, siostrą i... pianistką. Tylko tyle, a właściwie aż tyle. A teraz przestała już być córką i siostrą, a przynajmniej taką siostrą, za jaką się zawsze uważała.

Pozostała jednak pianistką. Zanim jednak zebrała się na odwagę i znów zaczęła grać, minęły całe dwa tygodnie - za bardzo się bała utracić tę ostatnią część siebie, wątką nić łączącą ją wciąż ze znikającą przeszłością.

Cat zawsze sądziła, że talent muzyczny odziedziczyła po ojcu. Ale kiedy znowu zaczęła grać, stwierdziła, że wszystko, czego udało się jej dotąd dokonać, było jedynie szeptem prawdziwego talentu. Poczwała nagle, że z wielkimi kompozytorami, których muzykę wykonywała, łączą ją nowe związki. Zawsze zachwycała się geniuszem Bacha, Mozarta! Beethovena, lecz teraz odkryła w sobie ich pasję i emocje, rozumiała smutek, samotność i ból. Grała znajomą muzykę jak nigdy dotąd. Grała również muzykę współczesną - zapierające dech w piersiach kompozycje płynące prosto ze złamanego, przerażonego serca.

Przywarła dziko do muzyki - tej jedynej części siebie, która nie zginęła wraz z prawdą - i próbowała desperacko przystosować się jakoś do poniesionych strat. Nie była tak naprawdę córką Alexandra i Jane, a przynajmniej nie taką, za jaką się do tej pory uważała. Rodzice zawsze znali prawdę, a Cat przyjęli gorąco w swym domu i sercach. Ona również bardzo ich kochała, lecz wciąż czuła się dziwnie i bardzo niepewnie. Miała jednak nadzieję, że z czasem wszystko znowu wróci do normy.

A co z Alexą? Co z ukochaną siostrą, która wcale jej siostrą nie była?

Nie jesteś jej siostrą, przypomniał bezlitosny głos prawdy.

Ale ona nie ma o tym pojęcia! - wtrąciło serce.

Nie, zgodziła się prawda. Ale wkrótce się dowie. Wystarczy jedno wasze spotkanie. Sądysz, że nie widać zmian, jakie w tobie zaszły? Wyglądasz tak, jakby ci w sercu wyryto szkarłatną literę A - piętno adopcji. Alexa domyśli się wszystkiego natychmiast i odczuje ulgę. Przecież nigdy nie chciała być twoją siostrą.

Ale nie wie. Na razie nie wie i może udałoby mi się zachować odkrycie w tajemnicy przed nią, przynajmniej do czasu, kiedy będzie można jej o tym powiedzieć, niczego nie ryzykując? Na przykład w jakiejś dalekiej przyszłości, gdy nie będzie to już miało takiego znaczenia?

Kiedy jednak nadejdzie ten czas? Kiedy ty i Alexa zostaniecie przyjaciółkami? Czysta fantazja!

Może to jednak nie jest fantazja? Może naprawdę jest szansa, że się zaprzyjaźnimy? Muszę to sprawdzić. A dopóki tego nie wyjaśnię, zamierzam ukrywać przed nią prawdę.

Jak jednak ukrywać coś, co zajmowało wszystkie myśli na jawie i powracało w postaci koszmaru, ilekroć - co zresztą zdarzało się Cat coraz rzadziej - zdołała zasnąć.

Walcząc o panowanie nad wzburzonymi emocjami, Cat szukała podświadomie innych sposobów, by się ukryć. Nie podejmując w zasadzie żadnej decyzji, całkiem spontanicznie zaczęła zapuszczać krótkie włosy, dopóki delikatne, czarne

pukle nie zaczęły jej spadać na oczy. A pulchności, będącej do tej pory symbolem jej zdrowia, przybyła nowa skorupa o ziemistej niezdrowej barwie - symbol głębokiego bólu.

Tak się cieszyła z przeprowadzki do Nowego Jorku! A już najbardziej z tego, że Alexa nie może się doczekać jej przyjazdu. Jednak teraz, na parę tygodni przed spotkaniem z siostrą, która wcale nie była jej siostrą, Catherine brakowało odwagi, by wyruszyć w tę najważniejszą dotychczas podróż w życiu.

9

Manhattan
czerwiec 1989

Cześć, Cat.

- Alexa...

- Właśnie telefonowałam do informacji, żeby spytać, o której przylatuje w piątek twój samolot - powiedziała radośnie. Ale Cat mówiła matowym, bezbarwnym głosem, podobnie jak przed dwoma tygodniami, gdy Alexa sprawdzała, czy siostra zarezerwowała już bilet. Nie było w nim radości. - Cat?

- Chyba jednak nie uda mi się przylecieć.

- Nie?

- Nie skończyłam pracy z francuskiego.

- Ach tak - westchnęła Alexa, kryjąc zdziwienie. Praca semestralna z francuskiego była warunkiem otrzymania dyplomu. I teraz ta ważna praca nie była jeszcze ukończona? Cóż takiego odwróciło uwagę zdyscyplinowanej zwykle siostry od nauki? - Chorowałaś?

- Nie, chyba skupiłam się po prostu na innych zajęciach. - Cat nie kłamała, choć tak naprawdę zaczęła się uczyć dopiero przed paroma dniami.

- W takim razie kiedy przylecisz?

- Nie jestem pewna.

- Nie mogłabyś skończyć pracy tutaj?

- Może tak... - odparła Cat z wahaniem, wiedząc, że w gruncie rzeczy nie ma innego wyjścia. Pracy musiała poświęcić co najmniej kilka tygodni, a zajęcia u Juilliarda rozpoczynały się już za dziesięć dni. Nowy Jork... dziesięć dni... to wszystko wydawało się jej niewykonalne. Postanowiła nagle podzielić się z Alexą swoim pomysłem, smutnym, lecz rozsądnym, którego realizacja nie była teraz dla niej, posiadaczki ogromnego i niechcianego majątku, żadnym problemem. - Myślałam o wynajęciu własnego mieszkania.

- O! - szepnęła Alexa, próbując ukryć rozczarowanie. - Cóż... Skoro tego chcesz. U mnie będziesz jednak naprawdę zupełnie nieskrępowana. Poza tym upomina się o ciebie fortepian.

- Fortepian?

- Tak. Mieszkanie jest absolutnie dźwiękoszczelne, więc będziesz mogła grać w zasadzie zawsze, nie martwiąc się o sąsiadów... Co, oczywiście, nie znaczy, że oni nie chcieliby cię słuchać. Może zatrzymasz się u mnie przynajmniej na początku pobytu? A jak ci będzie źle, przeniesiesz się gdzieś razem z fortepianem.

- Na pewno mi się spodoba. Nie chciałam tylko przeszkadzać.

- Nie ma o tym mowy! Kiedy zdołasz się wyrwać?

- Naprawdę nie wiem.

- Może w takim razie przyślę ci klucze? Wtedy przylecisz, kiedy tylko zechcesz. Wyślę klucze nocną pocztą, żebyś

mogła je dostać przed piątkiem.

- Nie zjawię się wcześniej niż w przyszłym tygodniu.
- Dobrze. Jak ci wygodniej. Ja i tak będę w Marylandzie.

Walcząc z uczuciem zawodu, Alexa odłożyła słuchawkę. Cat zburzyła ich plany bez żadnych skrępowań. Ich plany? Nie, przyznała w duchu. To były wyłącznie jej plany. Cat najwyraźniej nie miała ochoty spędzać z nią czasu.

W chwili, gdy Alexa zaczęła pisać liścik, który chciała dołączyć do kompletu kluczy czekającego już na wysyłkę do Oberlin, zadzwonił James. Poprzedniego ranka wyjechał w interesach do Kalifornii na dwanaście dni. Od razu dosłyszał smutek w jej głosie.

- Chyba nie jest pewna, czy w ogóle chce przyjechać - powiedziała Alexa.
- Może tęskni za college'em albo wpadła w panikę na myśl o nowych obowiązkach. Niewykluczone, że boi się zamiany spokojnego, sielankowego Oberlin na chaos Nowego Jorku.
- Na pewno nie. Cat nigdy by się czymś takim nie przejęła.
- Nie dotyczą jej zwykłe ludzkie sprawy? - naciskał James. Zawsze go zaskakiwało, że Alexa tak idealizuje Cat.
- Sądzę, że wątpliwości Cat wiążą się raczej z mieszkaniem u mnie.
- Nonsens! - wykrzyknął i zaraz dodał łagodniej:
- Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby pobyć w twoim mieszkaniu. Więc w weekend będziesz wolna?
- Tak, ale ty wybierałeś się przecież do Cataliny...
- Z braku lepszych propozycji. - James odczekał chwilę. - No to jak? Mam lepsze propozycje? Do dziewiątej wieczorem mogę przylecieć zarówno do Nowego Jorku, jak do Waszyngtonu.
- W takim razie bądź w Nowym Jorku. Cat przyjedzie dopiero w przyszłym tygodniu. Czy już ci kiedyś mówiłam, jaki jesteś miły?

- Chciałabym poznać twoje zdanie w pewnej sprawie. Tylko bądź szczery - powiedziała poważnie Alexa, gdy w sobotę o dziesiątej wieczorem wchodzili do salonu.

- Do usług.

Ledwo przestąpili próg, James zrozumiał o co chodzi. Zgrabny, lśniący fortepian był przyozdobiony mnóstwem wstążeczek w pastelowych kolorach, wielką kolorową kokardą i transparentem z napisem „Witaj, Cat!” skreślonym pięknymi, wypracowanymi literami.

- Pomyślałam, że skoro nie będzie mnie tutaj, kiedy ona przyjedzie... może trochę przesadziłam. Głupi pomysł, prawda?

- Myślę, że to bardzo sympatyczne - sprzeciwił się łagodnie James, patrząc w oczy Alexy, w których jak zawsze, gdy mówiła o siostrze, tliła się niepewność. Fortepian z kokardkami był rzeczywiście ładny, choć może wyglądało to zanadto dziecinnie, ale z drugiej strony właśnie w dzieciństwie siostry nawiązały ze sobą kontakt. Cat miała wówczas dwanaście lat.

James, patrząc na obwiązany wstążeczkami fortepian, próbował dociec, co o tym powitaniu pomyśli Cat. Doceni uczucia, którymi kierowała się Alexa, czy uzna całe przedsięwzięcie za głupotę? Miał nadzieję, że siostrzyczka, która tak bardzo się liczyła w życiu Alexy, ucieszy się z tego gorącego powitania. Miał również nadzieję, że Cat to bardzo miła dziewczyna, której zależy na Aleksie. Ale nie umiał sobie stworzyć obrazu prawdziwej Cat. Nie miał szans. Słyszał o niej jedynie od Alexy, a ona - kierowana niezwykle skomplikowanymi uczuciami - widziała w siostrze uosobienie

doskonałości.

James słuchał opowieści Alexy o idealnej dziewczynce, spokojnej małej księżniczce, która nigdy nie płakała, i o wspaniałej pianistce, na którą wyrosła, ale nie wierzył, aby taka osoba naprawdę istniała. Cat musiała być piękna, podobnie jak starsza siostra. Czy bywała bezbronna i nieśmiała, czy też nie opuszczała jej nigdy pewność siebie? A może, czego poważnie się obawiał, Cat uwierzyła głęboko w swój geniusz i - pochłonięta sobą - nie dostrzegła talentu starszej siostry?

- O czym myślisz? - spytała Alexa, widząc, że na twarzy Jamesa pojawia się wyraz ogromnej czułości.

- O twojej siostrze.

I o tym, że nie chcę, aby ta siostra cię skrzywdziła - pomyślał, przyciągając Alexę do siebie.

- A tak naprawdę - dodał po chwili, przerywając namiętny pocałunek - myślałem głównie o starszej siostrze tej młodszej siostry.

Wiedziona jednocześnie pokusą i chęcią samozniszczenia, Cat poddała się sile potężnego magnesu, który przyciągał ją do siebie od chwili, gdy zakończyła rozmowę z Alexą w środę wieczorem. Zdała wszystkie egzaminy, przygotowała kartony z książkami i odzieżą do wysyłki i zapakowała dwie walizki z najbardziej niezbędnymi rzeczami: nutami, pracą roczną z francuskiego i kilka sztukami garderoby. W sobotę wieczór siedziała w holu na lotnisku w Cleveland i czekała na mocno opóźniony lot do Nowego Jorku.

Samolot miał wylądować w Nowym Jorku o dziewiętej, ale wkrótce stało się jasne, że nie przybędzie tam wcześniej niż o północy. Cat była bardzo zadowolona, że nie zadzwoniła do Alexy. Gdyby zadzwoniła, Alexa pewnie by na nią czekała. Postanowiła, że o swoim przybyciu powiadomi Alexę następnego dnia, kiedy tylko się zagospodaruje.

Z lotniska weź taksówkę. Adres podaj kierowcy z pamięci, jakbyś przez cafe życie mieszkała w Nowym Jorku, i każ mu jechać przez most - napisała Alexa w liście dołączonym do kluczy.

Przygotuj dwa dolary na opłatę. W sumie nie powinno cię to kosztować więcej niż dwanaście dolarów plus napiwek... ja daję zwykle piętnaście procent.

Catherine знаła na pamięć instrukcje z listu Alexy, ale samolot wylądował po północy, co mogło oznaczać problemy ze znalezieniem taksówki. Wkrótce jednak przekonała się, że w sobotnią noc miasto żyje pełnią życia. Kiedy przejechali przez most i oczom Catherine ukazała się sylwetka Manhattanu w światłach, poczuła, że nie może się doczekać nowego życia. Przez pierwsze sześć miesięcy będzie poznawać Nowy Jork, a potem, na początku stycznia odwiedzi inne ekscytujące, tętniące życiem miasta. Miała nadzieję, że tymczasem dojrzeje na tyle, by traktować spokojnie przyjazd do Nowego Jorku o dwunastej w nocy.

Tego spokoju nie czuła wcale, gdy podawała kierowcy adres Alexy, ani gdy wręczała mu opłatę za przejazd przez most. Samochód zatrzymał się przed budynkiem z czerwonej cegły, licznik wskazywał dokładnie dwanaście dolarów, a Cat, zadowolona, że wszystko potoczyło się tak gładko, dała taksówkarzowi dwudziesto-, a nie piętnastoprocentowy napiwek.

Alexa oznaczyła dokładnie wszystkie trzy klucze: do portierni na dole, a potem do apartamentu zamykanego na dwa zamki. W mieszkaniu - tak jak obiecywała Alexa w swoim liście - paliło się światło. Włączały je i wyłączały specjalne czujniki, reagujące na świt i zmierzch. Catherine nie musiała studiować rozkładu mieszkania. Nauczyła się już go na pamięć, podobnie jak adresu. Kiedy szła po miękkim dywanie w holu, odkryła, że apartament Alexy jest znacznie większy niż sądziła. Wydawał się również jasny i radosny.

Szafirowe oczy Cat zaszyły mgłą na widok kolorowych wstążeczek i transparentu na fortepianie. Cat postawiła

walizkę na podłodze, podeszła do wspianego instrumentu i dotknęła delikatnie kolorowych kokardek i cennego drewna.

Była bardzo zmęczona, ale wiedziała, że i tak będzie grać. Musiała. Minęły już dwa dni od czasu, gdy po raz ostatni dotykała klawiszy, a teraz bardzo potrzebowała muzyki. Wprawdzie była wyczerpana, ale chciała grać, grać, nawet całą noc. Trzeba się rozpakować, wziąć prysznic, a potem...

Gdy szła przez salon po walizkę, wzrok jej padł na stolik do kawy. Tuż obok wazonu z różami, leżała torebka Alexy, a obok niej portfel mężczyzny. Alexa była więc w mieszkaniu, w dodatku nie sama. Cat naruszyła nieświadomie jej prywatność. Alexa mówiła, że wybiera się do Marylandu, ale i tak należało ją uprzedzić, że przyjedzie.

Pogrążona w ponurych myślach Cat zrejterowała szybko do pięknej sypialni z tapetą w bzy, daleko od pokoju, w którym spała Alexa i jej nocny gość.

Jak zwykle we wspólnie spędzane weekendy James obudził się na długo przed Alexą. Wziął prysznic, ubrał się i stanął nad łóżkiem. Gdy Alexa przeciągnęła się lekko i znów zwinęła się w kłębek do snu, zerwał z niej kołdrę i ucałował uśmiechnięte usta.

- Już świta, prawda?

- Jest nawet później. Pójdę po „Timesa”, rogaliki i kawę, dobrze?

- Mhm - mruknęła Alexa. Raz w tygodniu, by naładować wyczerpane baterie, pozwalała sobie na senny, leniwy dzień w łóżku - ospałą przeciw wagę dla jej ogromnej zwykle energii życiowej. Z tego co wiedziała, James nigdy nie ładował baterii, a jeśli, to już na pewno nie snem. Sen zastępowało mu żeglowanie, i to ono równoważyło - przynajmniej do pewnego stopnia - intensywny, chwilami wręcz morderczy tryb życia.

James nigdy nie spał do późna, nawet w weekendy spędzane w towarzystwie Alexy. Ale wtedy zawsze wracał do łóżka i...

- Potem przyjdiesz i porządnie mnie obudzisz?

Portfel leżał w salonie, lecz James zatrzymał się w pół drogi do stolika. Jej sylwetkę podświetlały jasnozłote promienie słońca sączące się do wnętrza poprzez koronkowe firanki. Włosy miała, tak jak on, kruczoczarne i lśniące, i tak jak on, wilgotne po myciu. Gdy pochyliła głowę nad klawiaturą, lśniąca czerń opadła na jej czoło, zasłaniając profil woalką gęstych, bujnych loków. Za to ręce były doskonale widoczne - delikatne, białe palce tańczyły po klawiaturze, pieszcząc czule klawisze z kości słoniowej, które jednak nie wydawały żadnego dźwięku.

Nie miało to żadnego znaczenia. Już samo obserwowanie tego tańca cudownych palców podziało na Jamesa hipnotyzujące. Sycił przez chwilę oczy tym widokiem, ale potem zapragnął ujrzeć ukrytą pod włosami twarz i - usprawiedliwiając się sam przed sobą koniecznością zabrania portfela - ruszył w stronę stolika.

Pragnął dokładnie obejrzeć tę czarnowłosą Alexę i dlatego nie zdradził swojej obecności. Przeszedł przez pokój, sądząc, że dziewczyna wreszcie go zauważy, lecz ona tonęła w muzyce, która pewnie wirowała jej w głowie, choć w pokoju panowała cisza.

Teraz widział dokładnie jej twarz, a widok był cudowny, gdyż włosy przytrzymywała złota opaska. James zorientował się nagle, że podobieństwo, którego oczekiwał, po prostu nie istnieje. Siostry łączył jedynie ów specyficzny wyraz twarzy artystek uprawiających swoją sztukę - czarodziejska mieszanina determinacji i nadziei, koncentracji i marzenia, perfekcjonizmu i magii. Cat, podobnie jak Alexa, była zarazem publicznością i wykonawczynią skupioną na swym występie, a przy tym całkowicie zatraconą we wspianościach tworzenia. Alexa oddawała się całkowicie wypowiedaniu wspianale napisanych słów; Cat z całą pewnością z równym pietyzmem traktowała wygrywane przez siebie nuty.

A więc to była młodsza siostra Alexy...

Catherine wyczuła obecność Jamesa, a jej piękne palce przerwały nagle swój taniec. W tej samej chwili James odniósł wrażenie, że muzyka umilkła. Cichy pokój zamarł. Czar przysł.

Ale tylko na chwilę. Dopóki Catherine nie podniosła na niego wzroku.

Te lśniące niebieskie oczy, podkrążone teraz po nieprzespanej nocy, zdziwione, pytające i tak wspaniale niewinne, rzuciły na niego urok.

Alexa opisywała Jamesowi oczy Cat jako jasny błękit zimowego nieba po burzy śnieżnej, ale on nie traktował tych słów - ani innych wyidealizowanych opisów siostry - poważnie. Teraz jednak, patrząc w te cudowne oczy, pojął, że Alexa nie dopełniła obrazu. Błękit oczu Cat przypominał istotnie jaskrawy błękit zimowego nieba, lecz James dostrzegł w tych wspaniałych szafirach znacznie więcej - wyczytał w nich szczerość, nadzieję i niewinność.

Przypomniał sobie teraz swoje obawy, że siostra Alexy okaże się zadufana w sobie, niewrażliwa lub zbyt pewna siebie. Nie mógł się bardziej pomylić. Cat była chyba rzeczywiście bardzo nieśmiała, a przy tym jednak - o czym świadczyło zresztą jej zachowanie na boisku do gry w polo - nadzwyczaj dzielna. James dostrzegał i jej nieśmiałość, i odwagę. Nawet teraz wytrzymała dzielnie jego spojrzenie, choć policzki miała całe w rumieńcach.

- Cześć, ty pewnie jesteś Catherine - powiedział w końcu, bo uważał, że to imię pasuje do niej bardziej niż Cat. - Może jednak powinienem nazywać cię Cat? - spytał po chwili.

- Catherine jest w porządku - odparła.

Po raz pierwszy w życiu prawdziwe imię spodobało się jej bardziej niż przydomek nadane przez Alexę. W ustach tego mężczyzny imię Catherine zabrzmiało naprawdę wyjątkowo.

- To dobrze. Ja mam na imię James.

- Cześć - Catherine uśmiechnęła się dzielnie, choć niepewnie do nieznanego, który nie spuszczał z niej wzroku.

Nie miała dotąd okazji poznać żadnego z mężczyzn Alexy. Alexa przyjeżdżała zawsze do Topeki sama, a ciekawskim sąsiadom tłumaczyła, że ci wszyscy, z którymi łączy ją prasa, to zwykli przyjaciele. „Nic poważnego - mówiła z uśmiechem. - Poślubiłam swój zawód”.

Alexa nie przywoziła nigdy kochanków do Topeki, ale teraz Catherine była w Nowym Jorku, w mieszkaniu Alexy i wpatrywał się w nią najprzystojniejszy mężczyzna na świecie.

Co o niej pomyślał? Cat uświadomiła sobie z przerażeniem, że ma mokre, niedbale odgarnięte do tyłu włosy i jest w zwykłym podkoszulku i dżinsach. Co gorsza, przytyła ostatnio parę kilo. Czy ta ciekawość, z jaką ją patrzył, wynikała po prostu ze zdziwienia różnicą między nią - domniemaną siostrą Alexy - i tą cudowną, zmysłową kobietą, z którą spędził miłosną noc? Czy powinna wyznać mu prawdę? Powiedzieć: „Tak, jestem brzydkim kaczątkiem, ale to nie ma znaczenia, bo z Alexą nie łączy mnie żadne pokrewieństwo”. Mogła wyrzucić z siebie to wyznanie lub po prostu wybiec z przerażeniem z pokoju, lecz potężne uczucia, które zmuszały ją do pozostania, przeważyły, i wszystkie niewypowiedziane słowa skryły się głęboko, w oceanie nieśmiałości. Nie uciekła ani nie odezwała się ani słowem, lecz odpięła klamrę przytrzymującą włosy i czarne pukle opadły jej na oczy. A potem już tylko siedziała. Siedziała zupełnie nieruchomo, choć serce biło jej mocno i niespokojnie.

Serce Jamesa też biło mocniej niż zwykle. Po raz pierwszy uderzyło bardzo głośno w chwili, gdy spotkały się ich oczy. Kiedy zaś zdał sobie sprawę z zażenowania dziewczyny, rozszalało się na dobre. Nie tylko Catherine była zakłopotana. James również.

Alexa spała nieopodal w sypialni, gdzie się kochali, a jej ubranie leżało porozrzucane po całym pokoju, oczywisty symbol namiętności. James nie mógł tam zaprosić tej niewinnej dziewczyny i sam również czuł się skrepowany

koniecznością powrotu do Alexy. Oczywiście, to że są kochankami, nie ulegało wątpliwości, a w niewinnych niebieskich oczach dostrzegł jedynie akceptację, ale...

- Alexa śpi - powiedział w końcu, przysięgając sobie w duchu, że podobna sytuacja nigdy się już nie powtórzy. - Wychodzę po gazetę, kawę i rogaliki. Chodź ze mną, Catherine.

Jego słowa zabrzmiały jak łagodny rozkaz. Gdyby jednak James ujął to inaczej, i tak by z nim poszła, ponieważ wszystkie myśli o tym, że fatalnie wygląda i nie będzie wiedziała, jak z nim rozmawiać, kompletnie zagłuszyło to coś, co nakazywało jej wyrazić zgodę.

10

Już przed siódmą słońce świeciło bardzo mocno. Skąpane w ciepłe jasnego błękitu miasto - czasem groźne i niebezpieczne - wydawało się teraz łagodne i przyjacielskie. Zapach świeżo upieczonego chleba zatarł wspomnienia po spalinach i ropie, a balsamiczne powietrze pulsowało od krzykliwych pieśni mew i cichego tupotu butów do joggingu.

Kupili w narożnym kiosku gazetę, a w pobliskiej piekarni świeżo zmieloną kawę. A potem James, chcąc dać Aleksie czas na przebudzenie i odkrycie obecności Catherine, zaproponował, by posiedzieli chwilę na ławce nad rzeką,

- Alexa będzie zachwycona - powiedział.

- Tak sądzisz? - spytała z przebłyskiem nadziei, który wkrótce ustąpił miejsca wątpliwościom. W końcu pojawiła się w mieszkaniu w bardzo nieodpowiedniej chwili. Alexa miała prawo się gniewać.

- Wiem. Spędzicie razem trochę czasu przed jej wyjazdem do Waszyngtonu i początkiem twoich zajęć u Juilliarda.

- Powiedziała ci o Juilliardzie?

- O Juilliardzie, albumie, który nagrywasz, i tournée koncertowym. Będziesz bardzo zajęta.

Catherine wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się ślicznym zawstydzonym uśmiechem i przeniosła spojrzenie z Jamesa na rzekę. Po błyszczącej tafli sunęła już całkiem liczna flota kolorowych jachtów.

- Lubisz żeglowanie? - spytał James.

- Właściwie nie wiem. Nigdy nie żeglowałam.

- Więc może lubisz.

- Niewykluczone. To chyba spokojne zajęcie.

- Nawet bardzo.

- A ty? Jesteś amatorem żeglarstwa?

- Nawet zapaleńcem. Co znaczy, że to ja powinienem cię wprowadzić w arkana tej sztuki, jeśli zechcesz spróbować.

- Och, nie...

- Nie?

- Alexa lubi żeglowanie?

- Alexa będzie żeglować, choć ta perspektywa trochę ją niepokoi. Jeśli jednak ty się na to zdecydujesz, na pewno da się namówić. - Urwał na chwilę, a w oczach Catherine błysnęło zdumienie. Najwyraźniej nie sądziła, że może podziałać na siostrę uspokajająco. - Więc jak, spróbujesz?

- Tak. Bardzo bym chciała - odparła cicho.

- To dobrze. Pewnie trudno nam będzie znaleźć na to czas, lecz jeśli nie zdołamy się spotkać przed sierpniem, to dziewiętnastego, w trzeci weekend miesiąca, moi rodzice urządzą przyjęcie u siebie w Marylandzie, a ja cię na nie serdecznie zapraszam i...

- Cat!

- Alexa - szepnęła Catherine. Odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził znajomy głos, i wstała. - Witaj!

- Witaj! - Alexa przytuliła siostrę i uśmiechnęła się, by ukryć troskę. Coś było nie tak. Podkrążone oczy Cat świadczyły o nieprzespanych nocach. Słodka, zmysłowa pulchność ustąpiła miejsca niezdrowej, żółtawej warstewce tłuszczu. Co takiego zakłóciło spokój Cat? Czy siostra zwierzy się jej ze swoich trosk? Alexa miała nadzieję, że tak. Uśmiechnęła się serdecznie i spojrzała w zmęczone niebieskie oczy, ukryte teraz pod ciemnymi lokami. - Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Ja również. Mieszkanie jest piękne... i moja sypialnia, i fortepian. Dziękuję.

- Nie ma za co. - Alexa popatrzyła z wdzięcznością na Jamesa. - Kiedy się obudziłam rano i odkryłam, że Cat już przyjechała, a ciebie nie ma, i od razu się domyśliłam, gdzie was szukać. Czułam, że patrzycie na łódki.

- Tutaj można naprawdę się cieszyć porannym słońcem.

- James jest fanatykiem żeglarstwa - wyjaśniła Alexa Cat.

- Ona już o tym wie - powiedział James i odwrócił się do Catherine. - I mam nadzieję, że przyjęła zaproszenie na przyjęcie w Inverness w sierpniu. A może spotkamy się wcześniej.

- Tak - potwierdziła Catherine, okraszając odpowiedź uroczym uśmiechem i rumieńcem.

James wrócił z nimi do domu na filiżankę kawy, a potem wycofał się z wdziękiem, co planował zresztą od chwili, gdy Alexa pojawiła się nad rzeką. Już od tygodni wiedział, jak istotne jest to spotkanie dla Alexy; teraz pojął, że Catherine też przywiązuje do niego niezwykłą wagę. Widział, jak zareagowała na widok Alexy, dostrzegł delikatne ręce zaciśnięte mocno ze denerwowania, a potem ulgę i radość z serdecznego powitania.

James znał jedną z siostr całkiem nieźle, drugiej nie znał prawie wcale, lecz miał ochotę pocieszyć je obie. Powiedzieć coś w rodzaju: „wszystko będzie dobrze, bo obydwie chcecie być sobie bliskie”. Wiedział jednak, że samo pragnienie nie wystarczy. Teraz zrozumiał, że Catherine ma, podobnie jak Alexa, swoje sekrety i wątpliwości. Siostry musiały jakoś znaleźć bezpieczną drogę na polu minowym przeszłości. Czy to w ogóle było możliwe? Nie miał pojęcia. Zostawił je więc same, żeby mogły spróbować.

- Jak to miło z twojej strony - powtarzała bez końca Catherine. Obie pochylały się nad mapami sporządzonymi przez Alexę dla siostry, która miała rozpocząć nowe życie w Nowym Jorku. Wszystkie bezpieczne, najbezpieczniejsze drogi do Juilliarda i studia nagrań miały jaskrawe, żywe kolory, barwne były też uliczki, przy których mieściły się najlepsze sklepy, najładniejsze parki lub miejsca godne obejrzenia.

- Jakie to miłe - szeptała Cat do kobiety, którą kochała i podziwiała i która wydawała się szczerze ucieszona jej przyjazdem. Czy jednak to ciepłe powitanie nie zmieniłoby się w lód, gdyby Alexa wiedziała, że przyjmuje pod swój dach nie siostrę, ale całkiem obcą osobę? Pytanie to nie dawało jej spokoju, dręczyło ją, nie pozwalało na skupienie uwagi. Catherine nigdy nie oszukiwała, a teraz musiała okłamywać nie kogo innego, jak właśnie Alexę. Ale nie mogła jej powiedzieć prawdy. Jeszcze nie! Była rozdarta wewnątrz i brakowało jej sił, by porozmawiać z Alexą na jakies inne tematy. Dlatego wołała milczeć.

- Co sądzisz o Jamesie? - spytała Alexa, gdy już powiedziała wszystko, co było do powiedzenia o sporządzonych przez siebie mapach. Pragnęła spytać Cat, skąd smutek w jej pięknych oczach. Wierzyła, że może kiedyś będzie mogła zadać jej to pytanie, że młodsza siostra nabierze do niej zaufania i szczerze na nie odpowie. Teraz jednak Cat nie miała podstaw jej wierzyć. Dlatego aby przerwać ciszę, Alexa wybrała stosunkowo bezpieczny temat: Jamesa, którego przed chwilą pożegnały, wspomnienie, które mogły ze sobą dzielić - ciepłe, przyjemne, nie zbrukane przez przeszłość.

- Myślę, że jest cudowny - Catherine była zachwycona, że może wreszcie powiedzieć niedwuznaczną prawdę.

- Ja też tak sędę.

- Ty go kochasz - szepnęła Catherine. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie, bo to, że Jamesa i Alexę łączy uczucie, wydawało się jej oczywiste. Wprawdzie przy niej nie okazywali sobie czułości, lecz ich spojrzenia i ton głosu mówiły same za siebie. Alexa kochała Jamesa, James kochał Alexę. Nawet więcej. Jego miłość rozpościerała tak magiczną sieć, że na jej brzegach zostało trochę sympatii dla Cat. - I on kocha ciebie.

Te szczerze słowa zaskoczyły Alexę. Kiedy jednak spojrzała w szafirowe oczy patrzące na nią otwarcie i szczerze, ujrzała znów dwunastoletnią dziewczynkę, z którą dawno temu połączyła ją nagle cienka nić przyjaźni. Cat była wówczas uczciwym i szczerym dzieckiem, nie znającym jeszcze żadnych sztuczek, które poznają dziewczynki, a które kobiety doprowadzają do perfekcji. Cat wcale się nie zmieniła - przez te wszystkie lata uczyła się gry na fortepianie, nie gier towarzyskich, toteż pozostała taka jak kiedyś - uczciwa i bezpretensjonalna.

- Już zapomniałam, jaka jesteś bezpośrednia - zażartowała Alexa i choć wypowiedziała te słowa serdecznie i czule, w oczach Catherine natychmiast pojawił się niepokój.

- Przepraszam... nie powinnam była...

- Wręcz przeciwnie! - krzyknęła Alexa. I dodała łagodniej:

- Chcę, żebyśmy rozmawiały o wszystkim, co dla nas ważne.

- Ja też tego pragnę.

- Tak? To świetnie - Alexa uśmiechnęła się, choć na myśl o tym, co mogłaby powiedzieć Cat o Jamesie, straciła pewność siebie.

James był na pewno bardzo ważny dla niej, lecz Cat stwierdziła z zaskakującą pewnością, że oni się kochają, a to nie była prawda. James przyznawał się do sceptycznego, Alexa do cynicznego stosunku do miłości. Żadne z nich nie wierzyło, że kiedykolwiek się zakocha. Alexa sądziła jednak, że jej cudowny sceptyczny przyjaciel znajdzie miłość swego życia i czasem się nawet zastanawiała, jaka kobieta skradnie mu serce. A ona? Czy nowo odkryta wiara w to, że sceptyczny James jest zdolny do miłości, zmieniła cokolwiek w jej poglądach na miłość? Nie, jeszcze nie. A jednak dzięki Jamesowi zaczęła wierzyć w coś, co dotąd wydawało się jej niemożliwe - w siebie i własną wartość.

Pewnego dnia oboje, on sceptyczny, ona cyniczna, mogli się zakochać. Lecz chociaż byli bardzo dobrymi przyjaciółmi i wspaniałymi kochankami, nie łączyło ich żadne głębsze uczucie. Jak to jednak wytłumaczyć Cat, która patrzyła na nią teraz tak niewinnie pięknymi niebieskimi oczyma? Alexa nie miała żadnych wątpliwości, że jej siostrzyczka wierzy w miłość i na pewno ją znajdzie. Wiedziała również, że Catherine będzie się kochać tylko z wymarzoną mężczyzną swego życia.

Ale ja nie jestem taka doskonała, pomyślała. I nigdy nie byłam. Postanowiłam sobie jednak solennie, że będę z tobą szczerą, choć mogę cię rozczarować.

- James jest dla mnie bardzo ważny - powiedziała w końcu. - Odgrywa w moim życiu szczególną rolę i to się nigdy nie zmieni. I choć chyba nie zostaniemy na zawsze razem, niezależnie od tego, co się zdarzy, będzie mi zawsze zależało na jego szczęściu.

- Przecież na tym właśnie polega miłość...

- Naprawdę?

- Tak. Myślę, że jeśli kogoś kochasz, to dbasz o jego dobro. Nawet wtedy, gdy już nie jesteście razem.

- A ty byłaś kiedyś zakochana? - spytała Alexa, której przyszło nagle do głowy, że spokój siostry zburzyła właśnie jakaś nieszczęśliwa miłość.

- Ja? - Catherine otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. - Ach, nie...

- Czy aby na pewno wszystko jest w porządku? - naciskała Alexa.
- Będzie - odparła cicho Catherine. - Tak się cieszę, że przyjechałam.
- Ja też. I James również. Teraz, skoro już go poznałaś, dam ci jego zastrzeżone numery telefonów do domu i do pracy. Możesz do niego dzwonić, ile razy zechcesz. I wiem, że on też czasem zatelefonuje, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.

- Nie! Nie prosz Jamesa, żeby do mnie dzwonił! Wiem, że jest bardzo zajęty, a ja dam sobie radę sama. Nie musi się o mnie martwić.

- Nie chciałam go o nic prosić. Wiem, że sam będzie tego chciał.

- W takim razie poproś, żeby nie dzwonił. Dobrze?

- Skoro tak wolisz.

- Tak. Proszę.

- Jak sobie życzysz. A co z tym przyjęciem w Marylandzie?

- Chciałabym na nie pojechać... jeśli i ty się wybierzesz.

- Oczywiście. Producent obiecał mi solennie wolny weekend. Musisz jednak wiedzieć, że będzie tam Hillary Ballinger. Jest teraz żoną senatora Roberta McAllistera, a James i Robert to przyjaciele.

- Widziałaś się z nią?

- Owszem i może nie było wspaniale, ale całkiem znośnie.

- W takim razie ja też wytrzymam.

- I co? - spytał James, gdy zadzwonił z San Francisco w środę wieczorem.

- Świetnie się bawimy.

- To dobrze. Przeszkadzam?

- Nie, ja jestem u siebie i czytam scenariusz, a ona ćwiczy.

- Nauczyła się już poruszać po Manhattanie?

- Zanim pojedziemy do Marylandu, opanuje wszystkie podstawowe trasy. Sobotę spędzimy w Różanej Skale, potem Cat wróci do Nowego Jorku i obie przypomnimy sobie o naszym długim, gorącym i pracowitym lecie.

- Wiesz, że jeśli będzie czegoś potrzebowała, zawsze może na mnie liczyć. Powiesz jej to?

- Już mówiłam. Uważa, że jesteś cudowny, ale przy okazji...

- Co?

- Prosiła, żebyś nie dzwonił.

- Powiedziała dlaczego?

- Nie. Ale chyba jest tobą trochę przytłoczona i chyba wstydzi się swego wyglądu.

- Wyglądu?

- Otyłości. Tego lata, oprócz wszystkich innych rzeczy, planuje dietę.

- Nie zauważyłem, żeby Catherine była za gruba - powiedział James z cichym zdziwieniem. W nadwagę Cat uwierzył natychmiast, ponieważ w głosie Alexy wyraźnie pobrzmiwała troska. Dziwił się jednak, że on, mężczyzna, którego kochanki były zawsze bardzo szczupłe i piękne, wcale nie zwrócił na to uwagi. Dostrzegł natomiast jasne, niebieskie oczy Cat, jej śnieżnobiałą karnację ubarwioną uroczo na policzkach rumieńcami, czarne jedwabiste włosy, delikatne ręce i dziecięcą niewinność. Niewinność łączącą w sobie odwagę i brak pewności siebie. Zapamiętał śliczną, delikatną dziewczynę. Cat musiała się jednak czuć zażenowana w jego towarzystwie, skoro nie chciała, żeby dzwonił.

- Chce przyjechać na przyjęcie do Inverness?

- Tak. Zdaje się zresztą, że przedtem zrealizuje wszystkie swoje plany. Praca z francuskiego zostanie wysłana pocztą do Oberlin, a trzeci utwór z nowego programu nabierze blasku. Pod koniec sierpnia będzie już znała wszystkich wykładowców ze szkoły Juilliarda i straci sporo na wadze.

- Chyba nie będziecie się często spotykać tego lata - zauważył James, choć w głosie Alexy nie słyszał rozczarowania.

- Nie. Właściwie możemy się nie zobaczyć aż do weekendu w Inverness, lecz mamy zamiar wydać sporo pieniędzy na rachunki telefoniczne.

- Bez pośrednictwa francuskiej telefonistki?

- Bez. Za to z nową bliskością głosu po drugiej stronie linii.

Catherine nigdy wcześniej nie stosowała diety, lecz umiała rozsądnie przeprowadzić swój plan. Narodowa obsesja na punkcie smukłej sylwetki i troska o nastolatki, gotowe na najbardziej absurdalne działania, żeby osiągnąć prawidłową wagę, zaowocowały włączeniem zajęć z dietetyki i racjonalnego żywienia do programów większości szkół średnich. Catherine wiedziała, że racjonalna dieta polega na spożywaniu niewielkich porcji odżywczych pokarmów, ćwiczeniach i unikaniu pokus. Ten właśnie sposób stosowała przez pierwszy tydzień.

Potem, choć było to niebezpieczne, w ogóle przestała jeść. Decyzja, by odchudzać się nieostrożnie, pasowała do decyzji zasadniczej, czyli do decyzji o odchudzaniu, co samo w sobie było ryzykowne. Catherine zawsze była pulchna i jej pulchność wykluczała jakiegokolwiek porównania ze szczupłą Alexą. Czy porównywano by je uważniej, gdyby Catherine była szczupłą? Twarz, która by się wyłoniła z miękkich warstw ochronnych, mogłaby się okazać tak różna od twarzy Alexy, że nawet sama Alexa zaczęłaby się dziwić temu brakowi podobieństwa.

Catherine martwiła się tym, ale nie na tyle, by przewyciężyć chęć uzyskania jak najpiękniejszej sylwetki. Pragnęła wyglądać jak najładniej dla samej siebie. I dla Alexy, żeby siostra mogła być z niej dumna. I... dla Jamesa.

Po dwóch dniach bez jedzenia uporczywy głód przestał jej doskwierać i Catherine doznała wrażenia idealnej wręcz przejrzystości. Wszystkie jej zmysły pracowały na najwyższych obrotach. Świat wydawał się jaśniejszy, żywszy, muzykę, którą grała, przepełniała czystością, ciepły letni wiatr łaskotał delikatnie jej skórę, a spała smacznie i tak błogo jak nigdy dotąd. Nawet woda miała teraz słodki smak.

Chwilami wyrazistość tę zakłócały nagle utraty oddechu, zawroty głowy, momenty dezorientacji lub chwilowe zaburzenia pamięci. Catherine rozumiała przyczyny tych kłopotów - organizm domagał się pożywienia. Spełniała posłusznie te żądania i dostarczała ciału niezbędnego paliwa.

Doszła do wniosku, że gdyby jej zapotrzebowanie na energię nie było tak duże, mogłaby zachować całkowity post. Musiała mieć jednak siłę, żeby się uczyć, ćwiczyć, dokończyć pracę z francuskiego i rozmawiać z menedżerem organizującym jej tournée. Dlatego nie mogła się obyć całkiem bez jedzenia, choć - paradoksalnie - największych, niemal euforycznych przyływów energii doświadczała rano albo w środku dnia, na czczo lub po bardzo skromnym posiłku. Dzięki tej wszechogarniającej radosnej sile wyraziła zgodę na więcej koncertów, niż planowała, i w końcu okazało się, że przerwa pomiędzy tournée po Ameryce Północnej w czerwcu i lipcowymi występami w Europie skurczyła się do niecałych trzech tygodni.

Ubranie zaczynało na Catherine wisieć. Pod prysznicem namydlała zupełnie inne, nowe ciało. Jedynymi pozostałościami pulchności były pełne piersi i zaokrąglone biodra. Talia jednak stała się bardzo smukła, uda przestały się stykać. Catherine zdawała sobie sprawę z nowego wyglądu swego ciała, ale nie miała pojęcia, jak bardzo zmieniła się jej

twarz.

Kiedy wreszcie zasiadła przed antyczną toaletką w sypialni, z kryształowego lustra popatrzyła na nią zupełnie obca kobieta. Kobieta nie była ani odrobinę podobna do Alexy, nie przypominała również wcale pulchnej dziewczynki, którą Catherine widywała w lusterku przez ostatnie dwadzieścia jeden lat. Kobieta o czarnych jedwabistych włosach i wyraźnych, arystokratycznych kościach policzkowych, cudownych szafirowych oczach i prowokujących ustach była jakąś obcą pięknoscią. Pięknoscią przyciągającą uśmiechy - takie jak te, które towarzyszyły Catherine ostatnio, gdy szła ulicami Manhattanu. Kobieta zwracającą uwagę otoczenia.

Na początku Catherine poddała wizerunek kobiety z lustra dokładnej analizie, a dopiero później zdała sobie sprawę, kim ona jest. Tak więc wyglądam. Taka jestem - myślała. Od maja wiedziała jedynie, kim nie jest, nie była bowiem ani siostrą, ani córką, a za nie się do tej pory uważała. Teraz, patrząc na swoją nową twarz, pomyślała po raz pierwszy o matce, która ją porzuciła.

Czy ty też tak wyglądałaś? - pytała obrazu w lustrze. Pod wpływem nagłego impulsu wyjęła ze skrytki naszyjnik i przyłożyła go sobie do szyi. Patrząc na szafiry, tak idealnie pasujące do koloru jej oczu, zaczęła się zastanawiać, czy tę piękną kolbę - podarunek ojca dla matki - wykonano z niebieskich szafirów po to, by barwa kamieni współgrała z kolorem oczu matki.

Gdy tak patrzyła w lustro, głód dał znowu o sobie znać i wzrok Catherine zamglił się nagle, a obraz zamazał, trochę jakby postarzał i... Czy patrzyła na matkę? Czy chciała zadać jakieś pytania tej pięknej kobiecie?

- Och tak, muszę cię o coś zapytać, mamó - szepnęła. - Dlaczego tak łatwo ze mnie zrezygnowałaś? Co ci się we mnie nie podobało? I czy wiesz - dodała po chwili, bardzo cicho i łagodnie - jak bardzo cię nienawidzę?

- Naprawdę wspaniały - zachwycił się jubiler u Tiffany'ego, gdy obejrzał naszyjnik przez szkło powiększające. - Kamienie wręcz nieskazitelne... A może się mylę?

- Nie wiem.

- Ta informacja z pewnością jest w ocenie rzeczoznawcy. - Dostrzegłszy zmieszanie Cat, zastanawiał się przez chwilę, czy ta piękna dziewczyna w workowatych dzinsach nie jest przypadkiem paserką albo złodziejką, która zamierza sprzedać u Tiffany'ego skradzione klejnoty. Doszedł jednak do wniosku, że jego rozmówczyni jest raczej kochanką jakiegoś bogacza z Manhattanu, a ubiera się fatalnie dla niepoznaki. Naszyjnik mógł więc być jej własnością, a chciała go sprzedać, ponieważ romans się skończył albo potrzebowała pieniędzy na kokainę - jedyne pożywienie tego wychudzonego ciała.

- Nie mam opinii rzeczoznawcy. Dostałam naszyjnik w prezencie.

- Oczywiście. Chce go pani spieniężyć?

- Nie.

- W takim razie może wycenić?

- Chciałam tylko zapytać, czy pan go poznaje. Miałam nadzieję wytropić jego pierwszą właścicielkę.

- Wzór, a szczególnie prostota wisiorka w kształcie serca dołączonego do cennych kamieni, wydaje się tradycyjny. Wszyscy bardziej znani jubilerzy sprzedawali podobne wyroby. Najważniejszym tropem jest jednak jakość i kolor szafirów. Pod warunkiem, że jego twórca prowadził kartoteki swoich wyrobów.

- Nie mam pojęcia, kto go wykonał - powiedziała cicho Catherine. Nie miała również pojęcia, po co właściwie przyszła do Tiffany'ego. Wiedziała tylko, że jakaś potężna siła - pewnie gniew, nie miłość - zmusiła ją do oderwania wzroku od lustra i przyjścia tutaj po informacje.

- Wykonawcę mogę pani wskazać. Wszyscy jubilerzy grawerują swoje inicjały, przeważnie na zapięciu. Zaraz poszukam.

Od czasu, gdy Catherine zaczęła się głodzić, serce biło jej innym, przyspieszonym, niezdrowym rytmem. Teraz waliło jak oszalałe tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Jak tylko poznam to nazwisko, zjem trochę cukru i białka - obiecała sobie w duchu.

- To chyba nie jest oryginalne zapięcie - powiedział po chwili jubiler. - Wygląda na nowe.

- Przez ostatnie dwadzieścia jeden lat naszyjnik leżał w szufladzie.

- Ach tak. W takim razie zapięcie zostało wymienione, bo nigdzie nie widzę żadnych inicjałów. A zna pani słowa, które tu wygrawerowano?

- Słowa? Nie. Co za słowa?

- To coś po francusku.

- Mogę zerknąć?

Catherine trzymała w dłoniach szkło powiększające i marzyła wyłącznie o tym, żeby jej ręce przestały drżeć choć na chwilę, tak by mogła przeczytać napis.

Wreszcie złożyła litery w całość - *Je t'aimerai toujours*. „Będę cię zawsze kochać” - to były słowa wyryte na zapięciu w języku, którym ona, dziewczyna z Kansas, posługiwała się tak płynnie i bez wysiłku. W języku, który darzyła naprawdę głęboką miłością, choć nie potrafiła wyjaśnić przyczyn tego uczucia.

Będę cię zawsze kochać. Czy tak brzmiała obietnica jej ojca złożona matce? Oczywiście. Bo nie było to na pewno przyrzeczenie matki adresowane do Catherine. A jeśli nawet, to matka kłamała.

Catherine wyszła od Tiffany'ego z drżącym sercem i pewnością, że naszyjnik nigdy nie zaprowadzi jej do matki. Wcale się zresztą tym nie martwiła. Przeciwnie. Świadomość, że naszyjnik nie jest tropem, podziałała na nią uspokajająco. Mogła dzięki tej świadomości zwalczyć ewentualną chęć, by szukać kogoś, kogo wcale nie miała ochoty znaleźć.

Część 2

1

*Posiadłość Inverness, Maryland
sierpień 1989*

Masz cudownych rodziców. Dlatego sam jesteś taki miły. Odziedziczyłeś to po nich. Oczywiście aparycję również - powiedziała Alexa, gdy po kolacji zjedzonej w towarzystwie Arthura i Marion Sterlingów wracała z Jamesem do Różanej Skały.

- Dziękuję. Ty też bardzo im się podobałaś. Zresztą to było do przewidzenia. Może spotkamy się z moimi rodzicami jeszcze przed przyjęciem?

- Bardzo chętnie. Skoro jednak mowa o przyjęciu, to rozmawiałam wczoraj z Cat. Spytała mnie, jakie rzeczy powinna zabrać. Nie byłam pewna co odpowiedzieć.

James dosłyszał wyraźnie niepokój w głosie Alexy i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- No trudno - powiedziała. - Przyznaję się. Jestem prostą dziewczyną z Kansas i takie wielkie przyjęcia organizowane w prywatnych rezydencjach znam tylko z filmów. Czy to będzie coś takiego jak piknik w Dwunastu Dębach w *Przeminęło z wiatrem*? No wiesz, kobiety w gorsetach i krynolinach, które przez cały czas wyłącznie flirtują,

nic nie jedzą i zażywają popołudniowej drzemki, podczas gdy panowie palą cygara, piją brandy i rozmawiają o polityce? A może to raczej przyjęcie rodem z Agathy Christie... grupa ludzi, których łączą jakieś dawne tajemnice, przybywa do położonej na końcu świata rezydencji i wszyscy obserwują się podejrzliwie, czekając na dalszy rozwój wypadków?

- Nic z tych rzeczy, choć jeszcze nie wydobyłem z ciebie obietnicy, że nie będziesz obserwować podejrzliwie Hillary.

- Wiesz, że nie mogłam złożyć takiej obietnicy, kotku - Alexa zatrzepotała długimi rękami, parodiując doskonale południowy akcent Hillary.

- Myślę, że zachowasz się wspaniale ze względu na Brynne, która na pewno bardzo ci się spodoba. Że nie wspomnę już o swoich rodzicach, twojej siostrze i...

- Bądź spokojny. W co więc powinnam się ubrać, żeby nie popsuć obrazu?

- Na garden party w niedzielę obowiązują takie stroje, jak na formalnym przyjęciu weselnym, ale w sobotę możesz włożyć cokolwiek. Plażówkę, szorty, kostium kąpielowy...

- Kostium kąpielowy - zawyrokowała prowokująco Alexa. - Ciekawa jestem, jak Hillary prezentuje się teraz w kostiumie.

- Sądzę, że rewelacyjnie. Nie tak rewelacyjnie jak ty, ale i tak wspaniale. Ona jednak nie włoży kostiumu.

- Nie? Dlaczego? Pierwszej Damie nie wypada wkładać kostiumu? - Na widok śmiertelnie poważnej miny Jamesa Alexa przestała się uśmiechać. - To chyba ma coś wspólnego i z Robertem, prawda? - spytała. Pewnie był ranny w Wietnamie i zostały mu blizny...

- O!

- Ach rozumiem - Alexa uśmiechnęła się współczująco. I tak nie miała zamiaru wkładać stroju kąpielowego ze względu na Cat. Siostra donosiła wprawdzie, że dieta okazała się skuteczna, lecz to i tak nie rozwiązywało problemu. Alexa wiedziała, że Cat nie będzie się czuła dobrze w kostiumie przy obcych. Teraz w dodatku nie chciała zranić uczuć biednego chłopca z prowincji, który pole bitwy o przetrwanie zamienił na coś jeszcze gorszego. - Więc żadnych kostiumów, wykwinna niedziela, zwyczajna sobota. Łatwe. Powiem Cat.

- Jak ona się czuje?

- Chyba bardzo dobrze, jest pełna werwy i optymizmu. Pracę z francuskiego właściwie skończyła, utwory przygotowała i mówi, że świetnie jej zrobiła dieta.

- To dobrze. Przypomnij Cat i sama pamiętaj, żeby zabrać džinsy, swetry i tenisówki.

- Tak jest, kapitanie.

Catherine bardzo chciała spędzić wieczór poprzedzający przyjęcie w towarzystwie Alexy w Różanej Skale. Pragnęła raz jeszcze zobaczyć przepiękny różany ogród i pobyć z siostrą.

Była jednak absolutnie pewna, że brakuje jej sił, by wspiąć się na trzy kondygnacje schodów prowadzących do domku na urwisku. Poleciała więc w sobotę rano do Waszyngtonu i czasu starczyło jej tylko na przelot z lotniska do Inverness. Gdy samolot wylądował, Alexa czekała już przy wejściu. Popatrzyła z zachwytem na zadziwiająco piękną kobietę, która szła w jej stronę... która wydawała się jej znajoma... która była jej młodszą siostrą!

- Cat! Cudownie wyglądasz! Ale...

- Ale co? - spytała niespokojnie Catherine.

- Ale straciłaś zbyt wiele na wadze w zbyt krótkim czasie... prawda?

- Nie, naprawdę świetnie się czuję.

- Na pewno świetnie wyglądasz. - Alexa przyjrzała się jej uważniej. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale kości policzkowe masz po mamie wysokie, klasyczne, niesamowicie patrycjuszowskie. Zawsze żałowałam, że ja takich nie odziedziczyłam. Teraz jednak widzę, że bardziej pasują do ciebie.

- Dziękuję - powiedziała Catherine, oddychając z ulgą. Ułga okazała się jednak ulotna. Gdy na twarzy Alexy pojawił się nagle wyraz powagi, Cat poczuła, że jakieś bezlitosne pazury znów zaczynają szarpać jej żołądek. Czyżby Alexa doszła do wniosku, że jej aprobata dla szczupłej, tak bardzo odmienionej siostry była stanowczo zbyt pochopna? Czy powie, że tych cudownych, arystokratycznych kości policzkowych Cat nie odziedziczyła wcale po Jane? I że tak naprawdę nie dostrzega w siostrze żadnych śladów rodzinnego podobieństwa do kogokolwiek.

Nagła powaga Alexy nie była jednak preludium do orzeczenia, że Catherine to uzurpatorka, lecz jak się po chwili okazało, wynikała jedynie z troski o siostrę.

- Przestałaś jeść, prawda? Nie odpowiadaj. Znam i ciebie, i twoje zdyscyplinowanie. Sądzę jednak, że schudłaś już absolutnie wystarczająco.

- Chyba tak - odparła Catherine, nie całkiem jednak przekonana. Utrata zbędnych kilogramów stała się nagle bardzo łatwa. Dlaczego by jeszcze nie schudnąć? Apetytu nie miała wcale, jadła tylko wtedy, kiedy traciła oddech lub robiło się jej słabo. A po naprawdę pożywnym posiłku żołądek wydawał się jej stanowczo zbyt pełny i dlatego nawet najsmaczniejsze danie traktowała raczej jak niesmaczne lekarstwo niż przyjemność.

- Tak. Każdy kolejny kilogram byłby wielką przesadą. Ciekawe, co na to powie James!

- Witaj, droga Alexo - powiedziała czule Marion Sterling, kiedy siostry Taylor dotarły do Inverness. Błyszczące niebieskie oczy powitały najpierw tę siostrę, którą matka Jamesa tak bardzo lubiła, a potem padły na młodszą.

- A ty pewnie jesteś Catherine. Witaj. Bardzo nam miło, że możesz spędzić z nami ten weekend.

- Dzięki - szepnęła Catherine. - Podobnie jak podczas pierwszego spotkania z Jamesem, natychmiast poczuła bijące od tej kobiety ciepło i dobro, magiczną sieć uczuć zarzuconą na Alexę, lecz, co przyjęła z wdzięcznością, rozciągniętą również i na jej osobę. - Bardzo mi miło, że zechcieliście mnie włączyć do swego grona.

- Cała przyjemność po naszej stronie.

- Jesteśmy ostatnie? - spytała Alexa. - Utkwiłyśmy w korku. Nie spodziewałam się takiego ruchu w sobotę rano.

- Przyjechaliście jako ostatnie, ale wcale nie jesteście spóźnione. Lunch podadzą dopiero za godzinę. Może się najpierw rozpakujecie, a potem przyjdziecie do nas na południową werandę.

Służący wynajęci specjalnie z okazji przyjęcia odprowadzili Catherine i Alexę do sąsiadujących ze sobą sypialni. Alexa już wiedziała, że w ten weekend nie będzie dzielić pokoju z Jamesem. W Inverness tylko małżeństwa zajmowały wspólne pokoje. Alexa aprobowała całkowicie ten obyczaj. Inverness było domem Marion i Arthura, a jej rodzice, choć o całe pokolenie młodszy, postąpiliby zapewne tak samo, gdyby urządzali przyjęcie w Topece. Poza tym Alexa bardzo się cieszyła z sąsiedztwa Cat. Będą mogły do późna w nocy dzielić się wrażeniami z całego dnia.

Rozpakowała szybko małą walizkę, wyszczotkowała długie złote włosy, przejrzała się w dużym lustrze i wyszła z pokoju poszukać Cat, która właśnie wieszala w szafie rzeczy i nie zauważyła stojącej w drzwiach siostry. Przez chwilę Alexa po prostu patrzyła zdumiona zmianą w wyglądzie Catherine. Pulchna, zmysłowa piękność ustąpiła miejsca jeszcze bardziej ponętnej piękności - tajemniczej i eleganckiej. Cat poruszała się nawet inaczej niż dawniej - wolniej i z gracją baletnicy. Alexa nie miała pojęcia, że królewski wdzięk siostry świadczy po prostu o jej ograniczonej energii i instynktownych próbach organizmu, by zachować jak najdłużej resztki sił.

- Cześć - powiedziała w końcu Alexa, kiedy stało się jasne, że Cat nie wyczuje jej obecności. - Prawda, że te pokoje

są wspaniałe?

- Cześć - odparła Cat. - Tak, naprawdę wspaniałe - dodała cicho.

- Jesteś gotowa?

- Chciałam się najpierw przebrać.

- Naprawdę? - spytała Alexa ze zdziwieniem. Cat wyglądała tak pięknie w prostej kremowej bluzce i niebieskiej spódnicy, że szkoda było je zmieniać. - Przecież jesteś ślicznie ubrana... wręcz oszałamiająco.

- Dzięki, ale chyba wolę włożyć sukienkę. Marion twierdzi, że lunchu nie podadzą wcześniej niż za godzinę, więc mam jeszcze czas, prawda?

- Jasne. Dużo czasu.

- W takim razie chcę się przebrać - powiedziała Catherine, podchodząc do szafy, w której powiesiła właśnie nowe rzeczy. Kupno garderoby na ten weekend zabrało jej naprawdę sporo czasu. Wyboru dokonała samodzielnie, choć ekspedientki z butików przy Piątej Alei pały się do pomocy. Wymyśliły chytrze, że Cat jest zapewne najnowszym odkryciem Eileen Ford i postanowiły przyodziać jej szczupłą sylwetkę modelki w najmodniejsze kreacje. Catherine wyglądała oszałamiająco w letnich sukienkach z kolekcji Armaniego, Donny Karan i Kleina, ale, jak wyjaśniała przeproszającym tonem, te supermodne rzeczy tak naprawdę wcale się dla niej nie nadawały. Przez całe życie ubierała się z konieczności, nie myśląc zupełnie o modzie lub stylu, lecz wraz z nową sylwetką nadeszło zainteresowanie garderobą. No i odkryła, że ma zdecydowany pociąg do tradycyjnej elegancji. Teraz wyjęła z szafy bardzo kobiecą, przesadnie skromną, kwiecistą suknię i pokazała ją Aleksie.

- Myślałam o tym.

- Piękna. - Alexa miała trochę stropioną minę. Żadna siostra Taylor nigdy nie zmieniała ubrania w towarzystwie drugiej. - Mam iść sama?

- Och, nie - odparła szybko Catherine. - Zaczekaj na mnie, jeśli możesz.

- Oczywiście.

Alexa przysiadła na łóżku; podczas gdy siostra zmieniała suknię, starała się zachować dyskrecję. Mimo to, przyciągana potężnym magnesem ciekawości i troski, prawie nieustannie patrzyła na Cat. Najpierw skierowała na nią wzrok powodowana troską, a nie mogła przestać patrzeć z ciekawości, bo ciało siostry było zupełnie inne niż jej własne. Szczupłe, doskonałe, idealne, złociste ciało Alexy zostało wręcz stworzone do skąpych kostiumów kąpielowych i prowokujących sukienek. W nowych kształtach Cat trudno się było dopatrzeć złotawej szczupłości, ale biała jak śnieg skóra i - mimo chudości - delikatnie zaokrąglone biodra symbolizowały kobiecość w czystej postaci.

- Pewnie nie mogłaś się już doczekać weekendu? - spytała impulsywnie Alexa, świadoma przedłużającej się ciszy i siły własnego spojrzenia.

- To prawda. Poznałaś już wszystkich gości?

- Chyba tak. Z wyjątkiem Brynne, siostry Roberta, i jej męża Stephena. James mówi, że oboje są bardzo mili, choć możemy nie mieć okazji poznać Stephena, bo pracuje nad nowym projektem w Richmond, gdzie zresztą oboje mieszkają. Właśnie przez ten projekt nie zjawi się tutaj przed poniedziałkiem. Tak więc dzisiejszy dzień spędzimy w towarzystwie Brynne, Sterlingów, a myślę, że polubisz zarówno Arthura, jak i Marion, McAllisterowi Elliota Archera.

- Elliota Archera?

- Nie wspominałam ci o nim wcześniej, bo nie wiedziałam, czy Archer na pewno będzie. James nie był pewien. Elliot Archer jest kimś w rodzaju narodowego, a może nawet światowego eksperta od terroryzmu. Przekroczył już dawno pięćdziesiątkę, ale wygląda dużo młodziej, nigdy się nie ożenił i jest bardzo przystojny. Rozpoczął karierę jako tajny

agent, taki prawdziwy James Bond. Nadal zresztą otacza go bardzo specyficzna, intrygująca aura. Poznałam Archera w zeszłym tygodniu. Sympatyczny facet. Jestem pewna, że ty też go polubisz. - Alexa zamilkła na chwilę i popatrzyła z podziwem na Cat. - Na tobie ta suknia prezentuje się wręcz wspaniale.

- Dziękuję. Zastanawiałam się tylko, czy...

- Czy co?

- Nigdy się nie malowałam. Poszłam kiedyś do punktu kosmetycznego w jakimś supermarkecie, ale tam zdecydowanie przesadzają. Myślałam, że może ty coś zaproponujesz.

Catherine umilkła, a Alexa, choć wzruszona tą prośbą, dostrzegła nagle oczywistą prawdę: cudowne niebieskie oczy siostry okolone długimi rzęsami, urocze różowe policzki, pełne różowe usta.

- Nie potrzebujesz makijażu - powiedziała w końcu szczerze.

- Nie?

- Nie. Masz arystokratyczne kości policzkowe po mamie, a po tacie odziedziczyłaś rumieńce, tak jak ja.

- Jesteście - powiedziała serdecznie Marion, kiedy Alexa i Catherine pojawiły się wreszcie na werandzie. Wszystkie rozmowy natychmiast umilkły i uwaga gości skupiła się na siostrach. - Teraz musimy dokonać prezentacji, chociaż niektórzy z państwa już się znają.

- Ja znam Alexę - oświadczył bardzo przystojny siwy mężczyzna stojący obok Marion.

- Witaj, Arthurze - odparła Alexa. - Chciałabym, żebyś poznał moją siostrę Cat.

- Miło mi cię widzieć, Cat.

- Dziękuję - powiedziała cicho Catherine - Arthurze.

- A to jest Robert - Arthur wskazał swego sąsiada.

- Bardzo mi przyjemnie.

- Mnie również. - Robert uśmiechnął się ciepło do zadziwiająco pięknej siostry Alexy i po raz kolejny w ciągu ostatnich trzech miesięcy zaczął się zastanawiać, jak powita go sama Alexa. Do chwili rozmowy po spektaklu witała go zawsze wspaniałym lodowatym spokojem w oczach. Wtedy, przed teatrem, lód ten przeistoczył się w coś znacznie wspanialszego: ciepły, szmaragdowy blask. Serdeczny i pamiętny. Robert myślał często o tamtym spotkaniu i miał nadzieję, że podczas tego weekendu lody całkiem stopnieją. Oczy Alexy mówiły mu zresztą wyraźnie, że pamiętają. - Witaj, Alexo.

- Witaj Robercie - odpowiedziała cicho, rozkoszując się przez chwilę jego spojrzeniem. W końcu zmusiła się do rezygnacji z tego serdecznego ciepła na rzecz chłodnej pogardy małżonki Roberta. - Pamiętasz Cat, prawda Hillary? - spytała niedbale.

- Oczywiście, że pamiętam. Miło cię widzieć, Cat.

- Mnie również miło cię widzieć - zawtórowała grzecznie Cat, choć widok żony senatora przyprawił ją o nagłe pulsowanie w skroniach, dużo bardziej dokuczliwe niż to, które towarzyszyło jej nieustannie od trzeciego tygodnia diety.

Catherine niepokoiło spotkanie z siostrą. Bała się, że Alexa domyśli się prawdy o jej pochodzeniu. Bała się również spotkania z Jamesem, choć zarazem bardzo się na nie cieszyła z powodów, których nie potrafiła wyjaśnić. Najbardziej ze wszystkiego bała się jednak rozmowy z Hillary. Okrutna dziewczyna z Dallas mogła przecież wyrosnąć na okrutną kobietę. A ta okrutna kobieta mogła zwrócić się nagle do gości - tak jak zwróciła się kiedyś do kolegów na boisku do gry w polo - i zapytać bez ogródek; „Czy te dwie choćby w najmniejszym stopniu przypominają siostry? No, powiedzcie sami... Przecież to niemożliwe! Jedna z nich to zwykła uzurpatorka!” Ale mimo ogłuszającego pulsowania w skroniach

Cat napotkała gorące, badawcze spojrzenie ciemnych oczu Hillary i dostrzegła w nich aprobate.

- Moja matka bardzo się cieszy, że wyraziłaś zgodę na drugi tydzień występów z orkiestrą symfoniczną z Dallas - powiedziała Hillary. - Te dwa tygodnie to i tak stanowczo za mało, ale na pewno lepsze to niż jeden.

- To dobrze. Miło mi - szepnęła Catherine, całkiem dotąd nieświadoma, że przyjęła tę propozycję. W okresie euforii wywołanej głodem upoważniła Agencję Fordyce'a do wypełnienia każdej sekundy jej tournée. O Dallas zupełnie tymczasem zapomniała, ale teraz była bardzo zadowolona z tego, że Hillary woli mówić o jej osiągnięciach niż o wyglądzie.

- A oto moja siostra Brynne - powiedział po chwili Robert. - Brynne, Alexa i Cat.

Nikt nie mógł wątpić, że Robert i Brynne są rodzeństwem. Mieli takie same ciemne włosy, wrażliwe piwne oczy i piękne rysy twarzy - wyraziste u Roberta, delikatne u Brynne, od której biła taka aura dobroci, że - jak przewidział James - Alexa polubiła ją naprawdę od pierwszego wejrzenia.

- Witaj, Brynne.

- Witaj, Alexo, witaj, Cat.

Catherine, Alexa i Brynne wymieniły uprzejmości i zaczęły się dzielić wrażeniami z Nowego Jorku. Brynne wyraziła szczerzy entuzjazm dla *Jej Wysokości* i *Pennsylvania Avenue* i powiedziała parę słów na temat projektu, który - mimo że fascynujący - uniemożliwił jednak Stephenowi wcześniejsze przybycie do Inverness. Przez cały ten czas Elliot Archer czekał cierpliwie, by wreszcie go przedstawiono.

Podczas wieloletniej pracy dla wywiadu Elliot posiadał całą masę umiejętności. Najcenniejszą z nich była zdolność ukrywania uczuć, która wielokrotnie ocaliła życie i jemu, i innym. Zrazu musiał rozwijać tę sprawność, ale teraz, po wielu latach, miał ją już we krwi i w każdej sytuacji zachowywał kamienną twarz całkowicie instynktownie. Mimo to bystry obserwator dostrzegłby na pewno, że widok Cat wstrząsnął Elliotem, bo w jego oczach pojawiły się nieomyślne oznaki gwałtownych emocji: miłości, gniewu i smutku. Ale akurat nikt na niego patrzył. Wszystkie spojrzenia skupiły się bowiem na oszałamiających siostrach Taylor, a Elliot natychmiast nad sobą zapanował, choć w jego sercu wciąż szalała burza uczuć.

Catherine Taylor była tak bardzo podobna do Isabelle Castille... Minęło już wprawdzie trzydzieści lat, lecz Elliot wciąż pamiętał cudowną księżnę, która udzieliła schronienia jego ukochanej. Isabelle zdobiła wprawdzie burza złotych włosów, a śliczną twarzyczkę Cat okalał czarny aksamit, jednak dziewczyna miała takie same jak Isabelle szafirowe oczy, w ten sam sposób przekrzywiała głowę, tak samo się uśmiechała i mówiła takim samym miękkim, cichym głosem. Gdyby Isabelle i Alexandre doczekali się córki, dziewczyna wyglądałaby teraz tak jak Catherine. Elliot wiedział jednak aż za dobrze, że los nie obdarzył książęcej pary potomstwem. Ta piękna młoda kobieta przypominała po prostu do złudzenia Isabelle, a to niezwykle podobieństwo wywoływało falę bolesnych wspomnień. Kiedy jednak Alexa przedstawiała mu Cat, twarz Elliota była spokojna.

- Miło cię poznać, Cat.

- Ciebie również, Elliot. - Catherine odwzajemniła uśmiech.

Tymczasem jej serce nie mogło się już doczekać powitania z przystojnym mężczyzną, tym samym, dla którego pragnęła pięknie wyglądać. Czyż James będzie dumny z młodszej siostry Alexy... I czy zdobędzie się na odwagę, by z nim rozmawiać? Przecież szczupłe, piękne kobiety są zawsze odważne i pewne siebie, prawda?

- Witaj, Jamesie - powiedziała, patrząc w jego zmysłowe, ciemnoniebieskie oczy. W głowie miała zamęt, oddychała z trudem.

- Catherine - szepnął James. Chciał jej powiedzieć tyle rzeczy, zarówno miłych, jak cierpkich. - Pamiętałaś o

dzinsach? - spytał w końcu.

- Tak.

- To dobrze. - Oderwał od niej wzrok dopiero po dłuższej chwili. - Mam nadzieję, że wszyscy przywieźliście dzinsy. Warunki do żeglowania są wręcz idealne. Pełnia, a przy tym balsamiczny wietrzyk.

Alexa uznała, że przyjęcie w Inverness nie przypomina jej ani balu w Dwunastu Dębach, ani prologu do kryminału Agathy Christie. Było to raczej Boże Narodzenie - spotkanie kochających się ludzi, którzy wcale przeciwko sobie nie spiskowali i nie mieli żadnego innego celu, jak wspólne spędzenie czasu. Wszyscy goście bywali tu już wcześniej, nawet wielokrotnie, a teraz do tego wspaniałego grona dokooptowano Alexę i Cat i bardzo serdecznie je powitano. Popołudnie wydawało się magiczne, zupełnie jakby Inverness posypano czarodziejskim pyłem, który zapewnił wszystkim radość i doskonale samopoczucie. Alexa pomyślała gorzko, że również wyłącznie dzięki czarom udało się jej nie znaleźć ani razu sam na sam z Hillary.

- Byłaś na L'ile, Marion? - spytała Hillary, kiedy wszyscy zebrali się w jadalni na kolację. - Zdaje się, że miałaś takie plany...

- Owszem.

- I co? Czy to rzeczywiście taki romantyczny raj, jak wszyscy mówią?

- Tak. Naprawdę romantyczny. - Marion uśmiechnęła się czule do Arthura. - I naprawdę raj.

- L'ile? - spytała Brynne. Jej oczy mówiły wyraźnie, bez najmniejszego zażenowania, że nawet jeśli według jej szwagierki „wszyscy” znają ten raj, to ona nie.

Masz rację, Brynne, pomyślała Alexa, ganiać się w duchu za to, że nie zadała tego samego pytania. Słyszała o wyspie, księstwie na Morzu Śródziemnym, ulubionym miejscu sławnych, bogatych, a nawet koronowanych. Nie wiedziała jednak, czy rozmowa dotyczy tej samej wyspy. Jeśli tak, tym bardziej pragnęła wysłuchać opowieści Arthura i Marion.

- Pełna nazwa wyspy to L'ile des Arcs-en-ciel, Wyspa Tęcz - wyjaśniła Marion. - Wyspa leży na Morzu Śródziemnym, w pobliżu południowego wybrzeża Francji i podobnie jak Monako jest księstwem, którym włada rodzina Castille'ów. Do nich należy zresztą słynna firma jubilerska Castille Jewels. Trudno jednak sobie wyobrazić wspanialszy klejnot niż sama wyspa, której teren jest bardzo zróżnicowany. Są tam i białe, piaszczyste plaże, i wspaniałe ogrody, i lasy tropikalne. Wszędzie ścieżki wykładane białym marmurem i obsadzone gardeniami. Każdy widok to raj dla malarzy. W świtach i zachodach słońca nad tą piękną wyspą widziałam zupełnie niezwykłe odcienie różu i złota.

- Jak widzicie, Marion była oczarowana - powiedział Arthur, gdy jego żona przerwała na chwilę, by zaczerpnąć tchu.

- Ja zresztą też - dodał natychmiast ze śmiechem, widząc, że małżonka marszczy groźnie brwi.

- Opowiedz im o Le Bijou.

- Dobrze. Le Bijou to jedyny hotel na wyspie. Jak wszystkie inne należy do rodziny Castille'ów i, jak na ich własność przystało, jest bardzo luksusowy i wytworny. Perskie dywany, figurki z jadeitu, stara porcelana i wspaniałe, oryginalne dzieła sztuki. Goście odnoszą wrażenie, że są zupełnie wyjątkowi, tak jakby naprawdę zaprosiła ich księżniczka i książę. Nie mieszkaliśmy nigdy w tak pięknym i luksusowym miejscu.

- Niezła reklama - powiedział cicho Robert, uśmiechając się do siebie na myśl o tym, co nie zostało powiedziane. Marion i Arthur Sterlingowie zatrzymywali się zawsze w najwytworniejszych hotelach na świecie, a pierwsze miejsce na tej długiej liście mogło naprawdę uchodzić za świetną reklamę.

Elliot słuchał dyskusji o L'ile z wyrazem chłodnego zainteresowania, choć tak naprawdę był bardzo daleki od

obojętności. Nigdy nie wspominał Marion i Arturowi o wielkim uczuciu, jakim darzył Genevieve Castille, ani o trzech miłosnych tygodniach, jakie z nią spędził w tym romantycznym księstwie. Teraz cieszył się bardzo ze swojej dyskrecji, gdyż mógł dzięki niej wypytać Arthura i Marion o wrażenia ze spotkania z Alainem Castille'em. Alain - syn Jean-Luca, którego Elliot nienawidził z całego serca nawet sześć lat po jego śmierci - i Genevieve, którą wciąż kochał. Genevieve, zamordowanej przez męża przed trzydziestoma laty.

- Poznaliście księcia?

- Tak. Alaina i jego przyrodnią siostrę, Natalie. Kiedy Alain się dowiedział, że mieszkamy w Le Bijou, zaczął nalegać, żebyśmy się przenieśli do pałacu. Arthur już wam mówił, że hotel jest naprawdę wspaniały, lecz pałac wydał się nam jeszcze wspanialszy. A Alain i Natalie wywiązali się znakomicie z roli gospodarzy. Zachowywali się tak, jakby ich jedynym zajęciem było oprowadzanie nas po wyspie. Chodzili z nami po marmurowych ścieżkach i opowiadali nam wspaniałe mity i legendy łączące się z L'île.

- Mity i legendy?

- Jest ich całe mnóstwo, ale najwspanialsza dotyczy tęczy. - Marion uśmiechnęła się tajemniczo. - Codziennie po południu, przed podwieczorkiem, jasnoniebieskie niebo staje się niemal czarne, bo znienacka i zupełnie znikąd pojawiają się na nim chmury. Ta nagła ciemność jest jednocześnie dramatyczna i przytulna. Temperatura jednak nie spada, a na deszcz, tak potrzebny tropikalnej roślinności, wszyscy czekają jak na zbawienie. Ale oberwanie chmury trwa niecałą godzinę, a tuż po nim na niebie pojawia się tęcza.

- Więcej niż jedna - sprostował Arthur, chcąc, podobnie jak Marion, by ich słowa oddały w pełni urodę tego zjawiska. - Czasem jest ich pięć, czasem sześć. Zachodzą na siebie, przenikają się wzajemnie, aż w końcu całe niebo zapełnia się jaskrawymi kolorami.

- Tęcze wychodzą z morza i wznoszą się łukiem aż do środka wyspy, gdzie skupiają się w wielkiej jaskini - ciągnęła Marion. - Niegdyś jaskinia ta była po brzegi wypełniona klejnotami: szafirami, rubinami, szmaragdami, ametystami, które, jak głosi legenda, były tak naprawdę odłamkami tęczy.

- Co za cudowna wizja - szepnęła Catherine.

- Prawda? Podczas jednego ze spacerów Alain i Natalie zabrali nas do jaskini.

- I?

- Nie znaleźliśmy nawet jednego kamyczka. A kiedyś naprawdę było ich tam całe mnóstwo. Przynajmniej tak twierdził Alain. Klejnoty nie powstały oczywiście ze skryształizowanych odłamków tęczy, ale wyspa leży przecież na dawnym szlaku handlowym i możemy się domyślać, że zdeprawowani przodkowie Castille'ów przechwytywali wylądowane klejnotami statki, kradli kamienie i ukrywali je w jaskiniach. I Alain zacytował nam Balzaka. - Marion zerknęła pytająco na wykształconego syna. - Znasz ten cytat, Jamesie?

- Mam nadzieję, że przynajmniej go rozpoznam.

- Cat na pewno wie, o co chodzi - mruknęła cicho Alexa. - Nie chciała zwracać uwagi na siostrę, ale odpowiedzieć na pytanie związane z Francją i francuskim było Cat równie łatwo jak zagrać *Wlazł kotek na płotek*.

Catherine rzeczywiście знаła cytat, lecz nie omieszkała wyjaśnić źródła swej wiedzy.

- Akurat wczoraj wysłałam do Oberlin pracę semestralną z francuskiego. Zawierała sporo cytatów z Balzaka. Sądzę, że chodzi o zdanie: „Za każdym wielkim majątkiem kryje się zbrodnia”.

- Tak.

- To bardzo uprzejme ze strony Alaina, że przyznał się do zbrodni - powiedział cicho Elliot. Kiedy myślał o historii rodu Castille'ów, historii wielkich fortun i jeszcze większych pieniędzy, zawsze bolało go serce.

- Alain to bardzo uprzejmy młody człowiek.

- Czy to jego geniusz twórczy stoi za Castille Jewels? - spytała Hillary.

- Myślę, że Alain pilnuje wysokiej jakości wyrobów, ale to Natalie jest bardzo utalentowaną projektantką. To ona oprowadzała nas po studiu jubilerskim i butikiu z biżuterią. Jest prawdziwym ekspertem w tych sprawach.

- No cóż - mruknęła Hillary, wyciągając starannie wymanikiowaną dłoń. - Chciałabym w każdym razie podziękować komuś za swoją obrączkę. Komuś poza Robertem.

- Czy to wzór z Castille Jewels?

- Tak. Robert zobaczył ją w butikiu w Dallas na dwa tygodnie przed naszym ślubem.

- Piękna - orzekła Alexa. - Pierścioneł zauważyła już podczas kolacji w La Côte i bardzo się jej spodobał. Lśniące brylanty i szmaragdy wtopione w złoto wydawały się eleganckie, gustowne i bardzo, bardzo drogie. A przynajmniej drogie jak na środki, którymi dysponował Robert, kiedy Hillary wychodziła za niego za mąż.

- Dzięki, Alexo. - Hillary przyjęła komplement Alexy nie tyle z wdzięcznością, co z aprobatą. - Nie wiem, kiedy znajdziemy czas na wizytę na L'île des Arcs-en-ciel, ale chciałabym przesłać podziękowania księżniczce Natalie. Zamierzacie się jeszcze spotkać? - spytała, patrząc na Marion.

- Tak. Alain zaprosił nas do pałacu na święta. James chce się do nas przyłączyć. Przypłynie jachtem z Nicei. - Ciemnoniebieskie oczy Marion patrzyły ciepło na zebranych. - Właśnie przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł. Może wszyscy spotkalibyśmy się kiedyś na wyspie? Wiem, że przy waszych napiętych planach to prawie niemożliwe, ale czy nie byłoby cudownie?

2

No cóż... - mruknął James, gdy błękit nieba przeszedł w róż. - Chyba czas pożeglować.

- Och nie, dzięki - Alexa westchnęła z rozkoszą. - Jestem za bardzo rozleniwiona, żeby się ruszyć.

Tę samą odpowiedź, tyle że ubraną w różne słowa, otrzymał od reszty gości, z Arthurem, zapalonym żeglarzem, włącznie. James przyjmował każdą odmowę wdzięcznym wzruszeniem ramion.

- Tak więc zostaliśmy my - oznajmił, patrząc w oczy Catherine, która jako jedyna przyjęła zaproszenie.

- No cóż, może... - Umilkła, speszona jego natarczym spojrzeniem.

- Zaczekam, aż się przebierzesz - odparł twardo, a jego oczy wysyłały ten sam rozkaz, co wówczas, w Nowym Jorku. Płyn ze mną, Catherine.

- Dobrze - zgodziła się nagle, tłumiąc przyływ paniki. Już od dawna cieszyła się na tę wyprawę. Czekala na nią od wielu tygodni. A tego popołudnia nabrała jeszcze większej chęci na żeglowanie z Jamesem. Przez cały dzień prawie się nie odzywała, ale to nie miało znaczenia. Uczestniczyła w rozmowach innych poprzez wdzięczne uśmiechy i bystre spojrzenia. Niczego od niej nie wymagano i to wszystko było naprawdę cudowne, prawie magiczne. A w dodatku James uśmiechnął się do niej kilka razy i Cat pomyślała, że tak, że może zauważył, jak bardzo się zmieniła.

Tak długo myślała o tej wyprawie! Wyobrażała sobie nawet swobodne, gładkie rozmowy Alexy z Jamesem. Teraz jednak okazało się nagle, że ma z nim zostać sama, a nowa figura nie zaowocowała talentem do swobodnego wyrażania myśli. Towarzystwo Jamesa onieśmiało Cat jeszcze bardziej niż kiedyś, ponieważ bez przerwy czuła na sobie jego spojrzenie.

Pożycz trochę sprytu od Alexy - podpowiadał rozum. Mruknij jak kotka, że nie masz siły się ruszyć.

Tak powinna była postąpić, ale nie postąpiła. Wciągając powoli dzinsy, zastanawiała się w kolejnym przyplywie paniki, o czym z nim rozmawiać, ile energii trzeba, by znaleźć słowa i jak je wypowiedzieć. Sytuacji nie ułatwiała jej mocno bijące serce.

Catherine nie znalazła odpowiedzi na swoje pytania. Wiedziała tylko, że nie może odmówić.

Nie dasz rady! - ostrzegał ją rozum, gdy zaczęli schodzić ze skały do zatoczki, gdzie cumował „Nocny Wiatr”. Oczywiście uda ci się zejść, ale nie znajdziesz sił, by wspiąć się z powrotem. Pamiętasz, dlaczego nie pojechałaś wczoraj do Różanej Skały?

Właśnie, że dam radę - odpowiedział inny, buntowniczy głos. I na pewno dopnę swego.

Gdy dotarli do jachtu, Catherine usiadła w kokpicie, a James rzucił cumy i podniósł żagle. Cat patrzyła z podziwem na jego energiczne, pewne ruchy, a gdy zniknął jej z oczu, słuchała cudownej symfonii obcych dotąd dźwięków - zwijania lin na pokładzie, furkotu stawianych żagli, pluskania fal uderzających o burtę. Kiedy wreszcie jacht był gotów do drogi, James wszedł do kokpitu i wyprowadził statek w zalaną księżycową poświatą zatokę Chapespeake.

Przez dłuższy czas milczeli; uśmiechali się tylko, zachwyceni siłą, dzięki której jacht sunął bezszelestnie po ciemnych falach.

- I jak? - spytał w końcu James. - Pierwsze wrażenia?

- Uwielbiam to.

- Ja też.

- Alexa mówi, że chcesz kiedyś popłynąć w samotny roczny rejs dookoła świata.

- Mam nadzieję, że popłynę - odparł z uśmiechem James. - Dla twojej siostry to jak rok więzienia.

- Naprawdę?

- Myślałem, że ty możesz potraktować tak samo takie plany.

- Nie - odparła cicho. - Dlaczego?

- Bo dla ciebie oznaczałoby to rok bez muzyki. A może ona zawsze ci towarzyszy? - spytał, wspomniawszy czerwcowy poranek, gdy palce Cat składały na klawiszach nieme pocałunki, a pokój wypełnił się pasją i uczuciem, choć panowała w nim cisza. - Słyszysz ją nawet wtedy, gdy nie grasz?

- Myślę, że muzyka jest ze mną zawsze, ale to bardziej uczucia niż dźwięki - odparła cicho.

- Czy te uczucia niosą ze sobą spokój? - spytał.

- Och, tak. - Największy spokój, myślała. Jedyne miejsce, gdzie czuję się naprawdę u siebie. - Dla ciebie jest tym żeglowanie? Spokojem?

- Prawdziwym spokojem.

Prawdziwym i bardzo prywatnym, myślał. Przynajmniej tak właśnie było, kiedy żeglował samotnie. Obecność innych ludzi zakłócała ciszę i burzyła intymny nastrój, choć gościł na pokładzie tylko przyjaciół. Nie potrafił dotąd z nikim dzielić tej najbardziej subtelnej harmonii. Aż do teraz. Przy Catherine ogarniała go niezwykła błogość, zarazem jednak odczuwał dziwny niepokój i niezwykłą chęć, by razem z nią wypłynąć z zatoki na ocean, a potem jeszcze dalej.

Popatrzył na Catherine, by wyczytać z szafirowych oczu, czy ona również czuje to samo. Na jej pięknej twarzy gościł jednak wyraz zatroskania. Dziewczyna najwyraźniej z czymś walczyła.

- O czym myślisz? - spytał cicho.

O tym, że nie wiem, co ci powiedzieć. Próbuję, ale słowa, które przychodzą mi do głowy, uważam za zbyt banalne i naiwne. Gdybym tylko...

- Znasz francuski? - odpowiedziała w końcu pytaniem na pytanie.

- Nie za dobrze. Uczyłem się francuskiego przez rok w szkole średniej i opanowałem podstawowe zwroty, ale nic poza tym. Dlaczego pytasz?

- Bo wydaje mi się, że po francusku mówię płynniej, lepiej.

Może gdybym mogła porozumieć się z tobą po francusku, mówiłabym mądrzej. A raczej mądrze - pomyślała z żalem.

- Mówisz doskonale po angielsku, ale zastanawia mnie twój stosunek do francuskiego. Dlaczego sądzisz, że właśnie w tym języku mówisz płynniej?

Bo to moje dziedzictwo. Ta myśl przysła jej do głowy zupełnie nagle, bez ostrzeżenia, lecz Catherine natychmiast odegnęła od siebie bolesną prawdę.

- Przez ostatnie trzy lata mieszkałam w miasteczku uniwersyteckim, gdzie mówiliśmy wyłącznie po francusku. A tego lata musiałam w dodatku myśleć po francusku, bo w tym języku pisałam pracę semestralną.

- Myślałaś po francusku?

- Tak. - Urwała na chwilę. - Kiedy ktoś mówi do mnie po angielsku, tłumaczę natychmiast jego słowa na francuski - wyjaśniła. - I zawsze zastanawiam się po francusku nad odpowiedzią, a dopiero potem tłumaczę to na angielski.

- Teraz również tak zrobiłaś?

- Tak. - Catherine westchnęła cicho. - Czasem odnoszę wrażenie, że podczas tłumaczenia coś mi umyka.

- Naprawdę? Ja tak nie uważam. - James uśmiechał się do Catherine, dopóki i ona się do niego nie uśmiechnęła. Niepewnie, ale uroczo.

- *Voulez-vous* kubek gorącej czekolady? - spytał, prezentując swoją nieudolną francuszczyznę. Chciał ją w ten sposób ośmielić, a jednocześnie zbagatelizować problem. - Musisz powiedzieć *oui*, bo to niezbędny element nocnej wyprawy na żagle.

- *Alors oui, merci.* - Oczy Cat rozbliły radośnie. - Mam ją przygotować? - spytała z szerokim teraz uśmiechem.

- Nie. Będziesz sterować.

- Ja? Jak?

- Chodź tutaj.

Wstał, ustępując jej miejsca. Kiedy Cat usiadła przy sterze, James zacisnął jej szczupłe palce wokół drewnianych drążków, jeszcze ciepłych od jego mocnego uścisku.

- A teraz płyn tak, jak każe księżyc - instruował cicho, patrząc na złotą wstęgę przecinającą atramentowe wody.

Propozycję wypicia czekolady rzucił mimochodem, lecz gdyby Cat odmówiła, zamierzał nalegać. Postanowił w nią wtłoczyć tę czekoladę. Przez cały dzień Catherine udawała wręcz po mistrzowsku, że je, a w końcu nie zjadła nic. Czekając, by woda się zagotowała, zastanawiał się, czy nie przygotować talerza z owocami, serami, łososiem i krakersami, bo wszystko to zabrał z myślą o tych gościach, którzy mieli ochotę spędzić następny wieczór na pokładzie. W końcu doszedł do wniosku, że Cat może się poczuć zakłopotana tak wystawnym poczęstunkiem. Kubek gorącej czekolady musi jednak wypić i będzie to z pewnością dobry początek.

- Przepis mojej matki - powiedział, wręczając jej napój. - Dodałem trochę cynamonu.

- Dziękuję - odparła, przesuwając się do burty. - Twoja mama, w ogóle twoi rodzice są tacy sympatyczni - dodała, ujmując kubek w delikatne dłonie.

- Bardzo mi miło to słyszeć. Jestem tego samego zdania.

- Jesteś z nimi w bardzo bliskich stosunkach, prawda?

- Owszem. A ty ze swoimi? - James znał oczywiście odpowiedź. Alexa mówiła mu sporo na temat więzi łączącej spokojnych, utalentowanych rodziców ze spokojną, utalentowaną Cat. Alexa powierzyła mu najczarniejsze tajemnice swego serca, sekrety, których obiecał nigdy nikomu nie zdradzić. Nikomu, a przede wszystkim Catherine. Musiał

dotrzymać uroczystej obietnicy. Pytaniem o rodziców nie zawiódł zaufania Alexy. Zadał je celowo, bo wiedział, że na ten temat Cat będzie mogła mówić bez skrępowania, co więcej, nawet z radosnymi iskierkami w oczach. Ona jednak milczała, a w szafirowych oczach nie było radości. Jej miejsce zajął wyraz głębokiego cierpienia.

- Catherine?

- Kiedyś byliśmy ze sobą bardzo blisko - przyznała cicho.

- I coś się zdarzyło?

- Tak, coś się zdarzyło, wyjechałam do Nowego Jorku i...

I od maja nie rozmawiała ani z Alexandrem, ani z Jane. Pisała oczywiście do nich listy, ponieważ nie chciała, żeby się martwili. Listy nie były już jednak ani tak obszerne, ani tak serdeczne jak dawniej. Pisała teraz krótko, zwięźle, bez emocji, jakby nie chciała zabierać im czasu.

- I tęsknisz za nimi?

- Bardzo za nimi tęsknię.

- A oni o tym wiedzą?

- Nie wiem. Chciałam im powiedzieć, ale..

- Więc zadzwoń i powiedz. Na pewno będą chcieli to usłyszeć.

Żeglowali aż do północy. Potem James zacumował jacht w zatoce, demonstrując przy okazji Cat najbardziej popularne węzły i ruszyli pod górę do rezydencji.

Dasz radę - przekonywała się w duchu. Ciało jednak bardzo szybko ją zdradziło. Zagłodzone komórki, wszystkie jednocześnie, wszczęły rebelię i odmówiły posłuszeństwa.

Płuca próbowały nabrać powietrza, lecz nagle całkowicie go im zabrakło. A trzepoczące serce rzuciło się do ucieczki, unosząc ze sobą Catherine, unosząc daleko, bardzo daleko, aż...

- Catherine!

James ogarnął ją silnymi ramionami i w ostatniej chwili uchronił przed upadkiem, a potem przycisnął mocno, tak mocno, że czuł wylężnione bicie jej serca - serca, próbującego wyrwać się z piersi Cat niczym przerażona jaskółka. Dziewczyna miała chłodną skórę i niewiarygodnie wychudzone, kruche ciało. Wychudzone, a przy tym tak cudowne i delikatne! James tulił Cat tak, jakby kontakt z jego silną, męską pierśią mógł w nią wlać trochę niezbędnej siły. Tak się jednak nie stało. Dziewczyna słabła z minuty na minutę.

- Chodź, usiądziesz na ławce - szepnął, muskając wargami jej włosy.

Trzymał ją mocno nawet wtedy, gdy usiadła, i czuł jej oszalałe próby odzyskania kontroli nad sercem i płucami. Wydawało się, że minęła cała wieczność cichych modlitw, lecz w końcu oddech Catherine zaczął powoli wracać do normy. Odzyskała energię na tyle, by podnieść głowę i przemówić.

- Jestem trochę nie w formie - powiedziała słabo.

- Niech to diabli, Catherine, przecież ty się głodzisz! - Głos Jamesa drżał z gniewu, którego źródłem był strach.

- Nie - odparła powoli, wysuwając się z jego uścisku.

- Owszem. - Zrozumiał to od razu, kiedy ją zobaczył, i przez cały dzień zastanawiał się, co robić. Rozmawiać z Alexą czy z Catherine? Alexa spytała go wprawdzie: „Czyż ona nie wygląda absolutnie szałowo”, lecz w jej oczach tliła się szmaragdowa troska świadcząca o tym, że i ona zdaje sobie sprawę z sytuacji. Cat schudła stanowczo za szybko. Więc uznał, że poprosi Alexę, aby podzieliła się swym niepokojem z Cat, ale nie miał jeszcze okazji z nią porozmawiać. Teraz jednak, jako że była to sprawa życia i śmierci, rozmawiał z samą Catherine.

Właściwie nie rozmawiał. Oskarżał, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero, kiedy usłyszał swój ostry ton i zobaczył jej reakcję. Znów ją przytłaczał, tak samo jak w czerwcu, lecz teraz zażenowanie dziewczyny wykraczało poza uroczy rumieniec i nieśmiały uśmiech. Teraz na pięknej i przerażająco bladej twarzy Cat pojawiła się udreka i co gorsza, w szafirowych oczach błysnęły łzy.

A on, ten, któremu tak bardzo na niej zależało, zrobił to, czego zdołała dokonać jedynie okrutna młoda Hillary - doprowadził Catherine do płaczu.

- Catherine - zaczął cicho. - Straciłaś za dużo na wadze. Schudłaś za szybko.

- Nigdy przedtem nie byłam na diecie. A potem już po kilku dniach było mi bardzo łatwo.

- I z dnia na dzień łatwiej?

- Tak - przyznała cicho Catherine. Nie mogła ukryć, że pozwoliła swemu wygłodniałemu rozumowi na dokonywanie nierozumnych wyborów. Te nierozumne wybory przychodziły łatwo, choć od czasu do czasu jakiś wewnętrzny głos wysyłał sygnały ostrzegawcze. Ale nie zwracała na nie uwagi, mimo że utrata sił mocno ją niepokoiła. Bardziej jednak niż o własne zdrowie bała się, co pomyśli o niej James. James, on jeden. Co może się stać, jeśli James uzna, że za nieostrożną dietą kryje się coś jeszcze, na przykład anoreksja lub bulimia? - Jamesie... ja nic nie zrobiłam.

- Wiem - odparł łagodnie. - Jesteś po prostu, tak jak twoja siostra, zdecydowana i zdyscyplinowana. Wiesz, co powiedziała Alexa, gdy stwierdziłem kiedyś luźno, że ćwiczenie czyni mistrza?

- Wiem. Pewnie: „Nie, Jamesie, tylko doskonale ćwiczenie czyni mistrza”.

- Czuję, że to by się mogło stać mottem sióstr Taylor. I chyba stosowałaś dietę zbyt doskonałą.

Catherine uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Muszę znów zacząć jeść, a kiedy odzyskam siły, zacznę uprawiać gimnastykę, żeby odzyskać sprawność i zdrowie.

- Myślę, że czytałaś odpowiednie książki...

- Owszem. Wiedziałam, jak się do tego zabrać. Chyba po prostu mnie poniosło. Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi upaść. - Na samo wspomnienie jej głos przeszedł w szept. Oprócz strachu pamiętała bowiem coś jeszcze: dotyk ramion Jamesa, ciepłą siłę jego ciała, muśnięcie ust, bicie jego serca. I ten brak powietrza, nie mający nic wspólnego z głodem lub strachem.

- To oczywiste - odparł cicho James, który również zapamiętał tę cudowną część niemiłego incydentu. - Teraz mam zamiar cię nakarmić - dodał stanowczo. - Wypijesz jeszcze kubek czekolady i zjesz coś. Urządzimy sobie piknik tutaj, na dole, a potem bardzo powoli i ostrożnie pokonamy schody. Dobrze?

- Tak, dobrze. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział z uśmiechem, lecz zanim wrócił na „Nocny Wiatr”, aby przygotować ten nocny piknik, popatrzył na nią raz jeszcze. - Obiecuj mi, Catherine, że znowu zaczniesz jeść.

- Obiecuję.

Przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Przez chwilę się wahał, lecz wreszcie podjął decyzję.

- Nie wiem, dlaczego postanowiłaś schudnąć - powiedział i urwał, oszołomiony spojrzeniem szafirowych oczu. Te oczy mówiły mu wyraźnie i całkiem szczerze, że to właśnie on wzbudził w niej taką potrzebę. - Jesteś oczywiście bardzo piękna, lecz przedtem też byłaś...

Miał jej jeszcze coś do powiedzenia, znacznie ważniejszą prawdę.

Twoje piękno, Catherine, polega na tym, kim jesteś w środku.

Ale nie wyznał jej tej prawdy.

Jakżeby mógł?

Alexę obudziło ciche pukanie do drzwi. Sączący się przez okno blask księżycy oświetlił zegar: dwunasta trzydzieści. Pewnie Cat przychodzi jej opowiedzieć o wyprawie z Jamesem. A może to James we własnej osobie? Nie, zdecydowała, przewiązując szlafrok paskiem. James i ja nie jesteśmy napalonymi małolatami.

Poza tym, uśmiechnęła się do siebie, zeszłej nocy w Różanej Skale ona i James powetowali sobie z góry dziesięć nocy przymusowej separacji. Pełniący obowiązki gospodarza James musiał zostać w Inverness aż do niedzieli wieczór. Alexa po odwiezieniu Cat na lotnisko miała wrócić do Różanej Skały. W poniedziałek wieczór James wybierał się na cztery dni do Denver, a potem do Chicago. Czekają ich dziesięć samotnych nocy, mimo to wiedziała, że to nie James puka do jej drzwi. Nie, tym mile widzianym nocnym gościem musiała być Cat, z którą będą plotkować godzinami o cudownym dniu.

Ale to nie była Cat. To była Brynne. Ale Brynne zupełnie inna niż ta, z którą Alexa spędziła tyle uroczych chwil w ciągu dnia. Różowe policzki Brynne miały teraz kolor popiołu, w ciemnych oczach widniało przerażenie, a po ich świetlistej promienności pozostało tylko wspomnienie. Przed trzema godzinami Brynne zakomunikowała Aleksie przepraszająco, że jest trochę zmęczona i chce iść wcześniej spać. I rzeczywiście poszła spać, o czym świadczyły jej potargane włosy, lecz teraz, zamiast szlafroka i koszuli nocnej miała na sobie dzinsy i krzywo pozapinaną bawełnianą koszulę.

- Brynne? Co się stało?

- Szukam Roberta. Bardzo cię przepraszam, ale nie wiem, w którym pokoju oni mieszkają.

- Szłam razem z nimi na górę, więc na pewno tam trafię. Wejdz i zaczekaj. Już po niego idę.

- O! Dzięki.

Alexa pobiegła szybko na górę po wschodnich dywanach pokrywających lśniące parkiety. Kiedy zbliżyła się do drzwi sypialni! Roberta i Hillary, przemknęło jej przez myśl, że jest bosa, bielizna przywiera jej do ciała i ma splątane we śnie włosy.

Ale jej wygląd nie miał znaczenia. To, że mogła przerwać intymne zbliżenie między seksownym politykiem i jego patrycjuszowską żoną, również nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że młodszej siostrze przydarzyło się coś złego. Młodziej siostrze, która w potrzebie zwraca się o pomoc do starszego brata. I to bez chwili wahania. Musiała wiedzieć, że zawsze może na niego liczyć.

Alexa zastukała do drzwi sypialni, zdecydowana za piętnaście sekund zastukać głośniejsze, a nawet wołać. Nie musiała jednak pukać po raz drugi. Robert bardzo szybko uchylił drzwi. Tak jak Alexa miał potargane włosy - seks czy sen? - na pizamę narzucił szlafrok z paskiem, ale nie zdążył wsunąć pantofli.

- Cześć. - Uśmiechnął się pytająco.

- Jesteś potrzebny siostrze. Nie wiem, co się stało, ale...

- Gdzie ona jest? - Robert przestał się uśmiechać, a w jego ciemnych oczach pojawił się lęk.

- W moim pokoju.

Alexa zaprowadziła go do drzwi sypialni i cofnąwszy się, przepuściła go przodem. Wszedł pierwszy do środka, podszedł szybko do krzesła, na którego brzeжку siedziała Brynne, przykląkł na podłogę i popatrzył jej w oczy.

- Kochanie? - spytał, zakrywając jej małe, blade zaciśnięte w pięści rączki swymi wielkimi dłońmi.

- To poronienie...

- Och, Brynne, nic nie wiedziałem...

- Nikt nie wiedział. Nawet Stephen. Musiałam jeszcze raz spróbować. Wiem, że mówiłam co innego, ale tym razem

byłam taka pewna... Musiałam. - Jej słowa przeszły w szloch, a po twarzy pociekły łzy.

- Wiem, już wszystko dobrze - szepnął. - Już dobrze.

Alexa podeszła do nich.

- Mam przyprowadzić Marion? - spytała, gdy Robert zatroskany wreszcie na nią spojrzał.

- Nie. Nie trzeba jej niepokoić - zaprotestowała Brynne. - Muszę po prostu pojechać do najbliższego szpitala.

- Nie wiem, gdzie to jest. Będę musiał poszukać Jamesa i...

- Ja wiem, gdzie jest szpital - przerwała Alexa. - W Marlboro. Kilkanaście kilometrów stąd. Weźmiemy moje auto.

Poprowadzę.

- Dziękuję. - Robert podniósł się z klęczek, nie wypuszczając ręki siostry z uścisku. - Idę się przebrać. Za chwilę wracam.

Alexa włożyła na siebie strój, w którym miała żeglować z Catherine i Jamesem. Kiedy zawiązywała tenisówki, Brynne podniosła się z krzesła i zachwiała się.

- Brynne? - Alexa natychmiast znalazła się przy niej i pomogła jej usiąść.

- Chciałam tylko wziąć torebkę.

- Ja ci przyniosę. Usiądź. Za chwilę wracam.

Alexa znalazła torebkę Brynne na stoliku nocnym w jej pokoju i pod wpływem nagłego impulsu weszła do garderoby po sweter lub żakiet. Wstrzymała oddech z wrażenia na widok leżącego na stoliczku szlafroka i koszuli nocnej. Obie rzeczy były przesiąknięte krwią, najwyraźniej zniszczone, a jednak poskładane, nie rzucone byle jak.

Krwawe plamy były jedyną pamiątką po tym maleńkim życiu, które Brynne właśnie traciła albo straciła? Już straciła - pomyślała ze smutkiem Alexa na wspomnienie wyrazu twarzy Brynne. Siostra Roberta wyglądała tak, jakby już wiedziała, że to koniec marzeń o macierzyństwie.

Kiedy przybyli do szpitala Marlboro na ostry dyżur, Brynne zabrano natychmiast za drzwi z napisem „Tylko upoważniony personel”. Robert i Alexa zostali w poczekalni, gdzie po czterdziestu pięciu minutach spotkał się z nimi lekarz.

- Poroniła.

- Rozumiem - odparł cicho Robert.

- Poronienie wydaje się całkowite, więc żadna interwencja lekarska nie będzie konieczna. Chcę ją jednak zatrzymać w szpitalu, dopóki nie otrzymam wyników badań krwi. Potem, oczywiście pod warunkiem, że wyniki będą dobre, wypiszę Brynne do domu. Przepuszczalnie potrwa to nie więcej niż dwie godziny.

- Dobrze. Mogę ją zobaczyć? - spytał Robert.

- Oczywiście. Siostra czeka na pana. Dla jej dobra proszę jednak maksymalnie skrócić wizytę. Brynne jest wyczerpana, a jeśli zostanie sama, być może uda się jej zasnąć.

- W porządku - odparł Robert i odwrócił się do Alexy. - Możesz jeszcze chwilę poczekać?

- Oczywiście, że tak.

- Jedziemy? - spytał, kiedy wrócił od Brynne.

- Jedziemy?

- Do Inverness. Chcę cię zostawić w domu i zabrać swój samochód.

- Samochód i Hillary?

- Hillary? - powtórzył Robert ze zdziwieniem. I dodał cicho po chwili: - Nie.

Nie? Alexa poczuła, jak wzbiera w niej gniew na dawną nieprzyjaciółkę. Robert opiekował się Brynne, pomagał jej, wspierał ją i kochał i choć bardzo wszystko przeżywał, dla jej dobra starał się być silny. A kto był jego ostoją? Co w tym czasie robiła jego kochająca żona? Czyżby Hillary była tak samolubna, że nie mogła poświęcić mężowi przynajmniej kilku godzin cennego snu? Czy naprawdę nie współczuła Brynne? A może już sama możliwość przesiadywania w zadymionej, tłocznej poczekalni wydawała się jej odrażająca?

Poczekalnia była, oczywiście, nieprzyjemna. Poza tym, jak każde pogotowie w sobotni wieczór, wypełniona hałaśliwymi, na ogół pijanymi pacjentami, którzy odnieśli obrażenia podczas nie zawsze rozsądnej zabawy i szukali teraz pomocy. Nie było to na pewno odpowiednie miejsce do refleksji nad utraconym dzieckiem. Brynne chroniły od hałasu potężne, stalowe drzwi, ale Robert nie miał tu szans na spokój.

A, myślała Alexa, patrząc w jego wrażliwe, tak smutne oczy, Robert potrzebuje spokoju. Na Hillary liczyć nie możesz, na mnie tak. Myśl wydawałaby się całkiem neutralna, gdyby nie jej dalszy ciąg: Chcę ci być potrzebna.

- Coś mi przyszło do głowy, Robercie. Mam niedaleko domek. To o wiele bliżej niż Inverness i tylko trochę dalej od Brynne niż ta hałaśliwa poczekalnia. Możemy podać lekarzom numer telefonu i zaczekać tam, jeśli chcesz. - Uśmiechnęła się lekko. Robert najwyraźniej miał ochotę skorzystać z propozycji, a jednocześnie nie chciał jej przeszkadzać. - Pewnie jestem zarozumiała, ale myślę, że kawa z Różanej Skały jest o wiele lepsza niż ta z maszyny.

- Na pewno, ale... - Umilkł, bo w gruncie rzeczy wcale nie miał ochoty protestować.

- Poza tym Brynne będzie potrzebowała nowego szlafroka - dodała cicho. - A tak się składa, że mam bzika na punkcie szlafroków, szczególnie miękkich i ciepłych, i uzbierałam całkiem pokaźną kolekcję. Kilka jest zupełnie nowych. Chętnie oddam jeden Brynne.

O Różanej Skale gawędzono towarzysko po kolacji. Alexa przyznała z wdziękiem, że jej maleńki domek nie jest tak wspaniały jak Inverness. Nie dorównywał też z pewnością Clairmont, słynnej posiadłości Arlingtonów, będącej prezentem ślubnym od Sama Ballingera dla córki i zięcia. Ale - zauważyła z uśmiechem - podobnie jak w Inverness, nazwę posiadłości wyryto eleganckimi literami u podnóża schodów prowadzących do domku - Różana Skała. Pomysł Jamesa, ale zyskał aprobatę i został natychmiast wprowadzony w czyn.

- Tak więc to jest Różana Skała - powiedział Robert, przystając, by podziwiać wykute w kamieniu litery, oświetlone blaskiem księżyca.

- Tak, to jest Różana Skała - zawtórowała cicho Alexa.

Z głosu Roberta wynikało, że mężnie próbuje poprawić nastrój, zresztą niepotrzebnie, bo Alexa rozumiała doskonale głęboką troskę brata o młodszą siostrę.

Prowadziła go po schodach w górę, do swego wspaniałego różanego ogrodu i romantycznego domku. Tak jak obiecała, zaparzyła kawę i również zgodnie z przyrzeczeniem zaoferowała swemu gościowi cudowny spokój Różanej Skały nocą. Siedzieli na ławce pod gwiazdnym stropem, ich twarze oświetlał księżyc w pełni, słuchali pieśni świerszczy, wdychali zapach róż i rozmawiali o cykadach, różach, księżycu i gwiazdach. Rozmowę przerywały długie chwile zupełnie niekrepującego milczenia.

W końcu i milczenie, i słowa stały się niekrepujące.

- Chcę z tobą porozmawiać o Brynne - szepnął Robert.

- Tak - odparła cicho Alexa.

Pragnę się dowiedzieć wszystkiego o Brynne, dodała w myślach. I o tobie.

- Brynne i Stephen są małżeństwem już od dwunastu lat i przez cały ten czas pragnęli dziecka - zaczął Robert.
- A Brynne zaszła w końcu w ciążę? I zaraz potem poroniła?
- Nie. To bardziej skomplikowane i bardziej przykre. Brynne zawsze łatwo zachodziła w ciążę. Wszystkie ciążę jednak szybko kończyły się poronieniem.
- Z jakiegoś konkretnego powodu?
- Z nieznanego powodu. Brynne i Stephen odwiedzali najlepszych specjalistów, wykonywali wszystkie testy i badania. Marion o wszystko zadbała, ale nawet najlepsi lekarze nie potrafili ustalić przyczyny tych poronień. Dlatego Brynne i Stephen nie tracili wiary. - Robert westchnął lekko. - Brynne zawsze wiedziała, że jest w ciąży niemal natychmiast po zapłodnieniu. Od razu czuła więź z powstającym w jej łonie życiem, więź pełną radości i nadziei. Zawsze, gdy traci dziecko, bardzo głęboko to przeżywa.
- Och, Robercie - szepnęła Alexa. - Ona byłaby taką cudowną matką...
- Tak. Najlepszą. A Stephen najlepszym ojcem. Czy to nie ironia losu, że w naszych czasach, kiedy kobiety mogą być dokładnie tym, kim chcą, kiedy nie muszą spędzać całego życia w roli matek i żon, kiedy bycie matką przestało stanowić wartość samą w sobie... właśnie macierzyństwo jest jedyną rzeczą, której tak naprawdę pragnie moja mądra mała siostrzyczka?
- Tak - przyznała cicho Alexa. - Ale nawet jeśli Brynne i Stephen nie mogą mieć własnych dzieci, pozostaje jeszcze adopcja, prawda?
- Myśleli o tym. Ale Brynne nigdy nie miała trudności z zajściem w ciążę, a ponieważ wierzyła mocno, że w końcu ją donosi, oboje odkładali adopcję na później. Tymczasem Stephen zaczął się już zbliżać do czterdziestki, co w publicznych agencjach adopcyjnych umiejscowiło go automatycznie w jednej z najniższych kategorii. - Na twarzy Roberta pojawił się wyraz czułości. - Chyba już zrozumiałaś, że w pewien sposób, bardzo kochający sposób, Brynne i ja zostaliśmy zaadoptowani przez Sterlingów. Gdy Brynne i Stephen odwiedzili już najlepszych specjalistów od bezpłodności i pojawiła się kwestia adopcji, James zaoferował swoją pomoc. Obiecał, że skontaktuje się z najlepszymi adwokatami w kraju, specjalizującymi się w tak zwanych prywatnych adopcjach.
- I nie udało się?
- Mimo dobrych prognoz dwukrotnie nic z tego nie wyszło. Za pierwszym razem w ciągu dwudziestu czterech godzin od narodzin dziecka, za drugim po sześciu tygodniach biologiczne matki zmieniały zdanie.
- To jest możliwe?
- Oczywiście. Era zamkniętych adopcji, szczególnie tych prywatnych, dobiega końca. James czuł się strasznie. Spotykał się przecież z obiema kobietami i wierzył, że są pewne swoich decyzji.
- A Brynne?
- Dla niej było to naprawdę wyjątkowo bolesne. Poniosła kolejną stratę, ale mimo to rozumiała, że matka ma prawo zmienić zdanie w tak ważnej sprawie. Tak czy inaczej te dwie nieudane próby obudziły w nich czujność. Sądziłem, że w ogóle zrezygnowali z dziecka, własnego czy adoptowanego. Brynne przeżyła przecież koszmar. Ostatnim razem, kiedy rozmawiałem z nią na ten temat, powiedziała, że to już koniec. I marzeń, i udręki.
- Ale postanowiła spróbować. Ten ostatni raz.
- Ostatni raz. - Zapadło długie milczenie i słychać było tylko wesoły koncert świerszczy.
- Czuję się taki bezradny - powiedział w końcu Robert.
- Bezradny?
- Uczyniłbym wszystko, by położyć kres męce Brynne, ale...

- ...nie możesz nic zrobić - dopowiedziała Alexa. - Lecz przecież jej pomagasz. Rozumiesz jej smutek, dzielisz go z nią i tak łagodnie się do niej odnosisz. Brynne z pewnością bardzo ci ufa.

- Całe lata chroniłem Brynne, gdy byliśmy młodzi, a przynajmniej próbowałem ją chronić. Tak bardzo chciałbym jej oszczędzić tego bólu. Ale nie mogę.

- Nie możesz - zgodziła się cicho. I zupełnie nagle wyczuła to: siłę emocji, które Robert tak starannie przed nią ukrywał. Ta siła była całkiem niewidoczna, a jednak Alexa odniosła wrażenie, że frustracje i bezradność Roberta tkwią również w niej.

- Ty też przeżywasz koszmar - powiedziała.

- To prawda - wyznał. - Zwykle nie przyznaję się jednak do takich rzeczy - dodał szybko.

Gdy spotkały się ich oczy, do głosu doszła kolejna ogromna siła, tkwiąca dotąd głęboko i starannie ukryta przez oboje. A gdy zmysłowe, ciemne oczy patrzyły w płonące szmaragdowe źrenice, wszystkie te potężne emocje, te cudowne pragnienia i tęsknoty wyzwołyły się - niebezpiecznie odważne, a nawet zuchwałe.

- Zwykle nie przyznajesz się do takich rzeczy? - powtórzyła za nim bez tchu.

- Zwykle nie.

Księżyc musiał obserwować tę scenę z aprobatą, bo otulił ich złotą mgłą, w której zasięgu wszystko mogło się wydarzyć, wydarzyć bezkarnie, bez obawy o konsekwencje, w której można było dzielić najgłębsze sekrety i pragnienia serca. I w tej złotej mgle Alexa dostrzegła pragnienia Roberta, cudowne, tajemnicze, wszechwładne pragnienie, które - odczuwane już od dawna - przetrwało aż do teraz, a Robert ujrzał w cudownych szmaragdach pragnienia tak samo mocne jak własne.

W bezpiecznym schronieniu Różanej Skąły wszystkie namiętności były dozwolone i Alexa powitałaby z radością ręce i usta, które pieściłyby ją równie czule jak oczy...

Lecz zadzwonił telefon i musiała opuścić Roberta i złotą mgłę dla zbyt jasnych lamp kuchni. Robert podążył za nią i za chwilę oboje wiedzieli, że Brynne może wyjść ze szpitala. Alexa znów opuściła Roberta i poszła do sypialni po szlafrok dla jego siostrzyczki.

Kiedy wróciła do kuchni, Robert wycierał kubki, które właśnie umył.

- Nie musiałeś tego robić.

- Ale chciałem. Poza tym to nawyk.

Nawyk? Z biednego, pracowitego dzieciństwa? - myślała. A może z wojska? Przecież w Clairmont nie zmywał ani on, ani Hillary...

- W pobliżu Kapitelu mam całkiem nieromantyczne, bezimienne mieszkanie - wyjaśnił z uśmiechem. - Jazda do Arlington nie zabiera mi więcej niż półtorej godziny, a ponieważ miewam spotkania i wcześniej rano, i późno wieczorem, często w ciągu tygodnia nocuję w moim małym mieszkanku, gdzie jestem jedyną osobą odpowiedzialną za mycie kubków.

- Rozumiem - odparła cicho Alexa.

Czuła, że jeśli nie schyli głowy i nie zasłoni szmaragdowych oczu złocistą grzywą, Robert dostrzeże z pewnością niebezpieczne pragnienia, jakie się w nich czają. Bywają więc, i to często, takie noce, które spędzasz z dala od Hillary? Może w jedną taką noc mógłbyś tu wrócić, a wtedy porozmawialibyśmy o... Co mi się snuje po głowie? Na szczęście w końcu ją schyliła, a kiedy się odezwała, mówiła już nie do Roberta, lecz do trzymanego w dłoniach miękkiego szlafroka.

- To szlafrok dla Brynne. Pomyślałam, że ten pogodny w rózyczki będzie się nadawał...

Gdy jej dotknął, umilkła. Zadrżała na całym ciele, gdy łagodnie i czule dokładnie tak jak to sobie wyobrażała - rozchylił złocistą kotarę jej włosów. On także zadrżał, kiedy uniósł jej piękną twarz i wyszeptał:

- Dzięki.

- Dzięki - powtórzyła Brynne za bratem w godzinę później.

Były w jej sypialni w Inverness; Robert już się z nimi pożegnał, a Alexa została jeszcze chwilę, aby się upewnić, czy jego siostrze niczego nie brakuje. Brynne leżała teraz w luksusowym łóżku, wygodnie oparta o poduszki. W miękkim szlafrocisku Alexy wyglądała bardzo młodo i ładnie.

- Nie ma za co. - Szkoda, że nie mogę dla ciebie zrobić niczego więcej. - Tak mi przykro.

W oczach Brynne znów pojawił się smutek.

- Wiem - odparła cicho. - Dzięki.

Alexa wahała się przez chwilę. Czuła jednak, że Brynne chciałaby porozmawiać o tym, co się stało.

- To takie niesprawiedliwe. Byłabyś naprawdę cudowną matką...

- Miło, że to mówisz. - Brynne zmarszczyła z namysłem brwi. - Ja chyba też tak uważam. Stephen i ja mamy w sobie tyle miłości... - Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - Ale z jakiegoś powodu dzieci nie były nam sądzone.

- Ten powód jest dla mnie zupełnie niezrozumiały - powiedziała gniewnie Alexa.

- Prawda? - zgodziła się szybko Brynne. - Miło jest czasem porozmawiać o tym z kimś innym niż Robert czy Stephen. Nas to tak bardzo smuci, że już nie potrafimy się wściekać.

- Jeśli chcesz, mogę się z tobą wściekać przez całą noc. - Alexa popatrzyła w oczy Brynne, które najwyraźniej chciały rozmawiać, i na jej twarz pilnie potrzebującą odpoczynku. - A na pewno jeszcze parę minut.

- Dziękuję. Wolałabym jednak rozmawiać dłużej.

Rozmawiały, dzieląc ze sobą słowa i emocje, lecz w końcu Brynne musiała się poddać wyczerpanemu ciału, które potrzebowało snu.

- Odwiedzę cię jutro - obiecała Alexa.

- Będę na przyjęciu.

- Na pewno? Nie powinnaś zostać w łóżku?

- Nie, na pewno poczuję się lepiej. Pewnie większość czasu spędzę pod różowymi parasolami, ale nic mi się nie stanie. Nie chcę nikomu mówić o poronieniu. Nawet Stephenowi. Nie wiedział, że jestem w ciąży, więc...

- Rozumiem - odparła cicho Alexa. Brynne musiała bardzo kochać męża. Chciała oszczędzić mu smutku. - Rozumiem.

- Dzięki za to, że byłaś.

- Nie ma za co, Brynne.

Przechodząc z pokoju Brynne do własnej sypialni, Alexa zerknęła na drzwi do pokoju Cat. Myślała, że cały ten wieczór spędzi na pogawędce z siostrą. Czuwała jednak przy siostrze Roberta i relacja z żeglowania z Jamesem musiała poczekać.

James. Ciekawe, co by zrobił, gdyby przeszła skrycie do drugiego skrzydła i wszystko mu opowiedziała? Jak by zareagował na opowieść o zalanych księżycem czarach w Różanej Skale i na wyznanie, że jej serce bije nadal dużo mocniej niż zwykle. James, wspaniały przyjaciel, który jednak nie jest w niej zakochany, na pewno zdołałby jej wyjaśnić, że to, co widziała w oczach Roberta, jest tylko iluzją, i że pewnie oślepił ją księżyc. Bo tak by przecież powiedział,

prawda? Nie mógłby się poczuć urażony. Chyba nie. Miała przynajmniej nadzieję, że nie.

Nie poszła jednak do drugiego skrzydła, aby szukać Jamesa. W drodze do własnej sypialni uświadomiła sobie, że rezygnuje z tej wizyty nie w obawie przed bólem w jego oczach. Wiedziała, że nie sprawi mu bólu, lecz nie i chciała, by rozwiązał jej złudzenia.

Zamiast szukać Jamesa, weszła do swego pokoju, gdzie złota, świetlista smuga przyciągnęła ją natychmiast do okna.

- Witaj, Księżycu - szepnęła, patrząc na milczącego świadka zdarzeń w Różanej Skale. - Pamiętasz mnie? Powiedz, czy ty też dostrzegłeś w jego piwnych oczach ten wymowny wyraz? Nie myliłam się, prawda? Prawda? Ale jestem nowicjuską w tych sprawach, więc pytam ciebie, prawdziwego eksperta, czy te cudowne wrażenia, te przyipywy radości i szczęścia to właśnie to, czego doświadczają zakochani? Tak? Mnie też się tak wydawało. I jeszcze jedno. Księżycu. Czy sądzisz, że on czuje to samo?

Na weekend w Inverness przybyli najbardziej wpływowi ludzie władzy. Przechadzali się w ogrodach wśród krzewów nagradzanych na wystawach róż, rozmawiali o zmieniającym się świecie, sączyli szampana i kosztowali zakąsek podawanych na srebrnych tacach.

Senator i pani Robertowa McAllister spędzili ten dzień razem. Wszyscy, oczywiście, chcieli pogawędzić choć chwilę z przyszlą parą prezydencką, wiele osób chciało również poznać Alexę Taylor. Alexa i Robert nie mieli okazji zamienić ze sobą nawet paru słów, lecz za to ich oczy, które zaczynały się szukać dokładnie w tym samym momencie, często wymieniały uśmiechy.

Alexa nie rozmawiała z Robertem, a Catherine nie rozmawiała z Jamesem. Chciała wprawdzie raz jeszcze podziękować mu za opiekę, lecz kiedy zjawiła się na śniadaniu, James pomagał już Arthurowi sprawdzić rozmieszczenie stołów pod różowymi parasolami oraz czystość kortów i basenu. Musiał również uzupełnić trochę uszczuplone zapasy na „Nocnym Wietrze”. Potem zaczęli już napływać pierwsi goście i James pełnił, obok rodziców, rolę gospodarza. A gdy sekretarz stanu, wielki miłośnik muzyki, rozpoznał w Catherine nastoletnią pianistkę, która tak go zachwyciła podczas konkursu Van Cliburna, ona również nie miała już czasu.

- Na moich przyjęciach goście nie są zobowiązani do występów na żądanie - stwierdziła uprzejmie, ale stanowczo Marion, gdy sekretarz poprosił Catherine, by zagrała recital na rzadko używanym, lecz wspaniale utrzymanym Steinwayu. - Niezależnie od tego, kto prosi - dodała z uśmiechem, patrząc na gościa, który był jej długoletnim przyjacielem.

- Nie mam nic przeciwko temu, Marion - Catherine włączyła się do rozmowy. - Chyba że ty sobie tego nie życzysz.

- Moja droga - odparła Marion z błyskiem w oku. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak musiałam ze sobą walczyć, żeby cię o to nie poprosić.

I Catherine grała, dzieląc się z zebranymi swym talentem, zupełnie nie speszona sławną publicznością. Zaimprovizowany recital stał się muzycznym popołudniem. Najpierw goście, zwabieni muzyką do salonu, po prostu słuchali jej gry jak zaczarowani. Potem, zachęceni pytaniami Catherine, zaczęli ją prosić o wykonanie swoich ulubionych utworów. Catherine miała bardzo bogaty repertuar i kochała wszystkie rodzaje muzyki - od Bacha począwszy, poprzez Chopina i na Gershwinie skończywszy.

Grała jak zawsze radośnie i idealnie czysto, dopóki nie zjawił się James. Parę chwil przedtem prezydent spytał ją, czy zna utwór *Rozpadam się na kawałki*. Znała i właśnie zaczęła go grać, gdy James wszedł do salonu. Jak na zawołanie, pomyślała, czując, że rozpada się na kawałki. Miała takie wrażenie zawsze, gdy spoczywał na niej jego wzrok. Oblała się rumieńcem, a jej serce znów trzepotało mocno, choć zrezygnowała z głódówki. Od rana jadła wprawdzie niewiele, ale

często i ciało nagrodziło ją nową dawką nieujarzmionej energii.

Catherine przyzwyczała się już do rumieńców i przyspieszonego bicia serca, gdy w pobliżu pojawiał się James. Teraz jednak, grając, czuła, że nawet jej niezwykle talent rozpada się na kawałki. Delikatne palce trąciły, raz a potem znowu, niewłaściwy klawisz. Nikt poza nią nie zdawał sobie sprawy z tych drobnych potknięć podczas wspaniałego tańca pięknych i wdzięcznych rąk.

Ona jednak wiedziała, a dla niego pragnęła grać szczególnie pięknie, płynnie, bez skazy. Ale nie mogła. Nie mogła również spojrzeć mu w oczy i uśmiechnąć się na powitanie. Tak, umiała uśmiechnąć się do prezydenta Stanów Zjednoczonych, wytrzymać jego zachwycone spojrzenie i nawet, grając, zamienić z nim parę słów. Nie umiała jednak spojrzeć na Jamesa bez przerywania tańca palców po klawiaturze. Tak więc palce tańczyły, potykając się lekko, a oczy unikały jego wzroku.

James pozostał w salonie tylko przez chwilę. Zgodził się zabrać kilka osób na jacht i gdy Cat i Alexa wychodziły z przyjęcia, na horyzoncie majaczyła wciąż biało-niebieska smukła sylwetka „Nocnego Wiatru”.

- Mamo?

- Cat... - szepnęła z ulgą Jane. Jej oczy wypełniły się łzami, a głos radością. Ona i Alexander tak cierpliwie czekali, by ukochana córka wreszcie do nich wróciła. Tak bardzo chcieli ją zobaczyć, przytulić i zapewnić o miłości. Wiedzieli jednocześnie, że to nie oni, ale Catherine musi odbyć tę podróż. Zdawali sobie też sprawę, że wyprawa będzie długa i bardzo trudna. Teraz jednak podróż przynajmniej się rozpoczęła. W głosie córki Jane usłyszała odrobinę nadziei, a już samo słowo „mama” było wielkim, miłowym krokiem. Od maja Catherine rozpoczynała swoje listy wyłącznie od „Cześć” i *Bonjour*, a nie od znajomych, zwyczajnych „Kochana mamo i tato” albo „Najdrożsi rodzice”.

- Jest tatuś?

- Właśnie idzie na górę odebrać telefon.

Czekały w milczeniu, aż Alexander podniesie słuchawkę, a gdy podniósł, Jane zaczęła się zastanawiać, czy Cat usłyszała drzenie w jego głosie.

- Jak się masz, Cat?

- Dobrze. Zadzwoiłam tylko, żeby się przywitać.

Rozmawiali ponad godzinę. Catherine opowiadała rodzicom o Nowym Jorku i utworach, których się właśnie uczyła, o weekendzie w Inverness i zawartych tam znajomościach, a jej słowa brzmiały chwilami zwyczajnie, cudownie. Ale duch przeszłości dawał o sobie znać. Duch przeszłości, która nigdy nie istniała. Catherine przypominała sobie kilkakrotnie tę bolesną prawdę i przerywała wypowiedź w pół słowa. Wtedy zapadała cisza, a Jane i Alexander czekali z bijącym sercem, żeby ich córka znów do nich przemówiła.

Tak, prześle im nagrania nowych utworów. A także, natychmiast gdy tylko dostanie je od Marion, fotografie prezydenta. Pierwszej Damy i Alexy pochylających się nad fortepianem podczas jej recitalu. Obiecała, że znowu zadzwoni.

Zadzwoni znowu. Była to najcudowniejsza obietnica ze wszystkich. Bo to znaczyło, że powrót Catherine do rodziców i ich miłości naprawdę się rozpoczął.

4

Za poparcie tego kontraktu otrzymał pan znaczące wynagrodzenie, senatorze. Krótko mówiąc, łapówkę.

- To śmieszne, pani Winslow. Nie wspomnę już nawet o innych oszczerstwach. Na poparcie swych słów nie ma pani przecież żadnego dowodu.

- Mam dowody, panie senatorze. Dokumenty, które miał pan za zniszczone, znajdują się w posiadaniu przewodniczącego Senackiej Komisji Etyki. Jeśli ma pan ochotę je obejrzeć, to w biurze mam kopie.

- Szukanie taniej sensacji nie ujdzie pani na sucho.

- Nie chcę, żeby cokolwiek uchodziło mi na sucho. Pan jednak starał się uniknąć odpowiedzialności. Na szczęście został pan przyłapany.

Oczy Alexy - oczy Stephanie Winslow - wpatrzone w zdziwioną i oburzoną jednocześnie twarz senatora rzucały błyskawice, dopóki reżyser nie krzyknął:

- Cięcie!

Z twarzy aktorów zniknęła wrogość, a w jej miejsce pojawiły się uśmiechy.

- Bardzo dobrze - pochwalił reżyser. - Do montażu. Teraz wszyscy na lunch, a potem, Alexo, chciałbym rozpocząć tę scenę w biurze. Jesteś gotowa?

- Oczywiście.

- Senatorze McAllister! - Tłum reporterów otoczył Roberta ledwie wyszedł ze spotkania z Senackiej Komisji Wywiadu. - Zdaje się, że jednym z punktów dzisiejszego spotkania była dyskusja na temat sytuacji zakładników. Są jakieś postępy?

- Przecież wiecie, że nie mogę o tym mówić - odparł uprzejmie.

Reporterzy oczywiście wiedzieli i dlatego ich koledzy oblegali teraz innych członków komisji. Bywało, że senatorowie, robiąc jakąś pozornie niewinną uwagę lub minę, zdradzali niechcący szczegóły spotkania objęte ścisłą tajemnicą. Te „potknięcia” były czasem nieprzypadkowe - fakty ujawniano świadomie, w imię aktualnych interesów politycznych. Senator Robert McAllister należał do najmłodszych członków komisji, a mimo to nigdy nie robił żadnych nierozsądnych uwag. Ani umyślnie, ani nieumyślnie. Dziennikarze wiedzieli, że w przypadku McAllistera trudno liczyć na nieostrożność czy zamierzone gierki, ale mieli nadzieję uzyskać od niego jakieś legalne informacje, bo komentarze polityczne fotogenicznego i szanowanego senatora z Wirginii budziły zainteresowanie i stanowiły główny punkt wieczornych wiadomości.

Na spotkaniu mówiono o wielu sprawach, lecz Robert uważał, że nawet bardzo ogólna informacja może zagrażać bezpieczeństwu. Był na wojnie i sprawy postrzegane przez kolegów jako czarno-białe, co dziwnym zbiegiem okoliczności korespondowało zawsze z polityką reprezentowaną przez ich partię - on widział w szarych barwach.

- Przepraszam - powiedział i uśmiechnął się do dziennikarzy, świadom, że oni tylko próbują wykonywać swoją pracę tak samo pilnie jak on swoją.

Uciekł do biura i w porze lunchu odpowiadał na telefony, rozmawiał ze współpracownikami, czytał kolejne partie dokumentów, które codziennie napływały na jego biurko i próbował - tak jak co dzień - zapomnieć o niej.

Jak jednak mógł o niej zapomnieć? Alexa dotknęła przecież tej jego cząstki, która przetrwała zawieruchy przeszłości, tego delikatnego pełnego nadziei miejsca w sercu, które cudem uniknęło szram i blizn. Robert zdawał sobie doskonale sprawę z istnienia blizn w swoim sercu, gdyż sam je zasklepił, nakładając na żywe wciąż rany bezkrwistą tkaninę, by taką pieczęcią zabezpieczyć się na przyszłość przed cierpieniem.

Do czasu, gdy poznał Alexę, uważał, że jedyne czułe miejsce w sercu przeznacza dla siostry. Przez całe dzieciństwo chronił Brynne przed twardą rzeczywistością ubogiej egzystencji. Krył przed nią łzy i przekonywał ją z miłością, że życie można wypełnić szczęściem, choć sam dawno zrezygnował z własnego.

Już będąc małym chłopcem był silny - dla Brynne. Jako osiemnastolatek musiał być silny dla mężczyzn, z którymi

służył w Wietnamie. Jego dojrzały spokój wnosił trochę rozsądku i opanowania do oszalałego świata. Uznany za dowódcę i bohatera, odważnie ratował życie i dodawał hartu ducha wielu żołnierzom. Lecz znał prawdę. Patrzył na otaczający go koszmar, wydając nieme okrzyki bólu i zagrzebując je od razu pod grubymi bliznami - głęboko i na zawsze.

Powrócił z Wietnamu z jasną wizją pokoju dla świata. Planował ciche, samotne życie oddane służbie publicznej i urzeczywistnianiu tej wizji. Wiedział, że jego skrwawione serce nie jest już zdolne do miłości, a dopóki nie poznał Hillary, nie myślał poważnie o małżeństwie. Piękna, pełna życia Hillary wszystko mu jednak ułatwiła. W cudowny, uwodzicielski sposób dała mu wyraźnie do zrozumienia, że go pragnie, a jako córka senatora znała doskonale tajniki życia polityków i była gotowa je z nim dzielić. Wtedy Robert wierzył jeszcze, że Hillary będzie z nim dzielić również wizje i marzenia. Ich burzliwy romans wplótł się złocistą nicią w i tak już lśniąca kampanię wyborczą do senatu.

Robert nie poprosił Hillary o rękę dlatego, że była córką gubernatora; z nich dwojga przynajmniej on nie zawierał małżeństwa z przyczyn politycznych. Pragnął poślubić śliczną, wyzutą z egoizmu kobietę, która tak czarująco go przekonała, że wcale nie musi wieść samotnego życia. Aż do dnia ślubu nie przebywał z nią jednak zbyt często na osobności, nie miał czasu dzielić ze swą przyszłą małżonką sekretów serca. Dlatego ślubując jej przed ołtarzem, złożył również prywatne przyrzeczenie. Obiecał sobie skrycie, że zdradzi jej swe najgłębsze tajemnice i odsłoni przed nią starannie zabliźnione rany, nawet kosztem cierpienia.

Przekonał się jednak wkrótce, że panią Robertową McAllister nie interesuje chłopiec, który musiał się stać mężczyzną, gdy był zaledwie małym, głodnym, przestraszonym dzieckiem. A już na pewno nie chciała słyszeć o cichych okrzykach przerażenia zagrzebanych na zawsze w jego sercu. Zrozumiał, że Hillary dba jedynie o blichtr symboli, o złote medale za odwagę, a nie brzydkie blizny mężczyzny.

Hillary nie pragnęła wcale intymności uczuć, nie chciała też być ciepłą, kochającą, wyzutą z egoizmu kobietą, którą Robert uwodził przed ślubem. Ten czarujący wizerunek zostawiła jednak dla świata, który uznał ich związek za doskonały. Czasem, zwłaszcza na początku ich małżeństwa, odgrywała tę rolę również dla niego. Robert zrozumiał, że został oszukany. Traktował jednak poważnie złożone śluby, a jeszcze poważniej kobietę, którą Hillary tak skutecznie przed nim odegrała, gdy romansowali. Próbował usilnie, dla dobra ich małżeństwa, lecz przede wszystkim dla dobra Hillary pomóc jej stać się znowu ciepłą, uroczą istotą, lecz w końcu zrozumiał, że ta uroczą istotą nigdy naprawdę nie istniała. Hillary nigdy nią nie była, ani nawet nie chciała nią być. Lubiała swoje zimne, próżne, egoistyczne, a przede wszystkim jedyne prawdziwe wcielenie.

Hillary nie zdołała zniszczyć bardziej serca swego męża, ponieważ nigdy się do niego wystarczająco nie zbliżyła. A Robert mógł przeżyć życie bez miłości, nawet za nią nie tęskniąc, nie próbując szukać czegoś więcej, nie wierząc, że i on sam ma szansę na szczęście - takie, jakie niegdyś przyrzekł Brynne.

Teraz jednak pojawiła się Alexa. Wcale jej nie szukał, a jednak znalazł i już nie potrafił się bez niej obejść. Tak bardzo jej potrzebował!

Na jakie poświęcenia dla kobiety, która na pewno nie pragnęła go tak desperacko, jak on jej, był gotów ten sławny senator typowany na prezydenta?

Odpowiedź wydawała się prosta.

Chciał poświęcić dla niej wszystko.

- Alexo, to do ciebie. - Kamerzysta wskazał słuchawkę, którą trzymał w ręku.

- Dzięki. - Alexa podeszła z uśmiechem do aparatu za kulisami. - Halo?

- Cześć, Alexo. Tu Robert.

- Cześć - odparła cicho.

- Właśnie myślałem... - przerwał, aby odzyskać oddech, który wstrzymał z wrażenia. W cichym głosie Alexy pobrzmiewała bowiem wyraźnie czułość. Czułość i ulga. Tak jakby czekała na ten telefon, choć nie wierzyła, że zadzwoni.

- Tak.

- Tak? - powtórzył miękko, z radością i niedowierzaniem. Alexa zgadzała się na wszystko, cokolwiek by zaproponował. Zanim zdecydował się zatelefonować, nie robił żadnych dalekosiężnych planów, ale teraz myślał szybko i precyzyjnie. Wieczorem był umówiony na kolację, a nocować zamierzał w swoim mieszkaniu w mieście.

- Dzisiaj? Nie dotrę do ciebie przed jedenastą.

- Dobrze. O jedenastej.

Alexa czekała na Roberta na wysadzonej różami ścieżce, skąpanej w księżycowej poświacie. Przez chwilę po prostu na siebie patrzyli i dotykali się oczyma, które tak wymownie świadczyły o ich radości. Potem drżące palce Roberta pogładziły twarz Alexy, drżąca dłoń Alexy musnęła policzek Roberta i... już była w jego ramionach, a ich usta wymieniły gorące, zdziwione powitanie. Pragnął ją pieścić, tulić, całować, kochać... Były też słowa, których pragnął słuchać. Słowa płynęły z najdelikatniejszego miejsca w sercu Roberta, tego dzielnego przyładka nadziei, który pozostał wolny od blizn, gdyż jakimś cudownym zbiegiem okoliczności wiedział, że jest przeznaczony dla Alexy.

- Tęskniłem za tobą całe życie - szepnął Robert między jednym pocałunkiem a drugim. - Całe życie.

Ich miłość nie była spokojna i leniwa. Zbyt mocno się wzajemnie pragnęli, żeby robić powolne, zmysłowe odkrycia. A kiedy znaleźli się szybko tam, gdzie się chcieli znaleźć, kiedy wreszcie stali się jednością, odkryli, że oprócz niezwyklej żądy ogarnęła ich niezwykła radość i szczęście.

Delikatne palce Alexy dotknęły czule szerokiej blizny na brzuchu Roberta, a w chwilę później w ślad palców podążyły usta. Pieściła go czule i namiętnie; nie zadawała żadnych pytań, lecz łowiła chciwie każde jego słowo.

- Mam jeszcze inne blizny, Alexo. Znacznie głębsze.

- Gdybyś mi je pokazał, też mogłabym je ucałować.

- Już to zrobiłaś, najdroższa. - Robert przyciągnął ją do siebie i rozdzielił splecione złote pasma, by odsłonić szmaragdowe oczy. - Kocham cię.

- Ja ciebie też kocham, Robercie. - Dotknęła czule ustami jego ust. Wiedziała, że za chwilę znów zaczną się kochać, lecz pozostało jeszcze zadać pewne pytania i udzielić odpowiedzi. Robert musiał wiedzieć bez żadnych wątpliwości, że jej miłość jest bezwarunkowa, niezależna od upiorów z przeszłości. - Chcesz mi powiedzieć coś o wojnie?

- Nie, kochanie. Nic szczególnego. Nic, czego musiałbym się wstydzić. Jestem po prostu zwyczajnym mężczyzną, który walczył w Wietnamie.

- Nie zgadzam się z tobą, Robercie McAllister - odparła cicho, zanim zdążyła się znów zatopić w jego zmysłowych oczach. - Wcale nie jesteś zwyczajnym mężczyzną.

- Halo, James.

- Alexa...

- Nie przeszkadzam? - Była sobota, w Chicago dochodziła szósta. Telefon Aleksy zastał Jamesa w apartamencie

hotelu Drake.

- Nie, skądże znowu. Skończyłem na dzisiaj. - Na myśl o tym, że jest wolny od dwóch godzin, James zmarszczył lekko brwi. W każdą inną sobotę w ciągu tych pięciu miesięcy, odkąd poznał Alexę, złapałby już dawno samolot z lotniska O'Hare i wylądował na National, aby spędzić z nią noc w Różanej Skale. Dziś stał jednak przy oknie, wbijając wzrok w panoramiczny widok jeziora Michigan i myślał. O Alexie i o jej siostrzyczce.

- Mogę przyjść na górę?

- Na górę?

- Jestem w holu.

- Cześć.

- Cześć. Wejdz.

- Dziękuję.

James patrzył z zaciekawieniem i zdziwieniem na Alexę, która uśmiechnęła się tylko na powitanie i nawet go nie całując, weszła szybko do eleganckiego salonu. Najwyraźniej miała jakąś pilną sprawę.

- Więc? - spytał, siadając na sofie stojącej naprzeciw sofie zajętej już przez Alexę.

- Jamesie... coś się wydarzyło.

- Domyślam się - odparł cicho. - Coś pozytywnego, chociaż nie jesteś pewna, czy ja również będę tego zdania.

- Tak - odparła zdumiona, że James czyta w niej jak w otwartej księdze, a jednocześnie zaniepokojona tym, co musiała mu powiedzieć.

- Czy zgaduję? Nie, nie mam pojęcia, co to może być.

- Bo to niewyobrażalne. Poznałam kogoś i zakochaliśmy się w sobie.

- Zakochaliście się w sobie? - powtórzył. - W głowie zaczęła mu wirować pewna myśl, którą próbował stłumić już od tygodnia. Ja też. - Miłość? Cyniczna ty?

- Cyniczna ja. To wszystko twoja wina, oczywiście - dodała zgodnie z postanowieniem, by jak najrzadziej uciekać do kłamstwa, choć nie mogła wyjawić Jamesowi całej prawdy. Ale to James przedstawił ją Robertowi, a poza tym był odpowiedzialny za jej miłość w znacznie bardziej istotnym sensie. I chciała, by to wiedział. - Dzięki tobie uwierzyłam w siebie. Bez przerwy mi powtarzałeś, że jestem miła i dobra, a nie okrutna, że jestem warta tego, by kochać i być kochaną. Nie wiem, czy naprawdę w to wierzysz. Jeśli nie, stworzyłeś potwora. Potwora, który, wprowadzony przez ciebie w błąd, oszalał z miłości.

- Dobrze wiesz, że wierzę - odparł, patrząc na nią poważnie.

Alexa próbowała odczytać więcej z jego oczu, ale James zamienił się tymczasem w mistrza negocjacji: jego niezwykle przystojna twarz przybrała chłodny, opanowany, nieprzenikniony wyraz. Przyleciała do Chicago, aby powiedzieć mu prosto w oczy, że ich związek się skończył, ponieważ chciała postąpić uczciwie. Nie oczekiwała od Jamesa wybuchu rozpaczki ani też wcale tego nie pragnęła, lecz w jego niebieskich oczach nie dostrzegła nawet iskiereczki żalu. Tak naprawdę w jego słowach: „zakochaliście się w sobie” dosłyszała nawet ulgę. Nie chciała oczywiście, by cierpiał, ale...

- Co? - zapytał ze śmiechem, gdyż nie potrafił odczytać jej spojrzenia.

- A niech cię, James! Czy to ma dla ciebie w ogóle jakieś znaczenie? Zależało ci choć odrobinę na naszym związku? Może to nie fair z mojej strony, że pytam, ale...

- Alexo! Oczywiście, że mi na nas zależało! Naprawdę o tym nie wiesz? - James czekał, by jej spojrzenie

złagodniało, a oczy wyznały: „Tak wiem”. - Bardzo mi na nas zależało, Alexo. I zawsze będzie mi zależało na twoim szczęściu, Alexandro Taylor.

- Definicja miłości Cat.

- Tak?

- Tak. Ona twierdzi, że jeśli dbasz o dobro drugiej osoby, niezależnie od tego, czy macie być razem, czy nie, to znaczy, że ją kochasz. A ja czuję dokładnie to samo co ty. Pragnę twego szczęścia. Więc...

- Więc?

- Więc się kochamy, choć nigdy sobie tego nie mówiliśmy.

- Aż do teraz - sprostował cicho James. - Czy muszę dbać o twoje dobro z daleka, czy możemy zostać przyjaciółmi? Byliśmy cudownymi kochankami, Alexo, ale chyba lepszymi przyjaciółmi.

- Och - szepnęła. - Tak się cieszę, że chcesz być moim przyjacielem.

- Zawsze. - James przypieczętował obietnicę łagodnym uśmiechem. - Tak więc, przyjaciółko Alexo, opowiedz mi wszystko o tym mężczyźnie - dodał żartem, by nieco złagodzić napięcie.

- Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Spotkaliśmy się w czwartek, dwa dni temu i to wszystko. Miłość od pierwszego wejrzenia. - Alexa kłamała bez zmrużenia oka, a przyznając się do uczucia, którym kiedyś pogardzała, zdobyła się nawet na zawstydzony uśmiech. Uważała jednak, że to kłamstwo jest konieczne. James nie mógł się dowiedzieć, że obiektem jej uczuć jest Robert. Nienawidziła kłamstw, lecz przyczyny tego konkretnego kłamstwa nienawidziła jeszcze bardziej: bała się po prostu, że James nie zaaprobuje jej związku z Robertem. Może, mimo wszystkich zapewnień o miłości i przyjaźni, sądził, że Alexa nie jest warta Roberta? Albo że Robert nie powinien ryzykować kariery dla romansu? Potwory zaczajone w ciemnych kątach jej serca, symbole minionych upadków, wciąż tam tkwiły, teraz uspokojone miłością Roberta i Jamesa, lecz nie uciszone na zawsze.

- On ma jakieś imię?

- Romeo. Stosownie, skoro zdecydowałam się uwierzyć w miłość, nie sądzisz? Poza tym, cytując młodą panią Capulet: „Cóż jest w nazwisku?”

- Te nieudolne wykręty świadczą wyłącznie o tym, że facet należy do kategorii absolutnie nieodpowiednich - zauważył z uśmiechem James.

Alexa opowiadała mu kiedyś - pół żartem, pół serio, o mężczyznach, których - gdyby mimo wszystko kiedykolwiek zmieniła swój cyniczny stosunek do miłości - uważała za „absolutnie nieodpowiednich” partnerów. Wśród nich znaleźli się między innymi aktorzy i politycy. Zdaniem Alexy łączyła ich niepospolita próżność, zarozumiałość, egoizm i umiejętność stawiania na swoim. Kiedyś, zanim poznała Jamesa, dla jakiejś fałszywie pojętej zasady wykluczała również prawników i arystokratów. Gdyby jednak jej kochanek był aktorem, politykiem, prawnikiem lub arystokratą, teraz potrząsnęłaby tylko złotą grzywą, roześmiała się głośno i powiedziała prawdę. Ale tego nie zrobiła.

- Jest żonaty, prawda? - spytał James, widząc niepokój w oczach Alexy.

- Tak - przyznała. Czuliła, że nie może przesadzać z kłamstwami. Minęła się bowiem z prawdą w najważniejszej sprawie, a mianowicie stwierdziła, że poznała swego kochanka dopiero w czwartek i wydawało się, że James jej wierzy. Postanowiła więc nie przeciągać struny.

- Myślałem, że masz w tych sprawach niezłomne poglądy.

- Kiedyś owszem. Ale już nie. Nie przy nim. Muszę żyć z tą miłością tak długo, jak tylko się da, cokolwiek się będzie działo.

- To niebezpieczne.

- Wiem. Niebezpieczne i głupie, nie wspominając już nawet o tym, że niewłaściwe. Bo w głębi serca ja, dziewczyna z Kansas, podzielałam to staroświeckie, prowincjonalne przekonanie.

- Może i staroświeckie, ale na pewno bardzo, bardzo rozsądne.

- Tak. Ale w miłość do tego mężczyzny wierzę głębiej niż w cokolwiek innego. Myślałam, że nigdy nie przeżyję wielkiego uczucia. A jednak...

- Widzę. - Alexa promieniała, wydawała się nawet piękniejsza niż zwykle, biła od niej wielka, niezmierna radość.

- Ale uważaj.

- Nawet tego nie mogę ci obiecać - odparła cicho. Chciała, oczywiście, utrzymać swój związek w ukryciu, ale straciła całkowicie kontrolę nad sercem, które już do niej nie należało. Stało się wyłączną własnością Roberta. Jedynie on miał nad nim władzę.

Nie przyjęła zaproszenia Jamesa na kolację, tłumacząc się zmęczeniem, co było prawdą, i koniecznością powrotu do Waszyngtonu na poranne zdjęcia. I w tej sprawie nie kłamała, lecz przede wszystkim bała się, że mając do dyspozycji więcej czasu, James zacznie zadawać pytania, wyciągać z niej informacje i w końcu zacznie się czegoś domyślać.

Wyszła, a James spędził cały wieczór i bezsenną noc, rozmyślając o Catherine. Catherine towarzyszyła mu zresztą przez cały tydzień w myślach, które dawały o sobie znać w najbardziej niespodziewanych momentach, na przykład w trakcie negocjacji. Myśli nie opuszczały go ani na chwilę, a on próbował nad nimi panować, puszczając jedynie na krótko wodze fantazji. Zamierzał zresztą w wolnej chwili raz na zawsze się z nimi rozprawić.

Musiał je skazać na dożywotnią banicję ze względu na Alexę, którą kochał i której nie mógłby skrzywdzić. Gdyby zakochał się w innej kobiecie, na pewno wyznałby Aleksie prawdę, postąpiłby dokładnie tak jak Alexa postąpiła wobec niego. A ona cieszyłaby się jego szczęściem, tak jak on dzielił z nią teraz radość miłości.

Catherine nie była jednak, ot tak, po prostu inną kobietą, lecz młodszą siostrą, która wniosła tyle zamieszania w życie młodej Alexy. No i związek z tą siostrą, wciąż jeszcze chwiejny i kruchy, miał dla dorosłej Alexy niebywałe znaczenie. James był absolutnie pewien, że nigdy nie mógłby powiedzieć: „Wiem, my, cynicy, nigdy nie sądziliśmy, że możemy się zakochać. Ale widzisz, w twojej siostrzyczce jest coś cudownego i magicznego”.

Teraz jednak Alexa odnalazła swoją magiczną miłość.

I może właśnie ta czułość, która łączyła ją z Jamesem, otworzyła serca ich obojga na jeszcze głębsze uczucia. „To twoja wina” - zażartowała, dziękując mu za to, że dodał jej wiary w siebie. Prawda była jednak taka, że dzięki związkowi z Alexą i on nauczył się czegoś o sobie. Zawsze otaczali go ludzie, których kochał - rodzice, Elliot, Robert, Brynne. Aż do czasu Alexy nie zależało mu jednak prawdziwie na żadnej kobiecie. A dzięki niej odkrył, że jest zdolny do czułości, delikatności i tkliwości.

- To twoja wina, Alexo, że mogę się teraz zakochać w twojej młodszej siostrze - szepnęła, patrząc w lśniące niebo nad Chicago. - I dziękuję ci za to - dodał ciszej.

Cudowne myśli o Catherine, teraz już wolne od jakichkolwiek ograniczeń, tańczyły mu w myślach, wirowały, kręciły się w kółko i skakały z radości, dopóki nie spadły i nie rozbiły się.

A Catherine? - spytał nagle jakiś głos, może głos rozsądku. Już zapomniałeś, jaka jest młoda? Jaka niewinna? Nie pamiętasz, że za każdym razem - za każdym! - gdy byliście razem, Catherine rumieniła się ze wstydu? Tłamsisz ją. Przytłaczasz. Alexa mówiła ci to przecież od dawna, a ostami weekend udowodnił tylko, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Jak mogłeś tego nie zauważyć? Dziś wieczorem mija tydzień, odkąd doprowadziłeś Catherine do płaczu. Już nie pamiętasz, jak zareagowała nazajutrz po południu, kiedy zacząłeś wraz z innymi słuchać jej gry? Nie mogła nawet

patrzeć na ciebie!

Tak, Catherine jest niewinna, ale ja będę delikatny i ostrożny - obiecywał z całego zakochanego serca. I owszem, jest młoda, ale nie aż tak młoda. W tych szafirowych oczach kryje się tyle powagi i rozumu... Jakby przeżyła stanowczo zbyt wiele smutku. I tak, tak, wprawiałem ją w zakłopotanie i bardzo mi z tego powodu przykro. Przytłaczam ją, wiem, że to prawda. Ale i ona mnie przytłacza. A oboje jesteśmy przytłoczeni przez magię. Ona również to czuje. Wiem, że tak. W tych błyszczących oczach i uroczym uśmiechu często dostrzegam zdziwienie. I chyba wiem, dlaczego unikała mego wzroku, gdy grała na fortepianie w zeszlą niedzielę po południu. Z tego samego powodują musiałem siłą wyrzucać z głowy myśli o niej, ilekroć chciałem skupić się na pracy. Myśli cudowne i absorbujące, wymagające jednak niepodzielnej uwagi.

Wydajesz się pewny swych uczuć wobec Catherine - głos rozsądku nie dawał za wygraną. Czy jednak jesteś przekonany, że ona chce tego samego?

Jeśli się okaże, że Catherine wcale nie pragnie mojej miłości, zostawię ją w spokoju. Postąpimy tak, jak ona zechce. Ona dokona wyboru serc.

James najchętniej pojechałby do Catherine od razu, lecz - czyniąc ostatnie już ustępstwo na rzecz rozumu - zdecydował, że musi mieć trochę czasu między zakończeniem romansu z Alexą i rozpoczęciem miłości z Catherine.

Czas... tygodnie... bezcenny czas z dala od bezcennej Catherine.

5

Halo, Catherine. Tu James.

- James.

- Jak się miewasz?

- Świetnie. Dziękuję. Naprawdę wspaniale - dodała szczerze. - Wciąż jestem szczupła, ale zdrowa i silna.

Wiedziała jednak, że James telefonuje do niej nie po to, by zapytać ją o samopoczucie, lecz w związku z Alexą. I choć Alexa zapewniała ją nieraz, że James nie ma wcale złamanego serca, to na pewno sprawa wyglądała inaczej. A teraz James dzwonił do niej po pomoc.

- To dobrze. Chciałem zapytać, czy nie miałabyś ochoty trochę pozełgować. Na przykład w sobotę.

- Och... - szepnęła. Jak zwykle w rozmowach z Jamesem czuła się rozdarta i nie miała pojęcia, co powiedzieć. Tak, bo chcę cię zobaczyć. Nie, bo nie powiem ci nic, co mogłoby pomóc. Alexa jest naprawdę zakochana.

- Albo w niedzielę. Kiedy wolisz.

- W takim razie w sobotę. - Usłyszała własny głos udzielający tej głupiej, lecz śmiałej odpowiedzi.

- Dobrze. Pożyczę jacht od przyjaciela. Stoi przycumowany w Southampton Club na Long Island. Powinniśmy wyruszyć z Manhattanu około jedenastej. Dobrze?

- Tak, dobrze.

- Cześć.

- Cześć. - James uśmiechnął się uszczęśliwiony i zatonął na chwilę w niebieskich oczach. Oczy Catherine rozjaśniły się z radości na jego widok, lecz pod lśniącymi szafirami widniały ciemne kręgi, a pod nimi blade, szare prawie popielate policzki. - Catherine, co się dzieje? Jesteś chora?

- Wszystko w porządku. To... nic. Co za wspaniały dzień na żeglowanie! Muszę tylko wyjąć żakiet z szafy i możemy ruszać.

- Dobrze - zgodził się natychmiast. Chciał znów zapytać, co jej dolega, ale bał się wprawić ją w zakłopotanie. Gdy

Catherine podeszła do szafy po zakiet, dostrzegł, jak jej ciało sztywnieje, a delikatne place wpijają się bezlitośnie w białe grzbiety dłoni.

Coś ją boli, pomyślał. Ból jednak łatwo ustępuje, uznał, widząc, że ciało Catherine rozluźnia się, a palce już dosięgały zakietu. Tak więc ból nadchodził falami i cofał się. Lecz blada twarz i sińce pod oczami świadczyły, że dziewczyna cierpiała przez całą noc.

- Catherine? Dzwoniłaś do mnie, żeby odwołać spotkanie? Całe przedpołudnie spędziłem w biurze.

- Nie, nie dzwoniłam.

- Aha. - Niezależnie od tego, co jej dolegało, nie chciała przekładać spotkania. To nappełniło jego serce jednocześnie radością i smutkiem. - Może jednak powinniśmy zrezygnować z wyprawy i umówić się na kiedy indziej?

- Chyba tak. - Catherine odeszła od szafy, zamknęła drzwi i popatrzyła mu odważnie w oczy. - Chciałeś ze mną porozmawiać o Aleksie?

- O Aleksie?

- Tak. O Aleksie i... - Wzruszyła przepaszająco ramionami.

- O Aleksie i jej nowej miłości? Nie. Absolutnie nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Myślałam, że po to dzwoniłeś.

- Nie. Przecież o tym mogę mówić z twoją siostrą. Martwię się, tak jak ty, czy Alexa na pewno postępuje mądrze, ale bardzo się cieszę jej szczęściem i mam nadzieję, że to szczęście będzie trwało wiecznie. - Popatrzył w piękne, zdziwione oczy Catherine. - Zaproponowałem łódź, bo pragnąłem cię zobaczyć.

- Och... - Odpowiedź Catherine zrazu była jak technienie szczęścia, lecz zmieniła się w jęk.

- Pozwól sobie pomóc - poprosił cicho James. - Wiesz, co ci dolega?

- Wiem. I zaraz mi przejdzie.

Już dawno powinno było przejść. Ostre skurcze nie trwały zwykle dłużej niż osiem godzin, lecz tym razem przeciągnęły się do dwunastu. Przez całą bezsenną noc łudziła się, że do rana, zanim odwiedzi ją James, wszystko się uspokoi. Czowała, że będzie za bardzo zmęczona, by żeglować, lecz przynajmniej wolna od bólu. Ból jednak trwał.

- Już ci się to zdarzało?

- Tak - odparła, popielate policzki na chwilę oblały się rumieńcem. - To naprawdę nic takiego. Mam... mam po prostu okres.

Gdy rumieniec zakłopotania zniknął, wessany przez kolejną falę bólu, James poczuł wyraźnie, że jest jednocześnie oczarowany i kompletnie bezradny. Bezradny, bo chciał przerwać jej cierpienie natychmiast, oczarowany, bo żył w czasach, gdy reklamy tamponów na billboardach i rozmowy o zespole napięcia przedmiesiączkowego na przyjęciach były zjawiskiem powszechnym, a jednak do Cat to jakoś nie dotarło. Wciąż podchodziła do tych spraw w sposób bardzo intymny, bardzo osobisty.

- Catherine - zaczął delikatnie, gdy wyczuł, że fala najostrzejszego bólu minęła. - Już zapomniałaś, że moja matka jest ginekologiem? Nie rozmawialiśmy wprawdzie przy stole o miesiączkach, ale... - Przerwał, bo Catherine uśmiechnęła się lekko. O miesiączkach istotnie nigdy nie mówiono przy stole w jego rodzinnym domu, a całą wiedzę na ten temat uzyskał od kobiet, z którymi się spotykał, ale... - Nie jestem zażenowany. Ty też nie powinnaś. Proszę. Zawsze masz takie bóle?

- Tak, choć tym razem trwają dłużej niż zwykle. Może dlatego, że to mój pierwszy okres od czerwca. Miesiączki ustały zupełnie, kiedy stosowałam dietę.

- Radziłaś się lekarza?

- Rozmawiałam z lekarką z przychodni studenckiej w Oberlin. Nie podejrzewała wprawdzie endometriozy, ale powiedziała, że powinnam się zgłosić do specjalisty i zacząć zażywać pigułki antykoncepcyjne.

- Poleciała ci konkretnego specjalistę?

- Tak, chcę się do niego wybrać jeszcze w tym tygodniu.

- Dobrze. Bierzesz jakieś lekarstwa przeciwbólowe?

- Aspirynę. Prawie mi nie pomaga, ale jestem pewna, że skurcze wkrótce miną.

- Piłaś coś?

- Czy piłam?

- Wódkę, burbon?

- Nie. Dlaczego?

James zdziwił się, ale nie okazał tego. Już od czasów szkoły średniej wiedział, że alkohol działa tu wprost niezawodnie. Widać Catherine nie powiedziały o tym przyjaciółki ze szkoły i college'u ani starsza siostra, która „leczyła” swoje niezbyt silne bóle występujące pierwszego dnia miesiączki dwoma kieliszkami szampana Dom Perignon.

- Alkohol skutecznie usuwa ból - odparł. - Może w takim razie pozwolisz się czymś poczęstować?

- Dobrze, ale nie jestem pewna, czy... - Przechyliła głowę, godząc się w milczeniu z tym, co oboje dobrze wiedzieli, a mianowicie, że James zna mieszkanie Alexy znacznie lepiej niż ona. Po chwili dodała cicho: - Jeśli możesz...

- Może pójdziesz w takim razie do salonu, a ja czegoś poszukam? Lubisz coś szczególnie?

- Nie. Nigdy nie wypilałam niczego więcej niż lyczek.

- Dobrze, w takim razie niech będzie burbon.

James wiedział, że w barku znajdzie na pewno swój ulubiony gatunek burbona. Nalał alkoholu do pięknego kryształowego kieliszka i zaniósł go do salonu.

- Proszę - powiedział, siadając obok Catherine. - Pij.

- Dziękuję.

Piła pod czujnym spojrzeniem Jamesa, uśmiechając się przepraszająco, jakby w obawie, że to lekarstwo na nią nie podziała.

Burbon uderzył jednak w jej niewyspane, wyczerpane ciało nagłą falą gorąca, wypełnił ją, obmył i zaniósł w takie miejsce, gdzie nie istnieje ból. Piekielne szpony, które wbijały się w nią bezlitośnie przez ostatnie dwanaście godzin, cofnęły się niespodziewanie, a we wrażliwe jeszcze rany wlało się kojące ciepło. Catherine poczuła się wyzwolona, lekka i nadzwyczaj śmiała.

- Lepiej? - spytał James, widząc, że jej oczy rozszerzają się ze zdziwienia.

- Tak. Aż trudno uwierzyć. Dziękuję. - Postawiła kieliszek na stoliku. - Teraz mogę żeglować.

Marzył, by zgodnie z planem zabrać ją na jacht. Wiedział jednak, że lekkie zamroczenie alkoholem i ulga ustąpią wkrótce miejsca zmęczeniu.

- Myślę, że łóżko to znacznie lepszy pomysł.

Na jedną wspaniałą chwilę w oczach Catherine pojawiło się zdziwienie pomieszane z radością, jakby sądziła, że to sugestia, że on chce się z nią przespać - i przywitała tę sugestię z zadowoleniem i aprobatą. Chwila jednak minęła, pozostało po niej tylko trzepotanie długich czarnych rzęs i zaróżowione policzki. James pomyślał, że może po prostu uległ złudzeniu. Złudzeniu, które przyprawiło go o przyspieszone bicie serca.

- Pewnie tak - powiedziała cicho.

- Zadzwonisz do mnie, kiedy się obudzisz, wszystko jedno, która to będzie godzina?

- Dobrze. Ale nie znam twojego numeru telefonu.

- Dlatego nie odwołałaś spotkania?

- Nie. Nie chciałam niczego odwoływać.

- Bo myślałaś, że chcę z tobą porozmawiać o Aleksie?

- Tak. - Podniosła na niego oczy. - Ale przede wszystkim dlatego, że chciałam cię zobaczyć.

- Cześć, Jamesie. Tu Catherine. Kazałeś mi zadzwonić niezależnie od godziny. - Było już po pomocy, a ona właśnie się obudziła. Wypoczęta, odświeżona, wolna od bólu.

- Tak. Jak się czujesz?

- Świetnie. Właśnie otworzyłam oczy i nic mi nie dolega.

- Bardzo się cieszę. Może w takim razie zjesz ze mną jutro późne śniadanie? Nie, nie jutro. To przecież już dzisiaj. Chciałam zaproponować jacht, ale prognozy pogody nie są najlepsze. Wobec tego umówmy się lepiej na słynne późne drugie śniadanie na Long Island. Podają je w Sali Azaliowej w Southampton Club, więc możemy zabrać ze sobą na wszelki wypadek stroje do żeglowania i popływać po śniadaniu, jeśli pogoda okaże się odpowiednia.

- Chyba nie będę piła - powiedziała Catherine, przesuając palcem po krawędzi kryształowego kieliszka, który stał przed nią na nieskazitelnym różowym obrusie.

- Nie chcesz szampana?

- Wczoraj odkryłam, że po alkoholu staję się stanowczo zbyt szczerą.

- Zbyt szczerą? - spytał, nie rozumiejąc, co Catherine ma na myśli. Czyżby chodziło jej o wyznanie, że zaakceptowała zaproszenie, bo chciała się z nim zobaczyć? Może o wyraz szafirowych oczu, gdy wspomniał o łóżku? A jeśli miała na myśli coś, co jeszcze nie zostało powiedziane? Na przykład własną skomplikowaną wersję opowieści o siostrach Taylor. - Czy w ogóle można być zbyt szczerym?

- Myślę, że powiedzenie pewnych rzeczy wymaga czasu - odparła wolno.

- Ja też tak uważam - rzekł, kiwając głową.

Wiedział, że pora na wyznania jeszcze nie nadeszła. Pewnego dnia jednak, gdy Catherine będzie już gotowa, miał zamiar odkryć przed nią tę cudowną, radosną prawdę. I miał nadzieję, że wówczas również ona wyjawí mu swoje najwyraźniej niezbyt miłe tajemnice. Nie spiesz się, najdroższa, ale wiedz, że możesz mi powierzyć wszystkie sekrety swego serca. - Wczoraj naprawdę bardzo mało wypiąs.

- Wiem.

Zaledwie parę łyków burbona w cudowny sposób usunęło ból. A co z tym innym cudem - ciepłym, rozweselającym przyływem czystej radości i cudownym cichym śmiechem tryskającym wesoło z fontanny szczęścia, które nagle zaczęło gościć w jej sercu? Z tym cudem, który nie miał przecież nic wspólnego z alkoholem? Tym cudem był James. A jego niebieskie oczy i ciepły uśmiech pozbawiły Catherine wstydu, witały chętnie wszystkie jej wyznania, akceptowały myśli i prawdy.

Lecz były słowa, których nie miała odwagi powiedzieć Jamesowi. „Jestem adoptowana. Moja prawdziwa matka nie kochała mnie na tyle, by się mną opiekować. W ogóle nie bardzo wiem, kim jestem, Jamesie, lecz codziennie dowiaduję się o sobie czegoś nowego”.

Tej prawdy nie mogła mu wyznać. Jeszcze nie. Może dlatego, że bałaby się dopowiedzieć resztę. Wiesz... właśnie ostatnio dokonałam cudownego odkrycia. Zrozumiałam, że właśnie przy tobie jestem taka, jaka chcę być. I nic innego mi

nie trzeba.

Tego pochmurnego dnia nie wyznała mu wszystkich sekretów. Rozmawiali o muzyce, żeglowności, deszczu, różach, burzowych chmurach i falach. A w to popołudnie uśmiechów i radości wplotły się też zaproszenia na przyszłość. Tak, powiedziała, bardzo chciałaby pójść z nim do opery i obejrzeć cały cykl Ringa. Tak, wszystkie cztery opery. Tak, chętnie zje z nim kolację w najsłynniejszej restauracji Manhattanu i chętnie obejrzy wystawę impresjonistów i...

Przyjęła wszystkie zaproszenia radosnym „tak”, a jej piękne szczere oczy wyznały mu najważniejszą prawdę, jedyną, jaką chciał poznać. Tak, Jamesie, pragnę być z tobą.

6

*Waszyngton
grudzień 1989*

Cały weekend? - powtórzyła cicho Alexa.

Był pierwszy wtorek grudnia. W ciągu trzech miesięcy pełnych miłości Robert i Alexa nie spędzili ze sobą nigdy całego weekendu. Ich były tylko wieczory i noce w ciągu tygodnia - rzadkie i cenne godziny wyrwane ciemności. Tą późną porą dzielili ze sobą bliskość emocjonalną, delikatną i czułą zarazem, a także zapierającą dech namiętność, tak samo sekretną i desperacką jak wtedy, gdy kochali się po raz pierwszy.

Zdaniem Alexy ta skrywana przed światem desperacka namiętność stała się symbolem czegoś, z czego oboje zdawali sobie sprawę: ich sekret nie miał szans na przetrwanie. Na razie mogli z łatwością utrzymać swój związek w tajemnicy, ponieważ nikt się niczego nie domyślał. Dziennikarze nie dawali spokoju Robertowi w nadziei, że wyciągną godne cytowania opinie od najjaśniejszej gwiazdy polityki. Ale żadnemu z dziennikarzy, nawet tym poszukującym taniej sensacji nie przyszłoby do głowy badać osobistego życia senatora. Po co mieliby sobie zawracać tym głowę? Wszyscy, którzy kiedykolwiek widzieli senatora w towarzystwie małżonki, byli zdania, że Robert i Hillary to idealna para.

Romans między Alexa i Robertem mógł być ukryty przed światem do czasu rozpoczęcia kampanii prezydenckiej. W czasie kampanii wszystkie szczegóły jego życiorysu miały stać się automatycznie własnością publiczną. Kandydat na prezydenta musiał się liczyć z tym, że będzie pod ścisłą obserwacją zarówno prasy, jak szpiegów specjalnie wynajętych przez partię rywala, których pozornie niewykonalnym zadaniem będzie odnalezienie bodaj drobnych rys w tym nieskazitelnym wizerunku. Gdyby, zgodnie z przewidywaniami analityków, Robert otrzymał nominację swej partii na elekcję w roku 1996, ich tajemna miłość byłaby bezpieczna jeszcze przez co najmniej cztery lata, może nawet pięć. Gdyby zaś nie stanął do wyborów przed rokiem 2000....

Czy Alexa była gotowa żyć tą miłością ciemnych, kradzionych chwil jeszcze cztery, a może nawet osiem lat? Och, tak. Kochałaby, ile razy by mogła i jak długo by mogła.

A teraz Robert mówił jej, że za trzy dni rozpocznie się ich weekend,

- Cały weekend, najdroższa - szepnął, przesuwając usta z wilgotnych od łez oczu Alexy na jej wilgotne od pocałunków wargi. - Cały weekend.

- Och, nie!

- Kochanie?

- W sobotę muszę pracować. Filmujemy na planie w Sądzie Najwyższym. Piątek mam wolny, ale w sobotę....

- W takim razie w piątek ty przygotujesz mi kolację, nie spóźnię się na pewno, obiecuję - odparł Robert, całując zmarszczkę na jej czole. - Ale w sobotę ja przyrządzę coś dla ciebie. A w niedzielę, moja miłości...

Cały weekend, najdroższa. Obiecał to, a oczy Alexy rozjaśniły się radością. Jak niecierpliwie czekał na chwilę, kiedy będzie jej mógł obiecać całe życie!

Może w ten weekend, myślał w parę godzin później, trzymając śpiącą Alexę w ramionach. Wyglądała jak uosobienie szczęścia i spokoju. Złociste włosy okalały piękną twarz, na wargi wypłynął radosny uśmiech. Gdy dotknął tych złocistych włosów, uśmiechnęła się jeszcze pogodniej, zwracając ku niemu twarz, jakby nawet przez sen czytała w jego myślach, jakby marzyła o tym, co on planował - o czasie, kiedy wreszcie będą mogli być razem.

Robert nigdy nie rozmawiał z Alexą na temat swych planów i nie chciał jej niczego obiecywać, dopóki nie uzyska rozvodu. Na rozmowę z Hillary postanowił poczekać do ferii świątecznych. Senat wtedy nie pracował, Alexa wybierała się do Topeki i jeśli wszystko się dobrze ułoży, Hillary pojedzie do Dallas, by uczestniczyć w swoich ukochanych wystawnych przyjęciach, a on zostanie w Waszyngtonie i wyprowadzi się z domu. Decyzja, by poczekać do ferii, była rozsądna i wcale nie tak okrutna, jak by się to mogło wydawać. Dla senatora i pani Robertowej McAllister święta Bożego Narodzenia nie miały specjalnego znaczenia. Żadne zresztą święta.

Teraz jednak, trzymając w ramionach ukochaną kobietę i myśląc o wszystkich tych przyjęciach, na jakie był zaproszony wraz z żoną w ciągu następnych tygodni, podjął inną decyzję. Porozmawia z Hillary o rozwodzie już wkrótce, w czwartek, na tydzień przed jej wyjazdem do kurortu. Nie mógł i nie chciał już dłużej w ten sposób żyć.

Zawsze bardzo się dziwił, że nikt nigdy nie przejrzał ich bezdusznej gry. W przeszłości jakoś to wszystko znosił, ponieważ zanim spotkał Alexę, jego serce było puste i udawanie mu nie przeszkadzało. Teraz jednak to serce było całkowicie wypełnione miłością do Alexy i jeśli nawet w przeszłości oszustwo nie wyszło na jaw, teraz na pewno by się wydało, gdyż Robert z trudem znosił towarzystwo Hillary. Senator McAllister i jego małżonka wciąż jednak byli pupilkami Waszyngtonu, gdzie miano ich za idealną parę.

Należało raz na zawsze zakończyć tę komedię. Jeśli wszystko ułoży się po jego myśli, to małżeństwo nie potrwa długo. Jeśli... Robert doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Hillary nie podaruje mu rozvodu, lecz każe za swoją zgodę sownie zapłacić. A koszta mogły okazać się wysokie, ponieważ Robertowi zależało nie tylko na rozwodzie jako takim, ale na rozwodzie cichym i spokojnym. Pragnął takiego rozwiązania nie ze względu na karierę, lecz Alexę. Wiedział, że nagłośniony rozwód z utalentowaną aktorką w roli tej trzeciej zniszczy jej karierę.

I wiedział, że Hillary zażąda za to astronomicznej ceny. Musi spokojnie znieść jej obelgi i wściekłość, by w końcu się dowiedzieć, ile trzeba będzie zapłacić, i dla dobra Alexy uregulować rachunek.

- Kocham cię - szepnął do swojej śpiącej miłości. - Kocham cię i w ten weekend przekażę ci na pewno dobre wiadomości.

Pierwszy tydzień grudnia Hillary spędzała zwykle w Willows, ekskluzywnym kurorcie położonym czterdzieści kilometrów od Savannah, uwielbianym przez wszystkie bogate kobiety Południa. Gościła w pięknie odrestaurowanej przedwojennej rezydencji cztery razy do roku, od czasu gdy otrzymała takie wakacje w prezencie od matki na szesnaste urodziny. Kuracja w Willows w gruncie rzeczy nie była jej potrzebna. Oczywiście, wielu specjalistów od spraw piękności, zdrowia i kondycji wysilało się, by udoskonalic piękną twarz, skórę, paznokcie, ciało i bez tego doskonale. Ona jednak wiernie powracała do Willows, ponieważ inne bogate, piękne i wpływowe kobiety postępowały podobnie.

Teraz po raz pierwszy w życiu zastanawiała się, czy nie odwołać rezerwacji dokonanej z rocznym wyprzedzeniem i nie zrezygnować z pobytu w Willows tuż przed rozpoczęciem tak ważnego sezonu towarzyskiego. Wiedziała aż za dobrze, że jeśli wyjedzie do kurortu, Robert spędzi te trzy dni z Alexą w Różanej Skale. A jeśli odwoła pobyt? Robert zostanie w Clairmont i zamknie się w swoim gabinecie, a podczas milczących posiłków zobaczy w jego poważnych

oczach pragnienie, żeby być z tamtą. Mogła zobaczyć nawet coś jeszcze gorszego - chmurny bunt, świadczący wyraźnie o tym, że Robert zamierza się przyznać do romansu.

Tak jakby o nim nie wiedziała! Już od miesiący jeździła za mężem do domku na skale. I od miesiący płonąła z nienawiści do Alexy, nienawiści, przy której wszystkie dawne animozje wydawały się wręcz banalne. Roberta też zresztą zniechęciła za to, co jej zrobił. Wiedziała, że ta furia nie minie nawet wówczas, gdy ta żalosna historia się zakończy, bo zakończyć się przecież musiała. Jak on mógł, jak śmiał, ryzykować prezydenturę dla niej, dla Alexy?

W końcu zdecydowała, że nie odwoła rezerwacji w Willows. Doszła do wniosku, że im częściej Robert przebywa z Alexą, tym szybciej się nią znudzi. Patrząc na swoją piękną twarz w lustrze, zastanawiała się, czy te niemal niewidoczne, cieniutkie kreseczki to naprawdę zmarszczki. Zmarszczki smutku? Zmarszczki nienawiści? Jeśli tak, to miała jeszcze jeden powód, by nienawidzić tych dwojga, i żeby spędzić leniwy, uzdrawiający weekend w kurorcie.

W czwartek wieczorem, na dzień przed wyjazdem do Savannah, Hillary siedziała w saloniku w Clairmont i przeglądała stos eleganckich, w większości złożonych zaproszeń. Z miną eksperta zakwalifikowała do odpowiednich kategorii najróżniejsze wieczory, przyjęcia, gale i imprezy na cele dobroczynne, oddzielając te politycznie ważne od nieistotnych. Jednocześnie planowała, którą kreację włoży przy jakiej okazji, bez obawy, że może się powtórzyć. Skrzywiła się lekko na myśl o rozmowie z Robertem, który nie lubił takich ekstrawagancji i prosił ją nieraz, by mogła przynajmniej, zamiast kreacji od Givenchy'ego, Chanel i LaCroix częściej wkładać amerykańskie suknie. Jak on śmiał w ogóle coś podobnego sugerować.

Skrzywiła się, biorąc do ręki zaproszenie na przyjęcie urządzone szesnastego grudnia przez producentów *Pennsylvania Avenue*. Już je miała podrzeć na drobne kawałki, gdy do głowy przyszedł jej wspaniały pomysł.

Tego roku senator Robert McAllister i jego małżonka pojawią się na przyjęciu. Będzie tam również Alexa, ubrana w coś tandetnego, pewnie jakiś czerwony atłas wycięty w okolicach pępka. Ona, Hillary, włoży swoją nową jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej, misternie wyszywaną perłami i srebrnymi paciorkami lśniącymi niby kropelki rosy na płatkach róży - kreację piękną, szlachetną i zawsze elegancką. Ciemne włosy zaczesze w skromny kok, aby odsłonić piękną twarz i wyeksponować szmaragdowe kolczyki - z biżuterii włoży tylko to, jeśli oczywiście nie liczyć rzeczy najważniejszej: szmaragdowej i złotej obrączki ślubnej, która przypomni obojgu, zarówno niewiernemu mężowi, jak i tej nędznej wywłoce, kto tu rządzi.

Rozmyślenia Hillary przerwał odgłos zbliżających się kroków. Robert? W domu w czwartek wieczorem? W domu, a nie w Różanej Skale? Nareszcie.

- Witaj - powiedziała z chłodnym zdziwieniem, kiedy stanął w drzwiach. Nie wstała. Przeciwnie, znowu przeniosła wzrok na plik zaproszeń.

- Dobry wieczór. Przyszedłem, bo muszę z tobą porozmawiać.

- Rozumiem...

- Słuchasz mnie?

- Tak. - Uśmiechnęła się uprzejmie, podnosząc głowę. - Oczywiście.

- Dobrze. W takim razie przyszedłem tu dzisiaj, żeby ci zakomunikować, że chcę rozwodu.

- Żartujesz.

- Nie. Wiesz, że nie. Wiesz poza tym, że żartem jest raczej nasze małżeństwo. Zresztą oboje wiemy to od dawna.

- Naprawdę sądzisz, że dam ci rozwód?

Nie, pomyślał. Nawet na to nie liczyłem. Właśnie dlatego tu jestem. Muszę się dowiedzieć, jaką mi przyjdzie zapłacić cenę za wolność i prywatność Alexy.

- Tak naprawdę nie masz wyboru. Potrafię wypełniać papiery równie skutecznie jak ty. Miałem jednak nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

- Jest inna kobieta, prawda? - spytała nagle, jakby ta straszna myśl przyszła jej właśnie do głowy. - Przecież o to tu chodzi, prawda?

- Tak naprawdę chodzi o to, że nasze małżeństwo istnieje tylko formalnie i musi się skończyć. Tak, poznałem pewną kobietę i mam zamiar się z nią ożenić, lecz to nie ona jest przyczyną naszych problemów. Nasze małżeństwo rozpadło się przecież dawno, zanim ją spotkałem.

- Kto to jest?

- Nieważne.

- Naprawdę? Szczerze wątpię, by dziennikarze, którzy będą opisywać ten ohydny, publiczny rozwód, byli tego samego zdania. Moim zdaniem, będą się interesować wszystkimi, najbardziej nawet pikantnymi drobiazgami, które będą miały związek z twoją kochanką. Mogę ci to obiecać. Twój elektorat ma prawo wiedzieć, jakim naprawdę jesteś człowiekiem. A uwodziciele nie odnoszą teraz zbyt wielkich sukcesów wyborczych. - Hillary wstała i podeszła wolno do męża, czekając, by zareagował na tę groźbę. - Rozwód ze mną, senatorze McAllister, będzie cię kosztował prezydenturę - oznajmiła niemal protekcjonalnym tonem.

Robert wytrzymał jej wściekłe i zarazem triumfalne spojrzenie.

- Niech będzie.

Te słowa odebrały jej pewność siebie. Gniew też minął - jego miejsce zajął paralizujący strach. Robert naprawdę zamierzał ją opuścić, a ona nie mogła temu zapobiec, ponieważ dla największej nieprzyjaciółki swojej własnej żony chciał poświęcić wszystko, całe życie.

Odwróciwszy się na pięcie, poczuła nagle, że musi się na coś oprzeć, i zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę marmurowego kominka. Oczy utkwiała w ozdobach z włoskiego marmuru - zabytkowym zegarze, staroświeckim wazonie, misternej rzeźbie w kształcie stylizowanego kwiatu. Jak bardzo chciała cisnąć tym w Roberta! Gdyby to jednak zrobiła, mąż odszedłby natychmiast, na zawsze i nieodwołalnie. Nie traciłby czasu na przygotowywanie dokumentów rozwodowych, a ona byłaby zgubiona. A musiała spokojnie pomyśleć i znaleźć jakiś sposób, by go powstrzymać.

Gniew nigdy na niego nie działał. Robert nie ulegał groźbom ani łzom i już od bardzo dawna jej wdziękom. Był jednak rozsądnym, uczciwym człowiekiem i Hillary szukała teraz gorączkowo w myślach argumentów, które mogłyby trafić do jej rozsądnego, uczciwego męża.

- Nie chcę się z tobą kłócić - powiedziała, kiedy w końcu odwróciła się do niego.

- Ja też nie chcę, Hillary.

- Dam ci rozwód: bezkonfliktowy, cichy i spokojny. Ale potrzebuję czasu. Nie martw się, nie chcę niczego ratować. Zostało mi jeszcze trochę dumy. Muszę się jednak jakoś przystosować do nowej sytuacji, zdecydować, co robić. Nie wiem, czy będę w ogóle chciała zostać w Waszyngtonie.

Na dźwięk słów „bezkonfliktowy, cichy i spokojny” serce zabiło Robertowi mocniej. Hillary zgodziła się zasadniczo na kulturalne rozstanie, a teraz powoli przechodziła do ceny.

- Ile czasu będziesz się nad tym zastanawiać? - spytał zadziwiająco spokojnie.

- Do końca maja.

- To prawie sześć miesięcy.

- Ale tyle mi potrzeba, Robercie. Poza tym w święta związane z Dniem Pamięci mój ojciec urządza w Dallas przyjęcie urodzinowe. Wiesz, jakie to dla niego ważne, zresztą już się zgodziłeś wygłosić mowę jubileuszową. Gdybyśmy

do tego czasu zachowali pozory, mogłabym coś przedsięwziąć. Poza tym nie zakłóciłibyśmy weekendu ojcu.

Robert skurczył się wewnątrz na słowa „zachować pozory”. Ale na pewno łatwiej było udawać przed światem niż w domu.

- Nic się do tego czasu nie zmieni.
- Wiem.
- Żądasz czegoś jeszcze?
- Owszem. Czy ktoś o niej wie?
- Nie sądzę. Nie.
- W takim razie mam jeszcze jedną prośbę. Chcę być pewna, że ludzie nie będą plotkować na mój temat.
- Chcesz, żebym przestał się z nią widywać do czasu separacji?
- Tak.

Teraz znał już pełen koszt cichego rozwodu. Sześć miesięcy z dala od Alexy. Sześć miesięcy. Bardzo długo, ale Robert wiedział, że ta prośba jest uzasadniona. Hillary potrzebowała czasu, żeby się przystosować do nowej sytuacji. Jego próżna, rozpieszczona żona nie była przyzwyczajona do tego, żeby jej cegokolwiek odmawiać. I choć przecież nie traciła miłości, to dla tej dumnej, ambitnej kobiety odejście męża musiało mieć ogromne znaczenie. Sześć miesięcy bez Alexy. Czy to nie zbyt wysoka cena? Uznał, że nie, i wiedział, że Alexa podzieli jego zdanie. „Czekaliśmy na siebie całe życie - powie, a w jej szmaragdowych oczach błysnie radość. Czy mogę poczekać jeszcze sześć miesięcy? Oczywiście, że mogę”.

- Będę się musiał z nią zobaczyć jeszcze raz. Wy tłumaczyć...

- Oczywiście.

- A jeśli zgodzę się zachować pozory i przestanę ją widywać, to pod koniec maja dasz mi cichy rozwód bez walki - upewnił się Robert, nie spuszczać wzroku z Hillary.

- Tak, Robercie - odparła spokojnie, nawet nie mrugnawszy okiem. - Obiecuję.

Sześć miesięcy, myślała, chodząc niespokojnie po pokoju. Sześć miesięcy na co? Na nic, uświadomiła sobie z żalem. Mogła tylko mieć nadzieję, że Robertowi wróci rozum. Albo się łudzić, że Alexa straci cierpliwość i znajdzie sobie nowego kochanka.

Hillary przechadzała się po pokoju, a zimowa noc stawała się coraz zimniejsza i ciemniejsza, podobnie jak myśli senatorowej. Zimne, czarne i... mimo wszystko nieodarte z nadziei. Może Aleksie przydarzy się coś strasznego... coś cudownego.

Może Alexa umrze.

Nazajutrz rano Robert mógł właściwie wyjść, nie widząc się z Hillary, lecz gdy dopijał kawę, zadzwonił telefon. W chwilę później w drzwiach kuchni stanęła Hillary.

- Dzień dobry, Robercie.
- Dzień dobry, Hillary.
- Słyszałam telefon.
- Tak. Muszę jechać na weekend do Camp David.
- Wyjeżdżasz teraz?
- Nie. O drugiej. O której masz lot do Savannah?

- O dziesiątej.

Ale wcale nie wybieram się do Willows, myślała. Jeszcze nie była pewna swoich zamiarów, lecz czuła, że oto pojawia się szansa, by zapanować nad losem.

Ledwie Robert wyszedł, Hillary przeprowadziła dwie rozmowy telefoniczne. Potem, ubrawszy się elegancko, pojechała z Arlington do Waszyngtonu, do studia, gdzie kręcono *Pennsylvania Avenue*, podała swoje nazwisko strażnikowi i oznajmiła, że jest umówiona z Alexą. Przedstawiła się jako gospodyni przyjęcia na rzecz bezdomnych, kłamiąc bez mrużenia oka, i dodała, że Alexa wyraziła chęć uczestniczenia w tej imprezie.

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Pani Taylor dzisiaj nie pracuje.

- Chyba pan żartuje. - Piękny uśmiech Hillary przeistoczył się w grymas. Podążywszy wzrokiem za spojrzeniem strażnika studiującego harmonogram, zdążyła zobaczyć, że wczoraj Alexa pracowała do późna, dziś ma wolne, a nazajutrz przez prawie cały dzień będzie na planie. Dobrze... Doskonale. - Rozmawiałam z Alexą w zeszłym tygodniu. Może przez ten czas coś się zmieniło i zapomniała do mnie zadzwonić.

- Pewnie tak. Mam jej powiedzieć, że pani tu była?

- Nie, dziękuję. Sama się z nią skontaktuję.

Pędząc autostradą międzystanową do Marylandu, Hillary zauważyła kątem oka policyjny samochód zaczajony na poboczu. Rzuciła okiem na szybkościomierz. Sto czterdzieści! Potem zerknęła w boczne lusterko i nacisnęła hamulec. Przez dziesięć niespokojnych sekund czekała, by samochód ruszył za nią, i przygotowała się psychicznie na kazanie. Żaden samochód się jednak nie pojawił, a ona obiecała sobie w duchu, że będzie częściej zerkać na szybkościomierz, by mieć pewność, że jej mercedes nie zmierza do Różanej Skały równie szybko, jak leciały tam jej myśli.

Zwolnij - nakazała sobie w duchu. I gdy zwolniła, odzyskując panowanie nad sobą, odzyskała jednocześnie kontrolę nad myślami. Jeszcze niedawno pędziła do studia przekonana, że musi porozmawiać z Alexą, zanim zrobi to Robert. Teraz jednak doszła do wniosku, że to wcale nie jest konieczne.

Zanim rozpoczęła wspinaczkę po wysokich schodach prowadzących do domku, poczuła się zadziwiająco spokojna. Dlaczego nie? Nawet gdyby jej plan się nie powiódł, nie mogła stracić więcej, niż straciła do tej pory. A gdyby odniosła sukces, będzie mieć sprzymierzeńca w osobie największego wroga. Idąc ku domkowi, zobaczyła róże - teraz starannie opatulone na zimę, z pochowanymi kolcami. Ty też musisz schować kolce. Musisz.

- Hillary?

- Czy mogę wejść?

Alexa miała złote włosy potargane, a jej szczupłą talię ścisnął pasek szlafroka. Ten widok odebrał na chwilę Hillary spokój. Kolejny wstrząs przeżyła, zostawiając za sobą bezbarwny zimowy dzień i wchodząc do romantycznego, pastelowego gniazdka.

- Oczywiście. Dziwi mnie trochę twoja wizyta.

- Żony nie umawiają się zwykle na kawę z kochankami swoich mężów? - spytała Hillary, odkrywając z ulgą, że wypowiedziane odpowiednio pogardliwym tonem słowo „kochanka” podziałało na nią uspakajająco. - Nie, chyba rzeczywiście nie. W takim razie zapomnijmy o kawie.

- Hillary, nie wiem, co...

- Na miłość boską! Nie udawajmy już dłużej, że nic się nie stało. Wiem wszystko o tobie i Robercie. Nie zadzwonił do ciebie dzisiaj, prawda? - Zrobiła krótką pauzę, jakby zastanawiała się sama nad tym pytaniem, a potem dodała z nieśmiałym uśmiechem. - Albo właśnie dzwonił, ale ty nie masz pojęcia, co się stało. Dlatego tu przyszedł, Alexo.

Robert ci pewnie nic nie powie, ale ja chcę, żebyś знаła prawdę.

- Prawdę - powtórzyła drętwio Alexa.

- Tak - odparła z uśmiechem Hillary. Czowała się wspaniale i pewnie, wprawiając tak zawsze zadufaną w siebie Alexę w zakłopotanie. Uważaj. Bądź wyniosła i pełna pogardy. - Czy Robert ci kiedyś tłumaczył, dlaczego postanowił nawiązać z tobą romans?

- Nie. - Postanowił? Żadne z nas niczego nie postanawiało. Ta miłość była naszym przeznaczeniem.

- To się nie stało przypadkiem. Robert chciał mnie ukarać, a wiedział wystarczająco dużo o Ballinger, by dojść do wniosku, że romans z tobą zrani mnie najbardziej.

- Dlaczego miałby chcieć cię zranić?

- Bo ja go zraniłam. Nic ci o tym nie mówił, prawda? Oczywiście, że nie, bo mogłaś od początku nabrać podejrzeń. Robert nawiązał z tobą romans, żeby wyrównać ze mną rachunki za mój wyskok. Wcale nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. Byłam chyba trochę znudzona i rozdrażniona, że on tak ciężko pracuje i nigdy nie ma dla mnie czasu. Poza tym, w przeciwieństwie do ciebie, nie sypiałam całe życie ze wszystkim, co nosi spodnie. Pozwoliłam sobie więc na tę głupią aferę. I dopiero wczoraj wieczór odkryłam, że on przez cały czas o wszystkim wiedział. - Westchnęła głęboko, smutno, a w jej ciemnych oczach pojawił się żal. - Widzisz chyba, jakie mam podkrążone oczy? Nie spałam. Żadne z nas nie spało, bo przez całą noc rozmawialiśmy o tym, co zrobiliśmy i czego teraz chcemy. Rozpoczniemy od założenia rodziny. Zwlekaliśmy z tą decyzją ze względu na Brynne, która bardzo pragnęła mieć dzieci, ale nie mogła. Zresztą to nie twoja sprawa. Musisz tylko wiedzieć, że to koniec. Nie koniec mojego małżeństwa, tylko twojego romansu.

- Z jakiegoś powodu sądzisz jednak, że Robert mi sam tego nie powie?

- Powie ci coś, co położy koniec romansowi, ale to nie będzie prawda. Robert jest zażenowany całą tą sprawą, lecz jako świetny polityk na pewno znajdzie jakieś zręczne wyjście z sytuacji. Nie powie, że cię wykorzystał, ani że nasze małżeństwo jest silniejsze niż kiedykolwiek.

- Ty mi to mówisz.

- Tak, bo długo ze sobą walczyłyśmy i chcę, żebyś wiedziała, że przegrałaś tę ostatnią, najważniejszą walkę. Dla mnie ta rozmowa to luksus, ulga. No i niczym nie ryzykuję.

- Nie boisz się, że rozgłoszę tę historię?

- Nie, chyba nie. Zresztą chyba nawet gdybyś spróbowała, i tak nie zniszczałabyś mu kariery. Ta druga kobieta, niemoralna uwodzicielka, nigdy nie cieszy się sympatią ogółu. Jesteś gwiazdą, to prawda, ale Robert też nią jest, a cała masa ludzi wiąże z nim ogromne nadzieje. Może ty o to nie dbasz lub też nie jesteś wystarczająco dumna, by ukryć fatalnie zakończony romans, ale powinnaś pomyśleć o siostrze.

- Co Cat ma z tym wspólnego?

- Ona na pewno będzie cię bronić, tak jak to zrobiła wiele lat temu, ale czy na pewno chcesz, żeby i ona nurzała się w błocie? Nie sądzisz, że to może być niebezpieczne dla jej kariery? Twoja młodsza siostra jest damą. A ty, Alexo, jesteś kurwą. I nigdy nikim innym nie będziesz.

- Wynos się stąd.

- No cóż... - Hillary zignorowała rozkaz i zerknęła na zegarek, jakby jej samej zaczynało się spieszyć. - Lepiej już pójdę. Robert wychodzi dziś z pracy o drugiej, tak żebyśmy mogli zdążyć do Dallas na szampana i kolację przy świecach. Jesteś zdziwiona, Alexo? No tak, to ty miałaś spędzić ten weekend z Robertem. Ja planowałam pobyt w Willows. Cóż, nastąpiła gwałtowna zmiana planów. Wynajęliśmy apartament dla nowożeńców w Mansion, w tym samym hotelu, w którym spędziliśmy noc poślubną. To był pomysł Roberta. Bardzo romantyczny, prawda?

- Wynoś się.

- Tak, mamy rezerwację - poinformował Alexę recepcjonista z hotelu Mansion w Dallas, gdy przedstawiła się jako sekretarka Roberta. - Apartament dla nowożeńców, na prośbę senatora.

- Dziękuję.

Gdy odkładała słuchawkę na widełki, drżały jej ręce. Ton i spojrzenie Hillary nadawały jej słowom cechy prawdopodobieństwa, ale Alexa i tak nie uwierzyła w to, co usłyszała. Nadal nie wierzę - myślała. I nie uwierzę, dopóki nie porozmawiam z Robertem. On mi powie prawdę. Nawet najgorszą. Wiem, że powie.

W ciągu tych wszystkich miesięcy Robert nie wspominał ani razu o Hillary i swoim małżeństwie, Alexa po prostu założyła, że w związku z Hillary nie zaznał miłości. Założyła również, że jego małżeństwo musi przetrwać z przyczyn politycznych. Wierząc jednak głęboko w siłę ich miłości, przyjęła bez zastrzeżeń rolę kochanki.

A jeśli on mimo wszystko kochał Hillary? Jeśli rozpoczął ten romans tylko po to, by zranić uczucia żony? Jeśli w gruncie rzeczy pragnął wyłącznie jej, a nie Alexy?

- Nie! Nie wierzę! - krzyknęła buntowniczo Alexa, unosząc głowę wysoko do szarego nieba, złowieszczonego symbolu ostrej zimy, teraz ciemniejącego nagle, choć dopiero zbliżało się południe. - Robercie, proszę, zadzwoń do mnie! I proszę, powiedz mi prawdę, jakakolwiek ona jest.

Robert zadzwonił o pierwszej pięćdziesiąt. Wcześniej, w nawale zajęć i obowiązków, którym musiał sprostać przed wyjazdem do Camp David, nie mógł znaleźć ani chwili czasu na telefon do Alexy. Aparat w jego biurze dzwonił nieustannie - odebrał nawet kilka irytujących głuchych telefonów - wciąż absorbowali go kolejni petenci. Dzień był wyjątkowo stresujący, lecz ilekroć zmęczenie brało nad nim górę, Robert przypominał sobie o obietnicy Hillary. Chciał jak najszybciej podzielić się tą wiadomością z Alexą, ale nie miał czasu. Poza tym uważał, że pewne słowa powinny zostać wyszeptane między pocałunkami, podczas ostatniego spotkania przed sześciomiesięczną rozłąką.

Kiedy Robert wybrał numer do Różanej Skąły, zalała go gorąca radość miłości - antidotum na wszystkie frustracje i problemy.

Gdy słyszał głos Alexy, uśmiechnął się czułym uśmiechem.

- Halo, kochanie.

- Robert. - Wtuliła się w ciepło jego głosu i natychmiast wyrzuciła z pamięci Hillary. Przecież to się nie mogło stać! To było tylko złudzenie, kłamstwo. - Jak ci minął dzień? Nadal uważasz, że zdążysz tu dotrzeć na kolację?

- W tym tygodniu, niestety, nie dam rady.

- Dlaczego? - Nie, proszę tylko nie to!

- Prezydent chce mnie widzieć w Camp David.

- Jakaś tajemnica państwowa? Chroniona przed prasą? - Czyżby żadnym sposobem nie było można potwierdzić lub zdementować rewelacji Hillary?

- Co? Tak, chyba tak. Alexo? Bardzo mi przykro - dodał łagodnie, zdumiony jej ostrym tonem. Miała prawo być rozczarowana, liczył jednak na wyrozumiałość.

- Mnie również.

- Kochanie, muszę już iść. Limuzyna czeka. Wrócę w niedzielę późnym wieczorem. Zadzwonię, jeśli nie będzie za późno. Dobrze?

- Dobrze.

- Kocham cię, Alexo.

Ja też cię kocham, odpowiedziała w myślach.

7

Głuche telefony do biura Roberta były dziełem Hillary, która nagrała na taśmie głos męża - najpierw grzeczne „halo”, a następnie coraz bardziej poirytowane „halo, kto mówi?”. Nagrań dokonała na magnetofonie reporterskim wysokiej jakości, jednym z wielu w domowej kolekcji Roberta. Na drugim utrwaliła dwa uprzejme „halo”, pauzę, mogącą znamionować rosnącą irytację, a potem własne uwodzicielskie: „Robercie, kto to? Każ im przynieść jeszcze jednego szampana”.

Hillary przygotowała taśmy, spakowała dużą walizkę, pojechała limuzyną na lotnisko i późnym popołudniem siedziała już w kabinie pierwszej klasy, lecąc do Dallas, sącząc szampana i wznosząc cichy toast za puste miejsce obok i międzynarodowy kryzys, który zmusił Roberta do wyjazdu do Camp David. Kilka godzin później była już w pięknym holu luksusowego hotelu Mansion. Zamierzała powiedzieć recepcjoniście, że jej mąż przyleci późniejszym samolotem, żadne wyjaśnienia nie były jednak konieczne. Najwyraźniej personel hotelu założył z góry, że tak ważna osobistość musi się spóźnić.

Potem, zgodnie z planem, znalazła się w romantycznym apartamencie dla nowożeńców i pozostało jej tylko wspominać pełen emocji i triumfów ubiegły dzień. Od rana realizowała kolejne etapy planu, podniecana przyływami adrenaliny, a każda udana próba dodawała jej tylko energii. To ja, a nie Alexa powinnam była zostać aktorką, uznała po przedstawieniu w Różanej Skale. Albo też tajną agentką, myślała, słuchając nagrań z głosem Roberta. Albo przestępcą - rzadkim, wyjątkowym przestępcą, który jest wystarczająco inteligentny i zdolny, żeby popełnić zbrodnię doskonałą.

Euforia towarzyszyła jej, dopóki starczyło adrenaliny, a ta wszechmocna substancja napływała do krwi, dopóki Hillary nie pokonała ostatniej przeszkody na drodze do realizacji swych zamiarów. Ale kiedy była już bezpieczna w apartamencie dla nowożeńców, adrenalina wyparowała, a z nią cała euforia.

Rzeczywistość zwała się na Hillary szybko i bezlitośnie. Została sama w apartamencie dla nowożeńców, bo mąż jej nie chciał. Mogła tylko sączyć szampana i żałować, że zmarnowała powołanie i nie została ani aktorką, ani tajnym agentem, ani nawet przestępcą. Twoim powołaniem - przypominała jej ostro rzeczywistość - twoim przeznaczeniem, do którego przygotowywano cię właściwie od urodzenia, jest być żoną kogoś tak wpływowego jak Robert McAllister. A na tym polu poniosłaś klęskę. Twój desperacki plan się nie powiedzie. Może i zasiałaś ziarno wątpliwości w głowie Alexy, lecz poza tym udało ci się tylko dokonać paru prostych nagrań magnetofonowych w nadziei, że ona zadzwoni, na co szanse są zresztą znikome. Potem kupiłaś dwa drogie bilety lotnicze, a na bis poleciałaś do Dallas, gdzie zamieszkałaś w apartamencie dla nowożeńców ze swym mężem-widmem.

No i jesteś. Sama w luksusowym pokoju, otoczona szampanem, kwiatami i kawiozem, tą głupią taśmą umiejscowioną strategicznie przy telefonie. Włożyłaś nawet prowokujący jedwabny negliż. Dla kogo? Dla męża-widma?

Bo Robert z krwi i kości przecież cię nie chce.

On pragnie wyłącznie Alexy.

Hillary wypiła szampana, próbując ożywić w sobie te cudowne uczucia, dzięki którym działała do tej pory, ale alkohol ją raczej otrzeźwił niż oszołomił i wcale nie poprawił jej nastroju. Przeciwnie, wpędził ją w głęboką rozpacz.

Kiedy się obudziła następnego ranka, wszystkie złudzenia prysły. Już nie była utalentowaną aktorką, lecz niedoukiem nie mającym szans na prawdziwy występ, wygłaszającym martwo kwestie. Zamówiła śniadanie dla dwojga - jaja Benedict i kolejną butelkę szampana. Skubiąc jedzenie, spozierała ponuro na łożo zasłane jedwabną pościelą, gdzie ona i Robert rzekomo spędzali miłosny weekend.

Alexo, Alexo, jak ja cię nienawidzę!

Telefon zadzwonił o czwartej i wytrącił ją z równowagi. Recepcja? Sprawdzali, czy wszystko w porządku? A może pokojowa, z grzecznym i dyskretnym pytaniem, czy goście nie życzą sobie czasem świeżej zmiany pościeli, ręczników, szlafroków? Nie, niemożliwe. Nikt z obsługi hotelowej nigdy by sobie nie pozwolił na takie pogwałcenie prywatności. Musiał dzwonić ktoś spoza hotelu.

W grę wchodziła tylko jedna osoba.

Kiedy Hillary podniosła słuchawkę, jednocześnie uruchamiając magnetofon, palce omal nie odmówiły jej posłuszeństwa. A gdy słuchała cudownie przekonującego nagrania głosu Roberta odbierającego telefon i swej uwodzicielskiej prośby o szampana, serce zabiło jej żywiej. A w chwilę później omal nie uniosła się w przestworza, kiedy z drugiej strony linii dobiegł ją trzask słuchawki - ciche, mroczne przerwanie połączenia.

Alexo, och Alexo, czyżby moja zbrodnia doskonale naprawdę się udała?

Adrenalina wróciła, by święcić triumf. Przechadzając się tam i z powrotem po miękkim dywanie, Hillary próbowała ostudzić własną euforię. Pamiętała aż za dobrze, że w tej sztuce pozostała jeszcze jedna scena - scena, na którą nie miała wpływu. Scena między Robertem i Alexą. Jak bardzo pragnęła ją wyreżyserować!

Ale nie mogła. Teraz pozostawało tylko mieć nadzieję.

- Cześć - powiedział Robert, kiedy w niedzielę o północy Alexa podniosła wreszcie słuchawkę. Zwykle odpowiadała po pierwszym dzwonku, toteż teraz, kiedy usłyszał kilka kolejnych, zaczął się obawiać, że jakiś wielbiciel-psychopata odkrył kryjówkę Alexy, w której czuła się do tej pory tak bezpiecznie. - Spałaś?

- Nie. - Z piątku na sobotę prawie nie zmrużyła oka, a po telefonie do apartamentu dla nowożeńców całą noc wyrzucała sobie głupotę i płakała. Teraz, wiedzioną jakimś masochistycznym impulsem, zapytała:

- Jak ci minął weekend?

- Chyba bardzo pomyślnie. Kochanie, mam dla ciebie wspaniałą nowinę. - Urwał, pewien, że Alexa poprosi go, żeby przyjechał, nie zważając na późną porę, ale ona milczała. - Mogę cię odwiedzić?

- Nie, muszę jutro bardzo wczesnie wstać. Nie możesz mi powiedzieć przez telefon?

- Alexo?

- Proszę. - Proszę, skończmy z tym jak najszybciej. Nie chcę cię widzieć. Nie zniósłabym uprzejmego kochającego pożegnania.

- Dobrze. Najdroższa, wyjdiesz za mnie?

Tak, odparło natychmiast jej serce, lecz do akcji wkroczył mocno zaniepokojony rozum.

- Czy wyjdę za ciebie za męża?

- Tak, oczywiście - odparł czule, zdumiony jej zdziwieniem i zmartwiony ostrą nutką, którą znów dosłyszał w jej głosie.

- Przecież ty już jesteś żonaty.

- Hillary zgodziła się na rozwód.

- Kiedy?

- W czwartek wieczorem.

- Powiedziałeś jej o mnie?

- Powiedziałem, że jestem zakochany w innej kobiecie.

- I mówiłeś, że chodzi o mnie?

- Nie.

Kłamstwa! - krzyknął rozum.

- I ona, ot tak po prostu, zgodziła się na rozwód?

- Nie. Poprosiła, żebym z nią został do Dnia Pamięci. Chce trochę czasu, by zaplanować, co potem, a poza tym jej ojciec urzęduje wtedy przyjęcie urodzinowe. Potem da mi cichy rozwód.

- Rozumiem. A my przez ten czas mamy się nie widywać?

- Prosiła o to.

Więc on w ten sposób chce to przeprowadzić. Sądzi, że pół roku wystarczy, by znalazła sobie kogoś innego? Albo uważa, że z powodu prośby o te sześć miesięcy ona zrezygnuje z niego od razu w przychylnym urazy... Najwyraźniej tak być musiało. Robert woli, żeby to ona zakończyła ten związek. Daje jej szansę, a to znaczy, że nie wierzy w jej miłość. A ona czekałaby na niego te sześć miesięcy, a nawet sześć lat. A co się stanie, jeśli teraz wyrazi zgodę na taki układ? Czy Robert zatelefonuje do niej znowu w maju z prośbą o przedłużenie separacji? Czy może w ostatniej rozmowie telefonicznej oznajmi smutno, że Hillary zaszła w ciążę, choć przespał się z nią zaledwie raz w ciągu tych sześciu miesięcy. Wie, że popełnił niewybaczalny błąd, ale tak bardzo tęsknił za nią, Alexa...

Zanim zadzwonił, Alexa myślała, że nie będzie już bardziej cierpieć, a jednak cierpiała bardziej. Strata, którą poniosła była znacznie większa niż koniec miłości. Ponieważ to była brutalna zdrada miłości. Jakże to okrutne z jego strony, że poprosił ją o rękę!

Wraz z uderką nadeszła niezwykła siła, odwaga i duma. Senator Robert McAllister nie dowie się nigdy o jej głupocie. W końcu jest aktorką, potrafi ukrywać ból pod pozorami pewności siebie.

- Robercie - mruknęła niczym tygrysyca szykująca się do skoku na swoją ofiarę. - Twoja propozycja bardzo mi pochlebia.

- Pochlebia?

- I wprawia w zakłopotanie. To była gra, Robercie. Gra między mną i Hillary. Rywalizowałyśmy ze sobą od dłuższego czasu. Nie opowiadała ci historii z naszej młodości, zanim spotkaliśmy się wtedy na kolacji? Chodziłyśmy razem do Ballinger Academy w Teksasie. Przez Hillary czułam się tam jak intruz i z zemsty odebrałam jej przyjaciół z chłopakiem na czele. Możesz sądzić, że to dziecinada, ale zapewniam cię, że uczucia, jakie się za tym kryły, wcale nie były dziecinne.

- Co ty mówisz? Że miałas ze mną romans w ramach rywalizacji z Hillary? Że byłem tylko pionkiem w waszej grze?

- Wcale nie jestem z tego dumna, ale nie sądziłam, że sprawy zajdą tak daleko. Gdybym przewidziała, że myślisz o małżeństwie ze mną...

Jak mogłaś nie wiedzieć? - myślał, zaskoczony. Czyż to nie było oczywiste w każdej wspólnie spędzonej chwili? Chwili spędzonej z Alexą, nie z tą obcą osobą, mrużącą teraz do niego dziwnym głosem, którego nigdy przedtem nie słyszał.

- Robercie, nie zrozum mnie źle - ciągnął obcy głos. - Nasz romans nie sprawił mi przykrości. Przeciwnie, bardzo miłe wspominałam każdą minutę, jaką z tobą przeżyłam. Jesteś cudownym mężczyzną, ale w typie Hillary, nie w moim. Bądź pewien, że zależy mi bardzo na twojej karierze i nie zrobię nic, co mogłoby ci zaszkodzić.

Przecież wyrządziłaś mi krzywdę. Kocham cię, Alexo, tak bardzo cię kocham, a dla ciebie moja miłość była grą?

- Alexo - szepnęła miłosnym szeptem, takim jakim mówił do niej w chwilach największego uniesienia. Szeptem miłości do kobiety, która gdzieś tam istniała. Bo przecież musiała istnieć. Tak bardzo pragnął teraz do niej dotrzeć. - Alexo.

Robercie, odpowiedziało jej serce w cichej udreće. Jakże kochała człowieka, który przemawiał do niej teraz tak łagodnie i czule! Jakże pragnęła uwierzyć w to, że człowiek ten naprawdę żyje gdzieś w senatorze McAllisterze, w tej jego cudownej części, która kochała ją równie mocno, jak ona kochała jego. Dlaczego ten człowiek nie mógł się zdobyć na smutne, kochające, szczerze pożegnanie? Przecież nigdy by go nie zdradziła. Czy o tym wiedział?

- Bardzo mi przykro. Do widzenia, Robercie.

- To koniec, Cat - wyznała siostrze, gdy zadzwoniła do mieszkania przy River Drive dziesięć dni później.

- Koniec?

- Romanse z żonatymi mężczyznami nigdy nie trwają długo. Wiedziałam o tym dobrze, decydując się na ten związek.

- Dobrze się czujesz, Alexo?

- Jasne - odparła wesoło, choć było jej z każdym dniem trudniej. Czowała się dużo gorzej niż przed dziesięcioma dniami. Szok i odrętwienie minęły. Został tylko czysty, dręczący ból. - Nie - sprostowała po chwili przez łzy. - Bardzo mi smutno.

- Och, Alexo... Jak ci mogę pomóc?

- Za każdym razem, kiedy zacznę się nad sobą rozkliwiać, przypomnij mi po prostu, że dostałam wyłącznie to, na co zasłużyłam.

- Ale ja wcale tak nie uważam!

- Wiem - odparła Alexa z wdzięcznością. Cat, podobnie jak Jamesowi, zależało tylko na jej szczęściu.

- Kochałaś go, Alexo, a miłość to dobro, a nie zło. Nie zasłużyłaś na to, żeby tak się smucić.

- Dziękuję. Ale to wszystko jest jeszcze tak świeże... Teraz musi po prostu minąć trochę czasu... - Westchnęła. - Poza tym chcę jak najszybciej wyjechać z miasta. - Nie mogę się już doczekać Gwiazdki w Topece.

- Ja też.

- A potem, pod koniec przyszłego miesiąca, kiedy skończymy kręcić *Pennsylvania Avenue*, może wybiorę się w podróż po świecie. Już kiedyś o tym myślałam, ale zawsze w przerwach między jedną a drugą serią miałam jakieś inne zobowiązania. Teraz nie mam żadnych. Przeciwnie. Mogę wykorzystać dodatkowy miesiąc, bo produkcję wznawiamy dopiero w sierpniu. Przez pół roku nie będę miała nic do roboty. - Nic poza tym, co obiecujesz sobie od lat: wreszcie znajdziesz czas, aby poznać prawdziwą Alexę. Powstrzymała przyływ paniki, leniwe ziewnięcie śpiącego potwora, i ciągnęła: - Tak więc za sześć tygodni będę miała dużo czasu i przestrzeni, a to mi się naprawdę bardzo przyda. Teraz jednak najbardziej potrzebuję Jamesa.

- Jamesa? - powtórzyła cicho Cat. Ale... zaczęło protestować serce, dopóki nie wtrącił się rozum. Ale co? Czyż James jest twój? Przecież nie jest. Nigdy cię nawet nie pocałował. Dzięki niemu czułaś się szczęśliwa i wyjątkowa. Czowałaś się tak jednak tylko dlatego, że on jest taki cudowny i wyjątkowy. Cudowny i wyjątkowy mężczyzna opiekował się po prostu młodszą siostrą kobiety, którą kochał. A teraz Alexa jest znowu wolna, znów go pragnie i wystarczy przecież, by kiwnęła palcem i...

- Potrzebujesz Jamesa?

- Tak. Chciałabym, żeby poszedł ze mną na przyjęcie - odparła obojętnie Alexa, choć cała sprawa nie była jej obojętna. Wiedziała, że w tym roku przyjdzie tam senator McAllister z małżonką. Hillary będzie chciała święcić swój triumf, a Robert nie może zignorować tak ważnego wydarzenia czwarty raz z rzędu. - Uroczystość ma się odbyć w sobotę, a ja nie pamiętam, kiedy James ma lecieć do Paryża.

Catherine знала plany Jamesa. Jeszcze tego dnia wieczorem miał być w Nowym Orleanie, wrócić w sobotę, akurat na kolację w jej towarzystwie. W niedzielę wybierał się do Paryża, aby spędzić ferie w towarzystwie rodziców na L'île des Arcs-en-ciel. Potem Cat już nie będzie miała możliwości spotkać się z Jamesem - po gwiazdce z rodziną w Topece wybierała się do San Francisco, gdzie w sylwestrowy wieczór miała zadebiutować koncertem w operze.

James pytał ją kilkakrotnie, czy zrobi dla niego kopię planu tournée po Ameryce Północnej i Europie. I więcej niż raz, nawet bardzo często planował kolacje w jej towarzystwie tam, gdzie ona będzie koncertować. Catherine jednak nie śmiała wierzyć, że te wspaniałe plany mogą dojść do skutku. Przygotowała się tylko dzielnie na sobotnie pożegnanie. Teraz jednak okazało się, że nawet i to pożegnanie nie dojdzie do skutku, gdyż w sobotę James jest potrzebny Aleksie.

- Nie rozmawiałaś z nim?

- Jeszcze nie. Rano nie udało nam się skontaktować, a po południu byłam na planie. Pewnie James odezwie się wieczorem.

- Na pewno.

Chciała po prostu powiedzieć mu do widzenia. Do widzenia i dziękuję. Z trudem przebijając się przez tłum, uświadomiła sobie nagle, że zapomniała szalika, który zrobiła dla niego na drutach i kopii planu tournée. Jeśli jednak chciała złapać Jamesa przed wyjazdem na lotnisko, a być może już i na to było za późno, nie mogła po nic wracać. Trudno. James nie potrzebuje już teraz planu tournée, a szalik miał być tylko sentymentalną pamiątką po nocnym żeglowaniu. Może kiedyś wyśle mu szalik wraz z listem, w którym podziękuje mu za wszystko dużo goręcej niż teraz, w cztery oczy.

- Nazywam się Catherine Taylor - powiedziała do recepcjonistki, która wybierała się już do domu. - Chciałabym się zobaczyć z panem Sterlingiem, jeśli jest jeszcze w biurze.

- Chwileczkę. - Recepcjonistka wcisnęła guzik na konsoli. - Przyszła panna Taylor. Dobrze, rozumiem, zaraz ją wprowadzę.

James sądził, że odwiedziła go Alexa. Być może chciała mu powiedzieć, że ma wolny wieczór i wybiera się do Nowego Jorku, by z okazji świąt wypić z nim kieliszek rumu i popatrzeć na łyżwiarzy tańczących na lodowisku w Rockefeller Center. Czekał na Alexę, wyobrażał sobie, jaka będzie zła, kiedy się dowie, że on jedzie właśnie na lotnisko. Okazało się jednak, że w drzwiach wcale nie stoi kobieta, która prosiła go jeszcze niedawno tak prowokująco i pewnie o rozkoszną fuzję. Była to jej młodsza siostra. Wprawdzie nie tak pewna siebie, lecz w swej nieśmiałości równie prowokująca.

- Catherine - szepnął zdumiony. Uśmiechając się serdecznie, podszedł do Cat i pomógł jej zdjąć płaszcz. - Witaj.

- Cześć. Dziękuję. - Na widok serdecznego uśmiechu Jamesa i zdumionych ciemnoniebieskich oczu ogarnęła ją nagle fala ciepła. - Rozmawiałaś już z Alexą? - spytała, kiedy powiesił jej płaszcz.

- Nie. Alexa dzwoniła rano, ale mnie nie zastała. Dlaczego pytasz?

- Jej romans już się skończył.

- Ach tak - mruknął ze współczuciem. Wiedział, że Alexa bardzo przeżyje stratę, której odbicie widział w zmartwionych oczach jej siostry. - Jak ona się miewa?

- Jest bardzo smutna. I na pewno cię potrzebuje.

- Potrzebuje nas obojga.

- Chce, żebyś towarzyszył jej w sobotę na przyjęciu.

Alexa nie wiedziała o jego spotkaniach z Catherine. Wspomniałaby mu o tym. Był zresztą z tego zadowolony. Do tej

pory odpowiadał mu tak dyskretny związek. Ale teraz...

- Mówiłaś Aleksie, że już mamy plany na sobotę?

- Nie. Ale jeśli chcesz odwołać kolację, to nie mam nic przeciwko temu. Rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Rozumiem, co was łączy. Teraz ona jest znowu wolna i...

- I myślisz, że zaczniemy zbierać to, co zostało po naszym związku? - spytał cicho, a serce zabiło mu mocniej na widok nadziei, jaka pojawiła się nagle w oczach Catherine. To właśnie Cat stwierdziła kiedyś, że powiedzenie pewnych rzeczy wymaga czasu. Teraz jednak, najdroższa, ten czas właśnie nadszedł, prawda? - Czy tego właśnie chcesz?

- Nie - wyszeptała śmiało. Mężczyzna, z którym rozmawiała, nigdy dotąd jej nie ponaglał. Wszystkie wybory serca zostawiał jej. Teraz jednak w ciemnoniebieskich oczach nie było spokoju. Te oczy wyrażały całkiem jasno pożądanie i miłość. - Nie, Jamesie, nie tego pragnę.

- Ja również nie - powiedział cicho. - Widzisz, jestem absolutnie oczarowany młodszą siostrą Alexy.

- Naprawdę?

- Wiesz, że tak.

Jej pełne, miękkie usta nigdy nie całowały, lecz jakiś cudowny instynkt podpowiadał im, jak powitać usta ukochanego mężczyzny. Powitanie było najpierw miękkie, delikatne, najbardziej czułe z możliwych, a potem wciąż czuły i delikatny pocałunek stał się głębszy. Śnieżnobiałe palce pieściły to cudowne „dzień dobry”, witały twarz Jamesa i wplatały się w czarne włosy. A w tych pieszczotach znalazły radość, dar znacznie wspanialszy niż jej wspaniała muzyka.

Ich usta pocałowały się na powitanie, potem spotkały się ich ciała - zbliżyły do siebie, aż jej serce zaczęło uderzać o jego klatkę piersiową, wzbudzając inne przerażające wspomnienie jedynej chwili, kiedy trzymał ją w objęciach. W tamtą sierpniową noc drżące, przerażone serce Catherine zakomunikowało mu wyraźnie, że jest głodne, i choć teraz James czuł tylko jego silne, radosne uderzenia, to - pomny na tamto doświadczenie - odsunął się na chwilę, by popatrzeć jej w oczy. A ujrzał błyszczące szafirowe pragnienie, potem błysk nadziei i zawodu, że przestał ją całować, a w końcu czyste pożądanie i szczęście. Catherine była tak samo zdrowa i silna jak on.

Choć oboje umieramy z głodu, pomyślał. Z tego najwspanialszego głodu serc.

- Już od dawna chciałem cię pocałować.

- Ja też.

- Ty też?

- Tak. Również od dawna. - Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Miała uroczy, niewinny, a przy tym uwodzicielski uśmiech wyrażający z prostotą wszystkie jej pragnienia.

- Chcę znów być całowana, Jamesie. Między jednym pocałunkiem a drugim minęło stanowczo za dużo czasu.

- Stanowczo za długo - zgodził się ze śmiechem, dotykając ustami jej ust.

A potem zatracił się znowu w jej cudownym cieple i wcale nie miał ochoty się odnaleźć, ale...

- Kochanie - westchnął i ucałował jej włosy. - Muszę złapać samolot. Nie mogę się nawet zdecydować na późniejszy lot, bo tuż po wylądowaniu czeka mnie ważne spotkanie. Zatelefonuję z Nowego Orleanu przynajmniej tysiąc razy i spotkam się z tobą w sobotę wieczorem. - Spojrzał jej w oczy. - Dobrze? - spytał.

- Dobrze, leć, dobrze, zadzwoń tysiąc razy - odparła z cichą radością, a w jej niebieskich oczach znów pojawił się niepokój. - Ale w sobotę wieczorem potrzebuje cię Alexa. Możesz przyjść do mnie na drugie śniadanie przed odlotem do Paryża?

- Oczywiście, że mogę - odparł cicho, nie kwestionując jej decyzji w sprawie soboty. Z oczu Catherine wyczytał, że

ta decyzja wypływa z głębokiej miłości do siostry, która nie jest szczęśliwa. Musiał jechać na lotnisko, ale chciał ją pocałować raz jeszcze. W tym długim, pożegnalnym pocałunku kryła się obietnica, że już wkrótce pocałują się znowu na powitanie.

8

Alexa przygotowywała się w duchu do rozmowy z Jamesem. Początkowo zamierzała wygłosić wściekłą tyradę na temat człowieka, którego on darzył tak ogromnym szacunkiem. Kiedy jednak James przyjechał do Różanej Skały i dostrzegła na jego twarzy troskę, wpadła po prostu w jego niezawodne ramiona. Ponad wszystko na świecie pragnęła uścisku mężczyzny, który ją kochał.

- Tak mi przykro - szepnął.

- Mnie też. - Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się nieśmiało. - Nie będę próbowała twierdzić, że mnie nie ostrzegaleś.

- Miałem nadzieję, że ci się poszczęści.

- Wiem. - Przez chwilę jeszcze pozostała w rozkosznej przystani jego ramion, potem niechętnie się od niego oderwała. Perspektywa zbliżającego się wieczoru napawała ją przerażeniem, lecz wiedziała, że czas ruszać.

- Dziękuję ci, Jamesie. Nie dałabym rady pójść tam sama.

To ciche wyznanie świadczyło o jej słabości i kruchości. James wiedział, że Alexa będzie błyszczeć na gali, lecz teraz wyznawała mu, jaki to dla niej wysiłek. Błyszczeć na odległość - wymagało to od niej niemałej energii, a potrzebowała jej wiele, by się opędzać od tych wszystkich mężczyzn, którzy zechcą z nią flirtować. Tego wieczoru, w smaragdowej jedwabnej sukni, z rozwianymi złotymi włosami, miała być romantycznym uosobieniem marzeń.

- Będę się trzymał bardzo blisko, Alexo.

- Myślałam...

- Tak?

- Gdybyś tak mógł wziąć mnie za rękę i nie puszczać?

- Mogę to zrobić. - James przypieczętował obietnicę uśmiechem. - Chcesz mi opowiedzieć o tym draniu? - spytał.

- Nie. Dzięki.

James nie złamał danego słowa. Trzymał Alexę za rękę i ani na chwilę jej nie puszczał. Gdy tak sunęli po błyszczącym morzu sławnych i potężnych, Alexa czerpała siłę z jego dłoni. Jeszcze większą energię czerpała z tańca, w którym ich ciała, tak dobrze sobie znane, poruszały się zgodnie jednym rytmem.

- Uda mi się - myślała. - Przetrwam jakoś ten wieczór mimo Roberta. Jestem tego pewna.

- James? Alexa?

Dźwięk głosu Hillary i widok Roberta przytulającego żonę w powolnym tańcu natychmiast zachwiał tę głupią pewnością. Mimo wszystko, ściskając mocno dłoń Jamesa, Alexa przebiła się przez tłum, aby powitać senatora i panią McAllister. I jakimś cudem głos jej zabrzmiał wesoło i pogodnie.

- Jak miło cię widzieć, Hillary. - Nie przestając się uśmiechać, odwróciła głowę do Roberta. - Witam, senatorze.

- Dzień dobry - odparł spokojnie, choć jego serce krzyczało z bólu. Rana zadana przez Alexę nie zdążyła się jeszcze zabliznić i Robert zaczął wątpić, że kiedykolwiek się zablizni. Przeniósł spojrzenie na przyjaciela.

- Cześć, James.

- Cześć Robertcie. Witaj, Hillary.

- Miło cię widzieć.

- Wreszcie zdecydowałeś się przyjść na ten bal - powiedziała swobodnie Alexa. - Cieszę się, Jamesie. Nadal chcesz spędzić ferie z rodzicami na L'ile? - spytała Hillary.

- Takie mam plany. Jutro lecę do Paryża, a we wtorek wyruszam do Nicei.

- Cudownie - mruknęła Hillary, choć tak naprawdę najcudowniejszy był sposób, w jaki James trzymał rękę Alexy i w jaki z nią tańczył. Oszałamiająca para przyciągała spojrzenia, wszystkie pełne podziwu, z wyjątkiem pełnego bólu spojrzenia Roberta. - Ty też wybierasz się na wyspę, Alexo?

- Nie, mam tylko pięć wolnych dni. Spędzę święta w Topece, z rodziną.

- Jak miło. Jamesie, przekaz Marion i Arthurowi nasze pozdrowienia. - Nie zapomnij powiedzieć księżniczce Natalie, jak bardzo mi się podoba moja romantyczna obrączka ślubna z firmy Castille'ów.

Hillary wierzyła, że wygrała. Wierzyła w to przed balem, a wracając z Robertem do Arlington, uwierzyła w to jeszcze głębiej. Ten głupi romans z Alexą już się skończył. Plan się udał. Ona, Hillary wygrała, a Robert wyglądał tak, jakby wszystko stracił. Zapewniała jednak sobie w duchu, że to się zmieni. Z czasem ten niefortunny epizod z ich małżeństwa zostanie zapomniany, zakładając oczywiście, że udręka w jego oczach nie wynikała z czegoś więcej niż tylko z konieczności rozstania z Alexą.

- Robercie?

- Tak? - odparł trochę bezmyślnie. Oderwany od męczących obrazów Jamesa i Alexy odczuł jednak ulgę. Niektóre z tych obrazów - Alexy żartującej z Jamesem, flirtującej z nim, tańczącej - widział na własne oczy. Inne, znacznie gorsze, podpowiadała mu wyobraźnia. Alexa kochająca się z Jamesem dziś, zeszłej nocy, we wszystkie te noce, których on z nią nie spędził. Patrząc tego wieczoru w spokojną twarz przyjaciela, Robert doszedł do wniosku, że James nic nie wie o romansie Alexy. Czy to znaczyło, że przez cały ten czas Alexa zwodziła ich obu? - Mówiłaś coś, Hillary?

- Widzę, że cierpisz, i nie mogę na to patrzeć. Jeśli rozstanie z tą kobietą, kimkolwiek ona jest, ma być dla ciebie bolesne, to cóż... mój ojciec i ja jakoś to przeżyjemy.

- Nie ma sprawy.

- Nie?

- Nie. Romans jest skończony.

- Tym żonatym mężczyzną był Robert? - spytał gniewnie James, kiedy tuż przed pomocą wracali do Różanej Skały.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przestać mnie zwodzić, Alexo.

- Czy to było naprawdę aż tak jasne?

- Nie - przyznał. Alexa mówiła martwym, wyzutym z nadziei głosem, tak jakby poza wszystkim innym, straciła także umiejętność bycia aktorką. - Nie byłoby jasne dla nikogo, kto nie trzymałby cię wtedy za rękę, która nagle zmieniła się w lód. No i do tego jeszcze te paznokcie, które szukały tajemniczego skarbu ukrytego w głębi mojej dłoni... - zażartował.

- Przepraszam.

- Powinnaś była powiedzieć mi prawdę.

- Wiedziałam, że byłbyś niezadowolony.

- Biorąc pod uwagę konflikt z Hillary, mogłem podać w wątpliwość motywy twojego działania.

- Nie było żadnych motywów. Ja go po prostu kochałam.

- I nadal kochasz.

- Tak, Jamesie, nadal go Kocham.

Alexa wzięła prysznic i przebrała się w skromny, miękki szlafrok, którego nie nosiła nigdy w obecności kochanka, a James zagrzał dla niej mleko. Zaczekał, aż wypije, i położył ją do łóżka, lecz odmówił, gdy poprosiła go bez przekonania, żeby z nią został. Wiedział zresztą, że Alexa wcale nie pragnie mężczyzny; bała się tylko samotności.

Kiedy zasnęła, pojechał do Inverness. Wiedziała, że byłbyś niezadowolony... W ten sposób usprawiedliwiła to, że zataiła romans z Robertem. Czy zaaprobowałaby więc jego uczucie do swojej siostrzyczki? Pewnie nie, przynajmniej nie od razu. Alexa znała go zbyt dobrze - wiedziała, jakim jest niespokojnym duchem i jak bardzo potrzebuje niezależności. Jej właśnie wyznał, że wątpi w miłość. Jednym słowem, martwiłaby się o szczęście Catherine. Miał zamiar ją zapewnić, żeby się nie martwiła, bo nikt bardziej od niego nie troszczy się o szczęście Catherine. Zastanawiał się, kiedy to powie Aleksie. Nieważne kiedy. Na razie, dopóki Cat sobie tego życzy, ich miłość będzie tajemnicą, prywatnym skarbem, którego nie należy z nikim dzielić.

- Obudziłem cię, Kochanie? - spytał cicho, gdy zadzwonił do niej z Inverness, tak, jak obiecał, mimo bardzo późnej pory.

- Nie. Ćwiczyłam. Jak ci minął wieczór?

- Nieźle. Cieszę się, że spędzicie te święta razem. Alexa potrzebuje teraz ludzi, którzy ją Kochają. A szczególnie młodszej siostry. - James oczekiwał odpowiedzi, lecz zamiast niej usłyszał tylko zdumioną ciszę. - Catherine?

- Tak?

- Wiesz, czego mi trzeba?

- Nie. Czego?

- Chcę cię widywać jak najczęściej pomiędzy naszym jutrzejszym drugim śniadaniem i odlotem samolotu do Topeki we wtorek po południu.

- James... - szepnęła z radością i niedowierzaniem. - Ale...

- W Paryżu to pora śniadania. Zadzwonię do rodziców i umówię się z nimi w środę w L'île des Arcs-en-ciel. Popłyną sami.

- Myślisz, że będą mieli do ciebie żal?

- Na pewno nie. - Wiedział, że gdyby rodzice znali przyczyny tej decyzji, nie posiadaliby się z radości.

James i Catherine mieli dla siebie prezenty, podarunki miłości, przygotowywane jeszcze zanim wyznali sobie miłość, o której wiedzieli od dawna.

- Wesołych świąt, Kochanie - powiedział, wręczając jej małe, ślicznie opakowane pudełko. Złota folia przyozdobiona atłasowymi wstążeczkami wskazywała na firmę jubilerską Castille Jewels.

- Och - westchnęła na widok kolczyków, dwóch idealnie dobranych do koloru jej oczu szafirów. - Jamesie, są piękne!

James przeniósł spojrzenie z błyszczących szafirów na błyszczące szafirowe oczy i pomyślał, że poszukiwania, które zlecił jubilerowi z Piątej Alei, nie okazały się bezowocne. Klejnoty bez skazy pasowały do oczu bez skazy. Kiedy jednak uśmiechnął się do Catherine, w tym oszłamiającym błękiecie dostrzegł zmarszczkę wątplenia.

- Catherine... Podobają ci się?

- Są wspaniałe. Dziękuję. - Patrząc w zamyśleniu na zachwycające szafiry, dotknęła delikatnie cennych kamieni. Lecz zamiast przymierzyć kolczyki, odłożyła małe aksamitne pudełeczko na stół i sięgnęła po prezent dla Jamesa. - To dla ciebie. Nie tak wspaniałe, ale...

James uważał jednak, że szalik zrobiony własnoręcznie przez Catherine jest o wiele cenniejszy niż szafiry. Catherine sama narysowała wzór - żagłówkę sunącą po złocistej tafli wody skąpanej w księżycowej poświacie, a potem jej palce wirtuoza wyczarowały ten obraz na drutach.

- Catherine? - zająknął się, bo zabrakło mu słów.

- Podoba ci się?

- Nawet nie wiesz jak. Nawet nie wiesz.

- To bardzo się cieszę. Ale ty, kochanie, nie jesteś chyba zachwycona szafirami. Można je oddać. Jutro je odniosę.

- Ach nie, nie o to chodzi, ja tylko... - Zmarszczyła czoło. - W tej sytuacji muszę ci jednak powiedzieć coś o sobie i Aleksie.

To dobrze - pomyślał James. W końcu, najdroższa, powierzysz mi sekrety swego serca, które tak cię niepokoją.

- Mów, kochanie.

- Za chwilę. Najpierw muszę przynieść coś z sypialni.

Czekając, próbował przewidzieć, co za chwilę usłyszy. Pewnie historię siostr Taylor widzianą oczyma Catherine. Nie przewidywał jednak żadnych niespodzianek, znał doskonale wersję Alexy. Toteż gdy Catherine wróciła z sypialni, był naprawdę zdumiony. Patrzył w cichym niedowierzaniem na jej zręczne palce układające wspaniałe szafirowy naszyjnik wokół aksamitnego pudełka, które jej wręczył. Naszyjnik i kolczyki wyglądały na komplet, i to komplet wykonany z myślą o Catherine.

- Ten naszyjnik należał do mojej matki - zaczęła, wpatrując się w naszyjnik, którego wolałaby nigdy nie oglądać. - Nie znałam mojej matki. Ona... ona nie chciała mnie wychowywać. Jako tygodniowe niemowlę trafiłam do Jane i Alexandra. - I dodała cicho, patrząc mu odważnie w oczy: - Alexa nie jest wcale moją siostrą.

Catherine wyznała to szybko. A potem godzinami opowiadała Jamesowi o swoich zagmatwanych uczuciach: przerażającym bólu i szalonej rozpacz, o miłości do Alexy i lęku przed powiedzeniem jej prawdy. A także o niechęci do matki, która ją porzuciła.

- Och, Catherine, tak mi przykro, że cierpiałas.

- Czuję się teraz lepiej, Jamesie, o wiele lepiej. Przedtem byłam sama i zagubiona. Pamiętasz tę noc na żagłówe, kiedy mi poradziłeś, żebym zatelefonowała do rodziców i powiedziała, że za nimi tęsknię?

- I tak chciałaś to zrobić.

- Owszem, ale ty utwierdziłeś mnie w przekonaniu, że oni chcą to ode mnie usłyszeć.

- Ale chcieli.

- Tak, chyba tak. Właściwie wcale im nie powiedziałam, że tęsknię, ale jestem pewna, że to wiedzą. Rozmawialiśmy od tej pory parokrotnie i czuję, że za każdym razem jesteśmy sobie bliżsi. Nie widziałam się z nimi od maja.

- Ale za dwa dni na pewno się spotkacie.

- Trochę się boję. - Urwała i uśmiechnęła się. - Ale przede wszystkim jestem strasznie podniecona.

- Oni cię kochają - powiedział z przekonaniem James. - Alexa też.

- Mam nadzieję. Choć i tak wciąż nie mogę powiedzieć jej prawdy. Chcę to zrobić, ale muszę poczekać na właściwy moment.

James skinął głową na znak, że się zgadza, choć martwił się raczej o Alexę, niż o Catherine. Alexa była ostatnio w

nie najlepszym stanie i choć James czuł, że nie przestanie kochać siostry, to gotowa prawdę o jej pochodzeniu odebrać, całkowicie zresztą bezzasadnie, jako kolejną stratę.

- Cieszę się, że mi ufasz.

- Mimo że nie jestem tą samą osobą, za którą mnie uważałeś?

- Wiem, kim jesteś. I zawsze wiedziałem. Kobieta, którą kocham całym sercem.

- Och, James...

Jego usta jeszcze raz tego śnieżnego popołudnia odnalazły jej usta, ale tym razem pocałunek był inny - bardziej czuły, namiętny, głębszy, bez tajemnic i cieni. Pocałunek bezkresnej miłości.

- Jutro zwrócę kolczyki, kochanie - szepnął, przerywając nagle pieszczotę, która przestała mu wystarczać.

- Nie, nie rób tego.

Sięgnęła do pudełka i wyjęła wspaniałe kolczyki.

- Proszę - powiedziała, mocując jeden z nich w ucho. - Wiem, że nigdy nie włożę naszyjnika, ale te kolczyki będę nosiła zawsze.

- Nie są raczej na co dzień - zażartował.

- Nie - przyznała. - Nie, chyba nie.

- Myślałem, że będziesz mogła je wkładać na koncerty.

- Na koncerty... i do całowania... i do kochania - powiedziała cicho. - Kochaj się ze mną, Jamesie.

- Nie ma pośpiechu. Dopiero co odkryliśmy całowanie. Myślę, że mógłbym całować cię zawsze...

- Zawsze. Tylko całować?

- Nie - odpowiedział powoli James - ale...

- Mamy dwa cenne dni i kochamy się. Przecież możemy przez ten czas wspólnie przeżywać naszą miłość i radość do końca. Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - powtórzył cicho, patrząc w jej niewinne oczy. Tak bardzo niewinne...

- Od dwóch miesięcy zażywam pigułki - powiedziała szybko Catherine, interpretując niewłaściwie nagłą troskę na jego twarzy.

- Wcale o tym nie myślałem. Chodzi o to, że nie chcę sprawić ci bólu, nawet przez chwilę, a...

- Jak mógłbyś sprawić mi ból?

Wszystko to było dla Catherine zupełnie nowe, a James po raz pierwszy w życiu kochał się z kobietą, którą darzył prawdziwą miłością. Poznawali się nawzajem, ciesząc się każdym odkryciem, własnym pożądaniem i uczuciami.

Cierpliwe pieszczoty kochających rąk i czułych ust przyprawiły ją o drżenie; dała mu całą siebie, nie kryjąc żadnych tajemnych miejsc swego cudownego śnieżnobiałego ciała. Nie wstydziła się swej namiętności.

Kiedy nadszedł czas, kiedy musieli ofiarować już sobie wszystko, James popatrzył na nią z troską. Catherine powitała jednak tę troskę czułym uśmiechem, a Jamesa z radością.

- Kocham cię, Catherine - szepnął. - I nie chcę sprawić ci bólu.

- Kocham cię, Jamesie. - Przecież nie możesz sprawić mi bólu.

Wcale nie bolało. Poczwała raczej dziwne, rozdzierające ciepło, a potem stali się jednym ciałem, łącząc się ze sobą tak blisko jak to tylko możliwe, przeżywając wspólnie ten najcudowniejszy z cudów.

Przez chwilę, która trwała wieczność, nie ruszali się, nie mówili, nawet nie oddychali. Patrzyli tylko na siebie z cichym, pełnym szacunku skupieniem, a ich kochające oczy wyrażały radość.

Znów się poruszyli. Musieli, ponaglani wspaniałymi, rosnącymi pragnieniami i przemówili najczulszymi szeptami miłości... a potem raz jeszcze przestali oddychać.

Przez te dwa dni niezwyklej miłości i intymności kochali się, odkrywali i snuli wspaniałe plany na przyszłość. Przejrzeli plan tournée Catherine, miasto po mieście, i ustalili, w jakich restauracjach będą jadać, co zwiedzą, dokąd wybiorą się na spacer. Catherine czuła, że James chce odwiedzać ją prawie co tydzień, prawie w każdym mieście. Kiedy mu o tym wspominała - trochę żartobliwie, trochę z nadzieją - obiecał, że zorganizuje sobie pracę tak, żeby z nią być tak często, jak to możliwe.

- Może powinienem w ogóle rzucić pracę i zostać jednym z członków ekipy Catherine Taylor.

- To by było wspaniałe.

- Tak, ale jako członek ekipy chciałbym słuchać twoich koncertów. A już raz odniosłem wrażenie, że cię rozpraszam.

- Słusznie, tak było.

- A teraz?

- Nie wiem. Może to sprawdzimy?

Zagrała *Sonatę C-dur* Mozarta, jeden z utworów na sylwestrowy koncert. Słuchając, James zaczął cenić prawdziwą wielkość jej daru. Gdyż był to dar - niezwyklej dar, którym Catherine hojnie dzieliła się z publicznością, zapraszając wszystkich, by wybrali się wraz z nią we wspaniałą podróż emocjonalną. Podróżował wraz z nią - najpierw złożyli pełną szacunku wizytę nadziei, potem kaskadą radości, przypominającą wodospad, spłynęli w krainę smutku, a potem w tanecznych podskokach poszybowali w radość i...

I nagle ta niezwyklej podróż dobiegła końca.

- Och, Catherine - szepnął smutno James. - Moja obecność dalej cię rozpraszam.

- Lecz jest to coś, co mogę na pewno przezwyciężyć na sali koncertowej wypełnionej setkami słuchaczy. A teraz ja siedzę przy fortepianie i gram, a ty jesteś daleko ode mnie i słuchasz. A tak być nie powinno.

- Więc zbliż się do mnie, najdroższa.

Odchodząc od fortepianu, Catherine zdała sobie sprawę ze znaczenia tego, co robi. Mając do wyboru Jamesa i muzykę, wybrała Jamesa. I wiedziała, bez żadnych wątpliwości, że zawsze tak wybierze.

- Wychodzę po rogaliki - oznajmił o dziewiątej trzydzięci we wtorek rano. - Przyznaję, że szukam po prostu pretekstu, żeby włożyć szalik od ciebie.

- Rozumiem. - Catherine zaśmiała się cicho i pocałowała go na do widzenia.

Zamknął za sobą drzwi, a ona zaczęła się zastanawiać, czy James nie przygotowuje jej w ten sposób na dwutygodniową rozłąkę, która miała się rozpocząć już o czwartej po południu. Przyrzekli sobie wprawdzie, że nigdy więcej nie spędzą osobno świąt Bożego Narodzenia, lecz żadne z nich nawet nie wspominało, że zmieni tegoroczne plany. Były to dla nich ważne święta - prywatny czas tylko z rodzicami, których kochali.

Kiedy w pięć minut po wyjściu Jamesa zadzwonił telefon, Catherine była pewna, że to on dzwoni i chce ją zapytać, czy woli rogaliki z serem, czy z malinami, choć naprawdę chodzi mu o to, by wyrazić coś, co Catherine również czuła: nie minęło więcej niż pięć minut, a już za nim tęskniła.

- Halo? - powiedziała ze śmiechem.

- Czy rozmawiam z Catherine Taylor?

- Tak.

- Catherine, tu Elliot Archer. Poznaliśmy się w lecie w Inverness.

- Tak, oczywiście, pamiętam.

- Mam chyba złe wieści. O drugiej doszło do wybuchu na jachcie, którym Sterlingowie płynęli z Nicei na L'île des Arcs-en-ciel.

- Och nie...

- Eksplozję spowodował prawdopodobnie wyciek z przewodu gazowego piecyka. - Elliot urwał, walcząc z gwałtownym przyływem uczuć. - Nikt nie miał szans przeżyć takiego wybuchu. Robert McAllister zaproponował, żebyśmy zadzwonili do ciebie, po pewnie zechcesz być przy Aleksie, kiedy zawiadomimy ją o Jamesie. Albo sama jej powiesz...

- Jamesa nie było na jachcie.

- W sobotę wieczorem Robert widział się z nim w Waszyngtonie. James twierdził, że nazajutrz wyjeżdża do Paryża.

- Tak, ale w końcu nie wyjechał. Jest w Nowym Jorku. Ma zamiar lecieć do Nicei po południu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Absolutnie.

- Dzięki Bogu. Cóż, muszę z nim porozmawiać.

- Ja mu powiem. Powiem i poproszę, żeby do ciebie zadzwonił.

- Rozumiem, dobrze. Będę w biurze. James zna mój numer.

Po rozmowie Elliot zdał sobie sprawę, że to się znów stało. Znów Catherine Taylor obudziła w nim wspomnienie Isabelle Castille. W sierpniu wspomnienia te powróciły z powodu niezwyklego fizycznego podobieństwa, teraz dały o sobie znać dzięki duchowemu pięknu dziewczyny. Niegdyś to Isabelle przyleciała do Londynu, aby mu powiedzieć o śmierci Genevieve. Nie musiała, oczywiście, tego robić, a jednak zrobiła, ponieważ wiedziała, jak bardzo będzie cierpiał, i chciała mu pomóc w trudnych chwilach.

A teraz w głosie Catherine Elliot dosłyszał to samo pragnienie. Pragnienie, by pomóc choć trochę, o ile to będzie możliwe.

- Och, Jamesie...

- Co się stało, kochanie?

- Chodzi o twoich rodziców. Och, Jamesie... na jachcie doszło do wybuchu.

- Catherine?

- Oni zginęli - powiedziała bardzo cicho, bardzo łagodnie. Rozumiała, że James był wstrząśnięty i choć nie zadawał żadnych pytań, potrzebował więcej słów, dowodów. Dodała więc:

- Prawdopodobnie wybuchł piecyk. Elliot dzwonił właśnie do mnie, bo chciał, żebym poleciała do Alexy. Tak mi przykro, kochany - szepnęła na zakończenie.

Jej oczy błyszczały od łez, a gdy minął pierwszy szok, James poczuł również wilgoć w swoich. Łzy były mu tak obce, że nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał. Dlatego zrazu instynktownie chciał je ukryć.

Kryć płacz przed kobietą, którą kocha?

Nie, pomyślał i niepowstrzymane łzy popłynęły mu z oczu.

- Mama przygotowywała pewnie swoją słynną gorącą czekoladę - powiedział cicho godzinę później.

Catherine odpowiedziała tak, jak odpowiadała na wszystkie jego słowa i łzy: miłością. Tuliła go i całowała czule mokrą od łez twarz. Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie uroczej Marion.

Minęła kolejna godzina, zanim James zadzwonił do Elliota. Panowie skupili się na szczegółach wypadku. Omówili również sprawę nabożeństwa żałobnego zaplanowanego na dwudziestego drugiego grudnia. Przygotowania do nabożeństwa i przyjęcia, które miało się odbyć tuż po nim, zostały już poczynione przez zawsze sprawne Biuro Protokołu.

- Po czwartej polecę do Waszyngtonu. Zadzwonię, kiedy będę na miejscu.

- Po czwartej? - spytała Catherine, kiedy James odłożył słuchawkę.

- Najpierw odprowadzę cię na samolot do Topeki.

- Jadę z tobą do Waszyngtonu.

- Nie.

- Tak.

- Nie. Posłuchaj, Catherine. Powinnaś być z rodzicami. - Nagły przypływ uczuć sprawił, że słowa uwięzły mu w gardle. Tak bardzo teraz żałował, że nie wyjawił rodzicom, dlaczego nie pożegłował z nimi na L'île des Arcs-en-ciel. Gdyby powiedział im o Catherine, może Marion, przygotowując czekoladę, snułaby marzenia o swoich czarnowłosych wnukach buszujących po Inverness. On chciał jednak zwierzyć się osobiście rodzicom ze swego szczęścia. Ale za późno na to.

- Twoje spotkanie z rodzicami jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek, nie sądzisz? - powiedział ochryplym głosem.

- Za kilka dni spotkam się z nimi. Może oboje tam pojedziemy - powiedziała cicho. - Ale teraz powinnam być z tobą.

- Jesteś ze mną, Catherine. Zawsze ze mną jesteś. Muszę tylko wiedzieć, że w każdej chwili mogę do ciebie zatelefonować, a mam zamiar dzwonić codziennie. Niczego mi więcej nie trzeba. Poza tym, choć rozmowy z tobą całkowicie mi wystarczą, na miejscu będzie Elliot, Robert i Brynne.

- I Alexa.

- Ona też powinna pojechać do Topeki.

- Tak, ale dopiero na święta.

Trzy godziny po pożegnaniu z Jamesem Catherine spotkała się z rodzicami, których nie widziała od maja. Ich obraz był wciąż żywy w jej sercu, lecz teraz, nawet z odległości, oboje wydawali się jej inni, trochę wyblakli i zmęczeni.

Czyżby się zestarzelili? Czy te minione miesiące dodały im lat? Nie, uświadomiła sobie natychmiast, gdy podeszła bliżej. Różnica polegała na czymś zupełnie innym: w ich łagodnych oczach gościł niepokój.

Nie byli pewni jej miłości?

Podbiegła do Alexandra i Jane, wznosząc się w ten sposób ponad przepaść, która tak długo dzieliła ją od rodziców. Gdy znalazła się przy nich, już nie pamiętała, że ta przepaść kiedykolwiek istniała.

- Mamo, tato, tak bardzo was kocham - szepnęła.

9

Kiedy skończyło się nabożeństwo i przyjęcie, w Inverness zostali tylko ludzie najbliżsi Jamesowi. Wszyscy - Alexa, Elliot, Robert, Hillary, Brynne i Stephen zasiedli w salonie. Tego dnia małe wojenki i gorzkie zdrady poszły w niepamięć, a w oczach zebranych był jedynie żal po śmierci Arthura i Marion.

- Muszę wam coś powiedzieć - odezwał się Elliot.

- Co takiego? - spytał James zmęczonym głosem. Był wyczerpany. Tego dnia musiał dziękować tysiącom ludzi za

kondolencje, a pragnął tylko jednego: zadzwonić do Catherine. Tęsknił za nią bardzo, lecz ani przez chwilę nie żałował, że Cat nie towarzyszyła mu w Waszyngtonie w tych trudnych chwilach.

- Wyciek gazu nie był przyczyną eksplozji na żaglówece. Ktoś podłożył tam bombę.

Wiadomość wstrząsnęła zebranych. Nikt się nie odezwał, lecz wszyscy myśleli o tym samym. Śmierć Arthura i Marion nie była dziełem przypadku, na jachcie nie doszło do niewytłumaczalnej tragedii w wyniku jakiegoś tajemniczego przeznaczenia.

Ktoś wiedział, że Marion i Arthur zginą.

Ktoś pragnął ich śmierci.

Ktoś się do niej przyczynił.

- Bombę? - powtórzyła Brynne.

- Od kiedy to wiesz? - spytał Robert.

- Od kilku godzin. Jutro musimy zawiadomić prasę, więc chciałem, żebyście byli pierwsi.

- Ktoś się przyznał do zamachu?

- Nie, jeszcze nie.

- Co jeszcze udało ci się ustalić?

- Bardzo niewiele, Jamesie.

- Bo zatarto ślady?

- Nie. Od początku podejrzewano sabotaż i nad sprawą pracowali najlepsi agenci w Europie. Do tej pory jednak nic się nie wyjaśniło. Jacht cumował w jednym z najbardziej ruchliwych portów na Lazurowym Wybrzeżu - ogromny ruch, wielu turystów, mnóstwo ludzi, łatwy dostęp.

W pokoju znów zapadła cisza. Wszyscy myśleli o tym samym - ich myśli krążyły się wokół letniego wieczoru sprzed czterech miesięcy, kiedy to Marion opowiadała o L'île des Arcs-en-ciel. Z jaką radością czekała na ponowną wizytę w królestwie tęczy, jak pięknie błyszczały jej oczy, gdy wyrażała nadzieję, że wszyscy się tam spotkają. To marzenie miało się nigdy nie spełnić.

Ktoś uznał, że Marion Sterling powinna umrzeć.

- Idźcie już - powiedział cicho James. W milczeniu wstał z miejsca i podszedł do okna. - Robi się ciemno i wieje bardzo silny wiatr. Może was złapać burza - dodał, patrząc w ciemność.

- Nie chcesz, żebyśmy zostali? - spytała Brynne.

- Nie - odparł. - Dziękuję, ale nie.

Jego potrzeba samotności była tak wyraźna, że wszyscy to uszanowali. Alexa wyszła ostatnia, a przed powrotem do Różanej Skały, skąd następnego ranka udawała się na lotnisko, ucałowała go leciutko w policzek.

Wiatr był zdecydowanie zbyt silny i niebezpieczny, czern nocy rozjaśniał tylko rożek księżyca, a on wciąż żegłował. Sterując jachtem, James walczył nie tylko ze zdradziecką ciemnością, ale i z własnymi uczuciami. A te uczucia, zupełnie nowe i potężne, bez cienia litości kazały zamilknąć sercu, ponieważ wszystko się zmieniło.

James otulił szyję pięknym nowym szalikiem i w pewnej chwili wyciągnął rękę, by dotknąć miękkiej wełny, tak jakby chciał dotknąć Catherine i pokrzepić się ciepłem jej ciała. Nie wyczuł jednak ciepła. Palce miał całkiem zdrętwiałe, sine z zimna, a nerwy w opuszkach nie czuły nic prócz przejmującego bólu.

Najlepsze, najszlachetniejsze uczucia w nim uległy zniszczeniu. Ciepło i łagodność znalazły się nagle poza jego zasięgiem, a głęboki złowieszczy głos, przekrzykujący szum wiatru, ostrzegwał, że to nie koniec strat.

- Wiem o bombie - powiedziała cicho Catherine, kiedy zadzwoniła do Jamesa w pięć godzin po rozmowie z Alexą, która przekazała jej tragiczne wieści. Przez te pięć godzin usiłowała skontaktować się z Jamesem, ale nikt w Inverness nie odpowiadał. - Żeglowałeś?

- Tak.

- Jamesie? - Zawiesiła głos. Chciała, by rozmawiał z nią tak jak poprzedniej nocy, pragnęła dzielić z nim smutek, uczucia, żalobę.

- Nie będę mógł przyjechać do San Francisco na twój koncert promocyjny.

- Jeszcze za wcześnie o tym decydować, prawda? - spytała cicho, walcząc z przyływem bólu. James zaczął się od niej oddalać. Pokonała ból i zaczęła dzielnie walczyć. Walczyć o Jamesa. - Na razie chcę przyjechać do Waszyngtonu. U rodziców jest mi cudownie, ale...

- Nie - przerwał ostro, zreflektował się jednak natychmiast, słysząc swój własny szorstki ton. - Nie, kochanie. Jadę z Elliotem do Francji.

W każdym razie on na pewno się tam wybierał, choć tylko przy pomocy Elliota, z którym jeszcze o tym nie rozmawiał, mógł coś zdziałać.

- Kiedy?

- Mam nadzieję, że jutro.

- Ach tak. - Był już tak daleko. - Jamesie...

- Catherine - powiedział cicho. - Muszę jechać do Francji. Nie wiem, kiedy wrócę, ale niezależnie od wszystkiego zadzwonię do ciebie do hotelu po twoim wspaniałym koncercie. O północy w sylwestra. Dobrze?

- Dobrze. Jamesie...

- Tak?

- Jakoś się to wszystko ułoży, prawda?

Dosłyszał niepewność w jej głosie, wiedział, co ma na myśli. Pytała, czy ich krucha miłość przetrwa spustoszenia, jakich dokona jego wściekłość i nienawiść.

Wiedział, że jego ukochana Catherine czeka na obietnice.

A on nigdy nie składał obietnic, których nie potrafił dotrzymać.

- Jadę z tobą do Francji - powiedział, wchodząc nazajutrz rano bez zapowiedzi do gabinetu Elliota.

- Ale ja się wcale tam nie wybieram.

- Co takiego?

- Już ci przecież mówiłem. Dochodzenie prowadzą najlepsi agenci w Europie.

- Przecież to ty jesteś ekspertem od terroryzmu.

- I obiecałem ci, że kiedy będziemy mieli jakieś dane, jakkolwiek ślad, natychmiast zaangażuję się w śledztwo. Ale na razie nic nie wiadomo. Wiesz, a przynajmniej powinieneś wiedzieć, bo bardzo kochałem twoich rodziców, że gdyby mój udział w tej sprawie mógł pomóc, już dawno siedziałbym w samolocie.

- Wiem - odparł cicho James. - W takim razie możemy tylko czekać?

- Na co? - Elliot znał odpowiedź na to pytanie. Wiedział, jakie myśli kłębią się w głowie przyjaciela i wiedział, że James nie wypowie ich na głos. Dlatego zdecydował się zrobić to za niego. - Na to, żeby znaleźli terrorystów? Bo potem wystarczy ich już tylko zamordować z zimną krwią?

- Przyznam, że to brzmi bardzo dobrze - przyznał cicho James, zaniepokojony własną krwiożerczością. Słowa przyjaciela przyjął z ulgą, bo Elliot zdawał się go rozumieć.

- Teraz i ja byłbym za tym. Ale wiem, że zemsta może cię zatruć. Na razie jesteś przekonany, że znajdziesz w niej przyjemność. A nawet, co gorsza, zaczynasz wierzyć, że potem będzie ci lepiej. Nigdy jednak lepiej nie jest i poczucie pustki staje się potem dużo bardziej bolesne. - Elliot westchnął cicho. - Zemsta niczego nie zmienia. Strata pozostaje stratą, tak samo nieodwracalną i ogromną jak przedtem. Zemsta nie tłumi bólu i może wyrządzić jeszcze większe szkody poprzez splamienie nienawiścią i gniewem pamięci tych, których kochałeś.

Słuchając cichych, rzeczowych słów Elliota James pojął, jak mało o nim wie. Elliot nigdy się nie ożenił, wciąż narażał się na niebezpieczeństwo, ryzykował życie i prowokował śmierć z zadziwiającym spokojem, lecz James po raz pierwszy uświadomił sobie, że musi istnieć jakąś głęboko osobista przyczyna dokonania takiego a nie innego wyboru.

- Elliocie...

- Wiem, o czym mówię. - Elliot przyznał więc, że taka przyczyna istnieje, lecz najwyraźniej nie miał zamiaru dodawać nic więcej.

- Muszę coś zrobić. Muszę się jakoś zaangażować w tę sprawę.

- Nie potrzeba mi więcej agentów, a nawet gdybym ich potrzebował, to nie pozwoliłbym ci się zbliżyć do tego śledztwa. - Elliot uniósł rękę, by zapobiec ewentualnym protestom. - Licencji na zabijanie nie dostaniesz, lecz na pewno mógłbyś się okazać przydatny... dla mnie, dla tego kraju.

- Przydatny?

- Twoja znajomość prawa międzynarodowego połączona ze zdolnościami negocjacyjnymi byłaby na pewno bardzo cenna w departamencie.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Gdyby to zależało ode mnie, wysłałbym cię do Ameryki Środkowej razem z zespołem, który wybiera się tam w połowie stycznia. Rozmowy pokojowe znalazły się znów w impasie i chyba potrzebujemy nowej twarzy przy stole negocjacyjnym. Oczywiście może się okazać, że wobec licznych problemów, z którymi boryka się teraz współczesny świat, możesz być bardziej przydatny gdzie indziej.

- Jesteś przekonany, że tym właśnie mógłbym się zająć?

- Absolutnie. Zresztą jeśli nie brać pod uwagę skromnego wynagrodzenia i równie skromnych warunków życia, nie zauważysz różnicy między swoją nową misją a pracą, którą wykonywałeś do tej pory. Zasady negocjacji między państwami są identyczne z tymi między korporacjami.

- Pieniądze, terytorium i władza?

- Właśnie. To nasza waluta. Musimy się nią posługiwać w nadziei na uzyskanie bardziej ulotnych, a jednocześnie cenniejszych skarbów.

- Takich jak wolność i pokój? - spytał cicho James.

- Takich jak wolność i pokój - odparł Elliot.

Propozycja Elliota przypadła Jamesowi do gustu. Jeśli naprawdę mógł się przyczynić do ukrócenia terroryzmu i stworzenia takiego świata, w którym kochające się pary mogłyby bezpiecznie żeglować na rajskie wyspy, chciał się tego podjąć. Poza tym pracowałby razem z Elliotem, który informowałby go na bieżąco o postępach śledztwa, i pewnego dnia miałby szansę spojrzeć w oczy człowieka, któremu zależało na śmierci jego rodziców. A jeśli i wówczas będzie tak żądny krwi...

- Jestem tym bardzo zainteresowany.

- To dobrze. Pewnie nigdy o czymś takim nie myślałeś.

- Nie. Dlaczego?

- Wydawało mi się, że twój obecny zawód ma cię przygotować do objęcia stanowiska sekretarza stanu, zwłaszcza gdyby Robert został prezydentem. Twój rodzice tak nie myśleli i chyba mieli rację.

- Rozmawiałeś z nimi na ten temat?

- Z nimi i ludźmi, którzy wciąż mnie pytali, kiedy zamierzam cię ściągnąć do departamentu.

- Ale nic mi nie powiedziałeś.

- Nie, bo jest jeszcze jedna różnica między tą robotą a negocjacjami prowadzonymi na salach konferencyjnych. Różnica polega na tym, że zetkniesz się na pewno z ludźmi, po których można się wszystkiego spodziewać.

- Więc mnie chroniłeś. Mnie i moich rodziców - powiedział wolno James. - A teraz oni nie żyją. Czy naprawdę nie wiesz, kto podłożył tę bombę?

- Naprawdę. Oczywiście, kiedy wiadomość o zamachu zostanie podana do wiadomości publicznej, będą do nas dzwonić różni wariaci. Gdyby jednak prawdziwy sprawca postanowił się ujawnić, zrobiłby to już dawno. - Elliot zmarszczył brwi. - Nie wiem, ale mam wrażenie, że to jakaś sprawa osobista.

- Osobista?

- Atak o charakterze politycznym miałby miejsce w Paryżu, na przykład w ambasadzie, nie podczas wakacji twojego ojca, a już na pewno nie wtedy, gdy na pokładzie była twoja matka. Według mnie to jakaś zemsta osobista dokonana na przykład przez chorego psychicznie pracownika ambasady.

- Ja też miałem być na pokładzie - przypomniał James. - Może to ja byłem celem ataku?

- Powinniśmy o tym porozmawiać, ale nie sądzę. Tutaj stanowisz bardzo łatwy cel. Po co ryzykować podkładanie bomby w jednym z najruchliwszych portów Europy? Naprawdę nie sądzę, że to ty byłeś celem. Niemniej jednak muszę wiedzieć, jakie negocjacje ostatnio prowadziłeś i, co ważniejsze, czym miałeś zamiar się zajmować w najbliższej przyszłości.

- Niczym szczególnym. W zeszłą sobotę dopiąłem kontrakt w Nowym Orleanie, a teraz na moim biurku leży stos propozycji, z którymi chciałem się dopiero zapoznać. - James przypomniał sobie, jakie chciał przyjąć kryterium wyboru i zmarszczył czoło. Oczywiście szukałby najciekawszych ofert, lecz dopasowałby je do trasy tournée Catherine, żeby być z nią tak często jak to będzie możliwe.

To wspomnienie nappełniło go smutkiem, bo wiedział, że ich wspaniałe plany nigdy się nie ziszczą. Wiedział, że musi pożegnać się z Catherine i ich magiczną miłością. Świat Catherine był zawsze światem miłości i taki powinien pozostać. Jemu zaś przyjdzie żyć w świecie pełnym przemocy, strachu i zemsty. Te dwa światy zupełnie do siebie nie pasowały. On będzie musiał na razie skupić się na tym złym i udęczonym jednocześnie świecie, nie na spokojnym, cichym życiu z Catherine.

- James?

- Przepraszam. - Po chwili milczenia James wrócił do rozmowy. - Wczoraj mi nie mówiłeś, że będziesz rozmawiał ze mną o pracy.

- Wiedziałem, że tu przyjdiesz.

- Tak, jestem tutaj, Eliocie - powiedział uroczyście James. - I nie mam żadnych projektów. Chcę wyjechać w styczniu do Ameryki Środkowej.

- Myślałem, że może zdecydujesz się wreszcie na tę podróż dookoła świata, o której zawsze marzyłeś.

- Wiesz, że nie mogę. Mam coś do zrobienia.

- Tak - odparł Elliot. - Wiem. W porządku. Muszę porozmawiać z paroma osobami, potem do ciebie zadzwonię.
- Dobrze. Tymczasem wyciągnę z mojego biura informacje, o które mnie prosiłeś.
- Musimy jeszcze dostać od ciebie listy kondolencyjne. Te z Europy są oczywiście najbardziej interesujące, ale wolałbym przejrzeć wszystkie.
- W porządku.
- Przyszło coś od księcia Alaina?
- Naprawdę nie wiem. Jeszcze niczego nie czytałem.

Catherine siedziała przy telefonie w swoim apartamencie w Fairmont. W oczekiwaniu na nocny telefon patrzyła na wskazówki zegara przesuwające się wolno w stronę dwunastej. W pierwszej chwili w ogóle nie zwróciła uwagi na pukanie, ale w końcu niechętnie podniosła się z miejsca, żeby otworzyć. Spodziewała się bukietu zimowych róż i bileciku z przeprosinami.

Ale w progu stał mężczyzna, którego kochała. Jego niebieskie oczy były podkrążone, twarz blada i spięta. Był oto w jej pokoju, choć na koncert nie przyszedł. Gdyby siedział na widowni, natychmiast by to wyczuła i zesłaby ze sceny w połowie występu, byle tylko go zobaczyć. A on najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego trzymał się z daleka od sali koncertowej.

- Och - szepnęła, dotykając delikatnie jego twarzy. - Jesteś.

Wprowadziła go do sypialni i do łóżka, a on wszedł za nią posłusznie do tego magicznego miejsca pokoju i radości, jakim była ich miłość. Myślał, że to miejsce już nie istnieje, zniszczone potwornymi uczuciami, które rządziły teraz jego sercem. Ale w tę jedną krótką noc cudownej intymności i namiętności koszmary zostały wygnane, a niepokój wyciszony. Została tylko subtelna czułość miłości.

- Dzień dobry - powiedziała cicho, gdy weszła do saloniku.

Stał przy oknie.

- Dzień dobry - odparł, odwracając głowę od wspaniałego błękitu nieba, by popatrzeć na jeszcze wspanialszy błękit jej oczu.

- Już wychodzisz?

Był kompletnie ubrany; ona była jeszcze w szlafroku, a czarne jedwabiste włosy miała splątane po miłosnej nocy.

- Tak, kochanie. Przyjechałem się tylko pożegnać.

- Pożegnać? - powtórzyła cicho Catherine, choć jakaś jej cząstka wyczuła to jeszcze w nocy, w tej niezwyklej intymności, z jaką James się z nią kochał.

- Tak, pożegnać - odparł cicho, a potem zaczął jej tłumaczyć, powoli spokojnie, chcąc by rozumiała, tak jak on rozumiał, powody, dla których musiał zrezygnować z ich miłości. - Śmierć rodziców, fakt, że zostali zamordowani całkowicie mnie zmienił. Jestem wściekły, niespokojny, trawiony przez potężne uczucia, złe myśli. Nie wiem, czy udałoby mi się pokonać gniew, gdybym próbował, ale prawda jest taka, najdroższa, że ja nie chcę walczyć z tymi uczuciami. Nigdy nie pogodzę się z tym, co spotkało moich rodziców, nigdy również nie będę o tym spokojnie myślał.

- Ja również nigdy się z tym nie pogodzę. Ta śmierć zmieniła także i mnie.

- Chcesz znaleźć tego, kto ich zabił, trafić prosto w jego serce i czekać, aż umrze?

- Nie - odparła cicho. - I nie wierzę, że ty tego chcesz.

- Ależ chcę. Uwierz w to - powiedział cicho James.

Bo taka była prawda. Straszna prawda. Czuł, że teraz wreszcie Catherine zrozumie, iż dla uczuć, jakie nim targają, a w przyszłości i dla uczynków, nie ma miejsca w jej świecie pełnym miłości. Na twarzy Catherine nie było jednak zrozumienia, lecz miłość.

- Czy to właśnie masz zamiar zrobić? Znaleźć ludzi, którzy podłożyli bombę?

- Nie, to sprawa Elliota, choć obiecał mnie informować o postępach śledztwa. Będę pracował jako negocjator dla Departamentu Stanu. Może mogę zrobić coś, dzięki czemu innej rodziny nie dotknie podobna tragedia. Moje intencje nie są jednak do końca czyste. Po prostu muszę się czymś zająć.

- Rozumiem - powiedziała cicho. I dodała jeszcze ciszej: - Ale nie rozumiem, dlaczego się ze mną żegnasz.

- Dlatego, że nie jestem już człowiekiem, jakim pragnę być dla ciebie i dla naszej miłości. Moja łagodność przepadła.

- Nie zeszłej nocy.

- Nie, ale tylko dzięki temu, że pożyczałem ją od ciebie. Myślę, że przy tobie udałoby mi się uspokoić na jakiś czas. Ale gniew z pewnością by powrócił i strawił nas oboje. A kocham cię stanowczo zbyt mocno, żeby na to pozwolić.

- Nie można zbyt mocno kochać.

- O tak, można, kochanie. Chcę, żeby twoje życie było pełne radości, nie koszmarów, nienawiści i wściekłości. Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa. Nie rozumiesz?

Patrzyła na człowieka, którego kochała całym sercem, i próbowała go zrozumieć. Próbowwała, ale nie mogła. Nie pojmowała, dlaczego chciał ją opuścić.

- Czy postąpiłbyś tak samo, gdybyś umierał? Żeby oszczędzić mi bólu?

- Ja nie umieram, Catherine.

Właśnie że tak - krzyknęła w duszy. - Umierasz. Umiera twoje serce i zdecydowałeś, że nie chcesz dzielić ze mną bólu i smutku, bo pragniesz dla mnie wyłącznie szczęścia.

- Ale... Ale co ze mną? - spytała nagle. - Czy to, czego ja chcę, ma w ogóle jakieś znaczenie?

James obiecał kiedyś solennie, że zawsze będzie postępował zgodnie z życzeniami Catherine. Do niej miały należeć wybory serca. Ona pragnęła, żeby byli razem, na przekór wszystkiemu. On jednak nie tego dla niej chciał. Dlatego - bardzo cicho, bardzo spokojnie - złamał solenną obietnicę.

- Nie, Catherine, nie ma - odrzekł i dopiero wówczas dostrzegł na jej twarzy zrozumienie.

- Powierzyłam ci wszystkie swoje tajemnice, cały gniew i rozpacz, a ty nie ufasz mojej miłości na tyle, by dzielić ze mną swój ból?

- To nie jest kwestia zaufania.

- Nie - zgodziła się smutno. - To kwestia miłości. Nigdy mnie nie kochałeś.

- Och, Catherine, kochałem cię i zawsze będę cię kochał.

Zawsze będę cię kochał. Słyszała te słowa jeszcze długo, po jego wyjściu. Jakże dobrze znała te wszystkie fałszywe obietnice miłości! Zawsze będę cię kochał. *Je t'aimerai toujours.*

Dawno temu opuścił ją ktoś, kto twierdził, że bardzo ją kocha, ale kłamał. Teraz znów została opuszczona w imię miłości. Już po raz drugi ją porzucono. Ale nie z nadmiaru miłości, lecz z jej braku.

Elliot? Tu Alexa Taylor.

- Witaj, Alexo.

- Dzwonię w sprawie Jamesa. - Od zimnego styczniowego wieczoru, kiedy James się z nią pożegnał, minęło prawie sześć tygodni. Początkowo Alexa była przerażona. Słowa Jamesa zabrzmiały tak złowieszczo, tak ostatecznie, jakby nigdy nie zamierzał wrócić. On jednak wybił jej od razu z głowy melodramatyczne podejrzenia i obiecał, że wszystko będzie dobrze. Tego samego wieczoru przypomniał jej delikatnie, że ją kocha i stwierdził, że Robert McAllister to skończony głupiec, skoro pozwolił jej odejść. - Czy wszystko z nim w porządku?

- Tak, Alexo.

- Och, to dobrze. Czy mogę się z nim jakoś skontaktować?

- Możesz powiedzieć, po co?

- Nie. Czy to miałyby zresztą jakieś znaczenie?

- Może. Jak pilnie go potrzebujesz? Pytam, bo James będzie w kraju za niecałe dwa tygodnie. Czy to coś nie może zaczekać?

- Może - odparła, choć „to” nie czekało. Małe życie w jej łonie rosło i było codziennie większe. - Jeśli jednak zobaczysz się z nim wcześniej, powiedz, że jestem w Inverness.

James dał Aleksie komplet kluczy do domu i kod alarmowy. Powiedział także, że może przyjeżdżać do posiadłości, ilekroć zechce pobyć z dala od Różanej Skąły, z którą łączyła słodko-gorzkie wspomnienia o Robercie. Alexa była właśnie w Inverness, gdy w trzy dni po jej rozmowie z Elliotem zadzwonił James.

- Odpowiadasz na telefony z brytyjskim akcentem?

- Tak. Cześć.

- Cześć. Podobno dzwoniłaś.

- Tak, potrzebuję porady prawnej.

- Alexo! Dzwoniłaś do Elliota, bo chcesz, żebym wynegocjował dla ciebie kontrakt?

- Nie, chodzi o coś innego. Coś bardzo ważnego. Nie próbuję cię zwodzić, ale to nie jest rozmowa na telefon. Dzwoniłam do Elliota, bo chciałam sprawdzić, czy na pewno niedługo wracasz.

- Tak.

- Jak zawsze z tarczą? - zażartowała Alexa, przenosząc ich na chwilę do tych prostych czasów, gdy byli kochankami.

- Na tej arenie zwycięstwa nie przychodzą łatwo - powiedział James. - A gra wymaga cierpliwości i kompromisów.

- Nie przepadasz ani za jednym, ani za drugim.

- Nie, ale się ucę.

Departament Stanu uznał już go zresztą za mistrza. Spokój Jamesa stał się przysłowiowy. Porównywano go do lodowej rzeźby, która nie topnieje nawet w puszczy tropikalnej ani wówczas, gdy porozumienie, pozornie tak bliskie, okazuje się nagle zwykłym mirażem. James uczył się cierpliwości i sztuki kompromisu. Uczył się również nadziei na pokój na świecie. Zaczynał rozumieć, że za jeden bolesny krok naprzód trzeba czasem zapłacić skokiem wstecz, po czym znów rozpocząć z ochotą równy, cierpliwy marsz.

- Dziecko Roberta? - spytał krótko James, gdy w dziesięć dni później spotkał się z Alexą, która była w widocznej już ciąży.

- Oczywiście.

- Jak to się stało?

- Zwyczajnie.

- Nie zwyczajnie. Zawsze bardzo uważałaś. A może celowo...

- Nie. Ale chyba wiesz, że nic oprócz absolutnej abstynencji nie skutkuje w stu procentach. No i stało się.

- Już dobrze - powiedział łagodniej. Rozbroił go widok Alexy, którą kochał, tak teraz bezbronnej i tak bardzo potrzebującej jego pomocy. Jak mógł jej jednak pomóc, skoro sam wciąż bardzo cierpiał? - I co teraz? - Zadając to pytanie, zdobył się na trochę dawnej łagodności.

- Teraz przeprowadzisz adopcję.

- Adopcję?

- Chcę, żeby to dziecko wychowali Brynne i Stephen. Będą wspaniałymi rodzicami.

- To wszystko prawda, Alexo, ale czy nie sądzisz, że powinnaś omówić ten problem z Robertem?

- Z Robertem? Przecież on mnie nie chciał, już nie pamiętasz? Nie ma powodu, żeby się w ogóle dowiedział o dziecku. - Poza tym Robert pragnąłby tego samego dla swojej małej siostrzyczki i tego małego skarbu, który we mnie rośnie. - To ja podejmę decyzję.

- W takim razie powinnaś ją przemyśleć.

- Już ją przemyślałam. Praktycznie nie robię nic innego od chwili, kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży. Podjęłam taką decyzję, bo jest najlepsza dla dziecka. Życie z Brynne to w końcu życie z rodziną. Poza tym z Brynne i Stephenem dziecko będzie szczęśliwe, otoczone miłością i zupełnie nietknięte problemem nieobecności ojca.

- A co ze świadomością, że jest adoptowane?

- Ze świadomością, że jest adoptowane? Być może będzie to problem dla Stephena i Brynne, ale chyba możemy ten problem wyeliminować poprzez adopcję zamkniętą. Nie ma sposobu, żeby zakończyć sprawę raz na zawsze? Chcę, żebyś mógł zapewnić Brynne i Stephena, że dziecka nie będzie im nigdy można odebrać.

- Mogę przeprowadzić tę sprawę od strony prawnej, ale nie mogę ich zapewnić, że nikt nigdy nie odbierze im dziecka.

- Nie?

- Nie, kochanie. - James popatrzył w zdziwione oczy Alexy. - Bo widzisz, matka dziecka będzie wiedziała, gdzie go szukać.

- Tak, ale ja bym nigdy... W sierpniu, kiedy ty żeglowałeś z Cat, Brynne poroniła. Byłam przy niej. To przy mnie zdała sobie sprawę z tego, że to koniec jej snów. Nigdy nie odbiorę dziecka Brynne, Jamesie - przyrzekła Alexa. - Musisz w to po prostu uwierzyć.

Patrząc w jej cudowne oczy, James wiedział, że Alexa dotrzyma tej świętej obietnicy, nawet za cenę własnej udręki. Mógł więc zapewnić Stephena i Brynne, że matka dziecka nigdy się po nie nie zgłosi. Nie był jednak pewien, czy cała ta sprawa nie wyjdzie na jaw.

- Kto jeszcze wie o dziecku?

- Nikt. I nikt poza lekarzem nigdy się nie dowie. Jeszcze nawet nie szukałam położnika. Może ty kogoś znasz?

- Owszem - odparł, mając na myśli doktora Lawtona, jednego z najbliższych, najbardziej przez nią szanowanych kolegów matki i zarazem przyjaciela rodziny. Rodziny... - Nie zamierzasz nic powiedzieć rodzicom ani Catherine?

- Nie, doszłam do wniosku, że lepiej będzie nic nie mówić. Nienawidzę kłamstwa, ale... - wzdrygnęła lekko ramionami. - Moi rodzice i Cat myślą, że od czterech tygodni podróżuję po świecie. A dzięki Barbarze Walters cała Ameryka da się na to nabrać.

- Dzięki Barbarze Walters?

- Barbara przygotowuje tegoroczny program Oscar Special i z tej okazji przeprowadza wywiady z Meryl Streep, Jessicą Lange i ze mną. Mój wywiad nagrano na taśmę pod koniec stycznia, tuż przed zakończeniem zdjęć do *Pennsylvania Avenue*. Wtedy ciąża nie była jeszcze widoczna, choć już odczuwałam różne nieprzyjemne dolegliwości. Na szczęście trzymałam się dzielnie i mówiłam bardzo dużo o planowanej podróży. Wszyscy sądzą, że wyruszyłam w Walentynki, a ja wtedy przeprowadziłam się tutaj. Korespondencja czeka na mnie na poczcie, rachunki zapłaciłam z góry, a różami opiekuje się przedszkole. Poza tym kupiłam bilet lotniczy na podróż dookoła świata z nielimitowaną liczbą ładowań i podjęłam siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów z konta.

- Po co to zrobiłaś?

- Gdyby ktoś usiłował sprawdzić, gdzie byłam, będę mogła zawsze powiedzieć, że płaciłam gotówką i dlatego nie ma śladu po kartach kredytowych.

- A dlaczego ktoś miałby cokolwiek sprawdzać? Czy ktoś wiedział o twoim romansie?

- Staram się po prostu być ostrożna ze względu na dziecko - odpowiedziała wykrętnie i popatrzyła mu w oczy. - Pomożesz mi?

James zawahał się, targany sprzecznymi uczuciami. Wierzył, że Alexa podjęła uczciwą decyzję, decyzję pełną miłości. I wiedział tak samo dobrze jak Alexa, że przy Brynne i Stephanie życie dziecka będzie pełne szczęścia i miłości. Zdawał sobie również sprawę z tego, jak bardzo to maleństwo uszczęśliwi Brynne, Stephena i nawet Roberta. Ale...

- Jamesie?

- Tak, Alexo - powiedział w końcu. - Pomogę ci.

Pomogę ci, gdyż Catherine, którą by to tak bardzo zasmuciło, nie dowie się nigdy o adopcji.

- I w jakim to egzotycznym miejscu jesteś teraz? - spytała Catherine, gdy Alexa zatelefonowała do niej w kwietniu do hotelu Four Season w Seattle.

- W żadnym - wyznała cicho Alexa. Już od kilku tygodni chciała powiedzieć siostrze prawdę. Musiała stoczyć walkę między postanowieniem, że będzie zawsze szczerą wobec siostry i lękiem przed sprawieniem zawodu najbliższemu. Cat jednak powinna wiedzieć, że każda matka będzie dla dziecka lepsza niż Alexa. - Dzwonię z Marylandu. Byłam tutaj przez cały czas. Jestem w ciąży.

- W ciąży?

- Dziecko ma się urodzić w czerwcu. - Alexa przerwała na chwilę. - Natychmiast potem oddam je do adopcji.

- Do adopcji? Och, nie! Alexo, nie! Dlaczego?

- Bo tak będzie najlepiej dla dziecka.

- Najlepiej dla dziecka?

- Tak. - I dodała cicho: - Nie byłabym najlepszą matką.

- Byłabyś wspaniała!

- Nie, Cat - zaprzeczyła szybko, choć gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo siostra w nią wierzy, jej szmaragdowe oczy napęłniły się łzami. - Wcale bym nie była. I najlepiej będzie dla dziecka, jeśli będzie miało i matkę, i ojca, więc...

- Najlepiej dla dziecka czy najlepiej dla ciebie? Pewnie wychowanie dziecka sprawiłoby ci kłopot!

- Kłopot? Nie.

- Więc zatrzymaj ją, Alexo, albo oddaj rodzicom na wychowanie. Będą szczęśliwi.

- Ją?

- Dziecko.

- Nie, Cat. Nie mogę ich o to prosić. Poza tym nie chcę, żeby wiedzieli. Chciałam tylko, żebyś ty wiedziała. Chciałam, żebyś wiedziała, próbowała zrozumieć i nie przestała mnie kochać.

- Skoro już wiem, pomogę ci. Od razu zrezygnuję z tournée i wprowadzę się do Różanej Skały. A po urodzeniu dziecka pomogę ci się nim opiekować.

- Och, nie, Cat, dziękuję, ale nie. Pomożesz mi najbardziej, jeśli zrozumiesz, że podjęłam właściwą decyzję.

- Ale ja tak nie uważam.

- Spróbujesz mnie zrozumieć? - spytała cicho Alexa i do oczu napłynęły jej łzy. Popelniła fatalny błąd. W głosie Cat nie było już miłości ani ufności, tylko zawód. - Przemyśl to wszystko i zadzwoń do mnie, dobrze? Do Inverness.

- Do Inverness?

- Tak, tutaj się schowałam. Tutaj przychodzi do mnie lekarz. To przyjaciel Marion. - Przerwała na chwilę, a potem postanowiła wspomnieć o Jamesie, którym siostra tak się zawsze zachwycała. - A James załatwi sprawę adopcji od strony prawnej.

- James? - szepnęła Cat, a w jej głosie wyraźnie zabrzmiał ból. - Myślałam, że Jamesa nie ma w kraju.

- Wrócił trzy tygodnie temu. Pod koniec przyszłego tygodnia znowu wyjeżdża, ale w połowie maja powinien wrócić. Kilka tygodni później urodzę dziecko.

Codziennie, w każdej sekundzie dnia i co noc Catherine tęskniła za Jamesem, myślała o nim i martwiła się o niego. Jej rozpaczliwa tęsknota znalazła wyraz w muzyce. Publiczność przeżywająca wraz z Catherine ekstazę niezapomnianej miłości i smutek rozstania zachwycała się jej grą jeszcze bardziej niż kiedyś. Ostatnio jednak te zapierające dech w piersiach podróże wzbogaciły się o nieśmiałą, drżącą nadzieję na powrót utraconych uczuć, bo Catherine odważnie wierzyła, że odzyska swoją miłość.

Będę cię zawsze kochał, obiecał James. Po jego odejściu przyrzeczenie to kojarzyło jej się tylko z matką, która ją opuściła. Lecz kochające serce Catherine wierzyło, że James wróci. Już raz odwróciła się od najbliższych kierowana uczuciami, nad którymi przestała panować. Musiała spędzić trochę czasu z dala od Jane i Alexandra, lecz w końcu, ponieważ jej miłość do nich była naprawdę głęboka i prawdziwa, Cat odbyła trudną podróż powrotną do ich miłości.

I tak samo będzie z Jamesem, zdecydowała śmiało. James powróci do naszej miłości. Zaufa mi wystarczająco, by pozwolić sobie pomóc w tych trudnych chwilach.

Ale teraz James powrócił do Alexy, żeby jej pomóc, jak zawsze, gdy go potrzebowała. I, co było dla niej bardzo bolesne, Cat uświadomiła sobie, że spędzając z Alexą tyle czasu, James pozwalał również na to, by ona mu pomagała.

- Cat? - spytała Alexa po długim milczeniu.

- Nie powinnaś tego robić. Nie wolno ci oddać dziecka. - A James nie powinien ci w tym pomagać.

- Cat, proszę!

- Bardzo mi przykro, ale tak właśnie uważam.

- Cat...

- Muszę iść.

- Dlaczego jej powiedziałaś? - spytał gniewnie James.

- Bo Cat jest moją siostrą, chciałam być z nią szczerą i wierzyłam jak głupia, że... - Westchnęła. - Może popełniłam błąd.

- Może błędem jest to, co masz zamiar zrobić.

Popatrzyła mu w oczy bez drgnienia powiek.

- Nie.

Nie mrużyła powiek od początku, nie wahała się, jej decyzja wydawała się nieodwołalna i przemyślana. James proponował zaczekać do urodzenia dziecka i dopiero potem rozmawiać ze Stephenem i Brynne, lecz Alexa postanowiła, żeby powiedzieć im wszystko od razu. Tak więc James, a czasem również Alexa, mówili o dziecku jako o dziecku Brynne. James zastanawiał się jednak bardzo często, czy Alexa naprawdę nie słyszy nowej, charakterystycznej miękkości w swym własnym głosie... Czy naprawdę nie wie, jak niezwykle silny związek ją łączy z tym maleńkim życiem? Ilekroć jednak próbował rozmawiać z nią na ten temat, jej cudowne zielone oczy zmieniały się w lód.

- Idziemy na długi spacer, Jamesie. A ty nie jesteś mile widziany, bo się wściekasz, a to przeszkadza dziecku.

Owszem, wściekał się, lecz po wyjściu Alexy myślał z troską o Catherine i gniew natychmiast mijał. Jak bardzo musiała być przygnębiona! Jak głęboko rozdarła między miłością do Alexy i sekretami swego łagodnego serca! Jaka musiała być smutna, zagubiona i samotna!

James bardzo chciał się z nią zobaczyć. Pragnął ją tulić, całować, rozproszyć jej smutek miłością. Lecz nie ufał sobie dość, by ją odwiedzić. Nie ufał sobie dość, by poddać się swym pragnieniom, ponieważ mógł ją w ten sposób pociągnąć za sobą w głębiny furii, gdzie spadał sam, z dnia na dzień głębiej.

Wiedział, że nie powinien odwiedzać Catherine. Ale mógł z nią przecież porozmawiać. Mógł próbować pomóc jej zrozumieć. Alexa nie powiedziała mu wprawdzie, gdzie aktualnie jest jej siostra, ale on nadal trzymał plan tournée w szufladzie pod szalikiem, który dla niego zrobiła. W swe niebezpieczne podróże nie zabierał, oczywiście, ani szalika, ani planu tournée. Nie miał przy sobie żadnych pamiątek związanych z Catherine, bo w razie gdyby został zakładnikiem, mogłoby to zagrażać jej bezpieczeństwu.

Odkrył, że Catherine jest w Seattle. Przed wybraniem numeru do hotelu Four Season, wrócił myślą do planów, jakie wiązali ze Szmaragdowym Miastem. Mieli pojechać na szczyt Space Needle, przejść się po Pike Place Market i popłynąć promem, wpaść na lunch do Hiram'a i...

Męczący dźwięk telefonu nie przestraszył Catherine; włączył się po prostu w męczące myśli, jakie przychodziły jej do głowy od chwili rozmowy z Alexą. W końcu doszło do niej, że to dzwonek telefonu. Intuicja podpowiadała jej, że to James, który nie przestanie dzwonić, dopóki ona nie podniesie słuchawki.

- Halo.

- Halo, Catherine. Chcę ci pomóc zrozumieć.

- Wszystko w porządku, James - przerwała szybko, ponieważ łagodność w głosie Jamesa sprawiała jej ból. - Rozumiem.

- Decyzja w tej sprawie należy do Alexy. Wyłącznie do niej. A Alexa nie może brać pod uwagę tego, co przydarzyło się tobie.

- Powiedziałaś jej?

- Nie, oczywiście, że nie. Przecież wiesz. - Wątpisz, Catherine? Przecież nie zdradziłbym nigdy twego sekretu. - Miał ją właśnie zapytać, czy mu wierzy, gdy Cat sama podjęła rozmowę, zadając cicho przerażające pytanie. - Czy to twoje dziecko?

Chęć, by się tego dowiedzieć, narastała w niej od samego początku, i w końcu nie mogła już z nią walczyć.

- Nie, Catherine. Przecież to by było niemożliwe - odparł James boleśnie zaskoczony. - Kiedy dziecko Alexy zostało poczęte, byłem już zakochany w tobie.

- Ale mimo to mogło być twoje. - Catherine nie poznawała już własnego głosu. Z tym głosem musiała się jednak oswoić. Był to jej nowy głos, głos, który miał z nią zostać do końca życia. Głos, w którym już nie było nadziei na powrót miłości. - Gdybyś udawał, że tak jest, nikt by się niczego nie domyślił. Może Alexa boi się wychowywać dziecko samotnie i jeśli... - Nawet ten nowy głos, wyzuty z nadziei, załamał się.

Mimo to James dobrze wiedział, co chciała mu przekazać.

- Czy naprawdę tego chcesz? - spytał po dłuższej chwili. - Naprawdę chcesz, żebym się z nią ożenił?

Och nie, Jamesie, krzychało buntownicze serce Catherine. Wcale nie. Lecz tego, czego pragnę, nie mogę mieć. Pragnę ciebie, a ciebie nie ma. To życzenie się nie spełni, mam jednak drugie, tak samo ważne. Chcę, żeby dziecko Alexy wychowywało się przy matce, tak jak należy, i jeśli jedynym sposobem, aby to osiągnąć jest...

- Tak, Jamesie, tego właśnie chcę.

11

Dallas
maj 1990

Robert? - Hillary weszła do sypialni w rezydencji rodziców w Highland Park i zobaczyła, że jej mąż pakuje walizkę. Była niedziela, kończył się weekend, podczas którego obchodzono Dzień Pamięci. Uroczystości związane z sześćdziesiątymi piątymi urodzinami Sama Ballingera przebiegły zgodnie z planem, a ich ukoronowaniem była mowa na cześć jubilata, wygłoszona przez zięcia. Choć oficjalne przyjęcie się skończyło Hillary sądziła, że zostaną jeszcze w Dallas co najmniej jeden dzień. Senat wznawiał prace dopiero we wtorek, a państwo Gorbaczow mieli przybyć do Waszyngtonu w środę wieczór. - Co robisz?

Robert popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Przyjęcie skończone, więc wyjeżdżam, tak jak się umówiliśmy. Do jutra wieczorem zabiorę z Arlington wszystkie rzeczy.

- Wyprowadzasz się?

- Przestań, Hillary - powiedział Robert cicho, choć w jego głosie brzmiała wyraźnie lodowata groźba. Przeżył z trudem ostatnie pół roku, a pomagała mu tylko nadzieja, że uwolni się wreszcie od małżeństwa bez miłości i będzie mógł bez przeszkód, w samotności opłakiwać utratę Alexy. - Nie myślałaś chyba, że nie dojdzie do rozwodu? Nawet nie próbuj udawać!

- Mówiłeś, że romans się skończył.

- Tak. Mówiłem jednak również od samego początku, że nasze małżeństwo to farsa i nie istniało, zanim jeszcze poznałem tę kobietę. To, że po tych sześciu miesiącach nie zostało nic, dowodzi tylko, jak mało mieliśmy. Postaraj się w to uwierzyć albo przynajmniej udawaj, że wierzysz.

- Kłamałeś, prawda? - W piwnych oczach Hillary tlił się gniew. - Ona na ciebie czekała! Może nawet wcale nie musiała czekać! Może widywałaś się z nią przez cały czas, chociaż obiecałeś, że nie będziesz! Jeśli zламаłeś obietnicę...

- Nie zламаłem żadnych obietnic. Nikt na mnie nie czeka.

- W takim razie...

- Przestań - powiedział takim tonem, że Hillary rzeczywiście zamilkła. - Daj spokój. Zachowajmy godność. Na pewno wolisz sama złożyć pozew, więc akceptuję takie rozwiązanie pod warunkiem, że nie będziesz zwlekać. Ja oczywiście niczego od ciebie nie chcę. - Poza wolnością, dodał w myślach. Już od zaraz. - Żegnaj, Hillary.

- Robert! - krzyknęła, ale jego już nie było, uciekał, choć nie miał dokąd, byle jak najdalej od niej. Wszystko przez

Alexę. Alexa zniknęła z życia Roberta, a jednak on wolał być sam, ze wspomnieniami straconej miłości, niż z nią. - Jak ja cię nienawidzę, Alexo! - syknęła, ciskając karafką w kryształowe lustro, które rozpadło się z trzaskiem na setki kłujących kawałków. - Jak ja cię nienawidzę!

Robert odetchnął z ulgą dopiero, gdy samolot, który kołował przez chwilę na pasie lotniska Dallas-Fort Worth, wreszcie wzbil się w powietrze. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, poczuł się tak, jakby to był jego pierwszy głęboki oddech od grudnia.

Do kabiny wpadło jaskrawe majowe słońce, a jego promień padł na wytartą ślubną obrączkę. Robert popatrzył na obrączkę takim wzrokiem, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Będąc z Alexą w ogóle o niej nie myślał, bo nic dla niego nie znaczyła.

Może jednak obrączka przeszkadzała Aleksie? Może powinien był ją zdejmować? - Szybko przestał zadawać sobie te pytania. Wszystkie dotyczyły Alexy, która tak naprawdę nie istniała - pięknej kobiety, miłości jego życia. Prawdziwa Alexa, sprytna i pewna siebie, prowadziła z nim tylko wyrafinowaną grę i obrączka na pewno jej nie przeszkadzała. Przeciwnie, widok obrączki mógł być dla niej złocistym symbolem triumfu nad Hillary.

Robert zdjął obrączkę i wybiegł myślami w przyszłość - do swego prywatnego życia i samotności i do szczęścia związanego z dzieckiem Brynne.

Uśmiechnął się lekko, lecz zaraz potem na jego czole pojawiła się zmarszczka niepokoju. James zapewnił ich wprawdzie, że matka podjęła nieodwołalną decyzję i nie będzie nigdy szukać swego dziecka, ale...

Będzie dobrze, pomyślał. Musi być. Brynne już dość się nacierpiała. Wszyscy przeżyliśmy koszmar.

- Alexa? - James zastukał do drzwi łazienki. Była druga nad ranem, w pokoju Alexy paliło się światło, z łazienki dochodził szum wody. James, zajmuje przestronną sypialnię w końcu korytarza, i tak zresztą nie spał. Obudziły go koszmary, które towarzyszyły mu od grudnia każdej nocy, z wyjątkiem tej jednej, jedynej, kiedy zdołała je przepędzić miłość Catherine.

- James? Zaraz wychodzę. Już dzwoniłam do doktora Lawtona. Spotka się z nami w szpitalu.

- Rodzisz?

- Tak - odparła, otwierając drzwi. - Jak wyglądam? Doktor Lawton twierdzi, że ta farba jest całkowicie bezpieczna i zmyje się w ciągu sześciu tygodni. Świetny kamuflaż, prawda? Dla ciebie mam okulary w rogowych oprawkach.

Nie odpowiedział. Za bardzo go zaskoczyły czarne włosy Alexy, jeszcze wilgotne po farbowaniu, jej czarne rzęsy i brwi, i oczy, teraz szafirowo-niebieskie dzięki szkłom kontaktowym.

- Do tej pory nigdy nie dostrzegałam tego podobieństwa - powiedziała cicho Alexa, widząc zdumioną minę Jamesa. Patrząc do lustra, widziała w nim teraz nie siebie, lecz młodszą siostrę, która tak bardzo przeżyła jej wyznanie.

- Ja też nie - szepnął w końcu James. Wiedział jednak, że żadne podobieństwo między siostrami Taylor nie powinno istnieć. I nigdy nie istniało. Aż do dziś. Tej nocy Alexa wyglądała jednak dokładnie tak jak Catherine i James doznał przerażającego wrażenia, że to nie Alexa, lecz Cat jedzie właśnie do szpitala, by urodzić dziecko i oddać je do adopcji.

- Jedziemy? - spytała rzeczowo Alexa wyzutym z emocji głosem. - Doktor Lawton uprzedził szpital. Przy okazji, nazywamy się Smith: James i Juliet.

Ustalili wcześniej, że James odwiezie ją do szpitala, a potem zabierze dziecko do Stephena i Brynne. On jednak, tak jak wówczas w grudniu, kiedy był jej potrzebny, nie odstąpił od Alexy ani na krok. Co więcej, ani na chwilę nie puścił jej

ręki i nie zwrócił nawet uwagi na ból, jaki mu zadały w pewnym momencie jej paznokcie. Tej nocy był świadkiem cudu - cudu narodzin, który matka opisywała mu często z takim przejęciem.

- Zdrowa dziewczynka - oznajmił doktor Lawton. Uzgodnił z Alexą, że poinformuje ją o płci dziecka i określi stan jego zdrowia. I to wszystko.

- Prześliczna mała dziewczynka - zachwyciła się położna.

Doktor Lawton skrzywił się lekko. Nie powiedział nikomu z personelu, że dziecko zostanie oddane do adopcji, ponieważ nie chciał zwracać uwagi na Alexę, której, co prawda, nie można było rozpoznać. Nawet James w rogowych okularach wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle.

Dziewczynka zapłakała, oznajmiając wszem wobec, że podróż z bezpiecznej jaskini, w której przebywała przez dziewięć miesięcy, przebiegła bez kłopotów. Był to komunikat i zarazem pytanie, gdzie się podziały tak dobrze jej znane uderzenia serca?

- Czy mogę ją zobaczyć? - spytała cicho Alexa swym nowym łagodnym głosem.

- Oczywiście - odparła ciepło pielęgniarka. - Zaraz ją przygotuję.

Po chwili dziewczynka - czysta i sucha, owinięta w ogrzany wcześniej kocyk - spoczęła w ramionach matki. Gdy James zobaczył, jak czule Alexa dotyka policzków córeczki i z jaką miłością na nią patrzy, zaczął szukać w myśli słów i zastanawiać się, jak je powie Brynne i Stephenowi. Wiedział, że ta wiadomość złamie serce Brynne, Stephena i Roberta, lecz za to Alexa i Catherine będą się cieszyć. Kilka serc pęknie, inne być może odżyją.

Szukając odpowiednich słów, ujrzał subtelną zmianę w twarzy Alexy. W chwilę później Alexa złożyła na czole córeczki najczulszy pocałunek i oddała ją pielęgniarce.

- Dziękuję.

- Będzie na panią czekała na oddziale noworodków.

Alexa skinęła z roztargnieniem głową, lecz dopóki pielęgniarka nie wyszła z sali porodowej, nie spuszczała z niej wzroku. Zostali sami - trzy osoby znające prawdę: doktor Lawton, James i Alexa.

- Czy będę mogła dziś wyjść, doktorze? - spytała Alexa. Plan zakładał, że o ile nie nastąpią żadne komplikacje, wróci do Inverness zaraz po porodzie.

- Tak.

- Może zostaniesz z dzieckiem, Alexo - zasugerował cicho James.

- Nie mów do mnie „Alexo” - zgromiła go ostro.

- Jesteśmy tylko we troje i...

- We dwoje - sprostował doktor Lawton. - Zostawiam was samych.

- Alexo... - powtórzył stanowczo James, ledwo za lekarzem zamknęły się drzwi. Chciał jej w ten sposób przypomnieć, kim naprawdę jest - nie Julią, lecz Alexą, która właśnie urodziła dziecko. Matką, nie romantyczną bohaterką odgrywającą rolę zapisaną w scenariuszu.

- Nie zmieniłam zdania. I nie zamierzam go zmienić.

Mimo że moje serce tak bardzo tego pragnie! Serce wyrażało stanowczo swoje pragnienia, lecz Alexa pozwoliła, żeby ze względu na dobro dziecka bitwę z sercem wygrał jej logiczny umysł. „Nie powinnaś tego robić” - oświadczyła stanowczo Cat i teraz Alexa wiedziała, że jej siostra miała rację, przynajmniej częściowo. Nie powinna oddawać dziecka ze względu na swoje uczucia, lecz musiała to zrobić dla dobra dziecka. Prawda? Tak.

- Zadzwoń do Stephena i Brynne.

- Nie.

- A niech cię! - Szafirowe oczy Alexy wypełniły się łzami. - Nie rób mi tego, Jamesie.
- Chcę, żebyś spędziła noc w szpitalu i rano znów zobaczyła dziecko.
- Nie. To dla mnie zbyt ryzykowne. Ktoś może mnie poznać.
- Dobrze. W takim razie przywiozę ją do Inverness, kiedy tylko zostanie wypisana. Musisz ją jeszcze raz zobaczyć i wszystko przemyśleć.

- Nie muszę jej oglądać. - Wspomnienie chwili, kiedy całowała dziewczynkę poczętą z wielkiej miłości, miało pozostać na zawsze w jej sercu. - I wszystko już przemyślałam.

- Wiesz, dlaczego chcesz ją oddać Brynne. Nie przemyślałaś jednak, dlaczego nie powinnaś tego robić.

- Bo argumenty są bardzo głupie i egoistyczne.

- A gdybyśmy się pobrali? - Nie prosił jej wcześniej o rękę. Był pewien, że to i tak niczego nie zmieni, a nie chciał spędzić życia w roli szwagra Catherine. - Wyjdiesz za mnie?

- Jaki ty jesteś dobry - wyszeptala przez łzy. Jej najdroższy przyjaciel, tak udręczony przez własne demony, znalazł jednak dość sił i dobrych uczuć, by jej pomóc. Przez jedną wspaniałą chwilę Alexa brała nawet pod uwagę jego propozycję. Mogłabym przez całe życie kochać swoje dziecko. Jednak zrezygnowała natychmiast z tego marzenia, jakże egoistycznego, nieuzasadnionego, niesprawiedliwego wobec wszystkich, z wyjątkiem jej samej. Czy mogła naprawdę prosić Jamesa, by udawał ojca dziecka swego najlepszego przyjaciela? Czy mogła go prosić, by spędził życie z nią i stracił przez to szansę na taką miłość, jakiej ona sama zaznała z Robertem? Nie miała prawa tego robić. I nie miała prawa wyrządzać takiej krzywdy dziecku. Wiedziała, że jej córeczka będzie najszczęśliwsza z rodzicami, którzy będą się kochać tak bardzo, jak jej matka kochała Roberta. A tego nie mogła jej zapewnić ani jako żona Jamesa, ani jako samotna matka.

- Proszę, zadzwoń do Stephena i Brynne. Nie zmienię zdania.

- Mów - poprosiła trzydzieści sześć godzin później, kiedy James wrócił z Richmond.

- Dlaczego to robisz?

- Chcę wiedzieć, czy Brynne i Stephen byli szczęśliwi.

- Nie ma ludzi szczęśliwszych od nich - odparł szczerze. Wyraz oczu Brynne był tak podobny do spojrzenia Alexy w chwili, gdy wzięła dziecko w ramiona. - Na całym świecie nie ma.

- Wybrali imię?

- Cholera jasna! - wrzasnął i natychmiast poczuł się winny. Alexa wyglądała jak śmierć. Po dwóch myciach jej ufarbowane na czarno włosy przybrały szary odcień, a oczy, na szczęście już nie szafirowe, były popielatozielone niczym zasmucony szmaragd. Dlaczego nie nalegał bardziej stanowczo, żeby zobaczyła dziecko? Dlaczego nie przekonał jej do małżeństwa?

- Powiedz mi jeszcze tylko to jedno i przestanę pytać. Obiecuję ci to, bo przecież ona będzie dorastać na twoich oczach, a nie chcę, żebyś do końca życia był moim szpiegiem. Powiedz, jak ona ma na imię.

James westchnął ciężko.

- Kathryn, po matce Stephena. Pisane przez K i Y.

- Będą ją nazywać Kat?

- Nie, Katie.

Przez dłuższą chwilę milczała. Wyglądała tylko przez okno na ogród i dalej, za ogród, a jej piękne oczy widziały jakiś nierealny, wymarzony obraz. James wiedział, że za ten akt woli Alexa zapłaci resztkami sił duchowych. Kiedy znów na niego popatrzyła, w jej smutnych oczach nie było łez.

- Pożeglujemy sobie? - spytała.

- Oczywiście.

- W ten wtorek?

- Tak, w czwartek musimy dotrzeć do Damaszku, więc powinniśmy wyjechać we wtorek. - Elliot dosłyszał wahanie w głosie Jamesa. - Ale nie musisz tego robić. - Może nadszedł czas, żebyś wrócił do prywatnego życia.

Prywatne życie? - myślał James. Nie. Te wspomnienia były stanowczo zbyt bolesne. Dużo mniej bolało, gdy przebywał w miejscach unurzanych w nienawiści, nie w tych przepelnionych miłością. Musiał pracować, patrzeć w oczy ludziom, którzy być może wydali wyrok na jego rodziców, i ze wszystkimi tymi złymi ludźmi negocjować - powoli, ale konsekwentnie - warunki pokoju. Nieustannie odczuwał niepokój, pragnął uciec od bolesnych wspomnień, ale minął zaledwie tydzień od porodu Alexy, która, choć tak dzielnie walczyła ze smutkiem, wciąż jeszcze była w nie najlepszej formie.

- Zadzwoń do ciebie.

- Jasne.

James odłożył słuchawkę i popatrzył na Alexę, która opalała się w czerwcowym słońcu w nadziei, że jej blada skóra przybierze złocisty odcień. Za sześć tygodni ruszała produkcja *Pennsylvania Avenue* i Alexa musiała schudnąć. To zresztą wydawało się jej łatwe, bo wcale nie miała apetytu. Gorzej było z drugą koniecznością: nie potrafiła stać się znów pewną siebie, beztroską kobietą, która powraca właśnie z północnej wyprawy dookoła świata. To było niemożliwe. Gdy rozległ się ostry dzwonek telefonu, zeszła z werandy, łudząc się przez chwilę, że może wreszcie dzwoni Cat.

Ale Cat nie miała zamiaru do niej dzwonić.

- Elliot? - To był Elliot. Zganiła się w duchu za absurdałne rojenia o pogodzeniu się z siostrą. - Dowiedział się czegoś o twoich rodzicach?

- Nie. Nadal nic.

- Jesteś mu potrzebny?

- Tak, ale...

- Ale martwisz się o mnie? - Uśmiechnęła się mężnie. - Najwyższy czas, żebym wróciła do Różanej Skały.

- Jak cię ktoś zobaczy...

- Nikt mnie nie zobaczy. Tylko kup mi jedzenia na trzy tygodnie. Potem będę się już mogła pokazać ludziom na oczy.

James wiedział, że Catherine jest w Denver. Nazajutrz miała grać ostami koncert północnoamerykańskiego tournée, a za trzy tygodnie rozpoczynała występy w Europie. Kiedyś robili naprawdę wspaniałe plany na te trzy tygodnie. Kilka dni chcieli spędzić w romantycznym Aspen, a potem...

James odegnał wspomnienie o dawnej miłości, ale zatelefonował do Catherine.

- Tu James.

- James...

- Tydzień temu Alexa urodziła dziecko, dziewczynkę, którą zaadoptowała para wspaniałych rodziców. - Zrobił krótką pauzę. - Alexa cię potrzebuje, Catherine. Potrzebuje siostry.

- Czy ona jest w Inverness? - Z tobą? Czy jeśli pojedę ją odwiedzić, spotkam się również z tobą?

- Nie, Alexa mieszka w Różanej Skale.

Pukanie do drzwi przstraszyło Alexę. A jeśli to była Hillary? Albo Robert?

Schowała się w kuchni, by popatrzeć przez okno na intruza, gdy będzie odchodził od drzwi.

Kimkolwiek jesteś, odejdz.

- Alexo? Jesteś tutaj, Alexo?

- Cat - szepnęła i rzuciła się do drzwi. - Cat.

- Cześć. - Na widok spłoszonych oczu Alexy, Cat ścisnęło się serce. - Och, Alexo, powinnam była tu przyjechać dawno temu. - Mogę wejść?

- Oczywiście. - Otwierając drzwi do domku, Alexa powiedziała cicho:

- Nikogo tu poza mną nie ma. Urodziłam córeczkę i oddałam ją do adopcji.

- Wiem, Alexo. Przyszłam cię przeprosić. Żałuję, że nie uszanowałam twojej decyzji i nie próbowałam cię wesprzeć.

- Ty nie mogłaś mnie przecież wesprzeć, Cat.

Alexa mówiła smutnym, trochę nawet przerażonym głosem, lecz jej słowa godziły w serce Cat niczym noże. Czy to możliwe? Czy James zdradził Aleksie jej tajemnicę? Czy złamał przyrzeczenie i powiedział jej o adopcji?

- Co masz na myśli?

- Wiedziałaś, że robię coś złego. Wiedziałaś, że to będzie dla mnie trudne. Skąd wiedziałaś? Zawsze byłaś taka mądra.

- Wcale nie jestem mądra.

- Ale wiedziałaś, choć nie jesteś matką, że oddanie dziecka jest... - Alexa wolno pokręciła głową. Nie przychodziły jej do głowy żadne słowa. Czuliła tylko. - Pewnie się tego domyślałaś.

- Nie - szepnęła Catherine.

Nie znała bólu matki, wiedziała jedynie jak cierpi dziecko. Teraz jednak, słysząc udręczony głos Alexy i widząc jej spłoszone spojrzenie, zaczęła się zastanawiać, czy jej matka również tak to przeżywała. Może rzeczywiście darzyła ją uczuciem?

- Cat? - powiedziała cicho Alexa, gdy szafirowe oczy siostry, które w jej obecności płakały dotąd tylko raz, zaczęły napełniać się łzami.

- Aż do tej chwili nie rozumiałam przeżyć matki. Wiedziałam tylko, co czuje dziecko. - Cat odwróciła się od Alexy i podeszła do okna, z którego rozciągał się zapierający dech w piersiach widok morza i nieba. Przez mgłę łez nie widziała jednak nic; ledwo słyszała również własne słowa, gdyż zagłuszał je łomot jej serca. - Wiem, jak się czuje dziecko, bo mnie też adoptowano. Nie jestem tak naprawdę twoją siostrą, Alexo.

- Ależ jesteś. Byłam w Kansas, kiedy się urodziłaś. Widziałam moment, kiedy wypisano cię ze szpitala. - Doskonale pamiętała ten dzień. Doskonale pamiętała też własne, pełne rozpacz słowa; „Ona wcale nie jest moją siostrą! Nie chcę jej!”. A teraz jeszcze bardziej rozpaczliwie błagała w duchu: „Chcę, żeby ona była moją siostrą. Niech ona będzie moją siostrą”. - Jesteś moją maleńką siostrzyczką, Cat - powiedziała błagalnie głosem pełnym miłości.

Na ten czuły, łagodny ton Catherine odwróciła głowę i spojrzała jej w oczy.

- Nie, Alexo. Nie jestem. Ja tylko chciałam nią być. Twoja prawdziwa siostra umarła.

- Nie - zaprotestowała Alexa.

- Tak - powiedziała Catherine, a jej serce wypełniło się nadzieją. - Alexa wcale nie przyjęła tych rewelacji z ulgą, której Catherine tak bardzo się zawsze obawiała. Przeciwnie, powitała je ze smutkiem. - Zanim mama wyszła ze szpitala, poszła na oddział noworodków. Szukała tam odwagi, żeby ci powiedzieć prawdę, a znalazła mnie.

Catherine opowiedziała Aleksie wszystko o tym dniu. Historię, którą opowiedziała jej Jane i którą ona niedawno opowiedziała Jamesowi. Teraz jednak mówiła bez goryczy o matce, która wyrzekła się jej ze strachu przed jakimś tajemniczym niebezpieczeństwem. Serce jej pełne było pytań, nie tej jednej pewnej sobie odpowiedzi: ona mnie nie kochała.

- Wiesz, jak często sądziłam, że jestem adoptowana? - spytała cicho Alexa, kiedy Catherine zakończyła swoją opowieść.

- Ty?

- Tak. To ja nie pasowałam do naszej rodziny. Ty, mama i tata byliście tacy do siebie podobni, tacy zdolni, utalentowani, a ja...

- Ależ ty też to wszystko miałaś: talent, urodę, pewność siebie i tyle energii... Zawsze byłam dumna z takiej siostry.

- Naprawdę? A mnie zżerała zazdrość.

- Zazdrość? O mnie?

- Oczywiście. I właśnie dlatego postępowałam wobec ciebie tak okrutnie. Mówiłam nawet, że nie chcę takiej siostry. Nie pamiętasz?

Catherine w głosie Alexy wychwyciła jednocześnie nutę strachu, że pamięta, i nadziei, że już wszystko zapomniała. Chciała ją zapewnić, że nie wie, o czym ona mówi, ale pomyślała, że począwszy od dzisiaj trzeba zerwać z kłamstwami, nawet z kłamstwami z miłości.

- Pamiętam - przyznała. - Ale doskonale cię rozumiałam - dodała szybko. - Byłam taka spokojna i cicha. Myślałam, że się mnie wstydzisz.

- Wstydzę? Zawsze uważałam cię za ideał... za spokojną, łagodną piękną księżniczkę. - Alexa uśmiechnęła się boleśnie. - Pewnie ci ulżyło, kiedy się dowiedziałaś, że nie jesteśmy spokrewnione.

- Nie.

- Nie? - Nawet teraz? Lecz Alexa bała się o to zapytać. Zamiast pytać, próbowała wytłumaczyć Cat, czym się kierowała. - Kocham moje dziecko, Cat. Zawsze będę je kochała. Oddałam je do adopcji, bo wierzę, że tak jest dla niego najlepiej, choć wcale nie najlepiej dla mnie. Oddałam je więc i czuję się tak, jakbym oddała własne serce.

Catherine słuchała wyznań Alexy ze łzami w oczach. Te były znajome słowa, widziała je na zapięciu naszyjnika ofiarowanego przez inną matkę maleńkiej córeczce. *Je t'aimerai toujours*. Były też inne słowa, tu zapomniane, które dotąd miała za fałszywe, a które matka skierowała do Jane, przekazując jej naszyjnik: „Mój mąż i ja mieliśmy jedno serce i teraz ja chcę jej to serce ofiarować”.

- Pociesza mnie tylko myśl, że jej życie będzie bezpieczne, szczęśliwe, pełne miłości. Pewnie nigdy się nawet nie dowie o moim istnieniu. Adopcja była zamknięta, świadectwa utajnione i przybrani rodzice będą mogli przed nią ukryć fakt adopcji.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Kiedy tuliłam ją w ramionach, chciałam, żeby poznała prawdę. Chciałam, żeby uwierzyła, że to, co robię, jest dla niej najlepsze. W końcu jednak zrezygnowałam z tej prośby i tak jest chyba lepiej, bo moja córka mnie przynajmniej nie nienawidzi. - Ani nie pokocha. Słowa te przyszły jej do głowy nagle, bez ostrzeżenia. Zaskoczyła ją ta myśl. - Nienawidzisz swojej matki, prawda Cat?

- Kiedyś tak, ale... Ale teraz chciałabym dać jej znać, że rozumiem, zapewnić ją, że, tak jak to sobie wymarzyła, miałam szczęśliwe życie i byłam zawsze bezpieczna i kochana.

- Cat, wybacz jej, jeśli potrafisz - powiedziała cicho Alexa. - I jeśli to możliwe, wybacz również mnie.

- Wybaczyc tobie! Alexo, to ja muszę cię prosić o wybaczenie! Zawsze chciałam być twoją siostrą, a zawiodłam cię w potrzebie!

- Ale jesteś moją siostrą - szepnęła Alexa. I nie było to pytanie, tylko stwierdzenie, jeszcze jeden szept miłości. - Jesteś moją siostrą.

Część 3

1

Damaszek, Syria

czerwiec 1990

No i co dalej? - spytał James podczas kolacji, którą jedli z Elliotem w jego pokoju hotelowym.

W pewnym sensie świętowali. Osiągnęli w zasadzie wszystko, co mieli nadzieję osiągnąć: obiecujący krok naprzód. James zachowywał swój przysłowiowy spokój przez cały miesiąc, na co zużył resztki energii, a teraz pytał Elliota o dalsze projekty.

- Może byś popłynął w podróż dookoła świata? - zaproponował spokojnie Elliot.

- Nie, to, co robię, służy mi.

- Nie jestem tego pewien - odparł szczerze Elliot. Ostatnio odkrywał w Jamesie coraz więcej własnych cech - odwagę desperata, który stracił wszystko, więc już nie ma nic do stracenia.

- Ale ja jestem pewien.

- No cóż. To na pewno służy przyszłości wolnego świata.

- W porządku. Dokąd teraz?

- Do Kolumbii, ale dopiero pod koniec sierpnia. Do tego czasu nie mamy nic do roboty, ale misja w Kolumbii potrwa pewnie całą jesień, więc może w międzyczasie wybierzesz się na żagle chociaż na miesiąc?

- Żeglować nie będę, ale chyba zabawię przez jakiś czas w Europie. Chcę zawadzić o L'ile des Arcs-en-ciel.

- Nic tam nie znajdziesz. - Uśmiech Elliota zgasł. - Już przecież uzgodniliśmy, że możesz liczyć na bieżące informacje, ale będziesz się trzymał z dala od śledztwa. Wiem, że minęło siedem miesięcy, a my wciąż nic nie wiemy, ale...

- Elliot - przerwał James. - Wybieram się tam wyłącznie ze względów sentymentalnych... Oni tak bardzo kochali tę wyspę. Może ta bomba wiązała się jakoś z ich planowaną wizytą? Dziwne, że przedtem nie brałem pod uwagę takiej możliwości, ale tobie to na pewno przyszło do głowy. Co się za tym kryje? Coś więcej, niż prosty fakt, że L'ile była celem ich podróży?

- Tak, choć nic bardziej specyficznego niż cholerna historia tej przeklętej wyspy.

- Cholerna historia wyspy? Matka i ojciec opisywali je przecież jak rajską wyspę...

- Bo L'ile des Arcs-en-ciel to raj, lecz od czasu do czasu spokojem wyspy wstrząsali jego władcy. Byli przecież i wspaniałomyślni, i okrutni, i niebezpieczni Castille'owie.

- Alain? - spytał ze zdziwieniem James. Pamiętał, że książę bardzo się rodzicom podobał. Pamiętał również serdeczny list z kondolencjami, jaki otrzymał od Alaina po ich śmierci.

- Zdaniem wywiadu, nie jest niebezpieczny.

- Ale wywiad postanowił zasięgnąć informacji na jego temat. Dlaczego?

- Z powodu Jean-Luca, ojca Alaina. Jean-Luc został wygnany z wyspy przez swego starszego brata Alexandre'a i podczas wygnania stworzył imperium terroru. Kiedy wrócił na L'ile jako monarcha, bo Alexandre umarł bezpotomnie, zdobył jeszcze większą władzę i stał się naprawdę bardzo niebezpieczny. Jednak jako głowa państwa terrorysta Jean-Luc

zyskał immunitet dyplomatyczny i ochronę. Nie mogliśmy go zabić. Mogliśmy go tylko obserwować i mieć nadzieję, że Jean-Luc nie wyposaży jednej z najważniejszych strategicznie wysp na Morzu Śródziemnym w głowice jądrowe. My nie mogliśmy go zabić, ale na szczęście ktoś mógł. Wciąż nie znamy tożsamości zabójcy, ale Jean-Luc miał wielu wrogów, z byłymi przyjaciółmi, których zdradził, na czele. Tak czy owak, zginął przed siedmioma laty, kiedy w samolocie, którym leciał, wybuchła bomba.

- I?

- Na tron wstąpił Alain Castille i wyglądało na to, że działalność przestępcza rodziny ustała.

- Wyglądało?

- Siedem lat temu to był problem. Jean-Luc nigdy nie krył się z tym, co robi. Między innymi na tym polegała jego megalomania. Pławił się w swojej władzy i korupcji i rozkoszował faktem, że cywilizowany świat nie może mu nic zrobić. Gdy Alain objął władzę, wszyscy zastanawiali się, czy naprawdę nastąpił koniec działalności przestępczej, czy też działał po prostu subtelniej, a więc w sposób bardziej niebezpieczny. Alaina obserwowano bardzo uważnie i nie istnieją żadne dowody, że poszedł w ślady swego niebezpiecznego ojca.

- Jednak mi to mówisz.

- Bo nie chcę, żebyś się kiedyś o tym przypadkiem dowiedział i pomyślał, że dokonałeś ważnego odkrycia. A zdradziecka działalność tej książęcej rodziny jest powszechnie znana.

- Miałeś kiedyś okazję poznać Alaina osobiście?

- Nie.

- Ale byłeś na wyspie?

- Tak, wiele lat temu. Przed Jean-Lukiem.

- Może w takim razie pojedziesz ze mną? - zaproponował James i spostrzegł, że oczy doskonale wyszkolonego szpiega spochmurniały. James miał wrażenie déjà-vu. Z takim samym wyrazem twarzy Elliot mówił mu o bezsensie zemsty. W jego słowach był wtedy wyraźnie osobisty akcent: poczucie jakiejś dawno poniesionej straty. Teraz, gdy mówili o wyspie, Elliot patrzył trochę podobnie. - Elliot?

- Różnica pomiędzy negocjatorami a służbą cywilną polega na tym, że my musimy bywać w pracy regularnie - powiedział Elliot lekko. - Ty jedź. Myślę, że znajdziesz tam spokój.

Spokój? - myślał James. Już nie pamiętał, co to znaczy spokój. Nadal kipiał w nim gniew, ostatnio może nieco mniejszy, przytłumiony przez frustrację. W miejsce gniewu pojawiło się jednak uczucie pustki znacznie groźniejszej niż gniew, mniej żywotnej. Rozrywające go na strzępy uczucia dały za wygraną, a we względnym spokoju James zaczął słyszeć ciche głosy emocji zduszonych, przytłumionych, ale jakimś cudem wciąż żywych. Te właśnie głosy nakazywały mu do niej wrócić.

Wracaj do Catherine, śpiewały głosy. Wracaj do swojej miłości.

Ale James wiedział, że nie może jej nic zaoferować. Teraz miał jeszcze mniej - w jego życiu było nawet więcej pustki niż w ów pamiętny poranek, kiedy się z nią żegnał. Czyżby rzeczywiście, jak sugerował Elliot, mógł odnaleźć na L'île choć trochę spokoju - spokoju zamiast cichych głosów miłości?

A jeśli te głosy nie umilkną? Jeśli na tej romantycznej wyspie wspomnienie dawnych uczuć staną się jeszcze bardziej natrączywe? James nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Ale wiedział, gdzie jest Catherine. W zeszłym tygodniu występowała w Paryżu, w przyszłym miała grać dla księcia Walii w Royal Albert Hall, a obecnie przebywała w Wiedniu.

Alain Castille miał doskonały wzrok, a z loży królewskiej Opery Wiedeńskiej było doskonale widać scenę, lecz

mimo to książkę sięgnął drżącą ręką po lornetkę leżącą na kolanach Natalie.

Natalie zawsze nosiła przy sobie lornetkę. Dla zabawy, ale bardzo dyskretnie oglądała przez nią klejnoty innych gości i zerknęła kpiąco na brata ilekroć wypatrzyła jakiś obcy wzór. Natalie nie podzielała entuzjazmu Alaina do muzyki, lecz lubiła mu towarzyszyć w częstych wypadach na koncerty w Europie.

Wręczyła lornetkę bratu, a on skierował ją natychmiast na piękną pianistkę, która czarowała właśnie publiczność niezwykle uczuciową interpretacją walca *Mefisto*. Natalie zauważyła, że na pięknej twarzy brata kładzie się cieniem groza. Jego arystokratyczny profil przypominał te z greckich posągów; Alain miał uroczystą, poważną twarz generała prowadzącego swoich ludzi do bitwy, z której mieli nigdy nie powrócić, lecz honor nakazywał im bronić ojczyzny.

To niemożliwe, protestował buntowniczo jego umysł. Niemożliwe.

Ale było. Niemal identyczna twarz, okolona jednak złotymi, nie czarnymi włosami żyła w jego pamięci od ponad dwudziestu lat. Alain pamiętał chwilę, kiedy Isabelle oskarżyła Jean-Luca o zamordowanie jego matki. Potężne dłonie Jean-Luca zgmiotłyby niechybnie jej wiotką szyję, gdyby Alain uciekł wówczas daleko i na zawsze, na co miał zresztą ochotę. Nie mógł jednak pozwolić, żeby Isabelle zginęła z ręki Jean-Luca, tak jak zginęła jego własna matka. Przerwał więc tę scenę, jak gdyby nic się nie stało, udając, że dopiero co przyszedł. Nigdy przedtem nie żywił takiej nienawiści i pogardy do Jean-Luca, jak w tamtej chwili.

Gdy Isabelle wyszła, Jean-Luc opowiedział mu historię zaginionej księżniczki. Tego dnia, a potem jeszcze przy wielu innych okazjach, zmuszano go, by stał przed portretem Isabelle i słuchał obsesyjnych zwierzeń Jean-Luca, który opowiadał mu o księżnej i jej zaginionej, a tak bardzo niebezpiecznej córce. Za każdym razem opowiadał tę historię od nowa, tak jakby Alain nigdy jej przedtem nie słyszał - i ta niemal rytualna repetycja nabrała charakteru pogańskiej modlitwy, w której Isabelle odgrywała rolę zarówno bogini, jak czarownicy.

- Isabelle zasłużyła na śmierć - szeptał Jean-Luc. - Lecz dopóki nie uda się odnaleźć zaginionej księżniczki, Isabelle musi żyć. Zaprowadzi nas do córki i wtedy zabijemy obie.

Gdy tak stali przed portretem Isabelle, Jean-Luc wymusił na chłopcu, przyszłym księciu L'ile des Arcs-en-ciel, uroczystą obietnicę.

- Musisz odnaleźć księżniczkę, a następnie ją zgładzić. Wyspa należy do ciebie, synu, i do twojej siostry. Natalie nie może się dowiedzieć o zagrożeniu. Musisz chronić L'ile i ją. To twoja misja. Przysięgnij, że dochowasz obietnicy.

Alain złożył obietnicę, wiedząc, że będzie się czuł zobowiązany tylko do opieki nad przyrodnią siostrą, i kolejne sześć lat cierpiał męki wyobrażając sobie straszliwe konsekwencje swoich kłamstw. Z pewnością narażał się w ten sposób na piekło, a więc wieczność z ojcem, człowiekiem, którego nienawidził.

Kiedy miał szesnaście lat, skończyły się jego cierpienia, bo odkrył, że nie jest synem Jean-Luca. Był wówczas - wraz z innymi synami koronowanych głów - uczniem ekskluzywnej szkoły w Szwajcarii. Na ferie wrócił do domu. Nauczyciel polecił mu, by wykorzystał ten czas na odtworzenie swego królewskiego rodowodu. Wykres miał zawierać wszystkie szczegóły, łącznie z kolorem oczu i włosów, lewo- lub praworęcznością i grupą krwi. Grupa krwi matki Alaina musiała być gdzieś zapisana, gdyż Genevieve była matką przyszłego monarchy. Chłopiec bał się jednak prosić Jean-Luca o pozwolenie na poszukiwania. Znalazł jednak grupę krwi Jean-Luca: zero. Bez żadnych wątpliwości - zero. Miesiąc wcześniej Jean-Luc został postrzelony i jego stan wymagał transfuzji krwi. Alain już wiedział, wiedział z całą pewnością, bo w szkole dwukrotnie powtarzano mu test, że on sam ma grupę krwi AB. Co znaczyło, że Jean-Luc nie może być jego ojcem.

Alain wrócił do Szwajcarii ze sfałszowanym rodowodem, przypisując Jean-Lucowi grupę A, a matce B. Dziesięć lat później, kiedy jeden z wrogów Jean-Luca wreszcie go zabił i Alain wrócił na wyspę jako władca, odkrył, że przynajmniej

część jego rodowodu okazała się prawdziwa: Genevieve naprawdę miała grupę krwi B. Wówczas Alain zaczął studiować dokładnie drugi zestaw świadectw medycznych w desperackiej nadziei, że być może nie jest wcale uzurpatorem, lecz synem Alexandre'a, a zatem prawowitym władcą L'ile. Z jaką radością szukałby wtedy swej zaginionej siostry! Lecz Alexander miał grupę krwi zero, tak samo jak Jean-Luc, co wynikało jasno z wielu badań przeprowadzanych przed transfuzjami.

W żyłach Alaina nie płynęła więc nawet kropla krwi Castille'ów. Nie był ani bratem przyrodnim Natalie, ani kuzynem zaginionej księżniczki. Był oszustem. Przez chwilę chciał nawet powiedzieć o tym Natalie, ale ona w chwili śmierci Jean-Luca miała zaledwie siedemnaście lat i na pewno była za młoda, by rządzić królestwem strachu, jakie pozostawił jej w spadku ojciec. Wahał się również, czy nie nawiązać kontaktu z Isabelle i nie zaofiarować jej pomocy w poszukiwaniach prawowitej księżniczki L'ile, ale ostatecznie rozkazał tylko ceniom Jean-Luca zakończyć złowieszcze czuwanie.

Nic nikomu nie powiedział. Czekał i z każdym mijającym dniem nabierał pewności, że jego tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw. Pomyślał, że objęcie władzy nad wyspą to jego przeznaczenie. Był jej prawowitym właścicielem bo to dzięki niemu wyspa rozkwitła jak kwiat obudzony do życia po okrutnej zimie.

W ciągu tych siedmiu lat Alain uwierzył, że jest prawowitym księciem.

A teraz patrzył na kobietę, która mogła mu to wszystko odebrać. Nie wątpił, że to ona. Ta dziewczyna o przepięknej twarzy i szafirowych oczach była ładną podobną do matki, a poza tym miała na szyi naszyjnik z szafirów, który uwieczniono na portrecie Isabelle. Jean-Luc najwyraźniej nie wiedział, że Isabelle dała kolbę córce, ale mówił godzinami o fortunie, którą Alexandre wydał na klejnoty. Co za głupota, narzekał. Niepotrzebne, romantyczne gesty wobec kobiety, która, jak wszystkie inne kobiety, powinna być tylko przedmiotem, którego się używa, ale nie ceni. Alain nie miał wątpliwości, że to ten sam naszyjnik. Nawet przez lornetkę potrafił ocenić rzadką barwę i jakość kamieni. Dziewczyna miała też w uszach kolczyki, o których Jean-Luc nigdy nie wspominał. Widocznie zaprojektowano je, by tworzyły komplet z naszyjnikiem.

Alain znał różne szczegóły dotyczące córki Isabelle: jej wiek, datę urodzenia w szpitalu w Chicago. Wiedział też, że dziecko zniknęło gdzieś pomiędzy Chicago i Nowym Jorkiem wkrótce po urodzeniu. Zerknął z nadzieją na program, ale krótka biografia utalentowanej dwudziestodwuletniej pianistki z Kansas potwierdziła tylko jego najgorsze obawy. To była ona, kobieta, która mogła mu odebrać wszystko, co kochał, i która mogła wygnać go z wyspy tak samo jak jej ojciec wygnał Jean-Luca.

Catherine Taylor najwyraźniej nie znała swego pochodzenia. Może nawet nie wiedziała o adopcji. Czy mogła przypadkiem odkryć prawdę, podróżując po Europie i oszałamiając największe osobistości swoim talentem? Czy książę Rainier dostrzegłby jej podobieństwo do Isabelle i zwrócił uwagę na charakterystyczne klejnoty? Może tak, ale twarz dziewczyny i wyjątkowy naszyjnik wzbudziłyby tylko lekkie emocje, słodko-gorzkie uczucia, które umknęłyby w niebyt, zanim przybrałyby kształt myśli. A nawet gdyby zdążyły utworzyć myśl, to byłoby to jedynie zdziwienie, że dziewczyna jest tak niezwykle podobna do Isabelle. Bowiem nikt - Alain był tego pewien - nie wiedział, że Alexandre i Isabelle mieli dziecko. A co z samą Isabelle? Jak ona by zareagowała na widok córki, w której tożsamość nie mogłaby wątpić? Ale Isabelle wiodła spokojne życie z mężem na wsi i nigdy właściwie nie opuszczała swojego zamku nad Loarą.

Jesteś bezpieczny - zapewniał się Alain w duchu. Catherine Taylor nie wie, kim jest, a prawdę może poznać wyłącznie, gdy ty jej to powiesz.

Dwadzieścia dwa lata temu, kiedy dziesięcioletni Alain wyczuł, że Isabelle grozi niebezpieczeństwo, pokonał strach i postanowił zacząć działać. Teraz jedynym mądrym, w dodatku wcale nie tchórzliwym wyjściem, była ucieczka.

Alaina jednak ciągnęło do Catherine. Chciał poznać swego pięknego wroga.

- Pamiętasz, gdzie odbywa się przyjęcie? - spytał Natalie, gdy owacje po drugim bisie zaczęły powoli cichnąć.

- W hotelu Imperia! Dlaczego pytasz? Myślisz, że powinniśmy się tam pokazać?

- Wyglądasz na zdziwioną.

- Tylko dlatego, że awersja mojego brata do takich imprez jest znana w całej Europie - zażartowała.

Alain przyjął uwagę z uśmiechem. Natalie mówiła prawdę. Choć słynął z królewskiego wdzięku i czaru, zawsze wolał prywatność niż wystawne przyjęcia. Kolacje jadał sam, czasem z siostrą albo w towarzystwie obcych. Ten wieczór był wyjątkiem. Zdecydowała o tym ta czarnowłosa, niebieskooka nieznajoma, która wcale nieznajomą nie była.

- Chciałbym poznać Catherine Taylor - wyjaśnił spokojnie.

- Jest naprawdę zdolna.

- Owszem.

- I piękna.

- Chyba tak. Chciałem ją poprosić, żeby po przyjęciu zjadła z nami późną kolację.

- Na pewno ma już jakieś plany na ten wieczór.

- Pewnie tak. W takim razie mogę się z nią umówić na jutro - powiedział cicho Alain z lekkim, przeproszającym uśmiechem. Pamiętał, że jutro miał lecieć z Natalie do Paryża na spotkanie z jubilerami z Placu Vendôme. Gdy patrzył teraz na siostrę, jego ciemne oczy mówiły wyraźnie, że kolacja w towarzystwie Catherine jest dla niego ważniejsza. - Tak czy inaczej, chciałbym jeszcze kiedyś posłuchać jej gry.

- Ty i ta twoja muzyka! - rzekła kpiąco. Żartowała, wiedząc, że żadne dąsy nie skłonią Alaina do zmiany zdania, a nie chciała go denerwować. - *Bien!* Ale ja jadę do Paryża zgodnie z planem. Projektanci już nas oczekują.

- Ciebie...

- Chcieli porozmawiać z tobą.

- Przyjadę pojutrze.

- W sobotę?

- Wybierzemy się tam specjalnie w przyszłym miesiącu. *D'accord?*

- *D'accord.*

Przyjęcie z okazji debiutu Catherine Taylor w Wiedniu odbywało się w salonach hotelu Imperia! Na liście gości znaleźli się bogaci, sławni i szlachetnie urodzeni - ludzie, których miłość do muzyki była równie autentyczna jak stroje - oryginalne dzieła najslawniejszych projektantów i lśniące klejnoty bez skazy. Przybyli, by zaszczyścić swoją obecnością Catherine Taylor, bo jako mecenas sztuki byli jej naprawdę wdzięczni za to, że zechciała się z nimi podzielić swoim talentem.

Gdy Alain i Natalie przybyli na przyjęcie, Catherine była już otoczona przez dziennikarzy. Słowa uznania przyjmowała wdzięcznym uśmiechem, każdy komplement zdawał się ją dziwić. Zachowuje się jak prawdziwa księżniczka - pomyślał niespokojnie Alain, który obserwował ją z pewnej odległości. Już od dłuższej chwili czekał z Natalie na sposobność, by do niej podejść. W Catherine, ubranej w jasnoniebieską suknię, z bujnymi lokami upiętymi na czubku głowy, dumnie wyprostowanej, była królewska godność. Księżniczka L'ile des Arcs-en-ciel nie miała, oczywiście, na głowie królewskiego diademu, a jedynie wspaniałe szafiry w uszach i na szyi, lecz światło załamujące się na fasetach klejnotów tworzyło na jej lśniących czarnych włosach koronę z barw tęczy.

Alain i Natalie chcieli grzecznie czekać na rozmowę z Catherine, lecz gdy wypatrzyła ich gospodyni przyjęcia,

baronowa, na jej arystokratycznej twarzy odmalowała się taka rozkosz, że goście poszli za jej spojrzeniem i rozpoznając księcia i księżniczkę z L'ile, przepuścili ich przodem.

Catherine popatrzyła na nich z zainteresowaniem. Co z niezwykłą para - pomyślała. On wysoki, ciemny, przystojny i taki elegancki w czarnym fraku. Ona rudowłosa, w powiewnej sukni z szyfonu przetykanego złotą nicią, uosobienie piękna.

- Czy mogę pani przedstawić księżniczkę i księcia Alaina? - Baronowa promieniała.

- Dzień dobry - Catherine uśmiechnęła się ciepło, a ciemne oczy księżniczki odpowiedziały uśmiechem. Samo imię Natalie nie nasuwało żadnych skojarzeń, lecz w połączeniu z imieniem Alaina z pewnością tak.

- Z L'ile de Arcs-en-ciel?

- Tak - odparł cicho Alain, choć serce załomotało mu niespokojnie na widok smutnego spojrzenia Catherine. Wyspa wyraźnie coś dla niej znaczyła. Coś, co on odkryje, coś, czego Natalie, być może nie powinna wiedzieć. Alain zrezygnował z zaproszenia Catherine na kolację tego wieczoru. Mieli czas. A on zamierzał pozostać w Wiedniu wystarczająco długo.

Alain i Natalie rozmawiali przez chwilę o jej występie, o Wiedniu i bezcennych arrasach zdobiących ściany salonu. W końcu, widząc, że inni cierpliwie na nią czekają, zapytał Catherine, czy nie zechciałyby pójść z nim nazajutrz na kolację.

Zgodziła się natychmiast. Wiedziała, że Alain zauważył jej reakcję na nazwę L'ile i że musi mu wytłumaczyć, co ją tak zasmuciło. A o tym mogła rozmawiać tylko w cztery oczy, nie na uroczystym przyjęciu w obecności tylu ludzi. Umówiła się więc z Alainem w hotelu o ósmej, po południowym koncercie.

Rozmawiali jeszcze chwilę, potem Alain i Natalie wyszli, a Catherine dopiero później, w zaciszu swego apartamentu zaczęła się zastanawiać nad planowaną kolacją z księciem.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy jadała w towarzystwie ludzi bogatych i sławnych, nawet w towarzystwie przystojnych książąt. Przestała się już rumienić z zażenowania, a z jej szafirowych oczu zniknęła niewinność. Czarne, bujne pukle, za którymi dawniej kryła dotąd spłoszone spojrzenie, upinała teraz w węzeł na czubku głowy. Ten spokojny, wykwinny styl nadawał jej wygląd kobiety dystygowanej, bywałej - a przynajmniej jego pozór. Catherine jednak знаła prawdę. Musiała stworzyć swój nowy wizerunek, by przezwyciężyć ból po stracie miłości.

Prawdziwie wyrafinowana kobieta nie kochałaby człowieka, który by jej nie kochał. Nie, oczywiście, że nie. A podczas spacerów, dzięki którym miała nadzieję zasklepić emocjonalne rany, nie rozplatałaby eleganckich koków i nie pozwalała, by jej włosy pieścił wiatr... tak jak kiedyś, na jachcie...

Catherine zdawała sobie sprawę, że wcale nie jest dystygowana, lecz umiała ukryć wstyd i strach pod eleganckim spokojem i iść na kolację z księciem. Chciała zobaczyć Alaina, powiedzieć mu, że znała Arthura i Marion, i - co wydawało się jej zresztą bardzo dziwne - nie mogła się doczekać tego spotkania. Dlaczego kolacja z Alainem wydawała się jej bardziej atrakcyjna niż długi, samotny spacer, tak jej potrzebny po każdym koncercie? Dlaczego? Ponieważ, czego również nie potrafiła wytłumaczyć, w jego towarzystwie prawie natychmiast poczuła się swobodnie.

Mais pourquoi? Ale dlaczego...?

Po chwili namysłu wszystko stało się dla niej jasne. Z Alainem Castille rozmawiała po francusku. Baronowa dokonała prezentacji po angielsku; tego Catherine była pewna. W pewnym momencie jednak przeszli na francuski. Które z nich - ona, czy Alain wypowiedziało pierwsze słowo w tym pięknym języku miłości? Catherine nie mogła sobie przypomnieć. Dlaczego jednak Alain nie skomentował jej nienaganej francuszczyzny? Musiał być przecież zaskoczony, że dziewczyna z Kansas tak doskonale zna francuski.

Może on - podobnie jak wcześniej ona - po prostu nie zwrócił na to uwagi, myślała Catherine. Czy i na Alainie ta cudowna swoboda rozmowy wywarła wrażenie?

Catherine zmarszczyła lekko brwi ze zdziwienia, gdy nazajutrz o siódmej weszła do swego apartamentu. Ciężkie, brokatowe zasłony były zaciągnięte i odgradzały ją całkowicie od letniego zmierzchu i widoku ogrodów. Wcześniej pokojówki nie zasuwaly kotar i Catherine podziwiała przez okno spektakl wystawiany przez zachodzące słońce, które zmieniało barwę z różowej na szarą. Teraz pokój tonął w mroku i królowały w nim cienie. Trudno, tego wieczoru nie miała czasu na podziwianie zachodu słońca, a zasłony i tak musiałyby zaciągnąć, żeby się przebrać na kolację z Alainem.

Gdy szła w stronę toaletki, jeden z cieni ożył i wyskoczył na nią z ciemności. Catherine wyczuła jakiś bezszelestny ruch, lecz zanim zdążyła się odwrócić, czyjeś ramiona zatrzymały ją w pół drogi i zasłoniły szalikami usta.

Nim pograżyła się w mroku, zobaczyła jeszcze twarze ludzi, których kochała, i zawołała do nich w myślach: Kocham cię, mamo. Kocham cię, tato. Kocham cię, Alexo.

Kocham cię, Jamesie.

- Catherine!

Nie mogła obudzić się z tego snu. Gdzieś nad sobą, poza snem, słyszała głosy, niespokojne głosy, a bardzo spokojny i chyba znajomy przemawiał do niej po francusku.

- Alain - szepnęła, gdy wreszcie zdołała otworzyć ciężkie powieki.

- Wszystko w porządku, Catherine?

- Chyba tak. Co się stało? - Zadając to pytanie, wyczuła dziwną wilgoć na szyi i wyciągnęła rękę, by jej dotknąć. Krew! Palce również miała poranione. Z nich też sączyła się krew.

- Włamywacz - powiedział szef ochrony hotelowej. Ulżyło mu, gdyż Catherine odzyskała przytomność, a jednocześnie był wyraźnie zasmucony tym incydentem. Catherine Taylor nie była jedyną ofiarą włamywacza tego wieczoru. Rabuś ukradł pęk zapasowych kluczy pokojówce, a gdy przerażona dziewczyna usiłowała odnaleźć zgubę, wszedł do kilku apartamentów i ukradł z nich klejnoty, pieniądze, zegarki. Nigdzie jednak nikogo nie zastał; tylko Catherine była w pokoju. - *Mademoiselle Taylor* - dodał po francusku, bo w tym języku Catherine zwracała się do księcia. - *Je suis desole*.

Eter, który na krótko pozbawił ją przytomności, powoli parował i Catherine zaczęła rozumieć, co się dzieje. Najwyraźniej spłoszyła włamywacza, który zdołał ją szybko obezwładnić, używając noża i eteru, a potem ukradł naszyjnik z szafirów, symbol miłości, która być może jednak istniała. Zniknęły też kolczyki z szafirami, inny symbol innej miłości. Uszy miała jednak nienaruszone, co znaczyło, że włamywacz umiał się obchodzić z zapięciami i zadał sobie wiele trudu, by odzepić złote nakładki od delikatnych kołeczków.

- Chciałbym ją teraz zabrać do szpitala - powiedział lekarz hotelowy. - Na szczęście rany od noża wydają się powierzchowne, ale muszą zostać zdezynfekowane i opatrzone. I choć chwilową utratę przytomności musimy raczej chyba wiązać z eterem niż z uderzeniem w głowę, to muszę zatrzymać pacjentkę przez jedną noc na obserwacji.

- Czy mogę wejść?

- Alain... Tak, oczywiście.

Odkąd odwieziono ją karetką z hotelu do szpitala, minęło wiele godzin, godzin, które spędziła pod opieką kompetentnego zespołu lekarzy i pielęgniarek. Czyżby Alain czekał na nią przez cały ten czas?

- Jak się czujesz?
- Doskonale. Pobyt w szpitalu uważam za zbędny, ale...
- Ostrożność nie zawadzi.
- Chyba tak. - Gdy podążyła za jego spojrzeniem i zerknęła na swoje zabandażowane ręce, uśmiech jej zbladł. - Rany nie były głębokie, nerwy ani ścięgna nie zostały uszkodzone, ale lekarze twierdzą, że będę mogła grać dopiero za parę tygodni.
- Wrócisz do Stanów?
- Nie jestem pewna. Jeszcze o tym nie myślałam.
- Może w takim razie chciałabyś spędzić przynajmniej część swojej rekonwalescencji na L'île des Arcs-en-ciel?
- Na L'île?
- Spokojne piękno wyspy uleczy najgłębsze rany. Wiesz coś o niej? Nie każdy wie, ale wczoraj, kiedy się poznaliśmy, odniosłem wrażenie, że ty interesujesz się szczególnie Wyspą Tęcz.
- Nie, nie interesuję się nią szczególnie, Alainie, ale znałam Arthura i Marion Sterlingów.
- Och, rozumiem - szepnął Alain. - Skąd ich znałaś?
- Moja siostra Alexa przyjaźni się z ich synem Jamesem. W zeszłym roku spędziłam cudowny weekend w domu Arthura i Marion w Marylandzie. To byli naprawdę cudowni ludzie.
- To prawda. Ich śmierć była wielką tragedią. - Na twarzy Alaina pojawił się wyraz powagi, który dodał mu męskości, nie ujmując urody. - Czy to właśnie żal po ich śmierci nie pozwala ci odwiedzić L'île?
- Nie, Alainie. Przeciwnie. Bardzo bym chciała zobaczyć ten raj, który Arthur i Marion tak bardzo kochali.

2

Księżę będzie do jutra w Wiedniu - powiedziano Jamesowi, gdy wreszcie połączył się z sekretarzem Alaina. Sekretarz oczywiście natychmiast poznał go po głosie i dodał szybko: - Ale księżniczka jest w rezydencji i będzie jej bardzo miło pana przyjąć.

Kiedy w godzinę później James przybył do pałacu, poprowadzono go od głównego wejścia przez marmurowy dziedziniec obsadzony krzewami bugenwilli do prywatnego salonu księcia z widokiem na morze - szafirowe, skąpane w słońcu, złączone w pocałunku z lazurowym niebem. Widok zapierał dech w piersiach. James, który bawił na wyspie już od trzech dni, po raz kolejny pomyślał, że to naprawdę raj.

- *Monsieur Sterling...*

James oderwał wzrok od naturalnego piękna przyrody i przeniósł spojrzenie na inny niezwykły skarb L'île - księżniczkę Natalie Castille. Księżniczkę otaczała niezwykła aura bogactwa - w dużych piwnych oczach błyszczały złociste cętki, arystokratyczne rysy były jednocześnie subtelne i zmysłowe, a bujna grzywa rudych włosów połyskiwała wszystkimi odcieniami ognia.

- Wasza Wysokość.

- Proszę mówić do mnie Natalie.

- Ja mam na imię James.

- To straszne, co spotkało twoich rodziców. To byli cudowni ludzie - powiedziała Natalie cicho i z uczuciem. Mówiła po angielsku całkiem bez akcentu, choć - ponieważ posługiwała się nim rzadko - może nieco zbyt oficjalnie. - Oczekiwaliśmy ich... i twojej wizyty z taką radością. To dobrze, że nie było cię z nimi na jachcie.

Wymówiła ostatnie słowa ze współczującym i jednocześnie zamyślnym wyrazem twarzy, jakby wiedziała, że od

śmierci rodziców James zastanawiał się wielokrotnie, czy naprawdę uniknął śmierci wyłącznie przez przypadek. Po chwili uroczystego milczenia zrzuciła z twarzy maskę smutku.

- Dopiero co przyjechałeś? - spytała. - Mamy nadzieję, że zatrzymasz się u nas.

- Przyjechałem kilka dni temu. Mam wspaniały pokój w hotelu.

- Kilka dni temu... I przez ten czas zwiedzałeś wyspę?

- Tak. Chyba wydeptałem tu już każdą ścieżkę.

- Szukałeś śladów?

- Śladów?

- Nasz ojciec był bardzo złym człowiekiem - powiedziała cicho. - I ja, i Alain doskonale o tym wiemy. Dorastaliśmy w tym oblężeniu. Rozumiemy, że ponieważ jesteśmy jego dziećmi, musisz się do nas odnosić bardzo podejrzliwie. To część naszego dziedzictwa. I choć nigdy na ten temat nie rozmawiamy, wiem, że oboje nieraz przeszukiwaliśmy nasze dusze w obawie, że i w nas tkwi jakiś ślad tego zła. Ale chyba nam obojgu udało się uniknąć jego szaleństwa - dodała, uśmiechając się lekko. Naszym prawdziwym dziedzictwem jest ta spokojna wyspa, a nie oblężenie naszego ojca. A mój brat nigdy nie był terrorystą. Zrozumiesz to, gdy go poznasz. Tak więc, szukałeś śladów, ale nic nie znalazłeś... Czy ktoś oprowadził cię po wyspie?

- Nie.

- W takim razie zachowam dla siebie przyjemność opowiadania ci historii związanych z tą wyspą. Alain nie wróci wcześniej niż jutro w południe. A jeśli chcesz, rano możemy pożeglować. Obejrzyj sobie wyspę z morza.

Przez resztę popołudnia i podczas wytwornej kolacji w pałacu Natalie opowiadała Jamesowi czarujące legendy związane z wyspą. Następnego ranka, gdy smukły jacht Alaina, sterowany wprawą ręką Jamesa, sunął po lśniącem morzu, opowiedziała mu o znacznie mniej czarującym dzieciństwie potomków Jean-Luca.

- Pałac przypominał fortecę podczas oblężenia. Wszędzie było pełno uzbrojonych strażników, za każdym rogiem, za każdymi drzwiami.

- A teraz nigdzie ich nie widziałem.

- Nie. Pałacu nie pilnują strażnicy, a ja i Alain zrezygnowaliśmy z ochrony osobistej. To oczywista reakcja na dzieciństwo wyzute z wolności. Alain i ja jesteśmy teraz wolni, ale i ostrożni, bo jesteśmy bogaci i staliśmy się pożądanym celem dla porywaczy. Unikamy zbędnej popularności i zawsze podróżujemy własnymi samolotami.

- Więcej niż jednym?

- Tak - przyznała Natalie z promiennym uśmiechem. - Każde z nas ma własny samolot. Alain i ja lubimy podróżować razem, ale zdarza się, tak jak na przykład teraz, że on chciał zostać w Wiedniu, a ja musiałam wyjechać w interesach do Paryża. Zaczęliśmy więc podróż w jego samolocie a potem musieliśmy wezwać mój.

- Zdaje mi się, że jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Tak, przypominamy żołnierzy, których łączy więzy wojny. Mieliśmy podobne dzieciństwo, ale spędziliśmy je osobno, bo Alain jest ode mnie o sześć lat starszy. Już jako mały chłopiec był w szkołach dla księżąt i królów. Dopóki nie skończyłam szesnastu lat, prawie nic nas nie łączyło. A przedtem byłam w internacie. Uważano mnie za kompletnie zwariowaną dziewczynę. Tak naprawdę moje zachowanie wcale tak bardzo nie odbiegało od normy, ale nie przystawało do księżniczki.

- Kolejne ograniczenie wolności.

- Tak. A ja się przeciwko temu buntowałam i próbowałam zwrócić na siebie uwagę. Nikt się tym jednak nie przejął,

z wyjątkiem mego bardzo już wówczas odpowiedzialnego i królewskiego brata. Alain i ja bardzo się wówczas zaprzyjaźniliśmy, co wcale nie znaczyło, że wariackie pomysły od razu wywietrzały mi z głowy. Dzięki niemu nie wyszłam jednak pochopnie za mąż. Zresztą brat nadal mnie chroni, choć już dawno jestem dorosła i przestałam szaleć.

- I nie chcesz zawierać nieprzemyślanych związków.

- Och, nie. - Natalie uśmiechnęła się uroczo. - Na razie w ogóle nie myślę o małżeństwie. Mam dopiero dwadzieścia sześć lat, więc nie ma pośpiechu. W ogóle nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż. Obraz małżeństwa, jaki zachowałam w pamięci, nie napawa optymizmem. Matka Alaina umarła wkrótce po jego urodzeniu i Jean-Luc zakazał wspominać jej imię. Związek pomiędzy nim i moją matką był również co najmniej burzliwy. O przypadku córki Henryka VIII, monarchy-tyrana, opowiada historia.

- To prawda. A co z Alainem? Czy on kiedykolwiek się ożeni?

- W końcu tak. Musi to zrobić, by zostać ojcem kolejnego władcy. Już kiedyś był zaręczony.

- Ach tak?

- Tak. Ona miała na imię Monique, pracowała dla francuskiego wywiadu. Była piękną agentką i miała rozpracować Alaina tuż po śmierci Jean-Luca.

- I Alain o tym wiedział?

- Najpierw się w niej zakochał.

- I kiedy odkrył jej prawdziwą tożsamość, wpadł pewnie we wściekłość?

- We wściekłość? Skąd! Alain nigdy nie wpada we wściekłość.

- Ale wtedy ty wkroczyłaś do akcji i położyłaś kres tym głupstwom?

- O nie. Monique bardzo mi się podobała. Była śliczna i taka zakochana w Alainie. Myślę, że mogli być bardzo szczęśliwi. Monique powiedziała Alainowi prawdę i chcieli wziąć ślub, ale... - Piękną twarz Natalie zasnuł smutek. - Jechali z Saint Paul de Vence do Monte Carlo, zdarzył się wypadek i Monique zginęła na miejscu.

- Alain odniósł poważne obrażenia?

- Nie. Jechali dwoma samochodami. Jeden z nich chcieli w drodze do Monako oddać na lotnisko w Nicei. Alain jechał za Monique, kiedy wydarzyła się ta tragedia. Był tylko świadkiem, nie mógł absolutnie nic zrobić. - Pokręciła głową. - Pewnego dnia Alain z pewnością się ożeni, by dać L'ile następcę tronu, ale pewnie już nigdy nie pomyśli o małżeństwie z miłości.

- Natalie żegluj - powiedział Alain, wskazując łódź. Jechali z lotniska do pałacu. - A ty, Catherine? Lubisz żeglować?

- Tak - odparła. Przynajmniej kiedyś lubiłam, dodała w myślach. Żeglowałam kiedyś z mężczyzną, którego kocham. Kochałam... Odegnęła od siebie to wspomnienie lub samo odeszło, bo znów skierowała wzrok na piękną wyspę i poczuła, że ogarnia ją niezwykle spokojny. - Alain - szepnęła.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

Potem, podczas zapierającej dech w piersiach przejażdżki i gdy Alain oprowadzał ją po pałacu, jeszcze wielokrotnie wzdychała z zachwytem.

- A to jest pokój muzyczny. Możesz tu ćwiczyć, kiedy zagoją ci się palce.

- *C'est magnifique.*

- *Oui. D'accord.* To mój ulubiony pokój. Stąd, siedząc przy fortepianie, zobaczysz tęcze. Są tam, można ich niemal dotknąć i wypełniają całe okno.

- A gdzie jest jaskinia? - Marion mówiła, że była tu kiedyś jaskinia pełna cennych klejnotów, lśniących kawałeczków tęczy.

- To zaraz za tym pagórkiem. Jeśli chcesz, mogę cię tam zabrać.

- Tak, bardzo bym chciała.

- Marion opowiadała ci legendę tęcz. A czy mówiła ci prawdę o skarbach w jaskini?

- Mówiła. Ale teraz, kiedy jestem tutaj, na tej magicznej wyspie, myślę, że to ta cudowna legenda jest prawdziwa - powiedziała cicho. Po chwili znów skierowała wzrok na lazurowe niebo, które już za kilka godzin miało się zasnuć ciemnymi burzowymi chmurami, później płakać ożywczymi łzami i po burzy uśmiechnąć się znowu cudownym lazurem, przepasanym tęczą niczym podarunek.

Widząc, że Catherine jest najwyraźniej oczarowana wyspą - swoją wyspą - Alain przypomniał sobie wyznanie, na jakie zdobył się przed Marion Sterling, cytując z Balzaka: „Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia”. W królewskiej rodzinie L’ile des Arcs-en-ciel było wielu Castille’ów plądrujących statki wyładowane szkatułami pełnymi złotem i klejnotami. Był też współczesny Castille - Jean-Luc, kradnący sny, marzenia, piękno i spokój.

Ale teraz, choć krew Castille’ów nie płynęła mu w żyłach, Alain okazał się największym ze wszystkich złodziejem. Bo przecież on, książę-uzurpator skradł najcenniejszy skarb: wspaniałą wyspę.

- Alain!

Na dźwięk głosu siostry, który przerwał jego smutne myśli, uśmiechnął się z ulgą. Catherine też się uśmiechnęła, zadowolona, że znów zobaczy siostrę Alaina. Kiedy jednak odwróciła głowę, uśmiech zamarł na jej ustach.

- James.

- Witaj, Catherine - powiedział cicho James, równie poruszony jak ona. Natalie wspominała wprawdzie, że Alain zapewne przywiezie z Wiednia gościa, ale...

Teraz stał oko w oko z Catherine. Była wciąż tak piękna, tak piękna... Lecz w ciągu tych siedmiu miesięcy, które minęły od ich rozstania bardzo się zmieniła. Zniknęła jej dziewczęca niewinność, szafirowe oczy patrzyły teraz inaczej, czujnie, jakby bały się kogoś, kto może sprawić jej ból. Och najdroższa, nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. James chciał, żeby Catherine dostrzegła to wyznanie w jego oczach, ale ona patrzyła gdzieś w bok. Nie szukała wcale jego spojrzenia. W końcu i on opuścił wzrok, lecz dostrzegł coś, co go zaniepokoiło. Dotąd biały bandaż na jej szyi krył się pod czarnymi lokami, teraz znacznie dłuższymi, opadającymi kaskadą na jej piersi. Kiedy jednak Catherine odwróciła od niego głowę, James dostrzegł rozek opatrunku.

- Co się stało?

- Ja... Jamesie... nie miałeś okazji poznać Alaina.

Panowie wymienili formalne uprzejmości, Alain dodał kilka współczujących słów na temat Marion i Arthura, później rozmowa wróciła do obrażeń Catherine.

- Włamywacz wdarł się do apartamentu Catherine i ukradł jej klejnoty - wyjaśnił cicho Alain.

- Och, nie - szepnęła Natalie.

- Nie jestem poważnie ranna. Włamywacz posłużył się eterem, ale miał także nóż, więc widocznie próbowałam z nim walczyć, zanim narkotyki zaczęły działać. Skaleczenia na szyi i rękach nie są głębokie, wszystko się zagoi, lecz zanim znów będę mogła występować, minie kilka tygodni.

- I mam nadzieję, że spędzisz je z nami.

- Dziękuję, Natalie. Alain również złożył mi tę wspaniałomyślną propozycję.

Catherine przyjęła propozycję Alaina „na kilka dni”, choć dopóki James nie stanął przed nią, myślała, że nigdy nie

będzie chciała opuścić tej cudownej wyspy. Teraz jednak jej spokój legł w gruzach i zapragnęła uciec od tych niebieskich oczu, które patrzyły na nią z taką troską.

- Co zginęło? - spytała Natalie i natychmiast zmarszczyła czoło. - Mam nadzieję, że nie ten wspaniały naszyjnik, który miałaś na koncercie. Zwróciłam na niego uwagę. Barwa i jakość szafirów były wyjątkowe.

- Tak, zginął szafirowy naszyjnik i kolczyki.

Catherine popatrzyła odważnie na Jamesa. Tak, Jamesie, nosiłam te kolczyki. Nie żebym sądziła, że do mnie wrócisz. Były tylko wspomnieniem miłości, która tyle dla mnie znaczyła... choć dla ciebie nie okazała się ważna.

- Pozwól nam odtworzyć klejnoty - powiedziała Natalie. - Pamiętam naszyjnik, ty mi pomożesz i na pewno będę umiała go naszkicować. A co do kolczyków...

- Dziękuję, Natalie, ale nie - odparła Catherine tak samo stanowczo jak gdy odmawiała Alainowi, kiedy złożył jej identyczną ofertę. - Naszyjnik i kolczyki symbolizowały odległe wspomnienia... i myślę, że nadszedł czas, aby się od nich uwolnić.

- W takim razie zaprojektuję dla ciebie coś nowego. Symbol nowych wspomnień, twojej pierwszej wizyty na wyspie, stworzony ze wszystkich kolorów tęczy.

Po wystawnym lunchu w letniej jadalni pałacu Natalie i Alain poszli do gabinetu na krótką, lecz konieczną rozmowę na temat wizyty Natalie w butikiu Castille w Paryżu. Catherine i James zostali sami. Po krótkiej chwili ciszy, kiedy szafirowe oczy spotkały się z niebieskimi, Catherine odwróciła się od Jamesa i podeszła do okna wychodzącego na morze, by odnaleźć spokój w oszałamiającym pięknie. Lecz okazało się to niemożliwe. Była zanadto świadoma obecności Jamesa, który najpierw stał w głębi pokoju, a potem zbliżył się do niej.

- Wyjdę, kiedy tylko wrócą Natalie i Alain - powiedział cicho. - Chciałem się tylko z tobą pożegnać.

- Do widzenia - szepnęła, nie odwracając ku niemu głowy, bo jej serce płakało. - Ileż razy musimy się żegnać, Jamesie?

- Catherine?

Musiała się odwrócić, ponieważ zawsze reagowała posłusznie na jego łagodne rozkazy i natychmiast napotkała spojrzenie zatroskanych niebieskich oczu.

- Mogę popatrzeć? - zapytał cicho, wskazując bandaż.

Jak bardzo ją bolała ta łagodność, jak bardzo za nią tęskniła! Och, Jamesie, proszę odejść. Wiedziała jednak, że James nie odejdzie, dopóki nie postawi na swoim, więc namacała koniuszek plastra przytwierdzającego gazę do szyi. Ale owinięte w bandaż palce, trochę teraz niezdarne i drżące z emocji, odmówiły jej posłuszeństwa. I w końcu to silne, czułe, choć również drżące palce Jamesa odsunęły bandaż.

Rana była rzeczywiście powierzchowna, tak jak twierdziła Catherine. Ostry nóż włamywacza wykonał jedno cienkie, precyzyjne, niemal chirurgiczne cięcie po prawej stronie jej szyi. Z czasem blizna zniknie, myślał James, teraz jednak była nadal ciemnoczerwona, tak, jakby nie pozwalała zapomnieć o dokonanej przemocy. James popatrzył na ranę i poczuł, że ogarnia go wściekłość na tego, kto skrzywdził Catherine, a jednocześnie przemożne pragnienie, by już odtąd zawsze ją chronić. Pragnienie nie do spełnienia.

- Wcześniej odniosłem wrażenie, że nie pamiętasz walki z nożem - powiedział w końcu.

- Nie, nie pamiętam, nie pamiętam nawet noża, ale na pewno walczyłam. - Wywinęła się spod jego czułych palców i przycisnęła plaster do szyi.

- Musisz uważać.

- Uważam - odparła, zaskoczona łatwością, z jaką udało się jej skłamać. Przecież wcale nie była ostrożna. Wędrowała nocami po ciemnych uliczkach nieznanymi miastami, nie zważając na niebezpieczeństwo, całkowicie pochłonięta pragnieniem, by raz na zawsze wyzwolić serce ze wspomnień i miłości do Jamesa.

- To dobrze, bardzo się cieszę - powiedział cicho, wiedząc, że jego marzenia nigdy się nie spełniły, że musi odejść. Dla swego własnego dobra, i, co wyczytał z jej czujnego spojrzenia, dla dobra Catherine. - Poszukani Alaina i pożegnani się z nimi, wychodząc.

- Jamesie?

- Tak?

- Dziękuję, że porozumiałeś się ze mną w sprawie Alexy. Byłam u niej, pewnie zresztą już o tym wiesz... - W niebieskich oczach Jamesa wyczytała potwierdzenie i zwalczyła kolejną falę bólu. - Tak czy owak jesteśmy teraz sobie bliskie, bardzo bliskie... Chciałam ci za to podziękować.

- Nie ma za co.

- I jeszcze jedno...

- Tak?

- Dziękuję, że jej pomogłeś. Powinna była postąpić inaczej... Na szczęście przynajmniej ty jej nie zawiodłeś. Bardzo mi przykro, że miałam o to do ciebie pretensję.

Patrząc na miłość swego życia, James zastanawiał się, czy Catherine żałuje czegoś jeszcze. Czy żałuje swojej sugestii, żeby ożenił się z Alexą? Czy żałuje, że ich miłość jest tylko wspomnieniem, które należy odłożyć do lamusa? Pytania te zresztą nie miały sensu, ponieważ już potrafił na nie odpowiedzieć. Piękne szafirowe oczy patrzyły na niego czujnie, nawet niespokojnie. Było jasne, że Catherine odeszła bardzo, bardzo daleko od ich miłości.

I tam powinna zostać, upomniał siebie surowo. Nie mam jej nic do zaoferowania. I choć ja nigdy nie zapomnę i nie chcę, by ona zapomniała, dla Catherine będzie najlepiej, jeśli zapomni o naszej magicznej miłości.

Po chwili szepnął:

- Żegnaj, Catherine.

- Myślę, Catherine, że Alexa nie była jedyną siostrą zaprzyjaźnioną z Jamesem Sterlingiem - powiedział cicho Alain tydzień później.

Siedzieli na nadmorskim klifie i patrzyli na bogactwo tęczy. Przychodzili tu codziennie, gdy słońce złożyło się jeszcze na lazurowym niebie, a gdy zaczynało padać, szukali schronienia w pobliskiej altanie, by przeczekać burzę blisko tęczy, które wyłaniały się z szafirowego nieba i tworzyły nad nimi sklepienie najwspanialszych barw.

Codziennie po południu Catherine i Alain dzielili się ze sobą pięknem tęczy cichymi słowami i łagodnymi uśmiechami. Catherine czuła się przy Alainie bezpiecznie i swobodnie, a to było coś więcej niż czysta radość z rozmowy po francusku. Catherine doszła do wniosku, że Alain jest jak ta wyspa: ciepły, serdeczny i posiada cudowną uzdrawiającą moc. Tu, na tej zaczarowanej wyspie tęczy, rany od noża goiły się szybciej niż przewidywali lekarze i nawet jej złamane serce zaczęło się zrastać.

A teraz Alain cicho i spokojnie pytał ją o tajemną miłość, o której dotąd wiedziała tylko ona i James. Czy mogła mu wyznać bolesną tajemnicę? Tak, pomyślała, i przeniosła spojrzenie szafirowych oczu z tęczy na Alaina. Tak wyznam ci ten sekret, Alainie i być może inne tajemnice także. Ale co ciebie dręczy, książę? Wiem, że sekrety nie dają ci spokoju, choć kryjesz je po mistrzowsku w cieniach twoich ciemnych oczu. Czy z czasem nabierzesz do mnie zaufania i mi je zdradzisz? Mam nadzieję. Tymczasem ja zaufam tobie.

- Nie pomyliłeś się, Alainie - zaczęła cicho. - Nie tylko Alexa była blisko związana z Jamesem. Ja też go kochałam.

3

Waszyngton
wrzesień 1990

Jak na połowę września było niezwykle ciepło, lecz i rano, i wieczorem rześkie powietrze obiecywało rychłe nadejście jesieni - rdzawe liście, złocistą pełnię dożynek, wełniane szaliki i różowe policzki. Gdy Robert biegał nad Potomakiem, wdychając zimne poranne powietrze, ten nieomylny smak jesieni wzbudzał w nim zawsze wspomnienie miłości. Całą zeszłą jesień kochał Alexę i w takie cudowne poranki, gdy na jesiennym niebie pojawiało się słońce, całował ją na do widzenia.

Oczywiście, żeby przypomnieć sobie o Aleksie, nie potrzebował jesiennego powietrza. Alexa towarzyszyła mu zawsze. Teraz jednak czuł, że zaczyna ulegać pokusie, z którą walczył przez całe lato. Pragnął z nią porozmawiać, jeśli się zgodzi. Pragnął porozmawiać z kobietą, dla której ich miłość była tylko grą.

Pragnął tego, ponieważ nadal, niezależnie od tego, jak bardzo się starał to zmienić, utożsamiał Alexę z prawdziwą miłością.

Aktorzy oraz autorzy *Pennsylvania Avenue* mieli przed sobą pracowitą noc, więc reżyser ogłosił godzinną przerwę na posiłek. Przerwa dopiero się zaczęła, gdy kierownik planu zapukał do drzwi garderoby Alexy.

- Senator Robert McAllister do pani - ogłosił z entuzjazmem, gdy otworzyła drzwi.

- Senator McAllister - powtórzyła Alexa słabym głosem.

- Tak jest. Odwiedził nas chyba po raz pierwszy.

Tak pomyślała Alexa. Wybitny polityk z Wirginii nigdy przedtem nie zaszczycił swoją obecnością planu *Pennsylvania Avenue*. Co tu robił teraz? Czy zamierzał jej w końcu powiedzieć prawdę? Czy też chciał rozpocząć w miejscu, w którym przzerwali, ponieważ w jego małżeństwie z Hillary znów pojawiły się wyboje albo przeciwnie, ich związek tak się scementował, że potrzebował urozmaicenia.

Niezależnie od powodu, dla jakiego Robert się tu zjawił, Alexa nie miała ochoty go oglądać. Na prawdę było stanowczo za późno, już ją знаła. Kiedyś chciała spędzić całe życie, kochając Roberta choćby w cennych, wybranych chwilach, teraz odgrzewanie romansu nie wchodziło już w grę. Już raz oddała serce Robertowi, powierzyła je beztrósko jego opiece. Ten kruchy, połamany organ, dający oznaki życia jedynie poprzez ból, znów należał do niej. Alexa wiedziała, jak chronić serce przed kolejnym wstrząsem.

A jeśli Robert dowiedział się czegoś o Katie? Jeśli jego wizyta miała coś wspólnego ze szczęściem jej córki? To przerażające podejrzenie pomogło jej podjąć decyzję.

- Mam powiedzieć, że pani się z nim spotka?

- Tak, spotkam się z nim.

Zanim Robert zapukał do garderoby, Alexa uzbroiła się w cały swój talent i wróciła pamięcią do chwil sprzed romansu, kiedy jej szmaragdowe oczy potrafiły odpowiadać na arogancję pana senatora lodowatym spojrzeniem.

Ale Robert wcale nie wyglądał arogancko. Jego piwne oczy były po prostu zmęczone i smutne. A cienka warstwa szmaragdowego lodu stopniała natychmiast pod wpływem wewnętrznego ciepła, tego płonącego wciąż żaru miłości, która nie chciała umrzeć.

- Witaj, Alexo.
- Witaj, Robercie.
- Pomyślałem, że może moglibyśmy kiedyś porozmawiać...
- O czym?
- O nas.

Mówił cicho, spokojnie, ale jego słowa legły ciężarem na jej szczupłych ramionach i Alexa poczuła, że musi usiąść. Cudem zmusiła nogi do wysiłku i usiadła na stojącej w pobliżu kanapie. Ale nawet wówczas ten ogromny ciężar zmusił ją do pochylenia głowy i zakrycia twarzy włosami. Och, Robercie, nie mam siły na takie rozmowy. Kiedyś modliłam się, żebyś mi powiedział choćby najgorszą prawdę, dowodząc w ten sposób swej miłości i zaufania, ale za późno na to. Już to, że cię widzę, sprawia mi zbyt wielki ból.

Po chwili Robert usiadł obok Alexy i delikatnie rozdzielił jej jedwabiste złote włosy. Gest ten był obojętnie boleśnie znajomy; Robert odgarniał jej w ten sposób włosy zawsze, gdy po chwilach namiętności chciał znów zobaczyć jej piękne szmaragdowe oczy.

- Proszę, nie. - Uniosła głowę i spojrzała na rękę, która jej dotknęła. - Nie nosisz obrączki.

Och, Alexo, krzychało jego serce. Przyszedł do kobiety, która igrała z jego uczuciami, kobiety, która nawet gdyby zauważyła brak obrączki zupełnie by się tym nie zainteresowała... Lecz tej kobiety tutaj nie było. Była tylko Alexa, cudowna bezbronna kobieta, którą tak kochał.

- Alexo... - szepnęła. - Pewnie ci to przeszkadzało... A ja nawet nie pomyślałem. Wybacz.

- Nie, nie przeszkadzało - powiedziała, patrząc prosto w jego zmartwione oczy. - Ale powiedz, dlaczego teraz jej nie nosisz.

- Chyba wiesz - odparł cicho, a gdzieś głęboko w sercu znów zaszepotała nadzieja. - Hillary i ja rozwodzimy się. Mówiłem ci to w grudniu, kochanie, tej nocy, kiedy wróciłem z Camp David... Wtedy kiedy poprosiłem cię o rękę.

- Ale kłamałeś! - To nie może być prawda! Już i tak zbolełe serce pękłoby jej chyba, gdyby się okazało, że straciła córkę, bo... - Nie! Nie byłeś wtedy w Camp David. Byłeś w Dallas, z Hillary, w apartamencie małżeńskim w hotelu Mansion. Robercie, słyszałam twój głos!

- Nie, kochana. Byłem w Camp David. Głowę miałem zaprzątniętą pracą, ale rozpierała mnie radość, bo Hillary zgodziła się na cichy rozwód - powiedział, patrząc łagodnie na Alexę. Gdy jednak znów się odezwał, jego wzrok był twardy. - Powiedz, co ona zrobiła.

Powiedz, w jaki sposób zdołała zniszczyć tę cudowną radość.

- W tamten piątek rano przyjechała do Różanej Skały. Mówiła, że powiedziałaś jej o romansie i że spałeś ze mną wyłącznie po to, żeby się na niej zemścić. Mówiła, że się pogodziliście i zamierzacie spędzić weekend w Dallas, taki drugi miesiąc miodowy. Zadzwoiłam do.... - Alexa urwała, gdyż ciemne, zagniewane oczy Roberta mówiły jej wyraźnie, że Hillary kłamała.

- Na pewno nagrała mój głos - powiedział z wściekłością. - Zanim wyjechałem do Camp David, odbierałem w biurze bez przerwy głuche telefony. Ten, kto dzwonił, nie odzywał się ani słowem, ale się nie rozłączał. - Zamilkł, walcząc z gniewem, zdumiony jego mocą. - Moje małżeństwo z Hillary nigdy nie było prawdziwym małżeństwem. Powinienem być ci o tym powiedzieć. Powinienem być powiedzieć, że zamierzam się z nią rozwieść, ale jakoś nie przyszło mi do głowy, że nie wiesz. Nie kochałem nigdy nikogo poza tobą, Alexo. Nigdy, nawet na chwilę nie przestałem cię kochać i marzyć, że kiedyś zgodzisz się spędzić ze mną życie.

Słuchając tego żarliwego wyznania, Alexa opuściła głowę. Patrzył, jak na twarz spada jedwabista, złota zasłona i

wciągnął spazmatycznie powietrze. Czyżby było za późno? Czy naprawdę wygrałaś, Hillary? Zdawało mu się, że w szmaragdowych oczach Alexy widział miłość, ale teraz... Teraz nie mógł rozsunąć złocistej kotary. Musiał czekać.

Wciąż cię kocham, Robercie. Jak bardzo cię kocham. Kruche, złamane serce tak długo przepelniał ból, że teraz chciało wypełnić się miłością, wyłącznie miłością. Były jednak inne uczucia - potężne, niebezpieczne, niszczące, szukające miejsca w tym sercu: gorycz, wściekłość i nienawiść do Hillary. Przez jej okrutny podstęp straciła dziecko.... Teraz, gdy te wszystkie złe uczucia zalewały serce Alexy, jakiś najgłębszy instynkt, być może wola przetrwania, ostrzegła ją, że nawet najgłębsza nienawiść na świecie nie zmieni prawdy: przyrzekła solennie, że nigdy nie będzie szukać Katie. I nie zamierzała łamać tej obietnicy.

Złamane serce Alexy prosiło, by znów je wypełnić radosną miłością i ona również tego pragnęła. Jak jednak pokonać gniew, nienawiść i gorycz, które tak energicznie i śmiało domagały się należnego im miejsca? Zwalczyć te niszczące emocje wydawało się zadaniem nie do wykonania. Perspektywa życia z Robertem znów stała się tylko pięknym snem, poza możliwościami Alexy.

Nagle spłynęło na nią dalekie wspomnienie miłości. Obraz dwunastoletniej siostry, jej szafirowych oczu i głosu - cichego, a jednocześnie tak potężnego, że wszystkie negatywne uczucia Alexy w cudowny sposób znikły. Czekwała przez dłuższą chwilę w obawie, że wrócą, aby się na niej zemścić, ale nie wróciły. Alexa popatrzyła w oczy ukochanego mężczyzny.

- Sądzę, że powinniśmy wybaczyć Hillary - powiedziała cicho, używając tych samych słów, których użyła wówczas Cat. - Takiej rady udzieliła mi kiedyś moja mała siostra - ciągnęła, uśmiechając się czule do Roberta, który patrzył na nią sceptycznie. - Mówiła, że powinniśmy jej współczuć, bo na pewno jest bardzo nieszczęśliwa, skoro musi być aż tak okrutna. Chcę jej wybaczyć, Robercie. Muszę. I chyba naprawdę mi jej żal, bo nigdy nie pozna takiego szczęścia, jakie nam przypadło w udziale. Nigdy nie kochałam nikogo prócz ciebie. James był i jest moim wspaiałym przyjacielem, ale odkąd poznałam ciebie, nie łączyło nas już nic poza przyjaźnią. Poszedł ze mną wtedy na bal, bo nie miałam siły iść tam sama, wiedząc, że spotkam Hillary. Nigdy nie przestałam cię kochać, nawet na sekundę.

- Och, Alexo, tak bardzo cię kocham - szepnął, ujmując jej twarz w dłonie. W jego oczach były już tylko szczęście i miłość, ale na dnie oczu Alexy kryło się coś, czego tam być nie powinno: ból, głęboki ból. Ujrzał ten ból kiedy tylko wszedł tutaj, lecz teraz ból powinien przecież zniknąć, zwyciężony przez szczęście. Cudowna, wspaiałomyślna Alexa umiała więc wybaczać, lecz istniało coś, czego nie umiała zapomnieć. A on chciał ją kochać całą duszą, poznać pewnego dnia przyczyny tego smutku lub po prostu pokonać ten smutek miłością. Do tego czasu nie mógł wybaczyć Hillary krzywdy, którą wyrządziła Aleksie.

- Kocham cię - powiedział raz jeszcze.

- Och, Robercie, ja też cię kocham.

Ich usta spotkały się najczulszym pozdrowieniem, w obietnicy wiecznego szczęścia. Alexa wtuliła się w Roberta, bezpieczna w jego silnych ramionach. A gdy jej złota głowa spoczęła na jego piersi, serce zaśpiewało triumfalną pieśń: Witaj w domu.

Robert milczał chwilę, porażony niezwykłą radością tej chwili. W końcu, kiedy znów mógł mówić, podzielił się z Alexą szczęśliwą wiadomością.

- W czerwcu Brynne i Stephen adoptowali dziewczynkę. James rozmawiał z tobą na ten temat?

- Nie - odparła cicho Alexa, uświadamiając sobie nagle, że James nigdy nie zdradzi tajemnicy. I ze zdziwieniem usłyszała swój własny głos: - To cudownie.

- Cudownie - potwierdził Robert, muskając ustami jej złote włosy. - Och, Alexo, musisz zobaczyć małą Katie. Tego

lata, gdy tak bardzo za tobą tęskniłem, jeździłem do Richmond na weekendy albo choćby na jeden dzień, a obcując z tą uroczą istotką, czułem się jak w oazie szczęścia i spokoju.

W głosie Roberta jest tyle miłości, zapłakało jej serce. Zaczęła się bać, że Robert wyczuje jej drżenie, lecz nie mogła się od niego odsunąć, bo wtedy poszukałby jej oczu, a nie chciała, by je teraz zobaczył.

- Czy ci kiedyś wspominałem, że nie sądziłem, by moje zaangażowanie w ideę pokoju na świecie mogło kiedykolwiek wzrosnąć? Ono jednak stało się jeszcze większe, kiedy się w tobie zakochałem.

- Nie - szepnęła, nabierając odwagi, by na niego spojrzeć, gdyż te ciche słowa miłości wystarczyły, by usprawiedliwić łzy, które zaczęły spływać jej po policzkach. Ale nie podniosła wzroku, na szczęście nie podniosła, bo dzięki temu Robert nie mógł dostrzec, co kryje się w jej oczach.

- Potem byłem już pewien, że to kres moich możliwości. A jednak zaangażowałem się w sprawę pokoju jeszcze bardziej od chwili, gdy po raz pierwszy wziąłem Katie w ramiona. Ona jest taka niewinna, to prawdziwy skarb nadziei i obietnicy. W chwili, gdy przytuliłem ją po raz pierwszy, obiecałem sobie solennie czynić wszystko, by ten świat stał się dla niej spokojnym, cudownym miejscem do życia.

Och, Robercie... Ja też coś obiecałam solennie Katie, Brynne, swemu sercu i tobie.

Przerwa skończyła się o wiele za wcześnie. Ale, jak później żartował Robert, gdyby Alexa nie musiała wrócić do pracy, on na pewno nie wypuściłby jej z objęć i nie poszedłby do swego mieszkania po rzeczy, tak, by jeszcze tego wieczoru mogli rozpocząć nowe życie w Różanej Skale.

Robert musiał zabrać rzeczy i porozmawiać z Hillary. Przy Aleksie ukrywał wściekłość, lecz na samo wspomnienie udręki w jej oczach, bolesnego symbolu tajemniczej rany, która nie chciała się zagoić mimo cudownej radości pojednania, wściekłość wracała falami, tak że zrezygnował z jazdy do Arlington i postanowił zatelefonować do żony. Nie chciał nigdy więcej oglądać Hillary i obawiał się trochę tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby ją odwiedził.

- Sam się tym zajmę, Hillary.

- Robert? - Z trudem rozpoznała jego głos o zwykle dźwięcznym, łagodnym brzmieniu, teraz całkowicie wyzuty z ciepła.

- Wiedziałem od samego początku, jak potrafisz kłamać, jak jesteś próżna i zepsuta. Nie wiedziałem jednak, do jakich granic potrafisz się posunąć, żeby osiągnąć cel.

- Wiem, że nie złożyłam pozwu. Powinnam była. I na pewno to zrobię.

- Nie, ja to zrobię, i to jak najszybciej - powiedział z lodowatą wściekłością i jednocześnie przerażająco spokojnie. - Pozwól jednak, że złożę ci obietnicę, a tej obietnicy dotrzymam. Kiedy się rozwiedziemy, kiedy wreszcie się od ciebie uwolnię, poślubię Alexę, którą kocham całym sercem.

- Thompson! - Zawołał Robert do mężczyzny, idącego kilka metrów przednim.

Na dźwięk swego nazwiska Thompson Hall odwrócił głowę, a kiedy się zorientował, że woła go faworyt partii, jego twarz rozjaśnił ciepły, serdeczny uśmiech. Robert był prawdziwą gwiazdą, wielką nadzieją partii i jednym z jej najlepszych strategów politycznych. Thompson miał zamiar dołożyć wszelkich starań, by te nadzieje się ziściły. Co nie znaczyło, że Robert McAllister potrzebował pomocy. Thompson chciał po prostu uczestniczyć w tej oszałamiającej pogoni za władzą i prestiżem.

- Dzień dobry, Robercie.

- Dzień dobry, masz chwilę?

- Dla ciebie? Zawsze.

Szli do biura Roberta, gawędząc o nieważnych drobiazgach. Dopiero gdy zamknęły się za nimi drzwi, Robert rozpoczął rozmowę.

- Rozwodzę się z Hillary - zaczął Robert. - Mój adwokat złoży papiery w sądzie w Arlington albo dzisiaj późnym popołudniem, albo jutro z samego rana. Sądzę, że reporterzy sądowi natychmiast to wywęszą, więc chciałem, żebyście wy, no i oczywiście ludzie prezydenta wiedzieli pierwsi. Wątpię, czy zainteresowanie sprawą będzie duże, ale będą pytać i lepiej przygotować z góry odpowiedź.

- Odpowiedź? Jaką odpowiedź?

- A co byś powiedział na prawdę? Hillary i ja podjęliśmy decyzję o rozwodzie przed dziesięcioma miesiącami. Byliśmy ze sobą aż do późnego maja, głównie z powodu uroczystości związanych z urodzinami Sama, ale od tego czasu mieszkamy osobno.

- Robercie, musisz to jeszcze przemyśleć.

- Ale to prawda. Zresztą chyba nie potrzeba więcej...

- Chodziło mi o to, że powinieneś przemyśleć rozwód.

- Słucham?

- Rozwód z Hillary to bardzo niemądre posunięcie polityczne. Jesteś pewien, że żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę?

- Mówię ci to wszystko dlatego, żeby ci udzielić rady, a nie dlatego, że rady potrzebuję. Hillary i ja rozwodzimy się. Kropka. Małżeństwa czasem się rozpadają. Kraj jest na tyle dorosły, by przyjąć do wiadomości fakty.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, istnieje naprawdę wiele sposobów, abym mógł zrealizować swoje marzenia i pracować, sposobów nie wymagających wyboru na urząd publiczny.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Absolutnie poważnie. - Robert machnął ręką, jakby na znak, że zamyka temat. - Widzę, że trudno ci zaakceptować te nowiny, więc chyba powiem ci wszystko od razu, żebyś miał czas się przygotować: zaraz po rozwodzie chcę poślubić Alexę Taylor.

- Alexę Taylor? Gwiazdę *Pennsylvania Avenue*?

- Tak. - Robert przerwał na chwilę. Nienawidził kłamstw, ale to jedno wydawało się tak ważne dla Alexy... - Poznałem ją w lecie, już podczas separacji z Hillary, zaraz po powrocie Alexy z podróży dookoła świata. Dotąd udało się nam utrzymać naszą miłość w tajemnicy. Chcielibyśmy, żeby tak zostało.

Thompson Hall wytoczył się z gabinetu Roberta jakby przed chwilą otrzymał cios obuchem w głowę. Cała partia oczywiście przeżyje wstrząs, a dla niego będzie to klęska osobista. Jako doradca prezydenta miałby ogromną władzę. Jeśli jednak karierą Roberta McAllistera zachwieje nierozważne małżeństwo...

Musiał działać. Zastanawiał się nawet, czy do rozmowy z Robertem nie skłonić najbardziej prominentnych działaczy. Rozwód z Hillary pociągał za sobą i tak wystarczające kłopoty, ale ślub z Alexą Taylor oznaczał polityczne samobójstwo. Oczywiście, Alexa była znakomitą, bardzo lubianą aktorką. Istniał wprawdzie precedens w osobie Nancy Reagan, a przede wszystkim jej męża, ale oni pochodzili z zupełnie innej epoki. Aktorka w wieku Alexy nie pasowała do wyobrażeń o Pierwszej Damie. Thompson nie odważył się jednak wyrazić głośno swoich wątpliwości i bał się, że jego

koledzy partyjni mogą również nie mieć na to ochoty.

Jedyną nadzieję pokładał więc w narzeczonej Roberta. Podczas rozmowy z Alexą musiał wznieść się, oczywiście, na wyżyny dyplomacji.

Alexa miała właśnie wyjść ze studia, kiedy zatelefonował Thompson. Nie miała okazji go poznać, lecz wiedziała, jaką rolę odgrywa w partii Roberta. Wiedziała również, że Robert chciał go poinformować zarówno o planowanym rozwodzie, jak o małżeństwie. Kiedy Thompson oświadczył, że musi się z nią spotkać na osobności, zaprosiła go do Różanej Skały.

- Ten kraj potrzebuje Roberta McAllistera, panno Taylor.

- Wiem o tym, panie Hall.

- Taką miałem nadzieję. To mi zresztą ułatwia zadanie.

- Zadanie?

- Chciałbym panią poprosić, by rozważyła pani raz jeszcze swoje plany.

- Uważa mnie pan za obciążenie polityczne?

- Niestety tak. Jest pani aktorką. Może pani styl życia jest fascynujący i godny naśladowania amerykańskiej prowincji, ale...

- ...nie pasuje do Pierwszej Damy? Trochę za dużo seksu i kokainy?

- Alexo - łagodził cierpliwie Thompson. - Kiedy Robert zacznie się ubiegać o prezydenturę, ta druga partia, niegrzeczni chłopcy, nie będzie szczydziła środków, aby odkryć jak najwięcej szczegółów z pani życia. Tylko jakiś skandal związany z pani osobą, na przykład rozbierane zdjęcia zrobione w czasach, gdy była pani głodującą młodą aktorką, da im nadzieję na pokonanie Roberta. W szafie Roberta nie znajda żadnych szkieletów, będą więc chcieli sprawdzić dokładnie pani biografię.

- I nie odkryją żadnych szkieletów, Thompson - odparła Alexa, naśladowując perfekcyjnie protekcyjny ton swego rozmówcy. - Nie zażywam narkotyków, nigdy tego nie robiłam. Dopisało mi szczęście. Nigdy nie głodowałam. Nigdy nie musiałam decydować się na kompromis.

- Tak więc możesz odtworzyć każdą chwilę swojego życia przed amerykańską publicznością?

- Każdą chwilę.

- Cudownie, co za ulga... - Uśmiechnął się szeroko, lecz był to uśmiech polityka. - W takim razie nie będziesz miała mi za złe, jeśli każę cię sprawdzić.

- Co takiego?

- Więc będziesz miała? To może znaczyć, że jednak uda mi się coś znaleźć.

- Nie, ale nie życzę sobie, by ktokolwiek naruszał moją prywatność. Poza tym jestem pewna, że Robert się na to nie zgodzi.

- Będzie wściekły jak diabli, ale się zgodzi. Miałem jednak nadzieję, że załatwimy całą sprawę między nami. Mogę bardzo łatwo obronić swoje racje. Jak mówiłem, pewnego dnia jakiś dawno zapomniany incydent z twojego życia zostanie wykorzystany przeciwko tobie. Jeśli dowiemy się tego zawczasu, uda się nam ograniczyć straty i zapanować nad sytuacją. Robert na pewno pomyśli, że chcę się tym zająć stanowczo za wcześnie. A za propozycję przemyślenia planów małżeństwa, w razie gdybyśmy znaleźli coś naprawdę niewybacznego, będzie miał do mnie pretensję. Uzna jednak w końcu, że nie ma innego wyjścia. Tak, panno Taylor, ja potrafię wyjaśnić, dlaczego chcę cię sprawdzić. Teraz niech mi pani wyjaśni przyczyny swojej odmowy.

- Bo to irytujące. Robert na pewno podzieli moje stanowisko. - Alexa wzruszyła lekko ramionami, jakby cała sprawa nie miała dla niej znaczenia. - Proszę bardzo, niech pan sprawdza.

- Chce pani rozmawiać o tym z Robertem?

- Chyba nie, pod warunkiem, że jeśli pan znajdzie coś poważnego, najpierw pan poinformuje o tym mnie, nie Roberta.

- Musi pani jednak obiecać mi coś w zamian: zmieni pani plany matrymonialne, jeśli uznam, że jakieś szczegóły z pani życia mogą mu złamać karierę.

- Nic łatwiejszego. Wiem, że niczego takiego pan nie znajdzie, panie Hall?

- Wtedy pierwszy wam pogratuluje.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Ile czasu zajmie dochodzenie?

- Kilka miesięcy. Powinno się zakończyć przed świętami.

Ty naprawdę chcesz coś znaleźć, prawda Thompsonie Hall? - pomyślała Alexa. Samochód odjechał z rykiem, a w chwilę później, wpadając zbyt szybko w niebezpieczny zakręt, zahamował gwałtownie z piskiem opon.

Będąc mistrzem polityki, przysiągł, że pierwszy będzie jej życzył wszystkiego najlepszego, jeśli dochodzenie nie przyniesie żadnych rezultatów, ale zdradziły go oczy. Alexa czuła, że Thompson jej nie aprobeuje i nigdy się do niej nie przekona. Lecz z jakichś niezrozumiałych względów ta wrogość działała na nią uspokajająco. Thompson miał zamiar przefiltrować dokładnie jej życiorys, nie pomijając żadnych tropów, niczego nie bagatelizując. Jeśli popełniła błąd, detektywi Thompsona będą mieli teraz okazję odkryć jej sekret. Jeśli jednak tajemnica nie wyjdzie na jaw, będzie mogła raz na zawsze zapomnieć o swojej udreće. Wiedziała, że Katie jest bezpieczna i zawsze będzie bezpieczna, podobnie jak związek z Robertem.

Thompson obiecał, że zakończy śledztwo przed świętami. Alexa obawiała się jednak, że będzie musiała zrezygnować ze swojej miłości dużo wcześniej. Za trzy tygodnie wybierała się na weekend do Richmond w towarzystwie Brynne, Stephena i Katie. To spotkanie mogło ją skłonić do rozstania z Robertem. Przy nim musiałaby do końca życia dreć się tym, że w życiu ukochanej córki będzie wyłącznie gościem, nikim więcej.

4

Witajcie! - Brynne ścisnęła Roberta i Alexę, a jej oczy jaśniały. - Stephen i ja tak bardzo się cieszymy, że jesteście razem!

- Dziękuję, Brynne. Szczęściara ze mnie - odparła cicho Alexa. Próbowwała się skupić na rozmowie, lecz świadomość, że gdzieś, niedaleko jest Katie, zajmowała jej wszystkie myśli. Ręce trzymała w kieszeniach płaszcza, z daleka od Roberta. Już kiedyś w przeszłości lodowate palce wbijają się w dłonie mężczyzny zdradziły jej uczucia. Teraz, gdyby Robert trzymał ją za rękę, wyczułby z pewnością ich radosny, a jednocześnie przerażony uścisk.

- To ja uważam się za szczęściarza - powiedział cicho Robert.

- Bo nim jesteś - powiedziała żartobliwie Brynne. - Nie zapominał o tym ani na chwilę.

- Nie zapomnę. Nawet na sekundę. A gdzie twój mąż i córka? Pewnie są razem?

- Oczywiście. W pokoju Katie.

- Jak się wkrótce przekonasz, Alexo, temu opisowi odpowiadają właściwie wszystkie pokoje w tym domu. Wszędzie jest pełno zabawek, poduszczyków i kolorowych koczków - wyjaśnił Robert z łagodnym uśmiechem.

- To prawda - przyznała Brynne. - Ale teraz Katie jest w swojej sypialni. Bawi się z ojcem, który, niestety, nie może

przebywać z nią codziennie od rana do nocy. Nie spała nawet przez chwilę. A w tej chwili Stephen usiłuje ją przekonać, że drzemka to niegłupi pomysł. Robi to zresztą od dłuższego czasu, co znaczy, że chyba nic z tego nie wyszło, choć Katie jest naprawdę bardzo śpiąca.

- Tak śpiąca, że jej wielkie piwne oczy same się zamknęły - powiedział Stephen, który pojawił się właśnie w holu i obdarzył powitalnym uśmiechem Alexę i Roberta. - Obiecałem jej, że kiedy się obudzi, pozna wujka Roberta i ciotkę Alexę. Zasnęła uszczęśliwiona.

- Czekając na Katie, Stephen i ja będziemy mówili wyłącznie o niej - wyznała zartobliwie Brynne.

- Nie widzę w tym nic złego - powiedział Robert.

- Wiem, ale tak naprawdę chcielibyśmy poznać plany was dwojga.

- Są proste i cudowne. Zamierzamy spędzić razem resztę życia. Pobierzemy się w Walentynki.

- Bardzo romantyczne - powiedziała z uśmiechem Brynne. - I może rozsądniejsze niż wasz pierwotny plan, żeby wziąć ślub w godzinę po rozwodzie.

- To prawda - zgodził się Robert, tak jak przed dwoma tygodniami, gdy Alexa wyraziła tę samą opinię. Ślub natychmiast po rozwodzie wzbudziłby publiczne zainteresowanie, którego do tej pory starali się unikać. Poza tym, jak twierdziła Alexa, do tego czasu zakończy się filmowanie *Pennsylvania Avenue* i ona będzie mogła poświęcić każdą chwilę swego życia na bycie żoną. Zresztą ostatnią rozprawę rozwodową wyznaczono na dziewiętnastego grudnia, rocznicę śmierci Marion i Arthura Sterlingów.

- Jak się miewa twoja siostra? - spytała Brynne Alexę w godzinę później.

Panowie wyszli po wino do kolacji, a panie były w kuchni. Brynne piekła ciasto, a Alexa pilnie ją obserwowała.

- Bardzo dobrze - odparła cicho Alexa, a na słowa „twoja siostra” wzbrała w niej fala serdecznych uczuć. Cat odwiedziła ją w Różanej Skale, a później często prowadziły rozmowy przez telefon. Alexa wyznała siostrze całą prawdę o Robercie, a Cat przyjęła nowiny z miłością i zrozumieniem, pragnąc, jak zwykle, jej szczęścia. - Cat chyba też jest zakochana. Myślę, że zakochała się w Alainie Castille'u.

- W księciu L'ile des Arcs-en-ciel? Naprawdę?

- Naprawdę. Teraz jest na tournée w Europie, a Alain nie opuszcza żadnego jej koncertu. Dni wolne od występów Cat spędza w pałacu. Sądząc po jej głosie, jest bardzo szczęśliwa, a ich związek wydaje się poważny.

- Marion i Arthurowi Alain bardzo się podobał. Uważali, że jest czarujący.

- Też odnosiłam takie wrażenie - powiedziała cicho Alexa. - Ale nie wspominałam Jamesowi o Cat i Alainie, bo jestem pewna, że każda wzmianka na temat wyspy kojarzyłaby mu się natychmiast z tragedią.

- Więc nic nie mówiłaś?

- Nie, ale też nie było okazji. James od wielu miesięcy jest za granicą. Prowadzi jakieś ważne negocjacje w Kolumbii. Nie wie nic o mnie i o Robercie.

- Czy to problem? Ty i James...

- Nie. James to mój wspaniały przyjaciel. Tak już jest zresztą od dawna.

- Jak on się czuje? - spytała nagle Brynne. - Kiedyś byłam z nim blisko, ale od śmierci Arthura i Marion wszystko się zmieniło. James oddalił się ode mnie i psychicznie, i fizycznie. Robert chyba ci mówił, że przeprowadził dla nas adopcję Katie. To on ją zresztą tutaj przywiózł. - Westchnęła cicho. - James zrobił naprawdę bardzo dużo dla Stephena i dla mnie. Teraz ja z kolei chciałabym zrobić coś dla niego. Jak sądzisz? Czy to możliwe?

- Nie wiem, Brynne. James był zawsze skryty, a po śmierci Marion i Arthura jeszcze bardziej zamknął się w sobie.

Poza tym... - Urwała w połowie zdania, bo z daleka dotarł do niej dźwięk, który odbiera tylko ucho matki. Dźwięk, który usłyszała zarówno Alexa, jak i Brynne.

- Ty też ją słyszałaś? - spytała zdziwiona Brynne.

- Chyba tak.

- Właśnie się budzi i pewnie nie bardzo wie, gdzie jest. Muszę do niej pójść, żeby się nie denerwowała. Co nie znaczy - dodała z lekkim uśmiechem - że kiedykolwiek przyszłam do niej za późno.

Brynne kończyła właśnie dekorowanie placka, ale przerwała w połowie to nieważne zajęcie i podeszła szybko do zlewu, żeby umyć ręce.

- Z przyjemnością ją przyniosę - powiedziała szybko Alexa. - O ile oczywiście, nie przestraszy się na mój widok.

- Dziękuję ci bardzo. Nie, Katie, na pewno się nie przestraszy. Od razu rozpoznaje osoby, które ją kochają. A jestem pewna, że ty od razu pokochasz naszą małą córeczkę - dodała szybko.

- Ja też jestem tego pewna.

- Dobrze, w takim razie skończę z ciastem, a ty przynieś Katie. Jej pokój jest na górze, drugie drzwi na lewo.

Powracając z rzeczywistości snu do szczęśliwego życia, Katie gaworzyła słodko. Słuchając uroczych dźwięków, wydawanych przez córeczkę, Alexa stała przez chwilę w progu, a potem podeszła na chwiejnych nogach do białoróżowej kołyski.

- Śliczna jesteś, prawda? - powiedziała cicho, patrząc przez łzy na uśmiechniętą dziewczynkę. W maleńkiej twarzyczce dostrzegała wyraźnie rysy Roberta i Brynne. Inni, gdyby wiedzieli jak patrzeć, zauważyliby również podobieństwo Katie do Alexy.

Taka śliczna i taka szczęśliwa - pomyślała Alexa, gdy dziecko spojrzało na nią pogodnie ciemnymi oczyma.

Katie oczywiście nie znała jej twarzy. I nawet gdyby uwierzyć, że noworodek jest w stanie zapamiętać twarz matki patrzącej nań z miłością tuż po urodzeniu, to Katie i tak zapamiętałaby obraz czarnowłosej kobiety z niebieskimi oczyma, a nie tę panią, którą widziała teraz. Jasnowłosą, zielonooką blondynkę powitała zaciekawionym, spokojnym uśmiechem.

Żadnych trosk, kochanie, pomyślała Alexa. Było to jednocześnie pragnienie i obietnica. Życzę ci wyłącznie szczęścia.

- Witaj, maleńka - szepnęła.

Mówiła tak samo łagodnie jak w ciągu tych kilku miesięcy, które poprzedzały narodziny Katie, i w ciągu tych kilku cennych chwil spędzonych razem z córką w szpitalu. Na dźwięk głosu Alexy w ciemnych oczach Katie pojawiło się zdziwienie, a duże piwne oczy dziewczynki przyjrzały się uważnie nieznanemu twarz.

Czy to możliwe? Czy ona naprawdę rozpoznaje mój głos? Alexa czuła, że po policzkach spływa jej strumień gorących łez. A potem ostrożnie, bardzo ostrożnie wyjęła córeczkę z łóżeczka i wzięła ją w ramiona. Katie nie odrywała wzroku od jej twarzy, a jej maleńkie rączki dotknęły zażawionych policzków, gładząc, klepiąc, szukając...

- Och, Katie, Katie - szepnęła Alexa. Ale jej czuły, kochający głos sprawił maleństwo w jeszcze większe zakłopotanie. Zakłopotanie, nie szczęście czy radość.

Nie wolno mi już mówić, upomniała się w duchu Alexa. Nie chcę, żeby Katie się martwiła, smuciła, czy kłopotowała choćby przez chwilę.

Czy to znaczy, że trzeba się rozstać z Robertem i zrezygnować z miłości? Przed wizytą u Brynne Alexa brała bardzo poważnie pod uwagę taką możliwość. Teraz jednak wiedziała, że to nie będzie konieczne. Radość z widywania Katie górowała zdecydowanie nad poczuciem poniesionej straty.

Z drugiej strony, od chwili gdy Alexa dowiedziała się o ciąży, wszystkie podejmowane przez nią decyzje miały na celu szczęście Katie. Czy rzeczywiście dziewczynka już nigdy nie powinna słyszeć jej głosu? Czy obecność cioci Alexy miała ją już zawsze wprawiać w zakłopotanie?

Alexa przytuliła Katie i kołysząc dziecko, całowała ciemne loczki, by zapamiętać tę cenną chwilę, ciepło Katie i jej słodycz jakby w obawie, że to ostatnia po temu okazja.

Tak właśnie zastała je Brynne, gdy dużo później przyszła do pokoju Katie, skończywszy placek. Ani Katie, ani Alexa nie zauważyły jej obecności, więc Brynne stała przez chwilę w progu, obserwując ten słodki obrazek z czułym uśmiechem.

Alexa jest taka miła i pełna ciepła - myślała Brynne. Ile dobroci okazała mi pewnego smutnego sierpniowego dnia. Robert naprawdę miał szczęście. Mój ukochany brat wreszcie zazna radości.

Przenosząc spojrzenie z Alexy na dziecko w jej ramionach, myślała o szczęściu Roberta, Alexy i swoim własnym. Doczekała się prawdziwego błogosławieństwa losu. Cud Katie był źródłem niewysłowionej radości. A teraz, jakby i tego było mało, w jej łonie rozkwitał kolejny cud.

O tym nowym życiu Brynne nie powiedziała jednak nikomu oprócz Katie.

- Kochanie, będziesz miała maleńką siostrzyczkę, albo braciszka - oznajmiła jej. - Myślisz, że to będzie siostrzyczka? Ja też tak myślę. Uważam poza tym, mój mały cudzie - dodała w zamyśleniu - że to maleństwo przyjdzie na świat dzięki tobie. Może słyszy, jak świetnie się bawimy, czuje moją miłość i dlatego zdecyduje się wyrosnąć na dużą i silną dziewczynkę.

Dziecko Brynne miało osiemnaście tygodni i zostało poczęte dokładnie w dniu narodzin Katie, tuż po telefonie Jamesa, w noc ogromnej radości, kiedy Brynne i Stephen zapomnieli o środkach ostrożności, które zwykle stosowali, aby oszczędzić sobie kolejnej tragedii poronienia. To dziecko przeżyło jednak sześć tygodni dłużej niż inne i lekarz był pełen optymizmu. Ale Brynne nie powiedziała na razie Stephenowi o ciąży. Chciała najpierw mieć pewność, a ciąża była jeszcze niewidoczna. Maleńkie życie spoczywało bezpiecznie skulone w jej tonie.

Na razie zamierzała dzielić swój sekret z uroczym zawiniątkiem wtulonym w ramiona Alexy, ukochaną dziewczynką, która tak bardzo chciała teraz przycisnąć do serca.

- Nie słyszę żadnego marudnego dzidziusia - powiedziała łagodnie.

Czar prysł, a Alexa, która straciła całkowicie poczucie czasu, zmieszana się. Buzia Katie natomiast rozjaśniła się na dźwięk znajomego głosu. Jej oczy rozbłysły radością, a twarzyczka zwróciła się w stronę, skąd dochodził łagodny, znajomy głos, głos matki.

- Bo dzidzius nie jest marudny - zgodziła się Alexa, patrząc uważnie na Katie. Jej maleńka brewka drgnęła, ale spojrzenie było wciąż utkwione w Brynne. Nawet jeśli głos Alexy zaniepokoił dziewczynkę, teraz przepelniała ją radość.

- Ona nigdy nie marudzi - powiedziała Brynne, biorąc Katie na rękę. Już po chwili dwie pary piwnych oczu spotkały się, a nosy potarły.

- Jak się miewa moja dziewczuszka? - pytała czule Brynne. - Dobrze ci się spało? Jakie masz różowe policzki! Musiałaś dobrze wypocząć po zabawie z tatą, prawda?

Wymieniwszy powitania z Katie, Brynne przeniosła spojrzenie na Alexę i na jej czoło wypłynęła zmarszczka niepokoju.

- Płakałaś?

- Z radości. Tak bardzo się cieszę, że ty, Stephen i Katie jesteście szczęśliwi.

- Wciąż jeszcze w to nie wierzę - szepnęła Brynne, a jej oczy zaszyły mgłą. - Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon,

serce przestaje mi bić ze strachu.

- Przecież to zamknięta adopcja. James dołożył chyba wszelkich starań, żeby biologiczna matka nie mogła znaleźć Katie.

- To prawda, ale...

- To twoja córka, Brynne - powiedziała pewnie Alexa.

Nigdy nie złamię przysięgi - myślała. Mówiła już teraz swoim zwyczajnym głosem, nie tym przeznaczonym wyłącznie dla córki, i dostrzegła z ulgą, że głos ten nie budzi w Katie żadnych kłopotliwych wspomnień.

- To twoja córka - powtórzyła radośnie, teraz już pewna, że nie będzie musiała żegnać się Katie na zawsze.

James wrócił z Kolumbii pierwszego listopada. Jedynym listem, który zwrócił jego uwagę po powrocie do Inverness była ręcznie pisana kartka od Alexy z datą sprzed dwóch tygodni: Jamesie, mam wspaniałe nowiny, zadzwoń, Alexa. Nie chciała przekazywać mu żadnych wiadomości przez telefon lecz już pół godziny po zakończeniu rozmowy stanęła w drzwiach.

- Jak ci mogę pomóc? - spytała, gdy popatrzyła mu w twarz. James był wyraźnie wyczerpany, znużony, miał wyprane z koloru, niemal szare oczy.

- Pomóc?

- Ty tak bardzo mi pomogłeś, a...

- Nic mi nie dolega. Jestem po prostu zmęczony. - Bezskutecznie próbował się uśmiechnąć. - Negocjacje posuwają się naprzód, teraz mamy dwa tygodnie przerwy, a potem wrócimy, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Sądzę, że porozumienie będzie gotowe jeszcze przed Gwiazdką.

- To świetnie. Chciałabym, żebyś przyjechał na święta.

- A jakie są twoje wspaniałe nowiny?

- W Walentynki Robert i ja bierzemy ślub. Chcemy, żebyś był naszym drużbą. Cat i Brynne już się zgodziły.

- Czy on wie?

- Nie, nie wie. I nigdy mu nie powiem.

- Musi poznać prawdę.

- Nie potrafię się na to zdobyć. Myślałam, że mi się uda, ale dwa tygodnie temu pojechaliśmy do Richmond zobaczyć Katie. Robert tak bardzo ją kocha. A ona jego. Zupełnie jakby oboje wiedzieli. Ale nie wiedzą i nigdy się nie dowiedzą. Dlatego ta miłość będzie zawsze radosna, cudowna, bezproblemowa. A prawda przysporzyłaby Robertowi tyle smutku... - Alexa wzruszyła ramionami, jakby podkreślając, że James nie zrozumie tego, co właśnie zamierzała powiedzieć. - Za bardzo go kocham, żeby mu wyjawić prawdę. Wolałabym się z nim rozstać, niż sprawić mu tyle bólu.

Wbrew temu, co sądziła, James doskonale ją rozumiał. Wiem, co to znaczy kochać za bardzo, by sprawić ból - myślał. Z tego powodu pożegnałem się z Catherine, którą bardzo kochałem i nadal kocham.

- Och, Alexo - westchnął.

- Co takiego, Jamesie?

- Pamiętam jeszcze czasy, kiedy wszystko wydawało mi się takie nieskomplikowane. Wspomnienie jest jednak tak odległe, że zaczynam wątpić, czy te czasy kiedykolwiek były.

- Były i jeszcze nadejdą. Jeszcze będziemy szczęśliwi. Do Bożego Narodzenia świat zmieni się na lepsze - dodała.

- Po raz drugi wspominasz o świętach? Dlaczego?

- Jest parę powodów. Przede wszystkim ty wrócisz zwycięski z Kolumbii. A Cat wystąpi na tradycyjnym

świętecznym koncercie w Białym Domu. Przyjadą moi rodzice. Chciałabym, żebyś ich poznał.

- Z przyjemnością.

- To świetnie. Bardzo się cieszę. Są i inne powody. Robert zakończy sprawę rozwodową. - Alexa uśmiechnęła się radośnie. - Poza tym do świat Thompson Hall z przykrością będzie musiał uznać, że jestem odpowiednią żoną dla Roberta.

- Co to znaczy?

- Chyba wiesz, kim jest Thompson Hall, prawda?

- Oczywiście.

- Cóż... Thompson Hall prowadzi dochodzenie w mojej sprawie. Chce się przekonać, czy będę odpowiednią Pierwszą Damą. Najpierw byłam wściekła, ale potem doszłam do wniosku, że prędzej czy później ktoś i tak by się tym zajął. Dzięki Thompsonowi mam szansę zyskać pewność, że nikt nigdy nie odkryje prawdy o Katie. I będzie to dla mnie najwspanialszy prezent na gwiazdkę.

- Przecież mamy już taką pewność. Oprócz doktora Lawtona, w którego dyskrecję wierzę bez zastrzeżeń, o twojej ciąży wiedzą tylko osoby, które cię kochają. O twoim romansie z Robertem również. - James poszukał szmaragdowych oczu Alexy, ona jednak uciekła przed jego spojrzeniem. - Alexo? - spytał ostro.

- O romansie wiedziała Hillary.

- Co takiego?

- To właśnie ona, okrutna i sprytna Hillary, doprowadziła do naszego rozstania.

- Wiedziała jeszcze przed tamtą galą?

- Tak. To świetna aktorka, prawda? Gdybyś to ją trzymał wtedy za rękę, też na pewno wszystkiego byś się domyślił - dodała żartobliwie Alexa, próbując złagodzić gniew płonący teraz w niebieskich oczach Jamesa.

- Przecież to wszystko zmienia.

- Nie. Hillary nie wie nic o dziecku. Sądziła, że udało się jej nas skłócić. A zesłej wiosny ani razu tu nie była. Poza tym, gdyby się czegokolwiek domyślała, nie zachowałaby tej informacji dla siebie.

- Na pewno? Już zapomniałaś, jaka ona jest? Z tego, co mówiłaś o Hillary, wynika, że z taką rewelacją czekałaby tylko na stosowny moment. A podała by ją do wiadomości publicznej na przykład w wigilię waszego ślubu. Albo w dzień nominacji Roberta. Może nawet czekałaby do zaprzysiężenia? Sądzisz, że coś by ją powstrzymało przed zniszczeniem Brynne i Stephena?

- Hillary nie wie!

- Nie możesz być tego pewna! Już zapomniałaś, dlaczego oddałaś Katie Brynne i Stephenowi? Marzyłaś o tym, żeby twoja córka była bezpieczna, szczęśliwa i nie zagrożona skandalem, prawda? A teraz chcesz, żeby zyskała sławę jako dziecko, które odebrało ojcu prezydenturę?

- Nie, do tego nie dojdzie! Nie pozwolę na to - powiedziała Alexa uroczyście. - Jeśli Hillary się dowie, a wierzę, że do tego nie dojdzie, powie o wszystkim Thompsonowi Hallowi lub mnie. Znam Hillary i wiem, że jestem jedyną osobą, którą ona tak naprawdę chce skrzywdzić. I będzie najszczęśliwsza, jeżeli nie dopuści do mojego małżeństwa z Robertem. Jeśli się dowie, powie Thompsonowi albo mnie i zrobi to w miarę szybko, przed rozwodem.

- I?

- I jeśli zamiast zwrócić się do mnie, pójdzie do Thompsona, on przyjdzie z tym do mnie. Obiecał, że jak coś odkryje, natychmiast mnie o tym poinformuje.

- I?

- Wtedy, nawet jeśli jego informacje okażą się choćby bardzo luźno związane z Katie, pożegnam się z Robertem.

James wiedział, że Alexa mówi poważnie. W pięknych szmaragdowych oczach dostrzegł to samo, co w nich widział w dniu, kiedy Alexa poprosiła go o przeprowadzenie adopcji. Spojrzenie to mówiło wyraźnie, że dotrzyma obietnicy nawet kosztem największego cierpienia.

5

L'île des Arcs-en-ciel
grudzień 1990

Alain i Catherine siedzieli na swoim ulubionym miejscu na skale nad morzem i patrzyli, jak lśniące tęcze znikają powoli w różowym zimowym zmierzchu. Siedzieli w milczeniu, wspólnie przeżywając wspaniałość tych chwil. W ten zimowy wieczór cisza nie była jednak tak kojąca jak zazwyczaj. Zakłócał ją smutek na twarzy Alaina. Za niespełną godzinę jego prywatny samolot miał zabrać Catherine do Paryża, skąd miała polecieć do Waszyngtonu. Czekala ich prawie dziesięciodniowa rozłąka, najdłuższa od czasu, gdy rozkwitła ich miłość. Alain martwił się tym rozstaniem, lecz Catherine wyczuła, że kryje się za tym coś jeszcze. Coś, co z pewnością chciał jej wyjawic, bo nie mieli przed sobą tajemnic.

- Alain? - odezwała się cicho.

- Chciałbym, żebyś coś przemyślała.

- Dobrze - zgodziła się od razu, widząc niepewność w jego oczach. Niepewność całkiem niepotrzebną. Alain mógł się jej zwierzyć ze wszystkiego. - O co chodzi? - ponagliła z uśmiechem.

- Zastanów się, czy zgodzisz się mnie poślubić - powiedział cicho.

- Alainie - szepnęła, a w jej szafirowych oczach błysnęła radość. - Nie potrzebuję dziesięciu dni, żeby o tym myśleć.

Tak, wyjdę za ciebie za męża.

- Tak?

- Oczywiście - powtórzyła, gdy wziął ją w ramiona. - Kocham cię.

- I ja ciebie kocham - szepnął, muskając ustami jej czarne włosy. - Kocham cię i przez następne dziesięć dni będę bardzo za tobą tęsknił.

- A ja za tobą - wyznała cicho. - Ale ty będziesz bardzo zajęty spotkaniami z przyjaciółmi, których zaniedbywałeś przez całą jesień wyłącznie przeze mnie.

- To prawda. A ty spędzisz miło czas z Alexą i rodzicami. Ale to będą ostatnie święta, które spędzimy z dala od siebie.

Obietnica Alaina była pełna miłości, lecz Catherine przeszył nagle dreszcz; duchy przeszłości dały o sobie znać. Równy rok temu, dokładnie w przedświąteczną niedzielę, James złożył jej identyczną obietnicę.

- Już nigdy - powtórzyła, a lodowaty powiew duchów tamtej miłości przenikał ją nadal. Ich cudowna dyskretna miłość była tajemnicą, tylko oni wiedzieli o jej istnieniu. Teraz dyskrecja przerażała Catherine, tak jakby podświadomie przeczuwała, że miłość skrywana przed światem nie ma szans na przetrwanie, a ona pragnęła, by przetrwała całą wieczność.

- Czy mogę powiedzieć Aleksie i rodzicom, że mamy zamiar się pobrać?

- Oczywiście. A ja mogę to zdradzić Natalie? Będzie taka przejęta. Już myśli o tobie jak o siostrze.

- Dobrze, powiedz jej.

- Będzie chciała zaprojektować twoją obrączkę.

- I na pewno zaprojektuje, prawda? - rzekła z czułością, bo lubiła przyszlą szwagierkę. Natalie była uzdolnioną plastyczką, śmiałą, pełną nowatorskich pomysłów. Na pewno potrafi zaprojektować fantastyczną obrączkę, prawdziwe dzieło sztuki, ale...

- Ale obrączka powinna być taka, jaką sama sobie wymarzysz. - Alain wyraził to, czego nie powiedziała na głos: że pomysł Natalie może okazać się wspaniały, ale nie dla nich.

- I taka, jakiej ty pragniesz.

- Myślałem o szmaragdach i rubinach...

- Kocham cię - odparła w odpowiedzi na ten niewinny żart. Szmaragdy i rubiny byłyby okropne, lecz Alain proponował coś, co byłoby jak najdalsze od oczywistości, czyli od szafirów pasujących do szafirowych oczu Catherine. Wiedział już od niej o szafirach, które otrzymała w dowód miłości od matki i Jamesa. Żartując, chciał powiedzieć, że nigdy nie dałby jej klejnotów nasuwających smutne skojarzenia.

- Ja też cię kocham. - Alain ujął lewą dłoń Catherine w obie ręce. - Właściwie myślałem o twoim pierścionku zaręczynowym.

- Tak?

- Brylant, prosty i elegancki, o pięknym szlifie, osadzony w białozłotym złocie...

- Cudownie, Alainie.

- Czy już naprawdę nikt nie ma ani krzty szacunku dla dni, w które finalizuje się rozwody? - spytała Alexą ze śmiechem pomieszanym z irytacją. Odłożyła słuchawkę na widełki i odwróciła się do Catherine, w której towarzystwie jadła leniwie śniadanie, dopóki nie zadzwonił telefon.

- Co się stało? - spytała Cat.

- Chcą, żebym dziś pracowała. A jesteś przecież świadkiem, że wczoraj przyszłam do domu o jedenastej w nocy z uroczystą obietnicą od reżysera, że w zamian za te późne zdjęcia dostanę dzień wolny!

- Owszem. A teraz cię potrzebują?

- Tylko do popołudnia. Przynajmniej tak twierdzą. Tym razem poproszę chyba o zapewnienie na piśmie, ale mówią, że jeśli się zgodzę, będę wolna aż do świąt.

- To fantastycznie.

- Prawda? Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. W tej sytuacji poproszę cię chyba, żebyś w drodze do Białego Domu podrzuciła mnie na miejsce, a po skończonych zdjęciach skorzystam z czyjejs uprzejmości albo wezwę taksówkę.

- Około południa skończę próbę. Może po prostu przyjadę do studia i zaczekam na ciebie?

- Nie, Cat. Będziesz musiała wyjechać na lotnisko po Jamesa, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Po Jamesa? - spytała cicho Cat.

- Tak, zadzwonił do mnie wczoraj po południu. Nie wiem dokładnie, jakie negocjacje prowadził w Kolumbii, ale odniósł sukces i dzisiaj wraca do domu. I o pierwszej piętnaście ma wylądować na Dulles, a ja obiecałam, że po niego wyjadę.

- Zawsze witasz go na lotnisku?

- Nie, ale dokładnie rok temu zginęli jego rodzice i pomyślałam. Alexa wzruszyła ramionami. - Oczywiście nie wspomniałam nawet o tym a on chyba nie będzie bardziej smutny niż zwykle, ale...

- Ale co?

- Ale nie powiedział, żebym nie wyjeżdżała. Wszystko jedno. Mamy święta, a James jest sam. Mam nadzieję, że zje

z nami bożonarodzeniowy obiad. Myślałam, że dziś go zaproszę, ale w tej sytuacji ty go zaprosz. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

- Wspaniale. W takim razie zaprosz go też na dziś, jeśli chcesz. Robert przyjedzie koło szóstej.

Kiedy przed rokiem robili plany na przyszłość, obiecywali sobie, że będą się witać na lotniskach. Wydawało im się to zresztą bardzo romantyczne. Nie chcieli się rozstawać na dłużej niż tydzień i sądzili, że nie wytrzymają nawet tych kilku dni rozstania.

A teraz Catherine nie widziała Jamesa, odkąd pożegnała się z nim w lipcu na L'île, a minął już rok od czasu, gdy ich wspaniałe plany zaczęły walić się w gruzy.

Kiedy jednak James wysiadł z samolotu i zobaczył, że Catherine na niego czeka, było tak, jakby tego ostatniego roku nigdy nie było, a ich radosna, magiczna miłość wciąż żyła i kwitła. Oczywiście James nie był przygotowany na taką niespodziankę i jego serce zareagowało szybciej niż rozum. W tej samej chwili do głosu doszło serce Catherine, a w jej oczach pojawiły się te same pragnienia, jakie wypełniały oczy Jamesa.

Ta cudowna chwila nie mogła trwać wiecznie. Bardzo szybko, stanowczo zbyt szybko, do całej sprawy włączył się rozum i przypomniał sercom, jaka jest prawda. Gdy stanęli naprzeciw siebie, oboje zdawali już sobie sprawę z tego, że ta cudowna chwila nie powinna była się wydarzyć, i wymienili przepaszające uśmiechy.

- Witaj, Catherine - powiedział cicho James.

- Witaj. Alexa musiała iść do studia.

Rozmawiali trochę, więcej milczeli i już po parunastu minutach Catherine zaparkowała przed rezydencją w Inverness. Jeszcze nie zaprosiła Jamesa na świąteczny obiad, tym bardziej na kolację z Robertem i Alexą w Różanej Skale. Nie wspomniała mu również o swoich planach, o których mówiono by na pewno przy obu okazjach.

- Jamesie?

- Tak?

- Alain poprosił, żebym za niego wyszła, a ja się zgodziłam.

- Alain? Alain Casnile?

- Tak. - Catherine zmarszczyła brwi. - Alexa ci nie mówiła, że się widujemy?

- Nie.

- Ach, tak. - Popatrzyła śmiało w jego zdumione oczy. - Chyba musisz mi życzyć wszystkiego najlepszego.

- Catherine...

- Tak?

- Jak dobrze go znasz?

- Bardzo dobrze - zapewniła, uśmiechając się z wdzięcznością za okazaną troskę.

- To dobrze. - James zawahał się przez chwilę. - Wiesz o jego ojcu?

- Tak. Wiem o Jean-Lucu. O zdradzie i szaleństwie. Ale ty skąd o tym wiesz? Och, nie - szepnęła, sama odpowiadając na swoje pytanie. - To po to pojechałaś w lipcu na L'île? Żeby dowiedzieć się czegoś o Alainie?

- Nie. Zanim znalazłem się na wyspie, rozmawiałem z Elliotem, a on zna wszystkie te historie. - James znowu się zawahał. Wiedział, że nie ma prawa się w nic mieszać, ale pamiętał aż za dobrze słowa Natalie: „Pewnego dnia Alain z pewnością się ożeni, żeby dać L'île następcę tronu, ale nigdy już nie pomyśli o małżeństwie z miłości”. - Lecz to Natalie

powiedziała mi o Alainie. Od niej wiem, że był już zaręczony.

Gdy znaczenie słów Jamesa wreszcie do niej dotarło, Catherine zalała fala uczuć: potężnego, nieznanego sobie dotąd gniewu i często doświadczanego smutku. Uczucia te pomieszały się ze sobą i rozpoczęły bitwę. Najpierw przemówił gniew.

- I że bardzo kochał Monique? A kiedy ona zginęła tragicznie, na co Alain patrzył z bezradnym przerażeniem, był niemal przekonany, że już nigdy się nie zakocha? Och, tak, wiem. - Urwała, gniew minął równie szybko, jak się pojawił. - Naprawdę nie możesz sobie wyobrazić, że ktoś może mnie kochać? - szepnęła smutno, trochę zdziwionym tonem. - Tylko dlatego, że ty nie mogłeś?

- Przecież cię kochałem. Wiesz o tym.

- Sądziłeś, że kochasz - odparła równie cicho jak przedtem. Gniew powrócił, zniszczył wszelką łagodność i przypomniał Catherine dokładnie, jak bardzo cierpiała, kiedy James ją opuścił. I już po chwili słyszała swe własne, okrutne słowa, słowa, które płynęły jej z ust z przerażającą łatwością, niczym rwąca rzeka bólu:

- Ale byłam taka naiwna! Nie wiedziałam nic o miłości. Teraz jednak już wiem. Poznałam prawdziwą miłość dzięki Alainowi. On wie o mnie wszystko, wszystko... I wtajemniczył mnie też w swoje sekrety. Jego życie było również pełne bólu, ale on się nie boi dzielić ze mną nawet tych najbardziej mrocznych uczuć. Ufa naszej miłości i mnie. Dlatego zwierza mi się i z radości, i z cierpienia. Ty mówiłeś mi tylko o radościach, Jamesie a ja już wiem, że to nie jest prawdziwa miłość.

- Och, Catherine...

- Ciesz się moim szczęściem. Nie pozwoliłeś się kochać, kiedy byłam na to gotowa! I nigdy nie kochałeś mnie tak jak Alain. On nie odrzuciłby mojej miłości, nawet gdyby umierał. Pozwoliłby mi się kochać.

- Kochałem cię, Catherine - szepnął James. - Jak możesz w to wątpić?

- Teraz to już nie ma znaczenia, prawda?

Ma, krzyczało jego serce. Kochałem cię! Kocham! Zawsze będę kochał!

- Nie... - odparł cicho, zanim wysiadł. - Chyba nie.

Kiedy Catherine wróciła do Różanej Skały, Alexa krzątała się po kuchni.

- Jak on się miewa?

- Dobrze.

- Przyjdzie na kolację?

- Nie, dzisiaj nie. I zapomniałam go zapytać o święta.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Mam ochotę na długi, gorący prysznic.

- Wykąp się u mnie. Chyba chwyta mróz?

- Tak. - Catherine miała dreszcze, ale te lodowate dreszcze nie miały nic wspólnego z mroźnym wieczorem ani przenikliwym zimowym wiatrem. Były to raczej drgawki udręczonych duchów zmarłej miłości. Duchy te pozostawały dotąd w stanie głębokiego uśpienia, ale teraz się obudziły i, najwyraźniej zdenerwowane, nie dawały jej spokoju.

- Na wieczór zapowiadają śnieg. Może nie zacznie padać przed północą, ale jeżeli śnieżyca nadejdzie wcześniej, Robert powinien zanocować tutaj.

- Przecież i tak może to zrobić. Naprawdę, Alexo, mnie to zupełnie nie przeszkadza.

Robert to nie James, pomyślała. James. James...

Catherine wzięła długi prysznic i przebrała się do kolacji. Cały świat wygotowywał się właśnie na burzę śnieżną, ale w Różanej Skale było jak zwykle ciepło i przytulnie, a Catherine wiedziała, że w jedwabnej sukni będzie się czuła dobrze.

- Wspaniała - rzekła z uznaniem Alexa i uśmiechnęła się pytająco, gdy Catherine wyszła z pokoju po godzinnych przygotowaniach, Catherine jednak tylko odwzajemniła uśmiech.

- Dziękuję.

- Właśnie piję herbatę. Masz ochotę?

- Owszem, ale sama sobie naleję. Chcesz jeszcze?

- Tak, dziękuję.

Catherine podała herbatę. Siedziały w salonie i patrzyły na szarzejącą zatokę. Śnieg jeszcze nie padał, ale na niebie pojawiły się już złowieszcze, burzowe chmury.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy omawiały plan wizyty rodziców, których przyjazdu spodziewały się już nazajutrz. Jane i Alexander mieli, oczywiście, odwiedzić plan *Pennsylvania Avenue*, Robert obiecał ich zabrać na Kapitel, a po koncercie Catherine w Białym Domu wszyscy byli zaproszeni na kolację z prezydentem i Pierwszą Damą.

- Który to książę? Mój czy twój? - zażartowała Alexa.

- Odbiorę - odparła Catherine w nadziei, że to Alain. Potrzebowała jego ciepła, by stopić lodowe duchy. Chciała, żeby ktoś jej przypomniał o istnieniu zwyczajnej, spokojnej miłości... nie tej niebezpiecznej i czarodziejskiej, lecz...

- Halo?

- Była sobie raz śliczna mała dziewczynka, ale mama jej nie chciała...

- Kto mówi?

- Jeśli chcesz wiedzieć, co się stało z porzuconym dzieckiem, przyjeźdź zaraz do Marlboro Marina.

- Kto... - zaczęła, ale po drugiej stronie linii ktoś odwiesił słuchawkę.

- Kto dzwonił, Cat? - spytała Alexa, czując, jak zalewa ją fala strachu. Thompson Hall? Hillary? Już od wielu miesięcy, za każdym razem, gdy odzywał się telefon, Alexa, podobnie jak Brynne, odmawiała w myślach krótką modlitwę. Tak jakby ta modlitwa mogła cokolwiek zmienić! Tym razem jednak zapomniała o modlitwie, bo przecież właśnie tego dnia rozwód Roberta wreszcie doszedł do skutku i gdyby Thompson Hall coś wywęszył, dowiedziałaby się o tym pierwsza. Poza tym zbliżały się święta i...

- Och, Alexo...

Catherine zaczerpnęła głęboko powietrza i powtórzyła Aleksie dokładnie to, co sama przed chwilą usłyszała. Patrząc w szmaragdowe oczy siostry, dostrzegła w nich najpierw utratę nadziei, a w chwilę później typową dla Alexy determinację.

- Jadę do Marlboro.

- Jadę z tobą. - Na poparcie swych słów Catherine podała Aleksie jeden z dwóch zimowych płaszczy wiszących na zabytkowym wieszaku i sama włożyła drugi.

- Nie, Cat - odparła cicho Alexa. - Proszę, zostań tutaj. Zostań tutaj zadzwoń do Jamesa i powiedz mu, co się stało.

- Do Jamesa, ale nie do Roberta?

- Nie, do Roberta nie dzwoń. Nie mówiłam mu nic o dziecku.

I nie mogę powiedzieć.

- Bo tym dzieckiem jest Katie, prawda? - spytała łagodnie Cat. Oczywiście zgadywała, ale... - Robert tyle o niej mówił podczas poniedziałkowej kolacji, a ty nawet mi nie wspomniałaś, że Brynne adoptowała córeczkę, więc...

- Tak, Cat, to nasze dziecko - przyznała Alexa. - Jednak nie powiedziałam nic Robertowi. Nie chciałam, żeby cierpiał.

- Ale...

- Muszę iść. Zostaniesz i zadzwonisz do Jamesa?

- A co on może zrobić?

- Nie wiem, ale zadzwoń. Proszę. Ja muszę już jechać. Gdzie są kluczyki?

- W mojej torebce. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Nie, Cat - odparła cicho Alexa. - Chyba nie.

6

Gdy tylko Alexa zbiegła na parking i zniknęła jej z oczu, Catherine wybrała znajomy niegdyś numer do Inverness.

- James?

- Catherine, ja...

- Alexa potrzebuje twojej pomocy. Przed chwilą dzwonił ktoś, kto wie o dziecku.

- Poproś ją do telefonu.

- Wybiegła z domu. Ten ktoś wyznaczył jej spotkanie w Marlboro.

- I pojechała?

- Nie mogłam jej zatrzymać. Ona... - Słowa uwięzły jej nagle w gardle, które ścisnął porażający strach. Gdy próbowała ustalić jego przyczynę, usłyszała huk. - Nie!

- Co się stało?!

- Był wypadek. Och, Jamesie, nie...

- Już jadę. Wezwę karetkę i policję. - James chciał, by Catherine czekała na niego w Różanej Skale, ale wiedział, że na pewno jej na to nie namówi. - Bądź ostrożna, kochanie - szepnął tylko.

Ale Catherine nie była ostrożna. Zbiegła po schodach na dół, wypadła na parking, a potem popędziła naprzód środkiem krętej drogi, by jak najszybciej dotrzeć do Alexy.

Nie zobaczyła jednak Alexy, tylko złowrogi pióropusz szaroczarnego dymu, czarniejszego niż zimowe niebo, i ponury słup ognia wznoszący się znad auta, które płonęło na plaży. Catherine dobiegła na skraj urwiska i pewnie zbiegłaby w dół po zdradzieckiej granitowej ścianie, lecz w piekle na plaży nie było Alexy. Jej nieruchome ciało leżało dwa metry dalej, na skale poniżej. Catherine zdjęła płaszcz i rzuciła go na ziemię, żeby oznaczyć miejsce wypadku, po czym ruszyła w dół, by jak najszybciej dotrzeć do siostry.

- Alexo... - szepnęła, patrząc w jej poszarzałą twarz. Alexa była nieprzytomna, ale żyła. Jej pierś wznosiła się i opadała w gwałtownych, lecz płytkich oddechach, na jej szyi szaleńczo pulsowała żyłka tętna. Catherine przytknęła ciepły policzek do zimnego jak lód policzka Alexy. - Kocham cię, Alexo - szepnęła. - Pomoc jest już w drodze, więc walcz. Walcz tak odważnie, jak tylko możesz. Alexo, kocham cię. Proszę cię, walcz. Błagam!

Karetką z Marlboro przybyła na miejscu wypadku za niecałe pięć minut. Zanim przyjechał James, który dwudziestominutową trasę z Inverness pokonał dwa razy szybciej niż zwykle, niebezpiecznie niskie ciśnienie krwi Alexy, ułożonej w gorsiecie ortopedycznym na specjalnych noszach, wspierano już kroplówką. O krwotoku wewnętrznym zawiadomiono Memorial Hospital. Na pacjentkę czekał już zespół chirurgów i anestezjologów.

Alexa leżała na występie skalnym, przy niej, nie za blisko, by nie przeszkadzać sanitariuszom, klęczała Catherine. Nie przeszkadzała, choć jej delikatna ręka przebiła się jakimś cudem przez gąszcz pleców i głaskała Alexę po włosach.

Niewielki występ skalny, obłożony teraz sprzętem, wydawał się jeszcze niniejszy. James chciał zejść w dół, do

Alexy i Catherine, lecz nie starczyłoby dla niego miejsca. Zostałby zatrzymany i tak, gdyż na jego przybycie czekał już niecierpliwie oficer policji.

- To pan dzwonił?

- Tak, nazywam się James Sterling.

- Porucznik Ed Baker. Skąd pan wiedział o wypadku?

- Rozmawiałem właśnie przez telefon z siostrą Alexy, Catherine, gdy usłyszała huk.

- Tam, na tym występie, obok rannej to właśnie Catherine?

- Tak.

- Dobrze, muszę z nią pomówić. Jestem tutaj dopiero od pięciu minut, ale już zauważyłem parę rzeczy, które nie dają mi spokoju.

- Na przykład?

- Samochód nie wpadł w poślizg, a ślady opon wskazują wyraźnie na to, że zleciał ze skały.

- Czyli?

- Czyli Alexa Taylor zjechała celowo w przepaść?

- Nie.

- Jest pan najwyraźniej tego pewien.

- Jestem. Znam bardzo dobrze Alexę. Nie odebrałaby sobie życia.

A może jednak? - pomyślał. Czyżby ten telefon oznaczał dla niej koniec? W razie gdyby jej tajemnica wyszła na jaw, zamierzała odejść od Roberta. Czy tak w jej oczach wyglądało rozstanie? Rozstanie z Robertem i Katie, rozstanie z własnym cierpieniem? Miłość, dla której można umrzeć, Jamesie? - kpiała wielokrotnie, milion lat temu, zanim i ona, i on, James, uwierzyli w miłość. A teraz, aby chronić córkę i ukochanego mężczyznę odebrała sobie życie? Nie - myślał James. Błagam, nie.

- Nie zrobiłaby tego - powtórzył.

- No cóż. Cieszę się, że to słyszę. Jestem wielbicielem jej talentu i byłoby mi bardzo przykro, gdybym się dowiedział, że była nieszczęśliwa. Coś się jednak musiało wydarzyć. Coś musiało ją skłonić do tej szaleńczej jazdy. Z jakiegoś powodu straciła kontrolę nad autem. Może jej siostra wie, co się stało.

- Może - zgodził się cicho James. Ale jeśli ja porozmawiam z nią pierwszy, może ci nie powie, o co chodziło. - Spróbuję ją wy badać. Pewnie jest w szoku i chciałbym jej wytłumaczyć, dlaczego pan chce z nią rozmawiać.

- Jasne.

W tej samej chwili sanitariusze podnieśli nosze, gotowi zanieść Alexę na górę, do karetki. Catherine wstała z klęczek, a wtedy James i porucznik postąpili krok naprzód, jakby chcieli ją powstrzymać. Ruch był instynktowny, opiekuńczy, bo obaj zdali sobie sprawę, że Cat stoi niebezpiecznie blisko skraju urwiska. Gdy klęczała na półce skalnej, nic jej nie groziło. Teraz jednak, gdyby się cofnęła choćby o krok, by zrobić więcej miejsca sanitariuszom, niechybnie spadłaby w przepaść.

Lecz choć nie odrywała wzroku od Alexy, zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i nie cofnęła się. Spytała tylko cicho sanitariuszy, czy będzie mogła wsiąść do karetki z siostrą. Odpowiedzieli, że nie, ale policjant zaproponował jej miejsce w swoim samochodzie. Catherine dotykała Alexy tak długo, jak to było możliwe, lecz później ta fizyczna więź została zerwana, i wycie mrugających syren zasygnalizowało odjazd karetki.

Alexy nie było, lecz Catherine nie ruszyła się ze swego stanowiska na urwisku. James zszedł do niej na dół i gdy się zbliżył, w oczach Cat ujrzał niewysłowioną rozpacz. Była taka zagubiona i taka krucha. Jej szczupłe ciało, okryte tylko

jedwabiem, drżało z zimna, a przede wszystkim ze strachu i wskutek przeżytego szoku.

- Catherine - powiedział cicho.

Po chwili wahania wpadła w jego ramiona, pozwalając, by ją przytulił i wlał w nią choć trochę swej siły i ożywczego ciepła.

- Och, Catherine - szepnął, muskając ustami jej włosy. - Ona z tego wyjdzie, kochanie.

- Musi.

- Będzie zdrowa. - Było to jednak życzenie, nie pewność. Przed odjazdem karetki James zauważył bowiem straszliwą bladość Alexy.

James nie chciał pozwolić Catherine odejść. Nie chciał, żeby odeszła. Już nigdy. Lecz drżące ciało Catherine potrzebowało czegoś więcej aniżeli to, czego mogło mu dostarczyć ciepło jego miłości. James wiedział, że już wkrótce oboje będą musieli podjąć ważną decyzję. Niechętnie wypuścił Catherine z objęć i pomógł jej włożyć płaszcz, który pozostawiła najeżani, by oznaczyć miejsce wypadku. Zapiawszy starannie guziki płaszcza, ujął jej twarz w ciepłe dłonie. Mówił cicho, ponieważ mówił do Catherine; nie bał się, że ktoś go podsłucha. Policjanci byli daleko, rozmawiali między sobą, a ich głosy tłumił wiatr.

- Kochanie, porucznik chce porozmawiać z tobą o tym, co się stało, zanim Alexa wyjechała z Różanej Skały.

- Ach tak. - I dodała po chwili namysłu: - Rozumiem.

James zdał sobie sprawę, że Cat naprawdę rozumie, choć jeszcze przed chwilą bał się, że szok i smutek może ograniczyć jej zdolności kojarzenia.

- Wiem o Katie. Alexa powiedziała mi wszystko, zanim... - Zalała ją gwałtowna fala emocji. - Muszę chronić jej sekret. Muszę.

- Dobrze. Zgoda. Po twojej rozmowie z porucznikiem odwiozę cię do szpitala. Po drodze zatrzymamy się w Marlboro.

- Tak. - Uśmiechnęła łagodnie, szczęśliwa, że choć w ten sposób, chroniąc tajemnicę Alexy, może jej pomóc. - Dobrze.

Porucznik Baker czekał przy samochodzie. Na ich widok uśmiechnął się współczująco.

- Mam do pani parę pytań. Przykro mi, ale to konieczne.

- Rozumiem.

- W takim razie w porządku. Odległość, jaką auto przebyło w powietrzu, zanim wylądowało na plaży, wyraźnie wskazuje na to, że pani siostra jechała bardzo szybko. Chcę zrozumieć, dlaczego. Były panie razem, zanim wyjechała z domu.

- Tak.

- Piła?

- Piła? Nie. To znaczy piłyśmy herbatę.

- Zażywała jakieś narkotyki? Kokainę albo coś w tym rodzaju?

- Nie. Alexa nie bierze narkotyków i nawet pije bardzo rzadko.

- Piłyście panie herbatę i nagle ona wyszła szybko z domu, wsiadła do samochodu i ruszyła jak szalona przed siebie.

Dlaczego?

- Zanim wyszła z domu, odebrała telefon - Catherine czuła, że musi udzielić jakiegoś wyjaśnienia.

- Może pani wie, kto dzwonił i co powiedział?

- Nie.

- Ale rozmowa wyprowadziła ją z równowagi?
- Tak.
- Wyjechała na spotkanie z rozmówcą?
- Chyba tak.
- Może pani wie, dokąd?
- Nie.
- Wcześniej też zdarzały się takie telefony? Może dzwonił jakiś zwariowany fan?
- Nie wiem. Byłam z nią zalewie od paru dni. Nie mówiła, że coś ją martwi.
- Ale ni z tego, ni z owego ktoś zadzwonił i powiedział coś, z powodu czego pani Alexa wybiegła z domu, a potem prowadziła tak nieuważnie, że... Bardzo mi przykro, panno Taylor.
- Czy to naprawdę ważne, co powiedział ten, kto dzwonił?
- Pewnie nie - zgodził się porucznik Baker. - Twarz mu się lekko zmieniła, choć jego spokojny ton sugerował, że pytanie ma ściśle rutynowy charakter. - Muszę jednak zapytać panią o samochód.
- O samochód?
- Może pani wie, kiedy ostatnio jeździła nim Alexa.
- Alexa? Wczoraj wieczorem. Około jedenastej wróciła ze studia.
- I samochód funkcjonował prawidłowo?
- Tak. Dziś zresztą też.
- Dzisiaj?
- Tak, dzisiaj ja nim jeździłam.
- Rozumiem. O której wróciła pani do domu?
- Tuż przed trzecią.
- A telefon był o...
- Czwartej.
- W porządku. To na razie tyle. Wiem, że chce pani jechać do szpitala. Gdyby coś jeszcze przyszło pani do głowy, proszę, to moja wizytówka.

James nie bał się osoby, którą spodziewał się spotkać w porcie Marlboro. Mogła to być Hillary albo może Thompson. Ktokolwiek to zresztą był, James zamierzał mu tylko powiedzieć, że wie o szantażu.

Ale na parkingu w Marlboro nikogo nie zastał.

Może Hillary lub Thompson usłyszeli wycie syren i uciekli przerażeni, że szantaż, którego celem było nie dopuścić do małżeństwa Roberta, stał się przyczyną straszliwej tragedii?

Może tak. Przeszukując pusty parking, James przypomniał sobie jednak słowa porucznika, słowa, które nabrały nagle nowego znaczenia i pasowały do ponurej twarzy Bakera wypyującego Catherine o samochód. Na jezdni nie było śladów hamowania, tak jakby Alexa nie miała zamiaru się zatrzymać. Co więcej, jechała prosto, tak jakby nie próbowała nawet uniknąć krawędzi urwiska.

James założył, że Alexa nie czyniła żadnych wysiłków, by uniknąć wypadku, gdyż - bardzo zdenerwowana i rozkojarzona - za późno zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ale jeśli jednak próbowała hamować lub skrócić i nie mogła? Może anonimowy rozmówca nie czekał na parkingu, bo wiedział, że Alexa nie przeżyje jazdy z Różanej Skały do Marlboro? Wydawało się to niewyobrażalne, a jednak porucznik Baker brał od początku pod uwagę taką możliwość.

- Co się stało? - spytała cicho Catherine, oderwana od własnych rozpaczliwych myśli, wyczuwając nagłe napięcie Jamesa.

- Catherine, musimy powiedzieć porucznikowi, że rozmówca zażądał, żeby Alexa przyjechała do Marlboro.

- Dlaczego?

- Bo muszą zdjąć odciski palców z automatu telefonicznego. - James zdawał sobie oczywiście sprawę, że żadne działania tego rodzaju nie mają sensu. Morderca pragnący wywabić Alexę z domu nie dzwoniłby z budki telefonicznej w Marlboro. Szukanie odcisków palców wydawało się więc zupełnie bezsensownym zajęciem, lecz mógł się mylić.

- Sądziłam, że nie chcemy informować policji o szczegółach rozmowy. Jeśli się dowiedzą, kto dzwonił, odkrywają prawdę o Katie.

- Tak, ale... - James westchnął lekko. - Myślę, że Alexa była zdenerwowana, jechała nieostrożnie i...

- Ja też tak myślę.

- Musimy jednak wziąć pod uwagę inną możliwość: ten, kto dzwonił mógł również majstrować przy samochodzie.

- Nie, Jamesie - szepnęła.

Przed rokiem ich wspólny świat legł w gruzach, zniszczony niezwykłym aktem terroru. To nie mogło się powtórzyć, błagam, nie...

- Nie chodzi o słowa rozmówcy. Powinnaś tylko wspomnieć porucznikowi, że Alexa się tutaj wybierała - ciągnął cicho James, choć tak naprawdę chciał ją tylko tulić i uspokajać. Nie mógł jednak tego robić, więc dodał szybko: - Pomóż mi, Catherine. Czy naprawdę nie sądzisz, że to nasz obowiązek? Nie sądzisz, że będzie najlepiej dla Alexy, jeśli się upewnimy, że to był wypadek?

- Chyba masz rację - powiedziała w końcu. - Dobrze, zgadzam się.

- W porządku. Kto dzwonił: mężczyzna, czy kobieta?

- To był tylko szept. - Catherine zmarszczyła brwi, szukając w pamięci jakiejś wskazówki, czegokolwiek. Niczego sobie jednak nie przypominała. - Nie wiem. Nawet się nie domyślam.

- A kiedy wracałaś z Inverness, nikt za tobą nie jechał?

- Nie - odparła cicho. - Niczego nie zauważyłam. Myślałam tylko o tym, co mówiliśmy... co ja powiedziałam. Wybacz.

- I ty mi wybacz, Catherine.

7

Poczekalnia OIOM-u na ósmym piętrze Memorial Hospital nie różniła się niczym od tej pod salą operacyjną na piętrze pierwszym. W obu pomieszczeniach nie było okien, stały w nich tylko zniszczone kanapy obite winylem, a na stolikach do kawy wały się często ściskane nerwowo w dłoniach, lecz rzadko czytane czasopisma. Poczekalnie wydawały się identyczne. Ale gdy Catherine, James i Robert dowiedzieli się tuż po północy, że dalej mają czuwać na ósmym piętrze, powitali tę nowinę ze łzami radości.

Alexa pokonała pierwszy płotek.

- Zamykamy - powiedział szef urazówki. I choć nie rozumieli medycznego żargonu, ze zmęczonej, lecz triumfującej twarzy chirurga wyczytali od razu, że wiadomości są dobre. - Alexa miała niesamowite szczęście. Krwotok wewnętrzny był naprawdę bardzo groźny, ale zdołaliśmy pozszywać uszkodzenia śledziony i wątroby i w związku z tym nie trzeba było usuwać żadnych organów.

Szef urazówki przekazał im jako pierwszy wiadomości o stanie zdrowia Alexy.

- Ma połamane żebra - oznajmił w godzinę później pulmonolog. - Tkanka płucna pod żebrami jest uszkodzona, a to

znaczy, że Alexa musi jeszcze przez jakiś czas leżeć pod respiratorem. To zapewni odpowiednią wentylację uszkodzonych obszarów i pozwoli oszczędzić energię.

- Okres hipotensji, czyli niskiego ciśnienia krwi spowodowany jej utratą i poważny uraz mięśni spowodował zakłócenie pracy nerek - wyjaśnił nefrolog o w pół do czwartej nad ranem. - Często jednak zdarza się, że nerki pokonują szok i odzyskują całkowitą sprawność. Mamy nadzieję, że tak się stanie również w przypadku Alexy. Do tego czasu będziemy jej podawać płyny i elektrolity, a w razie potrzeby wykonamy dializę.

- Zapadła w śpiączkę - powiedział o świcie neurolog, na chwilę przed wyjazdem Catherine i Roberta na lotnisko po Alexandra i Jane. - Przebadalem ją bardzo dokładnie i nie stwierdzam krwotoku wewnątrzczaszkowego. Nic nie wskazuje również na trwałe uszkodzenia systemu nerwowego.

- Więc powinna się obudzić? - spytała Catherine.

- Tak. Na pewno się obudzi. Nie mogę jednak przewidzieć, kiedy. Opiekowałem się jednak wieloma pacjentami, którzy byli w stanie śpiączki i wiem, że często słyszą wypowiedane do siebie słowa. Później je nawet cytują. Proszę więc do niej mówić. Proszę mówić wszystko, co powinna usłyszeć.

Wszyscy: rodzice, siostra, mężczyzna, którego kochała i mężczyzna, który był jej przyjacielem, szeptali do Alexy słowa pełne miłości. Catherine mówiła siostrze, jak bardzo ją kocha, a potem - w obawie, że Alexa, nawet pogrążona w cichej ciemności, wciąż się niepokoi - próbowała ją pocieszyć i miała nadzieję, że te słowa przyniosą jej ukojenie.

- James i ja doszliśmy do wniosku, że policja nie musi wiedzieć, co powiedział ten człowiek. Myślą, że to ty, nie ja, odebrałaś telefon. Nie martw się więc, twój sekret jest bezpieczny. - Catherine uśmiechnęła się lekko. - James ma zamiar się dowiedzieć, gdzie wczoraj o czwartej byli Hillary i Thompson Hall. Żadne z nich nie czekało w Marlboro po twoim wypadku. Ktokolwiek tam był, odjechał, gdy usłyszał wycie syren. Ten telefon i sekretne spotkanie wydają się straszliwie teatralne, ale przypomnij sobie jak siedziałyśmy w salonie, planując wizytę mamy i taty tuż przedtem. Hillary albo Thompson mogli podejść pod dom, usłyszeć nasze głosy, a potem zaaranżować spotkanie w Marlboro, żeby porozmawiać z tobą osobiście. - Zrobiła krótką pauzę. - James się na pewno dowie - dodała po chwili namysłu. - Wiesz, że się dowie. Zawsze był przy tobie, kiedy go potrzebowałaś.

Robert popatrzył przez łzy na swoją ukochaną. Alexa wyglądała jak porcelanowa marionetka, teraz nieruchoma, bo sznurki przychepione do jej bladego ciała - żyły kroplówki i przewody monitorów - nie przywróciły jej jeszcze do życia. Tak bardzo pragnął wziąć to poturbowane ciało w ramiona i zanieść ją daleko, do Różanej Skały...

Ale nie mógł jej zabrać. Jeszcze nie. Mógł tylko trzymać nieruchomą rękę w swojej dłoni i przytulić ciepły policzek do jej chłodnego policzka.

- Moja najdroższa - szeptał. - Od twego wypadku minęły dwadzieścia cztery godziny, dwadzieścia cztery godziny cudu. Twoje nerki dochodzą do siebie po wstrząsie, hematokryt jest stabilny, a płuca, choć zagrożone przez pęknięte żebra, pracują lepiej niż można się było spodziewać. Wszystko się goi. Musisz się tylko obudzić Alexo, nic poza tym.

Przerwał, by uporać się z falą rozedrganych uczuć. Nie chciał, by Alexa słyszała w jego głosie strach. Tylko miłość. W końcu znowu przemówił:

- Rozmawiałem dzisiaj z Brynne. Przesłała ci najgorętsze pozdrowienia i choć już jej tłumaczyłem, że jeśli wyzdrowiejesz, to zgodnie z planem spędzimy z nimi Nowy Rok, chce i tak przyjechać cię odwiedzić. Wyruszą jutro, oczywiście, jeśli nie będzie ruchu i Stephenowi uda się wcześniej wyrwać z pracy. Brynne myśli, że przybędą za późno, żeby wpaść do ciebie wieczorem, ale na pewno zjawią się w szpitalu pojutrze z samego rana. A ty już wtedy całkiem się

obudzisz, prawda, kochanie? - prosił cicho i zamilkł w obawie, że głos mu drży. Rozmowa z Brynne, jej sympatia do Alexy i cudowne perspektywy, jakie roztaczała przed nim siostra, pomogły mu przezwyciężyć słabość. - Brynne prosiła, żebym ci powiedział, że Katie jest absolutnie oczarowana bożonarodzeniowymi lampkami, a szczególnie światełkami na choince. Robi setki zdjęć, żebyśmy mogli sami się o tym przekonać.

Wizja oczu Katie śmiejącej się radośnie do świątecznych lampek wprowadziła Roberta do świata marzeń.

- Czy już ci mówiłem, jak bardzo polubiłem twoich rodziców? Wiem, że mówiłem. Pewnie z tysiąc razy, ale jeśli nie słuchałaś, to naprawdę są cudowni. Będą fantastycznymi dziadkami dla naszych dzieci. Alexo, Alexo, pomyśl tylko o naszej miłości, o naszym życiu, naszych dzieciach...

Mamy dziecko, Robercie. Mamy śliczną, małą dziewczynkę, oczarowaną świątecznymi lampkami. Alexa zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy, a wraz z odzyskaną przytomnością wróciła bolesna świadomość doznań, przedtem będących tylko częścią snu, w którym żyła. Ogień w płucach dał natychmiast o sobie znać, a wszystkie mięśnie jej ciała bolały tak, jakby naciągnęła je do granic możliwości. Alexa zignorowała jednak pożar w płucach i przywołała mięśnie do porządku. Dla Roberta.

A potem popatrzyła mu w oczy, teraz pełne łez, i zdobyła się na uśmiech.

- Obudziła się - powiedział Robert wzruszonym głosem, gdy w dziesięć minut później wrócił do poczekalni, by przekazać wiadomość rodzinie.

- Obudziła się... - zawtórowała Jane.

- Och, Robercie...

- Obudziła się, chociaż zaraz znowu chyba zapadnie w sen. Obudziła się przed paroma minutami i pewnie powinienem był tu przybiec natychmiast, kiedy otworzyła oczy, ale nie mogłem jej zostawić.

- W porządku - powiedział Alexander ochryłym głosem. - Sądysz, że cię poznała?

- O tak! - odparł cicho Robert. - I jestem pewien, że już wkrótce poprosi o wyjęcie rurki dotchawiczej, żeby móc z wami porozmawiać.

Na kochającej twarzy Roberta nie malował się ani niepokój o to, co Alexa może powiedzieć, gdy się obudzi, ani poczucie winy. Odkąd zobaczył ją ponownie po miesiącach rozstania, dostrzegał w jej oczach głęboki smutek. Miał jednak nadzieję, że jego miłość pokona ból, a w ciągu ostatnich kilku miesięcy było parę takich chwil, gdy jej szmaragdowe oczy błyszczały z radości, choć za każdym razem po jakimś czasie znów zdawało się gościć w nich cierpienie. A kiedy prosił ją ostrożnie, bardzo ostrożnie, żeby mu wyznała, co ją dręczy, Alexa zaprzeczała, że cokolwiek układa się nie po jej myśli. Robert jednak miał dowód - w tych pięknych oczach, które tak dobrze znał i w jej miłości, miłości równie rozpaczliwej i ukradkowej jak niegdyś, gdy nie wierzyła, że to wspaniałe uczucie przetrwa. Prosił ją wiele razy, żeby mu powiedziała, co ją tak martwi, lecz bywało i tak, że w jej oczach pojawiał się strach i wtedy zamiast nalegać, po prostu ją przytulał.

Dlaczego nie nalegałem? - zapytywał teraz sam siebie. Ta dręcząca myśl wracała jak echo od chwili wypadku. Gdybym się uparł, może nigdy nie wyjechałaby jak szalona z domu i nie rozbiła samochodu? Czyżby moja ukochana Alexa omal nie poświęciła życia, byle tylko nie zdradzić swej tajemnicy?

- Przepraszam - odezwał się nagle głos urzędnika. - Rozmowa z Europy do pani Catherine.

- Och, dziękuję.

Catherine wiedziała, że dzwoni Alain. Idąc z poczekalni do pokoju pielęgniarek, zrozumiała, że od chwili, gdy podniosła słuchawkę telefonu w Różanej Skale w nadziei, że usłyszy głos Alaina, minęły dwadzieścia cztery godziny.

Wówczas potrzebowała jego delikatnego ciepła, by stopić lodowate duchy, które nie dawały jej spokoju od rozmowy z Jamesem. Lecz wczoraj po południu nie dzwonił Alain, lecz wysłannik śmierci, a Catherine i Jamesa połączyła miłość do Alexy i jej tajemnica. Złe, przykre słowa Catherine uleciały w niepamięć, lecz duchy nie zniknęły nawet teraz, ponieważ - jak odkryła - nie potrafiła być tak blisko Jamesa, a jednocześnie tak daleko od niego.

Teraz, dwadzieścia cztery godziny po wypadku, potrzebowała miłości Alaina jeszcze bardziej niż wczoraj po południu.

- Alain?

- *Oui*, Catherine. Jak ona się miewa, *chérie*, jak się czuje Alexa?

- Lepiej. Była w śpiączce, ale przed paroma minutami odzyskała przytomność.

- Tak się cieszę. I tak mi przykro, że nie byłem przy tobie. Słyszałem tylko wiadomości. Próbowalas się ze mną skontaktować?

- Nie, wszystkie twoje numery telefonów zostały w Różanej Skale, a ja od wypadku nie wychodzę ze szpitala. Wiedziałam, że zadzwonisz, kiedy tylko to do ciebie dotrze.

- Dowiedziałem się wszystkiego od Natalie. To ona do mnie dzwoniła.

- Nie jesteście razem?

- Nie, przedwczoraj pojechała do Gstaad, a ja zdecydowałem się zostać jeszcze przynajmniej jeden dzień w Paryżu. Wczoraj cały dzień byłem w Wersalu i choć radio i telewizja przekazywały na pewno wiadomości o Aleksie. Ja cały wieczór czytałem i dzwoniłem do ciebie. Teraz już wiem, dlaczego telefon w Różanej Skale nie odpowiadał. Tak bardzo mi przykro, że nie mogłem być z tobą, ale już niedługo przyjadę. Natalie chce jechać ze mną.

- Nie. Alainie, nie musisz przyjeżdżać.

- Chcę być przy tobie.

Ciepły głos Alaina nie stopił lodowych duchów. Przeciwnie. Wywołał jeszcze bardziej lodowate wspomnienia dawnej miłości, wspomnienia czasu wielkiej tragedii, gdy Catherine pragnęła tak desperacko być z Jamesem - kochać go i pomagać mu w trudnych chwilach. On jej jednak na to nie pozwolił. Czy teraz postępowała tak z Alainem? Nie, przeciwnie.

- Chciałabym, żebyś był ze mną, gdyby Alexa nie poczuła się lepiej - powiedziała szczerze. - Ale ona wyzdrowieje.

- Kiedy zadzwonił telefon, Cat i ja piłyśmy herbatę i omawiałyśmy plany związane z wizytą rodziców. - Alexa zmrużyła piękne zielone oczy, próbując sobie dokładnie przypomnieć tę scenę. - Ja powiedziałam coś w rodzaju: „Mój książkę czy twój?” i...

- I? - ponaglił porucznik Burke.

- A potem ciemność. Cicha ciemność, najpierw całkiem czarna, potem szara, wypełniona znajomymi głosami. Chciałam odpowiedzieć tym głosom, uspokoić je, ale przygniatał mnie zbyt wielki ciężar. - Alexa zmarszczyła brwi na wspomnienie głosów ludzi, których kochała. Tak bardzo pragnęła wtedy krzyknąć: Tak, słyszę, kocham was, kocham! Lecz nie mogła nawet otworzyć oczu. - A potem się obudziłam - dokończyła z uśmiechem.

- Nie pamięta pani słów osoby, która dzwoniła?

- Nie. Wspomnienia kończą się na chwili, gdy odbierałam telefon.

- Samego wypadku też pani nie pamięta?

- Nie, poruczniku. Bardzo mi przykro. Od chwili, gdy spytałam: „Mój książkę czy twój?”, niczego nie pamiętam. Absolutnie niczego. Bardzo chciałabym sobie przypomnieć, ale nie potrafię. - Alexa nie mogła sobie niczego

przypomnieć, a neurolog, który się nią opiekował, twierdził, że nigdy sobie nie przypomni.

- To amnezja wsteczna - wyjaśnił lekarz. - Chory nie pamięta okoliczności, w jakich doszło do utraty pamięci, ani wydarzeń poprzedzających bezpośrednio wypadek. Amnezja wsteczna towarzyszy bardzo często urazom głowy.

- Przypomni sobie kiedyś te zagubione minuty?

- Nigdy.

Amnezja Alexy oznaczała praktycznie zamknięcie śledztwa. Samochód uległ zniszczeniu, a ślady celowego uszkodzenia pojazdu - jeśli takie w ogóle istniały - wraz z nim. Bez tych dowodów i zeznań Alexy sprawa nie mogła być dalej przedmiotem dochodzenia. Sprawa? - zapytywał sam siebie porucznik Baker. Jaka sprawa? Kto, u diabła, mógłby chcieć zamordować Alexę Taylor? Dochodzenie więc zamknięto, a o treści rozmowy telefonicznej Alexa dowiedziała się od Cat i Jamesa. Postanowili powiedzieć jej o tym razem, gdy Robert był w biurze, a Jane i Alexander odpoczywali w pobliskim hotelu.

- James i ja wiemy, co powiedział człowiek, który dzwonił.

- Ja też, Cat.

- Pamiętasz?

- Tak, pamiętam rozmowę. I pamiętam, że mi mówiłaś, co powiedziałaś policji. Dziękuję - dodała z wdzięcznością. - Dziękuję wam obojgu.

- Nie ma za co.

- Może w takim razie pamiętasz również wypadek?

Alexa pokręciła głową, zdziwiona, że tak bardzo wysiła pamięć, a mimo to nie jest w stanie przywołać żadnego obrazu tych niezwykle ważnych chwil.

- To, co mówiłam Bakerowi o ciemności, jest prawdą, tyle że mrok zapadł kilka minut później, kiedy już wyszłam z domu. Dowiedziałeś się, kto dzwonił?

- Nie, wiem tylko, że nie mógł to być Thompson ani Hillary.

- Nie?

- Nie. Z Thompsonem rozmawiałem osobiście. Moja wizyta bardzo go zdziwiła. Czuł się wyraźnie skrępowany faktem, że wiem o dochodzeniu. Mimo to przyznał, że śledztwo zakończyło się już dawno i niczego nie odkryto. - Podczas tej wizyty James miał wrażenie, że Thompson mówi prawdę. Z trudem ukrywał rozczarowanie z powodu fiaska swojego śledztwa, lecz na pewno nie kłamał. Nie dręczyło go też poczucie winy. - Wierzę mu, Alexo. Poza tym Thompson ma niepodważalne alibi. Był wtedy z Robertem.

- Ach tak... Więc to musiała być Hillary.

- Nie. Hillary jest w Dallas. Napawa się rolą odtrąconej żony lub też zbija na niej kapitał. Ja nie chciałem się ruszać z Waszyngtonu, ale Elliot polecił mi kogoś, kto ją śledził. W dzień wypadku Hillary bawiła w Savannah, w Willows. Brak telefonu w pokojach to element kuracji relaksacyjnej, jaką prowadzi ten ekskluzywny ośrodek. Telefon jest tylko w holu, ale podczas trzydniowego pobytu Hillary nie korzystała z niego ani razu. - James przerwał na chwilę. - Na pewno więc nie dzwoniła osobiście. Mogła jednak wynająć kogoś, kto zrobił to za nią, jak również kogoś, kto majstrował przy aucie.

- Nikt przy nim nie majstrował. Byłam zdenerwowana. Jechałam za szybko i straciłam kontrolę nad samochodem. Nie znam nikogo, kto byłby zdolny do morderstwa, Jamesie - szepnęła Alexa, głęboko wierząc we własne słowa, gdyż inna możliwość wydawała się jej stanowczo za bardzo przerażająca. - Hillary też nie zrobiłaby czegoś takiego. Poza tym ona mogła z łatwością osiągnąć cel, czyli nie dopuścić do mojego małżeństwa z Robertem, mówiąc mi po prostu, że wie o dziecku. Nie musiała się posuwać do ostateczności. A gdyby wiedziała, zakomunikowałyby mi to osobiście, rozkoszując

się w dodatku ostatecznym zwycięstwem. - Alexa przerwała na chwilę i głęboko westchnęła. - Ktoś jednak wie, ktoś ze szpitala wie. Wszystko jedno kto. I nawet jeśli wie tylko tyle, że miałam dziecko, które oddałam do adopcji, to i tak wie stanowczo za dużo.

Słyszając wyraźny ton rezygnacji w głosie Alexy i widząc rozpacz w jej oczach, Catherine zdała sobie sprawę, że Alexa straciła nadzieję i zamierza pożegnać się raz na zawsze ze swoją miłością.

- Musisz wyznać prawdę Robertowi, Alexo - powiedziała Catherine cicho, lecz bardzo stanowczo. - On musi wiedzieć.

- Jak mogę mu powiedzieć? Prawda kosztowałaby go przecież tyle bólu, tyle smutku... Za bardzo go kocham, żeby zrobić coś takiego.

- Ale tak przecież nie można, nie rozumiesz? Tak, prawda sprawi mu ból, ale ty żyjesz na co dzień z większym bólem. A gdybyście cierpieli razem, ten smutek, może stałby się mniejszy. - Catherine westchnęła cicho, świadoma, że James nie spuszcza z niej wzroku. - Ty możesz w to nie wierzyć, Jamesie, ale ja wierzę. - Robert bardzo cię kocha, Alexo. Wiem, że chcesz go chronić, bo go kochasz, ale czy nie postępujesz nieuczciwie wobec niego i swojej miłości? - Cat zaczerpnęła głęboko powietrza. - Może nie wszystkie miłości mogą przetrwać zarówno smutek, jak i radość, ale twoja miłość do Roberta na pewno to zniesie.

Słuchając spokojnych słów Catherine, Alexa poczuła coś absolutnie cudownego: nadzieję.

- Moja mądra, mała siostrzyczka - szepnęła.

- Wcale nie jestem mądra, Alexo.

- Myślę, że jesteś. Zawsze byłaś. Masz rację, Cat. Muszę powiedzieć Robertowi.

Muszę, ale czy potrafię? Tak, potrafię i zrobię to - obiecała sobie w duchu.

- Powiem mu dziś, gdy ty będziesz w Białym Domu. Wybierasz się na koncert Cat, Jamesie?

Pytanie trochę zaskoczyło Jamesa. Chwilę milczał, jakby pogrążył się we wspomnieniach, ale szybko doszedł do siebie.

- Nie, mam masę pracy. Elliot chce dostać nieoficjalne sprawozdanie z negocjacji, a ja muszę się tym zająć, póki wszystko mam świeżo w pamięci.

Poza tym Catherine nie zaprosiła mnie na koncert. Teraz jednak byłoby bezpiecznie, prawda, Catherine? Teraz nie istnieje ryzyko, że mogłabyś zejść ze sceny, by mnie szukać na widowni. Chyba się nie mylę? James znał bolesne odpowiedzi na te pytania; nie musiał wcale patrzeć jej w oczy. Tak byłoby całkiem bezpiecznie. Catherine miała teraz nową miłość, którą uważała za znacznie głębszą i silniejszą niż uczucie, jakie niegdyś łączyło ją z Jamesem.

8

Po wyjściu Jamesa i Catherine Alexa odmówiła przyjęcia wszystkich leków zaplanowanych na popołudnie. Częste zastrzyki z demerolu wprawiały ją w stan oszołomienia, dzięki czemu zapadała w niemal nieprzerwany sen, a przecież musiała mieć całkowicie jasny umysł, gdy powie Robertowi prawdę. Demerol miał również działanie przeciwbólowe, lecz Alexa doszła do wniosku, że na jej organizm ten lek nie działa. Ogromne dawki demerolu wyłącznie ją usypiały, nie uśmierzając bólu.

Albo tak jej się wydawało. Popołudnie mijało, demerol przestał działać, a Alexa zdała sobie sprawę, że palenie w piersiach, które odczuwała wcześniej przypominało żarzące się węgle - pożar nie wybuchał wyłącznie dzięki działaniu narkotyku - a ból mięśni był niczym, niedyspozycją przetrenowanego lekkoatlety w porównaniu z przeszywającym bólem kości, jaki zaczął ją dręczyć po wycofaniu lekarstwa.

Teraz nic nie tłumilo przeszywajacych uderzen bolu pogruchotanych kosci, nerwow i miesni, ktore nie pozwalaly jej zasnac ani na chwile, choc samotnie toczona bitwa z cierpieniem do cna wyczerpala jej energie.

Byla calkowicie rozbudzona, kiedy odwiedzil ja Robert. Piekna bladą twarz Alexy okalaly zlociste wlosy, umyte i uczesane przez sympatyczna pielęgniarkę. Jej poturbowane, pokaleczone ciało nie czulo juz jednak miękkości poduszek, o ktore byla oparta.

- Witaj, kochanie - Robert pocałowal ja lekko w usta.

- Witaj - szepnela. Chciala, by ten delikatny pocałunek trwal wieki, lecz nie miala zbyt wiele sil, a zlozyla wlasnie obietnice sercu. Obietnice, ktorej musiala dotrzymac.

- Robercie?

- Tak, kochanie.

- Wiem, o co chodzilo osobie, ktora dzwonila.

- Powiedz - zagalal cicho. - Cokolwiek by to bylo, Alexo, nasza miłosc jest silniejsza.

Och, Robercie, mam nadzieje, ze to prawda. Nabrala powietrza, zaczekala, by ostygly plomienie w jej piersi, a potem spojrzala mu w oczy.

- Chodzilo o sliczną, mala dziewczynke porzuconą przez matke.

- Alexo?

- To nasza córka, Robercie. Katie jest naszą córką.

- Och, nie... - Szept Roberta byl pełen bolu, w oczach malowala sie rozpacz. - Och, Alexo...

Patrzyla na niego przez lzy. Och, Robercie, jak bardzo cie to zranilo! Powinam byla raczej od ciebie odejsc, niz powiedziec ci prawde. Nagle ogarnal ja strach. Czyzby mu zadala to cierpienie na darmo? Czy i tak sie pozegnamy, gdyz tej przerazajacej prawdy nie zrozumiesz, ani tym bardziej nie wybaczysz?

- Tak mi przykro - szepnela bezradnie, probujac zajrzec mu w oczy, patzace teraz gdziez daleko. - Kiedy podejmowalam te decyzje, wierzylam, ze tak bedzie najlepiej dla Katie, dla jej szczescia. I ona jest szczesciwa. I bardzo kochana.

Slyszac rozpacz w glósie Alexy, Robert oderwal sie od wlasnych myśli i popatrzył na kobieę, ktora obdarzył tak wielką miłoscią.

- Tak, bardzo kochana. Katie to najbardziej kochane dziecko na swiecie.

- Dziecko Brynne, Robercie?

Wiedzial, co Alexa chciala wyrazic przez to drzace pytanie. Proсила go w ten sposob, by ja obarczył tą przerazajacą tajemnicą, a rozpacz pokonal miłoscią.

Nie! - krzyknelo jego serce. Katie to nasze dziecko, nasza mala dziewczynka. Kocha nas, a my ja. Juz w chwili, gdy pierwszy raz wiazlem ja na rece, czulem cos niezwyklego, jakas niewypowiedziana radość. A ilekroć ty i Katie jesteście razem, przebywacie w waszym szczegolnym swiecie, swiecie, do ktorego nikt poza wami nie ma wstepu. W swiecie miłosci. Widzialem, jak bardzo kochasz Katie, widzialem, ze ona cie kocha, i teraz wszystko rozumiem. Och, Alexo, Katie to nasza córka.

Protest byl szybki i silny. W kochajacym sercu Roberta byly jednak i inne miejsca. I teraz one doszly do glósu. Przypomniały mu o miłosci do Brynne, o stratach, jakie poniosla, o przysiedze, ze zawsze bedzie ja chronil. Wraz z glóсами przyplynely obrazy, radosne, pełne szczescia, obrazy Brynne, Katie i Stephena. Ale i te obrazy, i glósy miłosci nie wystarczyly by go odwieśc od pomyslu odebrania Katie.

Potem jednak odezwał się jeszcze jeden głos: cichy, delikatny, głos miłości do Alexy, która podjęła wspaniałomyślną decyzję dla dobra Katie Brynne i - z czego zdał sobie sprawę - dla niego. Chroniąc ich wszystkich żyła sama ze swoim bólem... Postanowił spełnić życzenie ukochanej kobiety, gdyż za nic nie chciał, by zwątpiła kiedykolwiek w słuszność swojej decyzji.

- Dziecko Brynne - potwierdził w końcu, uśmiechając się przez łzy. - Kocham cię, Alexo. Kocham cię.

Potem tulił ją mocno, tak mocno, że nie było już między nimi miejsca na sekrety. Mimo siły tego uścisku w jakiś cudowny sposób nie odczuwała bólu, a okrzyki rozpaczy jej serca stłumiła miłość.

- Robert? Alexa?

Dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że ten cichy głos jest realny. Do pokoju Alexy weszła Brynne.

- Brynne - szepnął Robert, unosząc głowę znad włosów Alexy.

- Przeszkadzam.

- Nie - zapewniła ją Alexa, która odzyskała równowagę o wiele szybciej niż Robert, ponieważ żyła ze swoją tajemnicą o wiele dłużej i wiedziała, że teraz, szczególnie teraz, wszystko powinno wydawać się zwyczajne. A w zwyczajnej sytuacji Robert nie potraktowałby własnej siostry jak intruza. - Jak się masz - powiedziała z miłym, powitalnym uśmiechem. - Wejdz.

- Jesteś pewna? Wiem, że umówiłam się z tobą dopiero na wieczór, ale Stephenowi udało się wyjechać wcześniej i...

- Wejdz - powtórzył Robert za Alexą, siląc się na spokój. Nie wiedział jednak, czy wysiłek nie poszedł na мамę, bo we wszystkich zakamarkach mózgu słyszał szalone bicie własnego serca.

- No cóż... Dobrze - odparła z uśmiechem Brynne. - Dziękuję. Jak się miewasz, Alexo?

- Doskonale. - Na pewno dojdę do siebie, pomyślała. Do tej pory namawiała ciało do wyzdrowienia, kierując się rozsądkiem. Ważniejszy był triumf serca: teraz musiała zdrowieć z miłości i wrócić z Robertem do domu. - Nic mi nie dolega.

- To dobrze, bardzo się cieszę. - Brynne wyczuła, że przeszkodziła im w ważnej rozmowie. Może ta rozmowa miała związek z tym, po co tu przyszła, może nie. W każdej innej sytuacji wycofałaby się z wdziękiem, lecz tego wieczora chciała powiedzieć Aleksie tyle ważnych rzeczy. Nie mogła czekać - dla ich wspólnego dobra. Dlatego popatrzyła na brata z bardzo nietypowym, zawstydzonym uśmiechem.

- Czy mogłabym przez chwilę porozmawiać z Alexą na osobności? - spytała.

W każdej innej sytuacji Robert powiedziałby na pewno coś złośliwego na temat „babskich sekretów”. Teraz jednak nie potrafił zachować się zwyczajnie. Jeszcze nie. Z ulgą powitał niespodziewaną szansę na chwilę samotności. Spojrzał pytająco na Alexę.

Nic mi nie dolega, Robercie, mówiły jej oczy. Kocham cię.

- Zgoda - powiedział, wskazując na teczkę, którą zawsze zabierał ze sobą do szpitala, by w czasie, gdy Alexa spała, nadrabiać zaległości w pracy. - Mam tu masę dokumentów do przejrzenia. Będę w poczekalni.

Kiedy Robert wyszedł, Brynne zdjęła obszerny zimowy płaszcz i Alexa odkryła, że to nie jego fason tak bardzo zmienił figurę Brynne.

- Brynne - szepnęła, widząc, że jej przyszła szwagierka jest w zaawansowanej ciąży.

- To dziewczynka. Zdrowa, bardzo energiczna dziewczynka - powiedziała cicho Brynne, a jej oczy zamglily się z radości. - Jestem w siódmym miesiącu i lekarze twierdzą, że ciąża przebiega absolutnie prawidłowo.

- W siódmym miesiącu - powtórzyła Alexa, marszcząc czoło. Jej ostatnie spotkanie z Brynne miało miejsce w

Święto Dziękczynienia. Alexa wspominała z radością ten wspaniały weekend spędzony w Richmond i pamiętała doskonale, jak pięknie wówczas wyglądała Brynne, jak promieniała, jakie miała zaróżowione policzki. Były to, jak się okazało, oznaki ciąży, jeszcze wtedy zupełnie niewidocznej.

- Mam specyficzny kształt miednicy. Dziecko rośnie, a ciąży prawie nie widać, aż do późnych miesięcy.

Ja jestem podobnie zbudowana, pomyślała Alexa, walcząc z bólem.

Brynne przyciągnęła krzesło jak najbliżej do łóżka.

- Została poczęta tej samej nocy, kiedy urodziła się Katie, zaraz potem, jak zadzwonił do nas James. - Brynne poróżwiała lekko. - Stephen i ja postanowiliśmy już nigdy więcej nie próbować i tamtej nocy to był po prostu symbol naszej radości. Niczego nie planowaliśmy. Cieszyliśmy się tylko z tego cudu, jakim była dla nas Katie. A potem zjawiała się Katie we własnej osobie i całe to szczęście i miłość, jakie się z nią wiązało, umożliwiło utrzymanie i rozkwit nowego życia. Naprawdę w to wierzę, Alexo. Wierzę, że istnienie tego maleństwa, które noszę teraz w sobie, jest możliwe dzięki Katie. - Brynne wciągnęła głęboko powietrze. - Dzięki Katie i dzięki tobie, Alexo. Przecież to twoja córka, prawda?

Łzy w szmaragdowych oczach wystarczyły Brynne za odpowiedź, choć dużo czasu minęło, zanim Alexa mogła przemówić lub choćby skinąć głową. W końcu jednak skinęła, patrząc w piwne oczy Brynne, teraz też pełne łez.

- Skąd wiedziałaś?

- Aż do tej pory nie byłam pewna. Do twojego wypadku nie przyszło mi to nawet do głowy. Potem jednak Robert powiedział mi o tej tajemniczej rozmowie, która tak cię zdenerwowała, a także że chyba ukrywasz coś przed nim. Bardzo się tym martwił. A potem nagle wszystko to do mnie dotarło, zwłaszcza że przez cały czas odnotowywałam w pamięci różne obrazy ciebie z Katie, szczególnie tego pierwszego dnia, gdy patrzyłam, jak ją tulisz. Gdyby nie twój wypadek, pewnie bym się nie domyśliła, ale teraz już wiem. - Brynne przerwała na chwilę. Ona i Stephen rozmawiali o tym od dawna i w końcu doszli do wspólnych wniosków, lecz mimo to cała ta sprawa ją przerastała. - Teraz już wiem, Alexo, i chcę, oboje chcemy, żeby Katie była z tobą.

- Och, Brynne - szepnęła Alexa przez łzy. - Och, Brynne.

- Robert kocha Katie - ciągnęła Brynne, jakby chciała ją o czymś przekonać, choć to wcale nie było konieczne. - To, kto jest jej ojcem, nie ma dla niego żadnego znaczenia. - Będzie ją nadal kochał jak własne dziecko.

- Robert jest ojcem Katie - powiedziała cicho Alexa.

- Och... - Brynne z pomocą Stephena przygotowywała się długo na tę rozmowę, lecz takich rewelacji nie oczekiwała. Myślała, że miłość Roberta i Alexy rozkwitła latem, już po separacji i narodzinach Katie. Teraz jednak jej oczy znów napęłniły się łzami. - On wie?

- Powiedziałam mu tuż przed twoim przyjściem.

- I postanowiliście, że nigdy nie poznam prawdy?

Alexa wzruszyła tylko lekko ramionami, a potem patrzyły na siebie w ciszy i myślały o tych wielkich darach miłości, jakie gotowe były sobie ofiarować, i tajemnicach, których chciały strzec. Brynne zrozumiała, że Alexa nie zdradziłaby się nigdy z tym, że jest matką Katie. Alexa natomiast zdała sobie sprawę, że gdyby Brynne domyśliła się prawdy, nie będąc w ciąży, i tak by do niej przyszła.

- Kocham cię - szepnęła w końcu Alexa.

- Ja też cię kocham - odparła Brynne. - No cóż? - dodała, wstając. - Teraz pójde po Roberta. Musimy wszystko zaplanować.

Brynne znalazła brata w małej poczekalni bez okna. Robert, oczywiście, nawet nie otworzył teczki. Siedział

nieruchomo z łokciami na kolanach, z głową wtuloną w dłoń, serce waliło mu jak młotem, myśli wirowały.

- Robercie?

- Brynne? - Popatrzył na nią dopiero po chwili. - Brynne? - powtórzył zdumiony, widząc, że siostra jest w ciąży.

Brynne patrzyła na brata, który chronił ją całe życie i chroniłby nadal, zachowując dla siebie swój bolesny sekret.

- Będę miała córeczkę, a Katie kuzynkę.

W ciemnych oczach brata błysnęło zrozumienie i po raz pierwszy w życiu Brynne zobaczyła w nich łzy. Przedtem nigdy nie płakał przy niej, oszczędzając jej smutku, który sam znał tak dobrze. Teraz nie krył łez, łez radości.

- Jak one się będą kochać... - szepnęła Brynne, padając bratu w objęcia.

Po koncercie w Białym Domu i kolacji z prezydentem i Pierwszą Damą Jane, Alexander i Catherine wrócili do hotelu położonego naprzeciwko Memorial Hospital. Catherine zajrzała jeszcze na chwilę do pokoju rodziców, zaczekała, aż Alexander zadzwoni do szpitala i zapyta o zdrowie Alexy, a potem pocałowała ich na dobranoc.

Nie wróciła jednak do swojego pokoju. Nadal w długiej aksamitnej spódnicy, bluzce w kolorze kości słoniowej i płaszczu wyszła z hotelu i skierowała się do szpitala. Alexa leżała teraz na oddziale, gdzie ściśle przestrzegano godzin odwiedzin. Ale były święta, wszyscy pacjenci, którzy mogli wyjść do domu, już dawno do domu wyszli, a Catherine wiedziała, że tych, którzy pozostali, nie obowiązywały już tak surowe zasady. Pomachała więc tylko do pielęgniarek, które pomachały konspiracyjnie do niej i weszła cicho do pokoju Alexy.

Drzwi były otwarte. Zanim Catherine zajrzała do środka, zacerpnęła powietrza w nadziei, że mimo wszystko Alexa po prostu spokojnie śpi. Przyszła tu w obawie, że siostra nie będzie mogła zasnąć po rozmowie z Robertem. Na widok Alexy leżącej z otwartymi oczyma i patrzącej w ciemność, poczuła przyspieszone bicie serca. Kiedy jednak podeszła bliżej, dostrzegła jej lekki, rozmarzony, niemal spokojny uśmiech.

- Alexo?

- Cześć. - Alexa odwróciła się do niej. - Tak się cieszę, że tu jesteś. - Chciałam poprosić o telefon, żeby do ciebie zadzwonić. Katie wróci do nas - powiedziała przez łzy.

- Och, Alexo, jak to się stało?

Nie zważając na ból w klatce piersiowej, Alexa opowiedziała Cat całą historię.

- Brynne, Katie i Stephen mieszkają naprzeciwko, w tym samym hotelu, co wy, i mówią, że możesz odwiedzać siostrzenicę, kiedy tylko zechcesz.

- Naprawdę? Sądzisz, że to w porządku?

- Tak. Brynne i Stephen przeżywają oczywiście trudne chwile, ale są naprawdę cudowni, tacy wspaniałomyślni. Zostaną tutaj, dopóki nie wyjdę ze szpitala, a potem Katie, Robert i ja zaczniemy nowe życie w Różanej Skale.

Ich życie miało się rozpocząć w Różanej Skale, potem mieli zamiar poszukać czegoś większego, lecz wiedzieli, że nie będzie to nigdy Biały Dom. Robert zapewnił ją czule, że to nie ma znaczenia. Liczyła się tylko ona i Katie. Zresztą nie zamierzał się wycofywać ze służby publicznej. Przecież chciał zapewnić swej żonie i córce życie w spokojnym świecie...

- Pobierzemy się, kiedy tylko uda się nam załatwić formalności, przed waszym wyjazdem.

- Ja nie muszę wyjeżdżać dwudziestego szóstego, a tatuś ma wprawdzie występy z orkiestrą, ale na pewno można załatwić jakieś zastępstwo...

- Nie, Cat. Do dwudziestego szóstego wyjdę na pewno ze szpitala, najpóźniej dwudziestego siódmego. Właśnie informowałam o tym swoje ciało, kiedy przyszedł. - Uśmiechnęła się na wspomnienie tych cichych instrukcji, radosnych

komend serca. Dla córki i męża zamierzała wyzdrowieć w rekordowym czasie. - A kiedy już mnie wypiszą i znajdę się wraz z Katie i Robertem w Różanej Skale...

- Staniecie się wreszcie wymarzoną rodziną - dokończyła cicho Catherine. - I niczego więcej nie będzie wam trzeba.

- Tak - odparła Alexa, wdzięczna Cat za zrozumienie. - Chyba musimy zostać przez jakiś czas sami.

- Ja też tak myślę. Dobrze. Więc wszyscy wyjedziemy dwudziestego szóstego, ale ja wrócę, kiedy tylko będziesz mogła przyjmować gości i wiem, że mama i tata też liczą dni... - Catherine urwała nagle, widząc na twarzy Alexy nagły cień wątpliwości.

- Och, Cat, tak się boję powiedzieć rodzicom o Katie.

- Co takiego? - spytała Catherine, nie tyle kwestionując strach Alexy, co nie rozumiejąc jego przyczyn. - Boisz się?

Dlaczego?

- Bo wiem, że będą rozczarowani, nie Katie, oczywiście, tylko mną. Tym, że ją oddałam.

- Nie, Alexo, wcale nie. Zrozumieją, dlaczego to zrobiłaś. Wiem, że rozumieją.

Alexa pokręciła wolno głową. Czowała, że po raz kolejny będzie musiała sprawić zawód ukochanym rodzicom. Cat patrzyła jednak na nią tak pewnie... Te mądre, szafirowe oczy... Tak bardzo pragnęła im uwierzyć. Tym razem jednak, Cat, wiem, że się mylisz, pomyślała smutno.

- Alexo...

- Może ty mogłabyś z nimi porozmawiać? - poprosiła pod wpływem nagłego impulsu. - Może rozumieją, jeśli ty im to wytłumaczysz. Wiesz, dlaczego podjęłam taką, a nie inną decyzję. Poza tym i tak chciałam im wyznać, że wiem o adopcji. Może w takim razie ty im powiesz? I jeszcze powiedz, jakie jesteście sobie teraz bliskie.

Catherine wiedziała, że Alexa błędnie ocenia sytuację. Ich kochający rodzice nie mogli być zawiedzeni. Ale może mimo wszystko to ona się myliła. Postanowiła, że oszczędzi Aleksie wszelkich trosk i smutków.

- Dobrze, Alexo. Ja im powiem.

- Widzieliśmy właśnie naszą cudowną wnuczkę - powiedziała Jane następnego ranka, gdy odwiedziła córkę. W jej głosie pobrzmiewała wyraźnie miłość i duma.

- Jest śliczna - dodał Alexander.

Alexa patrzyła na nich przez chwilę.

- Przepraszam - szepnęła, choć na twarzach rodziców nie malował się nawet ślad rozczarowania, lecz miłość.

- Przepraszasz, kochanie? Za co? - spytała Jane ze szczerym niedowierzaniem, choć była częściowo przygotowana na reakcje Alexy. - Za co?

- Sądziłam, że oddając własne dziecko do adopcji, sprawiłam wam zawód.

- Nie, kochanie. Rozumiemy. Dokonałaś odważnego wyboru serca, kierując się najgłębszą miłością. - Jane dotknęła lekko złotych włosów Alexy, dokładnie tak samo jak wówczas, gdy chciała jej powiedzieć o młodszej siostrzyczce. - Nigdy nie sprawiłaś nam zawodu.

- Ależ sprawiłam. Już nie pamiętasz? Byłaś taka rozczarowana, kiedy zobaczyłam Cat i nie chciałam być jej siostrą. Już nie pamiętasz?

- Nigdy o tym nie zapomnimy, Alexo - odparł Alexander. - Nie byliśmy tobą zawiedzeni. Nigdy. Zaskoczyła nas tylko twoja pewność, z jaką twierdziłaś, że Cat nie jest twoją siostrą. Martwiliśmy się bardzo, że ten prawdziwy cud okaże się straszliwą pomyłką.

- Straciliśmy tego dnia jakąś część ciebie - dodała cicho Jane. - Byłaś zawsze taką szczęśliwą, złotą dziewczynką, a

potem... - westchnęła cicho.

Tamtego dnia naprawdę utracili jakąś część swojego dziecka i choć bardzo się starali, przez całe lata, nie zdołali jej odzyskać.

- Tak bardzo cię kochamy, Alexo - szepnęła Jane, patrząc w szmaragdowe oczy córki. - Nigdy nas nie rozczarowałaś. To by było niemożliwe.

Alexa słuchała cudownych słów swoich rodziców i bardzo chciała w nie wierzyć. Tamten dzień pamiętała jednak tak wyraźnie... Towarzyszyło mu na pewno uczucie rozczarowania. Teraz jednak zastanawiała się, czy to uczucie nie tkwiło przypadkiem w niej? Może rozczarowała samą siebie, gdy odkryła, że na dnie jej serca drzemią brzydkie potwory? Tak, może tak. W ciemnych zakamarkach jej serca kryły się niegdyś potwory, ale one dawno już sobie poszły i wcale nie zamierzały wrócić - zniszczyła i pokonała je miłość.

- To naprawdę był cud. Bardzo kocham moją małą siostrzyczkę - powiedziała cicho, a w jej oczach zapalił się złoty blask. - I was też kocham - dodała, ocierając łzy.

Płakali wszyscy, a Jane i Alexander ze wzruszenia nie mogli wydobyć z siebie głosu. Ich córka wreszcie uwierzyła, że była bezwarunkowo kochana. Wreszcie odnaleźli utraconą Alexę. Tak wielkie, niezmacone szczęście nie gościło na jej twarzy od owego pamiętnego dnia, gdy...

- Podobnie wyglądałaś tego majowego dnia, kiedy jechaliśmy we trójkę do Kansas - zaczęła z uczuciem Jane i zająknęła się nagle, a Alexander dokończył:

- Dokładnie tak jak wtedy, gdy oznajmiłaś, że będziesz miała siostrzyczkę - dokończył cicho Alexander.

9

Robert i Alexa pobrali się w Boże Narodzenie, a świadkami tej radosnej uroczystości byli jej rodzice i Catherine. James nie przyszedł. Oczywiście został zaproszony, ale jego serce nie chciało w tym uczestniczyć. Boże Narodzenie spędził samotnie w Inverness, żeglując aż do zmierzchu. Następnego dnia też żeglował, a potem pracował do późna, uzupełniając już i tak staranne notatki, które przedłożył Elliotowi o ósmej rano dwudziestego siódmego grudnia.

- Nie sądziłem, że zrobisz to tak szybko - powiedział Elliot - Pewnie Alexa czuje się dobrze.

- Nawet bardzo dobrze. Dziś wraca do domu.

- Jej rodzina wciąż jest w Waszyngtonie?

- Nie. Wczoraj wyjechali, rodzice do Topeki, Catherine na L'ile.

- Na L'ile - powtórzył w zamyśleniu Elliot.

James po raz kolejny zauważył, że gdy Elliot mówi o tej rajskiej wyspie, jego twarz się zmienia.

- Ciebie coś łączy z L'ile - stwierdził cicho.

- Tak - przyznał Elliot. Chciał kiedyś powiedzieć wszystko Jamesowi, ostrzec go nawet. Teraz, gdy James powoli wracał do siebie, mógł to zrobić. - Stara historia, dokładnie sprzed trzydziestu dwóch lat. To przez to robię to, co robię. Kończyłem właśnie studia, dostałem dwuletnie stypendium do Oxfordu i miałem zamiar do końca życia wieść uczone, sielankowe życie jako profesor renomowanej uczelni. Ale podczas wakacji przyjechałem na L'ile des Arcs-en-ciel, gdzie zakochałem się niemal od pierwszego wejrzenia w Genevieve, pierwszej żonie Jean-Luca. Jean-Luc przebywał wtedy na wygnaniu w południowej Francji, a Genevieve uciekła od niego na wyspę, gdzie nie mógł za nią pojechać.

- I znalazła tam azyl?

- Tak. Alexandre i Isabelle powitali ją z otwartymi ramionami. - Elliot uśmiechnął się z czułością. - Właściwie powitali serdecznie nas oboje i udzielili schronienia naszej miłości. Mieliśmy dla siebie tylko trzy tygodnie, ale

wiedzieliśmy, że chcemy spędzić razem życie. Musiałem wrócić do Anglii, a Genevieve, przy pomocy Alexandre'a, zamierzała przeprowadzić rozwód z Jean-Lukiem i zostać ze mną. Wkrótce po moim wyjeździe odkryła jednak, że będzie miała dziecko. Dziecko Jean-Luca, upragnionego dziedzica. Zdecydowała się do niego wrócić i oddać mu potomka w zamian za wolność. - Elliot westchnął ciężko z goryczą. - Byłem wtedy bardzo naiwny, żyłem w zamkniętym świecie akademickim. A nawet Alexandre nie zdawał sobie w pełni sprawy, jak złym człowiekiem jest jego brat. Nie mógł jednak tego przewidzieć. Genevieve była pierwszą z wielu ofiar Jean-Luca.

- Jean-Luc zamordował Genevieve? - spytał cicho James, który właśnie pojął, że ta tragiczna śmierć wpłynęła na życie Elliota. Rozumiał to doskonale. On też zmienił całe swoje życie, zrezygnował nawet z miłości, gdy się dowiedział, że jego rodzice padli ofiarą mordercy.

- Nigdy tego nie dowiedziono, ale nie ma wątpliwości. W miesiąc po urodzeniu Alaina Genevieve została zastrzelona w Nicei, dziesięć kilometrów od rezydencji, w której mieszkała z Jean-Lukiem. Był z nią Alain i dlatego zastanawiałem się zawsze, czy przypadkiem nie próbowała uciec, zabierając ze sobą dziecko.

- Och, Elliocie, tak mi przykro...

- Mnie też jest przykro... nawet teraz, choć minęło tyle lat. - Elliot popatrzył w zamyśleniu na Jamesa. Nie musiał mówić, że dzisiaj on podąża tą samą niebezpieczną, samotną ścieżką, bo było to oczywiste. Ścieżka niewątpliwie pożyteczna, lecz choć wkroczył na nią w imię miłości, mogła w końcu doprowadzić do życia bez uczuć. James zdawał sobie z tego sprawę. Elliot nie musiał mu tego mówić. Dlatego po chwili uśmiechnął się lekko. - Catherine daje koncert na wyspie?

- Nie. Catherine zakochała się w Alainie - powiedział James przeprasząc. - W człowieku, przez którego twoja kochana Genevieve straciła życie. - Zamierzają się pobrać.

James sądził, że na twarzy Elliota pojawi się wyraz bólu, w najlepszym wypadku ironii - ale nie to, co się na niej pojawiło: delikatny, łagodny uśmiech aprobaty.

- Tak powinno być.

- Tak powinno być? - powtórzył James ze zdziwieniem. Elliot zdawał się akceptować małżeństwo Catherine z księciem, tak jak on, James powinien je zaakceptować. Catherine była najwyraźniej szczęśliwa z Alainem, a on pragnął przecież wyłącznie jej szczęścia. Lecz mimo wszystko nie mógł się z tym pogodzić. - Dlaczego?

- Bo Catherine jest ładną podobną do Isabelle Castille.

- Do Isabelle? Żony Alexandre'a? - spytał James i poczuł, że ogarnia go jakieś złowieszcze przecucie, jeszcze nie całkiem uformowane w myśl, niemniej przerażające.

- Tak.

- Pamiętam, jak mi mówiłeś jeszcze w Damaszku, że Jean-Luc został władcą, ponieważ Alexandre nie miał dzieci - mówił cicho James, a tymczasem jego umysł starał się przeanalizować ten dziwny szept intuicji. - Kiedy to było? Kiedy Jean-Luc wstąpił na tron? Wiesz?

- Wiem o nim wszystko - odparł cicho Elliot. - Jean-Luc objął władzę na wyspie w styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedział. Nie mógł. To wszystko wydawało się niemożliwe, choć jeśli było prawdą...

- Jamesie...

- Catherine urodziła się dokładnie w pięć miesięcy później, w maju. Jej matka miała jasne włosy i niebieskie oczy, tak jak Catherine. W rozmowie z Jane Taylor, której oddała dziecko, stwierdziła, że nie może zatrzymać dziewczynki, bo naraziłaby ją na niebezpieczeństwo. Matka Catherine chciała ofiarować Jane saszetkę z klejnotami. Jane jej nie przyjęła.

Przyjęła natomiast szafirowy naszyjnik, z myślą o tym, że wręczy go córce w dwudzieste pierwsze urodziny. Odniosła wrażenie, że ojciec dziecka nie żyje. Z drugiej strony matka Catherine prosiła, by na drugie imię dać dziewczynce Alexandra, i Jane doszła do wniosku, że ojciec Catherine miał na imię Alexander.

Elliot słuchał Jamesa najpierw ze sceptycyzmem, potem czujnie. Kiedy James przestał mówić, wyjął z górnej szuflady biurka kluczyk i otworzył nim boczną szufladę, gdzie przechowywał jedyne namacalne pamiątki miłości tak brutalnie mu odebranej - kilka bezcennych listów i kilka wartościowych fotografii.

Elliot trzymał kopertę w biurku, niepotrzebne uzasadnienie swojej drogi życiowej, lecz od wielu lat już do niej nie zaglądał. Ściśle biorąc, od siedmiu lat. Kopertę pełną wspomnień otworzył, a potem natychmiast zamknął, gdy dowiedział się o śmierci Jean-Luca. Elliot pamiętał, że ma przynajmniej jedną czarno-białą fotografię Isabelle, lecz całkiem zapomniał o zdjęciu z magazynu „Life”. Wyjmując z koperty cudowne zdjęcie księżnej, pomyślał, że pamięć wcale nie splatała mu figła. Catherine była naprawdę uderzająco podobna do Isabelle.

- Oto Isabelle - powiedział, wręczając Jamesowi fotografię. Zdjęcie zrobiono w ogrodzie pałacowym w Monako, w dzień ślubu księcia Rainiera z Grace.

- Przecież to Catherine - szepnął James. - A ten naszyjnik dostała w dwudzieste pierwsze urodziny. Boże!

- Co takiego?

- W zeszłym roku, gdy Catherine występowała w Wiedniu, skradziono jej naszyjnik, właśnie ten naszyjnik. Nie była to jedyna kradzież dokonana w hotelu tamtej nocy, lecz innych dopuszczono się zapewne wyłącznie po to, by odwrócić podejrzania.

- Od kogo?

- Od Alaina. Ellicie, musimy natychmiast jechać do Catherine. Grozi jej naprawdę wielkie niebezpieczeństwo! Jako córka Alexandre'a to właśnie ona, nie Alain, jest prawowitą następczynią tronu, prawda?

- Tak, Jamesie, ale o ile wiem, Alexandre i Isabelle nie mieli dzieci.

- Nie słuchałeś? Oczywiście, że mieli. Isabelle urodziła dziecko już po śmierci Alexandre'a. Musiała je oddać w obawie przed Jean-Lukiem, który nigdy nie dopuściłby do tego, by potomek Alexandre'a objął tron.

- Nawet jeśli to prawda, co za chwilę ustalę, nie ma powodu przypuszczać, że Alain o tym wie.

- Ale wie. Catherine wyznała mi kiedyś, że nie ma przed nim żadnych tajemnic. - Bardzo dobrze pamiętał jej słowa, które sprawiły mu taki ból: „Alain wie o mnie wszystko, wszystko, i ja też znam jego sekrety”. - Catherine wierzy, że Alain jest wobec niej uczciwy, lecz tak naprawdę księżę omamił ją kłamstwami! W końcu Catherine to jego kuzynka, a nie wspomniał o tym ani słowem.

- Malujesz wyjątkowo czarny charakter, Jamesie.

- Alain to wykapany ojciec. Jest przecież synem Jean-Luca, już zapomniałeś? Synem człowieka, który zamordował twoją ukochaną. Ach, już rozumiem... Nie chcesz w nim widzieć zła, bo to syn Genevieve.

- Może - przyznał cicho Elliot. - Ale ja nigdy nie chciałem decydować o jego losie. Celowo trzymałem się z dala od dochodzeń w jego sprawie i pozwalałem, by inni interpretowali dowody bez mojego udziału. Pragnąłem, żeby syn Genevieve odziedziczył raczej dobry charakter po matce, niż zły po ojcu, i sądziłem, że tak właśnie się stało.

- Aż do teraz.

Elliot nie odpowiedział, bo wyraziłby bardziej swe życzenia niż przekonania. Wybrał tylko pewien zamorski numer - numer który znał na pamięć. Interpol. Po krótkiej rozmowie i oczekiwaniu, kiedy słychać było tylko szum komputerów, uzyskał numer telefonu do zamku w Dolinie Loary.

Dwoje dzieci Louis-Phillippe'a i pięcioro jego wnucząt spędzało w zamku co drugie święta. Właśnie podczas tych ferii wnuki buszowały po posiadłości, wypełniając stare mury wesołym śmiechem. Kiedy zadzwonił Elliot, pomagały swym mamom i Isabelle w przygotowywaniu kolacji.

Louis-Phillippe odebrał telefon w gabinecie. Isabelle opowiadała mu kiedyś o Elliocie i Genevieve, więc od razu zorientował się, z kim rozmawia. Ton głosu Elliota był tak poważny, że Louis wywabił Isabelle z kuchni, nie mówiąc jej, kto dzwoni. Zaczekał z tą informacją, dopóki nie znaleźli się w gabinecie.

- Elliot Archer? - powtórzyła cicho. - Ile to już czasu minęło? - Isabelle mogła odpowiedzieć na to pytanie. Elliot zatelefonował do niej pod koniec grudnia, tuż przed śmiercią Alexandre'a, z wyrazami przyjaźni i wsparcia. Gdyby wówczas wiedziała, że Jean-Luc będzie ją śledził, zwróciłaby się do niego o pomoc. A teraz, dokładnie dwadzieścia dwa lata później, Elliot odnalazł ją w zamku.

- Elliot? - spytała z drżeniem.

- Witaj, Isabelle. Muszę cię o coś spytać. Pytanie będzie wyjątkowo brutalne, lecz jeśli odpowiesz przecząco, od razu zmienimy temat.

- Mów.

- Muszę wiedzieć, czy miałaś córkę z Alexandre'em.

- Och, Elliocie. - Jej westchnienie starczyło za odpowiedź. - Znalazłeś ją? Dobrze się czuje? Nic jej nie grozi?

- Oddałaś ją kobiecie w szpitalu w Kansas? Ofiarowałaś jej naszyjnik z szafirów?

- Tak, tak! Gdzie ona jest? Błagam, powiedz.

- Czuje się dobrze - odparł. Nie wiedział, czy Catherine zagraża niebezpieczeństwo, lecz zamierzał użyć wszystkich swoich wpływów, żeby się dowiedzieć. - To piękna dziewczyna. Bardzo do ciebie podobna.

- Muszę ją zobaczyć.

- Zobaczysz. Zadzwonię za godzinę.

Elliot odłożył słuchawkę i zanim podniósł wzrok na Jamesa, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w aparat.

- Tak więc Catherine jest księżniczką L'île des Arcs-en-ciel. Nie wiem, co robić.

- Wywieź ją jak najdalej od Alaina.

- Z tego, co wiemy, Alain nie zrobił nic złego. Kradzież naszyjnika o niczym nie świadczy. Zginęło przecież wtedy wiele innych rzeczy. A ślub z kuzynką to jeszcze nie zbrodnia, nawet zakładając, że Alain wie o pokrewieństwie z Catherine.

- Wie na pewno.

- Nie mamy dowodów, że popełniono zbrodnię. Nie istnieje też żadna konkretna przyczyna, by sądzić, że Catherine jest w niebezpieczeństwie. - Nawiedzony przez kolejnego ducha z przeszłości Elliot zmarszczył lekko brwi.

- Co się stało? Czy coś cię martwi?

- Myślałem o wypadku Alexy.

- Dlaczego?

- Z rozmów z Bakerem wywnioskowałem, że on coś podejrzewa.

- Brał pod uwagę możliwość przestępstwa, bo nic nie wskazywało na to, że Alexa próbowała uniknąć wypadku. Dochodzenie doprowadziło donikąd, bo samochód uległ całkowitemu zniszczeniu, a Alexa nie pamięta ani chwili sprzed wypadku. Dlaczego?

- Myślałem o kobiecie imieniem Monique.

- Agentce francuskiego wywiadu, która miała zdobyć informacje o Alanie, a w końcu się w nim zakochała?

- Tak. Nie pamiętam, żebym ci o niej wspominał.

- Bo nie wspominałeś. Wiem o niej od Natalie.

- Natalie powiedziała ci, jak zginęła Monique?

- W wypadku samochodowym - szepnął James i ciarki go przeszły.

- Monique była świetnym kierowcą, bardzo uważała na niebezpiecznych zakrętach Riwieri Francuskiej. Nigdy nie ustalono, dlaczego wtedy straciła kontrolę nad autem. Alain jechał za nią i był naocznym świadkiem wypadku. Twierdzi, że Monique nawet nie próbowała się zatrzymać ani skręcać, zupełnie tak, jakby zasnęła za kierownicą. Samochód rozbił się kompletnie i policja nie miała wyjścia: stwierdzono wypadek.

- Przecież to Catherine, nie Alexa odebrała telefon w Różanej Skale - powiedział James z cichym przerażeniem. - Wiadomość o ślicznej dziewczynce porzuconej przez matkę mogła być przeznaczona dla Alexy, ale również dla Catherine. I to Catherine jeździła po południu tym samochodem. Alain Castille jest mordercą. Zabił Monique i próbował zamordować Catherine.

A teraz ona pojechała do niego, gdzieś na koniec świata. W głowie Jamesa wirowały przerażone myśli. Dlaczego pozwoliłem jej odejść? Powinienem być ją poprosić, żebyśmy spróbowali jeszcze raz.

- Dobrze - powiedział spokojnie Elliot, choć serce biło mu mocno. - Skorzystaj z telefonu w recepcji. Załatw nam miejsca na popołudniowego concorde'a. Będziemy w Nicei przed północą. Zadzwoń do Isabelle, umów się z nią w Nicei, ale nie mów jej, że wybieramy się na wyspę. Nie chcę, żeby była tam pierwsza. Na razie Alain jest podejrzany o próbę morderstwa. A to znaczy, że mogę zorganizować na miejscu grupę agentów, którzy będą obserwować jego i Catherine. On jest podejrzany, nic więcej. Nie mamy najmniejszego dowodu świadczącego o popełnieniu przestępstwa i nie możemy zrobić kroku, dopóki dowodu nie zdobędziemy. Mówię poważnie. Alain ma takie same prawa, jak każdy wolny człowiek: jest uznawany za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy.

- Rozumiem. Ale będziesz miał dowód. Udowodnisz, że Alain Castille był w Waszyngtonie w dniu wypadku Alexy.

- Zaraz uruchomię w tym celu brygadę ludzi. Ale jeśli Alain był wówczas w Europie, będziemy mieli do czynienia z delikatną sprawą: niewinny człowiek, który sądzi, że jest prawowitym monarchą L'ile. Ów człowiek stracił już jedną ukochaną kobietę, a teraz, niezwykłym zbiegiem okoliczności, zakochał się w swojej kuzynce.

- Nie będzie żadnej delikatnej sprawy. Jestem pewien, że Alain Castille zna prawdę. Obiecujesz, że Catherine będzie bezpieczna?

- Mam swoich ludzi na wyspie, a poza tym postaram się umieścić kogoś w pałacu - odparł Elliot.

Nic więcej nie mógł zrobić. Do czasu ustalenia alibi Alaina na czas wypadku Alexy mógł jedynie mieć nadzieję, że Catherine będzie ostrożna.

Louis-Philippe uległ łagodnym, lecz stanowczym naleganiom Isabelle i pozostał w zamku wraz z dziećmi i wnukami. Przywiozę tu moją córkę - powiedziała Isabelle. W gruncie rzeczy jednak jej życzenia wcale nie były tak śmiałe.

Gdyby tylko zdołała zobaczyć córkę, choćby z daleka, byłoby cudowne. A gdyby jeszcze zdołała zbliżyć się do niej tak, by dojrzeć radość w jej oczach, dowód, że jej dziecko jest szczęśliwe, marzenie by się spełniło.

Logiczny umysł Isabelle nie snuł żadnych bardziej ambitnych planów, lecz jej serce dało się ponieść emocjom. A co, jeśli się spotkają, dotkną, porozmawiają... Co, jeśli przez jedną cenną chwilę ujrzy miłość w oczach, które nienawidziły jej od czasu, gdy poznały prawdę?

Kiedy Isabelle spotkała się o północy w Nicei z Jamesem Sterlingiem, jej serce zaczęło wierzyć, że to wszystko jest

możliwe. Ten przystojny mężczyzna, najwyraźniej zakochany w jej córce, potrafił te marzenia urzeczywistnić.

James i Elliot powiedzieli Isabelle o potencjalnym zagrożeniu dopiero, gdy znaleźli się w hotelu Le Bijou na wyspie. Isabelle doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Znała Jean-Luca i choć, podobnie jak Elliot, wierzyła, że Alain nie odziedziczył szaleństwa po ojcu, doskonale rozumiała sytuację. Czuła, że chłopiec, który ocalił jej ongiś życie, nie zdołał się uchronić od zła. Rozumiała to wszystko, lecz z istic królewską godnością kryła chwytający ją za gardło strach.

Wreszcie zadzwonił telefon, na który tak długo czekali. Wiadomość była absolutnie pewna i zaskoczyła ich.

- Alain spędził cały wieczór w swoim apartamencie w hotelu Ritz. Nie starał się specjalnie o to, by ktoś go zobaczył, ale jest znany w Europie, zwłaszcza we Francji, i kilka zupełnie niezależnych od siebie osób zwróciło uwagę na jego obecność. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości - powiedział Elliot, patrząc prosto w błękitne oczy Jamesa. - W dzień wypadku Alexy Alaina nie było w Waszyngtonie.

- To świetnie - powiedział spokojnie James. Wiedział, obaj wiedzieli, że Alain mógł wynająć płatnego zabójcę, tak jak często czynił to Jean-Luc. Śledztwo pochłonełoby jednak sporo czasu, a trzeba było jechać do Catherine. - W takim razie sprawa jest rzeczywiście delikatna. Ale na pewno można sobie z nią jakoś poradzić, prawda?

- Jedziesz teraz do pałacu?

- Przecież wiesz, że tak. - James popatrzył Elliotowi prosto w oczy, a potem odwrócił się z uśmiechem do Isabelle. - Powiem Catherine, że tu jesteś, i wrócę razem z nią.

- Och, dzięki.

- Może jeszcze chwilę zaczekasz - szepnął Elliot.

- Rozumiem, że Alain jest oczyszczony z zarzutów.

- Tak, ale sprawdzam też inne możliwości. W ciągu godziny wszystkiego się dowiem.

- Po powrocie chętnie cię wysłucham.

Elliot uśmiechnął się lekko.

- Dobrze, ale uważaj.

- Przecież nic mi nie grozi. Sam mówiłeś.

Catherine skończyła grać *Fantazję Impromptu* Chopina i uśmiechnęła się łagodnie do Alaina.

- *Magnifique*, Catherine.

- *Merci*. - Odeszła od fortepianu i dołączyła do niego. Siedział przy oknie wychodzącym na zatokę. W jego ciemnych oczach dostrzegła troskę. - Alain?

- Jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć, Catherine.

- W porządku - odparła, lekko zdziwiona, że jednak dzieli ich jakiś sekret, najwyraźniej bardzo ważny. - Powiedz.

- Pomyślałem, że pójdziemy na spacer do jaskini.

Tam, gdzie wieki temu Castille'owie ukrywali zrabowane skarby i gdzie poznasz dzisiaj największego złodzieja z tego rodu.

- Możemy iść od razu, jeśli chcesz.

- Dobrze, zmienię buty i wezmę sweter. - Catherine pocałowała go lekko w policzek. - Zaczekaj. Zaraz wracam.

Wchodząc do apartamentu we wschodnim skrzydle, Catherine zmarszczyła brwi ze zdziwienia. W pokoju panował

mrok - ciężkie kotary zasłaniały cudowny widok. Sama nie rozumiejąc dlaczego, złękła się. Zaraz potem uświadomiła sobie, że czuje się tak jak w zacienionym hotelowym pokoju w Wiedniu.

Otrząsnęła się ze wspomnień i z ciemnego salonu przeszła do kremowo-różowej sypialni z łóżkiem zasłanym koronkami i atłasem. Portret dostrzegła od razu - elegancka złota rama opierała się o różowy atłas, lecz to, co przedstawiał, docierało do niej powoli, etapami. Najpierw dostrzegła niezwykłą urodę osoby na portrecie, a potem dopiero uświadomiła sobie, że widzi własną twarz obramowaną jednak nie kruczoczarnymi, lecz złotymi włosami. Właśnie zaczęła zdawać sobie z tego sprawę, gdy dostrzegła coś jeszcze, coś strasznego...

Piękno i strach zupełnie do siebie nie pasowały; były jak rzeź w raju, przemoc na weselu... bomba na żagłowiec przed Gwiazdką.

Gardło kobiety z portretu było podcięte. Świeże, lśniące czerwone krople... farby? krwi? spływały z malowanej rany na naszyjnik z szafirów leżący obok kolczyków na kremowym dywanie.

- Nie! - Z ust Cat wyrwał się okrzyk protestu, choć nie zdawała sobie sprawy, na co właściwie patrzy. Nie rozumiała, jeszcze nie, lecz instynktownie wyczuła, że tej prawdy wolałaby nie poznać. Bała się jeszcze innej prawdy. Prawdy, która mogła ją odgradzić od tych, których kochała.

- Catherine? Chyba słyszałam twój krzyk - powiedziała Natalie, wpadając do sypialni i zerknąwszy na Catherine, szybko podążyła za jej wzrokiem. - Och, nie... - jęknęła.

- Natalie? Co to znaczy? Wiesz?

- Tak, Catherine, wiem. To znaczy, że nasz najdroższy Alain oszalał - szepnęła smutno. Delikatnie odciągnęła Catherine od zniszczonego portretu i skłoniła ją, by usiadła na jednym z aksamitnych krzeseł. - Zostań tu przez chwilę. Mamy trochę czasu i muszę ten czas wykorzystać. Nie wiesz, kim była twoja prawdziwa matka? Nie znasz swych związków z L'ile?

- Nie - odparła Catherine drżącym głosem.

- Ta kobieta na portrecie to twoja matka.

- Moja matka? - powtórzyła cicho Catherine i zerwała się z miejsca, by podbiec do obrazu. Moja matka. Natalie pociągnęła ją jednak z powrotem na krzesło.

- Nie patrz już na to. Kiedy skończymy, pokażę ci znacznie radośniejsze portrety twojej matki.

- Kim ona jest? Kim ona jest, Natalie? I kim ja jestem?

- Ma na imię Isabelle. Była żoną mojego wuja, Alexandre'a. Jesteś ich córką, Catherine, a więc naszą kuzynką. - Natalie zrobiła dramatyczną pauzę. - Dlatego to ty, nie Alain, powinnaś tu panować.

Nie! - zbuntowało się serce Catherine, które wcześniej niż rozum pojęło wszelkie możliwe znaczenia słów Natalie. Jeśli ona wie... to wie również Alain. Nie, niemożliwe. Przecież by tego przede mną nie ukrywał.

- Alain wie? - spytała w końcu.

- Oczywiście - odparła Natalie. - Wiem, że przeżyłaś szok, ale muszę ci wyjawić szybko całą prawdę. Mamy tak mało czasu... Mogę mówić?

- Tak - zgodziła się Catherine, choć z każdą sekundą upewniała się bardziej, że nie chce niczego słyszeć. Ale musiała. Wciągnęła głęboko powietrze. - Dobrze, powiedz.

- L'ile des Arcs-en-ciel to obsesja Alaina, który kocha swoją wyspę naprawdę bezgranicznie. Wszystko, co zrobił, służyło wyłącznie ochronie L'ile. Nie mógł się pogodzić z tym, co uczynił z księstwem nasz ojciec. Za jego rządów wyspa była rajem dla przestępców i terrorystów, nie miejscem spotkań poetów i kochanków, tak jak chciał Alain. Dlatego - wyjaśniła cicho i najłagodniej jak umiała - gdy nie mógł już tego znieść, zamordował Jean-Luca.

- Nie! - zaprotestowała natychmiast Catherine, stając w obronie mężczyzny, którego kochała. Kim jednak był jej ukochany? Gdzie był? Czy ten uczuciowy mężczyzna naprawdę istniał? Dowiedziała się właśnie, że zdradził ich miłość, której niezwykle ważny element stanowiło zaufanie. Ukrył przed nią swoją najważniejszą tajemnicę i teraz Natalie, patrząc na nią poważnie i smutno, mówiła jej, że Alain to morderca. Catherine wiedziała, że jej Alain, mężczyzna, którego kochała nie mógł być mordercą. Pojęła jednak, że nagle poznaje jakiegoś innego, obcego Alaina. - Zamordował Jean-Luca?

- Tak - odparła cicho Natalie. - Alain zabił Jean-Luca i przy okazji naszą matkę, która towarzyszyła mu wówczas w podróży, choć robiła to rzadko. W przeciwieństwie do Jean-Luca, Alain nie czerpie jednak przyjemności z morderstwa. Wszystkie zbrodnie popełnił z konieczności, po to, by Wyspa Tęcz mogła rozkwitać pod jego kochającym panowaniem.

- Wszystkie zbrodnie? - powtórzyła Catherine i rosło w niej przerażenie. Była przerażona faktami i tym, że zaczyna w nie wierzyć.

- Alain musiał również zabić Monique. Bardzo ją kochał, podobnie jak kocha ciebie, Catherine - westchnęła Natalie. - Bał się jednak, że Monique odkryje, kto zabił Jean-Luca. Nie chce stracić księstwa. Lęka się tego bardziej niż utraty życia. Dlatego w zeszłą środę w Waszyngtonie próbował cię zabić. Bardzo mi przykro, powinnam była zrozumieć, dlaczego tak nalega, żebym wyjechała do Gstaad, a sam chce zostać w Paryżu. - Potrząsnęła kasztanowatymi włosami. - Jestem trochę zaślepiona miłością do brata. Ty sama przecież wiesz, że jest w nim tyle łagodności, tyle dobra. To nie jego wina. Cierpi za szaleństwo naszego ojca. Wiedziałam, że jest chory, ale nie chciałam się sama przed sobą do tego przyznać. Modliłam się tylko, by obłęd minął. Teraz jednak szaleństwo Alaina sięgnęło zenitu - świadczy o tym wyraźnie ten portret. Alain chce cię zabić, to jasne. Boję się, że już zamordował Isabelle.

- Och, nie! - szepnęła Catherine z rozpaczą.

- Nie jestem tego pewna - dodała szybko Natalie. - Wskazuje na to jednak ten zniszczony portret. Ale obiecuję, kiedy ten koszmar się skończy, a Isabelle będzie żyła, wspólnie ją odnajdziemy. Teraz jednak, kuzynko, musisz opuścić L'île des Arcs-en-ciel.

- Obie musimy stąd wyjechać - powiedziała Catherine bardzo zdecydowanie i spokojnie. Przyjmowała do wiadomości prawdę. Musiała. Dowód był tutaj, w tej pięknej sypialni. A dodatkowy dowód pobrzmiwał jej w pamięci: wyszeptana do słuchawki wiadomość o dziewczynce porzuconej przez matkę. Wiadomość przeznaczona dla niej, nie dla Alexy. Wiadomość, którą otrzymała wyłącznie dlatego, że Alain, telefonując, rozpoznał jej głos.

- Nie, Catherine, ja muszę zostać z Alainem. Choć kompletnie stracił zmysły, nie zrobi mi krzywdy. Jakoś dam sobie z nim radę. Może te objawy szaleństwa to taka desperacka próba, by wreszcie z tym wszystkim skończyć. Gdyby mógł dokonać swych dni w jakimś zakładzie, gdzie patrzyłby na kwiaty i słuchał muzyki... Nie wiem, czy to możliwe, ale spróbuj mu wybaczyć. On nie jest przecież winny swojej choroby.

- Ja również zostanę. Razem będzie nam łatwiej.

- Nie, ty nie jesteś tutaj bezpieczna. Musisz w to uwierzyć i musisz wyjechać. Później, kiedy niebezpieczeństwo minie, możesz wrócić i objąć wyspę w posiadanie, bo przecież ona ci się prawnie należy. Ja, jeśli pozwolisz, również tutaj zostanę. Mam nadzieję, że będziemy przyjaciółkami. - Natalie uśmiechnęła się uśmiechem pełnym nadziei, lecz jej piękna twarz szybko spoważniała. - Musisz natychmiast wyjechać, Cat. Weź motorówkę. Jest łatwa w obsłudze. Kieruj się na pomoc, a dotrzesz do Nicei. Przy sterze jest kompas. Zaczekaj tutaj, aż przyniosę ci klucze. Zamknij za mną drzwi i otwórz dopiero, kiedy się upewnisz, że to ja. *Bien?*

- Tak, Natalie. *Bien. Merci.*

Powinna była czekać w salonie, lecz ledwo Natalie zamknęła zasuwę, wróciła do sypialni i stanęła przed

zniszczonym portretem matki.

- Proszę cię, żyj. Proszę cię, żyj, żebyś mogła ci powiedzieć, że rozumiem, co zrobiłaś i że cię kocham.

Popatrzyła na niewidzące szafirowe oczy na portrecie - śmiejące się, radosne, pełne nadziei, a gdy łyż przesłoniły jej widok, przyklękła na podłodze i pozbierała ostrożnie klejnoty poplamione czerwienią. Owijając je w chusteczkę, odkryła, że czerwień to atrament, nie krew.

Czekając w zaciemnionym pokoju, przypominającym do złudzenia jej mroczny apartament w wiedeńskim hotelu, pomyślała znowu o tamtej nocy i ranach od noża, które były przecież powierzchowne, nie śmiertelne. Dlaczego Alain jej wtedy nie zabił? Z powodu jakiego nikczemnego szaleństwa igrał z nią tylko i zwiabił tutaj po to, by wpadła w sieć zdrady i oszustwa? Przeżyła tę noc w Wiedniu, ponieważ Alain pozwolił jej przeżyć. A jeśli tym razem nie będzie miała takiego szczęścia? Jeśli z ciemności wyskoczy jakiś cień, a nóż wbije się głębiej i śmiertelnie ją rani?

Czy - jeśli tu umrze - zostaną po niej niewypowiedziane słowa miłości którymi powinna była obdarzyć swych bliskich? W ciągu ostatniego roku powtarzała często rodzicom, że bardzo ich kocha. Chciała im to wyznać raz jeszcze, gdy przyjadą do Nicei. Jeśli jednak nie zdąży dotrzeć do Nicei? Jeśli umrze, nie zostawi po sobie niewypowiedzianych słów miłości do Alexandre'a i Jane. A co z Alexą? Nie, ona również była świadoma jej głębokiej miłości. Lecz chciała pomówić raz jeszcze ze swoją starszą siostrą. Uśmiechnęła się lekko, wyobrażając sobie tę rozmowę. Najpierw wyjaśniłaby przepaszająco, że to ona, nie Alexa, miała wówczas wyruszyć w ostatnią, śmiertelną drogę. „Nonsens” - wykrzyknęłaby Alexa i zbyłaby podejrzenia Catherine uroczym uśmiechem i machnięciem ręki. A potem zaczęłaby cierpliwie, aż wyraz troski zniknie z oczu Catherine i oznajmiła: „Zawsze wiedziałam, że jesteś księżniczką”. Na co Cat odparłaby zapewne: „Tak, Alexo, ale już ci chyba kiedyś mówiłam, że pragnęłam być tylko twoją młodszą siostrą”.

Bardzo chciałyby tak porozmawiać. Ale nawet gdyby nie udało się jej uciec z Wyspy Tęcz, wiedziała, że Alexa jest pewna jej miłości.

Jeśli umrze teraz, tutaj, zostanie tylko jedna osoba, której nie zdążyła wyznać swych prawdziwych uczuć.

Muszę żyć. Muszę żyć, żeby pójść do niego, zajrzeć mu w oczy, te oczy, które na lotnisku wypełniły się taką radością i powiedzieć, że zawsze go kochałam i będę kochać.

Tak bardzo chciałabym żyć, żeby powiedzieć Jamesowi jak go kocham.

- James Sterling? - powtórzył Alain ze zdziwieniem, gdy mu powiedziano, że James czeka w marmurowym holu na odpowiedź w sprawie swojej prośby o rozmowę z księciem. - Tak, oczywiście, że go przyjmę. Proszę wprowadzić pana Sterlinga.

Poczuł, że ogarnia go jednocześnie strach i troska. James mógł się tu znaleźć tylko z jednego powodu: dla Catherine. Czy przybył tutaj po to, by jej oznajmić, że wciąż ją kocha? A jeśli tak, czy ona zamierza odejść wraz z nim? Nie - odpowiedział sobie buntowniczo na własne pytanie. Catherine mnie nie opuści.

- Witaj, Alainie.

- Witaj, Jamesie.

- Przyszedłem zaprosić Catherine i ciebie na kolację. Umówiłem się już z matką Catherine w hotelowej restauracji.

- Jane jest w hotelu? Nie rozumiem...

- Nie Jane, Alainie. Isabelle. - W ciemnych oczach księcia James dostrzegł zdumienie, lecz nie zakłopotanie. I dodał z cichą wściekłością: - Wiedziałeś, wiedziałeś, ty draniu.

- Tak, wiedziałem - odparł Alain, lecz w jego głosie nie pobrzmiwała wściekłość, tylko smutek.

- I nie miałeś zamiaru jej powiedzieć?

- Chciałem jej powiedzieć wszystko dziś wieczorem.

- Co za niesłychany zbieg okoliczności! Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, ale to nieważne. Teraz znam prawdę i dopilnuję, żeby Catherine również ją poznała.

- Nie znasz prawdy.

- Nie? To może w takim razie podzielę się z tobą tym, co wiem. Ty i Catherine jesteście kuzynami, prawda? Catherine to prawowita władczyni wyspy. Ty zaś jesteś tylko zwykłym uzurpatorem.

- Częściowo masz rację. Ale tylko częściowo. - Alain westchnął cicho. Wiedział, że będzie musiał powiedzieć Jamesowi prawdę. Był to jedyny sposób, by zmusić go do odejścia. - Catherine jest naprawdę prawowitą władczynią L'île des Arcs-en-ciel, a ja naprawdę jestem uzurpatorem, znacznie jednak większym niż przypuszczasz. Mylisz się bowiem sądząc, że łączą nas więzy krwi. Nie łączą. Catherine to naprawdę córka Alexandre'a. Ja nie jestem jednak synem Jean-Luca. Nie pochodzę z rodziny Castille'ów. Nie płynie we mnie królewska krew.

- Kim jesteś?

- Nie wiem. Znam się jednak trochę na medycynie. Mam grupę krwi AB. Grupa krwi mojej matki to B, co znaczy, że ojciec musiał mieć A lub AB. A Jean-Luc i Alexandre mieli grupę krwi zero. Jestem uzurpatorem, ale nie udaję miłości do Catherine. Kocham ją naprawdę całym sercem, a ona kocha mnie. Wierzę, że nadal będzie mnie kochać i nawet teraz, gdy już pozna prawdę, zechce wyjść za mnie za mąż.

Tak - pomyślał James. Twoja cudowna, wspaniałomyślna Catherine na pewno, gdy pozna twoją prawdę, wszystko ci wybaczy. Są jednak inne prawdy, które będzie musiała poznać.

- Chyba nie wiesz, jak ona potrafi kochać - ciągnął Alain. - Ciebie też kiedyś bardzo kochała, ale ty nie ufałeś jej tak jak ja. Bardzo ją skrzywdziłeś, o wiele bardziej, niż sądzisz.

- Wiem, że ją skrzywdziłem. Zrobiłem to zresztą w imię miłości, ale teraz rozumiem, że byłem głupcem. Nadal ją kocham. Wciąż mi zależy na naszej miłości. Catherine jeszcze o tym nie wie, lecz kiedy ty wyniszczysz jej swoje racje, ja również będę miał coś do powiedzenia.

- Niech tak będzie - odparł cicho Alain. - Wybór należy do Catherine.

- A ja wybieram Alaina - oznajmiła, wchodząc do salonu. Najkrótsza droga z jej apartamentów do zatoczki prowadziła przez hol za salonem. Catherine mogła tamtędy przejść cicho i dyskretnie, nie zauważona przez Alaina, lecz słysząc głos Jamesa, przestała uciekać. Do jej uszu dotarło najpierw samo brzmienie, ton głosu, a dopiero potem słowa. Gdy się zbliżyła, James mówił: „Nadal ją kocham, Catherine jeszcze o tym nie wie, lecz kiedy...” Teraz i ja wiem, Jamesie. Muszę jednak jeszcze przez chwilę udawać, że nasza miłość nie ma dla mnie znaczenia. - Wybieram Alaina - szepnęła, patrząc w ciemne oczy szaleńca.

Ale kiedy przyjrzała się Alainowi uważniej, odkryła, że w jego oczach nie ma obłędu, tylko miłość. Miłość, nadzieja i smutek. Zastanawiała się przez chwilę, jakie mogą być przyczyny tego smutku i doszła do wniosku, że Alain zdaje sobie sprawę ze swojej choroby. Nie panuje nad demonem, który go dręczy, i być może, tak jak twierdziła Natalie, marzy wyłącznie o tym, by jego cierpienia się skończyły. I już się prawie skończyły, Alainie - obiecała mu w duchu. Prawie.

- Muszę porozmawiać przez chwilę z Jamesem. Powinniśmy sobie wyjaśnić pewne rzeczy. Pójdziemy nad zatoczkę i zaraz wrócimy, a ty tutaj na mnie zaczekaj.

- Nie odchodź, z Jamesem, Catherine - szepnął Alain z taką rozpaczą w głosie, że Catherine ścisnęło się serce. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Dobrze. Jak wrócę znad zatoczki.

- Powinnaś się tego wszystkiego dowiedzieć ode mnie, nie od Jamesa. Proszę cię, niech on teraz sobie pójdzie.

Później się spotkacie.

W ciemnobrazowych oczach Alaina dostrzegła niepokój i nie chciała dłużej kusić losu.

- Dobrze, Alainie. Zostanę.

James ucieknie - myślała, a potem, kiedy ja i Natalie wreszcie się tobą zajmiemy, dołączę do niego.

- Nie, ty odjedziesz Catherine. - Ta cicha komenda padła z ust Natalie. - Weźmiecie motorówkę i odjedziecie.

Natalie stała w drzwiach. Przebrała się w długą jedwabną szatę i przystroiła kasztanowate włosy kwiatami.

Wygląda jak panna młoda - pomyślała Catherine. Specjalnie na użytek Alaina stworzyła taką spokojną, kojącą wizję.

Ale podobnie jak na portrecie Isabelle wizja ta została zakłócona. Natalie Castille w delikatnej dłoni trzymała broń.

Piękno i przemoc. Pół wojownik, pół panna młoda.

- James może już iść - powiedziała Catherine. - Ja zostanę z tobą. Pomożemy Alainowi.

- Mnie? - spytał Alain, odrywając na chwilę badawczy wzrok od broni. - A jakiej pomocy według ciebie potrzebuję?

- Wiem, co zrobiłeś - odparła łagodnie. - Natalie wszystko mi powiedziała. Ale to nie twoja wina. Obłąd odziedziczyłeś po Jean-Lucu. Tak bardzo kochasz L'ile. Wiem, Alainie i rozumiem.

- Co wiesz?

- Wie, że jest zaginioną księżniczką - wyjaśniła cicho Natalie.

- A ja nie miałem pojęcia, że ty wiedziałas o jej istnieniu - odparł, patrząc na Natalie i broń.

- Oczywiście, że tak. Jean-Luc opowiadał ci przecież tę historię tysiące razy. Wszystko słyszałam.

- Czy to w takim razie nie cudowne, że odnaleźliśmy kuzynkę? - spytał cicho Alain, podchodząc bliżej, wystarczająco blisko, by osłonić Catherine przed strzałem. Sądził, że pistolet pochodził z arsenału Jean-Luca. Natalie musiała go ukryć, zanim wydał polecenie, by zniszczyć broń. Co jeszcze ocaliła Natalie? Jakie pamiątki po rządach terroru? Parę pistoletów? Granaty? Plastyk?

- Cudowne? Och, nie, Alainie. To wcale nie jest cudowne. Wyspa należy do ciebie. Dałam ci ją, ponieważ wiedziałam jak ją kochasz. Catherine nie może mieć ani L'ile des Arcs-en-ciel, ani ciebie.

- Dałaś mi L'ile? Jakim sposobem?

- Pozbywając się Jean-Luca - oświadczyła z dziecięcą dumą, a jej obłąkane oczy miały przez chwilę niewinny, wyczekujący wyraz, jakby spodziewała się pochwały. Pochwała jednak nie nadeszła, więc ciągnęła: - Wiedziałam, że dopóki żyje Jean-Luc, będziesz się trzymał z dala od wyspy i ode mnie. Dałam ci L'ile des Arcs-en-ciel i dałabym ci siebie, lecz wiedziałam, że mnie nie dotkniesz, bo jesteśmy dziećmi tego samego ojca. Akceptowałam zresztą tę sytuację.

- Głos Natalie postarzał się nagle. Nie był to już głos rozpieszczonego dziecka, lecz porzuconej kochanki. - Dlaczego ci to nie wystarczyło? Dlaczego musiałeś się zakochać w Monique?

- Och, Natalie - szepnął Alain. Pojął, że przez jego ślepotę zginęła kobieta, którą tak kochał. Nie miał pojęcia o obsesji Natalie, a przecież powinien był się domyślać. Całe dzieciństwo obserwował Jean-Luca, obłąkanego na punkcie Isabelle, a Natalie odziedziczyła umysł Jean-Luca i jego urok. A on tego nie zauważył. - Och, Natalie.

- Monique musiała umrzeć - powiedziała zwyczajnie, bez śladu wyrzutów sumienia. Była nawet lekko zniecierpliwiona, że Alain dziwi się czemuś, co było przecież absolutnie konieczne. - Potem wszystko zmieniło się na lepsze. Byliśmy razem, nikt nie zakłócał naszego życia.

- Pamiętam - odparł cicho Alain. Przypomniał sobie tę rozpacz, która zatrzymała go na L'ile, rozpacz odporną nawet na uzdrawiającą moc wyspy.

- Ale smutek nie trwał długo. Znów ogarnął cię niepokój. Chciałeś podróżować, by słuchać tej twojej pięknej muzyki, a nawet zacząłeś przyjmować gości. - Westchnęła cicho, jak żona znosząca cierpliwie cierpienia, a jej ciemne

oczy zwięzły się nagle. - Ach, Alainie. Nie powinieneś być zapraszać tu Sterlingów.

- O mój Boże! - jęknął Alain. - Chciał wyrazić swój żal, patrząc Jamesowi prosto w twarz, lecz bał się oderwać wzrok od Natalie i stanąć plecami do śmiertelnie niebezpiecznego pistoletu. Nie spuszczał oczu z Natalie, uśmiechającej się triumfalnie na wspomnienie fortelu, dzięki któremu nie dopuściła do wizyty bożonarodzeniowej Arthura i Marion Sterlingów, wyszeptał z żalem błaganie o wybaczenie.

- Alain? - W głosie Natalie pobrzmiewała wyraźnie desperacka miłość. - Kocham cię. Robiłam wszystko z myślą o tobie. Nie rozumiesz?

- Tak, Natalie, rozumiem.

- W takim razie wypuść Jamesa i Catherine. Niech wsiądą do łódki i wyjadą. Razem.

- Dobrze - zgodził się Alain. Ale po chwili wahania popatrzył na nią tak, jakby przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. - A może my wsiądziemy do łódki?

- Och, tak. Oczywiście - odpowiedziała cicho. - Catherine ma kluczyki.

Alain zwrócił się do Catherine i wyjął kluczyki z jej dłoni. Chciał jej powiedzieć tyle ważnych słów, lecz mogło się okazać stanowczo zbyt niebezpieczne, więc przesłał jej tylko oczami wyznanie miłości. „Kocham cię, księżniczko. Musisz w to wierzyć. Bądź szczęśliwa, kochana”.

Uśmiechnął się lekko drżącym uśmiechem, żegnając się na zawsze z szafirowymi, przerażonymi teraz oczami Catherine, a potem popatrzył na Jamesa, który przysunął się do niej, gotów osłonić ją własnym ciałem w razie nagłego wybuchu szaleństwa Natalie.

- Powiesz jej wszystko, Jamesie, co ci mówiłem? - spytał. - To prawda, każde słowo to prawda i chcę, żeby ona o tym wiedziała.

- Oczywiście, że powiem - przyrzekł James.

- Dziękuję - odparł cicho Alain i wyciągnął do Natalie ręce w nadziei, że dziewczyna wypuści śmiertelnie niebezpieczną broń. Ona jednak ujęła tylko jedną z jego dłoni; w drugiej trzymała pistolet. Alain zaczął się zastanawiać, czy zdoła go jej wyrwać, lecz lepiej było nie ryzykować. Zresztą to nie było ważne. Ważne było tylko to, żeby rozdzielić Natalie i Catherine... na zawsze.

Alain i Natalie wyszli z pałacu przez balkonowe drzwi wychodzące na ogród i trzymając się za ręce, ruszyli w stronę zatoczki. James patrzył, jak znikają w oddali, a jego lęk o Catherine ustąpił miejsca nowej trosce. Co się właściwie działo? To wszystko nie miało sensu. Przecież Alain nie mógł wierzyć, że uda im się odpłynąć. Motorówka była szybka, doskonale wyposażona, lecz... wciąż brakowało kawałka łamigłówki. I nagle wszystko ułożyło się logiczną całość. Motorówka unosiła Alaina i Natalie w miejsce, które nie miało nic wspólnego z szybkością, w miejsce, gdzie Natalie zamierzała posłać Catherine, miejsce, do którego sama wybierała się z ochotą, pod warunkiem, że będzie jej towarzyszył ukochany Alain.

- Boże... - wyszeptał.

- Co się stało?

- Muszę ich powstrzymać.

Niczego nie tłumaczył. Nie miał czasu. Wybiegł szybko i ruszył wykładaną marmurem ścieżką. Catherine pobiegła za nim, lecz zanim zdążyła dopaść wyjścia, do pokoju wpadła grupa uzbrojonych mężczyzn z Elliotem Archerem na czele.

- Elliot! To Natalie! Ona...

- Wiem. Właśnie dostałem wiadomość, że w zeszłą środę była w Waszyngtonie. Gdzie ona jest?

- W zatoczce. Alain przekonał ją, żeby z nim uciekła. A James coś sobie nagle przypomniał. On też tam pobiegł.
- W motorówce jest bomba - szepnął Elliot.
- Och, nie!

- Nie rób tego, Alain - ryknął James, gdy dopadł burty.
- To już koniec. Pozwól nam odpłynąć.

James spostrzegł od razu, że nie ma wyboru. Natalie nadal ścisnęła broń, a w jej oczach była furia. Zatrzymał się w pół kroku i patrzył, jak Natalie i Alain wchodzą na pokład. Natalie pierwsza znalazła się w łodzi i podeszła szybko do czegoś, co - jak sądził James - włączało śmiertelny zapalnik. Włożyła kluczyk i przekręciła go, lecz motorówka mruknęła tylko cicho. Bomba musiała być połączona z czymś innym, jak tamta na żaglówce, która zabiła jego rodziców. Eksplozja nastąpi z dala od portu - przy jakiejś określonej prędkości.

Alain rzucił liny i popatrzył na Natalie, która wyciągała do niego rękę jak panna młoda do narzeczonego, a jej oczy, przepełnione szaleństwem, lśniły w niecierpliwym oczekiwaniu. Podeszedł do niej z prawdziwą królewską godnością, niczym monarcha przyjmujący na siebie wszystkie winy, choć niczemu winny nie był, gotów poświęcić własne życie, byle tylko położyć kres jej szaleństwu.

James zdążył wskoczyć na pokład, choć jacht odbijał już od nabrzeża. Gdy łódź zakołysała się nagle, zdradzając jego obecność, Alain odwrócił się zdziwiony, a w oczach Natalie błysnęła furia. Zaciśnęła palce na manetce i przesunęła ją lekko, ruszając naprzód, bliżej i bliżej wieczności.

Motorówka wystrzeliła nagle do przodu i eksplodowała, a na szafirowym niebie pojawiła się luna. Czerwonopomarańczowe płomienie wzbily się w górę, ponad płomienie wznosił się obłok popiołu i dymu podobny do ciemnych chmur zwiastujących tęcze nad wyspą.

I rzeczywiście, we wszystkich lśniących miejscach, gdzie benzyna sięgnęła nieba, pojawiły się tysiące wodnistych tęcz, które wzniosły się i opadły wraz z falami, by otoczyć płonące piekło - morze tęcz wokół ognistej wyspy.

11

James wyłonił się z wody i zaczerpnął spazmatycznie powietrza, wdychając więcej spalin niż tlenu. Poprzez kłęby dymu dojrzał pannę młodą odzianą w biały atłas - płynęła wśród tęcz, okryta całunem kwiatów zdobiących przedtem jej kasztanowate włosy. Była martwa. W majestacie śmierci, przewyciężywszy obłęd, wyglądała niewinnie jak szekspirowska Ofelia.

Alaina nigdzie nie było, nie odpowiadała również na wołanie. Do Jamesa docierały okrzyki z nabrzeża; słyszał także głosy ludzi płynących w jego kierunku, lecz najbardziej pragnął usłyszeć człowieka, który był gotów poświęcić życie, by uratować jego kochaną Catherine. I który to życie poświęcił - pomyślał ponuro, gdy jego rozpaczliwe próby nie przyniosły rezultatu.

A potem dostrzegł czerwień, dużo jaskrawszą niż czerwień płynących tęcz - ciemnoczerwone korale czerwieni połyskujące na śliskiej warstewce benzyny. Krew? Czyja? Jego własna? Alaina?

Zanurkował głęboko w niebieską toń morza, pod toksyczną powierzchnię splamioną krwią wypływającą z ciała ciężko rannego Alaina. Otoczył ramionami bezwładnego mężczyznę i wypłynął. Ciało było nieruchome i wydawało się martwe, lecz kołatało w nim wyraźnie młode, zdrowe przeciw serce, walczące desperacko o życie. Niestety, z każdym jego uderzeniem Alain tracił coraz więcej bezcennej krwi.

Tym razem, gdy James wyłonił się z wody, ujrzał nieopodal innych pływaków - silnych, zdrowych mężczyzn, którzy

przetransportowali szybko księcia na nabrzeże. James nie chciał, by się nim zajmowano. Jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo, Alain mógł w każdej chwili umrzeć.

Jak się okazało, Elliot przybył do pałacu w towarzystwie świetnie przeszkolonych agentów i zaczął organizować pomoc medyczną już w chwili, gdy zrozumiał, że na pokładzie może być bomba. Na nabrzeżu czekał nadworny lekarz Castille'ów i personel pobliskiej kliniki. Zajęto się Alainem ledwie znalazł się na brzegu. Kiedy jednak okazało się, że na jednego pacjenta przypada zbyt wielu lekarzy, jeden odszedł od Alaina, by zająć się Jamesem.

- Nic mi nie dolega - zapewnił go James, choć, idąc za zatroskanym wzrokiem doktora, zobaczył, że jego obrażenia są znaczne - miał wiele głębokich skaleczeń i oparzeń. Zaczął także odczuwać ból, bo benzyna i sól wżerały się głęboko w jego poranione ciało. - Nic mi nie dolega - powtórzył.

- Tak, proszę pana, ale rany trzeba oczyścić i opatrzyć. Przede wszystkim musimy zmyć benzynę, bo będzie wciąż naruszać tkanki. Chciałbym od razu zabrać pana do kliniki.

- Dobrze, dziękuję, za chwilę.

Musiał porozmawiać z Catherine. Stała nieopodal bardzo zaniepokojona w towarzystwie równie zaniepokojonego Elliota. James uśmiechnął się do lekarza i podszedł do nich.

- Czuję się naprawdę dobrze - powiedział i rozejrzał się, bo chciał być pewny, że nikt ich nie słucha. Nikt nie słuchał. Wszyscy obecni na nabrzeżu skupili się na Alainie. Nawet doktor, który przed chwilą rozmawiał z Jamesem, powrócił do grupy otaczającej księcia. - Czuję się dobrze, lecz Alain jest ciężko ranny. On cię potrzebuje, Catherine - szepnął.

Dostrzegł w jej oczach niepewność. Jej uczucia wobec Alaina, którego kochała, a który tak okrutnie ją oszukał, były najwyraźniej mieszane.

- Posłuchaj, to wszystko nie wygląda całkiem tak, jak myślisz. Alain nie jest twoim kuzynem. Nie łączą was żadne więzy krwi.

- Nie?

- Nie. Jean-Luc nie był ojcem Alaina. Zresztą on miał zamiar ci to wszystko sam wyjaśnić. Bał się wyjawić prawdę wcześniej, bo nie chciał stracić ciebie, nie wyspy. - Urwał, widząc, że jego słowa wprawiły Catherine w jeszcze większe zakłopotanie. - Alain bardzo cię kocha - dodał.

- Tak?

- Kiedy zrozumiał, że na pokładzie jest bomba, polecił nam nie wychodzić i dołączył do Natalie. Wiedział, że umrze, lecz wiedział też, że dzięki temu ty będziesz bezpieczna. I nic innego nie miało dla niego znaczenia. Rozumiesz? Rozumiesz, co on zrobił?

- Tak, Jamesie - odparła, patrząc w oczy człowieka, który zapomniał najwyraźniej o własnym bohaterstwie. W chwili, gdy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, również dokonywał odważnych, współczujących wyborów. Nie potrafił przyglądać się beczynnemu śmiertelnemu niewinnemu człowiekowi. I choć mówił kiedyś tak zimno, że najchętniej posłałby kulę w serce mordercy swych rodziców, nie mógł patrzeć nawet na śmierć Natalie. - Rozumiem, czego obaj dokonaliście.

Poczuł na sobie spojrzenie jej odważnych szafirowych oczu i na chwilę zatopił się w magii. Czuł, że znów się zagubił i podobnie jak kiedyś, nie chce się odnaleźć, ale...

- Alain cię potrzebuje, Catherine - szepnął i nastrój prysnął. - Kocha cię, być może umiera i potrzebuje twojej miłości.

- Tak - odparła cicho.

Alain mnie kocha, może umiera i potrzebuje mojej miłości. Catherine była ciekawa, czy James słyszy swe własne

słowa. Był bowiem czas, kiedy on również umierał, umierało jego serce i dusza, a mimo to odtrącił jej uczucie, którego tak desperacko potrzebował. Musiała pójść do Alaina i zostać z nim tak długo, jak to było konieczne, lecz w sercu śpiewały jej słowa Jamesa wypowiedziane wcale nie tak dawno. Nadal ją kocham, wciąż mi zależy na naszej miłości. Teraz jednak Catherine nie widziała tej miłości w jego oczach. Czyżby to mówił wyłącznie po to, aby odwieść ją od szaleńca, za którego uważał Alaina? Czyżby jego wyznanie było równie fałszywe jak jej własne zapewnienia o uczuciu do Alaina? Teraz to nie miało znaczenia. Teraz musiała być z Alainem, lecz przyjdzie czas, gdy spotka się z Jamesem, by spełnić życzenie, które tak desperacko powtarzała w myślach, czekając na Natalie: Tak bardzo chciałabym żyć, żeby wyznać Jamesowi, jak go kocham. Powiem mu wszystko - przyrzekła swemu kochającemu sercu i spojrzała na Jamesa.

- Tak, Alain mnie potrzebuje i powinnam być przy nim.

James patrzył, jak Catherine idzie w stronę nabrzeża i prosi cicho zebranych, by ją przepuścili, a potem przykłęka przy Alainie i szepcze do niego ciche słowa miłości. Potem zbliżył się do Elliota, który stał ze wzrokiem wbitym w płonące morze.

- Nie myliłeś się. Motyw morderstwa moich rodziców miał czysto osobisty charakter. Natalie zabiła ich po prostu dlatego, że nie chciała, by popsuli jej święta. Zabiła również swoich własnych rodziców, Monique i próbowała zamordować Catherine. A wiesz, co ja czuję w związku z jej śmiercią? Nic. Nawet odrobiny ulgi. - James urwał, by pozbierać myśli i uczucia. Chciał jeszcze coś powiedzieć. Chciał wyznać, że przez chwilę było mu nawet żal Natalie. Czy to nie dziwne? A gdyby odebrał jej wtedy broń, i tak nie mógłby do niej strzelić. Chciał powiedzieć Elliotowi, że to on miał rację. Że zemsta jest pusta. Kiedy jednak spojrzał mu w twarz, spostrzegł, że ten superszpieg po raz pierwszy w życiu zrzucił maskę i walczy z burzą uczuć. - Elliocie?

- Słyszałem, jak mówiłaś Catherine, że Alain nie jest synem Jean-Luca.

- Och... - westchnął James. Sam oczywiście odkryłby prawdę, gdyby miał czas to wszystko przemyśleć. - Alain twierdzi, że ma grupę krwi AB, Genevieve B, a Jean-Luc zero.

- A ja AB. - Oczy Elliota zasnuły się łzami. - To mój syn, Jamesie. Alain to mój syn.

Musiał przy nim być. Musiał go przytulić i opowiedzieć o swojej miłości. Boże, oby tylko zdążył, zanim...

Nie mógł jednak ukłęknąć przy poranionym Alainie i głaskać po głowie, tak jak robiła to Catherine. Pełnił tu rolę głównodowodzącego i musiał się zająć odtransportowaniem Alaina do szpitala. Alain żył jeszcze, choć jego stan był krytyczny, jak poinformował go lekarz nadworny. Odniósł wiele obrażeń - ciężkich poparzeń i ran - lecz tak naprawdę tylko jedna z nich mogła zagrażać życiu. Było to poważne skaleczenie uda, bardzo głębokie, przypominające ranę zadaną nożem.

Z naruszonej arterii wyciekło do morza stanowczo zbyt dużo krwi. Teraz krwawienie ustało - zatrzymała je ciasno założona opaska. Na L'ile jednak nie można było przeprowadzić koniecznej w tej chwili operacji naczyniowej. Podjęto decyzję o przewiezieniu Alaina do Nicei. Lecieć miał własnym samolotem wyłącznie w towarzystwie lekarzy - bez Catherine, która przez ostatnich kilka minut zapewniała go o miłości i bez Elliota, który mógł już nigdy więcej nie zobaczyć syna.

Samolot Natalie był w Paryżu, tak więc zdecydowano, że Elliot polecą do Nicei jednym z wielu samolotów transportujących turystów z Lazurowego Wybrzeża na wyspę. Elliot poprosił Catherine, by zaczekała na nabrzeżu, a sam, z doktorem i Alainem, pobiegł na pas startowy. Nie mógł wyznać synowi jak bardzo go kocha, lecz pomagając sanitariuszom dźwigać nosze, zdołał przynajmniej dotknąć czule jego bezwładnej ręki.

Elliot prosił ją wprawdzie, by została w hotelu, lecz zaraz po eksplozji Isabelle wybiegła na zewnątrz razem z niemal

wszystkimi gośćmi, przerażonymi złowieszczym dymem i ogniem. Później, gdy ratowano Alainowi życie, znalazła się w tłumie zebranych nad morzem, lecz wszystkich trzymano z dala od nabrzeża. Gdy zabierano Alaina, większość stojących tam ludzi utworzyła ponurą procesję i ruszyła za swym księciem, a Isabelle, drżąc od stóp do głów, podeszła wolno do córki i zatrzymała się nieopodal.

Catherine stała na skraju nabrzeża, patrzyła na morze i czekała na przylot samolotu. Nie miała powodu odrywać wzroku od wody, nie miała powodu w ogóle się odwracać.

Nagle jednak poczuła, że się odwraca, zupełnie tak, jakby przyciągał ją jakiś potężny magnes. I zobaczyła... tak, to była ta piękna kobieta z portretu i przez krótką, zapierającą dech w piersiach chwilę Catherine sądziła, że to musi być złudzenie, okrutna, ale wspaniała sztuczka wyobraźni. Złowieszcze słowa Natalie: „Boję się, że zamordował Isabelle” nie odzwierciedlały rzeczywistości.

Isabelle nie była złudzeniem. Ona żyła, a jej szafirowe oczy płakały i śmiały się na przemian, ożywione nadzieją, że dziecko, które tak bardzo kochała, wreszcie do niej przyjdzie.

Pierwszy niepewny krok zrobiła Catherine, później Isabelle też się poruszyła i już po chwili były tak blisko, że mogły się dotknąć. Isabelle dotknęła odważnie zalanego łzami policzka córki i uśmiechnęła się tym samym radosnym uśmiechem, z jakim pieściła swoje maleństwo przed wieloma laty.

- Catherine - szepnęła, tuląc ją w ramionach.

Matka i córka były znowu razem, choć maleńka dziewczynka sprzed lat stała się dorosłą kobietą, i po raz pierwszy w życiu przemówiła do Isabelle. W dodatku odezwała się po francusku, w tym samym języku, w którym Isabelle tyle razy wyznawała jej miłość.

- *Maman...* - A potem, chcąc, by Isabelle dowiedziała się wszystkiego od razu... że rozumie, i że jej życie było naprawdę pełne szczęścia i miłości, tak jak Isabelle sobie życzyła, wyszeptwała jeszcze najważniejsze zapewnienie, obietnicę, jaką samą otrzymała od Isabelle, wygrawerowaną w złocie. - *Je t'aimerai toujours, maman.*

Chirurdzy z Nicei zaszyli profesjonalnie arterię Alaina, krew, której tak bardzo potrzebował, zdecydowało się oddać wielu ochotników. Gdy przetestowano krew Elliota, hematolodzy nie mogli się nadziwić, że znalazł się tak idealny dawca. Wydawało się to naprawdę cudownym zbiegiem okoliczności.

Elliot oddał Alainowi krew z radością, wdzięczny losowi za to, że może mu pomóc. Isabelle również była dawcą, dzięki czemu po raz pierwszy w żyłach Alaina popłynęła prawdziwie królewska krew.

Arterię zeszyto, braki krwi uzupełniono, lecz i tak przez następne trzydzieści sześć godzin Alain znajdował się w delirium. Delirium, jak wyjaśnili lekarze, spowodowało wiele czynników: przedłużający się szok, niedoszłe utonięcie, skutki uboczne środków przeciwbólowych, wreszcie toksyczne działanie gazoliny i wody morskiej, która przedostała się do ustroju przez głębokie, otwarte rany.

W tych bardzo trudnych chwilach towarzyszyła mu tylko Catherine która siedziała przez cały czas przy jego łóżku, próbując uspokoić dzikie, niewidzące oczy. Jakież to niezwykle przerażające obrazy on może widzieć? - myślała. Alain miał najwyraźniej halucynacje i majaczył, lecz, gdy zwracał wzrok na Catherine, choć jej nie poznawał, w jego oczach nie było strachu.

Elliot trzymał się z dala od łóżka Alaina. Był dla niego obcy i nie chciał stać się przyczyną jeszcze większego zamieszania w umyśle syna. Ale gdy Alain zasypiał, Elliot wycierał mu czoło spocone ze strachu, który dręczył go nawet przez sen.

- Jak sądzisz? Genevieve wiedziała, że Alain był moim synem?

Przy Alainie czuwali lekarze, a Elliot, Catherine i Isabelle rozmawiali w pobliskiej poczekalni.

- Nie, myślę, że nie. Ciężę stwierdziła tak szybko po twoim wyjeździe z wyspy, że chyba nie przyszło jej to nawet do głowy.

- Ale kiedy zginęła, Alain był z nią.

- Tak. I kiedy uciekała, usiłowała go ze sobą zabrać. Może jednak zdawała sobie tylko sprawę z tego, że nie wolno jej zostawić dziecka z Jean-Lukiem. A jestem pewna, że Jean-Luc nigdy nie poznał prawdy - dodała cicho Isabelle.

- Oczywiście - zgodził się Elliot - W przeciwnym wypadku Alain na pewno by już nie żył.

Catherine słuchała w milczeniu cichej i nabrzmiałej od uczuć rozmowy między swoją matką i ojcem Alaina. Nie miała zresztą nic do dodania poza współczuciem w pięknych oczach.

Nie miała nic do dodania na temat przeszłości L'île, lecz mogła powiedzieć całkiem sporo na temat przyszłości wyspy. I kiedy w poczekalni wreszcie zaległa cisza, postanowiła dłużej nie zwlekać.

- Nikt nie musi poznać prawdy.

- Catherine?

- Nikt nie musi poznać prawdy o Alainie i o mnie.

Powiedziała tylko parę słów, lecz były to słowa o monumentalnym znaczeniu. Królewski rozkaz... pierwszy, a zarazem ostatni królewski rozkaz księżniczki L'île. Przemówiła po królewsku. Na jej twarzy wciąż zresztą gościł uroczysty wyraz, lecz towarzyszył mu śliczny, niepewny uśmiech Catherine Taylor.

- Czy ojciec zaaprobowałby moją decyzję, *maman*? - spytała z nadzieją.

- Och, tak, kochanie. - Isabelle odgarnęła czule czarne pasmo z twarzy córki, a w oczach Catherine rozblęła radość.

- Na pewno by to zaaprobował. Wierzył w miłość, przede wszystkim w miłość, bo wiedział, że więzy miłości są silniejsze i ważniejsze niż więzy krwi - Isabelle przyciągnęła do siebie Catherine. - Byłby z ciebie taki dumny, Catherine...

- *Bonjour*, Catherine.

- Wróciłeś do nas, Alainie - odparła cicho. Kiedy opuściła go o północy, wydawało się jej, że Alain śpi głębiej i spokojniej, a teraz, siedem godzin później, wreszcie przyszedł do siebie.

- *Bonjour*.

Pocałowała go delikatnie w policzek i popatrzyła na jego piękną twarz. Z ciemnych, łagodnych oczu, które tak dobrze знаła, wyczytała wyraźnie, że Alain usiłuje sobie coś przypomnieć. Wiedziała, że nie będzie pamiętał niczego, co zdarzyło się po wybuchu, lecz czy zapomniał też wydarzenia, jakie miały miejsce wcześniej? Czy cierpiał, podobnie jak Alexa, na amnezję wsteczną? Pomyślała, że byłoby dla niego najlepiej, gdyby na nią cierpiał. Mogła ostrożnie powiedzieć Alainowi prawdę o Natalie, lecz wolała mu oszczędzić szczegółów jej szaleństwa.

- Alain?

- Pamiętam, że James szedł za nami nad zatokę. Wskoczył na łódkę w chwili, gdy odpływaliśmy. Odwróciłem się do niego, próbowałem go powstrzymać, ale było już za późno. - Alain przymknął oczy, jakby próbował odpędzić od siebie jakiś obraz, lecz starał się na próżno. - Och, Catherine, tak dobrze pamiętam twarz Natalie. Miała dzikie, gniewne spojrzenie, a przy tym patrzyła na mnie z wyrazem takiej miłości... Wyglądała jak piękna mała dziewczynka, której sen wreszcie się spełnił. - Alain westchnął cicho. - Co się stało?

- Natalie zginęła podczas eksplozji. Na miejscu.

Alain skinął głową. Na jego pięknej twarzy malował się smutek i żal, a zarazem świadomość, że śmierć Natalie to

prawdziwe błogosławieństwo.

- A James - spytał nagle.

- James żyje. Nic mu nie grozi.

- Och, to dobrze. Jest tutaj?

- Nie, ale dzwonił, żeby zapytać, jak się czujesz. Wczoraj wieczorem wrócił do Waszyngtonu.

- Powiedział ci prawdę o mnie?

- Tak, Alainie. Powiedział, że nie jesteś moim kuzynem i że chciałeś wyjawić mi wszystko tamtego wieczoru i...

- Catherine.

- Sądzę, że wszyscy, którzy powinni znać prawdę o twoim pochodzeniu, już ją znają. To samo zresztą dotyczy mnie.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że L'île należy do ciebie i że to już się nie zmieni.

- Och, nie...

- Och, tak. - Uśmiechnęła się, widząc niedowierzanie w jego oczach. - Jesteś księciem i władcą L'île des Arcs-en-ciel. Tak jest dobrze, Alainie, tak jest najlepiej. Isabelle twierdzi, że Alexandre poparłby z pewnością moją decyzję.

Popatrzył w szafirowe oczy, które tak kochał, i wyczytał z nich wyraźnie, że Catherine podjęła tę decyzję z miłości i jest szczęśliwa.

- Catherine - wyszeptał z uczuciem. - Dziękuję.

- Nie ma za co.

Przez dłuższą chwilę nie mógł dobyć z siebie głosu. Patrzyli na siebie oczyma pełnymi łez, uśmiechając się łagodnie. Catherine dała mu Wyspę Tęcz, skarb niezmierzonej wartości, drugi wielki skarb, jaki miała do ofiarowania. Najważniejszy - siebie - ofiarowała już bowiem komu innemu. Alain zdawał sobie z tego sprawę już od chwili, gdy James powiedział mu o swojej miłości do Catherine. Teraz, gdy wreszcie był w stanie przemówić, zaczął szukać słów, które mogłyby jej ułatwić pożegnanie.

- James powiedział ci o mnie. Czy mówił również o sobie?

- Nie. Nasza ostatnia rozmowa miała miejsce zaraz po eksplozji. - Wtedy kazał mi iść do ciebie, bo umierałeś i potrzebowałeś mojej miłości. A kiedy zadzwonił do szpitala dowiedzieć się o twoje zdrowie, prosił do telefonu Elliota, nie mnie.

- Ale słyszałaś, co mówił, zanim wszedłaś do salonu?

- Tak, ale nie jestem pewna, czy mówił poważnie.

- Och, Catherine - zapewnił ją Alain. - Oczywiście, że poważnie. Widziałem jego oczy. James bardzo cię kocha.

- Cóż - odparła z niepewnym wzruszeniem ramion. - Nie jestem pewna, ale niedługo się dowiem.

- I dowiesz się, że kocha cię całym sercem. Jakżeby inaczej...

- Alainie, ja...

- Rozumiem twoją miłość do Jamesa. Powiedziałaś mi wszystko na ten temat.

- Tak. Powiedziałam, bo byłeś dobry, ciepły, wyrozumiały i dlatego, że cię kocham.

- Wiem i ja też cię kocham. - Alain uśmiechnął się lekko. - Idź, teraz kochanie, o mnie się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Tak, kochany - myślała. Wszystko będzie dobrze. W oczach Alaina dostrzegła wprawdzie smutek z powodu utraconej miłości, lecz kryło się w nich również sporo nadziei. Alain nie był już księciem uzurpatorem, a żadnej z jego miłości nie zagrażało szaleństwo Natalie. Burzowe chmury rozwiały się, spadł najbardziej ożywczy deszcz i odtąd na

niebie pojawiać się będą tylko najjaśniejsze tęcze. Myśląc o szczęściu Alaina i wielkiej radości, jaka stać się miała za chwilę jego udziałem, uśmiechnęła się lekko.

- Pójdę już - powiedziała, całując go w policzek. - Ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

- Witaj, Alainie. Nazywam się Elliot Archer.

- *Monsieur* Archer - odparł Alain z uprzejmym zdziwieniem. - Wreszcie się spotykamy. Oczywiście słyszałem o panu. To pan kazał mnie obserwować przez tyle lat...

- Alainie...

- Nienawidziłem tego szpiegowania, ale teraz widzę, że pan miał rację.

- Nie chcę z tobą rozmawiać o spisku na L'île, ale o pewnej miłości.

- O pewnej miłości? - powtórzył Alain, widząc, że w ciemnych oczach Elliota, tak bardzo podobnych do jego oczu, pojawiają się łzy.

- Tak. O pewnej miłości. O twojej matce i ojcu.

- *Maman*? - Catherine popatrzyła pytająco na bilet, który przed chwilą wręczyła jej Isabelle.

- Na popołudniowego *concorde* a do Waszyngtonu

- Przecież miałam jechać z tobą do zamku, poznać Louis-Phillippe'a, jego dzieci i wnuki.

- Uważam, że powinnaś lecieć do Waszyngtonu. Elliot już ci chyba mówił, że James spędzi parę miesięcy żeglując na Karaibach. Możesz go oczywiście później tam szukać, ale chyba rozsądniej będzie zobaczyć się z nim teraz.

- Ale spędziłam z tobą tak mało czasu...

- Mamy przed sobą całe życie. A teraz, kiedy się już znalazłaś, nigdy cię już nie stracę - obiecała Isabelle. - Louis-Phillippe i ja przyjedziemy zresztą w lutym do Topeki.

- Och, to dobrze. Tak się cieszę!

- Ja też. - Isabelle pomyślała z uśmiechem o radosnym zjeździe rodzinnym planowanym na Walentynki. Nie miał to być wprawdzie ślub, gdyż Alexa wyszła już za męża, lecz uroczystość na cześć ojców, matek, córek i miłości. Isabelle chciała podziękować raz jeszcze Jane za to, że tyle lat kochała jej bezcenny skarb. Próbowwała to zrobić przed dwoma dniami, podczas rozmowy telefonicznej, lecz ich słowa szybko zalały łzy. Ale Jane chyba wiedziała, co Isabelle chce jej powiedzieć, ponieważ od początku porozumiewały się dzięki cichym komunikatom serc, a dwa dni wcześniej te milczące zapewnienia o miłości przebyły bez najmniejszych trudności cały ocean. - Przyjedziemy w lutym do Topeki - powtórzyła, patrząc na Catherine. - A ty jedź teraz do Jamesa. Jedź do tego wspaniałego człowieka, który tak bardzo cię kocha.

12

Catherine przyjechała do Inverness na godzinę przed świtem. Z jasnoszarego nieba spadały wolno płatki śniegu, lecz zima wstrzymała oddech i w czystym białym świetle panował bezruch. Popatrzyła na nieoświetloną, ciemną sylwetkę rezydencji i zrozumiała, że Jamesa na pewno tam nie ma. Idąc szybko przez opustoszały różany ogród nad urwiskiem zaczęła się obawiać, że przybyła za późno.

Gdy jednak dotarła na miejsce, dostrzegła z ulgą „Nocny Wiatr” kołyszący się lekko w zatoczce. W kabinie paliło się wiśniowo-złote światło. James pewnie przygotowywał łódź do zimowej podróży.

Patrząc na przycumowany w dole jacht, Catherine przypomniała sobie swoją jedyną wędrówkę nad zatokę. Tej cieplej sierpniowej nocy rozum wielokrotnie ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. Nie dasz rady! Zejdiesz nad zatokę,

ale nie zdołasz wdrapać się na górę.

Ale wtedy poszła razem z Jamesem, bo musiała.

Tak jak teraz.

I choć jej szczupłe sprawne ciało pokonałoby bez trudności drogę na szczyt, serce mówiło: „Nie będziesz musiała się wspinać. James zapragnie, żebyś została”.

Tamtej ciepłej sierpniowej nocy Catherine Alexandra Taylor nie wiedziała dokładnie, kim tak naprawdę jest. Teraz, w ten śnieżny zimowy dzień wiedziała wszystko, znała wszystkie prawdy i doznała błogosławieństwa cudownej miłości.

Znała wszystkie prawdy, lecz tej najważniejszej, dowiedziała się dawno temu, w pewną letnią noc.

Tylko przy tobie, Jamesie, jestem wszystkim, czym pragnę być.

James był na nabrzeżu i przymocowywał linę do kołka. Na szyi miał szalik od Catherine - wspaniałe wspomnienie księżycowej nocy, tej, kiedy się w sobie zakochali.

A ona miała w uszach wspaniałe kolczyki z szafirów, które zamierzała nosić tylko podczas występów i gdy się będą całować i kochać. Tego wieczoru zdobił ją jednak najważniejszy symbol ich miłości - wspaniały blask szafirowych oczu, zaróżowione policzki i nadzieja, którą tak długo musiała skrywać.

- Catherine - szepnął z radością James. - Jesteś.

- Tak - odparła, patrząc mu w oczy pełne nadziei, szczęścia i miłości.

Przyszła, by wyrazić słowami obietnicę daną sercu. Lecz to on przemówił pierwszy, bo i on miał obietnice do spełnienia.

- Tak bardzo się myliłem, kochanie. Nie powinienem był nigdy rezygnować z naszej miłości. I nie chciałem, Catherine, lecz naprawdę byłem przekonany, że tak będzie najlepiej. Ale nie było. Przynajmniej nie dla mnie, najdroższa.

- Dla mnie również nie.

- Wybacz, że cię zraniłem. Przecież zawsze chciałem cię tylko kochać. - Dotknął drżącymi dłońmi policzka Catherine, a zimowy wiatr zburzył jej włosy, odsłaniając kolczyki z szafirów, dar miłości, w tak dramatycznych okolicznościach utracony i odzyskany. Jak nasza miłość, pomyślał. - Kocham cię, Catherine, kocham cię całym sercem - szepnął.

- Och, Jamesie! Ja też cię kocham.

Kiedy znów jej dotknął, cichy głos serca rozspiewał się ze szczęścia, a kiedy ona dotknęła jego, delikatne palce dowiedziały się raz jeszcze, że taka pieśzczoła to dar o wiele ważniejszy niż talent.

A później, gdy zapadł wieczór, w swej radosnej i czulej miłości odkryli najpiękniejszą muzykę świata.